Oleg Pawłow

Opowieści z ostatnich dni

Trylogia

NOIR SUR BLANC

OLEG PAWŁOW

OPOWIEŚCI Z OSTATNICH DNI

Trylogia

Przełożył
Wiktor Dłuski

NOIR SUR BLANC

Spis treści

Karta redakcyjna

SŁUŻBOWA BAŚŃ

Rozdział pierwszy. Byli sobie...
Rozdział drugi. Kartofle
Rozdział trzeci. Towarzysz Skripicyn
Rozdział czwarty. Sprawa wagi państwowej
Rozdział piąty. Z aresztu
Rozdział szósty. Namiętności na rozkaz
Rozdział siódmy. Cała prawda
Rozdział ósmy. Nowe czasy
Rozdział dziewiąty. Bohaterstwo zimowe
Rozdział dziesiąty. Na chwałę i na wieczne odpoczywanie

SPRAWA MATIUSZYNA

Część pierwsza
Część druga
Część trzecia
Część czwarta
Epilog. Ostatnie wspomnienia

KARAGANDYJSKA TRYZNA

Bytowanie
Wieczny ząb
Stary nowy dzień

Gdzie śmierć, tam i życie
Rajskie jabłuszka
W trumnach będący
Długie pożegnanie
Droga, dróżka
Żywi do żywych
Przypisy

Tytuł oryginału: ПОВЕСТИ ПОСЛЕДНИХ ДНЕЙ. ТРИЛОГИЯ

Opracowanie redakcyjne: MIROSŁAW GRABOWSKI
Korekta: AGATA NOCUŃ, JANINA ZGRZEMBSKA
Projekt okładki: TOMASZ LEC z wykorzystaniem fot. © Alamy/BE&W
Skład i łamanie: PLUS 2 Witold Kuśmierczyk

Казённая Сказка © 1994 by Oleg Pavlov
Дело Матюшина © 1997 by Oleg Pavlov
Карагандинские девятины © 2002 by Oleg Pavlov
Published by arrangement with ELKOST Intl. Literary Agency
For the Polish edition
Copyright © 2016, Noir sur Blanc, Warszawa

ISBN 978-83-7392-516-8

Oficyna Literacka Noir sur Blanc Sp. z o.o.
ul. Frascati 18, 00-483 Warszawa
e-mail: nsb@wl.net.pl
księgarnia internetowa: www.noirsurblanc.pl

Konwersja: eLitera s.c.

Służbowa baśń

Rosyjskim kapitanom, najtwardszym z żołnierzy,
tym, na których garbach i grobach
spoczywało od zawsze nasze carstwo-państwo –
poświęcam.
Wieczna pamięć im wszystkim.

Rozdział pierwszy

Byli sobie...

Gazety przywożono do stepowej kompanii jak kartofle, żeby starczyło na miesiąc, na dwa albo i do wiosny i żeby paliwa po próżnicy nie marnować, a wojska nie rozpieszczać. Przywożono zeszłoroczne z zapuszczonej pułkowej czytelni, gdzie zszywki zdążono już porozkradać. Ale gazety, chociaż poszarpane, wyciskały – zdarzało się – wojakom łzę z oka, bo opowiadały o czymś wielkim i ważnym, co stało się dawno i bez ich wiedzy. Dowiadując się tak późno i tak nagle o wszystkich światowych wydarzeniach, zaczynali na dobre zatracać swoje i bez tego zmarnowane życie. Na służbie ciągnęli wódę, chrapali, a w dusznych koszarowych sypialniach smrodzili papierosami, zaśmiecali podłogi. Ale nawet wśród tego rozpasania czuło się, że wciąż i wciąż przeżuwają w sobie to, co przeczytali, boją się o tym zapomnieć. Od słowa do słowa rozmowy robiły się coraz ostrzejsze, każdy zaczynał mieć własne zdanie, a kiedy nagle objawiało się jakieś wydarzenie naprawdę ważne, wielkie, a jasnej oceny politycznej nie było, dochodziło do mordobicia.

Kapitan Chabarow niczego od życia nie oczekiwał. Kiedy dosiadał się do kręgu czytaczy, ukradkiem dolewał swój zastarzały smutek do tego ogólnego, wywołanego – tak się uważało – sytuacją międzynarodową. Do gazet nawet nie zaglądał. Tych nietutejszych nowin dostarczali mu we właściwym czasie przez telefon fartowni znajomi, grzejący wygodne stołki w pułku karagandyjskim. Dostarczali, można powiedzieć, z zastarzałego szacunku, ale Chabarow tej ich z daleka przychodzącej załganej mowy nawet nie słuchał, tęsknił.

Iwan Jakowlewicz Chabarow poszedł do wojska nie z wyrachowania ani nie z musu, choć jego dobra wola odegrała tu niewielką rolę. W kamasze wzięli go tak jak wszystkich. Służył jak trzeba i zwykłą rzeczy koleją tak już wyszło, że zrobili go starszym sierżantem. A trzeba wiedzieć, że starszym sierżantem zostaje człowiek rzetelny, pracowity, który wszystko wytrzyma, cokolwiek by na niego zwalono, a przy tym nie dba o własny brzuch, nie upija się, nie kradnie z ogólnego kotła ani z rozdziawionej państwowej kieszeni. Kiedy minął czas obowiązkowej żołnierskiej służby, zaczęli go namawiać, żeby został na zawodowego. Kumple z koszar mendzili: „No, posłuż jeszcze troszkę! Dokąd się śpieszysz? Razem weselej!”. A szefostwo dopieszczało: „Zostań, Iwan, z nami, toć to prawdziwe twoje miejsce, no co ciebie w cywilu czeka, co z ciebie, taka twoja mać, za cywil?!”.

Wysłużonego wojaka zdradzał w Chabarowie bardziej cały jego znużony wygląd, twarde, grube rysy niż ta postawa w słup, jakiej nabierają na placu ćwiczeń zupacy. Krępy, przysadzisty, wyglądał jak mocno nabity worek z kartoflami. Przez te żołnierskie cechy był jednak bezbarwny, przypominał chyba tylko miliony jemu podobnych, wśród których z natury rzeczy znika pojedynczy człowiek. Życie w tym tłumie całymi latami ani nie płynie, ani się nie burzy. Czas nie przynosi tu łatwych, szybkich odmian i dlatego żyje się tu w ogóle poza czasem, bo po prostu każdy rozumie, że na wszystko przyjdzie kolej. Co z tego wyjdzie, okaże się po wiekach. A kto żył i umarł, nie dowie się niczego. Chabarow urodził się wśród prostych ludzi, więc i nazwano go jak najprościej. Rozumem świata nie zadziwiał, żaden spadek

na niego nie czekał i choćby dlatego ugrzązł w tym gąszczu, w którym wychynął na świat. Sądzone mu było – co prawda, to prawda – utknąć w nim kamieniem. Został więc Iwan Chabarow na służbie, służył za wikt i pobory, za które się nie zabaluje. Cokolwiek się działo, myślał: „Zawracać nie ma dokąd, trzeba się trzymać”. I myślał też, cokolwiek się działo: „To jeszcze nie koniec mojego życia”.

I teraz, kiedy w zakurzonych kapitańskich pagonach dosługiwał swego czasu w jednej z zatraconych łagrowych kompanii obwodu karagandyjskiego, nawycierawszy się przedtem po łagrach od Pieczory po Zarawszan dłużej od zatwardziałego urki i więcej od niego się nie dorobiwszy, też tak myślał.

Miejsce w stepie, gdzie służył kapitan Iwan Jakowlewicz Chabarow, nazywało się Karabas. Tak ochrzcili tę miejscowość Kazachowie. Przełożona z ich języka nazwa znaczyła mniej więcej „Czarna Głowa”. W tym jednak stuleciu Kazachów w pobliżu Karabasu nawet widać nie było. Zamieszkiwali odległe kołchozy, hodowali owce. Zdarzało się stepowcom podjeżdżać do osady, żeby choć zerknąć na obóz i w nadziei, że zaopatrzą się tam w jakieś żelastwo. Kiedy pytano ich, dlaczego nadano temu miejscu taką ponurą nazwę, Kazachowie strzelali wokoło oczyma i mówili, że sami nie wiedzą, gdzie to ich pradziadowie wypatrzyli tu coś czarnego i czemu przywidziała im się głowa pośród płaskiej stepowej równiny. Dymiące w oddali sopki otaczające okolicę szarą mgiełką wcale do głów nie były podobne i nawet ich kamieniste granie w zimną i wilgotną pogodę czerniały, bardziej przypominając pnie. Za to przestworza było do woli. Ani roślinność, ani pola orne, ani rzeki nie utrudzały stepowej ziemi, nie zacieśniały jej. Ludzie jednak nie osiedlili się tu dla przestworza. Zbudowali obóz, więzienie, i miejsce dla niego wybrali tak, jakby splunęli ze złości i tam, gdzie padła plwocina, zaczęli żyć.

Karabas dzielił się na dwie części, z których jedną, bardziej niepozorną, była kompania ochrony łagru, a drugą, prującą po stepie niczym barka – sam obóz. I kompanię, i obóz zbudowano za jednym zamachem, ale z latami ich wygląd po wielekroć się zmieniał, a rozmaite prowizorki

równie raźno wznoszono, jak burzono. Sklepów, instytucji, domów, cerkwi osada w życiu swoim nie widziała, tylko jednostajne baraki podobne do psich bud, zresztą wokół nich rzeczywiście rozlegało się wściekłe ujadanie owczarków. Do baraków prowadziły wydeptane butami ścieżki tak wąskie, że ludziom się zdawało, jakby szli skrajem przepaści. Te ścieżki kończyły się ślepo, urywały się tam, gdzie zaczynały się zamknięte zony i najrozmaitsze inne zakazane miejsca. Swobodny dostęp do Karabasu dawała łagrowa wąskotorówka i stepowy szlak, wiodące daleko za łańcuch sopek. Jeszcze nieco za łagrem, na uboczu, leżał niemal niezauważalny cmentarzyk, gdzie lazarecik grzebał bezpańskich zeków. W tym miejscu pojawiał się od czasu do czasu świeży wykop. Ot – można powiedzieć – cała komunikacja, wszystkie dojścia, wszystkie wyjścia. Prawdę mówiąc, w Karabasie chyżo przemieszczały się tylko wszy z baraków, spacerując wedle woli od żołnierzy do zeków i z powrotem. Chodziły wzajemnie do siebie w gości, popijały, zakąszały, rozmnażały się setkami. A ludzie cierpieli od świądu, dusili tryumfujące robactwo, które łączyło ich węzłem krwi mocniej niż jakakolwiek matka.

Oprócz tych żyjątek Karabas zasiedlali żołnierze, więźniowie, robotnicy najemni i strażnicy. Więźniowie i żołnierze żyli tu latami, każdy zgodnie ze swoim terminem służby lub wyrokiem, wykonując przypisane obowiązki. Reszta ludności regularnie przemieszczała się wąskotorówką w stronę Ugolpunktu – było takie miasteczko – żeby odpocząć. W łagrze założono fabryczkę, w której trzaskano jednakiego kształtu buciory, po pud wagi sztuka, na użytek takich samych łagrów. Innym zajęciem był wieczny dozór, wieczne warty. Codzienność cuchnęła kwaśnym kapuśniakiem i upływała wolno, ociężale, jakby wyciekała z głębokiej przeszłości.

Żyło wojsko żołdem i racjami żywnościowymi. Poborów przez dziesięć lat nie podwyższano, ale z upływem czasu też nie obniżano. Chociaż ludzie mówili po cichu, że za taką służbę powinni kiedyś podwyższyć. Powtarzali sobie w duchu, że pobory w dużej części im podkradają, i służyli kiepściutko, byle nie podpaść. A naczalstwo chętnie przy każdej sposobności oznajmiało, że służą kiepsko, darmo żołd dostają. Tego się

trzymano. Co do norm żywnościowych, to latem trzeba je było obniżać, żeby choć trochę przyoszczędzić na zimę. Jesienią też się nie dojadało, odkładano na zapas. A jak styczeń przychodził, to tego zapasu starczyło na tyle, żeby wróbla nakarmić, i po co było tak długo cierpieć? Zek swoje wymusi, choćby miał sobie gardło poderżnąć, strażnik ukradnie po cichu, a żołnierz skąd ma wziąć? Co z pułku dostarczą, tego się nie zważy. Powiadają, że zaopatrują wedle norm, ale jakie to normy? Liczą żywą wagę, jakby nie wiedzieli, że żywa waga utrzęsie się, wysmaży, a bywa, że i przepadnie nie wiadomo jak. Zamiast tłuszczów dają łój wołowy, żeby na miejscu sobie smalec wytopili. A taki tłuszcz to tyle co woda, nie najesz się i jeszcze obrzydzenie bierze. Zamiast jabłek – susz owocowy. Herbatę zastępują palonym cukrem, żywicą herbacianą. Gdzie tylko spojrzysz, wszędzie cisną, poniżają. Nie służyli porządnie, tylko jakoś tam wegetowali, ale jak człowiek nażre się do syta, to czemuś dalej już mu się żyć nie chce.

Kapitan nie folgował sobie aż tak, żeby skarżyć się na swój los. Skarżyć się to znaczy szukać winnych, samemu się wymigiwać, a on tego nie umiał. Kiedy trafił do kompanii wartowniczej, szybko zrozumiał, że żadnej służby tu nie ma. Jest tylko jedna bieda dla wszystkich, jeden powróz, na którym ciągnąć trzeba, aż się rzygać chce, i barkę obozową, i tych, co na niej płyną. Dlatego Iwan Chabarow nie lubił łagrowego naczalstwa, nie szanował wyjazdowych sesji sądowych, kiedy do klubu zapędza się tłumy gapiów i wyroki na ludzi wydaje, choćby nawet i na winnego człowieka. Przecież to nieszczęście i powinni być przy tym, jak na pogrzebie, sami krewni i bliscy, którym drogi jest ten człowiek, a tu wystawiają go samotnego na widok, dają opluwać. Chabarow pchał obozową bidę, nie luzując ani sobie, ani zekom, ani żołnierzykom. Każdy dożywał w obozie swojego terminu, ale tu w pojedynkę dałoby się tylko umrzeć, żyło się w kupie, ciasnota utrzymywała wszystkich, nawet martwemu nie dałaby upaść.

Tylko zimą zwalała się na osadę senna cisza i napływał biały brudnawy spokój, pogrążając Karabas w śpiączce. W tym wlokącym się czasie ludzie przypominali sobie, jak ciepłe jest życie, i to ciepło grzało ich jak piec.

Kapitan zapamiętywał się w tym cieple, w którym zabliźniały się również liczne jego rany.

Gdybyśmy teraz, kiedy już odmalowaliśmy ogólny widok obozowej osady, mogli z osiągniętej wysokości ruszyć w głąb, musielibyśmy spaść kamieniem na dziedziniec koszarowy, na wiecznie pijanego Ilję Pieriehuda, człowieka tak ogromnej postaci, że nawet nie celując, zawsze się w niego trafi.

Ilja Pieriehud sprawował w kompanii wszystkie nieobsadzone stanowiska, był tu za zapchajdziurę, robił rzeczy, za które człowieka nie awansują, wyznaczali mu tylko byle jaką robotę, na przykład – policz w kanciapie prześcieradła, dopilnuj, żeby psy w budach nakarmili. Niby to byli w Karabasie i sierżanci, i kanceliści, i psiarze, ale zawsze tu ludzi brakowało, tak że wszystkie takie funkcje przypadły Pieriehudowi, który wpadł kapitanowi w oko, kiedy był jeszcze strażnikiem całkiem w tej służbie zagubionym, więc Chabarow przeniósł go do swojej kompanii jak osierocone dziecko. Serce i dusza Ilji pracowały na wódce. Ruszać się jednak nie lubił, najwyżej sterczał pijany na koszarowym dziedzińcu i znajdowano go tam zazwyczaj jak niedźwiedzia w barłogu na jednym z jego stanowisk, a jeszcze częściej w kanciapie. Pieriehud rozwalał się w ciemnej komórce, wypełniał ją całą jak trumnę. Kto tam wchodził, natykał się na Ilję jak na nieboszczyka – oto on, siedzi: zda się, że ogromny łeb z czubem włosów zaraz stoczy się z tego tułowia, z tej góry. Jedna ręka olbrzyma, podobna do zbocza, unosi się i w półmroku już słychać bulgot i westchnienie ulgi: Ilja ugasił pragnienie.

– Ktoś ty taki, może Kozak? – pyta z miejsca Pieriehud, wcale nie patrząc, kto przyszedł. A potem sam odpowiada, i to tak, że po prostu wyrzuca przybysza, jakby go zdmuchnął. – Bo ja Kozak jestem!

Czy trzeba dodawać, że na swoich stanowiskach Ilja ni cholery nie robił? A zresztą nie mógł nic robić, tylko budził do siebie szacunek. Psy były nienakarmione, prześcieradła niepoliczone, Ilja tego nawet nie zauważał. Od bałaganu, który z jego winy panował w kompanii, wszystkim było

weselej. Pieriehud w życiu nikogo nie uderzył, bał się, że zabije. Jeśli mu ktoś dokuczył, ryczał tylko na postrach:

– Ze mnie się śmiejesz, z Kozaka?

Albo posępniał, złościł się i na oczach wszystkich wybijał pięścią dziurę w czymkolwiek, choćby w pierwszej lepszej ścianie, i od razu budził szacunek. Zdarzało się jednak czasem, że ogarniał go strach, tak jak niektórym się zdarza, że im w kościach strzyka na deszcz. W takie dni chodził odmieniony i mówił wszystkim bojaźliwie:

– Przecież ja nie Kozak jestem, nie Kozak...

Zdarzyło się raz w takim czasie, że ktoś szepnął Pieriehudowi, jakoby jechała po niego suka. Ilja wlazł w sypialni pod pryczę, a wojsko specjalnie go straszyło:

– Leż, leż, może nie znajdą.

I Ilja leżał, nie ruszał się, myślał, że to wszystko prawda.

Wyciągnął go wtedy spod pryczy oficer polityczny Wasyl Wieliczko, który zawsze mówił prawdę i wstawiał się za nieszczęśnikami. O zastępcy do spraw politycznych Wasylu Wieliczce wszystko opowiedzieliby sami żołnierze, bo był to taki człowiek, że niczego nie odkładał na zaś ani nie trzymał w tajemnicy. Od niego należałoby zacząć opowieść, gdyby nie nawinął się Pieriehud, chociaż ten mógłby przecież poczekać, nigdzie by nie przepadł i wszystkich by przeżył, jak w mordę strzelił, byle tylko wlać mu w serce wódkę. No ale weź go teraz opuść!

Gdyby kapitanowi Chabarowowi zameldowano, że Pieriehud nastraszony przez żołnierzy chowa się pod pryczą, nie ruszyłby się z miejsca, a tym bardziej nie rzucił zajęcia, przy którym by go zastano. A Wieliczko właśnie rzucił się, poderwał – taki to był człowiek, że wszystkich chciał uratować i wszystko na ziemi odmienić!

Do Karabasu jak do jamy: wpaść łatwo, wydostać się trudno, a bywa, że po prostu nie wolno. Nie mówiąc już o zekach, nawet żołnierzy, których w pułku uznano za wybrakowanych, zsyłano w step, ukrywano tam. Chabarow to wiedział i kiedy mu z pułku nagle przysłano zastępcę do

spraw politycznych, obawiał się, żeby nie okazał się on całkiem do niczego, jak ci, co nie mają nic do stracenia. Wieliczko zaraz pierwszego dnia urządził zajęcia polityczne, rozwiesiwszy przedtem po całych koszarach porządne plakaty, od razu też wymalował hasła, choć mało kto rozumiał, do czego one wzywają. Ten człowiek albo naprawdę nie wierzył, że go w taką stepową głuszę zesłano, albo udawał. Kapitan nawet dziwił się podłości pułkowego dowództwa: czemu tego świętego człowieka tak potraktowano, no przecież mogli go zostawić u siebie, fruwałby ze swoimi hasłami po sztabie, a oni wzięli i wpakowali go w samo piekło. Potem, widząc, jak w kompanii zaczęły się zajęcia polityczne, pojawiła się komórka komsomolska, Chabarow już tylko posępniał i mamrotał pod nosem:

– Och, źle się to wszystko skończy, po co on pcha się wszystko zmieniać, jeszcze gorzej będzie, niż było przedtem, a przecież i tak jakoś się żyło.

Wszystko, co polityczny Wieliczko o sobie opowiadał, sprowadzało się do okrzyku „przekonałem się!” na zmianę z „przezwyciężałem!”, chociaż oba odmalowywały zawsze ten sam obraz: zaczynał coś robić, a potem rzucał, brał się za co innego i niczego nie doprowadzał do końca. Sądząc z tego, co opowiadał, kiedyś wierzył nawet w Boga, ale potem wiarę stracił i zaczął się hartować, bo uwierzył w przeręble, w zdrowe życie.

– Przekonałem się, że człowiek sam sobą może rozporządzać, że powinien być zdrowy, cieszyć się życiem, rozumiecie, i zacząłem sam siebie przezwyciężać! – wołał Wieliczko.

A potem z takim samym zapałem zaczynał opowiadać, jak przestał wierzyć w hartowanie własnego organizmu, zrozumiał, że najpierw trzeba uczynić szczęśliwym i radosnym życie wszystkich ludzi.

– Nie, ja się przekonałem, to jest, rozumiecie, najważniejsze, najpierw musimy zbudować komunizm! Człowiekowi jest źle, kiedy wokoło jest źle, ale wszyscy razem możemy zmienić nasz świat!

Cała zaś jego droga życiowa była taka: służył w klubie pułkowym, bo umiał rysować, potem wprosił się na instruktora wychowania fizycznego, potem do wydziału politycznego na propagandzistę, a potem wysłali go na

służbę do Karabasu, pewnie po to, by już nikt na ziemi o nim więcej nie słyszał.

Wojsko polubiło politycznego. Chabarow był obcy, bali się go albo szanowali. Z Pieriehudem można było się napić, ale jak ze starym dziadem. A Wieliczko przywiózł ze sobą plakaty, hasła i od samego początku zajmował się wojskiem, nawet z początku zwracał się do żołnierzy przez „wy", a nie „ty", bo byli dla niego tymi właśnie ludźmi, z którymi chciał zmieniać życie. A że bardzo mu zależało, by najpierw nawrócić wszystkich na swoją wiarę, rodziło się z tego szczególne, serdeczne uczucie, które by się nie narodziło, gdyby zaczął z marszu wszystko zmieniać. Brzuch rozbolał – proszę bardzo, idź do Wieliczki! Chcesz się wywnętrzyć – idź, wysłucha nawet nocą! Albo zjawiał się u niego żołnierz, pokazywał wyblakłe zdjęcie i prosił ufnie:

– To matka z ojcem, on tu w koszuli jest, to proszę dorysować marynarkę i mamie też jakieś lepsze ubranie sprawić.

Każdy o coś prosił: jeden o własny portret, inny o ogólny, całej kompanii, albo o widok obozu, żeby pamiątka została. Rysował Wieliczko zwyczajnie, ale i trochę przyozdabiał. Uwieczniona tak po prostu, jak na widokówce, soczysta uroda wychodziła bardziej przekonująco niż sama natura.

Chabarow, chociaż uważał zastępcę za nieszkodliwego gadułę, zaczął się do niego odnosić spokojniej, bo zrozumiał, że Wieliczko uczciwie stara się coś zrobić dla ludzi i nie ma nic złego w tym, że jego starania niewiele przynoszą pożytku. Bo czy może jeden człowiek wszystko zmienić? Wkrótce zawiązał się między Chabarowem a Wieliczką serdeczny spór, który połączył ich mocniej niż transfuzja krwi. Kapitan wiecznie oszczędzał na przyszłość, a potem długo przechowywał zapasy. Nawet jeśli wszystkiego było dość, on odkładał dalej, spodziewając się najgorszego, całkiem jakby przyzywał nieszczęście. Wojsko, rzecz jasna, na taką gospodarność narzekało i traciło wiarę w przyszłość. Polityczny mocno to przeżywał, no i napadał z żarem na kapitana, kiedy tylko ten brał się do oszczędzania. Ich milcząca, a czasem i swarliwa walka trwała całe miesiące

i kapitan bez wysiłku mógłby pokonać kruchego, marzycielskiego Wieliczkę, ale widząc jego rozpacz i ból, kapitulował. A do tego jeszcze wyłaził skądś Pieriehud i się z niego naśmiewał:

– Słuchaj, Iwan, dość tego morzenia głodem, rację ma polityczny. Lepiej konia potrzep, będziesz miał oszczędność, a ludzi nie ruszaj!

Gospodarstwo szło ku ruinie. Sam Iwan Jakowlewicz z bólem patrzył, jak polityczny dla jednorazowych ulg marnotrawi całą jego mrówczą pracę. Widząc to, mimo wszystko czemuś pokornie milczał. Wieliczko i Pieriehud byli, zdawało się, ciężarem dla niego i gospodarstwu najmniejszego pożytku nie przynosili, ale – rzecz osobliwa – z tym ciężarem żyło mu się cieplej i lżej się służyło.

Żaden na głos nie przyznawał, że potrzebuje drugiego, ale takim przyznaniem, chociaż milczącym, było wspólne życie tej trójki toczące się w kompanijnej kancelarii. Chabarow osiedlił się w niej dawno temu. W Ugolpunkcie był oddzielny murowany dom dla pracowników łagru, gdzie można było dostać miejsce i łóżko, ale pokoik dzieliło się tam w piątkę, nawet z rodzinami. Dlatego kapitan uznał, że spokojniej będzie mu się mieszkało w kancelarii. Wieliczko, popróbowawszy życia ze strażnikami łagru i ich prostackimi rodzinami, poprosił kapitana, by go wpuścił na swoją kwaterę. I wreszcie Ilja, jak już spostrzegł, że dowódca z zastępcą mieszkają tuż pod jego bokiem, przyjął sobie za zasadę, żeby co noc zostawać u nich w gościnie. Słano mu na podłodze i był zadowolony. Wyrzucić go, czyli pozbawić przyjemności, Chabarow nie miał sumienia, chociaż Ilja ich mocno ścieśnił, a do tego zaraził rozmowami takimi, co to nie mają początku ani końca.

Powietrze w kancelarii zrobiło się mocne. Jak oddychali, tak też żyli. Chabarow, bywało, zalewał robaka, choć nikt by nie uwierzył, że mógłby się upić w sztok, bo nawet kiedy pił, robił to z taką powagą, jakby wyprawiał kogoś w bardzo daleką drogę. Jeśli Iwan Jakowlewicz nagle się upijał, a potem pił już bez opamiętania, to zawsze tylko wtedy, kiedy jego zbędne codzienne zajęcia przerywał nudny odpoczynek, coś jak prześwit. W takim właśnie spokojnym czasie kapitanowi zwidywało się, że

jakkolwiek by liczyć – żadnego pożytku z jego życia nie ma. Po pijanemu jednak po kompanii się nie szlajał, po prostu zasypiał martwym snem, to jest walił się na łóżko, nawet nie zdjąwszy butów. Ilja spał jak pies na podłodze koło kapitana, wyganiając swoim rykiem każdego, kto po coś zachodził. On też raz dziennie szturchał Chabarowa, żeby się upewnić, że kapitan jeszcze żyje.

Chabarow wysypiał się tak może przez tydzień, po czym spostrzegał, że gospodarstwo jest zapuszczone, i z łatwością przerywał picie aż do następnego ochlaju.

Jeden Wieliczko był jakby niepijący. Co jakiś czas jednak też zaczynał zalewać robaka, próbując wychować na nowo Pieriehuda, oduczyć go pijaństwa.

Ten obiecywał:

– Koniec, przybite, przyplute, ani kropli, niech ja skonam. No to dawaj, ostatni raz wypijemy po szklaneczce. Jazda, Wasylek, nie obrażaj człowieka, dawaj no, za moje nowe życie!

Polityczny pytał:

– A naprawdę przestaniesz pić?

– Kozackie słowo! Co, mnie nie wierzysz?

Wieliczce robiło się wstyd, godził się pośpiesznie, a że był osłabiony długim zdrowym życiem, wódka waliła go jak pałką.

Zdarzało się, że Wieliczko z Pieriehudem zaczynali się buntować, krzyczeć:

– Ludzie nie mają co do gęby włożyć, w kraju bezhołowie, złodziej na złodzieju!

Chabarow bał się takich rozmów, hamował ich:

– Starczy mielenia ozorem, lepiej wypijmy jeszcze po maleńkim.

I sam wypijał. Zalewając wódką niebezpieczne rozmowy, często przebierał miarę i nagle znów mocno się upijał, a wtedy zaczynał tak wymyślać na władzę i porządki, że nawet polityczny z Ilją na zmianę bledli i czerwienieli, wypadali z kancelarii jak oparzeni, a Ilja na koniec specjalnie

kładł się spać na podłodze i zaczynał głośno chrapać: czy to chciał zagłuszyć ryki kapitana, żeby obcy nie słyszeli, czy to po prostu zasypiał, a chrapał ze strachu już przez sen.

Kapitan umiał tylko wykrawać coś z tego, co przywieziono, a zdobyć choć cokolwiek samemu, z pominięciem naczalstwa, nie potrafił. Wieliczko coraz częściej skarżył się, martwił. On, który marzył, by uszczęśliwić wszystkich ludzi na ziemi, rozpaczał, że w Karabasie wszy go oblazły, próbował różnymi naukowymi sposobami pozbyć się pasożytów, ale te natychmiast przekradały się na niego z innych.

Raz Wieliczko odwołał swoje zajęcia polityczne, oznajmiając:

– Wybaczcie mi, że wszystkich oszukiwałem, bo zadawałem pytania, ale dawałem na nie złe odpowiedzi.

Chabarow nawet z zadowoleniem zastąpił zajęcia polityczne dla żołnierzy pracami gospodarczymi, od których oni jednak z łatwością i wprawnie się wykręcali. Widząc, że nikt nie żałuje tego, co się stało, Wieliczko jeszcze mocniej odczuł swoją samotność w Karabasie. Tylko kapitan się dowiedział, że napisał raport z prośbą o zwolnienie ze służby. Skądś przyszła jednak nikczemna odpowiedź, bo i tylko takiej można się było spodziewać: pięć lat, tak jak miało być, ma jeszcze służyć. A sam naramienników zdjąć nie mógł, wedle regulaminu byłby dezerterem.

Wreszcie w kancelarii rozległ się strzał, a potem długo było słychać jakiś łoskot, jakby ktoś się tam krzątał. Polityczny, gdy go znaleziono, żył, oczy miał wytrzeszczone. Bezgłośnie kłapał grubymi wargami. Wydawało się, że kula przygwoździła go do podłogi. A strzelił sobie w pierś znacznie powyżej serca, jakby mimo wszystko nie chciał umrzeć albo nie wiedział dokładnie, gdzie się to jego serce znajduje. Rana – ot, taka sobie dziurka w mundurze – nie przestraszyła ludzi, którzy zbiegli się na odgłos wystrzału. Kapitan pojawił się w kancelarii późno, kiedy Wieliczko, nieruchomy, zimny, leżał plackiem na podłodze. Właśnie wyciągnął się i ucichł jak martwy.

Iwan Jakowlewicz pobiegł do łagru, do tamtejszego lazaretu, prosić o pomoc. Nie było go długo. Zona żyła swoim życiem, swoim naczalstwem

i swoimi zakazami. Lekarz wojskowy, którego kapitan stamtąd wyszarpał, dławił się wprost, obrzucając wszystko i wszystkich takimi wielopiętrowymi przekleństwami, że aż dziw, że go w ogóle rozumieli, jednak natychmiast wziął się do roboty. Wojsko rozeszło się po kątach, ale jeszcze tego samego dnia dowiedziano się, że w lazarecie życie politycznemu mimo wszystko uratowano. Nazajutrz przyjechał z pułku samochód i tylko ci, co obijali się na warcie, a także sam kapitan Chabarow, który przypadkiem znalazł się na wartowni, zobaczyli Wieliczkę ostatni raz, kiedy go wywożono.

Chodziły słuchy, jakoby zastępca wracał w szpitalu do zdrowia, ale leczono go, jak się okazało, tylko po to, żeby go potem sądzić. Do Karabasu przyjechał szef pułkowego wydziału specjalnego, niejaki Smierszewicz: na oko obrzydliwy, odkarmiony, najwyraźniej rozmiłowany w dobrym żarciu i wypitce, ale jednocześnie twardy, podobny do kamiennej bryły, z wbitymi pod czoło błyszczącymi czarnymi oczkami, którymi bez żadnego wstydu, z kwaśną, niezadowoloną miną, wwiercał się w każdego człowieczka na wskroś jak w gołą deskę. Widać było od razu, że ludzie dla niego nic nie znaczą. W dodatku miał okaleczoną rękę: prawy nadgarstek okrywała mu skórzana proteza w kształcie rękawiczki. Tą protezą pracował jak maczugą: wymachiwał nią albo unosił wcale nie do powitania, tylko od razu pod nos. Przesłuchiwać właściwie nie umiał, choć się bardzo puszył. Zwalał się tylko całym swoim ogromem na podejrzanego, groził, miotał ze wszystkich stron przekleństwami i wylewał z siebie całe garnce gadaniny:

– Kogo kryjesz? Tego siewcę plotek? Element antysowiecki? Pętał się tu taki pod nogami, jego jeszcze tam w pułku trzeba było rozdeptać!

Chabarow milczał, a Smierszewicz nic nie mógł zrobić z kapitanem, ale zapamiętał go i pożegnał tak:

– Ty, robaczku, uważaj, smród z ciebie zostanie, jak cię rozdepczą.

A potem odbył się w pułku sąd koleżeński, na którym Wasyla Wieliczkę, już zdegradowanego, inwalidę, usunęli z partii i skazali na pozbawienie wolności. Stepowemu kapitanowi też nakazano wziąć udział w rozprawie, żeby w Karabasie wiedzieli, jaka kara czeka takich zbrodniarzy, co

odmawiają służby dla ojczyzny. Chabarow jednak nie pojechał, po raz pierwszy w życiu nie wykonał rozkazu. Mimo to nic mu się nie stało. Może wezwali go tylko dla pucu. A może uznali, że sam zdechnie w swojej głuszy.

W pułku szkoda im było przysłać na miejsce Wieliczki nowego człowieka. Dodali Chabarowowi grosik do poborów, żeby łączył obie funkcje. Tak to kapitan jak dla kpiny awansował w służbie, zostając swoim własnym zastępcą do spraw politycznych. Ciążyła mu ta funkcja, co dzień przypominał mu się Wieliczko. Wtedy też i Pieriehuda zaczęły dręczyć napady strachu, ukrył się w swojej kanciapie i długo nie wychodził. Tak to Iwan Jakowlewicz Chabarow został całkiem samiuteńki.

Co ma mówić na zajęciach politycznych, nie wiedział. Męczył się. W życiu swoim przeczytał tylko jedną książkę, jeszcze w tych dawnych czasach, kiedy był młody i służył w Karagandzie jako sierżant na funkcji gospodarczej, a mieszkał w „Pentagonie”, ponurym i dlatego tak nazywanym internacie dla wojskowych. W tym to internacie ugrzązł kiedyś przyjezdny korespondent wojskowy okręgowej gazety „Dzierżyniec”. Przepił swoje diety. Nawet zegarek sprzedał i przepił. Potem stukał do drzwi, nawet nie zająknął się o pożyczkę, skamlał tylko, żeby kupić od niego tę książkę, choćby za rubla. Chabarow wpuścił korespondenta do swojego pokoiku, książkę wziął, żeby przejrzeć, a ta jakoś przylepiła mu się do rąk, no i dał rubla. Potem bardzo ją cenił jako prawdę, której sam o sobie i takimi słowami napisać by nie umiał. Kiedyś spróbował i przekonał się raz na zawsze, że nie potrafi. Zaopatrzył się w papier, wyprosiwszy go jakoby na listy do zmyślonych krewnych, czym rozmiękczył znajomą kancelistkę, która papier dawała tylko do podań. Wybrał wolny dzień. Usiadł, napisał na pierwszej stronie: „Iwan Chabarow, o moim życiu”, ale dalej już mu nie szło.

Przez pół życia nie rozstawał się ze swoją książką, woził ją ze sobą, gdzie tylko go posyłano na służbę, a szczególnie ulubione miejsca nawet same jakoś zapisały mu się w pamięci. Aż wreszcie mu ją ukradli – pewnie

na papier do skrętów – i już nie zdołał jej odzyskać, a innej takiej samej zdobyć nie mógł, bo nie pamiętał ani tytułu, ani nazwiska autora.

Żeby było co wpajać znudzonemu wojsku na zajęciach politycznych, zaczął opowiadać, znajdując w pamięci niemal książkowe słowa:

– Nie ma czegoś takiego, czego by się bał nasz żołnierz, dlatego i wy niczego się nie bójcie, a czego nie umiecie, tego się nauczycie. Przez mądrą głowę żadna wredna myśl nie przeleci, nie uda jej się, tylko ot tak, na środku klapnie.

Więcej jednak niczego sobie nie przypomniał oprócz swojego marzenia – żeby wszyscy mieli z jego życia jakiś pożytek.

Do emerytury pozostało mu kilka lat. Kiedyś cieszyła go myśl, że wysługa lat przychodzi w wojsku tak wcześnie i że tak szybko będzie miał spokój. Kiedy z latami przybliżał się do emerytury, wiedział niby, po co ma żyć. Jednak dawno już nie miał dokąd wracać po służbie. Kwaterował w kancelarii, pożywiał się też w koszarach, z ogólnego kotła, i przywykł do tego. Wiedząc, że już niedługo skreślą go z zaopatrzenia i wyślą w step, mimo wszystko czekał na tę emeryturę, ale żywił dziwaczną wiarę, że spędzi na zasłużonym odpoczynku choćby miesiąc, jeszcze z miesiąc pozwolą mu zajmować kancelarię, wyśpi się porządnie, wyleży się, nadyszy i bez męki umrze we śnie.

Dumając o własnej śmierci, Chabarow wielu rzeczy zaczął się domyślać zawczasu.

– Jakeśmy żyli, tak będziemy żyć – mówił ze znużeniem po przyjeździe pułkowego samochodu i narzekał tylko, że znowu kartofli poskąpili i nie przysłali. – No, tego zapasu nam wystarczy, żeby nie zdechnąć, ale czym, synkowie, będziemy żyć?

Po co toczy się takie nudne, surowe życie, jakby najoszczędniej odmierzone, nikt już nie wiedział. Wydarzenia przekształcające wszystko na świecie nie docierały w stepowe strony, gdzieś tam błądziły. Dlatego nawet droga między zagubionym osiedlem a Karagandą wydawała się wojakom dłuższa od całego życia. I chociaż przyjeżdżała nią do osady tylko zwykła ciężarówka, żołnierze otaczali omdlewającego od wstrząsów

szoferaka jak zamorskiego gościa. Ten szatan jednak długo w osadzie się nie zatrzymywał: rozładował, odszczekał się i tyle go, przelotnego ptaka, widzieli. A kartofle przywoził zgniłe, tak że kapitan się zamyślał: „Znaczy się, że i pułk w samą zgniliznę zaopatrują”.

O siebie się nie bał, przecież już niedługo emerytura. Ale spokojniej by mu się schło w ziemi, gdyby wiedział, że i z jego życia był jakiś pożytek dla ludzi. A na razie zgniliznę z pułkowych dostaw, omalże co drugi worek, zakopywali nieco dalej, żeby od niej nie jechało. Trudno powiedzieć, ile tego zakopano, może cały kołchoz, ale owego niczym niewyróżniającego się roku na skraju gęsto porośniętego piołunem stepowego cmentarzyka przebiła się kartoflana nać. Zauważył ją pewien zgłodniały żołnierzyk, więc wyrwał krzak i znalazł w korzeniach zielone jeszcze bulwy. Wyszło to na jaw przypadkiem. Żołnierzyk od razu się nażarł kartofli na surowo. Później zaczęło go rżnąć w brzuchu. Nie było wiadomo, co mu jest. Chłopak opowiedział kapitanowi o kartoflach, ale Chabarow nie uwierzył, uznał, że tamten nażarł się po kryjomu ziemi i symuluje zatrucie. Żołnierzyk skręcał się, rzygał jakąś kleistą paćką. Śmieli się z niego, ale potem jednak znaleźli kartoflaną nać. Połapali się, że mówił prawdę. A kapitana jakby odmieniło.

Zaczął odwiedzać to miejsce na stepie. Siadywał na pagórku, wdychał zapach piołunu, patrzył w rozdźwięczoną, pustawą dal. I pomyślał: a gdyby tak wiosną urządzić w stepie warzywnik, kartofle tam posadzić? Z jednego kartofla – powiadają – całe wiadro się dostaje. Będziemy u Kazachów kartofle na mięso wymieniać, a potem, kiedy kompania się wzbogaci, i własne bydełko zaprowadzimy. Może i nie wygonią na emeryturę, może przy gospodarstwie zostawią, jeśli będzie z niego dla ludzi pożytek. Zaopatrywałby pułk w kartofle, w mięso. Może i desek by dali, żeby własny dom postawić... I postanowił nasz Iwan, że zaczeka na kolejny transport: ile kartofli przydzielą, tyle też posadzi. A ten czas, gdy one rosnąć będą, przetrzymają na krupach, łojem wołowym się doprawi i jakoś się przecierpi.

Rozdział drugi

Kartofle

Muchy, żmije, ptaki, które się pochowały, jedne jesienią, inne zimą, jeszcze się wtedy w osadzie nie pojawiły. I smętnie się żyło na przedwiośniu, bo z żywych, jak się przyjrzeć, tylko ludzie i wszy zostały. A okazało się, że to paskudztwo, którego nawet człowiek złapać, wypatrzyć nie potrafi, ma swój charakter: jak tylko ktoś zgłodniał, wpadł w przygnębienie, one już zaczynały się na nim chmarami mnożyć i tak samo głodne i na wszystko gotowe się robiły. Smętek zapanował w całej osadzie, nawet powietrze w pomieszczeniach skwaśniało na zawsze i cuchnęło wszami, czyli stało się w pewnym sensie łebskie i samowolne.

Pierwszego dnia, kiedy ciężarówką przywieziono do Karabasu kartofle, kapitanowi udało się jeszcze ludzi powstrzymać. Zabajerował biedaków, że trzeba je przebrać, żeby określić, ile tego wypadnie i ile przydzielić na każdą dzienną normę. Przebierając kartofle, wojacy żarli je na surowo – w pułku je trochę przymrozili, były rozmiękłe i słodkawe. Kapitan o to nie robił krzyku. Uznał, że licząc na jutrzejsze porcje, zjedzą ich nie za wiele i nawet nie będą kraść.

Nocą bał się zasnąć. Po kancelarii kręciły się głodne myszy i gryzły, to znaczy brały na ząb wszystkie niewymyślne urządzenia kancelaryjne. Czas płynął i kapitan słabł, czując przedporanny chłodek. Resztę nocy rozważał: wojsko odmówi kopania warzywnika, a jeśli nie wyda mu się należnych racji, gotowe koszary spalić. Dlatego wstał jeszcze po ćmaku i usiadł przy oknie. Na jego oczach niebo się rozjaśniało, otwierało się szeroko, a z mgły wyłaniały się bezkresne stepowe przestworza.

Jego ochrypły, jakby przepity głos rozniósł się po śpiących koszarach. Zarządziwszy alarm bojowy, kapitan uzbroił żołnierzy w łopatki saperskie i pogonił ich z jasnego, martwego podwórza w step. Zasapani żołnierze szeptali do siebie:

– Gdzie to nas gonią? Co pijanicy do łba strzeliło?

A kapitan zaczął wymachiwać rękami, jakby na polu walki rozkazy wydawał. Żołnierze padali na szeroko rozpościerającą się pustą ziemię, potem się okopywali, jak rozkazał Chabarow. On zaś łaził wzdłuż ryjących ziemię tyralier, wymachując pistoletem, kiedy kopanie ustawało bez rozkazu, i wołał zachęcająco:

– Naciskać, synkowie, na łopaty, prędzej przerwa na papierosa będzie!

Przekopanej ziemi było coraz więcej. Kapitan mierzył ją sztywniejącymi nogami, a kiedy opadł z sił, rozkazał wszystkim uszykować się na skraju pola. Przed zamarły dwuszereg wywleczono worki i wtedy rozległo się:

– Patrzcie no, chłopy, jedzenie nasze rodzone zakopują!

– Przecież on pijany nie jest, trzeźwy palant, a nam głowy zawracał, przywabiał!

Chabarow zdusił to ujadanie płonącym wściekłością krzykiem:

– Milczeć! My nie jedzenie, my przyszłość naszą w ziemi zakopiemy. Za pół roku piure całymi wiadrami będziecie żreć!

Ale wybiegli z szeregu najwięksi pyskacze i klnąc siarczyście, ryczeli:

– Chłopy, nie ma zgody! To nasz przydział!

Chabarow zaczął im przedkładać:

– One same wyrosną, pracy nie wymagają... Przecież ja to dla was, ja chcę dalsze życie wam zabezpieczyć...

Ale już zagłuszyli go rykiem:

– Nie ma zgody! Dawaj, dowódco, żarcie!

Wtedy kapitan wysypał kartofle, ile ich było, i sam zaczął bulwy w ziemię kłaść. Napaść żołnierze się nie odważyli, pamiętali o pistolecie, ale ta groźna broń nie uratowała kapitana od fali przekleństw i grudek

ziemi: rzucali w niego, nie bali się nic. A on się cieszył: ziemię przekopali, sam z taką powierzchnią by sobie nie poradził. Wiedząc, że jest winny oszustwa, nie uchylał się nawet przed grudkami ziemi. Kartofle rządkami zakopywał byle szybciej, ukrywał.

Tłum rozszedł się... Spędziwszy cały dzień samotnie na polu, Chabarow niechętnie myślał o powrocie do koszar. Jednak na kompanii było cicho. Kapitana nie zauważano albo ponuro obchodzono bokiem. Ale jeden się uśmiechnął.

– Przespałbyś się, ojczulku, chyba zmęczony jesteś.

Kapitan obudził się późnym rankiem i pomyślał, że jego wojacy na dobre mu wybaczyli i sami przeprowadzili w kompanii pobudkę. Umył się, poszedł do jadalni i zastał tam żołnierzy. Z kuchni bił w brzuch mocny zapach smażonych kartofli.

– A to skąd? – zdziwił się kapitan.

Z odrapanego okienka do wydawania posiłków wysunął się wesoły kuchcik z syczącymi patelniami.

– Z kapitanowego warzywnika! Wszystko, plon żeśmy zebrali. Wpieprzaj, ile chcesz! A piure wiadrami będziemy zażerać!

Chabarow pobiegł w pole jak oszalały. Na podwórzu, po ścieżkach walały się kartofle. To dlatego nie wszczęli awantury! Żeby wszystko co swoje zabrać, kiedy on uwali się spać. I kapitan czołgał się teraz po ziemi, zbierając, co zostało, czego wojsku pewnie brać się nie chciało i leżało rozrzucone naokoło jak kamienie.

Kiedy wrócił do koszar, pierwszy napotkany żołnierz, leniwie kurzący na ganku grubego papierosa, zakrztusił się dymem, kiedy w tym zgarbionym, brudnym człowieku, wlokącym po ziemi worek wypakowany kartoflami, poznał kapitana Chabarowa.

Najadłszy się do syta smażeniny, zmorzeni wojacy chrapali spokojnym, południowym snem. Zapomniany Chabarow krzyknął nie swoim głosem:

– Wstać! Gdzie reszta, gdzie? Wszystkiego zeżreć nie mogliście... Słyszycie, nie dam wam, kurwy, spać, nikomu nie pozwolę!

Sypialnia nieco ożyła.

– Gasić światło, znamy takich pracusiów...

– Chłopaki, naprawdę, czego on się czepia?

– Słuchaj, Chabarow, prawda po naszej stronie, do prokuratora będziemy pisać!

– Dobra, dobra, kapituchna, rób kipisz, co znajdziesz, to twoje. Albo odwal się, święta ludziom nie psuj.

– A tak, tak... A będziesz lufą machać, sami duszę z ciebie wydusimy. Tylko rusz, wszyscy się podpiszą!

– Co wy, śmierci mojej chcecie? – westchnął na to Chabarow. – Powiem tak: kartofle oddać, sami z powrotem macie je posadzić, własnymi rękami, co do jednego. Odmówicie, chuj z wami, na wieczornym apelu wprost przed frontem się zastrzelę.

Zamilkł, znów westchnął gniewnie i tylko przyglądał się ucichłym ludziom. Palnął to bezmyślnie, w złości. Kiedy ochłonął i zrozumiał, że sam na siebie wydał wyrok, zmiękł, jakby wszystkie jego kości się stopiły, i powlókł się do swojej komnatki, do kancelarii.

Budynek koszar przypominał oborę, był długi i tak głęboko wkopany w ziemię, że dach niemal zakrywał całe pomieszczenie. Z boków było ciasno, z góry dławił sufit. Tak samo ścieśniający się jak zewnętrzne ściany, biegł przez zabudowanie korytarz, na który wychodziły drzwi wszystkich koszarowych pomieszczeń. W budynku panował nawet porządek, ale taki koszarowy, nie mieszkalny: żelazne łóżka niemal przyśrubowane do podłogi, gołe ściany.

Po tym korytarzu, w jego pustce, wlókł się do kancelarii Chabarow. Przykro będzie umierać, myślał sobie. I jeszcze myślał, że nic po nim nie zostanie. Żyli przed nim ludzie, juszkę za niego przelewali, a on spuści ją w czarne błocko. Taki z niego człowiek bezużyteczny, że naprawdę już lepiej zdechnąć.

Jak zamroczony wyciągnął się na łóżku. Zmuszał się do leżenia, udawał śpiącego, oszukiwał sam siebie, żeby zostać w kancelarii, nie wychodzić do

ludzi. A na dworze zmierzchało, nawoływania brzmiały coraz bardziej głucho, rozpływały się w wieczornej ciszy. Potrzeba chwyciła kapitana, niepowstrzymana. Stało w kancelarii wiaderko, takie na pomyje. Chabarow przymknął ze wstydu oczy i ulżył sobie w zupełnej ciemności. A jeszcze drżał ze strachu, że ktoś usłyszy.

Kiedy zastukano do drzwi, postanowił udawać śpiącego. Tamci nacisnęli mocniej na futrynę, zatrzeszczała.

– Towarzyszu kapitanie, ojczulku, żyjesz?

Chabarow bąknął:

– Tu jestem...

Za drzwiami rozległ się radosny szum...

– Kartofleśmy zwrócili! Tak jak kapitan mówił, z powrotem do ziemi, tam gdzie były. My tego... postanowiliśmy dobrze żyć z kapitanem, znaczy się – popajacowaliśmy i starczy.

Chabarow otworzył delegatom drzwi. Oni osłupieli. Wlepiali oczy w jego bose, posiniałe nogi.

– Widzicie, żyję.

Żołnierze dreptali w miejscu. Czekali.

– My, żeby po dobremu, kartofliśmy ździebko zostawili, te też zakopać?

Powiedział:

– Zeżryjcie, ale na więcej nie pozwolę.

Żeby pola znowu nie rozkradli, po obu stronach przywiązał na łańcuchach dwa mocne owczarki. Liczył na to, że złe, że ujadają głośno. Z rana na polu było pusto, po psach ani śladu, warzywnik znowu rozkopany. Uczta, którą wojsko urządziło nocą, krążyła chyłkiem po koszarach smakowitymi zapachami. Chabarow poznał się: piekli mięso i zagryzali kartoflami. Zabili owczarki, obdarli ze skóry, upiekli i zjedli, tak jakby bez żalu zniszczyli coś, co już nie nadawało się do użytku.

Ucztujący sami się zdradzali, bo z przeżarcia ich rozdęło. Chabarow jakieś pół kompanii wygnał w step, zakazując powrotu. Żarłocy pokręcili się po okolicy, ale jak zmarzli i zgłodnieli, to jednak wrócili, skarżąc się na

zimno i głód, domagając się należnych racji. Uciekać nie mieli dokąd. Klęli się na honor, że odtąd kraść z pola nie będą.

Wielu dotrzymało słowa, pogodzili się z sytuacją i nawet pomagali pilnować warzywnika. Otoczyli go drutem kolczastym, który tu i tam rdzewiał bez pożytku w ogromnych zwojach. A wielu znienawidziło to pole. Kartofle jednak zdążyły zakiełkować, dlatego w kompanii coraz więcej wojaków miało wątpliwości: jedzenia szkoda, ale i kiełki szkoda niszczyć, a może wszystko jakoś samo się ułoży, co ma być, to będzie.

Wybuchło suche stepowe lato. Ziemia przy kartoflanym polu była chłodna. Żołnierze przychodzili tam tłumnie, chroniąc się przed nudą i skwarem. Również więźniowie łagru wdrapywali się na dachy baraków, by być wyżej, nad zoną, i gapili się na bujną zieloną nać, a wydawało im się, że tam, daleko, widzą jakieś przedziwne sady. Regulamin zabraniał wchodzić na dachy, ale przepędzić z nich więźniów to było jak wysiedlić z nieba ptaki. Zeków złościło, że ochrona nawet takie wolne pole w stepie ogrodziła drutem kolczastym. I niekiedy step cichł, zagłuszony krzykami: „Jednej zony wam mało, wszystko chcecie odrutować!”, „A ty wyłaź, oddrutuj, jakeś taki odważny!”, „Nie pyskuj, psie, bo jeszcze się na wolności spotkamy!”, „Sadzilibyście swoje kartofle, ziemi dużo!”, „Z bałandy przybytku nie będzie!”, „No to wpieprzajcie waszą bałandę!”, „A wy swoje psie żarło żryjcie!”, „Samiście psy, nie złodzieje!”. Zdarzało się, że któryś ze strażników, żeby swoim pomóc, puszczał z wyżki serię z automatu, od której drżało powietrze. I wtedy z obu stron wybiegało spięte, nerwowe naczalstwo, a wojsko i zecy po obu stronach kryli się w mgnieniu oka.

Naczelnik obozu Wiłor Siniebriuchow i kapitan dowódca kompanii zwykle unikali się wzajemnie. Siniebriuchow gospodarował w łagrze już wiele lat, więc w porównaniu z nim Chabarow był ledwie tymczasowym mieszkańcem Karabasu. Jednak przez cały ten czas, kiedy wypadło im służyć razem, dwaj naczelnicy nie zostali dobrymi sąsiadami. Jeśli przypadkiem się spotykali, to patrzyli na siebie ze zdziwieniem, które bywa nawet dla człowieka obraźliwe, i dobrowolnie się rozchodzili, oddalali.

– Taki dureń i na wolności – mawiał naczelnik łagru, mając na myśli Chabarowa.

A dowódca kompanii dziwił się:

– Że też go jeszcze ziemia nosi!

– Ech, dobre kartofelki, ech, dobre! – cmokał Siniebriuchow, patrząc na pole. – Do nich by śledzika małosolnego, ech, wódeczki, chlebka czarnego... Jedni warzywnik założyli, inni zajadają, jeszcze innym w obozie roboty przybywa.

„A udław się, nie rozkradniesz, to ci nie twoja łagrowa fabryczka, łapowniku jeden – kłócił się z nim w myślach Chabarow. – Sadzać takich trzeba”.

Prawdziwe przerażenie budziło kartoflane pole w duszy Pieriehuda. Ten człowiek bał się wszystkiego, co przybierało nową postać, co się budowało czy choćby wyrastało. Bał się i zanudzał swymi żalami Chabarowa.

– Zginiemy wszyscy, ja to czuję. Coś ty narobił?! Oni, wilki, żywcem nas zeżrą, słyszysz? Wykopałbyś z powrotem, rzucił to wszystko... Już ja wiem...

Kartofle zakwitły. Chabarow chodził zrywać z kwitnących kartofli to skromniutkie piękno. Rozstawiał kwiaty w blaszanych kubkach po całych koszarach, żeby wszystkich cieszyły te tak długo oczekiwane wieści z ziemi, a żołnierze brali ukradkiem na ząb i spluwali, rozważając między sobą:

– A zapach jest?

– Nie ma, jak woda. Pożujesz... coś jak kwas.

Cichcem próbowali kopać. Chabarow nocami pilnował pola. Szkoda mu było kartofli. I lękał się: co będzie potem? Żeby nie tracić otuchy, mówił sobie: „Kapitanem jestem, najbardziej zdatną do boju jednostką”.

Szybko wprawił się w łowach na kartoflanym polu. Co noc, gotów do skoku, czyhał w naci na wroga, nie na człowieka. Raz złapał Kałmuka, swojego żołnierza, ogłuszył go, huknął łbem o ziemię, żeby się nie szarpał, pogrzebał mu w łachach i wytrząsnął drobne jak groch kartofelki, po czym

powlókł złodzieja za włosy jak padlinę, żeby go za polem rzucić. I nagle zamarł, zdał sobie sprawę, że z wyrwanych kartofli nic nie wyrośnie, nic się już nie zwróci. Złość w nim opadła, osłabła, pomyślał: „A czemu ja ludzi zabijam?... Człowiek nic oprócz życia nie ma, a przecież ja życie mu odbieram!”. Podniósł Kałmuka, na własnym grzbiecie powlókł, sam nie wiedząc, dokąd go niesie, byle tylko tamtemu lżej się zrobiło.

Potem, jeśli nawet chwytał ludzi, to żeby przynajmniej nie rozdeptywali tego co posadzone, a złapanych bez słowa przepędzał. Zdarzało się, że krzyczał wśród nocy: „Dajcie im siły nabrać, wyrosnąć! Zaczekajcie! Miejcie litość!”. I zdarzało się, że te nieoczekiwane nocne wezwania wstrząsały najbardziej obojętnymi właśnie dlatego, że były takie niespodziewane, toteż sami się całkiem zdradzali, odzywając się: „A my nic, my tylko chodzimy sobie koło pola!”.

Po letnim przesileniu i porze kwitnienia nie dawały ziemi spokoju deszcze. Poczerniała na węgiel, stała się ciężka niby zalane pogorzelisko. W taką pogodę ptaki bały się latać i z opuszczonymi głowami przechadzały się po mokrej ziemi. A między jednym deszczem a drugim odlatywały do ciepłych krajów, ciężko wymachując mokrymi, jakby wykutymi z żelaza skrzydłami.

Ciężko było też Chabarowowi. Kiedy jaśniało słońce, cieszył się, że kartofle grzeją się w jego cieple. A kiedy lały deszcze, cieszył się, że do woli napiją się wody. Nie wiedział jednak, kiedy należy je wykopywać, jakby musiało to się stać w jakiś jeden jedyny dzień, jak śmierć albo narodziny.

W kompanijnej kancelarii było ciemnawo, światło jakby rozrzedzone. Myszy, bez lęku spacerujące po podłodze u stóp Chabarowa, piszczały jednak jakoś tak wyjątkowo żałośnie i strachliwie. Kapitan w Boga nigdy nie wierzył, ale nagle na środku kancelarii padł na kolana i głośno Go wezwał. Nie modlił się, pokłonów nie bił, od urodzenia tego nie umiał, tylko wyprężył się jak szczery wiarus na przeglądzie i zameldował najpierw, że w całym wielkim kraju nie ma innych kartofli jak zgniłe. Po czym zamilkł na chwilę, wstrzymał oddech i poprosił: „Jeśli rzeczywiście

istniejesz, to pomóż, jeśli to możliwe, mojej kompanii zebrać jak najwięcej kartofli. Ja za to i wierzyć w Ciebie zacznę i życiem odpłacę, jak będzie trzeba”.

Może to myszy drapały i szurgotały, ale kapitanowi zdało się, że do pustej kancelarii przesączył się szept, taki cichutki, że aż dech mu odebrało od niespodziewanej żałości. Tak bardzo żal było Chabarowowi samego siebie w tej jasnej ciszy, która go nagle otoczyła. Więcej już nic nie słyszał, całkiem jakby ogłuchł. A zauważywszy w oknie pierwsze promienie zorzy, pomaszerował na kompanię budzić żołnierzy.

Budził każdego z osobna, namawiał do wstania.

– Wstawaj, synku, no... pomóż mi ostatni raz, bo ja więcej nie mam nikogo.

Wojacy na siłę podnosili się z prycz. Ożywieni chłodem sierżanci surowo komenderowali resztą tak, że nawet żaden szmer się nie rozległ.

Kompania dotarła do pola i czekała, aż rozwieje się mgła. Kapitan z tajonym cierpieniem oglądał grzędy kartofli i ziemiste jak one, ponure oblicza żołnierzy.

– No, jazda... – Machnął ręką i rozesłał ich w ciszę przedświtu po ciemnych rubieżach pola.

Głębokie sapanie łopat ożywiło nieruchomą pierś ziemi. Żelazny zgrzyt i brzęk wpadły w wystudzoną ciszę, a ta rozprysła się pod ich ciężarem, dławiąc serca ludzi żałośliwym chłodem. Wystarczyło szturchnąć grzędy, a kartofle od razu hurmem ruszyły z nich do szturmu. Żołnierzom rąk nie starczało, żeby je wyrywać i sypać w worki. Porażony takim zwycięstwem kapitan brodził po zrytym polu z dala od wszystkich. Żołnierze już wlekli do koszar pękate worki z kartoflami, jak towarzyszy, którzy padli w boju.

Potem przy wtórze szumiącej wody myli poczerniałe ręce. Zrzucali z siebie oblepione błotem kombinezony, wszystkim wydano czystą bieliznę.

Boso, w podkoszulkach i portkach, siedli przy pustych stołach z desek, nie czując ani chłodu, ani głodu, niczym śnieżne bałwany. Pachnące jeszcze ziemią kartofle kazano smażyć, a że patelni brakowało – gotować

w kotłach, przyprawiając topionym tłuszczem. I potem, kiedy już nadchodziła noc, zaczęła się ta wieczerza – dymiące jeszcze kartofle ginęły w ciemnych czeluściach porykujących gąb.

Na koniec każdego przeżytego dnia kapitan miał obowiązek zadzwonić do pułku i odmeldować się krótką, zawsze taką samą informacją. Odbierali ją dyżurni oficerowie pułku, sami rzadko o czymkolwiek informując, chyba że byli jego znajomymi. Łączność przypominała to, co działo się z zaopatrzeniem: najpierw do pułku się dzwoni, uprasza się o rozmowę, a potem i tak zaopatrują wedle własnego uznania.

Telefon, czarny, ciężki, ze słuchawką zakończoną dwoma potężnymi kułakami, wyglądał surowo i oficjalnie. Pieriehud, którego pijaństwo uczyniło człowiekiem przesądnym, wierzył całkiem szczerze, że przez ten telefon podsłuchuje się wszystkie rozmowy odbywające się w kancelarii, i dlatego tutaj prawie nigdy nie klął. Kapitan Chabarow też niekiedy dręczył się, patrząc na telefon. Chociaż to urządzenie służyło do poważnych rozmów i miało charakter służbowy, tym bardziej ręce swędziały, żeby odkręcić tę czarną obudowę. Co siła jednak, to siła: obudowa była zrobiona z najmocniejszego stopu, jakby ją wyciosano z czarnego kamienia, może nieśmiertelna.

Czas obowiązkowego telefonu dawno minął. Dziwnie było myśleć, że w pułku mogliby dać Karabasowi spokój. Wiedząc to, kapitan postanowił przedłużyć ten dzień, jak tylko się da, i niczego nie meldować. Najchętniej by wszystko ukrył. Kartofle wyhodowane z przydziałowych, dowiezionych, tak czy owak podlegały sprawozdawczości, były państwowe. Chować je w ziemi było łatwo, ale teraz kapitanowi zrobiło się nieswojo. Zaplątał się beznadziejnie, opadł z sił – i nagle telefon sam zaterkotał w kancelarii, wydając z siebie bulgocące dźwięki.

Dzwonek nie cichł, wciąż bulgotał, napełniając Chabarowa takim samym bulgocącym drżeniem. Kiedy nie mogąc znieść tej tortury, kapitan zerwał słuchawkę z widełek, usłyszał babski wrzask telefonistki:

– Szósta, szósta, towarzysza Chabarowa osobiście!... Chabarow? Proszę czekać, łączę, będą z wami mówić.

Coś zatrzeszczało, wdzierały się też jakieś inne głosy, ale wkrótce pociekła po drutach głucha, głęboka cisza. Bez ruchu, w rozterce, czekał kapitan z pół godziny. Było i tak, że próbował dmuchać w ogłuchłą słuchawkę i postukiwał w nią, żeby sprawdzić, czy coś się nie zepsuło, ale z daleka przywołano go do porządku:

– Nie dmuchajcie, towarzyszu Chabarow, co wy, nie rozumiecie, z kim będziecie rozmawiać? Możecie poczekać!

Sprawa przybierała obrót dziwny, by nie powiedzieć – tajemniczy: kapitan nagle zdał sobie sprawę, że rzeczywiście nic nie rozumie, działo się coś, czego nigdy dotąd nie było. Potem z daleka doniesiono mu:

– On jest jeszcze zajęty, czekajcie.

Kapitana mróz przeszedł, jakby go gołego wystawiono na widok publiczny. A potem cisza się rozstąpiła i wstrząsnął nim niosący się z góry potężny głos:

– Chabarow?!

– Tak jest, kapitan Chabarow.

– A ja wiem, żeś ty kapitan. No jak, ciągle śpisz?!

– W żadnym wypadku, służę.

– Patrzcie go, on służy. A co tam u ciebie za kartofle, co tam u was za burdel się robi?!

Oszołomiony doszczętnie, wypalił:

– Pozwólcie zameldować... Kartofle zebraliśmy, są wszystkie, jak się należy!

– Patrzcie go, cwaniaka, istny bohater. A czemu bez rozkazu, co z ciebie za jeden? Dowódca pułku?

– Nie śmiałem, moja wina...

Głos zabrzmiał łaskawiej:

– Bzdury. Znam ja was: jak nie złodziej, to bałwan. A coś ty wymyślił? Odpowiadaj!

– Ludzi nakarmić chciałem, głodują.

– Czekaj, jak to tak?!

– Żołnierze samą kaszą żyją, w dostawach zgnilizna, stęchła świnina. Za pieniądze niczego się nie kupi, ze składnicy wojskowej nie przyjeżdżają.

Głos zaklekotał:

– A czemu ty ludzi morzysz, czemuś nie meldował? W pułku stan rzeczy znają?!

– W całym pułku jest tak samo.

– A dowódcy pułku meldowałeś?

– W żadnym wypadku.

– No właśnie, właśnie! Taki skandal, a oni cierpią, milczą. To ma być pułk? Gówno nie pułk. Patrzcie no, głodem morzą, no jak to? Jak tak, to dla mnie sprawa jasna, zuch z ciebie, kapitanie. Kartofle, powiadasz? No to w samą porę, popieram.

– Tak jest... – wyrwało się Chabarowowi. – Żebym to ja gospodarstwo mógł zaprowadzić...

Głos ochłódł i oddalił się.

– Patrzcie go, cały plan obmyślił... No dawaj, wykładaj, co to za gospodarstwo, posłucham, ja to lubię...

– Ziemi mamy wiele. I sobie, i innym można pomóc. Wszystko własne można mieć: i mięso, i warzywa, i jabłka, jeśli sad założyć.

– To coś niby ogród? – Głos złagodniał ze zrozumieniem. – Słusznie, niech orzą, darmozjady, wszystko im, kapujesz, do gęby kładź! To ja popieram, popieram... Proste, kapujesz, ale z głową. A nakłady jakie?

– Wcale nie ma, samo rośnie. Może deski będą potrzebne, jak wypadnie budować chlew albo spichlerz. Gdyby mi tylko rozkaz dali i zezwolenie na ziemię.

– No, zuch! Patrzcie no, wykombinował! Co tam rozkaz... Tysiąc rozkazów możesz dostać. Dowódca pułku przecież człowiek, wszystko zrozumie, a ty się rozwijaj, będą rozkazy, będą deski. Trzeba, trzeba więcej jarzyn i owoców dla ludzi, rozumiesz, im więcej, tym lepiej.

– Tylko mnie na emeryturę wypada, mogę nie zdążyć – wtrącił Chabarow.

I głos się oburzył:

– Jeszcze czego! Takiego chłopa na przepadłe? Nie dam! Jak tam chcesz, a będziesz służyć do usranej śmierci. No, bywaj. Ja co do ciebie wszystko wyjaśniłem, teraz czysty jesteś. Czekaj. Ja ten pułk do góry dnem wywrócę, już oni mi pobiegają!

Słuchawka zahuczała, a potem znów zapadła potężna cisza. Aż wdarł się w nią wrzask telefonistki i zepchnął kapitana jak z nieba na ziemię.

– Szósta, łączności więcej nie będzie, odłączam.

– Siostrzyczko, kochaniutka, zaczekaj, a z kim ja rozmawiałem?!

– No cyrk po prostu... Z generałem!

Chabarow długo trzymał w rękach słuchawkę, zanim ją położył. Nawet nie zauważył, że do kancelarii zaglądają przestraszone mordy, że drzwi są od dawna na oścież otwarte i na progu wsłuchuje się, wpatruje w to, co się dzieje, stłoczone jak na pokazie wojsko.

– A z kim kapitan rozmawiał?

Odwrócił się powoli, zaskoczony zobaczył ludzi i jakoś samo mu się powiedziało:

– Z generałem...

Kapitana chyba zdziwiło, że ludzie tak bez słowa mu uwierzyli. I była to prawda: wojsko zamilkło, a jego oparzyły zawistne spojrzenia.

– Wszystko będzie inaczej – powiedział radośnie Chabarow. – Wszystkim będzie dobrze. Wszyscy będą syci.

Nikt się jednak nie ucieszył, wojsko powolutku zaczęło się rozchodzić. A odszedłszy nieco dalej, żołnierze szeptali do siebie:

– Po coście, sucze syny, do prokuratora pisali?

– A kto mógł wiedzieć, że dojdzie, że tak wprost na generała wpadnie?

– My pisali, wy wiedzieli, a polegniemy wszyscy. Co mądrzejszy, to mówił, że do samego korzenia trzeba je... to całe pole. A wy się grzebaliście

na własną zgubę, czekaliście!

– Chłopaki, a może go stąd odeślą?

– Jasna sprawa, awansują gada. Tylko porządnie orać dla niego musimy, żeby awansowali. On na nas wszystkich się teraz zemści, wkurwi się!

– Żeby więcej nikt nie kablował, to dla wszystkich nauka. Taką prawdę, co więcej warta, niż sama kosztuje, to ja w trumnie widziałem.

A kapitan resztę nocy woził się z kartoflami. Worki upchali w budce z desek. Zimą trzymano w niej psy, ale przeznaczona była też na potrzeby gospodarstwa. Całą zinwentaryzowaną własność – pęknięty czerpak czy zdarte buty – zwalało się do budki, narosły tego całe stosy. Inaczej mogło powstać podejrzenie: jak czego nie ma w wykazie – pokrywaj koszt zużycia. W budce była lampka elektryczna i mocna kłódka, razem kosztowały tyle, co wszystkie przechowywane w niej rupiecie.

Potykając się, obijając głowę, kapitan żałował, że nie ma dla kartofli porządnego składu. I złościł się, przysięgał sobie, że zatelefonuje i zamelduje, żeby z budową nie zwlekać. Wojsko taszczyło kartofle. Chabarow przestawiał worki, żeby tworzyły prosty szereg, wyrównywał nawet te, które już stały na swoich miejscach, jakby bał się okazać bezczynność. Potem, kiedy został w składziku sam, wysypał kartofle z kilku worków i dla porządku zaczął je sortować na duże i drobne: do jedzenia zostawiał te drobniejsze, a na przyszłość odkładał większe, najcięższe bulwy. Już marzyło mu się wyhodowanie takich samych.

Szybko się umordował, ale przymuszał się do gorliwego przebierania kartofli, chociaż wypadały mu z rąk, a jego słabo widzące oczy niezbyt odróżniały duże od małych. Kiedy zaś położył się na łóżku, obce ciało odłączyło się i zasnęło, a głowa mimo to wciąż jeszcze niespokojnie rozmyślała o gospodarstwie pomocniczym.

Rozdział trzeci

Towarzysz Skripicyn

W nudny, jakby przeglądający się w deszczowej kałuży poranek wjechała na dziedziniec koszar, potrąciwszy o skrzydło odrapanej bramy, pułkowa ciężarówka – porykując i pobekując, z pustym brezentowym brzuchem, ale ociężała od podskakiwania po stepowych bezdrożach... Na dziedzińcu ssał zaślinionego papieroska dyżurny, Tatarczuk z obwisłą wargą, do której miał przylepionego peta okadzającego jego niemytą gębę białym dymkiem. Podniósł się, patrząc z ukosa na ciężarówkę, głębiej i częściej zaczął zaciągać się gasnącym papierosem. W butach na bosą nogę, w bieliźnie, Tatarczuk z chytrym uśmieszkiem przyglądał się maszynie, która przystanęła przed gankiem. Ten przyjazd odbył się w niezwykłej ciszy. Owczarki w łagrze milczały, chociaż zwykle, kiedy tylko poczuły obcych, rozdzierały Karabas wściekłym ujadaniem. Tatarczuk gapił się na maszynę jak na dym i tylko dlatego się nie przestraszył, kiedy z tego dymu, czyli z ciężarówki, nagle wyleźli ludzie.

Najpierw zobaczył prawdziwego chwata, jednego z tych wielkich i mocnych rosyjskich żołnierzy, których dobiera się do służby bezpośrednio przy dowództwie. Za tym chłopiskiem wylazł jednak wcale nie oficer, tylko chorąży w szarych naramiennikach. Szynel nie zdobił tego człowieka, tylko wręcz obnażał całą jego niezgrabność: wisiał na przygarbionych ramionach i tam, gdzie miał ukrywać zad, opinał go, a ten wypiętrzał się jak góra, pierś zaś i brzuch były zapadnięte. Był to osobnik niewysoki, poły jego szynela niemal ocierały się o ziemię i Tatarczuk głupio się uśmiechnął.

– Gdzie się ludzie podzieli?! – zawołał niespokojnie chorąży.

– A śpią – powiedział Tatarczuk, kuląc się z zimna na wietrze.

– A gdzie kapitan wasz, Chabarow?!

– Też śpi, u nas wszyscy śpią.

– A ty, ty... dlaczego nie oddajesz honorów starszemu stopniem?

– U nas nikt nie oddaje, taka już ferajna

– Co za bałagan... – burknął chorąży. – Gdzie ten stary bałwan telefonował...

Patrzył na Tatarczuka z ciekawością i jednocześnie z obrzydzeniem, jak na schwytaną wesz. Był zmęczony, a jego słaby, zdławiony głos wydawał się niemal serdeczny, chociaż przyjezdny spoglądał i wokoło, i na Tatarczuka raczej zimnym wzrokiem. Widać było, że jechał nie jeden dzień, tylko dłużej, w szare sukno jego szynelu wżarł się kurz drogi.

Chorąży nie wytrzymał bez ruchu, przeszedł się po pustym, grząskim podwórzu. Tatarczuk przykleił się do niego i człapał za nim po błocku.

– Ktoś ty taki, po coś do nas przyjechał? Posiedzisz u nas?

Ale chorąży na pytania nie odpowiadał, jakby ich nawet nie słyszał, tylko sam się dopytywał:

– A co tu się u was naprawdę dzieje?

– Nie wiem, normalnie – zdziwił się Tatarczuk. – Nic się u nas nie dzieje.

– Ale dlaczego wszyscy śpią?

– Nie wiem, mnie to wisi, dobrze mi samemu.

– Są jeszcze w kompanii jacyś oficerowie oprócz Chabarowa?

– Nie wiem, jedni są, innych nie ma. Normalnie polityczny był, Wieliczko, ale jego nie ma, do zony go wsadzili. Jest Pieriehud, pijany śpi, nie wiem gdzie, może jest, może go nie ma. A Chabarow śpi, to go nie budzą, do niego wczoraj, wiesz, generał dzwonił. Niedługo, powiadają, Chabarow od nas wyjedzie, generał go zabiera. A ty co, nowym naszym dowódcą będziesz?

Chorąży nie odpowiedział i Tatarczuk się obraził, zorientował się, że tamten mu nie wierzy.

– No przecież wszyscy słyszeli, niech ja skonam, sam generał dzwonił!

Przybysz, rozglądając się po opustoszałym podwórzu, przekonał się już, że naprawdę jest nieoczekiwanym gościem i nikt nie szykuje się go witać. I coraz bardziej zły, wyładował się na chwacie, który ciągle jeszcze przestępował z nogi na nogę przy ciężarówce.

– Sańka, długo jeszcze jak słup będziesz sterczał?!

Ów Sańka podskoczył, wyprężył się, przepędził Tatarczuka.

Chorąży nie podnosił wzroku, stał, patrzył w ziemię, a drągal czekał pokornie.

– Wiesz, Kałodin, ja pójdę, przejdę się. A ty nie spuszczaj oczu z tej tutaj szopy, nikogo do niej blisko nie dopuszczaj, to jest dowód rzeczowy. I nim ja wrócę, postaw kompanię na nogi, zbierz ich na dworze, uszykuj, niech czekają.

Żołnierz nic nie odpowiedział, pewnie dlatego, że był nauczony wypełniać wszystko w milczeniu, na jedno słowo zwierzchnika. Chorąży okrążył drewnianą szopę, która go zainteresowała, a potem skierował się do budynku kompanii. Szedł nieśpiesznie, zaglądał we wszystkie okna. A kiedy skrył się za bardziej oddalonym węgłem, Kałodin odwrócił się do Tatarczuka, lecz ten nagle sam podskoczył do niego i krzyknął wyzywająco:

– A ty, bratku, co?! Daj zapalić, bo zarżnę!

Kałodin z rozmachem uderzył go pięścią. Tatarczuk zwalił się na ziemię, przyciskając ręce do rozbitych warg, a drągal powiedział do niego beznamiętnie:

– Wstawaj... Kto ma dyżur w kompanii? Słyszałeś: pobudkę rozkazali.

Tatarczuk turlał się po ganku, wyjąc:

– Capie jeden, coś ty zrobił, ząb mi wybiłeś, uj!

Kałodin chwycił go za ożydle i mocno potrząsnął.

– Kto dyżurny, pytają cię!

Wściekły, zamachnął się znowu i Tatarczuk jeszcze głośniej zachlipał, wytrzeszczając na niewiele odeń starszego dryblasa zdziwione, przerażone

ślepia.

– Idź, mordę przemyj. I budź swoją ferajnę, słyszałeś, co powiedziano. Mają wstać i ustawić się w dwuszeregu na dworze.

Niedługo potem na dziedzińcu stłoczyło się pod nadzorem Kałodina skołowane wojsko. A obok draba siedział na ganku umyty, zapięty już na wszystkie guziki Tatar, budząc w kompanii zawiść i głuchą złość. Z ważną miną palił papierosa podarowanego mu przez Kałodina i z równą powagą spluwał po każdym zaciągnięciu, starając się, żeby doleciało do kumpli. Żołnierze uchylali się w milczeniu i tylko najodważniejsi obrzucali go z daleka przekleństwami. W kompanii już przedtem unikano Tatara, bano się jego wariactw, a tym razem całkiem już wszystkich przeraził, budząc przeraźliwymi rykami koszary i każąc każdemu dotykać wybitego zęba.

– O, jaka siła! Mnie nikt zęba nie mógł wybić, a on mógł! – chwalił się i teraz Tatarczuk, wypraszając u Kałodina jednego papierosa za drugim. A otrzymawszy, zazdrośnie przeganiał tych, którzy w imieniu kompanii próbowali zaopatrzyć się w tytonik u przyjezdnego kumpla. Nadymał się i syczał do tych cwaniaków: – Na krzywy ryj się zachciało! Mnie on ząb wybił, a tobie co?

– I tak im nie dam – wtrącał się Kałodin.

– Dobrze, Sasza, im nie dawaj, ja wezmę. Wiesz, jak mnie bolało? O, patrz, teraz wyrwa będzie na całe życie.

Przypomniawszy sobie wyrwę, milkł, po cichu wiercił w niej językiem, a z oczu same z siebie płynęły mu łzy. Był urażony, na dodatek go bolało. Nie mógł w żaden sposób pogodzić się z tym, że już nie ma zęba. Wyciągał żółty, przepalony ułomek z kieszeni i próbował go wlepić w ziejącą wyrwę.

Powrotu chorążego nikt nie zauważył, pojawił się tak samo bezgłośnie jak przedtem, z drugiej strony, przeszedłszy naokoło stepem. Tłum niepewnie się poruszył, ludzie kręcili głowami, rozglądali się, myśleli, że trafili w zasadzkę.

– Chłopaki! – krzyknął nagle jeden. – Przecież to Skripicyn, dochodzeniowiec pułkowy, to on mnie załatwił.

Kałodin natychmiast wstał na powitanie dowódcy. A Tatarczuk znów napędził ludziom strachu, bo zerwał się i zasalutował tak, że wojsko wstrzymało oddech, chociaż honorów dochodzeniowcowi nie oddało.

– Towarzyszu Skripicyn! – wyrwał się czerwonomordy żołnierz. – Prichodźko jestem, pamiętacie? Przesłuchiwaliście mnie, kiedy do składu zalazłem.

– Nie, nie pamiętam...

– Jakże to, przesłuchiwaliście i nie pamiętacie? Zeszłego roku to było, wyście mnie tu przecież wpakowali, ja do składu zalazłem, Prichodźko jestem...

Skripicyn milczał i tylko wściekle błyskał oczyma.

– Kapitan ichni śpi – zameldował pośpiesznie Kałodin. – Sam się nie budzi, a budzić bez was nie kazałem.

– Dobrze – odpowiedział Skripicyn. – Aktówkę w ciężarówce zostawiłem, przynieś.

Aktówka, którą przyniósł swojemu dowódcy Sańka, była najzwyklejsza, z tych, co to i właściciela czynią niepozornym, smętnym. Wytarta, jakby przeciągnięto ją szmerglem, dawno utraciła regularny kształt, wyraźnie odsłużyła już swoje lata, co nadawało jej złowieszczy wygląd. Podobna była do pudła, przystosowana raczej do przenoszenia ciężarów niż papierów. Stojąc z nią na ganku, górując nad wszystkimi, również sam Skripicyn w mig przybrał nową postać. Coś ciężkiego, upakowanego uwidoczniło się w jego przygarbionej figurce i w rękach podobnych do wioseł. On dalej prawie nie patrzył na ludzi, tylko kręcił na boki pochyloną głową, nie mrugając, z nieruchomym wzrokiem, ale kiedy nagle spojrzał prosto, zaskakiwał zupełnie i teraz już z ciekawością, z obrzydzeniem lustrował zebranych, niczym się nie krępując. Był to wzrok głupi, ale i straszny. Z tą aktówką Skripicyn stał się nagle podobny do felczera, takiego, jacy trafiają się w zapadłych wojskowych lazaretach urządzonych na podobieństwo suszarni czy baraku, gdzie nawet jeśli leczą, to kaleczą. A jak chodzą z torbą, to w niej nie mają nic, tylko komplet pił i młotków – ot, całe instrumentarium.

– Pilnuj, żeby się nie rozbiegli, mogą być potrzebni – powiedział Skripicyn do Sańki, ruchem głowy wskazując dziedziniec. – I żeby nie podchodzili do szopy, będzie bezpieczniej.

Odwróciwszy się tak ciężko, że mało kozła nie wywinął, wszedł do budynku kompanii i przepadł w jego czeluściach, nawet nie pytając, dokąd prowadzi korytarz, jak swój człowiek, który w tym wnętrzu wszystko zna.

Oficerów wydziału specjalnego w pułku i znano, i nie znano. Na tysiąc „niespecjalnych” przypadało ich raptem około dziesięciu, razem z tymi żołnierzami, którzy pełnili funkcje pomocnicze, dlatego łatwo było tej dziesiątce się ukryć. W specjalnym żyło się własnym, utajonym życiem, wedle własnej rachuby czasu, za zamkniętymi na głucho ścianami, dokąd z zewnątrz przedostawało się tylko błoto na podeszwach. I jeśli człowiek podczas swojej nieskazitelnej służby trafiał na nich nos w nos, to chyba tylko w wychodku. Wychodek był jeden na cały pułk i gdy nagle okazywało się, że nad sąsiednią dziurą zwiesza zadek jakiś obcy człowiek, to był to ktoś z wydziału specjalnego, „specjalny”.

Za drzwiami kompanijnej kancelarii było cicho, Skripicyn mógł słyszeć tylko swój oddech. Upewniwszy się, że kapitan rzeczywiście śpi, zastukał głośno, żeby go obudzić, i odtąd stukał już nieprzerwanie.

W tym, że budzi śpiącego człowieka, nie było nic dziwnego, ale Skripicyn zachowywał się tak, jakby włamywał się do kancelarii. Zbudził Chabarowa i widać mocno go nastraszył, bo kapitan pośpiesznie otworzył drzwi i znalazł się na zimnie półgoły, a Skripicyn w szynelu nie od razu wszedł do środka. Podreptał trochę w miejscu, nie wiadomo dlaczego odczekał dłuższą chwilę, a potem jednym krokiem pokonał próg i już w kancelarii zwrócił się do kapitana:

– Zimno tu u was, piec byście sobie sprawili czy jak, skoro tu mieszkacie.

Skripicyn podszedł do biurka tak, jakby je specjalnie dla niego przygotowano, i zaczął się przy nim pośpiesznie instalować, wydawało się, że chce usunąć wszystkie cudze rzeczy: postawił na blacie aktówkę i już

rozpinał szynel, chociaż sam wspomniał, że zimno. Nie odwracając się, zajęty guzikami, mamrotał:

– Ja do was służbowo przyjechałem, powinni byli was zawiadomić, można powiedzieć: poinformować, no więc ja w tej sprawie przyjechałem, będę badał...

Zaspanemu Chabarowowi chorąży wydał się jasny, obmyty, jakby wysokiej rangi, stał więc urzeczony jego jękliwym, rozżalonym głosem, ale nagle coś sobie skojarzył i krzyknął:

– Toć wy od towarzysza generała! − Zatrzasnął drzwi, chwycił buty, rzucił się do swoich spodni i kurtki. – No proszę, dotrzymał słowa, no cuda! – Miotał się, potrząsając w radosnym wzburzeniu całym swoim umundurowaniem. A kiedy spojrzał w okno, cofnął się raptownie, jak oślepiony. – Co to... Ciężarówkę przysłali?! On mi obiecał, obiecał, wszystko, powiada, przyślę, a ty się rozwijaj!

Skripicyn, początkowo całkiem zaskoczony tym, co usłyszał, poruszył się, usiadł na krześle i zapytał:

– No i co, jak tam on, ten generał?

– Taki człowiek, taki człowiek! I wypytał, i wniknął... Niby daleko, a wszystko wie, jakby obok stał! Aż dziw... Inny to z flakami człowieka zje, a ten na słowo wierzy, chwali...

Chabarow pokrzykiwał, biegając po kancelarii, przez co stała się ciaśniejsza. Skripicyn dla odmiany zrósł się z krzesłem, zesztywniał.

– Chwalił, powiadasz? – wyrwało mu się.

Kapitan się zmieszał, poprawił kurtkę.

– A co, czy kartofel to kamień, że nie można pochwalić, jak się wyhodowało?

– Pierwszy raz słyszę, co wy mi tu nawijacie – powiedział specjalny, jakby wyrąbał. – Skripicyn jestem, z wydziału specjalnego, chociaż wy to wiecie, wy wszystko wiecie, towarzyszu Chabarow, nie udawajcie idioty, nie wciskajcie mi więcej kitu o generałach.

Kapitanowi opadły ręce. Usiadł na posłanym łóżku i znalazł się dokładnie na wprost Skripicyna, który patrzył na niego, krzywiąc się kwaśno.

– No, jeśli wydział specjalny... A to nie generał was przysłał?

– No, Chabarow, wystarczy, to już nawet nie jest śmieszne.

– Ja tam nie wiem, co jest w wydziale specjalnym śmieszne. Jak tu przyjechaliście, to po co?

– Myślałem, że zebraliście myśli, że tak powiem, uświadomiliście sobie. Myślałem, szybko wszystko załatwimy. Ale widzę, inaczej skorzystaliście z czasu pozostawionego wam na rozmyślania. No to zaczniemy. Jak tak, to zaznajomcie się, obywatelu.

Skripicyn sięgnął po aktówkę, zajrzał do środka i wsunąwszy w nią rękę niemal po łokieć, rozgrzebał ciemne trzewia i wyciągnął tekturową teczkę, jedną z takich, w jakich lęgną się „sprawy”. Wydawała się chudziutka, całkiem jakby z bezczynności. Pod tekturką schło kilka papierków, podobnych do zdartych z kogoś skórek. Skripicyn odpiął je, z surową miną podał kapitanowi, a już całkiem pustą aktówkę odsunął na bok.

– A to po co?

– Przeczytajcie, to się dowiecie.

– No ale powiedzcie mi, ja i tak zrozumiem, głuchy nie jestem...

– Co to, i czytać się oduczyliście? – uśmiechnął się specjalny.

– Nic, tylko się śmiejecie – bąknął kapitan i rozgoryczony wziął wszystkie papiery naraz.

Nie przywykł czytać o sobie, zrozumieć papier, który go dotyczy, było mu trudno, jakby szukał czegoś po ciemku. Dlatego przy Skripicynie zaczął czytać na głos, po prostu, czym nieoczekiwanie go uraził, a wreszcie udręczył, bo nagle zmusił go do wysłuchania treści donosów. Skripicyn upadł na duchu, wydało mu się, że to czytanie kapitan urządził po to, by się nad nim poznęcać. Ten czytał jednak ponuro, dla siebie, nie zwracając uwagi na dochodzeniowca. Miejscami zacinał się i zaczynał od nowa, dogadując przy takich okazjach ze zdziwieniem:

– A to kurwy!

Skripicyn musiał bez słowa słuchać nieskrępowanych, głośnych rozważań kapitana i z osłupieniem zauważył, że on wcale się nie boi tych zapisanych zdań, tylko czyta je wszystkie bez pośpiechu, z przerwami. Kiedy już przeczytał, w milczeniu rozłożył papiery na stole, ale widząc, że śledczy niczego nie rozumie, skomentował:

– Ten pisał Siniebriuchow, naczelnik łagru. A ten – ci, co u mnie w kompanii służyli. A ten to nawet nie wiem... Ode mnie wielu żołnierzy do Dolinki uciekło. Jedni latem uciekają, inni może wiosną, z głodu.

Znów usiadł na łóżku i spokojnie, wyraźnie oznajmił:

– Przypomniałem sobie, był u mnie naczelniczek wasz specjalny, Smierszewicz, też papierki wpychał, bezczelny chłop.

Nie wiedział, o czym jeszcze ma rozmawiać ze specjalnym, ale krępował się z miejsca go wywalić, skoro ten już przyjechał.

– No co, pamięć wraca? – powiedział Skripicyn. Chciał, żeby rzeczywiście tak było. – A Smierszewicza już nie ma, przykro mi, spalił się.

– Znaczy, nie powstrzymał się, spisali go na straty – wtrącił niechętnie Chabarow.

– A nie, zwyczajnie się spalił, w ogniu! Zeszłej zimy... nie zauważyliście?... był w pułku pożar. U was życie jakby inne... Jak piec sobie sprawicie, to lepiej postawcie na blachę. Zdarza się, że iskrzy. A może nie orientujecie się, kim jestem? Jeśli chcecie wiedzieć, to ja w wydziale specjalnym jestem główny, po Smierszewiczu przyszedłem.

– Chorąży... – przyjrzał się Chabarow.

– Starszy chorąży – poprawił go Skripicyn i z chłodną miną sięgnął po tekturową teczkę. – No, jeśli już pamięć wam wróciła, to zaczniemy protokołować, przepraszam, ale wieczór wspomnień skończony.

Chabarow nagle się obruszył, takiego obrotu sprawy się nie spodziewał, nawet nie umiał zrozumieć, czego od niego chcą.

– Co znowu protokołować? Siniebriuchow łgarstwa nawypisywał. A żołnierzy ode mnie do dolinkowskiego obozu wielu zbiegło. Tego

Rachmatowa nie pamiętam, ale jeśli uciekł, to prawda. W Dolince i służba lżejsza, i karmią lepiej, dlatego właśnie do mnie najbardziej beznadziejnych przysyłali, jak za karę. A dać mi czas, to z powrotem przylecą, bo u mnie teraz przyjemniej. Z Dolinki karny batalion zrobią i co, polecisz tam ichniemu dowódcy protokoły pokazywać?

Z układnością, którą można było wziąć za objaw zaufania, Skripicyn odpowiedział:

– No dobrze, z protokołem zaczekamy, a może i bez protokołu się obejdziemy... Ja przecież was rozumiem, towarzyszu Chabarow, można powiedzieć: podzielam... No, ale jak sądzicie, w czym widzicie przyczyny takiego opłakanego położenia?

– Ja mówię: jestem niewinny! – bez namysłu odparł ostro Chabarow.

– A kto przeczy? – osaczał go Skripicyn. – Moja rzecz winnego znaleźć. Może to dowódca pułku winien, moja rzecz prawdę ustalić.

Kapitan oznajmił zapalczywie:

– Ja i w oczy powiem, że wszystko u nas przegniłe.

Skripicyn nastroszył się:

– No, jeśli u nas... Jeśli przegniłe... Jasna rzecz.

– Ja tam już nie wiem, zaplątałem się... Wszystko jedno, ja jestem niewinny. Ludzie najedzeni, ani kartofelka nie brakuje, idź sprawdź, wszystko jak u Pana Jezusa za pazuchą...

– Ja wam wierzę. Tak właśnie napiszcie, co w pułku się wyrabia. Ja papier odeślę gdzie należy, wkrótce ma być dla wszystkich jakaś inspekcja. Rozpatrzą się, gdzie prawda, kto winien. A na razie będę was krył, ale i wy mnie nie zawiedźcie.

– Zameldуję, napiszę, a niewinnego człowieka wsadzą. – Chabarowa ogarnęły wątpliwości. – A tam w pułku... dobre sobie! Miesiącami człowiek na dostawę czeka, a specjalni po próżnicy ciężarówkami się rozjeżdżają!

Skripicyn pobladł.

– Jak tak, to kontynuujemy przesłuchanie.

– No co to za rasa taka! Wszędzie włazicie, węszycie, mdli od was. Kartofle zebraliśmy, meldunek się złożyło, to i bez protokołów przeżyjemy. Nic więcej nie powiem.

– Wysokiego jesteście o sobie mniemania, jeśli myślicie, że ja wokoło was węszę. Ja tu stoję na straży interesów państwa. A oświadczenie potrzebne jest wam. Przecież bez tego wszystkie wasze kartofle będę musiał zarekwirować, śledztwo wszczęte, już się go nie wstrzyma. Odwiozę do pułku, zdam na przechowanie, a one zgniją, zanim się wyjaśni, skąd się tu wzięły. Spiszą na chlew. Rozumiecie, na co się zda wasza robota, jeśli wszystkich reguł przestrzegać? Zawsze się znajdzie kogo do odpowiedzialności pociągnąć, dlatego lepiej będzie, jak się dogadamy.

I tu zaszło coś, czego Skripicyn wcale się nie spodziewał: kapitan rozzłościł się, i to tak, że raptownie przyskoczył do biurka i za jednym zamachem zrzucił zaścielające je donosy. Gdyby Skripicyn nie wczepił się w protokół, to i tekturowa teczka poleciałaby na podłogę.

– No, kto ty jesteś tu u mnie, w kancelarii?! – ryknął Chabarow. – Ty podlec jesteś, a ja tu od lat żyję! Ja żyłem dla tego dnia, to i zdechnąć dzisiaj mogę, nie boję się. I ty myślisz, że jednym papierkiem radość mi odbierzesz? To, co ja całym życiem wymęczyłem, ty chcesz mi w jeden dzień odebrać, żeby to świnie zżarły?!

Skripicyna oszołomiło, że kapitan tak po prostu i lekko zrzucił na podłogę papiery, które mogłyby go zgubić, gdyby nadać im bieg.

Może kapitan wie coś jeszcze mocniejszego od tych papierów.

Specjalny przykucnął i zaczął lękliwie zbierać z podłogi swoje dokumenty.

– Patrzcie no, jak to się stara! – pokrzykiwał w gorączce kapitan.

Skripicyn schował wszystko z powrotem do aktówki i powiedział jakimś błagalnym głosem:

– Znaczy, złożenia zeznań odmawiacie?

– Sam na siebie składaj, a ja jestem niewinny. Mnie nie połkniesz, udławisz się. Toć przecież trzeba tyle gąb naraz, każdemu kartofle daj! I ty

też lubisz, widzę, że lubisz, ważniaku... Pewnie na słoninie smażone. Na słoninie? Pytam ciebie!

Chabarow uparcie wrzeszczał o słoninie i z radością obserwował, jak specjalny zadrżał, cofnął się do drzwi, chwycił pod pachę aktówkę i szynel i wyskoczył z kancelarii, jakby napotkał coś strasznego.

Kapitan ucichł i westchnął z urazą.

– Słowo daję, że też chce się człowiekowi myszkować, kurz rozgrzebywać...

Nieoczekiwana ucieczka chorążego uspokoiła Chabarowa, ale i zrodziła w nim jakieś współczucie. Mimo wszystko nie chciał natrzeć na człowieka tak boleśnie, żeby ten uciekł bez pożegnania. „A kto winien?” – zasmucił się kapitan. Usłyszawszy hałas na dworze, podbiegł do okna, żeby chociaż zobaczyć, jak specjalny wyjeżdża.

Na dziedzińcu Skripicyn krzyczał na zgromadzonych tam żołnierzy. Jeden z nich zauważył, że kapitan wszystko widzi, i zamachał rękoma niczym tonący. Nie panując nad sobą, Chabarow wybiegł na dwór. Specjalny odwrócił się. Chmurny Sańka Kałodin stał koło niego jak potężny słup. Kiedy kapitan wybiegł, wojsko otaczające specjalnych nabrało odwagi, rozzuchwaliło się.

– Towarzyszu kapitanie, on kartofle każe ładować!

– Niech spieprzają stąd, sami żreć chcemy!

– Nasz dowódca to Chabarow!

– Chłopaki, bez paniki! – z trudem przekrzyczał ich kapitan i tłum ucichł. – Coś ty wymyślił? Słuchaj, zabieraj się po dobremu – zwrócił się do specjalnego.

– Ja mam rozkaz Pobiedowa, żeby kartofle dostarczyć do pułku.

– Łżesz!

– Kapitanie Chabarow, czy zdajecie sobie sprawę, że jestem z wydziału specjalnego?

– A ty, towarzyszu Skripicyn, zdajesz sobie sprawę, że łżesz? Chłopcy, nie słuchajcie tego gada, on nie ma rozkazu! Ja wiem, ja wczoraj

rozmawiałem, nie było takiego rozkazu.

– Czy wy rozumiecie, dokąd on was prowadzi?! – zawołał Skripicyn, zwracając się do ludzi. – Nie ma żadnego generała, on głupiego udaje. O, tutaj mam wasz list, przecież pisaliście do okręgu. List wrócił do pułku, to dowódca pułku Pobiedow do tego durnia dzwonił i on już jutro w areszcie będzie siedział!

W specjalnego poleciały pecyny błota, kamienie, ale on nie chował się, nie uchylał, chociaż zdążył zauważyć nawet tego zręcznego żołnierza, który zawzięcie celował mu w głowę, a potem, kiedy kamień strącił z niej czapkę, jakby para z niego uszła.

– Nie rozrabiać! Kto rzucał, przestać, taka wasza mać, on na to przecież czeka! – Kapitan zadygotał i zasłonił sobą Skripicyna.

– Pojechać by, draka się zaczyna... – wyszeptał Sańka, ale zwierzchnik odepchnął go ze złością.

– Bydło! Bydło! – zaryczał, wyrywając się naprzód, i żołnierze szybko się cofnęli.

– Chabarow to nasz dowódca, niech on rozkaże, to będziemy ładować! – krzyczeli do specjalnego, rozsypując się po podwórzu, tak że Chabarow i Skripicyn zostali sami na rozmokłym, zimnym kawałku ziemi.

Stali oko w oko, tak do siebie niepodobni, tacy obcy, że nawet nie mogli się rozejść.

– Kałodin – warknął specjalny – rozkaz zrozumiałeś? Zaczynaj, nic się nie bój.

Kałodin energicznie pomaszerował do szopy. Osłupiali żołnierze stali nieruchomo, nie podchodzili. Kiedy Sańka wywlókł z szopy pierwszy worek, Chabarow wczepił się w niego, próbując go wyrwać, a dryblas pociągnął za sobą uwieszonego na kartoflach kapitana, nie próbując go uderzyć ani zepchnąć w błoto. Chabarow zapierał się w ziemię i krzyczał na całe gardło:

– Pomóżcie, chłopcy!

Ludzie jednak milczeli, nie podchodzili, na coś czekali, bali się już specjalnego.

Kapitan potknął się. Do cna wyczerpany, zwalił się na ziemię. Podniósł się na kolana i patrząc na Skripicyna wytrzeszczonymi, nabiegłymi krwią oczyma, zawył:

– Ja sam ciebie do aresztu wsadzę, ja... ja cię rozstrzelam!

Rozdygotanymi rękoma wyszarpnął pistolet i zataczając się, chwiejąc się na nogach, zaczął straszyć nim ludzi. Skripicyn jednak stał w miejscu, w żaden sposób nie mógł uwierzyć, że Chabarow ośmieli się strzelić. I wtedy Sańka puścił worek, niezgrabnie wskoczył na kapitana i całym ciałem spadł na pistolet. Trzasnął absurdalny wystrzał, niebo zaszumiało, zadrżał jego brudny błękit. Sańka, zdrów i cały, osłabły od spóźnionego strachu, ryknął:

– Trzymam go, złapany!

Tak jak rozkazał Skripicyn, skrępowanego kapitana zamknięto w obitej blachą falistą zbrojowni bez okien, z kratą zamiast drzwi. Chabarow miotał się jeszcze i krzyczał:

– Chłopcy, synkowie, trzymajcie go, łapcie!

Kiedy Chabarowa wleczono do zbrojowni, specjalny zauważył jego pistolet, który walał się teraz po ziemi jak bezpański, podniósł go i schował do swojej aktówki.

Co bystrzejsi żołnierze ukradkiem umknęli z podwórza, żeby ich nie zagnali do roboty. Tych zaś, którzy z ciekawości zostali na miejscu, Skripicyn wyłowił i oddał pod komendę Sańki, żeby przenosili kartofle z szopy do ciężarówki. Niezadowoleni, rzucali worki na skrzynię niemal ze złością, tak że załadunek odbywał się bez przerw i nawet bardzo raźnie.

Jak się okazało, więźniowie, ciasnymi rzędami rozsiadłszy się na dachach baraków, już od dawna przyglądali się temu, co się dzieje na koszarowym dziedzińcu. Nagle bezlitośnie zgranym chórem zaczęli wygwizdywać obładowanych workami żołnierzy.

Tam, w łagrze, na dachach baraków, doszło wkrótce do niebezpiecznych zamieszek. Jeden dach podpalono. Płonął. Z wyżek gruchnęły wystrzały. Więźniowie niechętnie się cofnęli, zeszli do zony. Niczym suche drzewka został na dachach tylko obozowy drobiazg, te chłopaczki nie znały strachu, bo wszystkiego wokół siebie nienawidziły jakby od urodzenia. Wiedząc, że strażnicy nie będą śmieli strzelać, prowokowali ich, obrzucając dachówkami także żołnierzy, którzy odsunęli się od baraków. Kiedy Kałodin już zatrzaskiwał klapy ciężarówki, na dachy wdarli się obozowi strażnicy. Bili szczeniaków długimi żelaznymi prętami zbrojeniowymi, uganiali się za nimi, łapali ich, a ostatnich, trzymając za ręce i za nogi, rozhuśtywali i zrzucali z dachów.

Dziedziniec opustoszał. Z wartowni przybiegł jedyny w kompanii chorąży, którego Skripicyn kazał mimo wszystko odszukać. Przekazał mu kompanię i rozkazał, by kapitana Chabarowa nie rozwiązywać, nie wypuszczać. Obiecał też, że nazajutrz przyjedzie po aresztanta konwój. Na wszystkie te zarządzenia potężnie zbudowany chorąży odpowiadał milczeniem, choć jego morda wyrażała brak zgody. Kręcił i kiwał głową, ale ust nie otwierał, bojąc się, że i jego aresztują, kiedy zajedzie od niego gorzałą. Smutna i przepita morda w końcu obrzydła Skripicynowi, tak że machnął ręką w pół słowa i samotnie pomaszerował do ciężarówki.

Kiedy tylko ciężarówka zaskoczyła, zawarczała silnikiem i odjechała, podniosło się takie ujadanie, jakby przebudziły się naraz wszystkie owczarki Karabasu. I nawet step dorwał się do głosu i zaczął wrzaskliwie ujadać.

Ciężarówka odjechała daleko od obozowych zabudowań, samotna w całym zmierzchającym stepie, świecąc w dal reflektorami. Bliżej grudnia niebo zaczyna jakby zdychać, leją się z niego potoki mroźnego deszczu, często zmieszanego ze śniegiem. Wiatry pędzą przed sobą zimne powietrze, zaostrzają je tak, że w porywach ścina wszystko co żywe, nawet trawę. Ziemia zastyga. Droga przez step chlupoce błotnistą zmarzliną rozmazaną na rozstajach i ostrych zakrętach.

Skurczony w szynelu Skripicyn to otwierał, to zamykał oczy i Sańka w żaden sposób nie mógł zrozumieć, czy jego szef śpi, czy się niepokoi. Jechali po równym pasie pikowanym błotem. Nagle trafił się wybój. Ciężarówką mocno zatrzęsło. Skripicyn jęknął. Sańka od razu zmniejszył prędkość.

– Zasuwaj! – rozkazał nagle szef. – Tu nie da rady, zacznie nas rzucać po błocie, wywrócimy się...

– Zasuwaj, zasuwaj! – Sańka skrzywił się, nie dosłyszawszy słów zwierzchnika. – Możecie sobie rozkazywać, ale ja za was odpowiadam.

– Stul pysk! – wrzasnął Skripicyn. – Słuchaj mnie: zjeżdżaj z drogi, zasuwaj prosto w step, zasuwaj!

Dyszał ciężko, jego suche oczy rzucały błyski, świeciły jak psie ślepia. Kręcił się w ciasnej, łomoczącej kabinie, jakby chciał w niej stanąć. Ciężarówka zjechała w step i gnała nim już nie wiadomo dokąd. Podskakiwała na wybojach. Przewalała się z boku na bok. Potem rozległ się zgrzyt, zrzuciło ich z siedzeń, ciężarówka omal się nie wywróciła i zaryła w ziemi, silnik zgasł. Sańka ocknął się z kwaśnym smakiem krwi w ustach i ćmiącym bólem w żebrach. Zajęczał, splunął sobie pod nogi. Wbity w kąt Skripicyn lękliwie patrzył na swojego zakrwawionego sługę.

– W piersiach mnie boli – poskarżył się Sańka, a specjalny odwrócił się od niego. – A wyście cali? – wymamrotał Kałodin, ale nic nie usłyszał w odpowiedzi. Wypluwając po cichu resztki krwi, wytarł się i drżącą ręką próbował uruchomić silnik. Ciężarówka szarpnęła i zabuksowała.

– Co, na dobre ugrzęźliśmy? – spytał nagle Skripicyn.

– Wygrzebiemy się, pojedziemy...

– Nigdzie nie pojedziemy, wyłaź – powiedział chorąży całkiem przytomnie. – Będziesz kartofle ze skrzyni wyrzucać, w tej kałuży je utopimy.

– A dlaczego? Przecież rozkaz... samiście mówili, że Pobiedow kazał je zabrać do pułku.

– Ja sam dla siebie Pobiedow jestem... Co ty wiesz o moim życiu, durniu? To ja, ja wszystkimi dowodzę.

– Raz mówicie: brać kartofle, jest rozkaz. To znowu, jeszcze odjechać nie zdążyliśmy, mówicie, że nie ma rozkazu, wyrzucaj. A ja też człowiek jestem. Po co to robić? A wy może wstrząsu doznaliście, do lazaretu wam trzeba...

I wtedy Skripicyn stracił cierpliwość i wypalił:

– Ty dlatego człowiek jesteś, że ja ciebie uratowałem. Może zapomniałeś? Uratowałem, nie pogardziłem, to i ty moimi słowami nie gardź. Co ja powiem, to masz robić, tak jak mówię!

Sańka bez słowa podporządkował się rozkazowi i wlazł na skrzynię ciężarówki.

Skripicyn wysiadł chwilę potem i stanął obok na piędzi stepowej ziemi jak słup. Stał, jego goła głowa jakby kołysała się na stepowym wietrze, a on patrzył z ukosa na błoto, w które sypały się kartofle, ożywając pod jego wzrokiem. Szeleściły w workach, kiedy przewracał je i zrzucał ze skrzyni niezmordowany Sańka, huczały, spadając gradem, bębniły w błocie.

Potem wyrosła z nich góra.

– No i po wszystkim, no i zgniły – mamrotał pod nosem Skripicyn.

Kiedy wszystko było skończone, ciężarówka zawarczała i ruszyła, ale zamiast raźnie wyrwać do przodu, ciężko potoczyła się tyłem na kupę kartofli, miażdżąc je kołami, dopóki na tym miejscu nie została mokra breja.

Rozdział czwarty

Sprawa wagi państwowej

Kałodin, któremu oczy zmętniały ze zmęczenia, nie zauważył, kiedy droga, ciągnąca się przez stepy, ruiny górskich wiosek i opustoszałe miasteczka na poboczach, wlała się jak dymiąca, zatłoczona rzeka w zmierzch Karagandy i zmieszała z jej ślepawymi światłami własne, oślepiające. Ciężarówka gnała przez ciemne, sprasowane na ołów place i wiła się, ściśnięta martwymi po nocy domami, strasząc śpiące uliczki i przelatując przez bezludne skrzyżowania.

Chociaż pułk karagandyjski był rozlokowany w granicach miasta, wokół niego pleniły się pustkowia i rozryta opuszczonymi jamami i okopami ziemia. W tej głuszy teren pułku zasłonięty był dodatkowo betonowym murem, podobnym do szerokiej, biegnącej w dal drogi, ale tworzącym zamknięty krąg.

Jechało się wokół tego muru tak długo, że miało się wrażenie, jakby się wpadło do leja, aż nagle wyrastała przed jadącymi brama jak przepaść – czarna stalowa otchłań, w której jednak były drzwiczki jak w domu, nie dla maszyn, tylko dla ludzi. Nad obu skrzydłami bramy płonęły podwieszone latarnie w żelaznych kagańcach. Było pusto i głucho. To samo światło latarni pływało w błocku, które w ciągu dnia rozlało się właśnie przy bramie.

Na punkcie kontrolnym, pełniącym też funkcję biura przepustek, od dawna już nikogo się nie spodziewano, ludzie zabijali wieczorny czas przy kartach. Skripicyn spał. Sańka sam poszedł na wartownię. Zaczekał, aż ich przybycie do pułku zostanie zapisane w dzienniku odwiedzin. Jak to bywa

przed nocą, na wartowni czuło się ciepełko. Dyżurny oficer, którego cała ta procedura oderwała od kart, nawet z wyglądu poczciwiec, przybił pieczątkę, podpisał i wesoło puścił oko do Sańki.

– A szefostwo twoje tajne co? Umęczyło się, kima?

Kiedy tylko Kałodin stanął w progu dyżurki, siedzący w niej wartownicy zamilkli i dopóki nie wyszedł, pożerali go wzrokiem, jakby nie miał prawa przebywać w tym samym pomieszczeniu co oni.

Oficer żwawo wrócił do swoich kart i krzyknął:

– Ech, żebym to czerwieni miał więcej!

Jeden z wartowników skrzywił się z niezadowoleniem.

– Lezą do was, lezą... Macie tu wasze czerwienie, towarzyszu dowódco.

Inny odezwał się:

– Patrzaj tylko, on i tego diabła przygarnął, z diabłem jeździ, wszędzie go wpycha, żeby paskudził.

– Toć wszystkim wiadomo, że Skripicyn się wysługuje – nie darował sobie najbardziej ponury towarzysz. – On i sracz pocałuje, żeby się zasłużyć. Temu Słoninie wszystkiego za mało, czegoś tłustszego mu się zachciewa!

W tym momencie dowódca warty, który zdążył skupić się na grze i w napięciu rozmyślał, jak tu nie przegrać ze swoimi żołnierzami, nagle zerwał się oburzony, chwycił mówiącego za ożydle i szarpnięciem poderwał zza stołu.

– O kim ty mówisz, o Skripicynie?! Żebym ja tego więcej nie słyszał... Nie pozwolę przy mnie na porządnego człowieka wygadywać!

Wartownicy bojaźliwie rzucili karty, odechciało im się grać.

– No co, pozdychaliście? Gramy! – zawołał dowódca.

– No przecież każdy wie, że Skripicyna tak w pułku nazywają – burknął znowu obrażonym tonem ponury, który miał właśnie wychodzić kartą.

Oficer zmartwił się, ale już się nie zerwał, tylko powiedział z uczuciem:

– Ja nie wiem, za co mu takie przezwisko nadali, może on lubił słoniny pojeść, no i co z tego? U nas w pułku porządny człowiek nie będzie miał życia. Patrzcie na Smierszewicza: jego to się bali, milczeli, niby to „szanowali”, a on tylu ludziom zdążył życie zmarnować, dopóki razem ze swoim oddziałem nie spalił się diabłu na uciechę! Skripicyn tam już rok szefuje i nikt od niego dotąd szkody nie miał, a przecież żaden nie wytrzyma, koniecznie coś paskudnego musi powiedzieć. Jak człowiek porządny, zawsze cięgi zbiera. Bać się ludzie oduczyli, no bo jak, ten przecież nic nie zrobił, pozwala się kąsać, no nie, szeregowy? A Smierszewicz? On kiedyś mojego żołnierza na śmierć zatłukł, bo tamten mu za późno zasalutował. Wiecie, jak Smierszewiczowi pięść odcięli? Do śmierci będę pamiętał... Mieliśmy taki rocznik, że Ormiaszków pełno służyło, a Smierszewicz tak Ormiaszków nie znosił, że aż strach, że niby mordy mają brudne, a zresztą on nikogo nie znosił! Oni udawali, że po rosyjsku mówić nie umieją, a może i naprawdę wielu nie umiało. Nie było dnia, żeby tych Ormian do wydziału specjalnego nie ciągali. Smierszewicz z nich duszę wytłukiwał, żeby coś po rosyjsku powiedzieli. Za bydło ich miał. I w mordę ich, w zęby, aż pięść sobie pokaleczył. Trafiły się zęby chore, gangrena się, cholera, zaczęła. To wtedy mu pięść odcięli. Co wy tam rozumiecie! Drugiego takiego człowieka, drugi taki pułk widzieliście, żeby takie rzeczy wygadywać? A ty, szeregowy – „Słonina”. No nie, gdzie indziej jest pies pogrzebany!

Wartownicy słuchali ze znudzeniem, nie rozumieli, co im do tego, że naczelniczek jakiś się spalił, i dlaczego innego naczelniczka mają sobie cenić.

– A Skripicyn, powiadają, sądzony był, to co z niego za uczciwy człowiek?

Rozzłościł się kapitan:

– Nie kradł, łgarstwo! Zapomnieliście, zapomnieliście, jakie było w pułku złodziejstwo! Gdyby nie Skripicyn... A co tam z wami gadać!

Tymczasem za kratami wartowni zazgrzytały i powoli rozjechały się na boki lite skrzydła bramy, otwierając drogę oczekującej dotąd ciężarówce.

Nieruchomy pułkowy plac zakołysał się w świetle reflektora, które waliło skośnie z żelaznego masztu sterczącego nad dachem.

Po bokach placu, jak budki strażnicze, stały pudełkowate zabudowania. Odróżnić je można było tylko po zapachach, które nawet z dala biły w nozdrza – to z łaźni, taki, jakby schły w niej mokre koty, to znów z bloku stołówki, stęchły. Nad ogromnym placem gęstniała prawie widoczna czarna chmura, w której, jak żyłka, drgała w promieniu reflektora niezrozumiałego pochodzenia iskra: samo powietrze przekształciło się w maszynę do wdychania i wydychania.

O tej porze pułk wymierał. Najedzonych żołnierzy prowadzono w szyku kompaniami i plutonami do latryn, ostatni raz w tym dniu, ogółem należały się trzy razy. Potem kierowano ich do sypialni i jeśli nikt nie podpadł, wkrótce rozlegał się capstrzyk. Sypialnie cuchnęły onucami, chociaż bito tych, którzy przez miesiąc ani razu ich nie przeprali. Do tego pachniało wokół chlorkiem, niczym cudzym moczem. Była w pułku taka zasada, niby to dla dezynfekcji: wszędzie stały miednice pełne chlorku. Przed wejściem do jadalni trzeba było najpierw zanurzyć ręce w miednicy i dopiero wtedy dawali żarcie. Po powrocie z latryny też trzeba było umoczyć ręce w miednicy. Chlorek z czasem tak wyżerał dłonie, że robiły się podobne do karczy, a niekiedy w ogóle zaczynały gnić.

Kałodin wjechał na plac i zahamował przy sztabie. Była to mocna, murowana budowla otoczona zaroślami, których szorstka szczecina jeżyła się w ciemności. Skripicyn z trudem się obudził i wykaraskał z ciężarówki. Pokuśtykał wolno do sztabu, niemal przysypiając po drodze, ale już przy ganku zderzył się z jakimś oficerkiem sztabowym, który chwycił go mocno i – zdawało się – już nie myślał puścić.

– Co, już wiesz? Wiejesz? Doigrałeś się, Skripicyn?

– Ja nic nie wiem! – oburzył się specjalny, z rozdrażnieniem odpychając od siebie tamtego.

– Ach, on nie wie, lepszy gość! Pobiedow cały pułk na nogi poderwał: gdzie Skripicyn, dawać mi Skripicyna... Uczepił się mnie, że krawat mam

pognieciony. A ja mu mówię wprost: wyprasowany. No to jak, spaskudziłeś staruszkowi samopoczucie i w krzaki?

Szturchali się i popychali w ciemnościach, prawie nie widząc się wzajemnie, i tak, objęci, znaleźli się na jasno oświetlonym ganku.

– Ty, Skripicyn, co, groby kopałeś?! – rozległ się nagle piskliwy krzyk.

Krzyknąwszy to, oficerek lękliwie odskoczył i rzucił się gdzieś biegiem. Skripicyn, niespodziewanie pozostawiony w spokoju, pochylił się, jakby dostał w brzuch, i zajęczał:

– Niech was wszystkich szlag trafi, żałosne, tchórzliwe potwory!

W oknach sztabu paliły się jasno światła. Ale jedno – okno gabinetu dowódcy pułku Fiodora Fiodorowicza Pobiedowa – świeciło chyba każdej nocy, nawet kiedy cały sztab był pogrążony w nieprzeniknionej ciemności. Stary pułkownik zmuszał się do przesiadywania na służbie do najpóźniejszych godzin, żeby nikt wokół nie pomyślał, że śpi albo jest nieobecny.

Skurczywszy się, zwinąwszy, Skripicyn szmyrgnął w drzwi sztabu jak mysz przez szczelinę w podłodze. Żeby dostać się do sztabu, taka zwinność nie była potrzebna, ale zgnębiony tym, co zaszło, specjalny tak właśnie się czuł: jak mysz. Przemknął po pustych schodach na pierwsze, pułkownikowe piętro i zamarł. Po tej górnej połowie sztabu snuły się, splecione czule, wielce podejrzane odgłosy, a to donosy na kogoś, a to plotki o kimś. Odgłosów tych zazwyczaj bał się nawet Skripicyn, ale teraz, jak na złość, nie słyszał, jakie to rozmowy prowadzi się za ścianami sztabowych pomieszczeń. Przebiegł wzdłuż jednej z nich, ale kiedy wreszcie zamarł pod solidnymi drzwiami sekretariatu pułkownika, za którymi już zaczął słyszeć jakieś wzburzone głosy, nagle otworzyło się wejście do kancelarii i na korytarz wyszła tłusta kancelistka z trzema haczykami zamiast warg i brwi. Skripicyn natychmiast się wyprostował i ruszył ku niej, zastanawiając się po drodze, co by tu zełgać. Kancelistka zaś ciężko westchnęła, aż jej piersi napęczniały jak chmury, i przerażona rzuciła się z powrotem do kancelarii – wyglądało to tak, jakby tę kobietę wystraszyła nie mysz, tylko szczur. To już drugi taki przypadek, że ktoś od

niego odskakuje jak od trędowatego – zdał sobie sprawę oszołomiony Skripicyn. Zapomniał o strachu i wpadł do sekretariatu, żeby natychmiast się dowiedzieć, co się mogło stać z pułkownikiem, kiedy on, Skripicyn, raptem na jeden dzień wyjechał z pułku.

W sekretariacie, wypełnionym tym kwaśnym zapachem, który zwykle lęgnie się w stojących pustką pomieszczeniach, stali naprzeciw siebie w najswobodniejszych pozach, z opuszczonymi rękoma, dwaj niepośledni ludzie w pułku: wieczny dyżurny sztabu – starszy lejtnant Chrulow, i szef tegoż sztabu, podpułkownik Piotr Walerjanowicz Diegtiar.

Podpułkownik był podobny do gwoździa: prosty, mocny i nawet jakoś tam żelazny. Wstydził się początków łysiny i zakrywał je czapką, którą zdejmował tylko na zebraniach partyjnych. Zdarzało się, że ten gwóźdź wbijano po samą główkę, a potem wyciągano obcęgami. Zdarzało się, że go wyginano, ale zaraz prostowano, jeśli był potrzebny, a potem wbijano znów.

Co do Chrulowa, to wredny młody lejtnant nie przypadkiem znalazł się w sekretariacie dowódcy pułku. Pobiedow ogrzał go pod swoim skrzydłem, bo Chrulow był wnukiem samego generała Chrulowa. W latach wojny ojczyźnianej generał został trzykrotnym bohaterem i dosłużył się dowództwa armii. Po wojnie jednak, żeby mu się w głowie nie przewróciło, kazali mu dowodzić Zauralskim Okręgiem Wojskowym. Potem znów poszedł w górę, ale za surowość i krnąbrność równie szybko przenieśli go na emeryturę, żeby już więcej nie zawadzał. I wtedy generał, choć w innych czasach na sam dźwięk jego nazwiska drżała ziemia, skonał po cichutku w kręgu swoich dzieci i wnuków, których lubił i nie lubił. Z całej jego rodziny do wojska wstąpił tylko jeden wnuk, który nie rozumiał, nie chciał rozumieć, że nazwisko Chrulow nic już w armii nie znaczy, że są tam teraz inne nazwiska i inni generałowie. I kiedy reszta wnucząt korzystała z pozostawionego przez generała spadku, jeden tylko głupi, zadowolony z siebie Chrulow wnuk ugrzązł w dzikim stepowym wojsku, zapomniany przez rodzinę i sam jej za rodzinę nieuznający. Nazwisko generała cieszyło się jeszcze szacunkiem wśród niższych dowódców wojskowych i właśnie Fiodor Fiodorowicz Pobiedow twierdził, że prawie całą wojnę przesłużył

pod jego dowództwem. Tacy ludzie z dumą przypominali, że dowodził nimi generał Chrulow. Ale starszy lejtnant Chrulow i tak cierpiał, nie zadowalał go zastarzały szacunek i miejsce w kwaśnym powietrzu sekretariatu. O naczalstwie mówił: „Stare grzyby, świnie przy korycie”. O żołnierzach: „Szyje niemyte, świnie”. Skripicyna zaś nie mógł ścierpieć, cała jego istota burzyła się na widok niewydarzonego chorążego.

Kiedy na progu zarysowała się figura Skripicyna, jak zawsze wykrzywiona, z żałosną, wystrzępioną aktówką, której nie wypuszczał z rąk niczym młodszego brata, sztabowcy zamarli: mogło się zdawać, że o nim właśnie przed chwilą rozmawiali. W ich nagłym zamilknięciu Skripicyn dopatrzył się wprost spisku, więc się rozdarł:

– Chcę mówić z pułkownikiem, wiem, że on na mnie czeka!

– Anatolij, jesteś zakrwawiony – powiedział na to Diegtiar i spoważniał.

– Cały sekretariat zapaćkałeś – odezwał się Chrulow i zagrodził drogę śpieszącemu się chorążemu.

– Zapaćkany solidnie... – przytaknął Diegtiar. – Anatolij, tak do pułkownika nie można, to nie w porządku.

– Przepuśćcie mnie – poprosił Skripicyn głosem zaszczutego zwierzątka.

– Nie przepuszczę i nawet nie zamelduję – oznajmił Chrulow.

– A właśnie przepuścisz! – histerycznie krzyknął w odpowiedzi specjalny.

Doszłoby pewnie do bójki, ale nagle otworzyły się drzwi i ukazał się sam Fiodor Fiodorowicz Pobiedow z przygotowanymi już słowami:

– Co to się dzieje, to nie bazar, tu dowódca pułku pracuje!

Niedostępny w swoim gabinecie dla nikogo, kryjący się w jego cichych, miłych ścianach niczym żabka w błotnistej kałuży, pułkownik zawsze zaskakiwał ludzi, wypadając znienacka na zewnątrz. Wysuszony, ale też z brzuszkiem, jakby pod mundur wepchnięto mu poduchę, słusznego wzrostu, z wyłupiastymi, stale, zdawało się, zdziwionymi oczyma, twardymi jak suchary, Fiodor Fiodorowicz Pobiedow w ogóle sprawiał wrażenie, jak gdyby pojawił się na świecie nie z miłości, tylko ze strachu.

Kiedy był spokojny, marszczył się cały i gasł, robił się cichutki i nawet posłuszny, wyraźnie przy tym głupiejąc. Wystarczyło go jednak przestraszyć, a w mig wypełniał się krzepą, tak że omal nie rozpadał się pod własnym ciężarem, i wtedy wpadał w ślepy gniew.

– Pułkowniku, nie puszczają mnie! – rozkleił się wystawiony jak na pokaz Skripicyn.

Pułkownik się nabzdyczył. Rozejrzał się lękliwie po kątach i bez słowa wepchnął pośpiesznie chorążego do gabinetu.

Tam rzucił się na niego i odreagowując swoje przeżycia, wrzasnął:

– Sumienia nie masz, gnojku? Draniu jeden, przecież od ciebie człowiek cały się zapaskudzi!

– Fiodorze Fiodorowiczu, moja wina, ja wszystko naprawię, na was nawet plamki nie zostanie...

– On naprawi! A ty w lustro, w lustro popatrz, jakie ty, kapujesz, gówno z siebie w moim gabinecie robisz!

Skripicyn odwrócił się bojaźliwie w kierunku lustra i niemal przykleił się do niezgrabnego srebrzystego owalu wypełnionego odbiciami: cały jego szynel był ubabrany burym stepowym błockiem, którego pecyny przylepiły mu się wprost do piersi jak ordery, a twarz wyglądała, jakby ktoś chodził po niej w butach, rozkrwawił ją i zmieszał z tym błotem. Specjalny szarpnął się, oderwał od lustra, odwrócił do pułkownika i nieprzytomnie, ale uroczyście oznajmił:

– Strzelali do mnie!

Usłyszawszy to, Pobiedow mocniej obciągnął na sobie mundur. Skripicyn, pokrzepiony wrażeniem, jakie zrobił na starcu, nastroszył się i natychmiast zameldował:

– Byłem w Karabasie, w szóstej kompanii, u kapitana Chabarowa... – I nabrawszy tchu, syknął do pułkownika: – Chabarow kulą mnie przywitał.

– Nie może być! – zahuczał pułkownik. – Daj spokój, ja do szóstej wczoraj dzwoniłem i zaprowadziłem porządek, i to jaki! Wszystko temu

kapitanowi wyjaśniłem i on mi wyjaśnił. Spokojny chłop, całą sprawę omówiliśmy, wsypałem mu, jak prosiłeś, a nawet ostrzej!

– No jak to wychodzi, towarzyszu pułkowniku...! – wybuchnął Skripicyn. – Wsypaliście mu, a ze mną, jak tam przyjechałem, obchodzą się jak z jakimś zerem?

Pobiedow warknął:

– A ty się nie sadź, boś właśnie zero. Tu, powiadam, dowódca pułku jest jeden.

Specjalny skurczył się i już ciszej powiedział:

– A ten kapitan was, Fiodorze Fiodorowiczu, generałem nazywał. Dzwonił, powiada, do niego generał. Wychodzi, że z was generał jest, czyżbyście awansowali?

Pułkownik cofnął się, usiadł, wczepił w krzesło, które mu się nawinęło. Poczuł, że trudno mu ustać, zdenerwowany zaczął mówić szczerym głosem, próbując uprzedzić Skripicyna, to znaczy mocniej na niego naskoczyć:

– Ja pamiętam wszystko, co mówiłem, dowódca pułku to nie kukiełka. Ty mnie w nic nie wplątuj, jaki tam znowu generał? No, czego sapiesz, czego gały wybałuszasz?! Coś ty mi, zasrańcu, meldował? Że w szóstej kompanii roczny zapas kartofli przepadł? Ale jak po sprawdzeniu okazuje się, że kartofle są, to za co karać? Czy wy mi tu wszyscy łżecie?! Och... Uch... Ja już przecież wszystko dobrze załatwiłem... Za to, że kapitan bez rozkazu działał – wsypałem mu. Że kartofle wszystkie są – wsparłem go. Niech pracują darmozjady, bo tak tobyście tylko żarli! No i masz babo placek, znowu ty, znowu namieszałeś. Słuchaj, pajacu, ja mam dość, nabierzesz mnie, to pod sąd cię oddam.

– Znaczy się, na to wychodzi, że towarzysz pułkownik sam wszystko postanowił? – Skripicyn udał zdziwienie.

Pobiedow nie miał najmniejszej ochoty odpowiadać i tylko krzyknął ze złością:

– A odwal się! Czegoś się przyczepił? Co zechcę, to zrobię, chyba jeszcze jestem dowódcą pułku?

– Ja tam chciałem jak najlepiej... – powiedział pojednawczo Skripicyn. – Myślałem: co o nas powiedzą? Inspekcji tylko czekać.

Usłyszawszy o inspekcji, pułkownik zachybotał się na krześle.

– A co to znowu za generał? Co tam ten kapitan o generale truł? Przecież do nas właśnie inspekcyjny generał jedzie.

– No właśnie mówię, towarzyszu pułkowniku, nie pomyśleliście, co to za ptaszek z tego kapitana... On przecież o pozwolenie wasze względem kartofli nie prosił, a zresztą nawet nie moglibyście mu go dać. Trzeba by było najpierw do dowódcy dywizji się zwrócić, a ten znów jeszcze wyżej, może do najgłówniejszego, żeby pozwolił. No więc to jakby nie w kartoflach rzecz, tylko w tym, że taki człowiek, który już nic do stracenia nie ma, jak ten cały Chabarow, ośmiela się porządek naruszać. Wychodzi, że polityczna to sprawa. Tacy ludzie groźniejsi są od zarazy. Urządził ten swój warzywnik i proszę: pierwszy wystrzał już się rozległ! Pomyślcie tylko, towarzyszu pułkowniku: tu, w waszym pułku, już dowódcy kompanii w szefa wydziału specjalnego ogniem bezpośrednim strzelają...

– No to on musi być kopnięty, ten Chabarow! – przeraził się pułkownik. – Strzelał do ciebie? No jakże to... Och, Anatolij, nie pomyślałem... Oświeciłeś starego. – Gestem przywołał do siebie podnieconego Skripicyna. – Nie szarp się, siadaj. – Potem zamyślił się i rzekł poufnym tonem: – A te kartofle... Hm, co z nimi teraz robić? Może zdamy organom? A z tym kapitanem?

– On na razie tam u mnie, w Karabasie, pod aresztem siedzi – bez mrugnięcia okiem odpowiedział Skripicyn. – Organy to przecież nie mama rodzona. Dobrzeście, towarzyszu pułkowniku, powiedzieli, z tymi kartoflami to po prostu wdepnęliśmy. Najlepiej, żeby żywa dusza o nich nie wiedziała, żeby choć przepadły, choćby zgniły całkiem.

– Nie, czekaj... Jednak wedle prawa trzeba, jak się należy...

– To prawda, ale o tym proszę nie myśleć, niech będzie, że ja biorę na siebie całą odpowiedzialność. Ja już tak zrobiłem, że ich nie ma.

– Zakopałeś je z powrotem czy jak? Anatolij, uważaj, nie wódź mnie więcej za nos.

– Spokojnie, towarzyszu pułkowniku, przecież mam wobec was zobowiązania. Wszystko zrobiłem jak trzeba.

– A co z kapitanem, z tym Chabarowem?

– O Chabarowa proszę się nie martwić. Ja jego sprawę doprowadzę do kropki, i to tak, żeby było bez szumu.

– Ech, ciężko... Taka kasza się nawarzyła przed samą inspekcją.

– A kto mówi, że teraz musimy ją jeść? Dochodzenia długo się ciągną... Będziemy go sądzić, jak inspekcja minie.

– Dobrze, decyduj, jak uważasz, tylko ja nic nie wiem.

Fiodor Fiodorowicz trzymał się na oko twardo tylko wtedy, kiedy zjawiał się na służbie jako chwacki chłop z gładkimi, świeżo ogolonymi policzkami, w dobrze leżącym – może dlatego, że na miarę szytym – mundurze. Co tam się kryło pod spodem u tego malowanego zucha, widział z bliska Skripicyn, badający prawdziwy nastrój pułkownika. Pod koniec dnia Pobiedow był już wyżęty, policzki miał obwisłe, a rumieniec, który pojawiał się niedługo po goleniu, przekształcał się w sine plamy utkane siwą szczeciną niczym poduszeczka do igieł.

Skripicyn nie wytrzymał i z zaskoczenia zapytał starego pułkownika:

– A czemuście, towarzyszu pułkowniku, mnie szukali, powiadają, od samego rana? Szedłem tu i przychodziło mi do głowy nie wiem co.

I serce pułkownika, który już chciał się żegnać z nosicielem złych wieści, ścisnęło się, jakby w jabłko wlazł robak. Pobiedow pamiętał, dlaczego szukał Skripicyna, ale teraz bał się to powiedzieć, więc poczerwieniał tylko i niedorzecznie krzyknął w odpowiedzi:

– Kiedy dowódca pułku wzywa, masz się zjawić! Zjawić się i zameldować! Ty gówno jesteś, a dowódca ciebie cały dzień szuka, dlatego masz obowiązek zjawić się i zameldować.

Wydostawszy się z pułkownikowego gabinetu, Skripicyn odetchnął pełną piersią, lekko i zdrowo, jak po dobrej kąpieli w łaźni. Był w jak najlepszym nastroju.

– Co, sława dziadziusia spokoju nie daje? – zapytał z pobłażliwą ironią Chrulowa, który siedział w sekretariacie nie tyle pustym, ile robiącym wrażenie opuszczonego, i grzebał w znienawidzonych papierzyskach, szarych nawet z wyglądu.

– Milczeć! – zerwał się Chrulow, wyrzucając z siebie wiecznie sterczący mu w gardle kłąb zawiści.

– Proszę wybaczyć, towarzyszu generale. – Skripicyn z pojednawczą miną zgiął się w ukłonie. – Moja wina, proszę mi przylać pasem, w miarę możności po dupie. – Po czym uśmiechnął się i wyprostował. – Słuchaj, towarzyszu... generale, jeszcze raz na mnie zaszczekasz, kark ci skręcę.

Zaryzykował dla przyjemności i rąbnął butem w potężne drzwi sekretariatu, które otworzyły się z łoskotem, po czym poszedł sobie, już tak wyprostowany, jakby sam czuł się generałem.

Kiedy Chrulow wrócił nieco do siebie po tym, co zaszło, wydawało się, że rzuci się gonić bezczelnego chorążego, bo złość po prostu z niego tryskała, ale dopadł swego krzywdziciela, podążając w całkiem przeciwnym kierunku, czyli wdzierając się do gabinetu pułkownika Fiodora Fiodorowicza, gdzie dostał ataku nerwowego.

– I znowu Skripicynowi wszystko uszło płazem, ja tego zrozumieć nie potrafię! Wchodzi tu od świni brudniejszy, a wy, towarzyszu pułkowniku, znów na to uwagi nie zwracacie. Dlaczego ta świnia tu się po sztabie włóczy, gdzie nasz honor oficerski?!

– Zamknij drzwi, zamknij drzwi... – zajęczał Pobiedow, wystawiony na bezpośredni ostrzał otwartych drzwi i okien, przez co jego spojrzenie trafiało jak w grób, wbijając się w pustą ścianę sztabowego korytarza dwadzieścia kroków dalej.

– Nie, nie zamknę i nie wyjdę! – odważnie wrzasnął Chrulow. – Najpierw proszę mi odpowiedzieć, skąd on ma takie prawa, że może obrażać oficerów, ładować się do sekretariatu jak do własnej szopy.

– No, uspokój się, braciszku, czego się wściekłeś? Taką ma służbę... No, zamknij drzwi, chyba powiedziałem!

– Towarzyszu pułkowniku, to nie widzicie, że Skripicyn świadomie wam szkodzi, jaką on pajęczynę wokół was splata, a patrzy... jak on na was patrzy! Zauważył pułkownik? Bezczelnie, bez szacunku...

– Patrzcie go, a sam coś tu nagadał? Zakąszasz przynajmniej? Lepiej zakąszaj, bratku, bo jeszcze mi się tu porzygasz ze strachu, jak ci się coś przywidzi.

– Towarzyszu pułkowniku! – krzyknął Chrulow. – Ja rozumiem, że was to śmieszy... A przypomnijcie sobie: gdzie Skripicyn, tam po nim pożar. On przecież, bandzior jeden, każdego wyższego od siebie stopniem nienawidzi! A wiecie, skąd ma takie przezwisko, „Słonina”? Kiedy jeszcze był żołnierzem, w składzie żywności słoninę ukradł!

– No i ja też mało pod sąd nie trafiłem. My przecież wszyscy z sądem na karku żyjemy. A jak chcesz wiedzieć, to właśnie kiedy go sądzili, nabrałem dla niego szacunku. – Pobiedow się uśmiechnął. – A ciebie, widzę, zawiść zżera, że dowództwa u mnie nie dostałeś, naiwny nie jestem! Zaczekaj, jeszcze dostaniesz. Nie rzucaj się, tu ja wszystkim dowodzę, ja lepiej wiem co i jak. Smierszewicz, sam wiesz, kuty był na cztery nogi, a przecież Skripicynowi tylko wzorowe charakterystyki wystawiał, sam czytałem, tak że ty swoimi pożarami możesz się podetrzeć. A Skripicyn tu będzie, póki mi potrzebny. I ty będziesz... Zamknijże drzwi, gnojku jeden, wyziębisz wszystko! I ty będziesz, tego, służyć... – Znużony starzec zaplątał się i uderzywszy ze złości w biurko, wypalił: – Jakby co... ja was wszystkich zrobiłem i ja każdego z was na części rozłożę, jakby co.

W tej właśnie chwili, kiedy Pobiedow walił kułakiem w stół, gapiąc się przed siebie wytrzeszczonymi oczyma, jego wzrok jakby zderzył się z workowatą, przekrzywioną pod ciężarem aktówki figurą, która nagle, wydało mu się, wyrosła w ciemnym sztabowym korytarzu niczym jakiś straszny cień...

– Wooon! – ryknął pułkownik. Ale cień już się rozwiał, jakby tu żadnego cienia nie było. – Tfu, a niech cię, przywidziało mi się... Z wami to człowiek sam szmergla dostanie. Wybacz, synku, herbatki mi zaparz, takiej gorętszej... – powiedział, ochłonąwszy, do Chrulowa.

Ten migiem wyskoczył z gabinetu herbatę dowódcy parzyć.

A tymczasem Skripicyn wcale się staremu pułkownikowi nie przywidział. Wyszedłszy z sekretariatu, sztabu nie opuścił, tylko zrobił kółeczko. Pomaszerował korytarzem do zamkniętego końca, jakby miał zamiar z tamtej strony wziąć porządny rozbieg. Doszedłszy do ściany, znalazł się jednak akurat naprzeciw ledwie widocznych w najdalszym zakątku sztabu drzwi z tabliczką z dykty „P.W. Diegtiar”. I właśnie do tych drzwi zapukał.

Kiedy rozległo się to ukradkowe pukanie, szef sztabu akurat się pokrzepiał. Siedział przy służbowym biurku w czapce zakrywającej łysinkę i trzymał w jednym ręku zamoczone w skondensowanym mleku ciasteczko, a w drugim prostą, graniastą szklankę z parującym jeszcze płynem. Gabinet Diegtiara był skromniejszy od gabinetu pułkownika, bez sekretariatu, bez orzechowej szafy i podłużnego stołu, bez lustra. Wśród nielicznych przedmiotów panował surowy porządek, widać było, że rzeczy służą równie sprawnie jak ich zwierzchnik. Kiedy rozległo się pukanie, Diegtiar zmieszał się i schował ciasteczko do szuflady.

– Szefie, można do was? – W drzwi wsunęła się czyjaś głowa. – Przepraszam, nie wiedziałem, że akurat jecie, smacznego, jak tak, to ja potem zajrzę...

Szef sztabu ledwie zdążył poznać specjalnego, kiedy ten już się skrył, zostawiając Piotra Walerjanowicza w samotności i ciszy. Diegtiar nic z tego nie zrozumiał, więc tylko westchnął ciężko i posmutniał, bez szczególnego powodu przeżywając niepojętą swoją winę.

Skripicyn poczuł, że jest umordowany, i żeby nie jechać do wojskowego internatu na drugi koniec Karagandy, postanowił przenocować w wydziale specjalnym. Odkąd się spalił drewniany budynek, wydział mieścił się w przybudówce przylegającej z tyłu do siedziby sztabu. W oknach się nie świeciło i drzwi były zamknięte. Sańka, który nie wrócił jeszcze z garażu, dokąd miał odprowadzić ciężarówkę, za pozwoleniem Skripicyna mieszkał właśnie w wydziale specjalnym, ale chorąży teraz całkiem o tym

zapomniał. Uporał się z zamkiem za pomocą własnego klucza i jak wicher obleciał pomieszczenie wydziału.

Pokoików było tu razem trzy – nie licząc nieogrzewanej umywalni, gdzie ustawiono wieszak i umywalkę – a podobne były do wagoników doczepionych do ostatniego gabinetu, w którym urzędował naczelnik sztabu. W pokoikach stały szafy ogniotrwałe, w nich zaś spoczywały tajne papierowe dusze. Za jedną z tych szaf krył się kącik Kałodina z łóżkiem. Tu właśnie Skripicyn się rozebrał, zrzuciwszy podobny do kożucha szynel, a potem kurtkę i koszulę, tak że został goły do pasa. Trzęsąc pulchnym białym brzuchem i piersią, przemaszerował przez otwarte na oścież wagoniki do zimnej umywalni, żeby się umyć, ale kiedy puścił wodę, w wydziale zaterkotał dzwonek służbowego telefonu.

Skripicyn nie podchodził, ale dzwonek nie milkł.

Specjalny najeżył się: skąd ktoś wie, że on jeszcze tu jest? Wiedzieć i domagać się z nim rozmowy mógł tylko jeden człowiek. Chorąży podreptał do swojego gabinetu, który tak nagle ożył, i okazało się, że się nie mylił. W słuchawkę wcisnął się stłumiony głos Pobiedowa:

– Anatolij, on do mnie dzwonił!

– Kto, towarzyszu pułkowniku?

– No twój Chabarow, a niby kto!

– I co mówił?

– Ja z nim, gnojem, nie rozmawiałem. Kazałem nie łączyć i żeby linię mi zaraz zablokowali... Ty co, nie aresztowałeś go? Jak to, dlaczego on jest dotąd na wolności?

Skripicyn milczał, a pułkownik się denerwował:

– Anatolij, słyszysz? Halo, halo... Anatolij, mówię, zaraz jutro za kratki go!

Chorąży odezwał się, by zyskać na czasie:

– A nakaz aresztowania?

– Ty jedź, załatw sprawę, a ja nakaz wystawię.

– Dobrze, zajdę z rana, omówimy...

– Tu nie ma czego omawiać. Jedź z rana, o szóstej. Narobiłeś bigosu, to teraz jazda, zaprowadź mi tam porządek.

Skripicyn rzucił huczącą wciąż słuchawkę i roześmiał się suchym, przerywanym śmiechem podobnym do sapania biegnącego po śladzie owczarka. Chwycił na powrót słuchawkę, wysapał się i przywołał pułkową centralkę.

– Skripicyn mówi. Był do pułkownika telefon z szóstej kompanii? A kto dzwonił?... To połącz mnie szybko... Łącz, mówię ci, wydziału specjalnego te rozkazy nie dotyczą, dawaj Karabas.

Rozległ się jakiś głos, przebił przez trzaski, a Skripicyn od razu się go mocno uchwycił, jakby zaciskał węzeł.

– Szósta? Ty co, języka w gębie nie masz? Gdzie Chabarow?... Co mówisz?... Mordo pijana, jeszcze będziesz mi tu gadał... Słuchaj i zakarbuj sobie: Chabarowa wypuścisz! Wypuszczaj! I powiedz, że jego sprawą dowódca pułku się zajmie, jak będzie miał do tego głowę. Kompanii mu nie dawać, od dziś liczy się jako odwołany, żeby nawet w pobliżu wartowni go nie było. Słyszysz mnie? I żadnych telefonów, w pułku i bez niego durniów jest dosyć. Tak mu właśnie powiedz – durniów.

Skripicyn rozłączył się i od razu znów przywołał centralkę.

– Tu Skripicyn, już rozmawiałem... Jeśli sam pułkownik będzie dzwonił do szóstej, meldujcie mi... Co? Do wydziału specjalnego chcesz trafić?! A jak będą dzwonili z szóstej, to łączyć z wydziałem, zobaczymy, co tam u nich.

Kiedy Skripicyn zwinnie operował telefonami, w przybudówce wydziału specjalnego zjawił się Sańka. Nie spodziewał się zastać tu szefa, ale na dźwięk jego głosu zrozumiał, że chorąży postanowił zanocować. Zdarzało się to i przedtem, chociaż Skripicyn, nauczony zeszłorocznym pożarem, bał się zostawać w wydziale na noc, ale kiedy mimo to zostawał, Sańka ustępował mu łóżka za ogniotrwałymi szafami, a sam szedł ułożyć się do snu w garażu. Teraz też, przestępując z nogi na nogę, czekał na taki rozkaz.

Na widok Sańki, zderzywszy się z nim wzrokiem, Skripicyn się rozzłościł.

– Ty co, czego mi za plecami stoisz?

– No to ja do garażu pójdę... – cofnął się Sańka.

Ale Skripicyn opamiętał się, rozmyślił.

– Czekaj... Kimać będziesz potem, najpierw umyj ciężarówkę.

– Tak jest, właśnie umyłem.

Kałodin odwrócił ciemną, wygarbowaną twarz i ruszył do wyjścia, ale Skripicyn nie mógł go jeszcze wypuścić z wydziału.

– Stój, Kałodin, posłuchaj mnie... Ja cały w nerwach byłem, rozumiesz? Całą drogę w nerwach, już jak wyjeżdżaliśmy z Karagandy. Tak, sam taki rozkaz dostałem, od kogo – nawet przez gardło mi nie przejdzie. Nikomu nie mam prawa tego mówić, ale ciebie wplątałem, to lepiej będzie, jak się dowiesz... Kartofle niebezpieczne były, przyszedł rozkaz: zlikwidować. Sam nic więcej nie wiem, to sprawa wagi państwowej, od razu widać. Wiedzieli o tym ja i dowódca pułku, teraz jeszcze ty, ale od tej chwili zapomnij o wszystkim.

Powiedziawszy to, co rozgorączkowanie wcisnęło mu do głowy, Skripicyn aż się wzdrygnął, widząc, jak ślepo wierzy mu Sańka, jak zajęczał od nagromadzonej w nim męki.

– Wiedziałem, wiedziałem... Ja, szefie, za wami, gdzie każecie... Ja za was zabić mogę...

– Ty milcz lepiej, co ci do łba przychodzi? – Skripicyn zdrętwiał. – Zostań w wydziale, słyszysz, z rana oczyść mój szynel i żebyś mi się na krok stąd nie ruszał.

– A co z wami, jak ja tu zostanę? – spostrzegł się wierny Sańka.

– Pójdę do lazaretu, mnie tam dadzą miejsce, a ty wyśpij się porządnie.

Zjawiwszy się w lazarecie, Skripicyn obudził dyżurnego sanitariusza i nie wdając się w długie wyjaśnienia, zażądał dla siebie łóżka w sali oficerskiej na jedną noc. Sańkę Kałodina od razu w tejże chwili skreślił. Najpierw ze składu osobowego wydziału, bo poczuł, że tego żołnierza nie może dłużej mieć przy sobie. A potem, kiedy nie mógł zasnąć w pustej sali, jakby był na czczo, i długo rozmyślał, jak by tu najwygodniej pozbyć się

tego niepotrzebnego teraz świadka, przyłapał się na takiej myśli: lepiej by było, żeby ten żołnierz przepadł jakoś sam z siebie, niechby nawet umarł. I z tą myślą, która przemknęła mu przez głowę niczym drobniutkie fale po rozwodnionym już od śmiertelnego zmęczenia mózgu, naczelnik wydziału specjalnego zasnął.

Nazwisko tego człowieka, który służył kiedyś w kompanii konwoju sądowego – jako jeden z tych, co godzinami stoją nieruchomo jak słupy po tej stronie ławy oskarżonych, na której sadowi się prawo – stało się wszystkim znane w dniu, kiedy niejaki Zadirajło, z kondycji swojej rzeźnik w stołówce, zwrócił się z oświadczeniem nawet nie do wydziału specjalnego, tylko na milicję: zeznał, że będzie już rok, jak chorąży Skripicyn groźbami wymusza na nim co miesiąc po dwadzieścia rubli. W ślad za chciwym Zadirajłą pociągnęli coraz to nowi ograbieni ludzikowie, z nadzieją, że dostaną z powrotem swoje pieniądze: z jednego Skripicyn groźbą wycisnął pięćdziesiąt rubli, z drugiego dychę, z kogoś tam trzydzieści rubelków... Dziwne było, dlaczego ci gospodarni ludzie, tym się w pułku wyróżniający, że służyli w różnych dochodowych miejscach, oddawali mu swoje pieniądze. Dziwne było i to, że Skripicyn brał z wyrachowaniem, jakby miał jakiś własny pogląd na to, kogo i na jaką sumę, można powiedzieć, skazać.

Sąd nad samym chorążym, już taki prawdziwy, odbył się w klubie, przy ludziach, tak jak zawsze w pułku sądzono. Skripicyn do winy się nie przyznał, przez całe śledztwo milczał. A kiedy udzielono mu głosu, sam zaczął rzeźnika na podstawie jakiegoś zeszyciku oskarżać, ile i kiedy ukradł on państwu. Tak samo wsypał na rozprawie inne rzekome ofiary, a potem tym swoim zeszycikiem, gdzie miał zapisane, co mu było trzeba, zamachnął się na grzeszki wszystkich cokolwiek znaczących ludzi w pułku. Jak zdołał zdobyć takie informacje, nie sposób było zrozumieć. Doskrobał się najbrudniejszych tajemnic: okazało się, że był w pułku nawet taki oficerek, co prawda z tych niższych, który urlopami, żarciem, wypitką rozpuszczał żołnierzy w zamian za to, że ci dawali mu się sobą pobawić.

Ci, których Skripicyn oskarżał ze swojej ławy oskarżonych w klubie, wszystkiemu zaprzeczali. Wedle ich zeznań wymuszał z nich pieniądze, grożąc, że się z nimi rozprawi fizycznie. On zaś oznajmił, że nie widział innego sposobu zapędzenia pod sąd całej tej ferajny, jak tylko szantażem zmusić ich samych, by wcześniej czy później do wszystkiego się przyznali. Dodał, że niejednokrotnie pisał do wydziału specjalnego całą prawdę o osobach, które od niego ucierpiały, ale w wydziale nie reagowano. I oświadczył też, że z uzyskanych w ten sposób pieniędzy nie wydał na siebie ani kopiejki, czekając na dzień, kiedy będzie mógł je w całości i bez ubytku zwrócić państwu.

Smierszewicz, czego świadkami byli konwojenci, podłaził do Skripicyna ze wszystkich stron i w obawie, że go usłyszą, syczał:

– Zapomniałeś, skąd ciebie wyciągnęli? Siedź cicho, Słonino!

Rozprawę przerwano, Skripicyna zawieźli do aresztu śledczego. Pułk z cicha huczał. A nazajutrz dowiedziano się, że jeden z oskarżonych przez chorążego – ten stary dowódca, który rozpieszczał żołnierzyków – powiesił się. Zadirajło i inni pobiegli do prokuratury, żeby odwołać swoje skargi, ale było już za późno: w pułku zaczęły się śledztwa, dochodzenia... Skripicyna tymczasem wypuszczono na wolność. A ile głów poleciało! Pułk wyglądał tak, jakby skórę z niego zdarto.

Zmieniono dowódcę pułku, w popłochu mianowano nim Fiodora Fiodorowicza Pobiedowa. Skripicyna uniewinniono i ku ogólnemu zdziwieniu Smierszewicz wziął go do siebie do wydziału specjalnego na dochodzeniowca. Wtedy to właśnie Skripicyn otrzymał ważny awans, został mianowany starszym chorążym. I wielu potem słyszało nieraz, jak go Smierszewicz ochrzaniał:

– No, Słonino, ja ci jeszcze nie wybaczyłem, siedź cicho!

Ile minęło czasu, trudno powiedzieć: życie w pułku ułożyło się, nikt nie liczył dni. A o sprawie Skripicyna całkiem zapomniano. Nowym wydarzeniem, które wstrząsnęło pułkiem, była sprawa siedmiu. Skripicyn nie brał w niej udziału, ale wiele zmieniła ona również w jego życiu. Zazwyczaj z końcem jesieni miejska stacja sanitarno-epidemiologiczna

przysyłała samochód i opróżniano wypełnione po brzegi pułkowe szambo. Za wezwanie odpowiedzialne były służby kwatermistrzowskie, ale wtedy właśnie zmieniło się w nich dowództwo i zapomniano wezwać samochód. Zimą szambo przepełniło się, przez co i teren pułku w okolicy latryn zaczął się zanieczyszczać. Gówna nie można było wyczerpać, bo zima to zima. Pozostało tylko albo wydłubywać, albo czekać do wiosny, aż roztaje. Ale gdyby wydłubywać, to i sam budyneczek z latrynami mogliby rozwalić. Wtedy to właśnie Fiodor Fiodorowicz Pobiedow samodzielnie rozkazał wykopać na tyłach jeszcze jedno szambo, tymczasowe. Wykopywało je w zamarzniętej ziemi siedmiu żołnierzy przebywających na leczeniu w lazarecie. Wzięto ich do tej roboty, żeby nie odrywać zdrowych ludzi od służby, a zresztą zdrowi nie zgodziliby się budować sracza. Chorzy zaś i z tego byli zadowoleni, że choć z tydzień jeszcze nie musieli oglądać koszar. Wykopali już jamę, w której mieścili się z głowami, kiedy natknęli się na zlodowaciały gruby kabel, ale nie zorientowawszy się co i jak, walili w niego łomami jak w kamień. Prąd z przeciętego kabla zabił wszystkich siedmiu naraz. Podczas śledztwa w sprawie ich śmierci odnaleziono w sztabie mapę podziemnych instalacji, na której kabel był dokładnie zaznaczony przerywaną linią. Wydając rozkaz, Pobiedow nawet nie zażądał mapy. Miejsce dla szamba wybrał na oko, po staremu. Śledztwo i sam śmiertelny wypadek nadwyrężyły pułkownikowi serduszko. Żałował zabitych chłopaków do bólu, miał pretensję do siebie, ale mimo to swojej winy nie rozumiał, tak jakby doszło do zwykłego nieszczęśliwego wypadku. Od sądu uratował pułkownika Smierszewicz – tak zaplątał śledztwo, że siedem trupów rozwiało się jak dym. Oddawszy taką ważną przysługę, oczekiwał szczególnego dla siebie szacunku, ale pułkownik nim gardził, nawet zdołał go w duchu znienawidzić. A raz nakazał wprost, żeby się zabierał z pułku, na co Smierszewicz mu odpowiedział, że skoro tak, to i on się z nim zabierze.

I wtedy zaczęła po pułku krążyć pogłoska, jakoby Smierszewicz był Żydem. Rozeszła się, rozlała, wypłynęła nie wiadomo skąd. I wszyscy wokoło mówili: „Żyd, Żyd...”. Okrążony takimi szepcikami Smierszewicz zaczął pić na umór. Wydało mu się, że te słuchy rozpuścił sam Fiodor

Fiodorowicz, czyli Pobiedow. I w rzeczy samej pułkownik „Żyda” nie skąpił. Smierszewicz zaś, wygrażając całemu światu, słaniał się pijany od człowieka do człowieka i żalił się gorzko:

– No, kto tak łże? No, czy ja wyglądam na Żyda?!

A jak ktoś nie zaprzeczał, to rwał się z takim człowiekiem do bitki.

I tejże zimy, kiedy rozeszła się ta pogłoska, pułkownik zaczął przywabiać Skripicyna i wielu słyszało, jak Smierszewicz groził dochodzeniowcowi:

– Ze śmiecia na waszecia leziesz? Tylko patrz, wepchniesz się przed ojczulka i piekło będzie, całe sadło z ciebie wytopię, przypomnisz sobie, kim byłeś, z jakich pomyj cię wyciągnąłem.

Może wypiwszy, a może ze złości za „Żyda”, Smierszewicz niedługo potem spalił się i przy okazji spalił cały wydział. Wiele szaf było otwartych, z czego wywnioskowano, że przed śmiercią grzebał w papierach, których prawie połowę strawił ogień. Straty obliczał i śledztwo w sprawie pożaru prowadził Anatolij Skripicyn. Z pożarem nie miał nic wspólnego, bo w związku z poszukiwaniem pewnego dezertera był akurat w delegacji, toteż nikt nawet nie myślał go podejrzewać.

Te właśnie okoliczności sprawiły, że takiemu śmiesznemu i na oko żałosnemu człowiekowi Pobiedow powierzył wydział specjalny. Sam staruszek swój termin dawno już odsłużył, myślano, że on teraz spokojnie na emeryturę pójdzie, ale pułkownik nie odchodził. W tym czasie uważał się już za wybitnego dowódcę, nie wiedząc – bo mu nie meldowano – że żołnierze uciekają z kompanii, a zecy z obozów, gdzie pijani strażnicy śpią na wyżkach, że oficerowie biją się o przydziały i stopnie nawet najniższe, w dalszych zaś miejscowościach bezbożnie się upijają, że wszędzie nawet tynki się sypią, a niedawno kucharz z barszczu szczura wyłowił i wymyślał tak, jakby szczur z kotła całe mięso wyżarł.

– No, szczury prosto z kotła żrą! – wrzeszczał zdjęty słusznym gniewem.

Rozdział piąty

Z aresztu

Gamoniem, któremu Skripicyn w pośpiechu powierzył zbuntowaną kompanię, okazał się nie kto inny, tylko Ilja Pieriehud. Specjalny zwiał z Karabasu, porzuciwszy go na środku dziedzińca. W to fatalne popołudnie i dziedziniec, i okolica obozu wydały się Pieriehudowi przewrócone do góry nogami. Dach budynku koszar zawisł nad niebem, jakby machnął pudowymi skrzydłami, a samego Pieriehuda mocno mdliło. Dusiło go nie od wypitki, lecz dlatego, że śmiertelnie chciało mu się napić.

W życiu swoim Ilja Pieriehud trzymał się dwóch rzeczy, które zawsze były dla niego święte, bo nawet w ostatecznej potrzebie przepić by się ich nie dało: kozackiego czuba i kozackich wąsów. „Kozak jestem znad Donu, słyszałeś o takiej rzece?”. Oczu nie można było od niego oderwać, kiedy to mówił. Jego przesiąknięty wódką szczerbaty pysk miękł, zmarszczki rozpływały się jak kręgi na wodzie, wyraźniej od wszelkich farb ukazując to, co tkwiło w pamięci jako wygląd sędziwego starca, chociaż liczył sobie Ilja ledwie czterdzieści lat. I zdawało się, że gdyby go wrzucić do pieca, to czub i wąs nawet tam by się nie spaliły, z płonących węgli wyjrzałby sam Pieriehud, a ogień zahuczałby, zaśpiewał: „Rzeeece...”.

Dusza jego nie była ani wolna, ani dzika, tylko porastała jak wieczna trawa, która przebija się czasem nawet na gołych kamieniach. Nie sprawił sobie rodziny, porządnego domu, a wyuczył się tyle, że tylko do najbardziej szmatławych robót się nadawał, nie chciał i zresztą nie mógł się spiąć, wytężyć trochę, nie chciał zamienić się w mrówkę – mówił. A wódka i tak, bez wysiłku, bez nienawistnej mrówczej pracy, dawała mu radość. Kiedy

Ilja Pieriehud pił do woli, dni przypominały święta. Pijąc z gwinta, słysząc brzęk butelki, czuł taki zachwyt, jaki odczuwają chyba tylko niemowlęta. Znał sto sposobów produkcji wódki, wiedział, jak się ją pędzi z ryżu, pszenicy, zgniłych jabłek, trocin, starych babskich szmat i przekwaszonego kapuśniaku. Utrzymywał też, że jeśli nic takiego nie ma pod ręką, to da się ją zrobić, mieszając ziemię z wodą. I jeszcze tylko splunąć raz, żeby się zaburzyła! Jak cudownie się czuł, wypijając pierwszą stopkę po przebudzeniu, jak przenikała mu do środka niczym nagie, świeżo wyklute pisklę! Jakąś minutę rozkoszował się nią, odrzucając w tył czubatą głowę i czując ciepły trzepot w piersi. Stopka po stopce ptaszątko podrastało, już rozpościerało skrzydełka w piersi Pieriehuda, która stawała się przez to szeroka i czysta jak niebiosa. A potem Ilja wzlatywał! Wzlatywał niczym potężny, swobodny ptak z gorącymi, śpiewnie grającymi piórami, z dzwoneczkami na ogonie połyskującym oksydowaną stalą. Wznosząc się na zapierającą dech w piersi wysokość, skąd nawet ziemia zdawała się nie większa niż pomarszczony orzech włoski, kozacka dusza szybowała lub kąpała się w sunących strumieniami wiatrach, przesiąknięta tytoniem, wódką, Donem i dymem kozackich stanic.

Pieriehud pamiętał, że mieszkali z ojcem w stanicy. Matka odumarła go wcześnie, a gospodarstwo mieli bogate. Żyli sobie z ojcem w przyjaźni. Kiedyś jednak stary pojechał do Rostowa na rynek kołchozowy handlować jagodami, a wrócił pustym wozem, trzymając w objęciach młodą babę. Zaczął żyć z tą babą, ale syna kochać nie przestał. Tak przy niej mówił: „Gospodarstwo Ilji przypadnie, niech on postanowi, co po mojej śmierci ma być z tobą, może i w domu ciebie zostawi”. Minęło trochę czasu i ta baba starym się znużyła, upatrzyła sobie syna. A i to z początku niby matkę zgrywała, to go obejmie, to w czoło pocałuje, miłe słowo powie. Aż tu nagle nie wytrzyma – i do warg się przyssie. Ilja bał się skarżyć na nią ojcu. No bo stary duszą do niej przywarł, chociaż wziął ją z miasta gołą i bosą, jakby parobczychę najął. A macocha zła była, że Ilja jej się opiera, rozbestwiła się. Jak ojca nie ma, to koszulę zrzuci i chodzi goła po izbie, tak że Ilja w ojca nieobecności z domu ucieka. Ale i przy ojcu zdarzało się, że urwie baba lubieżną chwilkę, kiedy ten wyjdzie, i kieckę zadziera: „No,

synku, patrz, co ja tu dla ciebie, dla miłego chowam...”. Tak to się Ilja męczył, sił już nie miał ukrywać przed ojcem prawdy i raz powiedział, jak z tą babą jest, wszystko jak na spowiedzi. Ojciec, niewiele myśląc, synowi uwierzył. Kurewkę nahajem sprał. Kazał jej w chlewie przenocować i żeby jutro rano ni śladu po niej nie było. A jak się obudził, słyszy: baba w chlewie krzyczy. Wbiegł i widzi, że syn na macochę jakby się zwalił, koszulę na niej rozdarł i rucha, a ona pod nim szarpie się, krzyczy. Stary wtedy głowę z gniewu stracił, rąbnął syna drągiem po głowie. A kiedy Ilja się ocknął, to już nie miał ani ojca, ani domu rodzinnego. Baba jeszcze wieczorem, jak ją stary nahajem chrzcił, zaklinała się, że Ilja ją z zemsty oczernił za to, że pozostała mężowi wierna, a jemu nie dała.

Stary nieprzytomnego syna wpakował na konia i zdał na milicję, a kiedy Ilję skazali za zgwałcenie ojcowej żony, pożył jeszcze rok z tą babą i umarł. Dom, obejście, gospodarstwo z dwoma końmi, świniami, sadem, ogrodem dostały się tej wrednej babie, która wydała się za niego i jakby go zabiła.

Młoda wdowa wszystko hurtem, nie targując się, sprzedała i czym prędzej uciekła z obcej, ograbionej przez siebie stanicy.

Ilja Pieriehud w łagrach dostał w kość tak, że aż krwią rzygał, ale dzięki wrodzonej sile wyżył. Przesiedział trzy latka, ocalał, a na resztę wyroku ulżyli mu, spławili go jako zeka na przepustce na czarną, darmową robotę.

Odsiadywał wyrok pod Karagandą, tak że jego robocze dni upływały w kazachskim stepowym kraju, w jednym takim maleńkim, czystym miasteczku Abaj, gdzie robił za górnika. Ale do codziennej roboty i trudu dusza jego nie lgnęła. I nie nawykł Ilja do tego, żeby wstawać, kiedy każą, robić, co każą.

Kazachskie stepy milsze mu były od rodzinnych stron, jak ciepłe, jasne niebo ptakowi. Kazachom koczującym z kołchozowymi stadami każdy gość jest drogi – napoją, nakarmią, przenocują pod swoim dachem... Kumysu – ile chcesz. A przecież mają też arakę, od rosyjskiej wódki mocniejszą, ej, jej!

Można powiedzieć, że Ilja Pieriehud pił z nieustannego strachu przed trzeźwością. Czy była to choroba duszy, zwiastun białych gorączek, czy

zastarzałe nieuctwo, czy może wzbierała w nim nieznajdująca ujścia złość, tak czy inaczej twierdził, czasem z przerażającą zaciekłością, że jest na świecie jedna straszna siła, która chce wszystkich Kozaków wygubić. Tę siłę nazywał w swoim języku „legawymi”, dokładniej wyrazić się nie umiał. Oznaczała zaś ona ten solidny porządek, który zmusza człowieka do posłuszeństwa.

Zwolniony z przymusowych robót, dożywiał się w stepach od Karagandy do Żezkazganu, od Uralska do Bałchaszu. Stepowcy, z dawien dawna wrodzy Kozakom, bali się trochę Pieriehuda, tych jego wąsów i czuba, ale z czasem go polubili. Pieriehud zapomniał rosyjskiej mowy, nauczył się polować na stepową zwierzynę i bez obrzydzenia pić kumys, ale pracownik z niego był kiepski i gospodarze miewali go dość. A na zimę koczownicy wracali do kołchozów, gdzie pełno było rosyjskiego narodu i już osiadłych Kazachów. Za wszystko im odpracuj, zapłać. A trafi człowiek na Ruskiego, to ten tylko patrzy, jak w bydlę cię zamienić, do chlewa na łańcuch wsadzić.

Tak więc zimą Ilja przedostawał się ze stepu do miasteczek i osad górniczych, ale wszędzie tam było jakieś naczalstwo, którego on ścierpieć nie mógł, płacili mało i mieszkać nie było gdzie. Zakochiwały się w nim baby, ale każda zaraz chciała, żeby się z nią żenił, tylko wtedy godziła się go poić, karmić i u siebie w domu zameldować jak człowieka. A dla Pieriehuda żeniaczka była tym mrówczym trudem, do którego nie chciał, a i nie mógł się zmusić.

Zdarzyło się raz, że wędrując od koczowiska do koczowiska w poszukiwaniu życiodajnej araki, zabłądził w stepie i udręczony trzeźwością położył się koło drogi. Chciał odpocząć. Wyschła krtań świerzbiła go tak, że chciało mu się ją wydrapać albo nawet wydrzeć. Ale palące stepowe słońce potężnymi ognistymi żyłami krępowało mu ręce, przez co Ilja walał się po ziemi i żuł gorzką, wyschniętą trawę, do której mógł sięgnąć ustami.

I nagle spod ziemi wyrósł wilk... Drobny, z szorstką ryżą sierścią podobną do dziczej szczeciny i z bródką wżerającą się w oczy jak pył. Ta ostra bródka w klin, wyglądająca obco i bezczelnie, nadawała jego tępej

mordzie z szerokim czołem jakiś zajadły wyraz. Wilk popatrzył na Pieriehuda łzawymi ludzkimi oczyma i ryknął do niego:

– Czas, żebyś wreszcie swoich gospodarzy zaczął się bać, pora chleb zjedzony odpracować, dosyć się już bawiłeś!

Niczym by się Ilja tak nie przejął jak tym, że wilk przemawiający do niego w bezludnym stepie cuchnął wędzoną rybą, wonią trzeźwą i słoną jak krew. W baraku obozowym czuć było tak samo. Pojął wtedy Ilja, że to sam Legawy odezwał się do niego. U legawych co jeden to wódz, a ten należał do ich sfory, żelazną sierścią krytej, karmiącej się żywymi ludźmi.

I zerwał się Pieriehud na nogi, zaczął uciekać od wilka ile sił. Wilk zaś, goniąc Kozaka, truchtał za nim w pewnej odległości, jakby zostawał w tyle, dając mu nadzieję, przez co Ilja tym bardziej tracił siły. A Legawy tylko czekał, aż Kozak sam się wykończy. Biegł nasz Ilja jakąś wiorstę, potem czołgał się na brzuchu, trawy się czepiając, a wilk snuł się w ślad za nim, czekając, aż ścigany straci siły, osłabnie, a wtedy stanął nad nim i znowu zagadał:

– Czas ci już wreszcie w gospodarski kierat się wprząc. Wszyscy się już wprzęgli i my nimi ziemię orzemy. Czy ty wciąż nie rozumiesz, że to naszą prawdą ziemia się rządzi? Czy ty wciąż wierzysz, że sam sobie panem jesteś?

Pieriehud udał trupa, ale serce w jego strachem zdławionej piersi biło na cały step. Charknął wilk śmiechem, ale rozzłościł się, że Kozak go chce oszukać. I powiada:

– Czas już cię wreszcie zeżreć. Nie ma z twojego strachu żadnego pożytku, tylko kości i mięso. Będziemy teraz cię odwiedzać i odgryzać kęs po kęsie, ile tylko się z ciebie nabierze kości i mięsa.

Urwawszy taki właśnie kęs, wilk odskoczył od wyjącego Ilji i głośno mlasnął paszczą. Zadowolenia mu to, co przełknął, nie przyniosło ani też jednym kęsem najeść się nie mógł, ale taką miał pracę, to był jego legawy obowiązek. Popatrzył z obrzydzeniem na żywą mękę Kozaka, stanął nagle na tylnych łapach, urósł ogromny i ruszył gdzieś w step, gdzie mu było trzeba.

Ilję naszego znaleźli polujący w okolicy Kazachowie. Zawieźli go do koczowiska, napoili kumysem. W opowieść jego stepowcy nie uwierzyli. I nie dlatego, że wilk, co się jakoby Ilji objawił, mówił ludzkim językiem. Kazachowie, od urodzenia znający swoje ziemie i zwierzęce obyczaje, odpowiedzieli Kozakowi, że wilk nie mógł się znaleźć na ich bezwodnym stepie. Że wilki nie żyją tam, gdzie nie ma w pobliżu otwartej wody. Dlatego uznali, że Pieriehud był pijany, skoro wilk mu się przywidział. A kęs mięsa wygryzły mu polne szczury, kiedy walał się na ziemi. Kazachowie Ilję jednak sumiennie pielęgnowali, on zaś jeszcze z miesiąc rozkoszował się w ich koczowisku araką i niczego lepszego dla siebie nie pragnął.

Ale ryżą wilczą mordę dobrze miał w pamięci, nie dawała mu spokoju, straszyła, kiedy już nie nalewano mu w stepach i nie chciano już nalewać w miasteczkach, gdzie ledwie udawało się wyprosić u roboli kufelek stęchłego piwa. I nagle znów zajeżdżało wędzoną rybą i wydawało się Pieriehudowi, że to legawi odnaleźli go i dręczą.

A jeszcze w łagrze śnił się Ilji przez wszystkie lata jeden i ten sam sen. Śniło mu się, że napił się wódki i w białej, galantej koszuli przechadza się po ojczystej ziemi. I nagle podchodzą do niego stróże porządku, chwytają go, wrzucają na okutą śmierdzącym żelazem skrzynię takiej ciężarówki, co to podobna jest do trumny. Prosto ze skrzyni, duszę z niego wytrząsnąwszy, ciskają go do ogromnego martwego domu, gdzie wszystko jest żelazne i zardzewiałe i znów cuchnie wędzoną rybą, jakby w domu żyły staruchy. Potem rozbierają go do naga i polewają lodowatą wodą ze szlaucha, jakby był obsrany, a polewają go baby takie grubaśne, że do chłopów podobne. Gołego, przemarzniętego, sumiennie te wielkie babska obrabiają butami. Półżywego wloką gdzieś po ziemi, spać go kładą na płask na kancie łóżka i przywiązują do niego za ręce ni to drutem kolczastym, ni to struną od gitary. A rano golą go za karę, oszpecają maszynką. Rzeczy zwracają, ale bez guzików, poobrywały je. Szydzą:

– Popatrz, sukinsynu, na siebie, przecież cię anulować trzeba, ty ojczyznę hańbisz.

Patrzy Ilja, a koszula i brudna, i podarta, i cała we krwi.

Pieriehud w tym śnie znosił wszystkie tortury, ale nigdy nie mógł wytrzymać tego, że jego czub i wąsy golili zębatą, kiepską maszynką, i budził się od przeżywanego w takich chwilach przerażenia. Udręczony i snem, i jawą, poddał się: świadomie zaprzedał, jak uważał, legawym duszę – żeby go nie zniszczyli. Zawarto tę nieskomplikowaną transakcję w Ugolpunkcie, w baraku noclegowym dla pracowników łagru, dokąd Ilję zaprowadziła jego pijana droga i gdzie on, pijąc z wachmanami, prosił ze łzami w oczach swoich nowych kumpli, żeby urządzili go u siebie, w straży obozu.

Może i zdarzyło się to po pijanemu, ale nająwszy się do straży, Pieriehud przesłużył w niej wiele lat. Z początku, przezwany Obuchem, służył za wachmana, a potem przeniesiono go do kompanii wartowniczej, do kapitana Chabarowa, w spokojne miejsce, i myślał sobie w duchu, że kapitan też się przed legawymi chowa i też, choć to ukrywa, z ostatnich Kozaków się wywodzi. Spełnił się jednak pijany sen! Chabarowa aresztowano, kartofle zabrano i zwidziało się Pieriehudowi, że legawi zaczęli swoje łowy na Kozaków.

W kompanii natomiast nie mieli wątpliwości, że Ilja, jak tylko Skripicyn odjedzie trochę dalej, wypuści kapitana z aresztu. Pieriehud zawziął się: nie będę, niby, rozkazu naruszać. Ale do zbrojowni, gdzie był zamknięty Chabarow, jednak pobiegł...

Kapitan rzucał się po zbrojowni jak po klatce. Pancerne szafy, w których trzymano broń, stały w ciasnych rzędach pod ścianami i dlatego zdawało się, że zbrojownia jest pusta. Chabarow milczał, podobny do trupa, ale kiedy usłyszał zbliżające się kroki, migiem się otrząsnął i rzucił całym sobą ku podchodzącemu Pieriehudowi.

– Szybko, wypuść mnie!

Pieriehud, którego specjalny zostawił w kompanii jako szefa, jęknął tylko lękliwie w odpowiedzi:

– Nijak nie mogę, Wania, ciebie jutro do sądu powiozą, już wytrzymaj.

– I ty też na tę bujdę się nabrałeś?! – wybuchnął Chabarow. – Przecież wczoraj z generałem mówiłem, oni to za jego plecami zrobili!

– Nie ma go, generała, znaczy się... – chlipnął Ilja. – Ty lepiej do winy się przyznaj, może jeszcze wybaczą.

– Tyś przecież mój przyjaciel, kto jeszcze mi uwierzy?! – darł się kapitan.

Pieriehud cofnął się od klatki, zasłaniając swoje bycze oczy i pochlipując.

– Kartofle, kartofle ratujcie! – krzyczał w pustkę Chabarow i krzyczał tak długo, dopóki nie ochrypł.

Ilja wziął od dyżurnego klucze od zbrojowni, schował je do kieszeni i poszedł do najdalszego zakątka koszar, gdzie zamknął się w swojej norze. I po jakiejś chwili zaśpiewał: „Jakbym swoich nie znał smutków, nie umiałbym, bracia, bawić się ni pić, jakby mnie nie wołał dońskich pieśni głos, nie umiałbym, bracia, śpiewać ani żyć...”.

Żołnierze, zgłodniali, pozbawieni kartofli i kapitańskiej troski, zaczęli szukać kapusiów, których obwiniali teraz o wszystkie swoje nieszczęścia, i wśród okrzyków: „Co, kapitan sprzedany? Kartofelki nasze sprzedane?”, urządzili w koszarach rozprawę. Winny jednak znalazł się tylko jeden – żołnierz nazwiskiem Korniejczuk, który po prostu nigdzie nie uciekał, nie chował się, tylko siedział gdzieś z boku, kurząc swój tytonik i obojętnie się rozglądając. Piotr Korniejczuk wyobrażał sobie, że mu tatuś z mamusią siły dali tyle, ile wody do rzeki nalano. Kto do niego podbiegał, temu przywalał sprzączką od pasa, i to tak, że jeden chłopczyna zwalił się na ziemię. Wojsko wtedy rzuciło się hurmem na Piotra, przez co i dziedziniec, i sama osada obozowa znowu opustoszały. Bili kapusia aż do zmroku, całkiem jakby go naprawdę zabić chcieli. Bili do upadłego, odbiegali od niego i znowu wracali bić, ale oszpecić mordy w żaden sposób im się nie udawało i dlatego wciąż uparcie bili, dopóki zziajani nie odpłynęli.

Przypomnieli sobie o Piotrze, kiedy z kolacji została jedna porcja. Przestraszyli się, że go całkiem zabili, chociaż tamten chłopaczek, który na koniec sam zabawił się w odwecie pasem ze sprzączką, zapewniał, że

Korniejczuk i po sprzączce oddychał jak złoto i nawet sapał, kiedy go porzucono na koszarowym dziedzińcu. Po ćmaku nie od razu zauważyli ślad. Ślad kończył się przy latrynach, ale w budce nikogo nie było. Zaginionego odnaleziono przypadkiem, kiedy jakiś żołnierzyk przyszedł za potrzebą i spod wygarbowanego stepowymi wiatrami zadka dobiegły go jęki Korniejczuka. Zajrzeli do dziury, świecąc sobie żagwią z gazety, i zobaczyli go. Tonął. Grozili, tłumaczyli, błagali, żeby wylazł, ale Korniejczuk tak się ludzi przestraszył, że już im nie wierzył. Pieriehud, jako naczalstwo wezwany na pomoc, oderwał od ustępu deskę i zaczął nią okładać zgromadzonych wokół ludzi. Wszyscy uciekli od rozwścieczonego Ilji. Zostawszy sam, Pieriehud długo i od serca rozmawiał w ustępie z Korniejczukiem, ale ten za nic nie zgadzał się wyleźć, chociaż tego nie mówił, tylko myczał. Pieriehud z urazy za niego rozwalił budę z desek i zrównał ustronne miejsce z ziemią. Gdyby jakiś przedstawiciel reszty ludzkości znalazł się wtedy w tym stepie, jego oczom objawiłby się przedziwny obraz. Deski rozrzucone po ziemi jak po jakiejś katastrofie. A koło nich w gołym, poczerniałym stepie siedzi tajemniczy olbrzym i objąwszy rękoma czubaty łeb, prowadzi jakąś rozmowę, tak cichą, że jakby poufną.

– Żyć trzeba, choćby nie wiem co ci zrobili, właśnie na złość trzeba żyć. Najłatwiej się w gówno schować, ale co potem? Wiecznie tu będziesz siedział?

A ziemia pod olbrzymem myczy żałośnie, on ostrożnie się ku niej nachyla, wsłuchuje.

– Dyszysz czy jak? – I mówi, jakby samą ziemię upraszał: – Chodź ze mną, przy mnie cię nie ruszą. A chcesz, nowe umundurowanie ci przyszykuję, najlepsze. Słyszysz, pójdziemy, wszystko się naprawi, w łaźni napalimy!

Co było potem, nikt się nigdy nie dowie. Ale Pieriehud spełnił swój obowiązek i wyzwolił gównotopielca.

Karabas zatonął w czarnej, lodowatej, nocnej wodzie. Po zaciągniętej jak po oparzeniu gładziźnie płynęły światła łagrowych reflektorów. Tęsknie

wyły przykute do słupów owczarki, czując, że w świecie ludzi zapanował całkowity nieład. W taką właśnie noc zjawił się u aresztowanego z kociołkiem kaszy i pajdą żytniego chleba Ilja Pieriehud.

– Koniec, nie mam więcej sił tego znosić.

Złożył swój ładunek, przecisnął ręce przez otwory zamkniętej kraty, rozwiązał na zdrętwiałych kończynach kapitana brezentowe pęta. Potem wsunął też kociołek i chleb. Szepnął:

– Powiemy, żeś sam się rozwiązał.

Kapitan drzemał i kiedy Ilja rozwiązywał mu ręce, jakby pijanemu buty zdejmował, na chwilę się przebudził, wciągnął poprzez drzemkę zapach grochowej kaszy i chleba. Chabarow już jakby zapomniał, że bywa na ziemi kasza, że należy mu się dzienna norma, i długo ciamkał jedną łyżkę.

– Przecież generał mi obiecał... – jęczał, znów zapomniawszy o kaszy, tak że tylko ręce się grzały, trzymające kociołek.

– A ty znów o generale, a jego nie ma – zasmucił się Ilja. – Ty się ciesz, że cię sądzić będą. Więzienie to najlepsza przed nimi kryjówka. Golą i wódki nie ma, gdyby nie to, sam bym poszedł. Co tu gadać, nie mam gdzie się podziać. Ale ty inny człowiek jesteś, ty od nich nie uciekaj, niech sądzą!

– No to jak, nie wypuścisz mnie?

– Ty inny człowiek jesteś, a mnie żyć nie dadzą.

– Chcesz? Będę grzecznie siedział. Tylko do pułku daj zadzwonić.

– Nie, już wybacz, Wania...

Kapitan z trudem wstał i zwaliwszy się na żelazną pierś szafy z bronią, zaczął kopać w nią, jakby bił w dzwon.

– Iwan, usłyszą przecież. – Miotał się przy kracie Pieriehud. – A niech cię diabli, hałasuj, przepadnij!

I wtedy właśnie Ilja z rozpaczy dokonał bohaterskiego czynu. Wpadł zasapany do kancelarii, a tam zorientował się, że aparat telefoniczny ma za krótki przewód, żeby mógł choćby zeskoczyć ze stołu. Stanął jak wryty i nagle ryknął na dwóch dyżurnych żołnierzy. Przypomniał sobie, że na

ogrodzeniu obozu widział kawałek kabla z jakiejś starej instalacji. Ten kabel wisiał tam już wiele lat, a żadnego innego Pieriehud sobie nie przypominał. Kiedy przywlekli kabel do budynku koszar i rozwinęli w korytarzu, okazało się, że nawet z przedłużonym przewodem aparat nie sięgnie klatki. Żeby wypełnić lukę na tych ostatnich metrach, w ruch poszły druty z oparć łóżek, sczepione ze sobą wyciory, gwoździe, kancelaryjne spinacze biurowe, a już jak połączyć wszystko tak, żeby zagrało – gołodupcy wiedzieli, od tego właśnie są gołodupcami, zawsze coś wymyślą. Pieriehud sam sprawdził, czy jest łączność, i przyniósł kapitanowi aparat niczym uzbrojoną bombę gotową wybuchnąć.

– Buczy sukinsyn, szykuj się, Iwan!

Aparat przysunięto do kraty. W tych przejmujących chwilach, kiedy Ilja i jego pomagierzy, promieniejąc czystym światłem, patrzyli na kapitana, sam Chabarow tylko przykładał słuchawkę i wywoływał z daleka dowództwo pułku niczym miniony czas.

– Panienko, siostrzyczko moja kochana, to ja, ja... kapitan Chabarow, z szóstej! Gdzie tam u was jest generał?... Jak to nie ma? Kochana, poszukaj, przecież łączyli mnie z nim!... – Nagle krzyknął jak w malignie: – No to najgłówniejszego dawaj, z nim będę rozmawiał! – Odsapnął i potrząsnął słuchawką, którą trzymał mocno w garści. – Wszystko Pobiedowowi, Pobiedowowi opowiem! – Ale nagle coś jakby zawarczało w powietrzu i kapitan, skupiony do ostateczności, zaczął się wsłuchiwać. – Panienko, ale to przecież być nie może... – Poczerwieniał, a jego grube, proste rysy zmieniły się ze złości. – Niech on sam powie, ja ci nie wierzę... A ja mówię – niech on sam!

W pułku jednak nie dali kapitanowi powojować i on, zgarbiwszy się jak góra, zaczął dmuchać w słuchawkę, stukać, krzyczeć. I wreszcie, jak śmiertelnie ugodzony, poddał się.

– Rozłączyli, bydlaki...

Ilja zachwiał się i wypłoszył żołnierzy ze zbrojowni.

– Zabierać mi tę gadalnię, jazda z nią na miejsce!

Operacja wyglądała na ucieczkę. Aparat wycofał się do kancelarii, dokąd Pieriehud dwoma skokami doniósł go jak piórko. Ilji zdawało się, że teraz, jako kara za grzechy, w koszary uderzy grom albo wpadną tu legawi, i mamrotał pod nosem:

– Oj, narobiliśmy, oj, przepadliśmy... Nas pierwszych wyłapią!

Minęła cała wieczność, nim w kancelarii znów rozległ się dzwonek. Półżywy Pieriehud ruszył na jego wezwanie, a potem, tupiąc ciężko, pomaszerował przez korytarz. W rękach dzwoniły mu na kółku klucze od wszystkich pomieszczeń kompanii. Milcząc, otworzył klatkę i burknął do równie milczącego kapitana:

– Wyłaź. Rozkaz twojego Pobiedowa... – powiedział z cichym wyrzutem. – Kazali wypuścić, znaczy się. Powiedzieli, że głupi jesteś i żebyś do pułku więcej nie dzwonił, a sprawą twoją się zajmą, jak będzie czas. – Pieriehud już się nie hamował. – No, dosyć, wyłaź! A jak nie chcesz, to nocuj tutaj, głupiego miejsce – za kratkami.

I tak przywitali poranek: Chabarow w swojej otwartej na oścież klatce, Pieriehud w kancelarii, w milczeniu, uparcie czekający na przyjazd czarnej suki. Nikt jednak po Chabarowa nie przyjechał. Kapitan opuścił klatkę, żeby przytaszczyć do niej siennik z poduszką i szynel, po czym się położył. Wstał z rana, mimo wszystko wyszedł na zewnątrz, umył się. Jedzenie przynieśli mu do klatki, bo wyjścia na posiłek odmawiał. Następnego ranka już mu nic jeść nie dali, zapomnieli. Wieczorem jednak przypomnieli sobie i przynieśli mu ostygłą kaszę. Trochę później, zgodnie z obowiązkiem, odwiedził go Ilja, który cały czas się zamartwiał:

– Co ty, jakieś straszydło z siebie robisz? Ciesz się, że żywy jesteś.

Nocą, kiedy nikt go nie widział, kapitan zachodził do szopy, w której przedtem leżały kartofle. Tam też w końcu zamieszkał, czekając na aresztowanie. Kiedy świtało, Chabarow szedł na pole, też opustoszałe, gdzie ziemia już skamieniała, a o zmierzchu zamykał się w szopie. Jedzenie dostarczano kapitanowi jak inwalidzie albo dziadowi, za darmo. Nie wiadomo było przecież, czy jest aresztowany, czy zdegradowany, czy też jeszcze jest w służbie. Nagle pomyślny wiatr przyniósł ze stepu ryk silnika.

Potem z łagrowych wyżek wypatrzono, że coś, skryte jeszcze za pochyłością stepu, pełznie do osady. Z wartowni od razu wysypało się wojsko, nic jeszcze nie było widać, ale po całym osiedlu rozległy się krzyki:

– Jadą, po Chabarowa jadą!

Kapitan wyskoczył z szopy, jego pociemniała, szorstką szczeciną obrosła twarz wyraźnie się radowała.

– Doczekał się... – wzdychał Ilja Pieriehud, stojąc samotnie z boku, zgodnie z obowiązkiem.

Wreszcie pokazała się więzienna ciężarówka, podobna do zwykłego furgonu z piekarni, i nie wiedzieć czemu nie skręciła w kierunku koszar, tylko minęła je i pojechała, ciągnąc wszystkich za sobą, dalej do łagru, aż zatrzymała się przy wartowni.

Na ziemię zeskoczył konwój – dwóch zaspanych żołnierzy i poganiający ich, przez to żywiej wyglądający, chorąży.

Okazało się, że mają inny rozkaz: doprowadzić etap z więzienia do obozu. O sprawie kapitana dowódca konwoju nic nie słyszał.

– No czemu oni nie jadą mnie aresztować...? A gdzie tam u was w pułku jest generał? – niepokoił się i wypytywał go Chabarow.

– Zgadza się, jedzie na inspekcję, powiadają, generał z Moskwy. Lada dzień go się spodziewają, ale na razie jeszcze nie dojechał. A w pułku znowu był pożar, no tak, garaże się spaliły, co tylko było, spłonęło... Pięć maszyn się uratowało, nie więcej, no i ci, których na miejscu nie było, zostali w służbie. Komu tam teraz w głowie za jakieś kłącza aresztować! Jeden na drugiego wilkiem patrzy, winnych tego pożaru szukają, przecież ile kasy, ile sprzętu naraz się spaliło! – tłumaczył, wzdychając, młody chłopak z oficerskimi naramiennikami. – Generał jedzie jakby nieśpiesznie, a w pułku teraz już pewnie długo posiedzi.

Chabarow od razu przypiął się do niego.

– Pomóż, ziomku. Jeśli generał jedzie, to ja zaraz muszę do pułku, ty mnie choć gdzieś w pobliżu wysadź!

Chorąży zgodził się bez namysłu.

– Właź, mnie bez różnicy... Tylko nie do kabiny.

– A ja choćby wierzchem pojadę! Zaczekaj na mnie, tylko po rzeczy pobiegnę... – spłoszył się Chabarow i rzucił do koszar. Ale kiedy w mig się spakował i wyskoczył na dwór, „suczka” była już gdzieś daleko. Coś takiego jednak było w kapitanie, że przestraszyło oficera i nie zaczekał.

Zapomniany Chabarow starał dogadać się z Pieriehudem:

– Z rana do pułku pojadę. Dostanę się do Ugolpunktu, a stamtąd to już tylko rękę podać, tak że jakoś dotrę.

Ilja zgadzał się na wszystko.

– Jedź, jedź, patrz, co się porobiło... Ty tam powiedz, żeby legawym nie dawali wolnej ręki. A jakby co, powiemy: sam uciekł.

Posiedzieli potem razem jak za dawnych czasów. Przypomnieli sobie wszystkich, których znali, z kim służyli, zwłaszcza Wasyla Wieliczkę. Spać położył się kapitan w czystej pościeli, na łóżku, w swojej kancelarii, i dlatego omal nie przespał drezyny. Obudził go Pieriehud, jak trzeba, wczesnym rankiem.

Za oknem kłębiła się rozproszona jak dym i po zimowemu długa ciemność. Tej nocy rozścieliły się po stepie pierwsze przymrozki, do trzaskających mrozów było jeszcze daleko, ale jesienne błocko skamieniało. Na dziedzińcu, gdzie pożegnali się kapitan z Ilją, pozostawione wczorajszego dnia ślady sterczały niczym wyboje, a odciski butów osrebrzyły się przez noc. Skamieniało, osrebrzyło się także kartoflane pole.

Prowadzące z obozu szyny wąskotorówki wiły się aż do stacji Stiepnoje, przez którą, jak i przez inne dalekie stacje, przechodziła robocza łącznica do Ugolpunktu, stolicy tego stepu i łagrów. Drezyna zawsze zatrzymywała się przed bramą obozowej zony, na skraju stepu, żeby zecy jej nie porwali. O piątej rano uruchamiał ją mechanik, jeden z tych obozowych pracusiów, którym pozwalano poruszać się bez eskorty, i jechał nią do Stiepnoje, w tamtą stronę na pusto, a z powrotem z nową wartą, która miała zluzować

strażników kończących swój dobowy dyżur. Chabarow nie zdążył się ogolić, odprasować, jak miał ochotę, ale czas nie stał w miejscu, zbliżała się piąta.

– Jedź, jedź... – powtarzał Ilja, patrząc w ziemię.

Pożegnali się krótko, jakby rozchodzili się w dwie strony. I kiedy Chabarow wychodził już za bramę, olbrzym zawołał:

– Iiiwan!

– A cooo? – odkrzyknął z daleka kapitan.

– Ucieeekaj, daaasz raaadę!... Uciekaj od nich gdzie oczy poniosą, nie wracaj, schowaj się, ja cię będę krył, ja nie pooowiem!

W stepie pojaśniało, gołe, napuchłe niebo wypływało spod nocy podobne do topielca. Świt był sinawy, zimny, bez słoneczka, obłoków, ptaków. Chabarow szedł po kantach odcisków wyżłobionych przez gąsienice łagrowych traktorów. Dogoniło go wietrzysko, wczepiło mu się w połę szynela i szarpało, gryzło jak zły pies. Kapitan wlazł na platformę, otwartą, pordzewiałą, i usiadł na jednej z pustych skrzynek amunicyjnych, których tu rozrzucono z dziesięć, żeby było w drodze co pod tyłek podetknąć.

Patrzył na porzucany Karabas i widział go jak na dłoni, wzrokiem obcego podróżnego, przez co daleki obraz obozowej osady nieoczekiwanie go wzruszył, niczym własne stare zdjęcie.

Pojawił się bezkonwojny, dziadunio o drewnianej nodze przymocowanej do kikuta sznurkami. Wydostawszy się na swobodę, skakał nawet jakoś chwacko, nie jak inwalida, tylko jakby chłopaczek. Zanim uruchomił swój skład kolejowy, przyjrzał się bacznie kapitanowi – co to za osobistość? – ale kiedy poznał, że to ktoś z ochrony, nie próbował się dopytywać, poskakał spokojnie do przedziału maszynowego.

Drezyna zasapała i odbiła od Karabasu, a ten stawał się coraz to mniejszy, mniejszy, zjadany przez niebo i ziemię, aż wreszcie zniknął z oczu. Podkłady pod szynami były zgniłe i zdawało się, że tor rozjeżdża się niczym łyżwy, oto zakreślił łuk, zsunął się w dół, potem nawet się

wzniósł. Drezyna ślizgała się ze zgrzytem na oblodzonych kołach, to dawała nurka, to drapała się do góry po torowisku.

W Stiepnoje już czekali odrętwiali na wietrze zmiennicy. Przez nikogo niezauważony, jak ktoś obcy, kapitan szóstej kompanii zeskoczył z platformy i został na stacji.

Takich stacji jak ta było wzdłuż łącznicy tyle co burzanu. Przychodził Kazach ze stepu, wbijał w ziemię buńczuk, choćby koński ogon przyczepiony do saksaułu, i stacja gotowa. Stiepnoje jednak zbudowano solidniej, zecy z Karabasu wznosili go dla wygody swoich strażników. Budowla przypominała barak, ale można tu było się schronić przed deszczem, a jeszcze przyozdobiono ją, jak się dało – ławeczkami, piecem. Do ściany baraku w lepszych czasach dobudowała też małą szopę spółdzielnia – handlowano tam wtedy z Kazachami, którzy zwozili do Stiepnoje skóry, owczą wełnę, wszystko, co wytwarzali, a w zamian za to oferowano im prymusy, wyroby z drewna i oczywiście wódkę.

Podczas wyborów do rad ludowych urządzano w Stiepnoje punkt agitacyjny dla stepowców z pobliskich czabańskich i innych obozowisk i koczowisk. Koczownicy ubierali się starannie, zjeżdżali rodami i rodzinami na wozach i konno, dowiadywali się od agitatorów o nowinach z ostatnich pięciu lat, głosowali, ale do baraku nawet nosa nie wsuwali, rozsiadali się w stepie wokół wielkiego ogniska, jedli, pili, potem się rozjeżdżali. Kiedy stacja się spaliła, już jej nie odbudowano. Ludzie z obozu zwalili winę na Kazachów, a ich szukać to jak wiatru w polu. Jednak między sobą ochrona Karabasu wiedziała, że stację spalili sami wachmani, kiedy zasiedzieli się w Stiepnoje, zapili, a jak nocne mrozy zaczęły kąsać ich delikatną skórę, podpalili raz-dwa barak, rozgrzali się i tylko dzięki temu uniknęli pewnej śmierci.

Ze wszystkich budowli na stacji ocalał tylko ustęp. Miał glinobite, azjatyckim sposobem lepione ściany, z gliny sterczały kępki trawy spajające to wszystko zamiast gwoździ. Dach ustępu mimo wszystko zwiało, zastępował go zatłuszczony brezent maskujący, naciągnięty przez kogoś gospodarnego.

Żywotna ta budowla wystawała z ziemi na werszek, była i słupem milowym, i dworcem, i czym tylko być mogła. „Żeby choć drzewko jakieś posadzili” – pomyślał ze smutkiem Chabarow.

Nagle na stacji zrobiło się weselej, ni stąd, ni zowąd pojawili się Kazachowie, a właściwie ich baby i dzieci. Rozsiadły się w pewnej odległości od kapitana. Kazaszki siedziały parami, najpewniej synowa ze świekrą, a czasem matka z córką. Wszyscy czekali na dizla.

Dziewczyny były białoskóre, zgrabne, baby ogorzałe, tłuste. Dzieci było przy nich troje, jeden chłopczyk chorował, drżał w gorączce, leżąc na tobołach. Zapewne Kazaszki wiozły go do Ugolpunktu, do tamtejszego lekarza. Siedziały koło chłopczyka w milczeniu, jak jedna rodzina. Starucha, najsędziwsza ze wszystkich, od czasu do czasu ocierała mu zwiotczałą ręką spocone czoło. A najmłodsza z kobiet, zapewne jego matka, nie dotykała go, chociaż jej ogromne czarne oczy były ze smutku mokre od łez.

Była to właściwie dziewczynka – krucha, bezpiersna, z pulchnymi różowymi wargami i delikatnym puszkiem nad nimi.

Zdrowe dzieci kręciły się po barakowym pogorzelisku, szukając w popiele gwoździ. Zaniepokojone babcie przyzywały chłopców, ale na nich, na przyszłych mężczyzn, te siwe staruchy czy to nie śmiały, czy to nie chciały podnosić głosu i tylko jakby ich prosiły. A Chabarowowi, który z wciąż tą samą melancholią przyglądał się stepowym ludziom, od razu się przypomniało, jak rosyjskie baby własną krew potrafią opieprzyć.

Dziwna rzecz, ale okazało się, że i dizla prowadzi baba, Rosjanka, istny perszeron! Kiedy zatrzymała daleko za stacją skład złożony z trzech stołypińskich wagonów i tyluż załadowanych wyjątkowym śmieciem platform, wysunęła głowę przez okno i krzyknęła:

– Włazić! Cofać, kurwa, nie będę, takiego, o!

Mundurowi pobiegli do wagonów, a Chabarow bez pytania wziął od rozwrzeszczanych Kazaszek toboły i razem pobiegli w ślad za tamtymi, tylko trudno było z chłopczykiem – niosąc go, nie mogły nadążyć. Wtedy kapitan rzucił toboły, zawrócił i wziął małego Kazaszka z rąk zasapanej

babci. Przestraszone Kazaszki wyciągały do ludzi ręce, a oni je za nie wciągali górą do tego ciemnego wagonu towarowego przystosowanego do przewozu ludzi. Staruchy czepiały się wagonu i wyły ze strachu, że tamci mogą o nich zapomnieć. Pomagać im nie było łatwo: Chabarow podłaził pod ich pudowe zady, pchał je w górę, a z towarowego ciągnięto je z całych sił za ręce. Baba maszynistka wciąż ryczała z dizla:

– Ja to bym wydusiła tych wszystkich babajów!

Skład drgnął i ruszył, tak że kapitan wskoczył do wagonu już w biegu, co udało mu się bez szczególnego ryzyka: dizel nie jechał, lecz stąpał po szynach rozlazłym krokiem, kołysząc po babsku pękatymi bokami. W wagonie napalone było do duchoty. Paliło się węglem, którego góra leżała tu na miejscu, a spalało się go powoli w beczce. Do podłogi przymocowane były ławki, na których w dusznym półmroku tłoczyli się ludzie. Kapitan nikogo nie mógł dojrzeć, słyszał tylko, jak głośno dyszą. Z kąta roboczego wagonu dochodziła jeszcze woń stęchlizny: w podłodze była tam wybita dziura, z niej wysnuwało się dzienne światło, przyćmione małą przegródką z dykty.

Chabarow zamknął oczy, chociaż nie było po co, ale tak czuł się lepiej. Były jeszcze następne stacje i wszędzie powtarzało się to co na Stiepnoje – ludzie wdzierali się do roboczych wagonów, baba maszynistka ryczała, jakby to nie dizel, tylko ona sama ciągnęła wagony i platformy, wprzęgnąwszy się w burłacką linę. I na każdej stacji, gołej, dzikiej, obowiązkowo musiał być ustęp, glinobity lub drewniany, z dachem albo bez dachu, garbaty, obsrany, z rozdartym bokiem: Kirpicznyj Zawod, Zaria, Karagul, Prawdinskij, Sorok Trietij Kiłomietr – stacyjki stały szeregiem aż do samego Ugolpunktu niczym znajomi odprowadzający podróżnych.

W miejscu, gdzie wznosiło się to miasteczko, kiedyś żył swoim życiem step, ale przyszli ludzie z błękitnymi otokami, przygnali tłumy katorżników i na ich kościach zbudowali Ugolpunkt. Było to miasteczko kopalni węgla i łagrów, ale szyby prędko opustoszały. Węgiel łatwy do wydobycia wkrótce się wyczerpał, a wydobywanie resztek się nie opłacało.

W Ugolpunkcie dizel zatrzymał się nie na samej stacji, tylko na ślepym torze. Przemokli ludzie wysypali się z wagonów na mróz. Chabarowowi nawinął się na oczy jego podopieczny, chłopczyk, więc pomógł Kazaszkom zanieść go na stację, gdzie stepowych ludzi przyjmował lekarz obwodowy. Kazaszki nagrodziły kapitana za jego trud swoim chlebem, dodały jeszcze trzy ruble. Pieniędzy i chleba kapitan nie odmówił, uznał, że bardzo się przydadzą w dalekiej drodze, ale wstydził się, że wziął.

Była to stacja przetokowa, węzłowa, więc Chabarow nie musiał dręczyć się samotnością jak wcześniej. Gapił się na szyny chaotycznie rozrzucone po ziemi i rozchodzące się we wszystkie strony świata, wsłuchiwał w gwizdki manewrowych, oddychał zadymionym powietrzem, rozwłóczonym przez jadące z dali w dal poczerniałe pociągi.

Na peronie tłoczyło się coraz więcej bab z podobnymi do kufrów piersiami, wsuwały tam całe łapska i coś sprawdzały. Kazachowie przemieszali się z Rosjanami i ciżba była jak na bazarze. Między zwalonymi na kupy tobołami snuła się i bawiła zapomniana dzieciarnia. Kiedy podstawiono upragniony pociąg elektryczny, ludzie powolutku wcisnęli do niego także samego kapitana, a on usiadł wśród nich na ławce i zasnął, otoczony wszystkimi tymi ludźmi jak spokojem... Przebudziła go, już w pustym wagonie, starucha.

– No i grzech, mój miły, ja, głupia, ciebie za nieboszczyka wzięłam, a ty spałeś... Oj, ojczulkowie, a jaką miałeś twarz! Daj no, przeżegnam ciebie od grzechu. A tu już Karaganda. A może coś przejechałeś? No, bądź zdrów, ja idę, nie choruj, nie męcz się.

Opatrzony tym znakiem krzyża i czemuś nim zasmucony, Chabarow wkroczył do Karagandy, wyspany tak, że niczego nie pamiętał. W tym mieście wypadło mu kiedyś służyć. Ilekroć zauważył, że się rozpędził, zwalniał kroku i ze zdziwieniem poznawał wszystko na nowo. Dworzec znajdował się na skraju miasta, podobnie jak dowództwo pułku, i dlatego kapitan się denerwował... Nagle zdał sobie sprawę, że się nie ogolił i nie ostrzygł jak należy, ale z ulgą przypomniał sobie o trzech rublach podarowanych mu przez Kazaszki w Ugolpunkcie i pośpiesznie poszedł do

fryzjera. Bał się, że już go nie znajdzie na dawnym miejscu, ale okazało się, że się utrzymał. Chabarowa ogolono, ostrzyżono na jeża i spryskano wodą kolońską, o co sam poprosił, żeby już wyglądać wedle regulaminu. A wyglądał tak uroczyście, że nieznanego kapitana wpuszczono bez przepustki do dowództwa pułku i jeszcze wdychając wodę kolońską, patrzono na niego z uszanowaniem. Przez nikogo niezatrzymywany wszedł do sztabu... Po pewnym czasie dobyły się stamtąd krzyki i odgłosy bójki, wybiegli oficerowie, żołnierze, a na ganek wywleczono chrypiącego w duszących uściskach człowieka, który wyrywał się z powrotem do sztabu. W tłumie ryczano rozdzierająco:

– On chciał zabić towarzysza Pobiedowa!

A jeszcze straszniej robiło się od tego, że ów człowiek pachniał wodą kolońską i chrypiał ze wszystkich sił:

– Zabiję! Zabiję!

Schwytanego, zdawało się, na miejscu przestępstwa złoczyńcę zaczęto bić, ale nagle bijący się opamiętali.

– Dawać go do wydziału specjalnego!

Rozdział szósty

Namiętności na rozkaz

Pobudkę w lazarecie zarządzano później niż w koszarach. W lazarecie gospodarzył człowiek o dziwnym, z cudzoziemska brzmiącym nazwisku i to jego nawyki tworzyły tutejsze prawa. Przed jego przyjściem sierżant zganiał ludzi z łóżek, a sam krył się w kanciapie i podrzemując, czekał, aż się wyjaśni, w jakim nastroju jest szef.

Ordynator, namolny człowiek o starganych nerwach, zjawiwszy się tego ranka na służbie, znalazł w dzienniku notatkę, że nocą przyjęto chorążego, i poszedł rzecz sprawdzić. W pokoju zastał Skripicyna, na oko całkiem zdrowego, więc najpierw go zrugał, że niby lazaret to nie zajazd, ale kiedy chorąży uniżenie się poskarżył, że jest osłabiony – lekarz złagodniał i przepisał mu ulgowy reżim.

Odpocząwszy po śniadaniu, które przyniesiono wprost do pokoju, Skripicyn z brudnymi naczyniami w rękach poszedł obejrzeć lazaret. Chciał się przejść, może posłuchać rozmów, ale szpital zapełniali najdziksi ludzie. Sale były zatłoczone niczym komory gazowe ni to Kałmukami, ni to Kirgizami, ludzikami jak z gliny, milkliwymi i cichymi. W korytarzu idącym na przestrzał przez cały budynek ten narodek kleił się do ścian i wszyscy – gąb z pięćdziesiąt, na mniej nie wyglądało – żarli tu na miejscu z menażek i wlepiwszy w nie wzrok, niczego wokół nie zauważali. Sierżant przyskoczył do Skripicyna i wyprowadził go na powietrze, pracując butami, czyli torując naczelnikowi drogę. Skripicyn porozmawiał z nim o tych czarnych ludziach, a potem długo błądził bezradnie myślami wokół prostych odpowiedzi sierżanta. A ten tłumaczył, że do lazaretu zwieźli ze

wszystkich kompanii niezdatnych, tych, którzy do służby w ochronie obozów się nie nadają. I to dlatego postanowiono odesłać ćwoków do Ałma Aty, żeby pokazać ich w sztabie dywizji, a już stamtąd przerzucić do strojbatów, batalionów budowlanych Bajkonuru i Semipałatyńska.

– U nas oni już z tydzień siedzą, wszystkich udręczyli, a ciągle ich nie odsyłają. I poskarżyć się nie ma komu, żeby im w dupę dali! – żalił się sierżant.

Wysłuchawszy sierżanta i jakby całkiem się nasyciwszy, Skripicyn wręczył mu swoje nieumyte naczynia, a sam poszedł prosto do naczelnego lekarza, niczego już się nie obawiając.

Kiedy obiecał lekarzowi, że w jeden dzień wyprawi cały ten szajsowaty materiał ludzki do miejsca przeznaczenia, szef lazaretu od razu się ucieszył i zapewnił specjalnego, że i po swojej linii wszystko natychmiast spełni.

Zwalniano z pułku tylko za podpisem szefa sztabu. Skripicyn porozmawiał więc bez pośpiechu przez telefon z Diegtiarem i wspomniał mu mimochodem, że trochę zachorował, po czym z emocją w głosie opowiedział o darmozjadach, których przypadkiem wykrył w lazarecie. Diegtiar zgodził się z wywodami Skripicyna i po godzinie na rozkaz szefa sztabu zjawił się w lazarecie naczelnik konwoju. Wyprawili go po bilety na pociąg, więc chciał dostać spis, żeby się dowiedzieć, ile głów będzie wiózł, bo inaczej nie rozliczy prowiantu. Okazało się, że ludzików jest mniej niż szumu, jakiego się przez nich narobiło, według spisu – około dwudziestki.

Skripicyn tymczasem odciągnął ordynatora na bok i szepnął mu, że do listy wysyłanych trzeba dodać jeszcze jednego żołnierza z wydziału specjalnego, szeregowego, który stał się niezdatny. Lekarz zmieszał się: w jeden dzień, powiada, człowieka nawet z izby chorych wypisać nie można. Skripicyn jednak nacisnął, lekarz ustąpił i dokumenty dotyczące szeregowego Kałodina, które na poczekaniu spichcili, odesłano przez tego samego szefa konwoju do Diegtiara, on zaś to wszystko podpisał, prawie nie patrząc.

W pułku odtrąbiono capstrzyk, Chabarow się nie stawił, ale Skripicyn nawet nie liczył na to, że kapitan od razu się stawi, żadne wiadomości

o Karabasie też nie nadchodziły. W dodatku Skripicyn znał obyczaje pułkownika, wiedział, że jeśli tylko odłoży jakąś sprawę na później, to natychmiast o niej zapomni, bo chce zapomnieć, nie załatwić.

Skripicyn zapukał do drzwi wydziału specjalnego, ściągnął Kałodina z łóżka i nie dając mu przyjść do siebie, wrzasnął:

– Żółtków do dywizji będą wieźć, pomożesz ich odprowadzić, osobiście obiecałem. Zbiórka z rana w lazarecie, uważaj, nie nawal. A przy okazji przewietrzysz się, odpoczniesz.

Zauważył swój szynel, oczyszczony, odprasowany i przygotowany przez Sańkę, i wziął go bez słowa.

Z rana Kałodin nie zastał swojego szefa w lazarecie, więc się z nim nie pożegnał. I smutno mu się zrobiło. Za to dziki ludek uznał Kałodina za jeszcze jednego gospodarza: Rosjanin, mocne chłopisko, siedział, rozglądając się chmurnie, ubrany i obuty w same nowe rzeczy.

Konwojent nakazywał Sańce a to pobrać ze składu suchy prowiant, a to sprawdzić, żeby ze wszystkich szyneli spruto pagony. Swoich pagonów Sańka nie spruł. Pozostał też z boku, kiedy ludzikom rozkazano rozebrać się do goła i pognano ich pod prysznice, od których kluczy w żaden sposób nie udawało się znaleźć. Ordynator chodził i oglądał wybrakowany towar pod kątem wszy, wysypki, dla pamięci kreśląc na ogolonych łbach krzyże. I krzyczał do sierżanta, który borykał się z zamkiem:

– Wasia, serdeńko, ci zakrzyżykowani są ropni! Opędzluj ich maścią Wiszniewskiego, a pod prysznice nie puszczaj. Wasia, a wszy chłopaki nie mają, możesz ich bieliznę zostawić!

Łaźnia przypominała zaplecze sklepu, trzymano w niej farbę i gaszone wapno w beczkach. Pozostałego miejsca ledwie starczyło, żeby stanąć pod polewaczkami: były to zwykłe garbatonose krany, przyspawano do nich blaszane puszki po tuszonce z przedziurawionymi denkami i przez nie lała się woda. W butach, portkach, zakasawszy tylko rękawy bluzy, sierżant wszedł do łaźni, a za jego plecami sączył się z blaszanek lodowaty strumień: spadające krople przypominały opiłki żelaza. Narodek gęsiego ruszył się myć. Sierżant pilnował, żeby nikt suchy nie został, ale jak który

grzebał się choć o mgnienie za długo i powodował zator, to ostrożnie, byle się nie zamoczyć, wypychał go butem. W przejście, gdzie ludzie kostnieli z zimna, rzucono ręcznik, jeden na wszystkich. A kiedy oni się wycierali, Kałodin z szefem zaczęli wydawać bieliznę i umundurowanie. W drzwiach lazaretu pokazały się chytre, pożądliwe mordy, zbiegły się z całego pułku. Wszystko, co było cokolwiek warte, migiem zamieniało się na stare łachy, czemu w ogóle się nie sprzeciwiał sierżant z lazaretu, a konwojent, zajęty swoimi sprawami, nawet tego nie widział: dobrą uszankę wydzierali z rąk, żeby wcisnąć wyjedzoną przez mole. Kiedy jednak rozzuchwalone wojsko zaczęło wytrząsać z plecaków nawet suchy prowiant, Kałodin powstrzymał maruderów: podniósł z podłogi puszkę z konserwą i zaczął częstować nią wojaków – tego w oko, tamtego w łeb – aż wszystkich przegonił.

Kiedy prowadzono ćwoków etapem na dworzec, cieszyli się, pewnie myśleli, że ich rozsyłają do domów. Do pociągu załadowali się szybko, sprawnie. Szef konwoju jeszcze wygrażał pijanemu konduktorowi, domagając się, żeby przedsionki wagonów były nocą zamknięte, z czym ten zadziwiająco łatwo się zgadzał, a Sańka już rozmieszczał towarzystwo po półkach, zabierając, niczym paszporty, żołnierskie pasy od szyneli, żeby nie pouciekali. Był to jeden z tych nieregularnych pociągów, które poruszają się bez rozkładu, które się zagania na zapasowe tory, kiedy trzeba przepuścić pośpieszne, a do tego zatrzymują się na każdej bezimiennej stacyjce, żeby zabrać ludzi. Nie podają w nich nawet cuchnącej herbaty i nie ma gdzie się umyć.

W drodze przełożony konwoju zrobił się milkliwy. Milczał też Kałodin. O zmierzchu pociąg znalazł się już w sporej odległości od Karagandy, wszędzie wokół rozciągał się dziki stepowy przestwór...

– Najwyższa pora coś zeżreć, bo jeszcze zapomnimy – powiedział konwojent i Sańka go usłyszał.

Wyciągnął z plecaka, którego pilnował, flaszki z wodą, czarne suchary i tuszonkę, po czym ręką i głosem przywołał ludzi, żeby brali swoje racje.

Kiedy jazgocące ze wszystkich półek żółtki nażarły się, zmęczyły i rozłożyły do snu, naczelnik konwoju zaczął wydziwiać, dlaczego to

Sańkę, takiego zdrowego, bystrego żołnierza, odsyłają do strojbatu, gdzie będzie zdychał razem z tamtymi. Nie wytrzymał i przysiadł się do Rosjanina.

– Nie możesz spać? A nie wiesz na przykład, dokąd cię wysyłają?

– Ty mnie z nimi nie myl – odpowiedział Kałodin.

Tamten obraził się.

– Ech, ty, wysyłają was do służby na Bajkonur, do strojbatu, promieniowanie zajadać. Znaczy się, z ciebie rzeczywiście głupi.

Wcale nie chciał wyjawić tajemnicy, tylko pokazać, jaki jest ważny i potrzebny, a poza tym myślał, że nic zakazanego nie powiedział, po prostu zrobił wrażenie.

– Ja was odwiozę, a potem wracam, ja tę trasę dobrze znam. A jak na ciebie trafiło? Takie chłopisko, a czemu w służbie ci nie poszło?

Kałodin milczał. Konwojentowi nie chciało się więcej z nim mówić.

Dopiero kiedy wagon, pod sufit zawalony odrętwiałymi ciałami, sunął powolutku wśród głębokiej nocy, Kałodin owinął się w szynel i zaczął się przedzierać w stronę drzwi, nie biorąc ze sobą niczego. Z trudem brnął przez tę ludzką zaspę, od której się uwolnił, kiedy już w przedsionku wagonu pochwycił go chłód, czysty i ożywczy. Ale oto niezmierną rozległość czarnej stepowej gładzizny rozjaśniły światła nieznanej stacji. Pociąg, przeciągając się i chrzęszcząc żelaznymi kręgami, ciężko wlókł się po kawałku zamieszkanej ziemi. Rozległy się pojedyncze okrzyki, to głuche, to głośniejsze. Sańka zobaczył ceglaną, porządnie wybieloną, do chaty podobną stacyjkę. Noc ugrzęzła w błocku oświetlonych przejść między torami, taplały się w nim workowate cienie. Na boki znieruchomiałych wagonów posypał się drobniutki grad: jacyś niewidzialni ludzie przebiegali wzdłuż składu, obstukując pośpiesznie wagony i szukając otwartych albo takich, gdzie nie było konduktorów.

Zdawało się, że postój beznadziejnie się przedłuża, tak jakby w ślepym końcu pociągu kończyło się żelazne torowisko. Nagle również do tych drzwi, przy których siedział Sańka, zaczął się gramolić zakopcony,

przemokły od biegania wzdłuż wagonów Kazach. Na widok ogromnego żołnierza przeraził się, zawisł na stopniu, wybełkotał:

– *Żurip kietu, żurip kietu...*[1]

Kałodin nachylił się ku niemu, żeby pomóc, ale przestraszony Kazach zeskoczył i przepadł w ciemnościach. Nie zdążywszy się zastanowić, jakby straciwszy równowagę, Sańka zerwał się w ślad za nim i wylądował na twardej, litej ziemi. W głowie mu się kręciło. Zatoczył się, wdychając wyziębione przez wiatry powietrze, i nie zauważył, jak wagon za jego plecami bez szmeru ruszył z miejsca i pojechał w długim łańcuchu innych, całkiem do niego podobnych.

Nad dworcem wisiał samotnie jasny obłoczek, a wagony nic, tylko szły i szły, pozostawiając za sobą wymarłą stację, jakby wywoziły z niej ostatnich mieszkańców. I Kałodin został sam, jeszcze niczego nie czuł. Stracił cały tytoń. Dokumenty osobiste zostały w służbowej teczce razem z plecakiem – ze wszystkim, co się składa na wysłużony żołnierski dobytek.

Sańka nadyszał się do upadłego powietrzem swobody i poczuł w sobie przygnębiającą pustkę. Ta pustka pognała go w stronę stacyjki, z ciemności w światło. Pobieloną chatkę otaczało giętkie ogrodzenie splecione z gałązek stepowych krzewów. Nad dachem wił się dymek, równe, proste okna wytrzeszczały się ze ścian tuż nad ziemią. Sam zaś domek był przysadzisty, jakby spłaszczony. Na dworze pachniało kiziakiem, a na zmarzniętej ziemi wylegiwały się psy. Ledwie Sańka przekroczył ogrodzenie, zerwały się, zaszczekały, ale napaść się nie odważyły. Te bestie raczej się przybłąkały, niż były sługami tutejszych gospodarzy.

Kałodin cofnął się, ale psy nagle zamilkły, odwróciły się do spasionego, rozchełstanego mężczyzny, który ze złą miną wyskoczył na ganek.

– *Kimnien tagy atagynda?!*[2] – zawołał, nie schodząc z ganku.

Sańka zamarł w oczekiwaniu. Kazach zaś, wypatrzywszy w ciemnościach żołnierski szynel i uszankę, krzyknął już ciszej, nieufnie:

– *Aj, batyr, kajdan żenie kajda tusu*?[3]

– Pociąg mi uciekł, do Karagandy muszę – odezwał się Kałodin lękliwie. – Chciałbym wiedzieć, kiedy pociąg na Karagandę pójdzie.

– A jaki twoja stopień, jakie twoja wojsko była? – powiedział przeciągle Kazach, który od pierwszych słów nie uwierzył samotnemu żołnierzowi.

– Ja z karagandyjskiego konwojowego...

– Aj, żołnierz! Dobrze, żołnierz! Tutaj przychodź, przychodź... Dawaj dokument twój, dobrze?

Kazach, najwyraźniej gospodarz tej zagubionej w stepach stacyjki, był niemłodym już chłopkiem, który dorobił się brzuszka, miał wąsy stalowej barwy i bródkę podobną do kosmatej pięści. Okrągła twarz wyglądała jak bochen chleba, a oczy, czarniawe, przenikliwe, świadczyły, że jest rodowitym Kazachem. Ale o wiele wyraźniej widać w nim było naczelniczka najniższego szczebla. Twarz jego, wydana na świat, by być prostą i jasną, obrzękła grubymi, bezczelnymi rysami. Kurtka mundurowa nie dopinała się na wypukłej piersi, na rozdętym podgardlu, a portki były wsunięte w jałowicze oficerskie buty. Na czaszce jak na gwoździu wisiała wypłowiała czapka z nowiutką czerwoną gwiazdą, jakby zdjęta z cudzego łba.

– Legitymacja służbowa, papiery zostały w pociągu, nic nie mam, zapomniałem... – nawijał Sańka ze spuszczoną głową.

– Aj, niedobrze! Nie zdążył, tak?

Naczelnik, ledwie sięgający do piersi żołnierzowi, który mu się nawinął, trochę niespokojnie okrążał, oglądał, poklepywał chłopaczka, ni to zachwycając się jego niedźwiedzią posturą, ni to ukradkiem go przeszukując i przymierzając się, z którego boku łatwiej da sobie z nim radę.

– Aj, *batyr*, Karaganda długo, długo nie będzie... – zaśpiewał, obejmując żołnierza.

– A co mam zrobić, ojczulku?

– Jutro pociąg wsiądziesz! Bilet dam, jeść dam – wszystko dam. Bałakajew wojsko szanuje. Bałakajew tuta naczelnik. A ty nie zdążył, tak?

– Mówiłem przecież, muszę do Karagandy...

– Aj, Karaganda-manda długo nie będzie, słyszysz, jutro bilet dam. Dobry? A ty zachodzi, Bałakajew wódka naleje.

Weszli do tego na wpół przystanku, na wpół domu mieszkalnego i od razu znaleźli się w obszernym, zaniedbanym przedsionku łaźni z rzędem gołych regulaminowych ławeczek, gdzie powietrze było szare od wżartego w ściany dymu tytoniowego. Dalej był tylko pusty przechodni korytarz i w mroku wydało się Kałodinowi, że widzi cały szereg drzwi, niemal zlewających się ze ścianą. W korytarzu było cieplej i pachniało tak, jakby tam coś smażono na patelni, a także prano i gotowano. Weszli do pokoju, służbowego wprawdzie, ale porządnego i zamieszkanego. Na ścianie, jak u każdego naczelnika, wisiał portret Lenina – z wielką czachą, wąskimi oczyma, podobny był do Kazacha. I drugi portret, na którym zmarły już towarzysz Breżniew był jeszcze sprężysty, młody i też jakoś nieodparcie podobny do Kazacha. Uwolniwszy blat od papierów i innych rupieci, Bałakajew, jak się przedstawił, od razu posadził nieufnego żołnierza przy stole. Nie zdecydował się zostawić go samego, więc tylko wyjrzał na korytarz i zawołał niecierpliwie:

– *Żubaj, taju, żeksuryn, ekiełu magan araku, tamak, diereu!*[4] – A żołnierza pośpieszył uspokoić z maślanym uśmiechem: – Żona swój wołam, jeść, pić będziem... – I znów krzyknął w głąb korytarza: – *Diereu, diereu! Aj, żeksuryn!*[5]

Usiadł i zaczął oddychać ciężko, posapując. Wkrótce do pokoiku weszła bezszelestnie baba, zmęczona i przez to jakby idąca we śnie, z mętnawo zieloną butelką w ręce i drewnianą miseczką z zakąską: kawałkami zimnej gotowanej baraniny. Na widok żołnierza skurczyła się i lękliwie spojrzała na męża.

– Żona mój, głupia mój... – Kazach wykrzywiał się do Kałodina i z tą samą słodkawą, maślaną miną wciąż dogadywał: – *Achmak, ajkajłamau... Ołkyzmiet kaszkyny kierek chabarłau koju bolimi, kanda mas bołu*[6].

– *Żibieru*[7]... – powiedziała cicho baba.

– *Oponaj boła kojatyn kisin mien jemies!*[8] – burknął Kazach, nie odrywając zimnego spojrzenia od żony, i nagle się roześmiał: – Aj, głupia! Myślała, mnie wojna biorą! Och, och. Dawaj wódka, żona, Bałakajew gość przyjaźni.

I Sańka też się roześmiał, żeby przypodobać się dobremu gospodarzowi. Kazach nalał mu szklankę, podsunął bliżej baraninę.

– Dawaj za nasza wojsko!

Kałodin krępował się brać samo mięso, więc pił, ciesząc się nawet, że poczciwiec tak często dolewa, a potem lekko i po prostu zakąszał bardzo smaczną baraniną. Że zaś pijakiem był marnym, do wódki nienawykłym, wcześniej się upił, niż najadł.

Kazach teraz męczył się z chłopakiem, ten się rozigrał: walił pięścią w stół i domagał się więcej wódki. Gospodarz ściągnął z żołnierza szynel i ukradkiem podał żonie. A samego Sańkę zawlókł do ciemnej komórki, zwalił na worki i zamknął drzwi na zasuwę.

W komórce sparzyło Kałodina zimno. Poleżał trochę na workach, potem zawziął się i wstał, zatoczył się ku wolności, precz z zatęchłego mroku, ale natknął się na zasuwę.

– Otwieraj, ojciec, chujowo mi! – załomotał w deski, bał się tu zostać.

Kazach podbiegł do drzwi i zawołał ze złością:

– Sidzi, sidzi!... Bałakajew tuta naczelnik.

– Otwieraj!

– Sidzi, dyzyrtyr. Słyszysz, więzień będziesz miał.

– Otwieraj, sukinsynu, bo rozwalę!

– Słyszysz, u Bałakajew karabin jest, strzelać będzie!

Po długich, rozpaczliwych próbach Sańka wyłamał drzwi. Zorientowawszy się, że nie pilnuje go ani karabin, ani Kazach, ruszył na zewnątrz, ale połapał się, wrócił, zły jeszcze bardziej, po ukradziony szynel. W pokoju, w którym pili, nawet śladu po nim nie było, ale Kałodin zobaczył w kącie siekierę i zabrał ją, bo przypomniał sobie o niepozornych drzwiczkach w tym ciemnym korytarzu – za jednymi z nich mógł się ukryć

Kazach. Rozwalił siekierą pierwsze, ale okazało się, że w środku są tylko kolejarskie lampy i narzędzia. Następne drzwi otworzył jednym uderzeniem: w izdebce o wyszorowanych gołych ścianach tliła się na drucie wątła żarówka, oświetlając śpiące na służbowych piętrowych łóżkach dzieci. Koło nich, koło swoich dzieci, cichutko wyła naczelnikowa baba, wparta okrągłymi jak brukowce kolanami w podłogę. Nie mogła zasłonić sobą wszystkich córek i synów, toteż padła żołnierzowi do nóg.

– Gdzie szynel? Oddawaj! – zachrypiał Kałodin i w szale zamachnął się siekierą. – Szynel, szynel, albo wszystkich twoich, suko, zabiję!

Dzieci już przedtem się obudziły i zostawiony na chwilę przez babę, która pobiegła po szynel, Sańka gapił się na nie jak zaszczuty, a one na jego widok zaczęły jęczeć i płakać. Dostawszy jednak, czego żądał, od razu rzucił pudową siekierę. Wybiegł z podwórza i popędził po kruszących się podkładach, tak jak pamiętał – w przeciwną stronę, wstecz, do dalekiej, niedosięgłej Karagandy...

Sańce Kałodinowi zwidywało się, że go ścigają. W tej stepowej nocy, w której jedynym odgłosem było jego sapanie, słyszał wyraźnie szczekanie psów i tupot butów. Padał, zrywał się i znów biegł, wypruwając z siebie żyły. Aż wreszcie stoczył się pod nasyp... Poleżał trochę, po czym z wysiłkiem stanął na czworakach, ale nagle chwycił się za gardło i owładnięty strasznym, straszniejszym od każdego bólu uczuciem, że się dusi, padł twarzą na skamieniałą ziemię. Wzdęło go nagle, a jego przerażone, zalane łzami oczy omal nie wypłynęły z orbit. I w chwili gdy, zdawało się, już miał się rozerwać, z gardła wydarł mu się świst cienki jak igła, a potem wyleciały strzępy tego, czego bezmyślnie się nażarł, zapijając naczelnikową wódką. Na koniec westchnął jak niemowlę, które wydostało się z matczynego brzucha, i odpełzł, bojąc się spojrzeć na kałużę rzygowin, które go omal nie zadusiły.

Zgiełku pogoni nie słyszał. Nie zobaczył też w dali świateł stacji... Było mu lekko, chociaż nie wiedział, dlaczego nadal tli się w nim życie.

Z tego szczenięcego zapamiętania wydobył go huk pociągu. Nad jego głową przeleciały jeden po drugim dwa składy jadące w przeciwnych

kierunkach.

Torowisko w tym miejscu skręcało i ostrożni maszyniści ściągali swym stalowym rumakom wodze, żeby się nie zwalić w pełnym biegu na bok.

Kałodin podczołgał się pod nasyp, znieruchomiał i tak doczekał się towarowego, złożonego z pustych węglarek. Przepuściwszy daleko przed siebie lokomotywę, wyskoczył spod nasypu i pobiegł równolegle do rozkołysanych węglarek, próbując uczepić się ich wystających, wysoko zadartych burt. Wagoniki z wysiłkiem odjeżdżały, ale nagle jakby się zatrzęsły i Kałodin zobaczył sterczące skoble, uchwycił się ich i migiem został porwany z nasypu, od czego aż oddech stracił, chociaż wagoniki ledwie się ruszały. Wciąż przerażony, trzymając się skobli, jednym zrywem przewalił się przez zgrzytającą burtę i upadł na osmolone węglem dno, czując zamiast uderzenia lekkość, która jakby wypchnęła z niego i ból, i strach. Położył się na plecach i z radosną pustką w głowie słuchał, jak węgiel przesypuje się po głuchym, żelaznym dnie. Migotliwa gwiaździsta noc ciążyła nad kołyszącym się węglowym pudłem, jakby też jechała z tajnym ładunkiem w jakąś nieznaną drogę.

Pociąg zatrzymał się na stacji, kiedy Sańka spał. Na węglarkę wdrapał się kolejarz i krzyknął ze śmiechem:

– Ano pobudka, do kurwy nędzy! Z frontu wiejesz? Coś ty za jeden?

Dezerter wcisnął się w kąt i milczał głucho.

– No, co milczysz! – obraził się kolejarz. – Dawaj, opowiadaj o swoim losie, ja to lubię... Ja to już mam taki fart, że co patałach, to na mojej zmianie. Nogę dałeś czy jak? Co milczysz? No, bo zdam cię wachmanom, gadaj, słyszysz? Może ja lubię takich, co nogę dają, może sam swoje odsiedziałem?

– Ja do Karagandy – powiedział Sańka.

– No to niech ci będzie, że tu Karaganda.

Wciąż się śmiejąc, kolejarz aresztował żołnierza i zabrał go ze sobą. Przełażąc pod ciągnącymi się wiele kilometrów składami towarowymi, wlekli się do parowozowni.

Dokąd uciekać w tym hałaśliwym żelaznym lesie, Sańka nie wiedział, więc szedł posłusznie za kolejarzem.

W parowozowni brygada wesoło spędzała czas. Popijała i zakąszała, gęsto klnąc, cała ferajna.

– Mamusię staruszkę ma w Karagandzie, on u mamusi pierwszy i ostatni jest, cała jej nadzieja, ja pierdolę! Ze strojbatu ucieka, na wolność ucieka! No, ja się w nim zakochałem, on dla mnie teraz jest jak brat, krew za niego wytoczę. Chłopaki, ej, Fiedułycz, to niby co robimy? No, sam go znalazłem.

Człowiek, do którego odwołał się torowy, zapytał, nie podnosząc wzroku:

– O matce prawdę ten gaduła nawija czy jak?

– Prawdę – odpowiedział bez namysłu Kałodin.

Szef jeszcze chwilę żuł w milczeniu, a potem się zdziwił:

– No, co stoisz? Żarcia pełno, a on stoi.

Kałodin usiadł na skrzynce ze wszystkimi. Podsunęli mu pęto wędzonej kiełbasy, zakręconej jak ogon podwórzowego psa i zakończonej taką samą czerwoną sraką, podsunęli też chleb. Zgłodniały Sańka wszystko pochłaniał, czym rozbawił kolejarzy. Potem, kiedy brygada zaczęła się rozchodzić – nie żegnając się z dezerterem, jakby go w ogóle nie było – szef z pijacką otwartością wyjaśnił Kałodinowi, że trafił do Szachtyńska, gdzie schować się nie ma gdzie, są tu tylko kopalnie i parowozownia.

– Trzeba ci do Karagandy, a tam się rozpatrzysz, co ze sobą zrobić.

Podjął się odprowadzić Sańkę do kopalni i umieścić w autobusie rozwożącym górniczą zmianę.

– Siedź cicho, a dojedziesz.

Górniczy lud był od kolejarskiego trzeźwiejszy i mocniejszy. Zbiegłego żołnierza żywo tu wzięli w obroty. Wszystko co służbowe, rzucające się w oczy, o nic nie pytając, z niego zdarli, tylko majtki zostawili. Jeden ofiarował spodnie, drugi zdarte buty albo zapasową spłowiałą koszulą się podzielił, kto czym mógł. Wymazani od głowy do pięt węglowym pyłem,

wyglądali jak jeden człowiek, podobni do Murzynów czy choćby diabłów. Sańkę przekazywali sobie z rąk do rąk, a pozbywszy się go, od razu o nim zapominali. Na koniec wsadzili dezertera do górniczego autobusu, jadącego do samej Karagandy. Autobus, coś w rodzaju kanciapy na kołach, z początku długo błądził po nudnych przestrzeniach całej okolicy, zbierając na jej rozpełzłych krańcach szarych, bezkrwistych ludzi.

Wysadzono Sańkę w spokojnym miejscu, z dala od patroli, tam, gdzie Karagandę ciasno otaczały porządne górnicze chaty, z podwórkami pełnymi starych sadów jabłkowych, które w tym mroźnym czasie stały czarne i głuche, obrastając rankiem brudnymi mgłami, a bliżej nocy napędzając przypadkowym przechodniom strachu swymi skręconymi, trzeszczącymi gałęziami.

Przez te dwie nawet niepełne doby, które minęły, odkąd odesłano Kałodina z pułku, Skripicyn całkiem zapomniał o swoim wiernym słudze. Czekał na kapitana Chabarowa nocą i dniem, doba za dobą, nawet kiedy nocował w wydziale specjalnym.

W takiej właśnie chwili usłyszał za drzwiami kroki. Przypomniał sobie, że drzwi są zamknięte, a w wydziale dawno już nie ma nikogo z podwładnych, więc lękliwie oderwał się od papierów, których czytaniem był zajęty do tak późnej pory, i skierował się tam, skąd dochodził odgłos kroków, ale nikogo nie zobaczył. Na progu nieprzyjemnie odepchnęły specjalnego ciemność i zimno, które wdarły się do wnętrza, ledwie otworzył drzwi. Zatrzasnął je i nawet zamknął na klucz. Ale nie zdążył wrócić, zatroskany, do gabinetu, do swojego biurka, kiedy kroki dały się słyszeć jeszcze wyraźniej, głośniej. Skripicyn pomyślał o kapitanie, chociaż spodziewał się go o innej porze, i już energicznie rzucił się ku drzwiom. Znów jednak nie dojrzał nikogo w pobliżu przybudówki, usłyszał jednak coś, jakby szybko oddalające się kroki. Podrażniony, bez namysłu rzucił się za nimi w pogoń, tak jak stał, w samej tylko cieniutkiej koszuli.

Minąwszy pędem całą jakby nagle wyrosłą ścianę, omal nie zemdlał od ciosu, natarłszy na człowieka, którego zagnał w kąt i w którym natychmiast

rozpoznał swojego giermka, ale nie chciał jeszcze wierzyć, że ten żywy trup znów pojawia się w jego życiu.

– Witajcie, towarzyszu starszy chorąży...

Kiedy dryblas odezwał się i ożył, Skripicyn odczuł cios jeszcze mocniej. Jego półżywy, zgnębiony wygląd jakoś nawet zmiękczył Kałodina, ale gdy ten chciał podtrzymać przełożonego, który, jak mu się zwidziało, osuwał się na ziemię, sam został schwytany nieoczekiwanie mocno.

Specjalny wepchnął swojego zmartwychwstałego giermka do wyziębionej łazienki i wpił się w niego ostrymi jak potrzaskane szkiełka oczyma.

– Ty skąd? Widzieli cię w pułku? Gadaj! – I rozwścieczony zawołał: – Gdzie się pchasz?! Mnie w wydziale specjalnym pedałów nie trzeba! Ja cię pożałowałem, ale obrzydzenie mnie bierze od patrzenia na twoją mordę, rozumiesz, że więcej nie chcę cię widzieć, ty...

Nie mogąc znieść tego syku, Kałodin ścisnął syczące gardło naczelnika czerwonymi jak od oparzenia rękami. Wierny sługa dusił specjalnego, przyglądając mu się z szaleństwem w oczach, jakby usiłował coś zrozumieć. Ni to płacząc, ni to wyjąc, z cicha rozluźniał chwyt na szyi chrypiącego naczelnika, a zaraz potem znów zaczynał go dusić – i nagle rzucił się do ucieczki.

W pierwszym odruchu Skripicyn chciał od razu zarządzić alarm całego pułku, ale dotarłszy do telefonu, nie odważył się dzwonić do dyżurki i sam pobiegł szukać dezertera. Zaspani wartownicy, na których natykał się w ciemnościach, ponuro patrzyli na szefa wydziału specjalnego, ale nie zauważali w jego nocnej gorliwości niczego podejrzanego. W pewnym miejscu wyczuł wśród ciszy coś skrytego, niebezpiecznego, żywego. Był to park ciężarówek. Skripicyn pamiętał, że Sańka czasami tam nocował, po prostu w ciężarówce. Jednak i tu na posterunkach było całkiem spokojnie. Wartownik przy bramie kroczył w milczeniu tam i z powrotem. Myśl, że Kałodin zdołał uciec z terenu jednostki do miasta, dodała Skripicynowi otuchy. Wrócił do wydziału i zdecydował się ostatecznie trzymać w tajemnicy wszystko, co się tej nocy zdarzyło. Dezerter, jak sądził, mógł

tylko natknąć się w mieście na patrol komendantury albo zniknąć, uciec w nieznanym kierunku, ale znów tylko do pierwszego milicjanta lub patrolu, co skończy się w zwykłym sądzie, a ten dojdzie po nitce do kłębka.

Pożar wybuchł o świcie – palił się samochód naczelnika wydziału specjalnego. Wartownicy mogliby jeszcze własnymi siłami nie dopuścić, by ogień pochłonął inne maszyny, ale kiedy podbiegli z sikawkami, zobaczyli nagle w płomieniach ogromnego człowieka, z którego, zdawało się, bił sam żar. Wyglądał jak żywa pochodnia. Ryczał coś poprzez syk ognia i trzymał się płonącymi rękoma także płonącej kierownicy. Żołnierzy tak przeraził ten widok, że aż odskoczyli i tylko żałośnie, ze strachem, bezradnie patrzyli na ogień. Czas minął. Kiedy poderwano pułk na alarm, rząd maszyn był już ogarnięty jednym wielkim pożarem. Wybuchały baki z benzyną. Do sprzętu nie sposób było podejść. A zanim nadszedł ranek, park ciężarówek karagandyjskiego pułku dopalił się do końca. Zastępy strażackie polewały ogień z daleka, zdołały jednak osłonić koszary i obronić kilka garaży.

Fiodora Fiodorowicza Pobiedowa wyciągnięto z ciepłej pościeli skoro świt i dostarczono do pułku suką jak złodzieja, bo jego służbowego samochodu już nie mogli po niego wysłać. Czy można sobie wyobrazić, co pułkownik przeżywał, kiedy trząsł się w suce i w żaden sposób nie mógł uwierzyć w pożar? Rozchełstany, z czerwonymi, łzawiącymi oczyma, zaczął szukać winowajców i odpowiedzialnych. Na plac szybko zapędzono żołnierzy i długo przeprowadzano apel imienny, porównując stan z tym, co było w spisach. Okazało się jednak, że spośród chorążych i żołnierzy nikogo nie brakuje. Wyjaśniło się więc, że ten, co się spalił, nie służył w pułku, tylko dostał się z zewnątrz. Wartownicy zeznali, że tego nieznanego zastali jeszcze żywego i że ten nieznany nie wołał pomocy ani nie próbował wyrwać się z ognia, tylko uparcie tkwił w płomieniach.

Popioły spalonego zebrano do ostatniej czarnej kosteczki i zsypano do woreczka. Nie przebierając, zgarnięto do niego także trochę drobnego żelastwa, muterek, sprężyn, bo oddzielić je od ludzkich szczątków było trudno, w ogniu wszystko stopiło się i pomieszało, woreczek pobrzękiwał. Zadziwiało to, że dwie zwęglone pięści nieznanego człowieka przywarły,

zaciśnięte, do kierownicy, przez co trzeba je było odłupywać. Niewykluczone, że nieznany dostał się na teren pułku z zadaniem podpalenia. Może była to jedna z wielu dywersji szykujących się w Karagandzie. Wskazywał na to upór, z jakim nieznany szukał śmierci, razem ze sobą paląc mienie pułku, jakby ślepo nienawidził władzy radzieckiej. Takie myśli rodziły się w głowie Fiodora Fiodorowicza Pobiedowa, toteż przypomniał sobie Skripicyna, bo właśnie za dywersje w pułku odpowiedzialny był wydział specjalny. I kiedy pułkownikowi zameldowano, że Skripicyn był jednym z tych, którzy samodzielnie odważyli się gasić, i nawet ucierpiał od oparzeń, Pobiedow ze złości aż zaczął kląć. Już chciał swoim zwyczajem schować się w gabinecie, usiąść i wysapać, ale znów zameldowano mu o wypadku nadzwyczajnym: w pułku doszło do dezercji, w drodze na nowe miejsce służby samowolnie opuścił swój oddział żołnierz, były szeregowy w wydziale specjalnym – Kałodin Aleksander.

Rozgniewany pułkownik zastanawiał się, jak to wszystko mogło się stać. Nagle zrozumiał, że pożar w parku ciężarówek też zaczął się jakby od wydziału specjalnego, to znaczy od samochodu Skripicyna. Po czym przypomniał sobie, że Skripicyn nie wiadomo dlaczego znalazł się przy pożarze jako jeden z pierwszych, to znaczy o świcie był nie gdzie indziej, tylko w pułku, jakby czekał, aż wszystko zapłonie. Jednak maszyna mogła się zapalić przypadkiem i nawet głupio byłoby ją podpalać, samemu wystawiając się na widok. Zasiedział się aż do świtu, to przecież dobrze, że tak pracuje. A i o dezerterze z wydziału specjalnego kadrowiec zameldował, że Skripicyn miał podstawy, by po cichu uwolnić od niego pułk: tego żołnierza w jednej ze stepowych kompanii zgwałcili koledzy, sami nie-Rosjanie, ale żeby uniknąć hałasu, sprawie nie nadano biegu. Pobiedow z trudem próbował się zorientować, co się wokół niego dzieje. Kiedy jednak wciąż z różnych powodów pojawiało się w jego mózgu nazwisko naczelnika wydziału specjalnego, zaczął rozumieć: „Drugi pożar? A wiesz, to nie bez powodu. Dowieść oczywiście i tym razem niczego się nie da, ale on na ten ogień wszystko zwalił, spalił w nim, co tylko chciał spalić, więc czas działać!”.

Tak to kroczek po kroczku Fiodor Fiodorowicz dotuptał do myśli, że pora już pozbyć się Skripicyna. Zastanawiając się, kto skorzystał na wyrządzonych szkodach, nabrał podejrzenia, że ani chybi Skripicyn pracował dla Diegtiara, który aż nazbyt jawnie mu pomagał. I pułkownik wezwał Diegtiara do siebie, postanawiając, że napędzi szefowi sztabu stracha, co udało mu się bez szczególnego trudu. Potem już tylko ryczał i żądał, by mu przysłać tego dywersanta Skripicyna. A kiedy ten się zjawił, zgarbiony i ponury, pułkownik rozdarł się jeszcze bardziej, jakby nie chciał, żeby Skripicyn zaczął się usprawiedliwiać. On jednak nawet nie próbował odpowiadać, milczał pokornie. Milczał i milczał coraz bardziej niewzruszenie i nawet kiedy pułkownik na koniec wykrzyczał: „Zabieraj manatki, już jutro pomaszerujesz służyć w stepie, zasrańcu!” – też nie odpowiedział.

Nazajutrz Skripicyn pojawił się na służbie wcześniej niż zwykle. Pułkownik też wcześniej niż zwykle zadzwonił do niego:

– Jeszcze się nie zabrałeś?

– Towarzysz pułkownik boi się, że ucieknę?

– Ty jeszcze jaja sobie robisz, ze mnie, dowódcy pułku?! Patrzcie go, długo z tobą wytrzymywałem, długo... Wiesz, dokąd cię posyłam? Do Bałchaszu, miedź będziesz żuł.

– A jeśli ja uczciwie całą prawdę o was zeznam, tę, co ją Smierszewicz u siebie w szafach trzymał?

– Ach, ty zasrańcu! I to za całą moją dobroć? Dupcia ci puści, obesrasz się... Nie, pod sąd ciebie oddam, pod sąd!

– Ale przecież żadnego sądu bez was nie będzie, to przecież wy, towarzyszu pułkowniku, jesteście w pułku głównym przestępcą!

Pułkownik rzucił słuchawkę.

A Skripicyn nie bez zadowolenia pomyślał, że ten stary grzyb powiesiłby się na własnym krawacie, gdyby znał całą prawdę albo chociaż mógł ją zrozumieć. A może by opowiedzieć wszystkim o Sańce, chciałoby się

popatrzeć, jak im miny zrzedną, kiedy się dowiedzą, że żadnej dywersji nie było. Ale przecież nie uwierzą! Nie zechcą uwierzyć.

Wziął papier i zaczął pisać raport... o zwolnienie z wojska. Pisał go tak długo, że aż się zapomniał i myślał już o czym innym, kiedy do wydziału specjalnego wdarli się nagle rozgorączkowani ludzie, wlokąc ze sobą ni to człowieka, ni to kukłę.

– Zabieraj go, on właśnie dowódcę pułku chciał zastrzelić!

Podczas gdy dostarczony do wydziału specjalnego Iwan Jakowlewicz Chabarow dochodził do siebie, Skripicyn przechadzał się po swoim teraz już bezpańskim gabinecie. I chociaż od tego właśnie dnia, kiedy po raz pierwszy spotkał kapitana, cała jego przyszłość zaczęła się obracać w popiół, krzywoboki chorąży patrzył na Chabarowa z obojętną pustką w oczach. Jeśli w ogóle coś go zdumiało, to wiadomość, że kapitan porwał się na życie dowódcy pułku. Czy Fiodor Fiodorowicz przestraszył się aż tak, by sobie wyobrazić, że jakiś kapitan zamierza go zabić? Czy może ten kapitańczyk tak się rozzłościł, że poważnie zamachnął się na życie dowódcy? Ale przecież pistolet Chabarowa był zamknięty w sejfie u Skripicyna, pistoletu nie było, więc skąd takie namiętności?

Specjalny wyczuł, że może dzieje się coś, czego on sam na razie nie rozumie, więc zaczął rozmowę:

– No i co? Chlebem i solą cię przyjął ojczulek nasz rodzony Pobiedow? Ugościł cię? A ty cierp...

– Sukinsyny z was wszystkich... Okazuje się, jedna banda – wyjęczał Chabarow, który niczego nie chciał pojąć.

– Wymyślaj, wymyślaj, znaczy się – jeszcze żyjesz! Tylko że my nie mamy co z tobą zrobić. Jeszcze w Karabasie chciałem ci pomóc. No, co się krzywisz? Ja przecież też jedną nogą w grobie stoję, w tym, co mi go Pobiedow wykopał.

– Zabiłbym – powiedział kapitan i Skripicyn nagle się wzdrygnął. Do żołnierza, który przywlókł Chabarowa, machnął ręką, żeby sobie poszedł, a sam wziął się za kapitana.

– Jeszcze nie czas się poddawać, dwóch uczciwych ludzi to już siła. Zrozumiałeś, kto przyjaciel, a kto wróg, dobrze. Ja krok po kroku do tego Pobiedowa się dobierałem, dowody gromadziłem, fakty, pracowałem, ile mogłem. Ale ty nie chciałeś zeznawać, nic innego mi nie zostało...

Chabarow, wstrząśnięty tą wiadomością, podniósł skopaną oficerskimi butami głowę i krzywobokiego chorążego poraził widok czystych, jasnych łez, które polały się z opuchłych powiek.

– Ale czemuś ty mi od razu nie powiedział, ja bym...

– Za późno – westchnął Skripicyn. Odwrócił wzrok i podał kapitanowi pistolet. – Trzymaj, to twój... Uciekaj, póki nie jest za późno, wycofuj się.

– Ty mi wybacz, towarzyszu drogi – powiedział Chabarow, przyjmując pistolet i nie mając pojęcia, co z nim, zgubionym i znalezionym, zrobić.

Wstał w milczeniu i kulejąc, jakoś bokiem ruszył. Pistolet wsunął do kieszeni szynelu, ale ręki z niej nie wyjął, jakby chciał ogrzać broń.

– Pilnuj kartofli, jak tylko potrafisz, upilnuj je!

Tak się rozstali.

Chabarow miał zamiar dotrzymać umowy i ukryłby się, jak obiecał Skripicynowi, gdyby nie zetknął się oko w oko ze swoim starym znajomym, całkiem nadliczbowym sierżantem, z którym w dawnych latach zgodnie służyli. Sierżant, bardzo niezadowolony z żałosnego wyglądu Chabarowa, w żaden sposób nie chciał go puścić. Służył przy składach i Chabarow nie mógł mu odmówić, w dodatku odczuwał niepojęty smutek. Podczas kiedy oni popijali i zakąszali przy tym swoim podwieczorku, Skripicyn czekał na kapitana, krążył wokół miejsca ich popijawy i myślał z rozdrażnieniem, że u tych ludzi wszystkie porywy, nawet najbardziej nieodparte, rozwiewają się na wietrze. Płoną, dym się z nich unosi i zostaje żużel.

„Nie, ten nawet muchy nie zabije...” – uznał ze smutkiem, a że przemarzł do kości, to dłużej nie wytrzymał, wpadł do składu i wypchnął kapitana z pomieszczenia, w którym ten ugrzązł.

Przy bramie pułku, czekając na wysyłkę, prychała nieznana ciężarówka. Skripicyn wskoczył na stopień.

– Gdzie jedziesz?

– A do Dolinki... – odezwał się głos z szoferki.

– No to zabieraj pasażera, odwieziesz go do szóstej kompanii.

– Z ładunkiem jadę, nie wolno mi.

– A ty do kogo mówisz? Do naczelnika wydziału specjalnego mówisz!

– W pułku naczelników dużo, ja mam swojego.

– Weźmiesz, a jak nie, to nie wypuszczę!

– Za trójkę może i wezmę...

Skripicyn pokornie wyskrobał trzy ruble.

Zaczekał, aż ciężarówka wyjedzie za bramę, po czym posępnie i obojętnie poszedł do siebie, żeby dokończyć pisanie raportu. W pułku panował spokój, ale Skripicyn nie zdążył się zdziwić tym spokojem, kiedy ze sztabu wyleciał pędem jakiś potargany oficerek i rozkładając ramiona jak skrzydła, krzyknął w pełnym biegu:

– Dowódca pułku atak miał! Umiera dowódca!

Zwiastun wpadł do lazaretu, po czym Skripicyn zobaczył, że do sztabu biegną lekarz wojskowy z pielęgniarzem, a oficer, który wypełnił polecenie, bardzo zdenerwowany lezie na skos przez wymarły plac. I tam zaczęli się do niego schodzić, nie wiadomo skąd, ludzie, on zaś pośpiesznie, jakby sam siebie poganiając, informował:

– Serce nie wytrzymało, atak, a kiedy padał, uderzył się w głowę.

Wtedy Skripicyn też ruszył do sztabu.

Stary pułkownik leżał na dywanie w swoim gabinecie. Skripicyn przecisnął się do ciała, rozepchnął gapiów, pisarzy i całą biurową drobnicę, zadowoloną, że chociaż może się pogapić. W gabinecie byli już ordynator lazaretu, Chrulow i Piotr Walerjanowicz Diegtiar. I jeszcze zapłakana gruba sekretarka, na której kolanach spoczywała głowa pułkownika, leżącego na wznak, już bez przytomności, na podłodze.

– Umarł? – Skripicyn nie wytrzymał milczenia.

I wszyscy się wzdrygnęli. Nie stałoby się tak, gdyby zapytał inaczej: „Żyje?”.

Tylko lekarz wojskowy odpowiedział jasno:

– Zużył się Fiodor Fiodorowicz, serce nie jest wieczne, będziemy wzmacniać.

Te słowa ulżyły obecnym, ale pułkownik mimo to nawet nie otwierał sinawych powiek, chociaż Skripicyn już wyraźnie widział, że jego pierś jednak się porusza.

Po pewnym czasie pojawili się lekarze wezwani ze szpitala. Powitano ich z ulgą, jakby z obecnych zdjęto ciężar odpowiedzialności. Chrulow zgłosił się, że będzie towarzyszył dowódcy pułku w drodze do szpitala. Może uważał, że robi wszystko, by uratować mu życie, i tym różni się od innych.

Zostawszy sam na sam w opustoszałym sekretariacie, Skripicyn i Diegtiar, chcąc nie chcąc, zaczęli rozmawiać. Zwłaszcza Diegtiar starał się panować nad sobą.

– Wiem, że pułkownik postawił sprawę zwolnienia ciebie z wojska, jeśli odmówisz służby w Bałchaszu. Ja się z nim nie zgodziłem. Osobiście cię, Anatoliju, szanuję, ale sam decyduj, ja będę musiał wykonać rozkaz.

– U towarzysza pułkownika to jak u pijanego, co w głowie, to na języku – odwarknął Skripicyn. – Wy nawet nie wiecie, co on o was mówi.

Diegtiar poczerwieniał mocno, ale nie odpowiedział. Skripicyna zezłościł jego tępy upór.

– On mówił, że wasza głowa podobna jest do wiecie jakiego miejsca, że z taką głową nie można dowodzić pułkiem, i to o was mówił, o człowieku tysiąc razy od niego lepszym.

Diegtiar burknął:

– Daj spokój, Anatoliju, wszystko będzie dobrze.

– Niby dla kogo dobrze? Pobiedow mnie wykańcza. A potem i was wykończy, on nikomu nie wierzy, z nikim się nie liczy, tak że niedługo i was zacznie podejrzewać.

– Ja mogę wstrzymać jego rozkaz do czasu, aż go nie będzie w pułku, nic więcej dla ciebie zrobić nie mogę.

Takiego zdecydowania Skripicyn po ostrożnym Diegtiarze się nie spodziewał, więc zamilkł, zostawiając go z jego prywatnymi rozważaniami.

Rozdział siódmy

Cała prawda

Kiedy ciężarówka zjechała na zamarzniętą stepową drogę, zaczął siąpić deszcz. Szofer nagle zahamował, poczuł potrzebę. Wyłazić na zewnątrz chłopu się nie chciało. Zwalił się na bok, zadarł długi szynel niczym spódnicę i ze śmiechem bryznął w szarą mżawkę.

– Patrz, kapitanie, nawet niebo się odlewa!

– Znaczy: uważaj, bo wdepnęliśmy – odezwał się Chabarow. – Po wszystkim, zima. W grudniu już zasypie, możesz być pewien.

– Mamuśku, rok już odwaliliśmy... Toć to pożegnalny deszczyk, kapitanie.

– Po wszystkim, teraz czekaj do wiosny, wtedy dadzą nam do wiwatu.

– A będzie wiosna? A jeśli, powiadają, lodem po dupę nas pokryje?

– Dosyć tego gadania... To niemożliwe.

– Ech, niech przepadnę!

Ryże, piegowate chłopisko wyskoczyło rozbawione z nagrzanej kabiny, w której nagle zrobiło mu się za ciasno. I krzyknęło:

– Kareta dalej nie jedzie, idź piechotą, a trojaka nie zwrócę, co, boisz się?

– Przeziębisz się, cyganie...

– Raz się żyje! Uch, ale mnie wzięło, uch, ale wali... Kapitanie, patrz, obszczało mnie! Wyłaź, odświeżymy się na pożegnanko, patrz, woda kolońska!

– Zalewasz!

– Szoferak jestem, dotkniesz kierownicy, to zobaczysz. Prysznic bezpłatny, patrz, a mydło masz, czegoś sobie wszy napuścił?

Ciężarówka wreszcie ruszyła. Żołnierz był zadowolony ze swojego żartu. Przedtem jechali z kapitanem, milcząc, a teraz rozgadali się i w ten sposób obu było lżej zmagać się z nudą ciągnących się kilometrów. Chabarow pytał, jak się żyje wojsku w dolinkowskim łagrze, a ryży łgał. I kapitan był prawie pewien, że gość łże. Gorzej tam nie mogło być. Jednak sama Dolinka nie zdawała mu się od tego łgania bliższa, a nawet oddalała się w myślach dalej i dalej, tam, gdzie ziemia się kończy.

Ciężarówka jechała po rozległym zboczu, im bliżej grani, tym bardziej było stromo. Droga łykała tę stromiznę jak tonący powietrze, ale zachłysnęła się. I wtedy na odsłoniętej równinie wyrósł stepowy Karabas. Na koszarowym dziedzińcu tłoczyło się tylu ludzi, że widać ich było wyraźnie.

Wydawało się, że cała osada się zebrała, żeby powitać ciężarówkę, jakby ktoś zdążył już uprzedzić o przybyciu kapitana. Dziedziniec z tuzinem hałasujących żołnierzy skupionych wokół Ilji Pieriehuda dzieliła żywa ściana Kazachów, stojących nie bezładną gromadą, tylko jak zgrana rodzina. Przewodził temu tłumowi siwy starzec w futrzanej czapie i baranim kożuchu, za nim stali podobni do siebie jak krople wody synowie w różnym wieku, a za ich plecami kryli się wnukowie. Tabun koni czekał pod bramą.

Kiedy ciężarówka przejechała, konie spłoszyły się i zderzyły potężnymi jak dzwony zadami. Przestraszyli się i Kazachowie, chociaż z biczami, na których widok już robiło się gorąco, byli aż nazbyt groźni dla gości. Kazachowie przyjeżdżali do osady i przedtem, nigdy nie było wiadomo skąd. Zdarzało się, że zabłądził w drodze jakiś pijany, a oni przyjmowali go na nocleg. Zdarzało się, że zapraszali żołnierzy w step na polowanie, bo ci mieli służbową co prawda, ale zawsze broń. Częściej odwiedzała Karabas ich smarkateria, by ubijać z żołnierzami własne interesy: chłopcy handlowali anaszą, a także wymieniali porządne rzadkie rzeczy na tanie łagrowe wyroby, w które na takie okazje każdy żołnierz się zaopatrywał.

Starsi natomiast cenili sobie deski, żelazo, a zwłaszcza gwoździe. Wymieniali je na żywność. Najdrożej jednak stały szczeniaki po złych obozowych owczarkach. Kazachowie płacili za nie zdrowymi jagniętami.

Niczemu się nie dziwiąc, Pieriehud mocno stał na dwóch nogach, niczym pomnik z litego kamienia, i kiedy kapitan Chabarow zszedł na ziemię – opuścił zieleńsze od śniedzi, stęsknione oczy i powiedział gdzieś w przestrzeń:

– Znaczy się, z tamtego świata na ten.

I tylko Kazachowie patrzyli pewniej, ze złością, może poznając stepowego kapitana.

– Twoja mać... Co znowu się stało? – Rozgoryczony Chabarow stanął przy ciężarówce.

Ilja odpowiedział niechętnie:

– A ty co, nie wiesz? Łżesz, że nie wiesz.

Kazachowie podsłuchiwali wojskowych i myśleli, że czubaty olbrzym namawia swojego szefa, żeby się przyznał, a ten się upiera. Usłyszawszy o łganiu, ich stary poderwał się ze złością.

– Moja nie łże! Oman znalazł, zapłatę mu dawaj. Kartofel w stepie zdechł, Oman znalazł, on wie!

– Ilja, sukinsynu, opamiętaj się, co ten stary wygaduje? Kartofle przehandlowali czy jak, a ja nic nie wiem?

– A czym tu handlować... – cichym, znużonym głosem powiedział Pieriehud. Długo jakby błądził wśród słów, nim wreszcie zdecydował się skończyć wszystko naraz. – Wychodzi, że ich już nie ma, kartofli niby. To pogaństwo chce miejsce w stepie sprzedać, gdzie je, na to wygląda, w pół drogi wyrzucono.

Kazachowie razem chwycili swoje bicze i ruszyli do kapitana, który nagle wczepił się w ich starca.

– A ty na własne oczy kartofle widziałeś? To niemożliwe, nie rozumiesz? Nie wierzę, łżecie...

Stary, nie okazując strachu, mocnym gestem odepchnął kapitana.

– Moja znalazł, twoja dawaj zapłata.

– A ty co na mnie ryczysz?! – rozzłościł się z kolei Chabarow. – Ty pokaż, pokaż, a potem, bądź pewny, policzymy się!

Ryży szofer gorzko pożałował, że zatrzymał się w osadzie, bo doczekał się, że nagle zażądano ciężarówki. Opierał się, ale kapitan, nie pytając, wlazł do kabiny i spojrzał na niego takim wzrokiem, że ryżemu nie pozostało nic innego, jak zapuścić silnik. Stary zdecydował się jednak pokazać miejsce, zawołał dwóch swoich krewniaków, którzy posłusznie wleźli na skrzynię ciężarówki, a sam usiadł w dziwacznej kabinie z kapitanem. Po drodze nie odezwali się do siebie nawet słowem, ot – obcy ludzie. Kazach patrzył w step, znał tu każdy zakręt i oceniał, jak daleko ujechali. Rysy miał skupione, niezmienne, jak z kamienia. Jazda ciężarówką wyraźnie mu się podobała, nawet rozsiadł się dumniej. Pewna siebie mina starca zrobiła na Chabarowie wrażenie, oglądał się na niego coraz częściej i upadał na duchu. Kiedy Kazach machnął ręką i coś warknął, serce kapitana, przez lata nawykłe do równomiernego rytmu, zadygotało.

Stary w milczeniu prowadził go coraz dalej od drogi, której pobocza już rozpływały się w zmierzchu. Za nimi hałaśliwie kroczyli po kamienistym gruncie dwaj jego krewniacy. Żołnierz został w swojej ciężarówce i wyłączył silnik, wokoło zrobiło się całkiem pusto i cicho. Bił z tego miejsca zapach zakrzepłej na mrozie zgnilizny. Ziemia była pocięta koleinami i pokryta jednakowymi śladami kół ciężarówki. Na zastygłego bez ruchu kapitana spoglądał nasyp z kartofli, przypominający mogilny kurhan, bo też i była to mogiła. Stary patrzył ze zdziwieniem na pagórek i szturchał kapitana.

– Patrz, patrz, twoja kartofla?

Chabarow z trudem się pochylił, podniósł z ziemi kartofel wielkości brukowca i od razu go upuścił. Kartofel głucho uderzył o ziemię, ale nie potoczył się dalej. Kazach czekał, co powie oficer. Potem dotknął rękawa jego szynelu, ale w środku jakby nie było ręki. Stary zdziwił się, nachmurzył, pobrnął w kierunku swoich i Kazachowie zaczęli szeptać między sobą.

Nagle w stepie przejmująco rozdarł się klakson: to nawoływała ciężarówka, rozpraszając martwą ciszę. I wtedy kapitan się załamał, wyglądało to tak prawdziwie, jakby nadawał się już tylko na złom, rozpadł się. Czuł się, jakby coś tłukło go w boki, tratowało, ale nie wydał żadnego jęku, w końcu padł na kolana i wrósł w ziemię.

Kazachowie cofnęli się, ale nie zdecydowali się go zostawić. Kiedy ciężarówka ruszyła gwałtownie w kierunku przeciwnym do łagru, stary z wysiłkiem krzyknął coś w ślad za nią, tupnął ze złością i ciaśniej otulił się kożuchem. Kazachowie nie mieli już na co czekać. Stojąc bez ruchu na tym zatraconym miejscu, mogli tylko zamarznąć. Ale starzec niespodziewanie kazał jednak wszystkim zostać, żal mu się zrobiło kapitana. Kazachowie rozsiedli się nieopodal na ziemi i w ten sposób, jakby przytuleni do niej, ukryli się przed wiatrem. A wiatr zabawiał się nad ich głowami. Marznący starzec zaciągnął pieśń, tęskny lament, a kiedy się zmęczył, śpiewali kolejno jego krewniacy, on zaś słuchał.

Już po zmroku pojawili się rozgorączkowani jeźdźcy. Młodzi migiem zeskoczyli z koni i podbiegli do osłabionego starca. Ten gderał, wsparty na ich rękach. A kiedy wgramolił się na podprowadzonego konia, rozsiadł się w siodle surowszy, mocniejszy i posłał swoich spieszonych bliskich, żeby zabrali kapitana ze wzgórza. Siłą podnieśli go z kolan. Na widok przebierających nogami koni i ich właścicieli Chabarow bez protestu pozwolił Kazachom wziąć się na ręce, a ci zarzucili go na konia, którego dosiadał zupełny malec. Konie, czując, że zaraz puszczą je w cwał, zatańczyły i obróciły swoje kosmate pyski z rozdętymi łakomymi chrapami w kierunku stepu, skąd dyszała czarna, nieprzenikniona przepaść. Stary powściągał ogiera i żegnał się długo, ale bez żalu, z tym niedobrym miejscem, które sam znalazł.

– A kartofel był twoja, kapitan! – krzyknął, jakby wszystko odgadł, i ruszył w swoją drogę, nie czekając na odpowiedź.

Kazachowie rozsypali się, zdmuchnięci wiatrem, który w nich uderzył, i zniknęli po drugiej stronie nocy. A malec obrócił koniem i szybko pogalopował w stronę łagru, tak jak mu kazano...

Usłyszawszy tupot kopyt pojedynczego konia, Ilja wyszedł za bramę i własną piersią zagrodził nadjeżdżającemu drogę. Zwierzę skoczyło w bok, uderzone zapachem wódki, a Pieriehud stał dalej, cały i zdrowy, nawet się nie zachwiał. Kapitan zsiadł z konia o własnych siłach, ale stanął w miejscu. Mały śmignął nahajką i tyle go widzieli, tak że Ilja zaniepokoił się, czy Kazachowie bez szwanku wypuścili Chabarowa.

– Żyjesz chociaż?! – zawołał i kapitan się ocknął.

– Zgniły, zgniły kartofelki, nawet świniom nie dali, nawet robaki sobie nie podjedzą... Tam są wszystkie, na kamieniach leżą, same skamieniałe.

– Wania, a co po nich płakać? Pracy szkoda, że na darmo się namęczyłeś, ale sameś sobie winny, bo nic nie rób, nikomu nie wierz, tylko wódkę pij. A my w step wialiśmy, dalej też będziemy wiać, ziemię całą obejdziemy. Ona przecież okrągła, ciesz się, Wania, patrz przed siebie!

Kapitana jakby oparzyło, takiej niechęci nabrał do tego gadatliwego pijanicy, który śmiał się z jego smutku, chociaż Pieriehud, nawet jeśli się śmiał, to przecież chciał go pocieszyć, żeby nie uważał swego życia za skończone.

Znielubiwszy ostatniego bliskiego człowieka, a nawet usilnie postarawszy się go znielubić, kapitan wszystko, z czym się zżył, obrócił naraz w coś obcego, czego zresztą podświadomie pragnął. Stali jeszcze obok siebie i Pieriehud odprowadził go do kancelarii, nie odstępując na krok, myśląc, że odprowadza zabłąkanego przyjaciela. Sam też został w kancelarii i położył się do snu na gołej podłodze, chociaż Chabarow go wyganiał. Ilja nie wstawał, nie zważając na to, że tamten go wypycha.

– Cieszcie się, cieszcie! – pojękiwał kapitan, a Ilja leżał sobie cicho i tylko pociągał z butelki, którą z całej mocy przyciskał do piersi, kiedy kapitan chciał mu ją wyrwać i wyrzucić.

Takim trzeźwym, spokojnym jak bryła lodu Ilja nigdy dowódcy kompanii nie widział, nawet się nie czuło, żeby był wypity, całkiem jakby prowadził samochód. Pieriehud miał niespokojną noc – to zasypiał, to się budził, jakby coś miało się zdarzyć. Raz, kiedy obudził się i zobaczył, że kapitan wciąż pisze i pisze, ulitował się nad nim.

– A co ty tam takiego piszesz? Podrzyj, rzuć to, bo znowu przyjadą...

Chabarow odwrócił się, przestraszony głosem, który rozległ się za jego plecami, i wtedy Ilja zaspanymi oczyma dojrzał tylko umęczoną, pomarszczoną twarz, podobną do przetłuszczonej szmaty. A kiedy obudził się znowu, już o świtaniu, zobaczył pusty stół i rozrzucone wokoło skrawki papieru, a sam kapitan leżał na łóżku, chrapiąc i posapując. Ilja ściągnął mu buty, przykrył go szynelem i znowu, uspokojony, położył się na podłodze...

Kapitan otworzył oczy o najpóźniejszej szarej godzinie. Ilja dyszał w kancelarii smrodem papierosów, jakby cały czas palił.

– No i dzień dobry, służbę przespałeś!

– Ja nie pies, żeby służyć – zjeżył się kapitan. – Co zechcę, to będę robił, ty mi nie rozkazuj.

– Prawda – zgodził się chętnie Ilja, który miał wielbłądzią cierpliwość, a kapitan odwrócił się i zagapił w szumiącą jak rura wodociągowa ścianę. Ściekało po niej całe koszarowe życie, które w jedną noc obrzydło Chabarowowi i które ściana obojętnie wchłaniała w siebie razem z głosami, z całym tym żywym szumem.

Wreszcie zgłodniał i rozruszał się. W ciągu minionych szalonych, zapędzonych dni zapomniał o jedzeniu, ale teraz coraz nieznośniej odczuwał głód, jakby żywność chowano przed nim za ścianą, a on słyszał, jak ją pochłaniają inni.

– Daj coś do żarcia! – zażądał nagle gwałtownie i stanowczo, stawiając Ilję na baczność. Odwrócił się od ściany, jakby doszedł do wniosku, że już zbyt długo czeka na swoją porcję, którą zapomnieli mu podać.

W kancelarii żywo nakryli stół. Postawili na nim kaszę pszenną, kompot z suszonych owoców z kwaśnymi włókienkami, do złudzenia przypominającymi rabarbar. Było dużo żytniego chleba i przyrumienionych skwarek z pieprzem i solą, do których specjalnie dla kapitana dorzucono strzęp wołowego łoju. Przełknąwszy wszystko, co było do jedzenia, Chabarow nadął się, ociężał, ale dalej nie był syty, nie był zadowolony.

– Sprzedali! – powiedział do Ilji, a policzki pokrył mu krwisty rumieniec. – Ten pułk trzeba spalić jak zakażony. Nie ma w nim ani jednego człowieka, którego byłoby szkoda, sama zaraza. Generał do mnie dzwonił, ale oni i generała sprzedadzą, ja wiem! Mimo to zdążę, on przyjedzie, znaczy się, a ja mu powiem, co trzeba z tym pułkiem zrobić. Oblać, znaczy się, benzyną i podpalić. Niech on mi taki rozkaz wyda, a ja już wszystko zrobię!

– Masz rację, Wania... – zgadzał się znudzony Pieriehud i kapitan zatapiał się, pogrążał w jakimś złowrogim zapamiętaniu.

Wciąż zapominając, co przedtem mówił, oblewał się nagle takim samym jak wcześniej rumieńcem, wypływał na powierzchnię jak nadęty pęcherz.

– A mnie sprzedali! Skąd by tu benzyny wziąć, żeby całą tę zarazę spalić... Generał do mnie dzwonił, uczciwy człowiek, ja mu wierzę. Ale przecież go sprzedadzą, sprzedadzą...

Ilji znudziło się słuchanie nudnych przemów kapitana.

– No i co ty możesz zrobić? – nie wytrzymał, nie będąc w stanie dłużej znosić tej tortury.

– Ja wszystko mogę! – krzyknął kapitan.

Wtedy Ilja stracił cierpliwość, zerwał się, odskoczył i powiedział bezradnie:

– Ja nie będę z tobą siedział, siedź sam, jeśli z ciebie taki drań się zrobił.

Kapitan popatrzył na niego ze zdziwieniem, zadarłszy głowę ku szczytowi tej góry, i z trudem hamując wściekłość, powiedział:

– Będzie całkiem po tobie, Iljuszka... Ty jesteś truteń i obibok, a nie Kozak, won z mojej kompanii.

Pieriehud pociemniał na twarzy, skurczył się cały i niezręcznie obróciwszy się w za ciasnej dla niego kancelarii, nastąpił na skrzypiący stołek, po czym ruszył powolutku ku drzwiom, z trudem pokonując tę drogę, jakby zamiast nóg miał pnie.

Chabarow zjawił się przy wojsku w jadalni, żądny chyba wyżerki, bo zdążył już pochłonąć czwartą rację dzienną, chociaż zazwyczaj, jeśli już

coś jadł, to razem z całą kompanią, siadał zwyczajnie między żołnierzami, czekając, aż przyniosą kocioł, i dostawał swoją porcję wedle kolejności. Dlatego przyjęto dowódcę kompanii jak co dzień, wielu go nawet nie zauważyło, kiedy rozsiadali się, a nawet bili o miejsce. Dwóch żołnierzy przywlekło kocioł, czyli ogromny gar, w którym jakiś zręczny człowiek mógłby się zwinąć w obarzanek. Z trudem władowali go na stół, wokoło zahuczało, a tych, co siedzieli bliżej, owionął smakowity żar. Potrawa pachniała ciastem, chociaż w smaku mogła się okazać całkiem niejadalna, a w kotle mogli ugotować nawet szmatę. Niecierpliwość, żywy ludzki szum stąd się właśnie brały, że każdy chciał jak najszybciej spróbować tej strawy, by poczuć ulgę.

W takiej właśnie chwili, może najniewinniejszej, jaką zdarza się wojsku przeżywać, Chabarow wyrwał się tak, że wszystkich nastraszył.

– Ja wam dam się radować, sukinsyny! – wrzasnął zadyszany, gorący jak to jedzenie w kotle. – Ja was w imię prawdy i sprawiedliwości skazuję!

Mówił już z wysiłkiem, bo ciągnął i przewracał stół, po którym, parując i grzejąc wszystko wokół siebie, zsuwał się do brzegu potężny gar. Przechylał się ciężko niczym odrąbana od ramion głowa, rozbryzgując i rozlewając jedzenie jak juchę. Żołnierze odskoczyli od tego miejsca. Kapitan, osłabiony, poddał się jakby i powiedział głucho:

– Co, nażarliście się?

Odpowiedzieć mu nikt się nie odważył, a zresztą nikt jeszcze nie zdążył się opamiętać. Odchodząc, zagroził niewesoło:

– Czekajcie na mnie, teraz na kolację przyjdę.

Cisza zapadła taka, że nawet powietrze w koszarach stało się ostre, mroźne, ścinało nie tylko oddechy, ale i dusze. Nie wiadomo, co jeszcze chciał zrobić kapitan, lecz ukrywszy się najpierw w kancelarii, pojawił się przed kolacją i poszedł precz z koszar, w ustronne miejsce. Nie oglądając się, przeszedł przez dziedziniec, zatrzymał się jednak przy budce. To miejsce z całej kompanii pozostało mu najdroższe, przylgnął do niego sercem, pamiętał o nim. Zamka przy budce nie było, odkąd zniszczył ją specjalny, ale nadawało to ruinie taki żywy wygląd, jakby się do niej na

powrót wprowadził jej zaginiony mieszkaniec. I jak zaskoczony był Chabarow, kiedy rzeczywiście znalazł mieszkającego w budce człowieka! Tam, gdzie schowane były jego kartofle, ukrywał się przed ludźmi wyratowany z gówna żołnierz Piotr Korniejczuk, którego kapitan zresztą z trudem poznał: był opuchnięty, ubrany w obszarpane łachy. Kiedy zobaczył kapitana, rzucił mu się do nóg i płacząc z radości, mówił pośpiesznie:

– Towarzyszu kapitanie, podywyties, chłopcy jesti nie dają, czoboty pozabirali, biją mene, szoby ja u paraszy spał, a z ludźmi obok nie lagiwał... Podywyties, podywyties, towarzyszu kapitanie!

Przeżywszy swoją zapewne ostatnią stratę, Chabarow krzyknął strasznym głosem:

– A zdychajcie wszyscy!

I nieprzytomny wybiegł z budki. Z wyżek widziano, jak błąka się po stepie. To tracono go z oczu, to znów się pokazywał, można go było dostrzec z dala, stojącego jak samotny słup.

Wróciwszy do kompanii, Chabarow znów zamknął się w kancelarii i w końcu nie zjawił się – jak się spodziewano – przy kolacji, wśród wojska, które już było prawie zdecydowane związać go i rzucić za kraty. Żołnierze nażarli się bez przyjemności i walnęli spać.

Głęboką nocą rozległ się na dziedzińcu straszny grzmot i trzask. Ludzie powyskakiwali z sypialni, ale zobaczyli tylko roztrzaskaną na szczapy budkę, pod której resztkami znaleźli Korniejczuka. Mówić nie mógł, tylko odbijało mu się i wypinał potwornie rozdęty brzuch, a na byczej szyi miał pętlę. Nocą Korniejczuk zeżarł kompanijne zapasy – cały łój wołowy i wszystko, co jeszcze nadawało się do jedzenia. Z głodu zjadł zimę, zjadł styczeń, luty, wiedząc, że potem i tak się powiesi, okupi to śmiercią. Belki drewnianej chałupy nie wytrzymały jednak jego ciężaru. Taki to wisielec, wbrew swojej woli ciągle żyjący, przez własne bebechy uratowany, dostał się wojsku. Bili go, a kiedy się przestraszyli, że na śmierć zabiją, wezwali Chabarowa, myśląc, że teraz kapitan sobie ulży i może zabije. Chabarow wyprowadził Piotra Korniejczuka w step. Tam zatrzymali się, postali, co

widziało rozwścieczone wojsko, ale potem kapitan pomaszerował do kompanii, a Piotr Korniejczuk w przeciwną stronę, do dolinkowskiego łagru, dokąd Chabarow wskazał mu drogę, bo nie znał w pobliżu innego lepszego miejsca. Wracając, Iwan Jakowlewicz wyglądał tak, jakby jednak kogoś zabił, dlatego żołnierze bali się do niego podejść i poskarżyć się, że żarcia już w kompanii nie ma. A on, odwracając od nich oczy, wszedł do budynku koszar, tak że wojacy zostali na dworze, bojąc się wejść za nim, a czekając – doczekali się strzelaniny. Przeciągła palba wstrząsała budynkiem, jakby bito w niego taranem. Kiedy wszystko ucichło, jeszcze długo nikt nie wchodził do środka. Ten zaś, kto pierwszy zajrzał do kancelarii, zobaczył, że Chabarow żyje. Powietrze czuć było spalonym prochem, a sam kapitan leżał z otwartymi oczyma na łóżku, jak śniegiem pokryty wapnem sypiącym się z sufitu, na którym niczym gwiazdy rozsypane były ślady kul: Chabarow bez powodu rozstrzelał sufit.

Od tego dnia, od tej strzelaniny, Chabarow odmawiał jedzenia i picia. Zrzucił watowany materac i leżał na mocnych żelaznych sprężynach, bez powietrza, bez światła dziennego. Wkrótce zaczął naprawdę cuchnąć, obrósł brodą i już zaczął bredzić, coraz głębiej zanurzając się w obłęd. Domyśliwszy się, że to nie jest pijacka zapaść, że dowódca kompanii postanowił skończyć z życiem, żołnierze zaczęli go karmić siłą. Zawijali przy tym rękawy, żeby się nie pobrudzić. Potem otwierali kapitanowi usta niemytymi łapskami i całego zalewali rzadką zupą. On zaś karmiących brał za intendentów, którzy przyszli go wysiedlić, wygnać, więc jęczał:

– Czekaj, nie ruszaj... Ja zaraz umrę...

A poza tym nie było nikogo, kto mógłby się kapitanem zająć, bo Ilja Pieriehud do kompanii nie wrócił. W dniu, kiedy Chabarow go wygnał, postanowił wyjechać na zawsze do Ugolpunktu. Wsiadł na drezynę, porozumiał się z wachmanami – sam był kimś w rodzaju wachmana – i wyruszył. Po drodze ci jego kumple zaczęli wymyślać na Chabarowa, do którego Ilja odszedł od nich kilka lat wcześniej. Teraz tego słuchał i też wymyślał na kapitana, ale nagle rozzłościł się i zaczął go bronić, i to tak gorąco, że wszystkich, którzy źle o nim mówili, pozrzucał z drezyny, a już

w Stiepnoje wyrwał kawałek szyny i zatrzymał ruch na całej łącznicy. W Ugolpunkcie, gdzie poskarżyli się na niego poranieni wachmani, próbowano odprowadzić Ilję do aresztu garnizonowego. Ale on eskortę rozpędził i omal nie rozwalił pomieszczenia, tak że gdyby dowódca batalionu go nie uspokoił, obiecawszy, że zostawią mu czub i wąsy i pozwolą w areszcie pić wódkę, mogłoby dojść w miasteczku do trzęsienia ziemi.

W tę najnudniejszą porę roku przyjechała do Karabasu pułkowa ciężarówka załadowana po brzegi kartoflami, ale zgniłymi, ze skrzyni aż bił ich obrzydliwy smród. Ci, co je przywieźli, powiedzieli, że zwracają te same kartofle, które zabrali kompanii jesienią, tyle samo, według spisu, worków. Powiadomili także o zmianie władzy w pułku. I o starym pułkowniku powiedzieli, że jego tam już nie ma, że jakoby przyjechał generał i zaprowadził porządek.

Minął dzień lub dwa, w kompanii świętowano Nowy Rok, upichcono ze zgniłych kartofli świąteczne danie. Kapitan żywcem rozkładał się w trumnie swojej kancelarii, nie wiedząc, że nadchodzą nowe czasy. Przydzielili mu porcję kartofli. Wpychali mu je do ust, chcieli, żeby żuł, ale on je wypluwał.

Rozdział ósmy

Nowe czasy

Piotr Walerjanowicz Diegtiar niczego nie umiał się bać, jakby wyjadło mu część mózgu, najwyżej cierpiał lub się wstydził, tak jak tej swojej łysiny, która mogła wystawić go na pośmiewisko. Zastępując Pobiedowa podczas jego choroby, zdążył przywyknąć do nowego dla siebie stanowiska i zaprowadzał porządek w podupadłym pułkowym gospodarstwie, śpieszył się, żeby zdążyć przed inspekcją. Jeszcze ani razu nie był u Fiodora Fiodorowicza w szpitalu i dopiero kiedy się okazało, że dowódcę pułku pomyślnie wypisują, z ciężkim sercem zdecydował się go odwiedzić, jakby miał jechać do umierającego.

Resort przeprowadził remont z takim blaskiem, że szpital przypominał kurort. Otoczony wypielęgnowanym parkiem z alejami i altankami, płynął po jego gładkiej powierzchni niczym statek. Wracali tu do zdrowia ludzie zasłużeni, czyli weterani i kierownictwo obwodu. Pobiedowa przeniesiono już na salę dla rekonwalescentów, ścieśniwszy trochę generała w stanie spoczynku. Ten generał uważał siebie za naczelnika sali. A na dodatek był niezadowolony, że umieścili przy nim jakiegoś pułkownika, chociaż był rówieśnikiem Pobiedowa. Tak właśnie wypalił do przybyłego Diegtiara: „Generał lejtnant Proszkin”, przez co zmieszany Piotr Walerjanowicz musiał oddać mu honory. Generał był wystrojony we frotowy szlafrok, który nosił zarzucony niedbale na ramiona, jak burkę. Za mundur zaś służyły mu, nawet w szpitalu, gładka koszula i spodnie z czerwonymi lampasami. Przechadzał się po sali z czarnym, najwyższej klasy radioodbiornikiem, przez który bez przerwy płynęły najnowsze wiadomości

z budów, fabryk, pól... Generał wsłuchiwał się w nie, z lekka przechylając swoją twardą głowę, jakby zwichnął szyję, i co chwila komentował:

– A to słusznie, słusznie, popieram... No i co oni sobie myślą, wlepić wszystkim... A to, proszę, dobrze, dobrze...

Odbiornik tak czy owak był cenny, ale wszystko wskazywało na to, że generał otrzymał go w nagrodę, może z okazji jubileuszu, tym bardziej więc go cenił. Nie wypuszczając skarbu z rąk, tylko trochę go ściszywszy, zaczął z całą powagą przesłuchiwać Diegtiara, całkiem tak, jakby ten przyszedł do niego z meldunkiem. Diegtiar tłumaczył się przez bitą godzinę, no bo jak było odmówić generałowi, nawet takiemu w stanie spoczynku? Ugasiwszy w pewnym sensie pragnienie, emeryt oznajmił:

– No, nie nawal, możesz iść.

Po czym usiadł i z szumem, z trzaskiem zaczął się golić, nie zauważając nikogo wokół siebie. Tak więc Diegtiar z pułkownikiem musieli się oddalić, żeby go nie niepokoić.

Pobiedow wyglądał na zmęczonego, bał się pierwszy zapytać, co się dzieje w pułku, choć okrężną drogą, od innych, o wszystkim wiedział.

– Jak zdrowie? – wydusił z siebie Piotr Walerjanowicz.

I pułkownik pośpiesznie zaczął się żalić:

– Jak mnie chwyci, to oddychać nie mogę. Żeby chociaż tę inspekcję przeżyć... Rozwalili mi zasrańce pułk, czekajcie tylko, wy mi jeszcze na koniec poskaczecie...

Diegtiar zaczął na to z miną winowajcy meldować, jak i co robił pod nieobecność pułkownika. Pobiedow słuchał go z zimną, zadowoloną miną, podobało mu się, że szef sztabu jednak się u niego zjawił i cierpliwie, to znaczy bez sprzeciwu, znosi wymówki. Pokrzepiony na duchu pułkownik pozwolił sobie nawet, nie bez pewnej przyjemności, brutalnie obsztorcować szefa sztabu:

– Czapkę byś zdjął, jesteś przecież w pomieszczeniu.

Diegtiar speszył się na chwilę, ale w końcu odsłonił głowę. Pobiedow i tak nie dał mu się odezwać, znów dopiekł:

– A ty może już do mojego gabinetu się przymierzasz? Zaczekaj, jeszcze tam trochę posiedzę. Ty, wiesz, na rękach mnie noś, wtedy pomyślę.

– Pułkowniku, ja nie rozumiem, ja zawsze, jak rozkażą... – nie wytrzymał Diegtiar.

– Jak rozkażą... Oczekuj od was, człowieku, wdzięczności... – poskarżył się pułkownik słabym głosem. – Choć paczkę byście przygotowali, zatroszczyli się. Innym przynoszą, a u mnie w szafce nocnej nic, aż jakoś wstyd. Wszyscy mnie częstują. Proszę, towarzysz Proszkin też mi dał cukierka.

Diegtiar wstał.

– Ty dokąd? – nachmurzył się Fiodor Fiodorowicz.

– Do pułku pojadę.

– No jedź, jedź... Skripicyna, mówią, zostawiłeś? No dobrze... Przekaż temu dywersantowi pozdrowienia, ja z nim jeszcze pogadam, może przebaczę.

Podniósł się, postękując. Szpitalny szlafrok był na niego za duży, chociaż wyróżniał się nieskazitelnym krojem i schludnością. Pułkownik odwrócił się, poczłapał do swojej sali i zastukał.

– Towarzyszu generale lejtnancie, czy mogę wejść?

Listopad w Karagandzie przypominał nieco północne białe noce. Powietrze w mieście było chłodne, jasne, świeże. Tego miesiąca nie padały ani śniegi, ani deszcze. Ziemia wysychała jak bielizna na mrozie. Wieczorami robiło się zimniej, jakby w mieście rozkwaterowała się zima, ale wystarczyło, by dzień się rozjaśnił, a już wokoło się ocieplało i zima odchodziła.

Wypisawszy się ze szpitala, pułkownik wrócił pośpiesznie do pułku, gdzie już zaprowadzono jaki taki porządek po niszczycielskim pożarze. Diegtiar znów zszedł na drugi plan, a wyglądało to tak, jakby się nie usunął, tylko zapadł pod ziemię. Pobiedow postanowił na razie nie zauważać Skripicyna, zdjętego ze stanowiska, ale pozostającego w pułku, ten zaś

błąkał się podobny do samotnego konia. Nikt nie wiedział, co za generał pojawi się na inspekcji, ale w tych dniach każdy z żarem dowodził, że tego generała niczym się nie przekupi, a pozostaje on w służbie wspierany przez nie wiadomo jaką siłę. Inspekcję prowadzono w azjatyckich okręgach, w pułkach w Taszkiencie, Aszchabadzie, we Frunze, skąd napływały już najstraszniejsze słuchy, jakoby generał Dobyczyn był człowiekiem nowym i bezlitosnym, jakiego wojska jeszcze nie widziały. Nic jednak od tych słuchów się nie zmieniło i Karaganda powitała generała Dobyczyna taka, jaka była zawsze – oblana sennymi promieniami słońca, cała przed zimą rozleniwiona.

Ujrzawszy jednak żywego Dobyczyna, pułk doznał nowego wstrząsu: z samochodu wysiadł rosły, wcale nie podstarzały, lecz w kwiecie wieku, piękny jak srebro, niepoczerniały od złości Tatar. Może nawet nie był Tatarem, ale kimkolwiek był, przyroda wyrzeźbiła go w chwili natchnienia. Siła biła z całej jego postaci. Przenikliwe oczy, wydatne kości policzkowe, mocno zaciśnięte usta. Żylasty i mocny, wyróżniał się spośród otaczających go ludzi, a towarzyszyły mu stale przybierające usłużne pozy figurki. I był to widok zadziwiający: zdawało się, że wilk gna przed sobą stado owiec, ale wcale nie jest głodny, nie ma chęci ich pożreć, to one są tak uczynne, jakby zgłodniały i prosiły o byle strawę. Dlatego, choć niczego groźnego w powierzchowności Dobyczyna nie było, on sam zdawał się mimo to straszny i może bezlitosny. Zobaczywszy jednak, że funkcję dowódcy pułku pełni tu człowiek w podeszłym wieku, odniósł się do pułkownika z wielkim uszanowaniem, to znaczy osobiście przywitał się z nim takim uściskiem dłoni, od którego tamtemu ręka omal nie odpadła, bo przez wszystkie lata przesłużone w wojsku nic takiego mu się nie przydarzyło.

Tak to wiadome się stało, że Dobyczyn jednak szanuje starców i sam sobie jest generałem, decyduje o wszystkim osobiście i na miejscu.

Na jego przybycie żołnierzy uszykowano na placu do przeglądu. Pułk był dumny ze swoich defilad, szczególnie z tego, że postępując mądrzej od pozostałych jednostek, sprawił sobie znakomitą orkiestrę. Żeby zdobyć do niej muzyków, sam pułkowy kapelmistrz jeździł jako werbunkowy

i w tłumach ludzi zagnanych do odbycia służby obowiązkowej wyszukiwał waltornistów, trębaczy, gotów oddać innemu werbownikowi dwóch potężnych, wykarmionych kluskami ze śmietaną ukraińskich chwatów za cherlawego Żydka, który od dziecka wiedział wszystko o kluczu basowym. Taka defilada zachwycała generałów, którym zdarzyło się ją przyjmować: wiedzieli, ile krwi wytoczono, żeby wycisnąć żelazne marsze z żywych, uszykowanych w głębokie szeregi ludzi.

Pobiedow, uszanowany przez generała, nieoczekiwanie odmłodniał i kiedy na defiladzie dowodził pododdziałami, głos jego grzmiał na całym placu. Nogi i ręce zatrzeszczały mu jak dojrzałe arbuzy, kiedy nagle doskoczył do generała, by złożyć mu meldunek. A kiedy już zameldował, nie stanął za jego plecami, jak stali grzecznie oficerowie pułku i urzędasy, lecz sam zrobił „w tyyył zwrot!”, pokazał generałowi plecy, po czym pomaszerował, wyrzucając przed siebie nóżkę jak bagnet, w kierunku zamarłego w szyku pułku, gdzie stanął pod sztandarem i zastygł. I sam też krzyknął: „Kroookiem marsz!”, natężając krtań jak trąbę. Na mordach odbiło się przerażenie, że pułkownik zbije wszystkich z kroku, zgniecie w harmonijkę regularne dotąd szeregi, ale Fiodor Fiodorowicz dał takiego czadu, że cały pułk, dysząc ciężko, rwał radośnie za nim, za swoim chwackim wodzusiem.

Dobyczyn cierpliwie obejrzał defiladę, ale odniósł się do niej obojętnie.

– Maszerować umiecie... – powiedział nawet sucho, bez krzty ciepła, zziajanemu pułkownikowi, który przyskoczył do niego po pochwałę. Tak to zrobiono nowe odkrycie – że Dobyczyn wcale nie ma żołnierskiej natury, skoro nie rozumie i nie ceni urody wojskowego szyku.

O wiele chętniej generał przechadzał się po terenie pułku. Wszystko oglądał, wszystkim się interesował, jakby z tego, co zobaczył, wyciągał dla siebie jakieś głębokie wnioski. Widział jednak tylko blichtr, i to byle jaki, pozorny. I tym wyraźniej ujawniało się, że w pułku nie ma on nic do roboty, jakby przyleciał tutaj z jakiegoś innego życia. Dobyczyna jednak zapewne dręczyło to, że wysyłają go na inspekcje do jakichś nadliczbowych

jednostek, gdzie darmo traci czas, uczestnicząc w żałosnych oszustwach przygotowanych na wypadek jego odwiedzin.

– Słyszałem, że niedawno mieliście w jednostce pożar? – powiedział do pułkownika półżartem, ale też jakby robiąc do czegoś aluzję, a częściowo i z nudów.

– Tak jest, towarzyszu generale, taki fakt miał miejsce – wybąkał pułkownik. – Paliliśmy się.

– Powietrze się paliło czy jak? – Dobyczynowi znudziło się czekać na jasną odpowiedź.

– W żadnym wypadku, park ciężarówek – odpowiedział Pobiedow, pokrywając się grubymi kroplami potu i oblewając nawet nie rumieńcem, tylko żywą purpurową krwią, bo generał zatrzymał się właśnie koło owego parku.

Pokrytą sadzą betonową powierzchnię odskrobano, obgryziono jak kość. Hangary odbudowano, dla lepszego wyglądu nasadzono drzew.

– No więc co się tu paliło?! – zawołał generał, którego jednak zdołano rozeźlić.

Jego okrzyk zawisł bezradnie w powietrzu, ale nagle podchwyciła go jakaś workowata, ściskająca teczkę postać, która dotąd jak cień ukrywała się za cudzymi plecami, lecz w tym momencie zaczęła przedzierać się przez tłum, ku ogólnemu przerażeniu oblekając się w ciało.

– Towarzyszu generale, ja wiem, co tu się spaliło! Tu, towarzyszu generale, spaliła się prawda!

Człowiek ów ruszył wpław po głowach, potrząsając teczką, jakby bał się zamoczyć jej zawartość, podczas gdy wokół na jego ramionach wieszały się ludzkie fale, próbując go utopić, ale nawet sztorm nie zatrzymałby tego desperata, który rzucił się do generała z tak żałosną miną, jakby naprawdę wyszedł z wody.

– A co to za jeden? – nie przestraszył się, lecz zdziwił Dobyczyn.

– On był u mnie naczelnikiem wydziału specjalnego, my go tu nawet, towarzyszu generale, chcieliśmy pod sąd oddać... – mówił pośpiesznie, ze

strachu tracąc głowę, Fiodor Fiodorowicz, dla którego, zdawało się, nadchodził kres życia.

I nie bardzo było wiadomo, co miał na myśli generał, kiedy trzymającym dygocącego Skripicyna oficerom rozkazał natychmiast:

– Tego poszukiwacza prawdy przyprowadźcie potem do mnie...

– Towarzyszu generale... – próbował wytłumaczyć się Pobiedow, ale Dobyczyna znów dopadła nuda.

Kiedy powoli ruszyli znowu, zdawało się, że to nie jest już inspekcja pułku, tylko jego pogrzeb. Tyle że na przedzie nie niesiono na ramionach trumny. Twarze miały możliwie najbardziej żałobny wygląd, a pułkownik trzymał się za serce, chociaż Dobyczyn łagodnie do niego zagadywał, jeśli czegoś nie rozumiał. Dowiedziawszy się mimochodem, że stary pułkownik specjalnie wypisał się ze szpitala, poklepał go nawet po ramieniu.

– No co wy, Fiodorze Fiodorowiczu, trzeba było się doleczyć...

– Tak jest, tak jest... – Pobiedow się wzruszył.

W sztabowej jadalni nakryto do stołu, generała zaproszono na posiłek „czym chata bogata”, ale obiadowali wszyscy, jakby byli na stypie. Ten obiad zakończył pierwszy dzień pobytu Dobyczyna, a nazajutrz miał on poprowadzić w pułku zebranie partyjne, żeby poinformować o bieżącej polityce partii, i nie wiadomo, co by miał generał robić na trzeci dzień, pewnie znowu przyjąć defiladę i zjeść pożegnalny obiad, zanim wyruszy w dalszą drogę.

Koło południa, na kiedy zaplanowano zebranie, zjechali się do pułku wojacy ze wszystkich kompanii, byli to dowódcy batalionów, a także inni oficerowie dobrani spośród komunistów, chłopy, co już niejedno w życiu widziały. Przyjazd był dla nich świętem. Spotykali się tu starzy towarzysze, swojacy, których służba rzuciła w różne miejsca. Do klubu wchodzili jak do domu, przy wejściu starannie wycierali buty, a ci, co już zdążyli zasiąść, radośnie brali towarzyszy w objęcia jak swoich gości i od razu sadzali ich obok siebie, na zawczasu zajęte dla nich miejsca. Ten radosny szum ucichł, kiedy na podium, niewysokim, przypominającym nieco wyższy stopień, za trzema pokrytymi czerwonym suknem stołami zasiadło prezydium.

Wszyscy wypatrywali generała. Klub wybrukowany lśniącymi łbami zamarł, a przemówienia pomaszerowały po nim jak po żywym placu.

Zebranie otworzył swoim referatem generał Dobyczyn, który wypowiadał się tak jasno, jakby na oczach wszystkich wyrzynał słowami z powietrza dowolne bryły. Po nim referował Pobiedow. Później niektórzy wspominali, że jego mowa była jak zwykle energiczna, chociaż inni, równie liczni, twierdzili, że pułkownik, stojąc na trybunie, chwiał się i ledwie ruszał językiem.

Powietrze w klubie zrobiło się duszne. „Towarzysz Andropow, ble ble ble, Jurij Władimirowicz, ble ble ble, sekretarz generalny, ble ble ble, partia...” – wszystko to rozłaziło się po łbach, osiadając i cichnąc gdzieś w tylnych rzędach. Kiedy klaskał Dobyczyn, jak na komendę rozlegały się w sali ogłuszające owacje. Pod koniec przeprowadzono głosowanie, wojacy nie zapamiętali dokładnie w jakiej sprawie i głosowali lasem rąk, z ulgą popierając decyzje partii. Kiedy pułkownik Pobiedow ogłosił, że zebranie uważa za zamknięte, klub wypełnił gęsty zgiełk.

– A co to za historia z kapitanem, który u was kartofle zasadził? – spytał nagle z rozbawieniem Dobyczyn, kierując się ku wyjściu.

Pobiedow stanął na baczność i wypalił:

– W żadnym wypadku, towarzyszu generale. My ten bezwstyd usunęliśmy, proszę nie wątpić.

Generał skrzywił się znużony, twarz mu pociemniała. Widać było, że stary pułkownik nie trafił, jego odpowiedź sprawiła generałowi przykrość.

– Kiedy jeszcze byłem na robocie operacyjnej, zawiadomili mnie, też z jednostki wojskowej, że szpiega złapali, wydział polityczny dobrze popracował – powiedział już całkiem poważnie Dobyczyn. – Przyjeżdżam, a w karcerze siedzi żołnierzyk, jeszcze ma mleko pod nosem. Ja mówię: no co z niego za szpieg? Przynoszą mi obszarpaną książeczkę w obcym języku: o, proszę, po nocach czyta, notatki robi. A wiecie, co to była za książka? Podręcznik angielskiego dla studentów! Dobrze chociaż, że chłopaczka wyratowałem, może wyrośnie wśród naszego chwastu jakaś jasna głowa, co języki będzie znała.

– A tak, tak! – rozległo się wokoło, każdy starał się zawołać głośniej.

Dobyczyn wydawał się zadowolony, już spokojny, kiedy nagle wylazł ten, kto stojąc cały czas za plecami pułkownika, był mało zauważalny, żeby nie powiedzieć – nie istniał.

Był to szef sztabu Diegtiar. Półprzytomny, w ciszy, która nagle zapadła, pośpiesznie zameldował:

– A u nas w pułku, towarzyszu generale, takie jasne głowy giną, u nas siedmiu żołnierzy...

Ale Dobyczyn z jakimś obrzydzeniem przerwał mu:

– Dureń.

Potem poszukał wzrokiem Pobiedowa i warknął:

– Wy też... Czas odpocząć, na emeryturę.

– Tak jest, towarzyszu generale – wybełkotał Fiodor Fiodorowicz, odchylając się w tył, jakby generał zionął na niego ogniem.

– Doczekacie się, że pod sąd traficie... – burknął Dobyczyn.

Wojskowi tłoczyli się jeszcze przy wejściu i ze zdziwieniem słuchali jego słów. Rozstąpili się z uszanowaniem, przepuszczając generała. Ten obejrzał się i z daleka ostatni raz zobaczył kiwającego się na opustoszałym podium staruszka, który jakby tracąc oddech, złapał się za serce. Dobyczyn nie powstrzymał pobłażliwego uśmieszku.

– Wymiera nasza stara gwardia... Nic, tylko umiera i umiera...

Wtedy wszyscy pośpiesznie ruszyli za nim, bojąc się przebywać dłużej w klubie. Diegtiar, którego całkiem wyszturchano, wlókł się w samym ogonie, gorzko wzdychając i nic z tego wszystkiego nie rozumiejąc.

Usłyszał wołanie pułkownika: „Towarzysze, pomóżcie...!”, ale bał się obejrzeć.

Wszyscy wyszli. Klub opustoszał. Pobiedow zwalił się bezsilną piersią na pokryty czerwonym suknem stół prezydialny i zacharczał.

O starym nie pamiętano, każdy uciekał, każdy pragnął jak najszybciej umknąć z tego zebrania i gdzieś się ukryć. A żołnierzom nie chciało się tego

samego wieczoru posprzątać w klubie, zjawili się po cichu dopiero z rana. Przez tę noc głodne klubowe szczury obgryzły zmarłemu pułkownikowi nogi, zżarłszy na nich uprzednio jałowicze oficerskie buty, z których zostały pod stołem kawałki stwardniałych na kamień podeszew i ćwieczki.

Na wiadomość o tej śmierci generał Dobyczyn podobno zapłakał. Urządziwszy się tymczasowo w gabinecie starego pułkownika, wezwał do siebie szefa sztabu Piotra Walerjanowicza Diegtiara.

– Znaczy się, to ty, judaszu, będziesz u mnie dowodzić tym pułkiem – powiedział, spodziewając się, że zobaczy człowieka podłego, zaczajonego, ale ujrzał jakby pozbawiony oblicza kawałek gwoździa, więc wyrzekłszy te słowa, umilkł i przepędził go.

Potem nagle coś sobie przypomniał i kazał ściągnąć do gabinetu tego człowieka, od którego wszystko się zaczęło. Skripicyn został znaleziony, dostarczony, a kiedy go wprowadzono, podobnego do skazanego na rozstrzelanie, ogłupiałego, z jakimś rybim, zimnym ciężarem w niemal oszalałych, szeroko wytrzeszczonych ślepiach, Dobyczyn, starając się hamować gniew, wymamrotał:

– A, toś ty taki... Boisz się teraz? Masz ojca, matkę?

– Nie posiadam... – powiedział specjalny mimo woli przypochlebnie i od razu zamilkł.

– Nie żal ci było tego starca?!

Ich spojrzenia się spotkały. Skripicyn nie potrafił nawet ukryć zdumienia.

– Ja o towarzyszu pułkowniku prawdę mówiłem... Trochę go skrytykowali i umarł.

A generał wyskoczył zza biurka i krzyknął:

– Podlec!

Czarne, jakby opięte lakierowanymi mundurami samochody wkrótce wyjechały z wymarłego pułku. Zatrzymały się przed sztabem, a Dobyczyn, wchodząc na ganek, wciąż nie mógł się pozbyć z myśli tego nazwiska.

– Skripicyn, Skripicyn... Przywrócicie go na dawne stanowisko czy jak? Kim on tam u was był? – rzucił ponuro, nie zatrzymując się, lecz obecni

zdążyli go usłyszeć.

Światło w gabinecie starego pułkownika zgasło. Może zgasił je, wychodząc, sam generał Dobyczyn. Pułk pogrążył się w martwej ciemności. Wartownicy, zmuszeni stać bez zmrużenia oka na swoich posterunkach, byli tej nocy w smętnych nastrojach. Wpatrywali się w żelazną ciemność, z trudem rozróżniając w niej mętne zarysy pułkowych zabudowań, i wzdrygali się na każdy odgłos za plecami, co przedtem nigdy się nie zdarzało. Bywało tak, że przytupywali, głodni, przemarznięci, a tam daleko okno pułkownika dla wszystkich się paliło, ażby się chciało od niego przypalić. I nawet kiedy każdy wiedział, że w tym gabinecie nikogo nie ma, to spokojniej robiło się od tej darmowej pochodni, pozostawionej przez starego na pokaz, dla ostrzeżenia. Tego, że światło zgasło nieodwołalnie, wartownicy tej nocy zrozumieć nie mogli. Skarżyli się, że ciemność na nich napuścili, że naczalstwo sobie światła nie żałuje, a na tym, co dla ludzi, oszczędza. Nie mogli też zrozumieć inspekcji, co z niej za pożytek. Generał przyjechał i odjechał. Dokonał raptem jednego mianowania – no mianował, i co? Usunął jednego pułkownika – no usunął, i co? Gdzie zdążył zajrzeć, tam coś się stało i ot – cała inspekcja, jakby cały rok czekali, żeby się dowiedzieć, o kim słówko uroni, na kogo jego oko padnie. Ale sława generała Dobyczyna jako człowieka bezlitosnego utwierdziła się jeszcze mocniej. Poznawszy tego roku jego osobowość, w wojskach przezwali go nawet Batu-chanem.

Kiedy Piotr Walerjanowicz Diegtiar zjawił się w pułku, jego służba zaczęła się od tego, że oficer dyżurny mu się nie zameldował i chociaż wojsko wokoło się na nich gapiło – nie oddał honorów. Zewsząd mu się przyglądano z ukosa, szeptano o nim.

W sekretariacie starszy lejtnant Chrulow rozpłynął się w uśmiechu.

– Witam towarzysza podpułkownika, miłego poranka życzę...

Diegtiar z miną winowajcy opuścił wzrok i przeszedł do gabinetu, skąd w męce wyjrzał przez okno. Żołnierz postrzępioną miotłą rozganiał po placu kłęby kurzu. Z ciężarówki, która podjechała pod stołówkę, żołnierze

wyładowywali świeżo upieczony chleb. Życie szło naprzód samo, z rozpędu, a Diegtiar już nie mógł wyjść na plac i po prostu pogadać z żołnierzami, bo stał się dla nich obcy. I wszyscy czekali, kto pierwszy ośmieli się odezwać do Diegtiara.

Najpierw pojawił się w gabinecie dowódcy pułku Skripicyn. Wszedł bez pukania, jak swój, i mocniej zatrzasnął za sobą drzwi, tuż przed nosem Chrulowa.

– Przyszedłem powiedzieć, że ja was, Piotrze Walerjanowiczu, szanuję, że dla mnie się nie zmieniliście, ja umiem pamiętać dobro – powiedział uniżenie. – Wszyscy jesteśmy ludźmi, wszyscy popełniamy w życiu błędy. A ja was za śmierć pułkownika nie winię. Pochowamy go z honorami jakby nigdy nic, a on na honory zasłużył, tyle lat pułkiem dowodził. Przyszedłem właśnie porozmawiać o pogrzebie, nie warto tej sprawy odkładać...

Sam tego nie wiedząc, albo przeciwnie – wiedząc bardzo dobrze, Skripicyn zdjął z podpułkownika największy ciężar. Diegtiarowi było też wstyd, że Skripicyn go oszczędził, jakby krew oddał, krwią się podzielił, a on, Diegtiar, nie śmiał jej przyjąć. Wszystko omówili, to znaczy Piotr Walerjanowicz z ulgą zgodził się na całą zaproponowaną przez Skripicyna procedurę. Do pułku zwłok nie zawozić, tylko położyć je w karagandyjskim klubie oficerskim, postawić przy trumnie miejscową wartę, a potem – na cmentarz, na wojskowy, tam zezwolić na salwę na cześć pułkownika i koniec.

– Jest jeszcze taka sprawa, jak to będzie przyjęte... – powiedział Skripicyn. – Pułkownik całego metrażu zajmował jeden pokój, muzeum tam się nie urządzi, a potomstwa jakby nie miał. A ja siedem lat po internatach się wycieram, sztabowcy nasi jakoś wszyscy się urządzili, i to z żonami. Nie można by tego metrażu mnie przydzielić, jak wy to widzicie? Pytanie brutalne, ale lepiej nie odkładać...

– Ja nie oponuję, Anatoliju – odpowiedział bezmyślnie Diegtiar.

Kiedy Skripicyn wyszedł, do gabinetu wbiegł Chrulow.

– Towarzyszu podpułkowniku, jestem oficerem, domagam się, żeby mnie przyznano pokój! Dajecie mieszkanie temu, kto je krwią oblał. A ja jeden

Fiodora Fiodorowicza kochałem.

Na to Diegtiar na chwilę odzyskał dawną wolę, odezwała się jego rogata dusza.

– On zabił za mieszkanie, ty kochałeś za mieszkanie, a ja kochałem i zabiłem... – Jednak cała ta energia od razu z niego wyparowała i bezsilnie, wstydliwie powiedział: – Anatolij służy w pułku dłużej od ciebie, on potrzebuje.

Czy to Chrulow rozniósł tę pogłoskę, czy kto inny, w każdym razie w pułku zaczęto odtąd mówić, że wszystkim kieruje Skripicyn, a Diegtiar z ulgą na to przystaje. Generalskie słowo chroniło Skripicyna mocniej od pancerza, nawet w dywizji wiedziano, kto wyróżnił szefa wydziału specjalnego.

Wtedy właśnie Skripicyn wpadł na pomysł, by wysłać do szóstej kompanii ładunek kartofli, niby to zwrócić te, które wcześniej zabrał.

O kapitanie Chabarowie myślał teraz, nie wiedzieć czemu, nawet z przyjemnością.

– I niech Iwanowi Jakowlewiczowi jeszcze ode mnie ukłony przekażą!

Choć Skripicyn bardzo chciał się popisać, niczego nie dopilnował i do szóstej zawieziono jak zawsze same zgniłki.

Nowy Rok świętował specjalny z drżeniem w duszy, czując, że to początek jakiejś bardzo ważnej ery w jego życiu. Po święcie jednak zaniepokoił się, oczekiwał, że gdzieś w tych dniach powinien się pojawić z podziękowaniem stepowy kapitan. Ten jednak się nie pojawiał.

Skripicyn zaczął się dopytywać, węszyć wszędzie naokoło i odkrył, że zapomniana osada milczy już od dawna, a wiadomości z dalekiej kompanii pułkowi dyżurni zdobywają sami i zdążyli donieść do sztabu, że jakoby żadnego dowództwa w szóstej nie ma. Skripicyn zadzwonił do kompanii z bezpośredniego telefonu i rozmawiał nie wiadomo z kim, tak że ledwie wydobył jakieś w miarę zrozumiałe fakty.

– A kapitan?

– Tutki on, umiera, u nas tutki wszyscy umierają, u nas i kartofle zdechłe znaleźli. A tutki nowe przywieźli, zgniłe, całe my zeżarli, naczalstwa nie ma, kapitan umierać poszedł, tutki żarcia nie ma, przepadło gdzieś żarcie.

Nazajutrz Skripicyn wyjechał w delegację, nie wspomniawszy o niej w pułku. Bał się jechać i bał się czekać, dlatego trudno dokładnie powiedzieć, co za siła ruszyła go z miejsca i pognała do Karabasu.

Ciężarówka wylądowała na zamarzniętym opustoszałym dziedzińcu koszarowym, obsypanym cienką warstwą śniegu, jakby wyładowywano tu mąkę. Ani w tym miejscu, ani na całym stepie zima się nie wysiliła. Roznosząc śnieg po podwórzu, wyciskając butami białe zakurzone ślady, specjalny wszedł do budynku koszar, gdzie pustka jak wygłodniałe usta tchnęła przyprawiającą o zawrót głowy parą. Może właśnie dlatego, że zakręciło mu się w głowie i nagle utracił wolę, choćby i wątłą, Skripicyn pierwszy wbiegł do kancelarii i znalazł w niej tego, kogo szukał.

Kancelaria wydawała się ogromna, przerażająca: ściany były wypaczone tak, że farba olejna popękała, podłoga się zapadła, sufit się walił. Wszystko wewnątrz skruszało, wyschło, przedmioty przypominały ni to wędzoną rybę, ni to papier pakowy. Chabarow leżał niczym nieprzykryty w jakiejś babskiej wełnianej kufajce i bez żadnej bielizny, wszystko spod niego leciało pod łóżko, w jakieś obsrane naczynie. Na widok zadartej na brzuch kufajki, spod której wyzierało coś jak omszała belka, Skripicyn rzucił się do ucieczki, żeby nie zostać przy trupie, ale belka zatrzeszczała, poruszyła się.

Skripicyn zaczął krzyczeć, wzywać pomocy. Na jego rozkaz łóżko z umierającym kapitanem nie wiadomo po co wyciągnięto na zimny korytarz. Wystawiwszy kapitana na zewnątrz, wszyscy stracili głowę, ale Skripicyn coś wymyślił.

– Znajdźcie tu coś, przykryjcie go czymkolwiek, no, żeby cieplej...

Sam zaś, najpierw zataczając się, kołysząc, ale z każdym krokiem z coraz większą zaciekłością i energią, ruszył na poszukiwanie reszty ludzi, chciał koniecznie zebrać i za coś ukarać wszystkich tu obecnych.

Ludzi w koszarach nie brakowało, ale było ich, zdawało się, mniej. Żołnierze rozpoznali Skripicyna i jakby zapadli się pod ziemię. Zebrać

ludzi, przemówić im do rozumu, żeby zaczęli wykonywać rozkazy, udało mu się nieprędko, kiedy już złość z niego wyparowała.

Przesiadywał dniami i nocami przy łóżku Chabarowa i bardzo się bał zostawić go samego, mimo że wola kapitana została złamana i na oczach Skripicyna powoli wracał on do zdrowia. Skripicyn nie zawiózł go do szpitala, chociaż mógł, tylko z niepokojem czekał, aż się Chabarow przebudzi. Zdarzało się, że leżąc w czystej bieliźnie i w cieple, domyty do woskowego blasku, kapitan patrzył na świat i jego oczy dziwnie łzawiły. Od razu nużyły się, zamykały i wysychały jak ziemia, mimo to przebijał się z nich kiełek wychodzącego światła. Pewnego ranka Skripicyn, już znużony przedłużającą się delegacją, wreszcie osiągnął cel: kapitan spojrzał przytomnie i odezwał się do niego.

Wygrzebał się z pościeli, ręce położył na grubej wełnianej narzucie, rozgrzewając je tak, jak dotąd ich nie rozgrzewał: złożywszy dłonie do siebie. Oddychał równo, czysto, przez co i Skripicynowi zrobiło się lżej na duszy.

– Nie bój się, ojczulku, nie przyjechałem cię aresztować – powiedział specjalny jednym tchem, bojąc się wystraszyć kapitana.

Ale Chabarow, odzyskawszy mowę, patrzył na niego wciąż tak samo przytomnie.

– Toż ja się nie boję.

Specjalny, nieprzyjemnie zdziwiony, milczał przez chwilę, nie ośmielił się natrzeć, lecz nagle, z ledwie słyszalnym wyrzutem, zaczął się skarżyć:

– Ty dumny człowiek jesteś, a ja nie, ty dumny, a ja... To jest ta twoja duma, co dla mnie dobre, to dla ciebie od razu złe, no co ja mam z tobą zrobić?

Popatrzył łakomie na kapitana, domagając się choćby odpowiedzi, i Chabarow uczynił dla niego jeszcze jeden wysiłek, choć jego głos brzmiał po prostu, zwyczajnie:

– Wybacz mi wszystko, jeśli potrafisz.

Skripicyn osłupiał, łykał bezsilnie powietrze, trwało to przez chwilę, aż wreszcie zdał sobie z czegoś sprawę i z uroczystą, ale i lękliwą miną powiedział:

– A ty mi wybaczysz?

Jednak nie wytrzymał, zmiękł, zakrył kalekimi łapskami twarz i wybełkotał przez palce:

– W pułku teraz moja siła, wiedz, co zechcesz, to zrobimy. Wszystko będzie. Domu nie masz? To ja ci tu całe miasto wystawię i ty dla mnie będziesz głównym. Tu drzewa będą kwitnąć, arbuzy! Wszystko, ojczulku, korzystaj, dożyłeś...

– Ja ci wybaczyłem i ty wybacz... – mówił Chabarow.

Skripicyn jednak go nie słyszał, pochłonięty swoim nowym celem.

– Czyli czekaj wiosny, tylko doczekaj, a wszystko będzie!

Kiedy kapitan dowiedział się, że Skripicyn wyjechał, wstał i powoli zaczął próbować chodzić. Pewnego dnia wyszedł na zewnątrz, jeszcze słaby, ale z tobołkiem na plecach, i ludzie sami zaczęli się koło niego gromadzić, próbując zrozumieć, co się dzieje.

– Odchodzę, chłopcy... Żegnajcie... – wzdychał Chabarow. – Dostaniecie nowego dowódcę, a ja, żeby choć umrzeć z czystym sumieniem, pochodzę wokoło, poszukam takiego miejsca, gdzie ludzie nie są przeze mnie nieszczęśliwi.

To rzekłszy, ruszył w drogę, ale ledwie odszedł od osady, żołnierzom żal się zrobiło z nim rozstawać, pobiegli, dogonili go, żeby się poskarżyć, że trudno żreć pułkową stęchliznę ze zgnilizną, i jeszcze o radę prosili, czym mogą się pożywić, kiedy dalej będą służyć. Kapitan podreptał w miejscu, powzdychał i wrócił do kompanii pożegnać się porządnie z ludźmi i z gospodarstwem, których zrobiło mu się żal. Potem w ciągu dnia namówił sam siebie, żeby jeszcze dzień tu pobyć, bo poprawiał się na zdrowiu, zatem i spraw więcej się zbierało. Postanowił więc, że przezimuje w Karabasie, a wiosną z czystym sumieniem pójdzie szukać na ziemi miejsca, gdzie umrze, jeśli mu przyjdzie ochota. Służba zaś ułożyła się dla

niego jak najspokojniej. Chociaż wziął Chabarow na barki dawny swój ciężar, a nie lekki tobołek, ludzie w osadzie go nie zauważali, a i on od nich stronił, może nawet się krył. Kiedy dopominali się u niego o rozkazy, on wciąż miał wątpliwości, bał się pomylić, toteż ludzie odchodzili od niego i decydowali sami, niewiele myśląc, jak najszybciej. I mówili o nim:

– Popatrz, jaki z kapitana dobry dowódca się zrobił, toż miodem go smarować.

– Dlatego właśnie dobry, dlatego przycichł, że kartofle swoje pochował. Namęczył się przecież.

Rozdział dziewiąty

Bohaterstwo zimowe

Chabarow lubił cichą, mroźną zimę, kiedy jest dobrze i wokoło, i w sercu. W taką zimę na rosyjskich równinach okadza się chatynki dymem z pieca niby kadzidłem. Wsie na ogromnych przestrzeniach stoją pokryte szadzią, zanurzone w wysokiej ciszy nieba. Nawet psy nie szczekają na podwórkach i drzemie w puszystych śniegach ochrzczony świat. Świeczkę postaw przed tym obrazem, piękniejszym od ikon... Tę cichą mroźną zimę nieszczęsny nasz kapitan pamiętał z dzieciństwa, może nawet prócz niej nic pięknego nie widział.

W Karabasie zimy bywały srogie, wietrzne, chociaż zdarzało się, że pojawiał się jeden jedyny dzień taki jak z kapitanowego dzieciństwa, taki dzień z rumieńcem na policzkach, ale potem znów nacierały wichury, srożył się mróz, dnie okrywały się siną mgłą. Aż wreszcie, od jakichś dwóch lat, zimy się poplątały. Krążyły słuchy, że przyroda zwariowała w skali światowej i teraz tylko czekać nieszczęścia. A to śnieg znikał, a to nagle w grudniu lał deszcz i ziemię skuwały brudne bryły lodu. Słowem – w niebiosach także już porządku nie było.

A w nowym roku zima zaczęła się w lutym, zaspała. I żeby szybko się odkuć, pogrzebała Karabas w głębokich śniegach, wszystko zamroziła, nawet węgiel przechowywany w składach. Trzeba go było wyrąbywać łomami. Nie palił się, tylko tajał. Co tu mówić, nawet żarówki w pomieszczeniach pokrywały się szronem i niepostrzeżenie wybuchały. Obóz ratowały reflektory, a w koszarach i na wartowni zapalano lampy naftowe.

Żeby przetrwać ten straszliwy czas, żołnierze zaciskali zęby, chociaż zdawało się, że nazajutrz nikt ich nie ściągnie z prycz, na które walili się w kożuchach, walonkach, uszankach i zasypiali objęci, pokotem, jakby bratali się w obliczu śmierci. Ludzie z trudem przychodzili do siebie, kiedy dyżurny ryczał na pobudkę, wyrywał ich z nieprzytomnego snu. On też rozpalał piec. Przemarznięte ręce odmawiały posłuszeństwa, koszary, niczym więzienie, pogrążały się w nudnej krzątaninie. Ludzie znów walili się spać, a dyżurny znowu ryczał, chociaż wiedział, że nikt się nie ruszy, póki piec nie zabuzuje. Wtedy wszyscy mieszkańcy skupiali się wokół buchającego żarem paleniska. Nie słuchając niczyich poleceń, tępo patrzyli w ogień, wciąż sypiąc węgiel w duszną paszczę pieca. Mieli na sobie te same kożuchy i walonki, w których walili się spać, i dalej drzemali, ale już stłoczeni przy piecu, a z walonek unosiła się para, z kożuszków też buchały kolumny pary, tak że zdawało się, że to taje samo życie. Kiedy opróżniało się wiadro z węglem, postawione tu, żeby przywabić ludzi do ognia, rozlegała się komenda – po prowiant! I ludzie szli – odrywali się od gasnącego pieca, dreptali po menażkę gorącej cienkiej zupki, a wychłeptawszy ją, znów nie ruszali się z miejsca. Przeżuwali odwieczną razową skórkę od chleba. Czekali, czy może chlusną jeszcze trochę zupy, gorętszej. A przez noc dziedziniec koszarowy zasypywało śniegiem. Dopiero co go odwalali, a teraz – odwalaj znów. Jeszcze doba i zasypie po dach. Na próżno naczekawszy się w stołówce, zdążywszy przez ten czas zmarznąć i zgłodnieć, pobierali smakosze łopaty i wlekli się z nimi w mróz i ciemność. Pracuj, służ – dostaniesz jeść. Przeżyj, przecierp ten dzień – nadejdzie następny.

Kapitan był ulepiony z tego samego śmiertelnego ciasta co wszyscy. Był żywym człowiekiem, cała jego siła polegała na mocy jego zdrowia czy po prostu rąk. Miał nadzieję, że jego ręce zawsze będą takie mocne, a zdrowia będzie miał tyle, że nie ma co go oszczędzać – i naderwał się, dostał przepukliny, jakby z brzucha wywalił mu się jeszcze jeden brzuch, wielkości pudowego worka. Jeszcze przez jakiś czas miał nadzieję, że da się ustanowić sprawiedliwy porządek, by ludziom żyło się i dostatniej, i radośniej niż teraz. Gdyby kapitan sam miał władzę nad całym chlebem

i całym smutkiem, uradowałby i nakarmił ludzi, podzieliłby między nich swoją rację, otworzył serce przed cudzym smutkiem. Ale przecież Chabarow nie był jakimś nadczłowiekiem i dlatego, dając z siebie wszystko, po prostu sam nie dojadał, smucił się, stawał się powoli tak samo na wpół zagłodzony jak inni i tak samo nieszczęśliwy.

W tym czasie pamiętano tylko o dniu żołnierskiej wypłaty, który był coraz bliższy. Mieli wypłacić żołd za cały miesiąc, po siedem rubli. Ponieważ własnej kantyny w kompanii ochrony nie było, wypłatę na towar zamieniano w obozowym kiosku. Z tego kiosku unosiły się dusznym dymem marzenia – jak to przyjdą, jak nabiorą sobie papierosów, masła, powideł, tuszonki i cukierków! Worek z pieniędzmi wyrzucano zwykle w biegu z przejeżdżającego przez Stiepnoje dizla, ledwie nadążano chwycić pokwitowanie, z którym udawali się na stację umyślni z kompanii. Księgowość, tak samo jak sztab batalionu, znajdowała się w Ugolpunkcie, skąd kompania wyczekiwała upragnionego zawiadomienia, żeby wyjechać na spotkanie dizla. Zimą zaś dizel jeździł po łącznicy raz na trzy dni, i to tylko przy niewielkim śniegu. Innego dostępu do odległych kompanii nie było, chyba że śmigłowiec. A drogi mogło jeszcze zasypać, wtedy trzeba było jakiegoś tygodnia, żeby odwalić zaspy. Drezyna w ogóle nie przyjeżdżała po zmianę, która przez to zamieniała się w wielodniową służbą garnizonową, a po surowiec dla łagrowej fabryczki wysyłano zaprzęg z traktorów – pociąg domowej roboty.

W kompanii o tym wszystkim wiedziano, ale nikt nie chciał, nie mógł uwierzyć, że wypłatę wstrzymają. Złość zapanowała taka, jakby dowództwo specjalnie zawaliło drogi śniegiem, żeby nie płacić pieniędzy. Dowództwo zaś od płacenia się nie wymawiało i nie było niczemu winne, ale wojsko w Karabasie nie chciało tego zrozumieć. Wypłatę odroczono we wszystkich zagrzebanych w stepach kompaniach ochrony łagrów, chociaż dokonano jej w samym Ugolpunkcie, może jeszcze w kompaniach piątej i czwartej, które były rozmieszczone bliżej dowództwa batalionu niż osady stepowe. Wojsko jednak widziało w tym dowód, że się je oszukuje, pomija,

więc domagało się wypłaty bez względu na zaspy, czyli żądało równości, chociaż w wiadomych okolicznościach być jej nie mogło.

W Karabasie dzień trzeba było stracić, żeby się ogrzać przy piecu i dostać choć trochę gęstszej zupy, ale żołnierze odmówili znoszenia takiego życia, jeśli nie będzie wypłaty.

Wrzenie zaczęło się od chorych, którzy męczyli się bez szpitala. Było ich z tuzin, przeziębionych, odmrożonych, wycieńczonych. W pułku niedawno wydano rozkaz, żeby chorych leczyć na miejscu, do szpitala ich nie odsyłać. A wydano taki rozkaz dlatego, że samo istnienie szpitalnego łóżka mocno osłabiało dyscyplinę. Żołnierze szkodzili sobie z rozmysłem, szczególnie zimą, kiedy łatwo było oblać się wodą i przeziębić. Na miejscu zaś nie było żadnego leczenia, nie było lekarstw, chorzy albo przeżywali, albo zaczynali zalatywać trupem. Kiedy rozeszła się wiadomość o zatrzymaniu pieniędzy w batalionie, najciężej chorzy zaczęli po cichutku gderać:

– Pozdychamy tu wszyscy... Rozkradli nasze pieniążki... Jedną wypłatę za dwa miesiące dadzą...

Już nie sposób było wytrzymać ich narzekań. Na łóżkach walały się okutane w co popadło ogromne jak pagórki toboły. Nawet zdrowi kwaśnieli w ciemnościach, wśród gołych oszronionych ścian, na które patrzyło się z takim uczuciem, jakby biło się w nie głową. I w tej pustce rodziło się wściekłe, nieustraszone zawołanie:

– Chłopaki, zażądajmy! Dawać wypłatę! Rabują nas!

Kiedy warzyło się to groźne piwo, zrozpaczony kapitan chodził do łagru prosić, żeby pożyczyli żołnierzom z tamtejszej kasy na jego słowo honoru – poza słowem honoru niczego nie miał.

Myślał kapitan, że wyżebrze coś od Siniebriuchowa, że może on się ulituje, ale dowiedział się, że poprzedniego naczelnika obozu już kilka miesięcy temu skazano za zdzierstwa na wyjątkowo wielką skalę. Nowy naczelnik, dorodne, tryskające zdrowiem chłopisko, przy którym kapitan wyglądał na zeka, nie odmówił od razu. Dał kapitanowi zabawiać siebie, wysłuchując z zadowoleniem jego prośby i jakby się zastanawiając, czy ma

wierzyć, czy nie wierzyć, czy może w pełni zaufać jego słowu. A Chabarow prosił coraz goręcej, coraz żałośniej, i właśnie wtedy chłopisko odepchnęło nalegającego kapitana potężnym bandziochem.

– To ci nie prywatny sklepik, tylko przedsiębiorstwo państwowe, gamoniu, ja tu mam sprawozdawczość, a jeszcze inkasentka z zarządu obwodowego po utarg przyjeżdża, u mnie wszystko wedle prawa musi być, choćbyś miał złotymi zębami płacić.

Może gospodarny naczelnik dawał mu w ten sposób coś do zrozumienia, ale Chabarow się nie domyślał. A kiedy tamten zrozumiał, że z dowódcy kompanii nic nie zedrze, nawet skóry, zwymyślał go od ostatnich i omal nie pobił, wypychając brutalnie ze składu.

Zona była zapuszczona tak samo jak wszystko dookoła, ale słychać było, jak huczą i wciąż pracują warsztaty. Łagrowe wyżki pięły się jedna przy drugiej w zamglone niebo niczym drabiny. Kapitan wypatrzył, że opustoszały i stoją bez ludzi, jak gdyby przewrócone. Na wartowni Chabarow podpadł wachmanom, którzy pośpiesznie zagradzali wszystkie wejścia i wyjścia.

– Widzisz, co się dzieje? Nigdy tak nie było, żeby obóz bez ochrony został. Melduj, szybciej melduj, żeby ich przyłapali jeszcze na gorącym. Co ty milczysz, ty siebie ratuj, bo cię razem z nimi załatwią!

Ale kapitan ich nie słyszał. Wachmani popatrzyli po sobie i odeszli, chrzęszcząc po śniegu i dogadując:

– Przepadł chłop... A niech go szlag trafi, bydlaka, on już dawno jest nie do życia, no i doczekał się, wszystkich za sobą do mogiły ciągnie.

Ochrona się rozbiegła. Tylko owczarek pozostawiony na podwórzu wartowni rzucał się i ujadał. Radośnie podążył za kapitanem, przyczepił się do niego i powolutku wlókł się w ślad za nim, kiedy ten z pustymi rękami wracał do kompanii. Ale nagle, obejrzawszy się przy bramie, z której walił śnieżny pył, jakby oddychała na mrozie, kapitan nie zobaczył owczarka ani koło siebie, ani w obrębie koszarowego dziedzińca. Wymusztrowany od szczeniaka, on też zdradził przysięgę, rozum stracił.

W koszarach napalone było jak nigdy przedtem tej zimy, opału już nie żałowano. Węgiel tajał, a piec rzęził łapczywie, strzelając iskrami. Ogień trzaskał, huczał, wydawało się, że to dach koszar przecieka, a nad nim nieprzerwanie leje i bębni po nim deszcz. Całkiem jak wtedy, kiedy pada, a wydaje się, że pali się podwórze, ziemia i wszystko ni to topnieje, ni to się piecze. Chabarow stał samotnie w purpurowym świetle pieca, oblewany tym samym światłem co glina. Jakby go nie było, chociaż przyszedł już dawno temu. Tego dnia czas się zatrzymał, ale widać był to już wieczór, który zapadł wcześnie, jak to zimą, prawie w połowie doby. W sypialni zebrała się cała kompania. Łóżka przysunięto bliżej do buchającego żarem pieca, ale miejsca na nich nie starczyło i ludzie poukładali się też na podłodze. Ci, co zeszli z wyżek, spali, trzymając w objęciach automaty, grzali się. Było spokojnie i cicho jak w szpitalu. W tej ciszy na ławie, która omal nie wjechała do pieca, czuwało trzech żołnierzy, może zdołali już ukraść odrobinę snu. Jeden z nich posunął się, ujrzawszy kapitana, drugi, nie podnosząc wzroku, podał mu kubek z wrzątkiem. Kapitanowi wypadało go przyjąć.

Czajnik, znów postawiony na piecu, zaczął trzaskać rozgrzany, nie było w nim już wody. Jeden szepnął drugiemu:

– Nie widzisz? Idź, śniegu napchaj, bo się spali.

– Widzę... – odezwał się tamten, ale się nie ruszył.

Wtedy wstał ich kumpel, wydawało się obcy, zapomniany, chwycił ze złością czajnik i utonął w ciemności.

– Dzieci, no co wy robicie, służyć przecież trzeba, inaczej przepadnie wszystko... – powiedział nieśmiało kapitan.

Żołnierz, ten bardziej rozzłoszczony, odrzekł:

– Nie możecie występować przeciwko nam. Lepiej pomagajcie, bo jak nie, to i was zrzucimy. Wcześniej tośmy głupi byli, a teraz żeśmy zmądrzeli, jak zażądamy, to swoje dostaniemy.

I w tym momencie z tej wielkiej ciemnej kupy, w którą zlały się leżące pokotem ciała, dobiegł okrzyk:

– Na co czekasz, Chabarow? Żyć chcesz, sukinsynu? No to zjeżdżaj stąd, pókiś żywy!

Kapitan wrócił do swojej kancelarii, innego miejsca nie miał. Siedział przy zalodzonym stole, do którego wszystko przymarzło, także lampa naftowa, którą zapalił. To pykała z cicha, to filowała. Kapitan patrzył na nią, nie wiedząc nawet, ile w niej zostało nafty. Wciąż się spodziewał, że lampa zgaśnie, myślał o tym jakoś bezradnie, z opóźnieniem, ale knocik nadal się palił...

Z rana przebudził Chabarowa ciemny mróz. Kapitan poszedł uprzątać śnieg na dworze i wszyscy w koszarach słyszeli, jak uprząta. Kiedy skończył z tą robotą, zaczął wyrąbywać w szopie węgiel na nadchodzący dzień i wszyscy słuchali, jak dźwięcznie tłucze łom. Wiedzieli, słyszeli, ale na zewnątrz nie wychodzili. Żuli suche, nadpleśniałe kluski, których nie miał kto ugotować.

Kapitan zjawił się biały od śniegu, z wiaderkiem węgla. Piec dawno zastygł w martwej niemocie. Ale kiedy Chabarow rozpalił ogień, podrzucił starannie węgla – piec zawarczał, ożył. Żaru przybyło i kapitan stanął przy huczącym piecu, tajał, wilgotniał przy nim, a tym, którzy teraz grzali się w sypialni, powiedział:

– Uwierzcie mi ostatni raz, swojej obietnicy powtarzać nie będę. Pójdę i przyniosę wypłatę. Jeśli kompania będzie pełnić służbę, nie zbuntuje się, to mnie pieniądze powierzą, możecie być pewni. Dajcie mi dwa dni, damy sobie radę, a potem już wiosna, wiosną wszystko będziemy mieli!

Tego dnia nie uprzątali śniegu z dziedzińca, bo uprzątnął go kapitan. Dzień był podobny do zmierzchu, a jeszcze podniosła się mała, kosmata zawierucha i tańczyła samotnie w mrocznym stepie.

Chabarowa nikt nie odprowadzał, ale on cieszył się, że został sam na całym świecie. Wyszedł w walonkach i kożuszku, z butelką spirytusu za pazuchą, jedyną rzeczą, którą wziął dla siebie. Butelka była mieniem państwowym tak samo jak kożuszek, wydał mu ją lekarz wojskowy zamiast lekarstw i szpitala. Ta butelka to był cały jego bagaż i była zadziwiająco

lekka, chociaż go poiła, grzała, leczyła, kołysała do snu, po prostu nie butelka, tylko matula. Łyknąwszy na drogę, kapitan szedł i szedł po zaśnieżonym garbie wąskotorówki, coraz bardziej zagłębiając się w niejasną dal. Odwracając się w stronę łagru, co chwila żegnał się z nim, machał ręką. Chociaż nie chciał, by go ludzie odprowadzali, nie chciał ich trudzić, to żegnali się z nim długo – nawet w ten do zmierzchu podobny dzień step widać było z wyżek daleko. Dlatego kapitan wymachiwał rękami, myślał, że wojsko patrzy na niego z wysoka. Wartownicy rzeczywiście go widzieli – oto pełznie krzywo jak mrówka, a kiedy zasłoniętego zawieją kapitana stracili z oczu, zaczęli czekać jego powrotu.

Zawieja weseliła Chabarowa. Wznosiła tumany śniegu, które kłębiły się, wirowały, z tej białej przędzy od razu same tkały białe jak śnieg, puszyście wystrzępione płatki, a one wytańcowywały korowody na wietrze. I kapitan znowu łyknął z butelki, nie wiedząc, dokąd dojdzie.

Opuściwszy osadę, zdążył zgubić się w stepie zaledwie w pół drogi do Stiepnoje i już nawet w myślach nie kierował się do Ugolpunktu, tylko tonął w zawianych śniegiem przestworzach. Kierunek marszu wybrał najprostszy, ale i najbardziej powietrzny. Szedł po wąskotorówce, po jej torowisku prowadzącym do Ugolpunktu. Kierunek był prosty jak na rysunku technicznym, lecz wytyczony przez śnieg, zawieję zapętlał się w powietrzu. Chabarow szedł do stacji tak długo, bo nieraz mu się zdawało, że zgubił drogę. Zaśnieżone torowisko się rozwidlało, wyślizgiwało mu się spod nóg i niosło coraz dalej, a kapitan nie nadążał za nim, odpadał. Stację rozpoznał po nadpalonych belkach sterczących z zasp.

Wtedy to, w Stiepnoje, na rozwidleniu toru, nagle pomyślał z lękiem, że nie dotrze do Ugolpunktu, taką zobaczył przed sobą dal, do tego jeszcze pociemniałą od zawieruchy. I znów łyknął z butelki, wdrapując się na śnieżny wał, w który przekształcił się nasyp kolejowy, ale nie zrobił po nim ani kroku: właśnie wtedy, kiedy się zastanawiał, z której strony ma szukać Ugolpunktu, wszystko zawirowało mu w głowie. Niepewny, dokąd się kierować, kapitan patrzył w obie kłębiące się, tańczące strony, ale w żaden sposób nie mógł się zdecydować, którą, jedyną, wybrać, bał się pomylić,

bał się coraz bardziej. Półprzytomny usiadł w miejscu, z męką usiłując sobie przypomnieć, gdzie jest właściwa strona. Może to nie godziny mijały, lecz dni... Kapitan ocknął się dopiero wtedy, kiedy niebo zaczęło czernieć. Zawieję, tę dujawiczkę pijaną, wesołą, jakby zdmuchnął jakiś dziki wiatr, który okazał się silniejszy od wszystkich – od śniegów i od mrozu. Skruszył zimę! Powietrze obrastało warstwami śniegu, te zaś rozpraszały się w ciemności, krzesząc trzaskające iskry. I kapitan rozpoznał w tym łoskocie uderzenia buranu: buran zjawił się w najcichszym stepie, żeby odebrać swoje długi, a przecież ile to lat go nie było...

Kapitanowi, gdyby chciał się ratować, nie pozostawało nic innego, jak przyczaić się albo pełznąć do osady, ale wiedział, że czekają tam na niego ludzie i jeśli nawet nie wiedzą jeszcze o buranie, to wkrótce sami poczują jego uderzenia, więc wykaraskał się ze śnieżnej jamy i z trudem ruszył przed siebie, przebijając się nie wiadomo dokąd, byle się nie cofać. To robił krok, to padał, to znów podpełzał, odsapywał, a kiedy nie miał siły iść naprzód, leżał i martwił się, że jej nie ma, ale siebie nie żałował. Co się z nim działo, nie pamiętał, odzyskiwał świadomość na tę chwilę, kiedy wstawał, zatrzymywał się, ale znów pchał sam siebie do przodu, utykając mordą w palącej lodowatej twardości, i znowu pchał się do przodu. W pewnym momencie zrozumiał, że w buranie znikła butelka ze spirytusem, że już jej nie ma. Kiedy indziej poprzez ciemność czasu zorientował się, że zgubił uszankę. Ale zastygnąć, zginąć na miejscu kapitan sobie nie pozwalał, tylko pchał się, jak mu się zdawało, naprzód, bo ludzie mu wierzyli. Ciągnął ze sobą brzemię odmrożonych nóg, taszczył odmrożony brzuch, jak rzeka toczy swoje lodowate wody, i już mu się zdawało, że wlecze za sobą całą ziemię, cały ziemski ciężar z lasami i morzami. I wtedy wyplątał się z kożuszka, porzucił go całkiem i dalej popełzł jeszcze żywy, jeszcze dyszący...

W pewnym miejscu jego życie się urwało. Nie chciał już pełznąć dalej. W tej ostatniej chwili jasności Chabarow zwalił się pod śnieżną pokrywę, która była w tym miejscu cienka, świeża. Utonął w pulchnym śniegu tak głęboko, że nie słyszał uderzeń buranu. Zasnął w śnieżnej głuszy i w cieple

i dopiero potem, we śnie, umarł bez bólu, z pewnością nie wiedząc o swojej śmierci.

Buran szalał w stepie przez trzy niekończące się doby, a rozjaśniło się w godzinę. Step był pokryty równą, spokojną gładzią i odbite od niej światło, jeszcze wątłe, ale zadziwiająco przejrzyste, zalało ledwie żywe obszary. A żaden z ludzi, którzy uwierzywszy kapitanowi, objęli posterunki, nie porzucił ich, kompania wytrwała. Niekiedy z łagru przebiegali do wartowni pomagierzy naczalstwa i różni popaprańcy, tacy, co się bali, żeby zecy ich nie załatwili. Wpuszczano ich, a oni siedzieli po kątach jak zaszczuci...

Wiele rzeczy zniszczył ten buran w Karabasie, nie poznali osady żołnierze, kiedy wyszli na światło dzienne, ale wszyscy się cieszyli i nie było sposobu, by tę radość stłumić, bo znużyło ją czekanie w głębi ludzi.

Rozdział dziesiąty

Na chwałę i na wieczne odpoczywanie

O katastrofie żywiołowej, która dotknęła tereny północnego Kazachstanu, ludziom nawet nie wspomniano, ale i poza dotkniętymi klęską obwodami czas nastał taki, jakby wszystko wokół pogrzebano i dym z tych pogrzebów bił tak gęsty, że siekierę można było w nim zawiesić. A tam, gdzie nie dało się sprawy przemilczeć, stworzono określenie „pas buranowy”, przez co rozumiano opuszczone, zniszczone klęską żywiołową ziemie.

Karabas jeszcze przez pewien czas nie miał łączności z resztą świata; buran obalił słupy trakcyjne na przestrzeni wielu kilometrów, a kompanijna radiostacja nie działała. Na niebie nad osadą pojawiały się śmigłowce, które zrzucały ładunki podtrzymujące życie obozu. Zecy urządzili sobie jeden barak, gdzie pilnowało ich niewielu strażników. Pracy żadnej nie było, w łagrze rządzili nadzorcy. Żołnierze wybrali jednego ze swoich, takiego, którego szanowali. Odmrożonych, rannych wywożono tym samym śmigłowcem nie wiadomo dokąd. Pogoda ustaliła się możliwie najłagodniejsza, żarcia znalezionego w gruzach starczyło. Kapitana nie wspominali, tak jak bywa, kiedy człowiek odszedł, ale ma wrócić i wszyscy są tego tak pewni, że po prostu o nim zapominają. W osadzie ustaliło się ciche, jasne życie, jakim ludzie tu jeszcze nigdy nie żyli, co zresztą dziwne, bo przecież, zdawałoby się, do takiego życia się narodzili. Wszystko co konieczne zrzucano im bez opóźnień z powietrza, a wśród zniszczeń żyło się nawet spokojniej, bardziej codziennie, bo nie było pracy przymusowej ani musztry. Ale potem od strony Stiepnoje niespodziewanie ukazał się etap. Mieszkańcy Karabasu zobaczyli, że w bojowym szyku, zapadając się

po pas w śniegu, idą do nich kolumny, a za nimi traktory wlokące drewno, zwoje drutu kolczastego, beczki oleju silnikowego, ocieplane baraczki.

Z kolumną żołnierzy przybyli też oficerowie i dziwili się, że w osadzie przez cały czas nie było naczelnika.

– A gdzie wasz dowódca?

– Po wypłatę poszedł.

– Udało mu się, wróci na gotowe!

Oficerowie należeli do konwoju i na długo się nie zatrzymali. Konwój miał za zadanie rozprowadzić więźniów po ocalałych, mocniej zbudowanych łagrach, w Karabasie zaś zostawiono garnizon żołnierzy i rzemieślników, żeby do wiosny wszystko odbudowali.

Zeków posortowano, zaprzychodowano, a potem pognano całym etapem po wąskotorówce, traktorami oczyszczono tor aż do stacji, a tam wsadzono więźniów na platformy, z których od razu zaczęli zrzucać resztę drewna budowlanego, żelastwo, skrzynki z gwoździami i skoblami, cement, cegły, wapno, zapasy żywności. Wokół biegali, wydając krzykliwie rozkazy, obcy ludzie. Ale wkrótce wszystko się przemieszało.

Praca nie zamierała nawet nocą. Wciąż załadowywano „tysięcznik” – hałaśliwy etap, ogromny jak cygański tabor. Płonęły ogniska, szczekały owczarki, od czasu do czasu strzelano. Między Stiepnoje a obozem krążyła drezyna, w jedną stronę wiozła rozmaite ładunki, w drugą – ludzi. Noc unosiła się jasna, biała, wszędzie kipiało jak w mrowisku. Przybywając na miejsce zwałki, drezyna dymiła spalinami jak statek parowy. Było tu wielu wolnych pracowników, samych chłopów, nazbierano ich w okolicy i zwożono po cichu do osady, gdzie pracowali na czarno.

Nikt nie uwierzy, jakie zgodne, serdeczne były te dni, kiedy Karabas rozładowywał się i załadowywał, przelewał z pustego w próżne, kipiał ludźmi – wszystko zmieszało się razem! Nikt tego nie opowie ani w to nie uwierzy. A zdarzył się jeszcze w tamtych dniach incydent z zekiem, z łagrowym maszynistą drezyny – ten wujcio kuternoga też znalazł radość i cieszył się, że ma dość oleju do swojej maszyny. Choć była z niego wesz obozowa, szanował swoje zajęcie. I odbywając wyrok na łagrowej

drezynie, na państwowym oleju, wujcio duszę otwierał i obcym ludziom, zwłaszcza tym, co tu robili na czarno, opowiadał:

– Maszyny mi żal, ona bez roboty umrze. O nią dbać trzeba jak o krówkę i taka sama miłość jej się należy.

Wolnych pracowników szanował za to, że lubią pracę i interesują się mechanizmem jego drezyny, a do tego gotowi są człowieka, czyli jego, tytoniem poczęstować. I drezyniarz tak tych przyjezdnych chłopów pokochał, że chodził z nimi i coś przekąsić, i na papieroska, jakby sam był wolnym pracownikiem jak oni. I tylko na noc się z nimi rozstawał, wracał pod klucz do swojego obozowego baraku, podczas gdy tamci nocowali swobodnie w koszarach, w bloku, który zgodnie pokryli dachem i uszczelnili jak własny dom. I raz tak się stało, że drezyniarz nie wrócił na apel do baraku, tylko jak wolny pracownik poszedł z chłopami, popił z nimi wódeczki, pogadał i położył się w koszarach, a oni odstąpili mu łóżko i materac. W łagrze nawet tego nie zauważono, dozorcy byli przyzwyczajeni, że drezyniarz pracuje po nocach. Straży przy kuternodze żadnej nie było, tyle że mieli go na oku jak małe dziecko, taką przecież miał robotę, każdy go widział. A tamtej nocy wujcio oczu nie zmrużył z przejęcia, że nocuje z samymi wolnymi ludźmi, którzy nie tylko go nie przegonili, ale i odstąpili mu materac. Leżał, wiercił się, mało wszystkich nie pobudził.

– Ty czego się martwisz?

– Nie mogę zasnąć, papieroska bym zapalił czy jak...

– No to zapal, masz, i ogieniek, i tytoń.

No cóż, zapalił, a z szacunku dla śpiących – na mrozie. Potem herbatki się napił po cichu i tak mu zeszło do rana: poleży, zapali, herbatki popije... I już o świcie, kiedy wszyscy jeszcze spali, pomaszerował do łagru. Wachman, wpuszczając go do baraku, zapytał:

– I gdzieś ty się zabradziażyć zdążył?

Tamten odpowiedział:

– My niepijący, robili my...

A z rana znowu robota, chłopy wołają do drezyniarza:

– A gdzieś ty się w nocy podziewał?

– Ja mam przykazane w baraku.

– Aha, jasne, a ty się nie przejmuj!

Kapitana Chabarowa w tym czasie nie szukano. Osada zdążyła odbudować się i opustoszeć. Wydano też według spisu wypłatę, ile komu się należało. I wtedy przypomnieli sobie o kapitanie: nie ma kto odebrać!

Ile to czasu upłynęło! Gdyby kapitan szedł bez przerwy, to okrążyłby całą ziemię i wrócił do Karabasu. Szukali go w okolicy, ale że na stanie osobowym go nie było, zameldowano z batalionu do pułku, że zniknął u nich ze służby dowódca kompanii.

Kiedy doniesienie doszło do wydziału specjalnego i trafiło do Skripicyna, ten pomyślał, że jeśli kapitan zniknął, to wcale nie uciekł, tylko zginął, i mamrotał przy tym pod nosem: „I tak by zginął”. Wziąwszy się do dzieła i zarządziwszy śledztwo, nakazał szukać szczątków, bo tylko on jeden wiedział, że Chabarow nie może być żywy, a dla pułku życie lub śmierć jakiegoś kapitana nie miały żadnego znaczenia. Na wszystkie strony rozesłał portret słowny zaginionego bez wieści: „Poszukiwany średniego wzrostu, mocnej budowy ciała, włosy ciemne, gęste, z pasemkami siwizny, czoło proste, owal twarzy szeroki, wargi, uszy, nos wydatne, mięsiste, kolor oczu niejasny, znaków szczególnych brak”. Po czym pomknął do Karabasu, gdzie zainstalował się w kancelarii, wciąż prowadząc przesłuchania, jakby pragnął dowiedzieć się o tym człowieku wszystkiego, co ukrywał on za życia i co ukrywali przesłuchiwani przez niego żołnierze – prawdy o jego śmierci.

Ale wojskowych, którzy przeżyli buran, zostało w Karabasie niewielu: jedni trafili do szpitali, drugich zastąpili nowi ludzie. Nieliczni pozostali zeznawali specjalnemu, że kapitan, nie doczekawszy się w terminie wypłaty, sam pomaszerował po nią do Ugolpunktu. Nocą w osadzie rozszalał się buran, a kapitan opuścił ją w środku dnia. Do żadnej winy pozostali na miejscu żołnierze się nie przyznawali, chociaż Skripicyn wyduszał z nich prawdę, mając donosy wachmanów, że jakoby w kompanii

doszło do buntu i żołnierze odmówili służby. I wtedy zaczęło do niego docierać, że to przecież sam kapitan Chabarow kryje swoich ludzi i specjalnie postanowił zginąć, aby nawet kosztem własnej śmierci ustrzec ich od sądu.

Skripicyn wyjechał z pustymi rękoma, ale poszukiwań trupa nie przerwał. Chociaż zrozumiał okoliczności śmierci Chabarowa, to szczątków zaginionego kapitana szukał nawet z większą energią, tak jakby mógł w ten sposób nie dopuścić do czegoś gorszego. Znaleźć człowieka w ogromnym zaśnieżonym stepie to niemal go wskrzesić. I kiedy Skripicyn odbierał wiadomość, że na kolejnym odcinku niczego nie znaleziono, tracił kontakt z otoczeniem, jakby sam był trupem. Gdy nieśmiało mu podpowiadano, że kapitana może w ogóle nie uda się odnaleźć, bo mogły go zeżreć wilki albo lisy, jak to się zdarza z wszelką stepową padliną, Skripicyn wybuchał i poszukiwania, które na chwilę zwolniły, znów nabierały wściekłego tempa.

Nerwy specjalnego szczególnie podrażniło to, że znalazły się należące do Chabarowa uszanka i półkożuszek – pierwsza w kułundyńskim stepie, drugi w miasteczku Karkaralińsk. Rozpoznano je jako mienie pułkowe i jako części ubioru kapitana, który miał je na sobie, opuszczając osadę. I gdyby choć na chwilę uwierzyć, że kapitan przebywał w tych oddalonych od siebie o jakąś setkę kilometrów miejscach, to poszukiwanie go naprawdę nie miałoby sensu, takiego człowieka nikt nie zdołałby odnaleźć.

I nadszedł dzień powszedni w samym końcu marca. Śniegu leżało jeszcze mnóstwo, zdawało się, że zima ukrywa się w śniegach i ukradkiem je mrozi i dlatego zaspy są jeszcze na oko mocne jak głazy narzutowe. Ale po ich twardej powierzchni już płynęło ciepłe światło słoneczne. Tak samo ciepłe, może nawet duszne było powietrze. Tego powietrza jakby brakowało samym zaspom; śnieg robił się porowaty, oddychał. Połowa kompanii odbywała służbę wartowniczą. A po koszarowym dziedzińcu snuli się wolni na razie od służby żołnierze, lepiąc bałwany i rzucając w nie śniegowymi kulami. Kiedy się znudzili, strzeliło im do głowy, żeby wypuścić owczarki, niech no i one powłóczą się i pobiegają bez ładu po

dziedzińcu. I wojsko jeszcze bardziej się rozbawiło, zaczęło rzucać w psy pecynami śniegu. Trochę je poganiali i ochota im przeszła. Owczarki zaś zbiesiły się, latając po próżnicy, i już nie słyszały, że się je woła. Zaczęły grzebać w śniegu, łykały go, w końcu o nich zapomniano, ale nagle za budynkiem koszarowym rozległo się szczekanie i już nie milkło: w zaspie pod ścianą budynku psy odkopały ciało kapitana Chabarowa – ujadały, skowytały, wyglądało na to, że go poznają.

Kapitan był skulony w rogalik, tak jak zasnął pod śniegiem, a ponieważ spał długo i mocno, żadnymi siłami nie udawało się go wyprostować, rozgiąć. Z jego żył porobiły się stalowe liny. W tym stanie przeniesiono go do koszar i tak, wciąż skulonego w rogalik, położono przy piecu. A wokół panowała cisza, jakby ludzie nie chcieli go niepokoić, on zaś, oszczędzony przez mróz, przez ten czas się nie zmienił. I znalazł się dureń, co krzyknął:

– Chabarow przyszedł...

A przecież on nie przyszedł, tylko odszedł. I nic już nie wiedział o tych ludziach, co go otoczyli, ani czym oni teraz żyją, ani niczego innego. W domowym cieple Chabarow zaczął pomalutku tajać, rozlała się pod nim woda czysta jak łza. A już potem okazało się, że leży w kałuży brudny jak pijanica, leży i pod wpływem ciepła sinieje, a mundur robi się całkiem oślizgły. Nie czekali więc, tylko szybko zameldowali do pułku, skąd natychmiast zażądano przysłania kapitana, tak że spędził on w koszarach tylko jedną noc.

Ale jeszcze tego samego wieczoru sprowadzili z łagru stolarza i złożyli zamówienie:

– No jazda, miarę bierz, dziadku, żebyśmy jutro kapitana mogli zapakować.

Stolarz po potylicy się drapie, wzdycha, obchodzi kapitana bokiem.

– Tutaj łamacz kości by się przydał albo do worka wsadźcie...

– Już my tobie, sukinkocie, nogi powyrywamy i do worka wsadzimy!

Stolarz pokwękał, a z rana żołnierze widzą: zadowolony, beczkę toczy.

– No i proszę, korzystajcie, w niej się kapustę kisiło, wyparowałem, a zapach jaki z niej idzie! Jeszcze przyjemniejszy. Możecie mnie zarżnąć, nic innego nie wymyślę. Dobra jest, kochana, ech, jaka piękna!

Wojacy, trochę przestraszeni, wtłoczyli kapitana do beczki, a stolarz ją zabił. Czterech żołnierzy, którym kazano odwieźć ładunek i odpowiadać za niego, poniosło beczkę jak trumnę, a stolarz, odprowadzając ich, patrzył i z cicha się podśmiewał. Wtedy oni splunęli, by sumieniu ulżyć, i potoczyli beczkę po cichym, zaśnieżonym jeszcze stepie.

Śnieżek chrzęścił cicho pod beczką, jakby się smażył, a powietrze pachniało ostatkami: po zimie przyszła wiosna. Podróżując nieśpiesznie, męcząc się z ładunkiem podczas przesiadki na przejeżdżającego dizla, dostarczyli wojacy swojego kapitana do Ugolpunktu, gdzie była kostnica i sztab batalionu i gdzie na kapitana czekali, żeby kropkę na nim postawić. Żołnierze wcale nie wstydzili się swojego ładunku, a nawet dumni byli z beczki, w której ratowali kapitana i dzięki której sami unikali obcych, natrętnych oczu. W miasteczku nikt ich nie witał, chociaż obiecywano im samochód i sanitariuszy. Wypaliwszy paczkę papierosów – więcej na czterech nie mieli – postanowili towarzysze sami zaturlać beczkę do batalionu, niech ich tam wszystkich krew zaleje.

A tą samą uliczką, nie wiedząc, co go czeka, maszerował wojakom naprzeciw wypuszczony z aresztu Ilja Pieriehud, który zmierzał właśnie tam, skąd oni turlali swoją beczkę, zmierzał tam, dawno zapomniawszy, że kapitan go przepędził. Przesiedziawszy miesiąc za krnąbrność i pijaństwo, Ilja pozostał w areszcie, żeby odsiedzieć jeszcze jeden wyrok, a potem jeszcze jeden, tak że naczelnik więzienia omal się nie zapił. Pieriehud miał już dość maszerowania po tej uliczce. Znużony, popatrywał spod rozrośniętego czuba w głąb podwórek, czy nie poszczęści się strzelić kielicha lub dwóch. Gdyby tylko zobaczył gospodynię, po której można by się było domyślić, że dom swój prowadzi po staremu, solidnie, albo gospodarza – takiego ze średniaczków, którego starczyłoby pochwalić za szopę do drewna na opał – to ten by już na pewno nie żałował, nalał porządnemu człowiekowi kielicha, a może by się wzruszył i postawił całą

flaszeczkę. A gospodynie z porządnych podwórek i tak naleją, nie pożałują, choćby dlatego, że baba to baba. Ale jakoś nikogo Ilja nie przyuważył: tutaj dzieci w śniegu się tarzają, tam znów staruchy przeklęte trzepią na powietrzu zakurzone chodniczki. Myślał już smętnie, że chyba dojdzie tak do samego dworca i będzie wąchał jego zardzewiałe żelastwo.

Kiedy zobaczył żołnierzy toczących beczkę, przywidziało mu się, rzecz jasna, od razu, że mają w niej piwo. Nie mógł jednak uwierzyć, żeby żołnierze w biały dzień toczyli beczkę z piwem, a na dodatek ze zdziwieniem rozpoznał znajome gęby. I towarzysze poznali Pieriehuda, ale zatrzymali się i gapili się na niego tak, jakby i on im się przywidział.

– Co wy tu za beczkę macie? – nie wytrzymał Ilja.

– Kapitana Chabarowa trumna niby, on w niej leży, my go do sztabu turlamy, umarł.

Pośpiesznie wyminąwszy Ilję, poturlali beczkę dalej. Pieriehud wrósł w ziemię i tylko bezradnie patrzył w ślad za nimi. A tamci śpieszyli się, śpieszyli, przyśpieszając jeszcze kroku, żeby Ilja ich nie dogonił...

Ze złamanym kręgosłupem, z wykręconymi rękoma i nogami, z brzuchem nabitym trocinami, przybył poskromiony kapitan w trumnie do pułku, ale zapachu kiszonej kapusty wytracić się nie udało. Jak on się w nim zalągł, tak i pozostał, i kiedy trumnę ustawiono w klubie, żeby się pożegnać ze zmarłym, to warta honorowa i przechodzący kolejno ludzie omdlewali od dusznych łaskotek w nozdrzach, aż zbierało im się na kichanie.

Nikt sobie nie wyobrażał, że kiedyś na pułkowym placu będą kopali grób, ale kapitana Chabarowa chowano z honorami jak bohatera. Trumnę wyniesiono na plac w obecności zamarłego w szyku wojska. Za nią niesiono pułkowy sztandar, zwinięty jakby i on miał zostać pochowany, był tak samo czerwony i samotny jak trumna. Skripicyn wygłosił mowę nad brzegiem pustej jeszcze mogiły, która niczym tuba wzmacniała jego głos rozchodzący się po całym placu. Słuchano specjalnego nieuważnie, jakby sama jego osoba nie budziła wśród żołnierzy zainteresowania, lecz nagle

krzywoboki, do babiny podobny człowieczek zaczął mówić z większym żarem, urywanie, a na końcu przeszedł w krzyk:

– Żegnaj, towarzyszu Chabarow! Pozostaniesz w naszych sercach!

Trumnę przykryto wiekiem, spuszczono do grobu i sztabowcy rzucili na nią po garstce ziemi. Zagrzmiały salwy karabinowe, zaciągając i bez tego ponury plac zapachem spalonego prochu, tak że nikt nie zauważył, kiedy mogiłę zasypano ziemią i wbito w nią żelazną rakietę zwieńczoną gwiazdą. Orkiestra pułkowa zatrąbiła marsza i pułk ruszył, oddając ostatnie honory. I już defilował w paradnym szyku, kiedy Skripicyn nagle okrzykiem przerwał orkiestrze i budząc w załamanych szeregach lękliwe zdziwienie, rozkazał pułkowi na oczach milczącego Diegtiara wrócić na pozycję wyjściową i przemaszerować raz jeszcze, bo się nie wysilili, bo źle przeszli.

Oficerowie rozzłościli się, rozbiegli, szturchając żołnierzy w plecy.

– No, jazda, takie syny, żeby ziemia drżała!

I pułk walił butami jak młotami – przemaszerował jak trzeba. Po defiladzie Skripicyn, obojętny na wszystko dokoła, zataczając się i z obrażoną miną coś mamrocząc, krążył wokół samotnej mogiły kapitana, ale potem nagle otrzeźwiał, rozejrzał się i poszedł precz.

Po śmierci kapitana na jego stanowisko do szóstej kompanii jakoś tak całkiem zwyczajnie wysłano starszego lejtnanta Chrulowa i nikt nie tęsknił za zmarłym. Jednak trzy dni po przybyciu generalskiego wnuka ciężarówką do Karabasu gabinet dowódcy pułku zaczął cuchnąć. Zapaszek w tajemniczy sposób unosił się z dzieł zebranych wodzów partii, ile tam ich było, stojących w szyku rzędami na półkach. Wszyscy udawali, że żadnego zapachu nie czują. Gabinet wietrzono, ale trzymanie otwartego cały czas okna wyglądałoby podejrzanie. Postanowiono jednak rzecz sprawdzić, wyciągnięto na chybił trafił pierwszy tom *Kapitału*, obwąchano, czy to nie papier zaczął gnić, ale był bialutki i najwyżej pachniał ściereczką. Po pułku zaczęły krążyć niebezpieczne słuchy, rozchodziły się nawet poza jego granice. Kiedy zapach się rozwiał, znikł, wzbudzony przezeń lęk jednak pozostał, pozostał też niepokój. W powietrzu zawisło jakieś dręczące oczekiwanie. Aż kiedyś sprzątaczka, zajmująca się z całą powagą

ścieraniem kurzy, odkryła w głębi, za tomami dzieł zebranych, graniastą szklankę, a w niej wyschłe na kamień gówno, podłożone nie przez kogo innego jak Chrulowa, który tylko w ten sposób mógł się zemścić.

A grób kapitana nie zdążył jeszcze osiąść, kiedy wojsko raził jak piorunem, wszystkich zaskakując i wszystko rozwalając, ten oto straszny Rozkaz: WSZĘDZIE SADZIĆ KARTOFLE I ŻYWIĆ SIĘ SAMODZIELNIE.

PISMO IWANA JAKOWLEWICZA CHABAROWA

Po śmierci Iwana Jakowlewicza nie zostały żadne jego rzeczy osobiste ani dokumenty. Nawet to, w co był ubrany i obuty jego trup, całe umundurowanie, zdjęto i opisano, sporządzono raport rzeczowy, tak jak należy, kiedy człowieka skreślają z ewidencji albo przenoszą do innej jednostki. Trudno sobie wyobrazić, żeby jego wytarty mundur miały donaszać następne pokolenia, jasne, że przeleżał na składzie, aż go spisano na straty, a potem spalono, żeby pleśń się nie rozchodziła. O pewnym znalezisku niewielu jednak wiedziało, a ci, których powiadomiono, z upływem lat na dobre o nim zapomnieli. A znaleziono przy kapitanie, kiedy przeszukiwano jego trupa, arkusz papieru złożony we czworo, wytarty na zagięciach, zapisany tak gęsto, jakby literki wżarły się w papier. Tę pisaninę dołączono do akt śledztwa, które w pośpiechu, kiedy Chabarowa nie ogłoszono jeszcze bohaterem, wszczęto w sprawie jego wątpliwego pochodzenia zwłok. Pośpiesznie rozpoczęte śledztwo umorzono już z zachowaniem wszystkich surowych reguł. Teczkę ze sprawą kapitana Chabarowa, opatrzoną pieczęciami, zdano wraz z całą zawartością do archiwum karagandyjskiej prokuratury wojskowej jako akta o niewielkim znaczeniu – na pięć lat. Po upływie tego terminu odesłano ją do utylizacji razem z wieloma innymi, o które nikt się nie upomniał. Oszołomiony tym zakurzonym papierowym potokiem pracownik archiwum ni stąd, ni zowąd rozdzielił dwa sieroce dokumenty walające się w teczce: świadectwo zgonu obywatela Chabarowa poszło do utylizacji, a drugi dokument, na którym było napisane, że jest to „Pisemne zażalenie

obywatela Chabarowa”, przez nieuwagę archiwisty wrócił do życia. Swoim wścibskim wzrokiem urzędnik dostrzegł, że zażalenie wcale nie zostało rozpatrzone, a że w jego ogłupiałej głowie to co żywe zlało się w jedno z tym co martwe, przywidziało mu się, że tego papieru nie umieszczono w szarej kartonowej teczce, tylko ktoś położył go na wierzchu akt. I zażalenie zaczęło krążyć, najpierw po prokuraturze, potem także po innych instancjach, ale nigdzie nie mogli – albo trochę się bali – go przyjąć, skreślając je co prędzej z ewidencji, dopóki nie wpadło w czyjeś współczujące ręce, i to akurat wtedy, kiedy szalały wszelakie demaskacje.

Wysłane do gazety szanowanej wówczas za odwagę przez cały naród, zażalenie zostało wydrukowane jako list czytelnika.

Kiedy odwołują z drogi pułkową ciężarówkę, a potem w ogóle wstrzymują jej kursowanie, człowiek na służbie zostaje sam na sam ze swoimi nieszczęściami. Traci siły na wyżywienie, zamiast pełnić służbę. Wszystkie tłuszcze zużywa, a tak samo potem chleb, zapas kartofli szybko mu się kończy albo po prostu zgniłe kartofle mu przywożą. A zwrócić się już nie ma do kogo, tylko kładź się i umieraj. Czyta się gazety – niby u nas wszystko dla człowieka, z wielkim uszanowaniem do człowieka przemawiają. A obejrzysz się wokoło – gorzej u nas jak w łagrze. Żeby służbowe mieszkanie zajmować, trzeba przez cały ten czas służyć. A jak nadchodzi emerytura, a tyś, człowieku, na służbie całe zdrowie stracił, to już nikomu nie jesteś potrzebny i wygonią cię w goły step na śmierć. Piszą, że wszyscy ludzie są równi. A dowódca-naczelnik i tak jest główniejszy i nie do porównania z żołnierzem, który objął swój posterunek. Prawie cały rok wiszą nad człowiekiem głupawe rozkazy i sypią człowiekowi tłuczone szkło pod nogi, w duszę i rozum. Opowiedzieć nie ma komu, cywilna władza cię nie zrozumie. A naczalstwu swojemu nie masz prawa się poskarżyć. Ciężarówka pułkowa, jedyna łączność ze światem, kto ją coraz to odwołuje? Dowódcy-naczelnicy, bo niby kto? Siedzi człowiek w koszarach albo zamknięty na wartowni i myśli sobie, że zwierzęta w lesie mają lepiej, mają tam wszystko, czego im trzeba do pełni życia, a ty jakbyś w łagrze siedział, chociaż nikogo nie ograbiłeś ani nie zabiłeś. Kartofle doborowe,

sztuka w sztukę, udało się wyhodować, to nie tylko zabrali, ale jeszcze zgnoili bez pożytku za to, żeś się bez rozkazu ośmielił, jeszcze w głowie zaczęli mieszać: temu mówią, tyś przyjaciel, a temu wróg. Nikt za kartofle dziękuję nie powiedział, a tylko wyrzuty, że ziemię zabrałem. Mówią, żeby pokornym być, mówią, że to najgłówniejsze.

Napisał kapitan, wylał z siebie, co w duszy miał – i zapomniał o liście. Nosił go jednak przy sobie i sam go nam dostarczył jak listonosz. Jeśli ktoś czytał to pismo w gazecie, to pomyślał, że żywy człowiek pisze, nie inaczej. A wielu może i nie czytało, ile to przecież wtedy było skarg ludzkich, ludzie od nich ogłuchli, oślepli. Dlatego obcych i krewnych, jeśli jeszcze jacyś zostali, zawiadamiamy, że zginął Iwan Jakowlewicz Chabarow, a do jego życia opisanego w tej bajce, tak jak i do śmierci, dodajemy to pismo, którego jest autorem – niech dusza jego spoczywa w pokoju.

Sprawa Matiuszyna

Część pierwsza

W jego żyłach jak w zdezelowanych rurach płynęła ciężka, rdzawa krew, więc ledwie zaczął żyć, już czuł, cokolwiek by robił, nie przypływ sił, lecz zmęczenie, i to marnotrawił calutkie dni jak pogrążony w rozpaczy, to znów wybuchał nagle gorącym, potężnym pragnieniem życia, zdobywania wszystkiego co najlepsze, ale też gasł powolutku w codzienności. Całe swoje życie jakby znał z góry: stanie się to, co już się stało. Dlatego przejmująco wracały we wspomnieniach dawne przeżycia, a najbardziej pamiętne było dzieciństwo. Chociaż włóczęga z ojcem po garnizonach, monotonna tymczasowość i jego, i ojca, wiecznie grudą tkwiąca w gardle niemota i brak uczucia mogły go tylko wyjałowić.

Dzieci, a było ich w rodzinie dwóch braci, nie znały ani dziadków, ani babć, żyły bez choćby takiej starczej pieszczoty. Chłopcy urodzili się w oddalonych od siebie miastach, nie w jednym czasie, jakby rozdzieleni różnymi dziesięcioleciami, i rośli obcy sobie.

Ten przytłaczający duch tkwił w ojcu. Grigorij Iljicz Matiuszyn osierociał, kiedy tylko przyszedł na świat. Można go było podrzucić w jakieś ciepłe, a przynajmniej ludne miejsce, ale ktoś go zaniósł na cmentarz, położył w głuchym kącie na płycie nagrobnej, tyle że ten ktoś nie odważył się go zabić własnymi rękami. Szmaciane zawiniątko z noworodkiem znaleźli ludzie, którzy przyszli na grób swoich krewnych. W domu sierot takie podrzutki zapisywano pod nazwiskami tych, którzy je znaleźli. A czyjaś rocznica śmierci, ta, którą krewni uczcili przyjściem na cmentarz, stała się dniem jego urodzenia, tym dniem, kiedy został znaleziony, zauważony. Dorastając, tylko tyle zdołał się o sobie dowiedzieć. Krzywda wypaliła i zatwardziła mu duszę bardzo wcześnie. Jako malec, kiedy był o coś obrażony, uciekał często z domu dziecka na stary miejski

cmentarz. Tam go znajdowano, wiedziano, że skryje się zawsze w tym samym miejscu – przy grobie ze swoim nazwiskiem. Wtedy jeszcze myślał pewnie o tych, co dali mu życie, jako o zmarłych. Jednak z upływem lat przestali oni być dla niego nawet zmarłymi. W dzieciństwie poznał wojnę, jej głód i chłód. Wyżył. Otrzymawszy przepustkę do życia, nie ruszył się z miejsca, syn ludu, pracował tam, gdzie wyrósł, w mieście Kopiejsk, przy wydobyciu węgla. Chciał pójść do technikum, pragnął wyuczyć się na inżyniera górnika, ale powołano go do wojska, skąd już nie zdołał się wyrwać, skazał siebie na służbę ojczyźnie.

Służyć wypadło mu w Borisoglebsku, gdzie ten milkliwy, poważny żołnierzyk przytulił się w domu swojego dowódcy kompanii, człowieka równie milkliwego, lubiącego surowy porządek. Był to oficer chłopskiego wypieku, prostak, a w młodym żołnierzyku upatrzył sobie syna, tym bardziej że wiedział, że przyhołubił sierotę. Dzieci miał w bród, ale w domu smród, samych dziewczyn napłodził. Jego żona, wiecznie z brzuchem chodząca, nie miała głowy do gospodarowania – najstarsza, Saszeńka, prowadziła dom i rządziła siostrami. Milczkiem zeszli się z Grigorijem Iljiczem, ten pomagał dowódcy w gospodarstwie jako ktoś w rodzaju pracownika, a wychodziło tak, że zawsze pomagał Saszeńce, to przy niej był pracownikiem, ona też go karmiła. Lat miała szesnaście, szkoły jeszcze nie skończyła. Grigorijowi zostawał rok służby. Dowódca córeczki strzegł i niby z uśmiechem, ale przecież dogadywał żołnierzykowi:

– Ty, Jegorku, uważaj, oczyma nie łyp, gołyś jak sokół, Saszce takiego narzeczonego nie trzeba, a i w gospodarstwie się przyda, niech matce pomaga, siostry na nogi stawia, narzeczeństwo potem.

Wyszło jednak tak, jak zechciała starsza córeczka. Pili kiedyś wieczorkiem herbatę przy rodzinnym stole, wszyscy razem i w domu dowódcy, a tu Saszeńka mówi nagle:

– Ja za Jegora wyjdę, u mnie dzieciątko jego na świat się prosi. Róbcie, co chcecie, a ja urodzę.

Dowódca omal nie ukatrupił Grigorija Iljicza, ten długo bity chodził. Ale co było robić? Saszeńce już czas było rodzić, a Grigorijowi obowiązkowej

do odsłużenia zostawał jeszcze miesiąc, potem mógłby zniknąć z Borisoglebska, więc dowódca uległ. Urodził się chłopczyk, na jego cześć Jakowem nazwany. Zięcia dowódca urządził u siebie na służbie, jak mógł, na korzystnej magazynowej funkcji. Saszka została pod ręką, w domu. Pewnego razu jednak powiedziała nagle:

– Jegor na oficera musi się uczyć, pojadę z nim.

Grigorij naukę ukończył i odkąd otrzymał samodzielny przydział, ani z synem, ani pojedynczo, ani choćby jakoś przejazdem Matiuszynowie Borisoglebska nie odwiedzili, rodziny do siebie w gości nie zapraszali.

Przyjeżdżać zaczęli dopiero na pogrzeby. Swego dowódcę Grigorij Iljicz jeszcze uszanował, ale matkę chować pojechała do Borisoglebska już tylko sama Aleksandra Jakowlewna.

Żonę Grigorij puszczał niechętnie: bo to koszt, a jeszcze siostry zaczną od niej na pogrzeb i stypę pieniądze wyciągać. Dzieci zostawia, a on przywykł żyć na gotowym: przychodzi żywiciel do domu, woła Saszę, żeby mu buty zzuła, powitała. Ale i uraza, głęboka, czarna uraza wybuchła mu w duszy: on przecież nie ma kogo chować, a już drugi raz ma na cudzy pogrzeb pieniądze wydawać. Grigorij Iljicz uważał, że wszystko w życiu zdobył sam i nie tyle szczycił się swoją pomyślnością, ile bał się przypuścić blisko do siebie, choćby na krótki czas, wiecznie pojękujących i niezaradnych krewnych żony. Niech oni swoim życiem żyją, a my naszym. Ja o pomoc ich nie proszę, to niech oni mnie nie proszą. Myśmy wyjechali, wszystko zostawili, Jakowa i Wasię samiśmy wychowali, tamtych o nic nie prosiliśmy. A oni nic, tylko żyli na koszt ojca i matki, to niech chociaż matkę swoją pochowają, niech ludźmi będą. Na ojca dałem im pieniędzy, sto rubli, żeby pomnik postawili, dali słowo, że wszystko zrobią i fotografię grobu przyślą, ale dziesięć lat minęło i tylko obiecują, dranie, bo te pieniążki przejedli i przepili.

Tak dręczył i dręczył Grigorij żonę, nie puszczając jej na pogrzeb matki, że nieoczekiwanie wezbrał w Saszce gniew na niego, jeśli nie wściekłość. Zaczęła mu wymyślać, że nie będzie go więcej opierać i karmić, służyć mu jak pies! Ona też pracowała, przy czym odmawiała sobie wszystkiego, żeby

oszczędzić więcej pieniędzy, przecież marzył wtedy Grigorij Iljicz o własnym samochodzie. Słowo do słowa – doszło między nimi do bójki. Bili się w mieszkanku, na oczach dzieci.

Wrzask matki, rozlegający się echem w ciemnym domu, kiedy ojciec się zamachnął, by ją uderzyć – ale w końcu się nie odważył – był pierwszą rzeczą, jaką on, Matiuszyn, zapamiętał. Pamiętał, że ojciec przestraszył się wtedy dzieci, którymi matka osłoniła się jak tarczą – starszego, podrostka, i jego, jak mały kłębek przytulonego do jej kamiennych, niedostępnych nóg, boleśnie ściśniętego przez nią za ramiona, jakby nie rękoma, tylko obcęgami. I pamiętał, że powiedział ojcu: „Breżniew nie pozwala bić kobiet”. I pamiętał przerażenie, jakie te słowa wywołały na twarzy ojca, strach w jego pustych nagle oczach i jakąś tchórzliwą ucieczkę.

Ten wrzask, zrodzony, zdawało się, w jego pamięci, dręczył go potem, nie układał się w żaden sposób już nie w pamięci, lecz w świadomości. W ich rodzinie przeszłość została objęta milczącym zakazem, jakby nie istniało żadne inne życie poza tym, które wiedli obecnie. Brat pamiętał i wiedział więcej, ale Matiuszyn już sam trzymał się od niego z daleka, wiedział i pamiętał o nim tylko to co złe. Nie lubił brata i czuł, że ten odpowiada mu mściwą niechęcią.

Jakow nad wszystkich ludzi stawiał ojca.

Grigorij Iljicz, bywało, pił samotnie po kolacji, zasiadywał się do późnej nocy, nie dając żonie zebrać ze stołu brudnych naczyń. Matka zostawiała wszystko i zgnębiona szła spać, zmuszała też braci, żeby się położyli. Ciemniało, ale ciemność narastała przejmująco długo. Cisza kruszyła ściany, robiło się strasznie.

Parzył lodowaty strach matki, która leżała z nim w jednym łóżku. Tym samym strachem wiało też od łóżka, w którym nieruchomo leżał w ciemności starszy brat. Nikt nie spał. Za ścianą, gdzie przy stole został ojciec, było cicho. Ale oni czekali, nie spali, wiedzieli: musi nastąpić koniec, do którego on, dręcząc siebie wódką, zaciekle zmierza, i wszystko skończy się szlochem albo potworną awanturą między nim a matką.

Nigdy nie było słychać, jak wchodzi do pokoju. Skradał się, jakby nie chciał nikogo obudzić. Matiuszyn pamiętał, że jeśli zdążył zasnąć, to budził się ze strachu. Wokół płonęło oślepiające, bezlitosne światło. Ojciec wydzierał się, krzyczał. Ujadała matka. Potem coś wyrywało się na zewnątrz, trzaskając drzwiami. I znów zapadała cisza, a światło nagle ciemniało i gasło. Odzyskiwał przytomność dopiero w ramionach matki, która dyszała jak zaszczuta i jeszcze płaczliwie zawodziła. Ale brat leżał głucho, potrafił wytrzymać i ten pogrom, i ten matczyny skowyt, i to, jak rozpaczliwie darł się dwa kroki od niego przerażony braciszek. Ojciec nie mógł wytrzymać, a on mógł: bezduszny cień ojca, oto kim był.

Częściej jednak kończyło się szlochem niż bójką. Pośród nocy słychać było głośny płacz ojca. Płakał tak głośno, czy to ogłuszony nocą, czy może po to, by jego płacz usłyszano, ale doszedłszy w takich chwilach do kresu, bał się sam siebie i jego łzy były jak łzy dziecka. Matka kołysała go do snu, uspokajała. Ich życie przecież się nie kończyło, trwało dalej, jakby nic się nie stało, a jeśli stało się, to nie z nimi, nie na jawie.

W tym czasie Grigorij Iljicz zagrzebywał się żywcem na służbie. W domu bywał rzadko, najwyżej tam nocował. Od rana do wieczora gdzieś ginął też Jakow, tak że Matiuszyn pamiętał tylko matkę i dobrze mu z nią było, tak jak dobrze bywa o niczym nie myśleć, tylko wdzięcznie, po szczenięcemu się podporządkowywać. Brat i ojciec byli wtedy dla niego istotami jednakowymi. Nawet pachnieli jednakowo – papierosami i wodą kolońską. Jaszka podkradał ojcu papierosy i wodę. Młodszy brat niekiedy to widział i bezinteresownie skarżył na niego matce, myślał, że spełnia dobry uczynek. Ta donosiła ojcu i Grigorij Iljicz bezlitośnie, do krwi bił starszego syna, karał za złodziejstwo.

Młodszy nie był karany – Matiuszyn nie mógł sobie przypomnieć, by ojciec albo matka podnieśli na niego w dzieciństwie rękę. Aleksandra Jakowlewna chwaliła się przed przyjaciółkami: powiem Wasieńce, żeby siedział na stołku, nie przeszkadzał, to on, wróbelek kochany, siedzi i siedzi, a ja sama wszystko co trzeba zrobię i sama o nim zapomnę. Z nim jest łatwo, nie to co z Jaszką, ten już i pije, i pali: ojcowskie nasienie. Jakow

jakby prowokował ojca i w tym celu znęcał się nad młodszym braciszkiem, kiedy zostawali sami: chwytał go za rękę i cisnął ją, gniótł z całej siły, ciesząc się i wiedząc, że mały poskarży się matce, a ona ojcu.

Zdarzało się, że ojciec w środku nocy budził Jaszkę – kiedy indziej nie było czasu, bo wracał ze służby o północy, a z domu wychodził o świcie – prowadził do kuchni, żeby nie budzić reszty domowników, i bił ile sił, ale Jaszka wytrzymywał to bicie.

Matiuszyn słyszał od matki, że brata niedługo mają wziąć do wojska. Miał zaledwie siedem lat, ale już marzył, że Jaszkę wezmą do służby i zabiją na jakiejś wojnie. Wiosną Jaszka wyjechał i ściany domu obrosły spokojem, pojawił się nagle surowy, czyściutki porządek. Tego roku razem pojechali do Kisłowodzka odpoczywać w sanatorium, bo ojciec dosłużył się skierowania dla dwóch osób. Jakow pisał z wojska rzadko, służył przy granicy, gdzieś w ciepłych krajach. Matka opowiadała, co było w liście, po czym w domu o Jakowie od razu zapominano.

Ojciec wysługą lat zdobywał stopień po stopniu, przez cały czas z wysiłkiem parł do przodu i w górę. Twardy, stanowczy człowiek z mocnym chwytem, zawsze umiał dopiąć swego i nie upaść. Walczył nie o to, by się utrzymać na swojej grzędzie – od pewnego czasu chciał i mógł w życiu tylko zwyciężać. Taka walka wymagała nie po prostu siły woli, ale napięcia całej tej woli. Osiągał to, stając się jednym zwiniętym w człowieka nerwem. Zdawało się, że nie biło w nim serce, tylko wił się jak wąż ten nerw.

Kiedy ojciec spał, nie wolno było hałasować, a kiedy jadł, wyskrobując talerz do dna, nikt nie miał prawa zostawić choćby jednej niedojedzonej łyżki, choćby jednego kęska. „Kto to chlebem gardzi? Kto tu się przeżarł?”. I niedojedzone trzeba było zżuć tak, żeby on to widział, dopiero wtedy się uspokajał.

Matiuszyn od dziecka dojadał wszystko, dławił się, ale dojadał. To był strach, ale tak samo drżący, tak samo zakażony miłością jak zazdrość starszego brata o ojca – i to miłość, nie strach, czyniła ich dusze podległymi ojcu, czyniła z nich błoto w jego rękach. Miłości tej nie można było z ich

dusz wytrzebić. Ojciec nie rozumiał, że odtrącając dzieci, odmawiając im miłości, mści się za to swoje niewłasne życie, a dzieci tak samo nie rozumiały, że im mocniejsza będzie ta ojcowska niemiłość, ta jego święta, krwawa zemsta na życiu, dla której składał je w ofierze, tym bardziej ofiarny i niepowstrzymany będzie poryw miłości do niego, jakby był porywem ku życiu, że zarówno niemiłość ojca do nich, jak też ich miłość do ojca są niezwalczone jak samo życie i jedna bez drugiej istnieć nie mogą.

Kiedy Jakow wrócił, zdawało się, że spod sadzy i czerni wyłonił się jakiś nowy, twardy i jasny człowiek. Dlatego zjawiając się znowu w rodzinnym domu, nieoczekiwanie napełnił wszystkich radością i światłem. Stał się uderzająco podobny do ojca: jakby wypłynął z przeszłości dawny Grigorij Iljicz, młody i silny, nawet lepszy, niż był. Jakow stęsknił się za domem, zmężniał, ale w oczach – w tym, jak teraz patrzył – i w jego milkliwości, niepodobnej do ojcowskiej ciężkiej niemoty, kryła się długo i cierpliwie znoszona samotność.

Sytuacja Grigorija Iljicza była lepsza niż kiedykolwiek: świeżo upieczony pułkownik, dowódca dywizjonu rakiet dalekiego zasięgu, nawet wyglądał mocno, postawnie, jak wypalony w ogniu. Właśnie wtedy, w te jasne dni, zdecydował się los Jakowa. Robotników, a nawet ludzi zawodów twórczych, Grigorij nie szanował – pierwszych uważał za darmozjadów, drugich za gadułów. Jakow, podobnie jak ojciec, gardził skrupulatną pracą, nawet w szkole lubił tylko wuef, pomiatał mądralami i kujonami ze swojej klasy, a oni ze strachu przed nim wypełniali wszystkie jego rozkazy.

Lata wojska jeszcze bardziej wzmocniły go fizycznie, wpoiły mu poważny stosunek do słów i czynów. W dodatku trzymano go tam krótko, przez co stał się bardziej pokorny, ale też dawało się zauważyć, że żyje bez zainteresowań, pragnień, jakby skrępowany.

Pułkownik chętnie by się pochwalił synem po wojsku, ale nie tyle miał na względzie Jakowa, ile cieszył się myślą, że przydałoby się przedłużyć oficerski ród, któremu dał początek. Od razu zamarzyła mu się Moskwa –

Jakow odsłużył swoje, strzegąc granic, a w stolicy mieściła się najlepsza w kraju szkoła dla pograniczników. To było też marzenie Grigorija Iljicza: podbić Moskwę.

Pewnego razu pułkownik powiedział synowi, jak wyobraża sobie jego dalsze życie. Jakow, zdawało się, był gotów na takie rozwiązanie i zgodził się bez namysłu, chociaż znaczyło to, że opuści dom, ledwie zdążył przywyknąć do jego ścian. Ta stalowa, beznamiętna pokora niespodziewanie uspokoiła ojca, ale kilka dni później postanowił on przyśpieszyć sprawę.

Wyjechali razem, a wrócił Grigorij sam, bez syna, wypoczęty i jakby beztroski. Jakow został w Moskwie. Zdał egzaminy i dostał miejsce w uczelnianym internacie. Jako wpisany na listę elewów miał prawo wyjechać do domu i odpoczywać do jesieni, ale nie zechciał: od razu zamieszkał w szkolnych koszarach.

Grigorij Matiuszyn na wszelki wypadek poszedł do naczelnika szkoły, żeby tam wiedzieli, kim on jest. Przez resztę czasu zwiedzał stolicę. Niczego sobie nie odmawiał. Jadał w restauracjach. Mieszkał w hotelu Rossija. Wydał całe duże pieniądze, które wziął ze sobą do Moskwy.

Wrócił nie w mundurze, tak jak wyjechał, ale w wyzywająco nowym ubraniu i nawet z piękną żółtą skórzaną walizką. Tę starą, z którą wyruszyli, zostawił Jakowowi. Kupił sobie pozłacany zegarek i dokładnie taki sam podarował starszemu synowi w nagrodę za to, że się dostał. Jego wyzywający wygląd i roztrwonione w Moskwie oszczędności rozzłościły matkę. Mąż jakby zaczął inne życie, ale bez niej.

Jak tylko go zobaczyła, to zamiast się ucieszyć, wpiła się w niego jak suka, gryzła, wyła, skowytała. Chłopiec, który widział to wszystko, z początku wtulił się w kąt, a potem smyrgnął z mieszkania. Kiedy na ulicy, po której się błąkał, zapadła ciemność i zrobiło się strasznie, wrócił do pustego, zdemolowanego domu. Wszystko wokół było potłuczone, pocięte, rozprute. Zagrzebał się w rozbebeszonym łóżku. W środku nocy zjawił się ojciec i wyrwał go z nieprzytomnego, zimnego snu, zamroczony, pijany.

W tym strasznym człowieku, co wdarłszy się do środka, obszedł wszystkie pomieszczenia, Matiuszyn rozpoznał ojca tylko po garniturze: jaskrawej szmacie, w której przyjechał z Moskwy. Kiedy Grigorij Iljicz natknął się na syna, też go poznał, uspokoił się i pomaszerował do drugiego pokoju spać, zadowolony, przekonany, że przepędził żonę.

Z rana pojawiła się matka, nie sama, tylko z pomocnicą, jakąś obcą kobietą, która popłakując – z żalu nad nie swoim dobytkiem – pomagała sprzątać mieszkanie, zawalone zepchniętymi z miejsca meblami i obsypane rozbitym szkłem. Ojciec po przebudzeniu nie tknął kobiet. Siedział z boku, udręczony kacem, i palił w milczeniu. Matka chlipnęła tylko raz nad niedawno kupionym uzbeckim dywanem: piękny, jakby wciąż jeszcze kwitnący, był haniebnie rozdarty pośrodku. Patrząc na nią, ojciec bezradnie zaszlochał. Chciał zapewne, by się nad nim użalono, ale Aleksandra Jakowlewna tylko się uspokoiła i z powolnością skazańca znów się wzięła do sprzątania.

Do domu powróciła duchowa cisza. Zdawało się, że odtąd dusze matki i ojca jakby zrosły się w jedną, twardą jak kamień. Matka kupiła nowy dywan, nowe kieliszki, oszczędzała to, co ojciec zarobił. Matiuszyn czuł to i bał się być samotny, nikomu niepotrzebny. Wtedy to zrodziła się w nim tęsknota za starszym bratem. Grigorij Iljicz przywiózł z Moskwy kolorową fotografię, na której stali z Jaszą, wystrojeni, na tle muru kremlowskiego, przy Grobie Nieznanego Żołnierza. Rodzice postawili tę fotkę w serwantce, na najlepszym miejscu, koło kieliszków i błyszczącego kordzika ojca, żeby ludzie ją widzieli. Wasia podchodził do serwantki, wykradał na chwilę zdjęcie i krył się z nim w swoim pokoju, marząc, że jak najszybciej wyrośnie i tak jak Jaszka odjedzie w świetlistą dal.

Jakow przyjeżdżał latem na urlop, ale Wasieńkę na ten czas rodzice wysyłali na obóz, tam zaś go nie odwiedzali, nie było w ich rodzinie takiego zwyczaju. W tym okresie ojciec przestał pić i palić, bardzo troszczył się teraz o swoje zdrowie, chociaż daleko jeszcze było mu do starości. Ale właśnie dlatego poważnie się obawiał, że umrze. W Jelsku, gdzie osiadł na dobre i dowodził tym niemal wojskowym miasteczkiem,

władza jego dawno już była niepodważalna. Dziesięć lat życia w jednym miejscu i szacunek, jakim był otoczony, ostudziły Grigorija Iljicza. Spokój prowincji, gdzie był gospodarzem, pozwolił mu ukryć się przed życiem i zabezpieczyć jak w schronie w takiej właśnie podległej mu mieścinie.

Ulubionym zajęciem ojca było polowanie, a kiedy zakazał sobie picia – wędkowanie. Samotnie przecież się nie zapoluje, a jak jest się z ludźmi, to pić trzeba, na ryby natomiast jeździł sam, samochód wiózł go nie wiadomo dokąd i po jakimś czasie, który on wyznaczał, wracano po niego z garnizonu.

Miał też wielkie zamiłowanie do broni i chociaż już nie polował, trzymał w domu dwie strzelby, zdobyczne, niemieckie. Strzelby, o ile Matiuszyn pamiętał, kryły się złowieszczo w ich mieszkaniu i do pokoju ojca nikt bez zaproszenia nie śmiał wchodzić, bo stało w nim to biurko, z pełnego drewna, a nie ze sklejki, zbite dawno temu przez zapomnianego żołnierza złotą rączkę. W domu najbardziej ze wszystkiego ciekawiło Wasię, co kryje się w tym biurku. Ojciec każdego lata wyciągał strzelby, rozgrzewał nie wiadomo dlaczego na słońcu, a potem razem je oporządzali. Ponieważ sam brudzić się nie lubił, pozwalał synowi czyścić lufy wyciorami, smarować. Matiuszyn wykonywał tę pracę z zapałem, bo wiedział, że ojciec każe mu potem przynieść wyczyszczone strzelby, zacznie je na nowo wkładać do pokrowców i otworzy swoim kluczykiem orzechowe biurko. Zasłaniał je przed synem plecami, ale dochodziły z niego mocne, ostre zapachy skóry, smaru do broni i jeszcze czegoś, zapachy, których Wasia nie znał. W biurku było mnóstwo półeczek, szufladek, pudełeczek, ale ledwie zdążył zobaczyć ich ciemne krawędzie, a już ojciec zatrzaskiwał drzwiczki, zamykał swoje gospodarstwo na zamek, odwracał się i wyganiał syna z pokoju.

Matiuszyn polubił tajemnice, a jeszcze bardziej pokochał grzebanie w rzeczach, na przykład w matczynych guzikach, lubił też samemu coś schować. Kiedy zaś ojciec zajął się swoim zdrowiem, to jego domową skrytką stała się również serwantka, szafeczka, którą odtąd też można było zamykać i otwierać tylko jego kluczem. To była ta serwantka, w której stały uroczyście w szyku kryształy i fotografie. Zdarzało się, że ojciec

podchodził, otwierał drzwiczki, wsuwał ręce w szczelinę i podpierał drzwiczki piersią, czymś tam brzęczał, coś nalewał i wyciągał na zewnątrz zielony kieliszeczek, pełny po brzegi, marszcząc się, wypijał go i natychmiast chował. Ponieważ pokój, w którym stała serwantka, służył jednak za salon i wszyscy wchodzili tam, nie pytając o pozwolenie, Wasia nieraz próbował otworzyć tę szafeczkę jakąś blaszką, wąchał przez szczelinę, próbując wywąchać, co tam się kryje. Raz na jego oczach ojciec wyjął stamtąd pieniądze, całą paczkę, było to wtedy, kiedy jechali na wakacje do Kisłowodzka. I chociaż w szafeczce pachniało przyjemnie, korzennie lekarstwami, Matiuszynowi długo się wydawało, że tak pachną duże pieniądze, w paczkach, składane przez ojca w serwantce.

Rósł na łasce losu. Nauka przychodziła mu łatwo, bez trudu, i dlatego dręczyła go nuda. Skłonić Wasię do czegoś mogła tylko pochwała, a jeśli go nie chwalili – znowu robiło się nudno.

Bardzo wcześnie zachciało się Grigorijowi, żeby jego młodszy został lekarzem, ale nie po prostu medykiem, lecz specjalistą od medycyny wojskowej. Potrzebował lekarza osobistego, bliskiego i tylko wojskowego, jak gdyby człowiek cywilny nie mógł się w jego zdrowiu rozeznać, a obcemu on by nie zaufał. Kiedy w rodzinie ktoś zachorował, leczyli się w lazarecie i nawet dzieci prowadziło się do lekarza wojskowego, inaczej Grigorij Iljicz nie chciał uwierzyć w chorobę.

We wczesnym dzieciństwie Matiuszyna bolało ucho i lekarz wojskowy, który nie nawykł się patyczkować, w trakcie przemywania i przedmuchiwania zapewne uszkodził mu błonę bębenkową. Do tego, że zaczął słabo słyszeć na jedno ucho, wówczas nie przywiązywano znaczenia. Jednak wiele lat później, na pierwszej komisji wojskowej, jeszcze jako podrostek, Matiuszyn został nagle uznany za niezdolnego do służby. Stwierdzono, że słuch ma nieuleczalnie przytępiony, chociaż on sam do tego się przyzwyczaił, wcale mu to nie przeszkadzało i był zdrowszy i mocniejszy od rówieśników.

Dowiedziawszy się o orzeczeniu komisji, Grigorij Iljicz przez wiele dni się nie odzywał i nie chciał zauważać obecności syna w domu. Milczenie

przerwały takie słowa:

– Służyć nie może! No to co on może, kaleka jeden? Myślałem, że będzie w domu lekarz wojskowy, a trafił się darmozjad...

Kiedy ojciec skreślił go w myśli i przestał w niego wierzyć, Matiuszynowi jakoś ulżyło. Było mu wszystko jedno, dokąd go życie poniesie. Robił, co popadło, także dlatego, że gotów był po prostu pracować, nie bał się utytłać, zająć miejsce inne niż pierwsze, czego całe życie bał się jego ojciec. Naukę i drogę w przyszłość zastąpiła mu praca, ale zawód wybrał sobie pierwszy lepszy, byle jaki, został ślusarzem. Ojciec milcząco pozwolił mu być niedoukiem, ale gardził nim, podkpiwał z niego, nawet kiedy Wasia oddawał uczciwie zarobioną wypłatę matce.

– Patrzcie tylko, żywiciel nasz się zjawił! Wszy przyszedł karmić!

Jakowowi za to rodzice posyłali do Moskwy po trzydzieści rubli na miesiąc i wyrzutów z tego powodu się nie słyszało. Grigorij Iljicz już tylko w starszym synu uznawał swoje odbicie i pod jego nieobecność zaczynał przywiązywać się sercem do tej myśli, czuł nieoczekiwaną słabość do starszego syna. Ostatniego roku nauki Jakow nie odwiedzał Jelska. Zawiadomił ojca w liście, że na czas urlopu pojedzie do oddziału budowlanego, dla zarobku. Pieniądze przysyłano mu co miesiąc z domu, do tego miał na uczelni stypendium – a czy to wiele człowiekowi trzeba w koszarach? – więc Grigorijowi zrobiło się smutno. Jesienią przyszedł nowy list: Jakow zawiadamiał rodziców, że się ożenił. Przysłał zdjęcie ze ślubu i list, w którym sucho wyjaśniał, że nie chciał narażać rodziców na wydatki, niepokoić, dlatego wszystko tak wyszło.

Ojciec był w duchu zadowolony, że Jakow tak zdecydował. Zapalił się w tym czasie do oszczędzania, składał pieniądze na książeczce, tak że nawet Aleksandra Jakowlewna nie wiedziała dokładnie, ile się uzbierało. Wszystko obracał na oszczędności i nie wydawał ani kopiejki, chyba że na siebie – na ulubione japońskie spinningi, żyłki, a raz kupił fiński kożuszek, bo bał się, że zimą w zwykłym palcie się rozchoruje. Rodzina żyła wtedy za darmo: Grigorij Iljicz otrzymywał komitetowy przydział – był członkiem komitetu obwodowego – a do tego jeszcze przydział wojskowy. Aleksandra

Jakowlewna już dawno odeszła z pracy, zajmowała się domem. A tam wszystko musiała robić sama albo z pomocą syna, wykorzystywać do tego żołnierzy mąż surowo zakazywał, w razie czego mówił:

– Masz tutaj tego głuchego, jego zaprzęgnij.

Młodożeńcom wysłano odpowiednio oszczędny przekaz pieniężny. Od nich dostali zdjęcie pocztówkowe, ale choć wpatrywali się, jak mogli, wyraźnie widać było na nim tylko syna Jaszę. Postawiono je w serwantce, tak pojawiła się jeszcze jedna ikonka. Po roku młodzi przyjechali do Jelska, żeby okazać ojcu szacunek.

– Przedstawiam: oto moja Ludmiłka! – huknął od progu Jakow i popchnął do rodzicielskiego domu czegoś niezadowoloną żonę.

Ludmiłka pojawiła się jakby sama z siebie. Była to pewna swojej urody, mocna, jaśniejąca krągłym, apetycznym ciałem kobieta, chociaż nie miała jeszcze dwudziestu lat. Nawet teściowej przez gardło nie przeszło nazwać jej córeczką, widać było od razu, że ma nad Jakowem miłosną władzę. Mąż jej nie odstępował, dręczył się, ale zgrywał gospodarza. Ludmiłka z uszanowaniem trzymała się z dala od Grigorija Iljicza. Słuchała obojętnie, gdy Aleksandra Jakowlewna po kobiecemu dysponowała, jak najlepiej będzie urządzić im się w pokoju, co mają robić z pościelą.

Grigorij Iljicz w obecności Ludmiłki zwracał się tylko do syna, dając do zrozumienia, że Jakow jest dla niego w rodzinie najważniejszy, i udawał, że patrzy na młodą kobietę zwyczajnie, a jednak krępował się tych swoich spojrzeń, mimo woli ślizgających się po jej piersiach i biodrach. Ona wyczuwała to jakimś kobiecym instynktem. Podobnie czuła, że ten władczy i surowy gospodarz jednocześnie nią gardzi, odkąd się dowiedział, że nie pochodzi z Moskwy. W rozmowach z Jakowem ojciec się hamował, ale w myślach już szydził: spokrewnił się z wywłoką, jak już z błota na ludzi się wybiłeś, to czego znów w gnój leziesz, nie, widać się nie douczyłeś, los na losik zamieniasz, przepadniesz tam nad granicą z taką żoną.

Zaczynały się letnie manewry polowe i Grigorij odetchnął: z zadowoleniem prysnął daleko od domu.

Dla młodych wszystko urządzono – w Jelsku niemiłosiernie żarła nuda, ale co rano pod dom zajeżdżał gazik przysłany z dywizjonu i wywoził ich za miasto nad rzeczkę. Z powodu Aleksandry Jakowlewny Jakow z Ludmiłką brali ze sobą Wasieńkę: w pierwszych dniach matka z dziecinną radością wyruszała na odpoczynek razem ze swoją, jak myślała, rodziną. Nacieszyła się i trochę zmęczyła, ale czemuś chciała, by młodzi jeździli nad rzeczkę jeśli nie z nią, to z młodszym.

Matiuszyn lgnął do Jakowa, był dumny, że ma takiego brata, jednak onieśmielało go jego szczęście. Ciężkawy z natury Jakow rozwalał się na brzegu jak w domu, nie spuszczał oka z Ludmiłki, ale chciał ciągle spać, a ona – kąpać się i opalać. Wyjazdy tylko w trójkę, jednostajne, rozjaśniały życie Matiuszyna taką radością, jakiej nigdy więcej nie było mu dane odczuć: miał ochotę robić wszystko dla innych, otworzyła się przed nim rozległa przestrzeń, odzyskał wiarę w siebie, w swoje życie, w otwarty ogromny świat, a dorosła obca kobieta, sama tego nie wiedząc, tylko za sprawą mimowolnej pieszczoty w zabawie, stała się nagle dla niego krwią z krwi, niezaprzeczalnie jedyną. Wyłącznie jej mógł się podporządkować, wylazłszy ze swojej zimnej żabiej skórki. Wydało mu się, że Ludmiłka teraz zawsze będzie mieszkać z nimi – i nagle to lato wzeszło dla niego jak spod ziemi, takie świetliste, jasne, ziemskie i nieziemskie.

Wylegując się na brzegu, znużona po kąpieli – a lubiła pływać samotnie i długo w spokojnej wodzie – Ludmiłka pozwalała ugniatać i masować sobie plecy i ramiona, sprawiało jej to przyjemność i zapewne usypiało, a Wasieńkę przyprawiało o drżenie. Ale zdarzało się, że Jakow z Ludmiłką odchodzili – Jakow brał derkę i szedł z żoną daleko, w pole wysokiej kukurydzy, nic nie mówiąc bratu, nawet nie myśląc mu czegokolwiek wyjaśniać. Jakow czuł niepewne spojrzenie młodszego brata, przeszkadzało mu ono coraz bardziej i kiedyś ta jego niechęć wyrwała się na zewnątrz. Widząc, jak po kąpieli Wasieńka masuje jego żonę na brzegu, powiedział głośno:

– Ty co, głupia, nie rozumiesz, że on ciebie obmacuje?

Kiedy wrócili znad rzeczki do domu, Ludmiłka rzuciła się pakować rzeczy. Jakow sobie z niej podkpiwał, wyrzucał wszystko z walizki, a potem, rozzłoszczony tą samowolą, nagle trzepnął żonę po twarzy, jakby próbował doprowadzić ją do przytomności. Ludmiłka znieruchomiała, zaszlochała. Usłyszawszy jej płacz, wpadła do pokoju Aleksandra Jakowlewna; w milczeniu przyskoczyła do Jakowa i nie dając mu oprzytomnieć, wczepiła się w niego, jakby chciała go zagryźć. Ludmiłka, opamiętawszy się, odzyskawszy rozum i siłę, chwyciła ją za ramiona i z całych sił starała się odciągnąć od syna – Jakow przestraszył się, osłupiał. Ludmiłka, nie znając ni strachu, ni litości, ratowała wszystkich. Jej siła, namiętna jakaś, ale i zimna, bez walki unieruchomiła zalewającą się łzami matkę. Z taką samą zimną namiętnością Ludmiłka wpiła jej się wargami w głowę, mówiła, że między nią a Jakowem jest dobrze i że to wszystko jej wina. Aleksandra Jakowlewna uspokoiła się. Malutka, wysuszona, podobna do pajączka, schowała się z powrotem do kuchni, w swoją pajęczynę, gdzie pocieszyła się myślą, że mir domowy nie został naruszony. Ludmiłka zabrała Jakowa na spacer i przepadli gdzieś aż do nocy.

Nazajutrz przyjechał z manewrów Grigorij Iljicz. W domu wszyscy milczeli. Ale on czuł boleśnie, że nagle zrobiło się tu za ciasno, i dla własnego spokoju, ze śmieszkiem, jakby żartując, odesłał młodych na daczę, żeby tam doświętowali swój miesiąc miodowy, z dala od niego. Tydzień później Jakow z Ludmiłką wrócili. Tymczasem przygotowano dla nich bilety do Moskwy, dając do zrozumienia, że gospodarze są już gośćmi zmęczeni.

Do ich wyjazdu zostało jeszcze kilka dni. Rankami z dywizjonu nie przysyłano samochodu, nad rzeczkę nie jeździli. Matiuszyn krył się, wracał do domu po ciemku, zamykał się w pokoju i zasypiał. Nikt wtedy o nim nie myślał, nikomu więcej nie był potrzebny. Ludmiłka się nim brzydziła, nawet nie okazywała mu pogardy, jak starszy brat, chociaż Jakow po pobycie na daczy raczej w ogóle nie zauważał jego obecności w domu, niż nim pogardzał. Zdrowi, zębaci, roześmiani, siadywali wieczorami koło ojca

i rozmawiali o przyszłości. Ojciec uczył Jakowa, jak trzeba się trzymać, czego należy wymagać od służby, szczodrze i chętnie przypominał przypadki ze swojego życia, kiedy i on zaczynał służyć w wojsku. Szepnąć słówka w sprawie syna nie mógł, pogranicznicy podlegali innemu resortowi i Jakow sam miał walczyć o to, nad jaką granicę go poślą. Grigorij Iljicz pouczał, że zaczynać trzeba od miejsc głuchych i odległych, w których łatwiej się wybić, gdzie narodek szybko nuży się służbą, ale też bywa ryzykownie, więc można lepiej się wykazać. Daleki Wschód albo Północ. Jeśli zaś zacząć od zachodu, od republik nadbałtyckich albo Białorusi, gdzie tłuściej się żyje, to zagryzą, zadepczą, takie tam ludziska służą, które tylko chlebowego miejsca pilnują.

W dzień odjazdu młodych nie odprowadzano. W ich rodzinie przyjęte było odprowadzanie tylko do progu. Za to szykowano ich do drogi uroczyście i długo.

Matka cały dzień zastawiała przedpokój pudłami ze słoikami konfitur, kompotów, marynat, wznosiła piramidę z konserw. Ciężarem bagażu się nie przejmowała. Jakimś cudem, przy pomocy żołnierza, załadowano wszystko do przysłanego przez ojca samochodu. Sam Grigorij Iljicz pożegnał się z Jakowem z rana i gdzieś pojechał. Temu samemu żołnierzowi – kierowcy ojca – nakazano pomóc im się załadować do pociągu, ale Jakow powiedział nagle, że zrobi to brat, on też ich odprowadzi, a kierowcę zwolnią. Matka nie mogła zrozumieć, dlaczego wszyscy muszą się cisnąć w jednym samochodzie, trząść się w ciasnocie razem z pudłami, jeśli jest żołnierz. Jakow nie spierał się z matką, tylko bez słowa skinął na brata i Matiuszyn polazł w głęboką ciemność czarnego znajomego auta, czując tylko, że gdzieś się zapada.

Do stacyjki dojechali bardzo szybko i wyładowali się przy pustym, bezludnym peronie.

Stacja w Jelsku składała się z dwóch wciśniętych w ziemię betonowych peronów. Po jednym z nich, gdzieś daleko, pewnie i zamaszyście posuwała się potężna baba w kombinezonie robotnika drogowego, wymachując miotłą i dymiąc kurzem. Ludmiłka odeszła na bok, zaczęła samotnie czekać

na pociąg. Jakow obrzucił wzrokiem stacyjkę i nic nie mówiąc, poszedł do budynku. Wasia ruszył za nim i znalazł się w mętnie oświetlonym, po dworcowemu hałaśliwym barku. Jakow zamówił przy ladzie papierosy i wódkę, po czym z napełnioną do połowy szklanką, przezroczystą i na oko pustą, stanął przy pierwszym z brzegu stoliku, zapalił i ze znużeniem spojrzał gdzieś w bok.

– A ty jak, nie palisz jeszcze? – spytał ponuro.

– Palę – nie odpowiedział, tylko przyznał się Matiuszyn.

– No to zapalimy... Pal, ze mną można... Może ci piwa zamówić, a może chcesz coś mocniejszego, wódki?

– Chcę! – wypalił Matiuszyn. – Wódki.

– Uważaj, sam zdecydowałeś, ja ci ojcem nie jestem.

Matiuszyn nie odpowiedział i Jakow poszedł po wódkę. Wziął talerzyk sałatki. I butelkę.

– Jak nie dopijemy, to zostawimy, skąpy nie jestem. No to strzemiennego, twoje zdrowie!

Może przez to, że w słowach starszego brata wyczuł uśmiech – i rzeczywiście Jakow mówił coś w rodzaju: „Jesteśmy sobie obcy i bliski mi nigdy nie będziesz” – Matiuszyn, oszołomiony wódką, wstrząśnięty od jej uderzenia, zaczął rozwlekle się zwierzać, jakby rozdwoił się w powietrzu knajpy i widział sam siebie jak w odbiciu wielu luster.

Jakow milczał, jeszcze raz nalał sobie wódki. Matiuszyn skarżył się bratu, jak samotnie mu się żyło po jego wyjeździe do Moskwy, jak cierpiał przez rodziców, ale mówił to wszystko, jakby nie wiedzieć czemu chciał dojść do wniosku, że ojciec i matka są dobrzy i że trzeba im wybaczyć. Jakow zjeżył się, kiedy tylko brat wspomniał o ich dzieciństwie, a Matiuszyn musiał je przypomnieć, żeby brat wiedział, jak on ciągle pamięta i jego, i siebie, jak kocha, chroni to wspomnienie. Jakow nie chciał tego rozumieć, a może nie mógł, nie wierzył w taką pamięć.

– Durniu, nie waż się nawet o tym mówić, nie dorosłeś! – nie wytrzymał. – Tylko oni są winni! Takim trzeba zakazywać mieć dzieci, oni mi przecież

życie okaleczyli. A ty też nic nie rozumiesz, mówisz: pamiętasz, kochasz, a jak to niby mnie kochasz, jak ja ciebie całe życie nienawidziłem? Jak się urodziłeś, od razu cię znienawidziłem. Ja nawet tę noc pamiętam, kiedy ojciec z matką się je..li, żeby ciebie spłodzić, ja wtedy z matką na jednym łóżku spałem, a potem ona spała z tobą. Ty nie wiesz tego, co ja wiem, co ja widziałem... Ojca matka takim zrobiła, a jak on ją bił? Stawiał przy ścianie i bił, bo nie kochał, bo oni całe życie się nienawidzą!

– Jasza, oni cię kochają! – po pijanemu zaskowytał Matiuszyn.

– Siebie kochają, może ciebie jeszcze kochali, ty przecież mamusin synek jesteś, jakby specjalnie dla siebie cię chowała.

– Ja... Ja mnie... nikt... To z ciebie są dumni!

Matiuszyn przezwyciężył wstręt do wódki i wypił swój kieliszek małymi łykami aż do dna, nie umiał zwyczajnie łyknąć jednym haustem, rzucając się w przezroczystą przepaść prosto za bratem. Nie wiadomo kiedy przekonał sam siebie, że brat jest nieszczęśliwy, a może to on, Wasia, potrzebował zobaczyć w bracie istotę nie mocną, tylko pod pozorem siły chorą i nieszczęśliwą, i żałować go tak, jak żałował siebie. Rozumiał nawet, teraz nagle zrozumiał, że nie może kochać brata, ale zmuszał się, by go kochać i słuchać.

Jakow bez litości coraz zacieklej zatruwał Matiuszyna prawdą, którą sam był zatruty. Tak wierzył, że nici życia ich wszystkich są w jego rękach, że z początku nawet sam się bał, drżał, rozrywając je swoimi słowami:

– Matka w ogóle jest brzydka, jak nie kobieta. Przecież do szarej myszki jest podobna, to nie para dla ojca. On bab miał przez całe życie jak gówna, jakie tylko chcesz. Ale nigdy żadnej nie kochał. Ona to wiedziała, dlatego było jej wszystko jedno, nie bała się, dawała mu poszaleć. On ją bił, chciał do rozwodu doprowadzić. Dlatego zęby jej wybijał. Ale oni jakby się sprzysięgli! Kiedy ciebie spłodzili – im nie dzieci, tylko sztangi pudowe były potrzebne, żeby ze sobą żyć... A czy to jest życie, to, jak my żyliśmy, jak oni teraz żyją? Co to u nich za życie? Dzieciaki? Ja przecież ich nienawidzę, ciebie, siebie, wszystkich... Co ja widziałem? Co ja o nich mogę myśleć? Kim ja jestem? Synem, a może sukinsynem, podrzutkiem?

Wiem, zdychać będę, a do mnie nie przyjdziecie, takie to u nas porządki, zdychaj sam. To ja do was też nie przyjdę, zdychajcie tutaj! Ja i bez nich przeżyję, bez ciebie, nikogo nie potrzebuję. I to jest prawda, innej prawdy nie ma, nie ma prawdy...

W tej chwili zachwiała się ziemia, sypnął drobny, przerywany dźwięk, tak że cały bar zakołował. Drżały kieliszki, drżała ogromna, zdawało się, i strasznie pusta butelka. Zadając potężne ciosy, nadchodził znikąd jakiś martwy huk. Już i powietrze grzmiało. Jakow złapał brata i powlókł za sobą.

Na stacyjkę ospale wjeżdżał moskiewski pociąg. Toczyły się po ostrzach szyn ciężkie wagony, migały okna, płynęła zielonkawa, zakurzona twarda masa. Skład rozciągnął się i stanął. Jakow klął, popędzał brata i Ludmiłkę do pozostawionych na peronie pudeł. Wszyscy chwycili za pudła, stali się nagle brzydcy, jednakowi, pobiegli, a Jakow oderwał się od nich, gnał naprzód i naprzód wzdłuż niekończącej się ściany wagonów. Jednak przy na głucho zamkniętych drzwiach nie było konduktorów.

Brat krzyczał, walił pięściami. Wydawało się, że giną razem, jakby nie dawano im oddychać, żyć! Nagle w jednym z wagonów otwarto drzwi i z hałasem spuszczono stopnie... Z góry wesoło i łaskawie patrzył na nich pijaniutki konduktor. Jakow odtrącił go, wrzucił do środka jedno pudło i wskoczył w czarną czeluść. Krzyknął, żeby mu podawać resztę rzeczy. Z drzwi sterczały tylko jego ręce, jakby odrąbane od ciała. Starając się nadążyć, nie zostać w tyle, Matiuszyn miotał się u stopni wagonu, osłabły od wódki, dysząc w śnieżnobiałe płócienne plecy Ludmiłki, a ta wyrywała mu pudła i podawała stojącemu wyżej mężowi. Ale skład drgnął i powoli, zdawało się, krok po kroku ruszył w swoją stronę. Ludmiłka rzuciła się przerażona do pozostawionej na peronie torby podróżnej. Wagon odjeżdżał coraz szybciej. Jakow wychylił się z ciemności, krzyczał, zawisł na stopniach, złapał torbę, potem pochwycił biegnącą za wagonem żonę i oderwał ją od ziemi.

Matiuszyn jeszcze przez chwilę wlepiał wzrok w ich wagon, widział brata, ale Jakow zaraz utonął w głębi, a wagon zniknął w równym, płynnym

ruchu sobie podobnych. Wasia próbował jeszcze biec przed siebie z ostatnim pudłem, zapomnianym w jego rękach, głośno tupał po ucichłym nagle peronie, ale potknął się, poleciał i po trzech metrach upadł. Kiedy odzyskał przytomność, ledwie rozróżniał w dali żelazną, półokrągłą ikonkę pociągu. Pod nim wyciekał z pudła bury kompot. Matiuszyn z poczuciem winy odlepił się od betonu i polazł gdzieś przed siebie, chciał jak najszybciej trafić do domu. Majtający się podół koszuli był bury od kompotowej cieczy. Tam, gdzie kończył się peron i pustynny światek stacyjki, zaczynała się plątanina ścieżek, gęstwa płotów, świeciły ciepłe ule domów – było to przedmieście Jelska, przysadziste i szerokie jak cała tutejsza okolica. Dwóch trzeźwych facetów idących spokojnie ulicą krzyknęło nagle i odważnie pognało za Matiuszynem, a on, strasząc nadchodzących z przeciwka ludzi, uciekał przed tamtymi, wskakiwał w podwórza i zaułki, aż wreszcie się zgubił i ocknął nie wiadomo gdzie, w ciemnościach, na jakimś porosłym chwastami pustkowiu.

Przywiózł go z krańców miasta autobus, pracowicie kursujący do nocy i już prawie pusty, który niczym świetlista kropka długo błądził po zamglonym miasteczku jak po nieboskłonie. W duszy było Wasi tak samo świetliście i pusto. Nie siedział, tylko stał przy drzwiach w kącie, jak skazaniec. W autobusie ludzie popatrywali na niego, jedni ze złością, inni z żalem, widząc niepozornego pijaniutkiego chłopaka w zarzyganym ubranku.

Drzwi otworzyła matka, z rozpuszczonymi włosami, w nocnej koszuli. W takim stanie przypominała niemowlę w pieluszkach, pomarszczona, proste włosy rzadziutko pokrywały jej głowę, jakby nie wyrastały z niej, tylko na niej leżały.

– Ty co, zgłupiałeś? Do północy się szlajasz! – rozdarła się po koguciemu. – Zdążyli? Odprowadziłeś ich? Wsiedli do pociągu?

Jeszcze nieprzebudzona do końca, dokładnie mu się nie przyjrzała, a on, nie wiedząc, co odpowiedzieć, przestępował w progu z nogi na nogę.

– No co ty?! – Powlokła go do mieszkania i od razu o wszystkim zapominając, krzyknęła: – Synku, syneczku, co z tobą?... Och, Wasieńka...

Co... Co... Ech, ty zarazo... Piłeś? Piłeś? Ty piłeś! A koszula, spodnie, ty co, coś ty narobił?!

Matiuszyn nie mógł wymówić słowa, ale też nie chciał więcej milczeć, zebrał się w sobie, jakby go ktoś uderzył, i zaczął chrapliwie sapać.

– Jaszka, zaraza, Jaszka, to on, on nalewał, ano mów! – ryknęła matka.

– Ja-jaaaszka... – pojękiwał, dławił się Matiuszyn.

– On ciebie bił? Odpowiadaj, co on ci zrobił!

– Nieee... nie...

– A krew, krew skąd?

– To ze słoika... Rozbiliśmy kompot...

– Wsiedli do pociągu? A ty? Pijany się szlajałeś?

Ale syn więcej nie odpowiadał, tępo gapił się na matkę. Zamilkła i ona, zmęczyła się. Myślała już o czym innym, popędzała go:

– Idź, umyj się, zrzuć tam wszystko. Żywo, ojciec zaraz przyjdzie. Twoje szczęście, zarazo, że ojca nie ma. Prześpisz się, to ja już z tobą pogadam, ja ci dam, głupotę z ciebie wybiję. Popamiętasz Jaszkę, popamiętasz. – I zdzieliła go gniewnie koszulą po gołych już plecach. – Całe życie będziesz pamiętał!

Przyszedł ojciec: hałasował w przedpokoju, coś tam nakazywał, wreszcie poszedł do kuchni, gdzie matka nakryła do stołu. Słychać było, jak pyta o coś znużonym głosem i jak ona zgodnie, spokojnie odpowiada. Matiuszyn męczył się, nie słyszał zza ściany ich głosów, był wstrząśnięty tym, że żyją kłamstwem, jakby jedli je i pili. Chociaż matka milczkiem go kryła i strzegła przed ojcem, mimo wszystko mówił sobie, że rodzice łżą, łżą, i dręczył się tym... I bał się wydać z siebie jakikolwiek dźwięk, bo wódczany mąt obracał nim w łóżku, jakby go nahajką pędził po kole, i dusił. Ale i tę torturę wytrzymał, zdołał oddychać i siebie, zatrutego wódką, uśpić – wszystko zdołał. Rankiem, kiedy matka pytała o Jaszkę, kłamał, opowiadał niestworzone rzeczy, że w barze wyprosił u Jaszki pozwolenie na jeden tylko łyk, a o czym innym – ani słowa. Tak że matka pomstowała na ten pociąg, rugała ojca, że kupił im bilet do wagonu bez

miejscówek i z przesiadką, a trzeba było ich dowieźć samochodem do Gradowa, wsadzić do wagonu z przedziałami, stamtąd przecież mają bezpośredni do Moskwy. I wciąż pamiętała, rozgoryczona, jaki słoik rozbili: jeden tylko taki im dała, z kompotem wiśniowym.

Odezwali się po pół roku, napisali, że Ludmiłka oczekuje dziecka. Ojciec ogromnie się ucieszył, po prostu dygotał nad tym listem, po sto razy kazał go matce odczytywać na nowo, tryumfując, że ród się przedłuża, radując się, że przydała się jego dacza. Jakow służył w małym miasteczku przy polskiej granicy, urządził się wbrew radom ojca i o pomoc nie prosił. Ale kiedy termin już się zbliżał, ojciec wydelegował do nich matkę z pieniędzmi, żeby wszystkiego dopilnowała, sprawiła jaką trzeba wyprawkę, dyżurowała przy Ludmiłce, porządku pilnowała. Matka mieszkała u nich długo. Doczekali się dziewczynki, o której, o wnuczce, ojciec nie wiedzieć czemu marzył. Tę Alonuszkę, jeszcze jej nie zobaczywszy, wiedząc tylko, że jest na świecie, pokochał nawet nie rozumem, nie duszą, tylko po prostu krwią. Jeszcze tego samego roku, kiedy matka już wróciła, sam pojechał ją zobaczyć. Uważał to za swój obowiązek także dlatego, że Jakow nie zdobył w miasteczku własnego kąta, tłoczyli się w trójkę w oficerskim internacie. Ojciec zagościł u nich tak, że wszystko im załatwił: z kimś tam się zaprzyjaźnił, gdzieś tam się ukłonił, kogo innego postraszył, kogoś obdarował – i zdołał załatwić Jakowowi samodzielne mieszkanie.

Przez rok, dwa łączność zapewniały pocztówki i listy, które Jakow pisał skąpo, coraz rzadziej. Ale i ojciec, raz się wyrwawszy w dalekie obce strony, więcej na taki wysiłek zdobyć się nie mógł, troska o siebie, zamiłowanie do codziennych wygód, a zwłaszcza spokoju, były silniejsze. Zdjęcie, na którym trzyma Alonuszkę na rękach, sam w galowym mundurze, przy orderach, a Ludmiła i Jakow stoją po bokach jak wartownicy, zawsze sennie patrzyło na niego z serwantki, kołysało go do snu, usypiało. Wiele razy zbierał się pojechać, ale nie jechał i matki też nie puszczał. Wciąż czekali, aż tamci odwiedzą ich latem. Ojcu marzyło się, że weźmie urlop, pożyją razem na daczy, wnuczka poje malinek, truskawek,

a on zabierze ją ze sobą na ryby. Matka dokupywała to jakąś zabawkę, która jej się spodobała, to ładną koszulkę, to wełniane rajtuzki, to znów po korzystnej cenie spódniczkę, botki, wszystko na wyrost. Nikt jednak nie przyjeżdżał. Potem też pocztówki i listy podejrzanie ustały. Oni myśleli, że jeśli złych wiadomości nie ma, to znaczy, że tamci są przynajmniej cali i zdrowi.

Jaszka pojawił się w Jelsku w kwietniu 1982 roku. Tego dnia Matiuszyn spóźnił się, gdzieś zabradziażył i zastał w domu jakąś nieopisaną klęskę, martwotę, jakby kogoś pochowano. Z ojcem było źle, matka kręciła się przy nim, ratowała. On leżał w fotelu, głowę odrzucił w tył, patrzył w sufit. I pierwsze, co powiedział, bezlitośnie, nawet z dumą, to:

– Koniec. Nie masz brata. Jeśli będzie chciał wleźć, nie otwieraj, masz od razu mnie zawiadomić, przyjadę i sukinsynowi takie manto spuszczę, że drogi zapomni, więcej tu nie zalezie!

Matka chlipnęła, a on, coraz bardziej rozwścieczony, krzyknął:

– Zamknij się, powiedziałem! Po kim ty łzy lejesz? Kto przesrał wszystko, co się dla niego zrobiło?! Pijaczyna, łajdak, dezerter, bydlę... Żeby tak zdechł sukinsyn, w moim domu jego noga nie postoi!

– No jakże tak, Jegorku... – cichutko skowytała matka. – Pożaaałuj go, wyyybacz... Synaczek nasz...

– Dosyć. Koniec z nim. Dam rozkaz do komendantury, do milicji, niech go złapią i wsadzą, do diabła z nim, dezerterem. Nie mam takiego syna.

Jednak taką hańbą ojciec okryć się nie mógł. Czekał, rozumiał, że Jaszka znów może przyjść, szykował się na spotkanie. Matiuszyn też czekał z niepokojem, chociaż nie rozumiał, co się stało. Ale Jakow nie przyszedł. Ojciec został w domu i nikogo nie chciał wypuścić, jakby się bał. Jakow nie przyszedł ani nazajutrz, ani następnego dnia, kiedy ojciec znów został w domu. Matiuszyn zaś stopniowo dowiadywał się, co się stało.

– Ze służby Jaszeńka uciekł... Rzuciła go Ludka... Wywiozła od nas Alonuszkę, wnuczkę moją jedyną zabrała... Zapił Jaszeńka... Wygnał ojciec Jaszeńkę... Przeklął go... – lamentowała matka, ale przy ojcu więcej milczała.

Natychmiast znikły wszystkie fotografie, przedtem dumnie stojące w serwantce. Matiuszyn popatrywał na ojca, zauważał ze zdziwieniem, jaki jest spokojny. Liczyło się tylko jedno: usunąć z pamięci, zabrać precz z oczu. I on, Wasia, też miał wszystko zapomnieć. Na trzeci dzień ojciec wyzdrowiał, był nawet raźniejszy niż przedtem, wyspał się, najadł. Tak mocno uwierzył, że Jaszki nie będzie już ani w jego życiu, ani w Jelsku, że nawet mówić o nim przestał.

Rozległ się dzwonek, matka poszła otworzyć. To był Jakow. Może poczuł z kuchni zapach jedzenia, bo władował się tam jak gospodarz i usiadł, tak jak stał, przy stole. Matiuszyn zamarł nad talerzem. Od brata szedł pijany zapach, jego porośnięta szczeciną twarz była sinawa, wysuszona, brudna, wstrętna nawet, jakby pokryta sierścią. Był w cywilu. Kapelusz, palto, buty postarzały go jednak, wyglądał żałośnie. Spod palta wyzierał znoszony garnitur, nad nim sterczał jak wywichnięte skrzydło kołnierz koszuli, pod nim zaś krzyczącym pomarańczowym kolorem płonął gruby krawat.

– A ty ciągle żresz... – tylko tyle powiedział Jakow bratu, ponuro patrząc w cudzy talerz.

Tu bojaźliwie ocknęła się matka:

– Może ci, Jaszeńka, nalać barszczyku, zjesz...?

– Nalewaj, matka, ja lubię twój barszcz, nikt na świecie takiego barszczu nie ugotuje, nasz, prawdziwy. Ojciec gdzie, dlaczego nie ma go w domu?

– A nie wrócił jeszcze...

– Patrzcie go, stary, a wciąż służy, nijak się nie uspokoi! A ty mi gęstszego, gęstszego, nie żałuj, dla wszystkich starczy, ja żem trzy dni nie żarł!

Matka się nie odezwała, a on o wszystkim zapomniał i przypiął się do barszczu. Pochłaniał go, jakby ziemię kopał, łyżkę wciskał jak łopatę. Prawie dziurę w talerzu wyrył i powiedział:

– Matka, dawaj jeszcze, nalewaj, dla mnie dolewka!

Nie ruszając się z miejsca, odpowiedziała:

– Nie mam dolewki, Jasza, zostało tylko dla ojca. Idź sobie, bo tylko patrzeć jak przyjdzie, wiesz, nie drażnij ojca, on nie chce ciebie widzieć.

– Co to znaczy nie chce, co to, ja nie u siebie w domu jestem, u obcych ludzi siedzę, cudzy barszcz zażeram?! – zawołał Jakow, osłupiały.

– Ty do siebie do domu jedź i tyle, pojadłeś na drogę i jedź, a potem... kto wie?... a nuż ojciec wybaczy, wszystko się ułoży.

– To co, znaczy się wy mnie, swojego syna, w p...u posyłacie?! – krzyknął i cichutko zapłakał, zaczął nagle walić w pusty talerz, kruszyć go, miażdżyć pięścią. – A masz! A masz! Poszedł! Poszedł! Zdychaj! Zdychaj!

Trysnęła krew. Jakow trzymał w górze rękę, wyciągał ją, pokazywał, jak dziecko pokazuje skaleczenie, i bez złości, cicho się skarżył:

– Co ja takiego zrobiłem, kogo zabiłem, że taki wyrok dostałem, wszystkiego mnie pozbawili? Toć ja ich kocham, toć ojca kocham, wszystkich kocham, dlaczego mnie wciąż zabijają? Ona uczyć się chciała, a ja nie puszczałem, a tamten puści, tamten mądrzejszy, nie rodzone przecież dziecko, to jemu nie żal... Trąbkę ma, a ja nie mam, on grać umie, a ja nie! Za co, mamo, za co?! Po coś ty mnie urodziła, dlaczegoście się z ojcem nie rozwiedli, inne miałbym życie, sam byłbym inny, wszystko byłoby inne!

– Jaszka, słuchaj, nie zaczynaj, starczy, nakrzyczałeś się już, bo i ja zapomnę, kto ty jesteś! – rozzłościła się matka. – Tyś tak się narozwodził, że siedzisz pijany i ryczysz. Co zrobiłeś, to zrobiłeś, trzeba zrozumieć, a ryczeć nie ma co, co było, tego nie cofniesz. Trzeba żyć tak, jak jest, jak wyszło. Dokąd, dokąd ty się za nią wyrywasz, co, zgłupiałeś? Raz się sparzyłeś i co, spalić się chcesz? Żyj, nikt ci nie przeszkadza, tylko żyj, a jak chcesz zdychać, to zdychaj, wiesz, do tego ani ojca nie trzeba, ani matki, zejdź z oczu, nie męcz.

Jakow płakał – cichy, nawet jakiś pojaśniały. Matka wyszukała bandaż. Milcząc, oczyściła i opatrzyła spuchniętą rękę. A on tylko zapytał ją żałośnie:

– Mamo, co mam robić? Teraz mnie skażą, ja nie miałem prawa służby rzucać...

– No cóż, wobec prawa wszyscy równi, a ty jednostkę samowolnie zostawiłeś, trzeba zrozumieć – rozważała matka z powagą. – Wrócisz, pokajasz się, niby tak a tak, powiesz: winę swoją uznaję, więcej to się nie powtórzy. Tylko ojcu wstydu nie przynieś, nie rób tak, żeby całe miasto wiedziało, bo stąd nie wyjedziesz, on sam cię przekaże, a jak tak dobrowolnie, do winy się przyznając, to wybaczą, nikt nawet nie zauważy, bądź co bądź nie żołnierz, tylko oficer, nie będą sobie wstydu na głowę ściągać. Pieniędzy nie przepiłeś, na bilet masz? No dobrze, dam na bilet, a jak przepijesz, nie przychodź, nie otworzę...

Widok tego zaszczutego człowieka, który nazywał się jego bratem, budził w Matiuszynie urągliwe niedowierzanie, tak jakby było dla niego jasne, że tamten tylko udaje, a naprawdę nic go nie boli. Już nie mógł wybaczyć bratu tych słów, które mu się wyrwały, i jak w odrętwieniu czekał na chwilę, kiedy nie będzie w domu, przy stole, tego śliniącego się, niepotrzebnego człowieka.

I nie było więcej Jakowa w tym ich sennym, zawieszonym czasie. Trzy lata później, z zagranicznej, odległej wojny, przyjechała do Jelska na pochówek cynkowa trumna: dopiero teraz wyszło na jaw, że Jakow był, żył, wojował. Ludmiłka przepadła bez wieści – o niej i Alonuszce nie słyszano w rodzinie, odkąd Jakow przyjechał do Jelska i został przez ojca wyklęty. Kiedy otrzymali zawiadomienie o jego śmierci, wstrząśnięty Grigorij Iljicz pomyślał, że syn okazał się bohaterem. Zwłoki przyszły jednak bez odznaczeń, a w piśmie przewodnim było napisane: zginął podczas wykonywania internacjonalistycznego obowiązku.

Matka umierała ze smutku, ale nie czując i nie widząc kochanego ciała, nie wierzyła, że to ono leży w tym cynkowym opakowaniu. I zdawało się, że Aleksandra Jakowlewna za chwilę przestanie płakać, rozmyśli się, odejdzie od trumny. Matiuszyn rozumiał, że stało się nieszczęście, że zginął jego brat, ale nic mu się w duszy nie poruszyło i to go przerażało: dusza tkwiła w nim jakby sama dla siebie, przygnębiająco zimna. Wszystko wokół robili jacyś obcy ludzie, całkiem tak, jakby to ich krewnym był Jakow. Matiuszyn stał i czuł tylko zmęczenie, czuł, że ciężko i nudno mu

stać. Ojciec sterczał przy trumnie surowy, zimny i nawet teraz nie mógł podejść do syna bliżej niż na dwa kroki. Trumnę przywieźli, pokazali i po tym krótkim postoju mieli od razu zakopać, ale Jaszka, wprawdzie nie żywy, tylko martwy, pozostał tu, w Jelsku, już do końca ich dni, jakby z rozpędu wbił się w mogiłkę, z której sterczał stalowy ogon wojskowego obelisku z gwiazdą zamiast krzyża. I trzeba było dbać o grób jak o własny dom, chodzić tam, postawić pomnik, żeby było jak u wszystkich.

Chowali go na „radzieckim” cmentarzu, jak go ludzie nazywali, gdzie grzebano partyjnych i wojskowych. Za pogrzeb miała potem zwrócić komendantura, ale ojciec nie poniżył się, odmówił.

Odtąd Grigorij Iljicz odgrodził się od rodziny. Przedtem siedzieli razem przynajmniej przy obiedzie, a teraz nagle nastał w domu taki porządek, że ojciec jadł sam. Matka najpierw nakrywała jemu, a potem, kiedy odchodził, oni po ojcu jakby dojadali. I tak było ze wszystkim.

Matiuszynowi zdawało się, że nie żyje, tylko pogrąża się w wodzie, gdzie wszystko jest mętne, zielone. Teraz smutek dusił go czasem miesiącami, sprawiając, że każde zajęcie, każda myśl gnębiły go, traciły sens. I żył, nic nie robiąc, sam nie wiedząc, gdzie podziewa się czas. Mimo wszystko pamiętał niepojęte światło życia, radość i jasność życia, ale kiedy starał się przypomnieć sobie, skąd się to światło wzięło, przed oczy napływał mu mąt i Wasia wiedział co innego: że w tym ich na głucho zamkniętym życiu nie ma nawet szpary, przez którą można by zobaczyć światło. Jakby coś go goniło, opadało ze wszystkich stron, a on co sił uciekał, wydawało mu się, że ucieka, ale przecież nie było dokąd uciekać z czterech ścian, tylko tu, w tych czterech ścianach, musiał żyć.

Tej samej wiosny, kiedy skończył dwadzieścia trzy lata, dostał nagle wezwanie do komendy uzupełnień. Komisja złożona z dwóch sędziwych lekarzy powtórnie uznała go za niezdolnego do służby, a on zrozumiał tylko tyle, że za takiego uznano go ostatecznie, że go wyrzucono. Z komendy wyszedł, ale pójść do domu nie był w stanie. Błąkał się, zaniosło go na dworzec i znalazł się w tym barze, w którym żegnali się kiedyś z bratem.

Poznał miejsce, zamówił, jak wtedy Jakow, butelkę wódki, wypił, ile zdołał, upił się i wrócił do komendy.

Od progu ryknął, że chce do wojska, a że go, pijanego, nie wpuszczali, zaczął rozwalać, kruszyć, co tylko się nawinęło. Wszyscy obecni na dyżurze rzucili się go łapać, sprawa doszła do komendanta. Siłą rzeczy padło nazwisko awanturnika. Kiedy komendant usłyszał, kim on jest, odwołał ludzi, ucieszył się, zaprosił Matiuszyna do swojego gabinetu. Tam on znów narobił krzyku, ale już zaczęli go prosić, żeby się uspokoił, pocieszać. Komendant wiedział, czyim on jest synem, wiedział też o losie brata, a gdyby jeszcze wiedział, jaką decyzją dogodzi jego ojcu, a jaką nie, zdecydowałby wszystko wedle jego woli czy polecenia.

– No naprawdę, czy to takie chłopisko się nie przyda? Damy go do artylerii, na co tam dobry słuch? – perswadował sobie. – Rodzina bohaterska, gwardyjska, można powiedzieć, dynastia, a my chłopakowi drogę zagradzamy. Ja załatwię, załatwię... Siedź w domu i czekaj na wezwanie.

Matiuszyn nie mógł uwierzyć, że to się stało, że wyrwał się na wolność. Sądząc, że ojciec o niczym się nie dowie, postanowił zmilczeć w domu o sprawie. Przez cały ten czas żył z lekkością, jaką daje niecierpliwość czy wręcz pośpiech, oczekując z dnia na dzień wezwania, ale i kryjąc się przed ojcem. Kiedyś Grigorij Iljicz wrócił do domu – zmęczony, milkliwy – i nawet się nie przebrawszy, tylko zdjąwszy buty, zawołał go nagle.

– Słyszałem, że ty tam u komendanta... No i dureń.

Matiuszynowi ścisnęło się serce.

– Matka, słyszałaś? – zaśpiewał ojciec łagodnym, całkiem obojętnym głosem. – Doczekaliśmy się, naszego do wojska biorą, uznali go za zdatnego, wezwanie do niego przyszło! – I wyjął z kieszeni karteczkę, położył na stole, przybił pięścią. – Trzymaj...

W ciągu tygodnia, który mu pozostał, Matiuszyn zwolnił się z obrzydłej pracy, siedział w domu, czekał. Matka nie znajdowała sobie miejsca: to wypłakiwała się jak skazana, to rzucała się na niego, wrzeszczała.

Aleksandra Jakowlewna rozumiała, czyje słowo o wszystkim przesądziło, ale Grigorij Iljicz swoich postanowień nie zmieniał. Na wszystkie jej krzyki odpowiadał grobowym milczeniem i tak milczał do ostatniego dnia. Dopiero wtedy przywołał syna, powspominał przy nim młodość, kiedy sam był prostym żołnierzem, wzruszył się i zdjął z ręki zegarek, żeby dać mu na pamiątkę – ten pozłacany, z którym nie rozstawał się przez dziesięć lat, odkąd kupił w Moskwie jeden dla siebie, a drugi dla Jakowa, też razem z nim zatracony. Zostawszy bez zegarka, ojciec posmutniał, a rankiem Matiuszyn nie znalazł przy sobie podarunku, zrozumiał z przykrością, że ojcu żal się zegarka zrobiło, ale nic nie powiedział ani o nic nie poprosił: współczuł ojcu.

Grigorij Iljicz z rana został w domu, żeby zaprowadzić syna na miejsce zbiórki poborowych. Nie pojechali, poszli pieszo. Ojciec był w cywilnym płaszczu: szary, miękki, sam siebie nie poznawał, czuł się niepewnie. Odprawa odbywała się tak wcześnie, że szli przez wymarłe, puste miasto w łagodnie mroczną głąb uliczek. Aleksandra Jakowlewna martwiła się po swojemu, któryś tam raz się zastanawiając, czy włożyła wszystko do plecaka, kiedy pakowała syna. Szepnęła:

– Pamiętaj, Wasieńka, ojciec daje ci od nas dwadzieścia rubli. Podejdziesz do niego, pożegnacie się już po dobremu.

Przy komendzie uzupełnień tłoczyły się pijane chłopaki, grzmiała muzyka, wszyscy się żegnali. Grigorij Iljicz przechadzał się na uboczu, samotnie, nawiązując czasem rozmowę z którymś z odprowadzających, i czekał. Aleksandra Jakowlewna objęła syna, położyła mu główkę na ramieniu i nie puszczała. Stali tak, dopóki serdeczny jak baba chorąży nie wezwał, by wsiadać do autobusu. Wszyscy zbili się w kupki, jakby z ludzi wyrosły małe zaspy, i wszystkie matki, nie mogąc się powstrzymać, w tych zaspach zapłakały. Ojciec bez słowa go objął, niezręcznie pozwolił się pocałować, wcisnął mu pośpiesznie pieniądze, wstydząc się dwóch papierków, i z ulgą się odsunął. Nie wiedząc, co ma mówić, bojąc się mówić. Zepsuł wszystko, odzywając się w ostatniej chwili:

– Służ, synku, bądź godny pamięci brata!

Część druga

Miejsca było aż za dużo. Przyjazny na oko chorąży szybko zaczął wchodzić w swoje prawa i wzywać do siebie każdego po kolei. Siedział rozwalony przy zatrzaśniętych drzwiach, jakby tu miał swój posterunek, dalej nie przepuszczał. I zaczynał serdeczną rozmowę, wczytywał się w dokumenty, a potem radził, żeby się nie krępować, tylko wysypać na wierzch do kontroli zawartość tobołków i węzełków. Żartując, obszukiwał i obmacywał, czy aby nie schowała się gdzieś za pazuchą albo w spodniach butelka. Sprawdzał, jak z wódką, noży nie przepuszczał. Pilnie oglądał każdą najmniejszą rzecz, grzebał w każdym zawiniątku i chichotał. Głośno się śmiał, kiedy znalazł u kogoś czyste majtki. Pochrząkiwał, wąchając czyjąś wodę kolońską. Dziwił się jedzeniu, różnym kiełbasom, mówił, że tej czy innej nie jadł. Prosił, żeby mu po koleżeńsku dać spróbować. Zaczął się częstować, cieszył się, że tyle tu żarcia, i może właśnie od tej obfitości rozigrał się w nim zwierzęcy, do niczego niepodobny apetyt.

Wzdłuż drogi przesuwały się pustynne, śpiące przestrzenie. Nie chciało się jeść, na widok żującego z zadowoleniem chorążego wszystko w żołądku się przewracało. Ci, co w nocy pili na pożegnanie, spali kamiennym snem, szczęśliwie nie widząc, dokąd ich wiezie autobus. Dzień zapowiadał się gorący, letni. Słońce przenikało przez o świcie jeszcze zalodzone i ciemne szyby, wyświetlając na nich jakieś szkielety pozostałe po dawnych deszczach, pokryte, jak skórą, omszałą warstwą sadzy. Sennie upływał w duchocie niepotrzebny czas, już obcy, a nie własny, przyrodzony. Upał nie mijał. Przed nocą autobus dojechał nie wiadomo dokąd. W ciemności widać było tylko jakieś mętne ogniki. Poborowi siedzieli za płotem punktu kierowania do pododdziałów, podzielonego jak bursa na małe pokoiki: w każdym łóżka z gołymi materacami, pośrodku stół. Na stole rozsypane

były białe kamyki domina, choć nikt tutaj nie grał, aż dziwne, że nikt ich nie ukradł.

Raźno wkroczył oficer dyżurny z czerwoną opaską na rękawie – takich, podobnych do ochotników z rezerwy milicji, kręciło się tu wielu – i kazał z jednej izby przejść do innej. W korytarzach tłoczyło się mnóstwo chłopaków. Siedzieli pod ścianami, stali w kolejkach pod jakimiś drzwiami, palili bez ustanku, gardłowali, trudno było uwierzyć, że to noc. Poprowadzono ich na badania. Potem, w środku nocy, na wyżerkę. Kaszy nie tknęli, ale łapczywie wypili całą słabiutką herbatę, jakby przyprowadzono ich tu nie na jedzenie, tylko na picie. Starali się nie pogubić, skupiali się w gromadki. Oczekiwanie męczyło, chciało się odjeżdżać, byle nie czekać. Na powietrze, odetchnąć, nie wypuszczano. A w czaszkach wciąż huczało jak w ulu. Zewsząd jazgot; gdziekolwiek przystanąć, zaczyna się okrywające wszystko jak pleśń gadanie. Kiedy niespodziewanie rozległ się okrzyk: „Kto z Kuzniecka – wstawać! Do wyjścia! Zbiórka!”, wszyscy zamilkli, tłum się nie poruszył, każdy tępo, z zamierającym sercem starał się zdać sobie sprawę, czy jest z Kuzniecka, czy nie, a ci z Kuzniecka potem poszli w ciszy na górę, odprowadzani setkami obojętnych już spojrzeń.

W ich izbie pojawił się oficer, ale bez czerwonej opaski, starszawy i zmęczony, w stopniu kapitana, podobny w swoim zielonym mundurze do żaby.

– Poborowi z Jelska tu przebywają? – Rozejrzał się, jakby sam nie wiedział, co ma zrobić, jakby zgadywał. – Kriwonosow Konstantin Władimirowicz, jest tu taki?

Rozległ się skądś niezadowolony głos:

– No ja... Tutaj...

Kapitan ożywił się i znów zajrzał do swojego papierka, z którego wyławiał, niczym zwinne pchełki, nieznane nazwiska.

– Matiuszyn Wasilij Grigorjewicz, obecny?

– Jestem...

– Riebrow Iwan Piotrowicz!

– Jestem...

Oficer westchnął z ulgą i powiedział spokojnym, wręcz obojętnym głosem:

– Teraz ci, których wymieniłem, niech idą za mną z rzeczami. Reszta – odpoczywajcie, towarzysze, ja potrzebuję tych trzech.

Matiuszyn wyprostował się i wstał, słysząc, jak wstają pozostali. Wstawali, wychodzili, nie wierząc, że to się dzieje na serio, i jakby też nie wierząc w moc zakurzonego żabiego mundurka. Teraz trzeba było wstać i iść za nim, za tym obcym człowieczkiem. Od razu, nie wiedząc dokąd, tam, gdzie on każe. Przeszli jednak raptem jakieś dziesięć metrów. Dobrani przez nieznaną wolę, ale też wedle jakiegoś spisu, znaleźli się w innym pokoju, gdzie siedziało ich z rzeczami dwudziestu, czekając na coś w napięciu. Oficer werbunkowy kręcił się niespokojnie, to znikał, to wynurzał się z korytarza z połowem, ze schwytanym tam poborowym, to zjawiał się z pustymi rękoma i dla ukojenia nerwów zarządzał apel imienny. Ciężko oddychało się od papierkowej mitręgi, coraz ostrzej dokuczało oczekiwanie. Ale chyba już zbliżał się koniec pracy tego punktu rozdzielczego – kapitan, najwyraźniej po to, by wszyscy mu zaufali, przedstawił się imieniem i otczestwem i powiedział, żeby szykować rzeczy do przeglądu.

Świt powitali na dworcu. W na wpół pustej poczekalni pilnował ich przez resztę nocy spokojniejszy już kapitan. Czekali na pociąg, lecz werbunkowy uparcie nie mówił, dokąd ich wiezie ani nawet w jakich formacjach będą służyć. Trochę zalękniony, bo jednak czuł się nieswojo, ale i nie chcąc ustępować, zadawał niby żartem, po przyjacielsku zagadki: w tamtych stronach będzie wam gorąco, choć także zimno, będziecie służyć z bronią w ręku, może nawet trzeba będzie strzelać.

Poborowi prosili o pozwolenie wyjścia za potrzebą i cichaczem wydostawali się na zewnątrz. To samo zrobił Matiuszyn. Wysepka dworcowego budynku, nieoświetlonego i pustego, tonęła w ciemnościach. To z placu, to zza zakrętu wyskakiwały jak wielkie ryby z wody, błyszcząc

kolorami niczym łuską, wyłupiastookie samochody. Wysoko, daleko lśniły światła Penzy, omiatając reflektorami bezkresną połać mroku. Stojąc przy ścianie dworca, Matiuszyn upajał się nocą, wpatrzony w zimną, nieznaną przestrzeń. Na myśl, że nikt tam nie wie o jego istnieniu, powoli zamierał, przestawał oddychać – czuł z rozkoszą, że istnieje tylko on sam. Mając już dość stania w miejscu, bez ruchu, kręcił się koło dworca i palił bez ustanku. Zmęczył się jednak łażeniem w ciemnościach, rozzłościł i poszedł do poczekalni, jakby nie do swoich rzeczy, ale po rzeczy.

W poczekalni kapitan, widząc od samego rana nieporządek, przypomniał o sobie:

– Towarzysze poborowi, uwaga! Chodzić do toalety po kilku zakazuję, tylko jeden po drugim.

Rozległ się ironiczny szmer niezadowolenia. Zdenerwowany, a może w obawie, że wszyscy się rozbiegną, kapitan zapomniał o dopiero co wydanym rozkazie i kazał wszystkim stanąć w szyku. Nastąpiła zaspana kotłowanina i obmierzły apel imienny – od ciągłych wielogłosowych ryków „jest!” pękała głowa. Kiedy te amatorskie występy artystyczne się skończyły, kapitan wyprowadził cały oddział z tej salki, w której się już zadomowili, na pusty peron, gdzie oddychało się pełną piersią i nie było nic do roboty, więc kazał poborowym usiąść rządkiem przy ścianie, a sam w oczekiwaniu na pociąg zaczął chodzić wzdłuż szeregu tam i z powrotem jak wartownik. Usiąść tu nie miał na czym, tylko sobie zrobił na złość. Na peronie było jasno jak w dzień, ale nie rozległ się jeszcze świergot ptaków. Jedni sennie kurzyli, wsłuchując się w tę martwą poranną ciszę, inni drzemali oparci plecami o ścianę, nogi rozrzuciwszy na asfalcie, jakby się oderwały.

Z nastaniem czystego, białego poranka jak wróble zlecieli się na peron ludzie, zrobił się ruch, ożył rozkład jazdy. Matiuszyn nie pamiętał chwili, kiedy nadjechał ich pociąg, a on znalazł się w wagonie. Wbiło mu się w pamięć jakieś wewnętrzne gorąco. Obudził się od śmiechu w przedziale, który, jak usłyszał, wszyscy nie wiedzieć czemu nazywali kubrykiem. I od razu poczuł, że jest cały mokry od gorącego potu. W gęsto nabitym ludźmi

przedziale było jak w piecu. Zlani potem, półnadzy, jego nieproszeni kumple śmieli się na całe gardło. Okazało się, że to z niego się śmieją, z tego, że śpi jak zabity. Wszyscy już dawno się oswoili, przywykli do innych, zachowywali się wobec siebie bez ceregieli, więc i wobec niego tak samo. Dokąd jadą – wciąż nikt nie wiedział, kapitan tajemnicy nie zdradzał, milczał. Miejscowości na trasie pojawiały się jakby z tamtego świata i od razu umierały w nieznających tych nazw głowach. Okazało się, że w ich kubryku ktoś ma butelkę wódki. Przez dzień tej koszmarnej jazdy zdążyli ją rozpić, ale na Matiuszyna czekała jego dola, bo wszystko zaczęli teraz dzielić na czterech, tylu ich, poborowych, razem się w przedziale znalazło. Jeden chłopaczek zachowywał się śmielej, gardłował cały czas – Matiuszyn go pamiętał, był z Jelska, na punkcie rozdzielczym werbunkowy razem odłączył ich od swoich i zabrał ze sobą. Długi, przygarbiony, już ogolony na zero, z głodnymi, trochę dzikimi oczyma, ubrany był w jakieś całkiem obszarpane szmaty. I wódkę to on przemycił, może dlatego teraz dowodził, że nie bał się i przemycił, że to jego butelkę teraz rozpijali.

Przezwyciężając mętlik i słabość w głowie, rozumiejąc, że jest już w drodze, w pociągu, i słysząc o wódce, Matiuszyn zlazł z górnej półki. W kubryku zapadła cisza. Chłopak z Jelska podniósł butelkę i wepchnął ją Matiuszynowi do ręki. Ten westchnął i dręczony jak pragnieniem chęcią zapomnienia, bez słowa zabrał się do picia. Ciepła od panującego upału wódka smakowała jak przegotowana woda. A może mu się wydawało, że smakuje jak woda, bo sam, pragnąc się zapomnieć, nic już nie czuł. W głowie od razu mu się zmąciło, w uszach grzmiał śmiech i on też razem ze wszystkimi coś tam wykrzykiwał, zarykiwał się od śmiechu.

– Chłopaki, a może tu restauracyjny jest, dawajcie, weźmiemy jeszcze, ja stawiam! – strzeliło do głowy Matiuszynowi, bo wszystko teraz wydawało mu się malutkie, nawet ich wagon.

– Żarty, ziomeczku... – uśmiechnął się ten z Jelska. – Dopiero od drugiej, wedle zarządzenia...

– Jakie tam zarządzenie, pijemy! Co to, kupić nie można? Ja płacę!

– No, płać, ile nie pożałujesz?

– No masz, tyle starczy! – Matiuszyn rzucił na stolik dwa pogniecione czerwone papierki. – Bierz za wszystko!

Jelski szybko chwycił czerwońce, schował do kieszeni, znikł. Wrócił nieprędko, kiedy obecni zdążyli już o nim zapomnieć, z dwiema butelkami kwaśnego wińska. Powitano go jak bohatera, flaszeczki poszły w koło. Kto stawiał – nie pamiętali, nawet upić dali najpierw nie Matiuszynowi, tylko temu z Jelska, a on rozwalił się, odpoczywał i udawał, że umordował się i dał z siebie wszystko, do ostatka. Kiedy zaś odsapnął, odezwał się do Matiuszyna:

– A tyś nie tamtego Matiuszyna syn? Mój stary u twojego służy... Mój stary twojego szanuje... No co, teraz i my będziemy razem służyć. Proś, żeby nas razem wzięli. Riebrow moje nazwisko!

– Rąbnąłeś się. Nie mam takiego ojca! – zaśmiał się Matiuszyn i ten z Jelska ucichł, nie było go słychać.

I pijaństwo, i upał, i ludzie – wszystko to zdawało się jednakowym złem. Gdzieś tam bezsilnie ich wlokło, a to zło wlokło się z nimi. Udręczony tym, co brał za samo zło, Matiuszyn wdrapał się na górę, gdzie czekała na niego pusta półka, i o wszystkim zapomniał, utknąwszy czołem w przepierzeniu, które wydało mu się lodowate. Ostygł. Zasnął.

Obudził go Riebrow, szarpiąc, ale niemal z oddaniem, jakby sam Matiuszyn mu to nakazał. Sączyło się mętne światło. Za oknem miarowo spływał z nieba zmierzch. Pociąg mknął prosto, bezgłośnie, jakby leciał w powietrzu. W kubryku dojadano. Riebrow obudził go, żeby coś zjadł.

Dojadali wszystko, co ze sobą wieźli. Żarli i pili bez odpoczynku. Stolik był zawalony kiełbasami, kurczakami, konserwami w puszkach, mizernymi majowymi warzywami. Było też wino, piwo, wódka, nie kryli się, nawet nie chowali butelek. Najwidoczniej to szaleństwo zaczęło się w drodze jeszcze za dnia, zaczęło się od tej przechowanej na zapas wódki i tamtego wińska, a potem wszystkie zapasy, wszystkie pieniądze poszły w ruch. Głodny, rozespany, nie wiedząc, co chwyta, Matiuszyn rzucił się na cudze jedzenie, przełykał wielkie kęsy czegoś ciepłego i tłustego. A Riebrow już mu nalewał, namawiał:

– Wypij, za nasz Jelsk kochany! Wódeczkę, wódeczkę, a tego kwaśnego wina pić nie będziemy. Niech oni piją, słyszeliście? Sami pijcie swój kis! – krzyknął do kogoś, zamachnął się butelką, ale po pijanemu nie ustał na nogach i zwalił się na jakieś ciała.

Pijany wagon huczał, radując Matiuszyna. Po jedzeniu i wódce zachciało się zapalić i Riebrow podjął się zaprowadzić go na pomost, torując mu drogę, pusząc się:

– Rozstąpić się! Bo przypieprzę!

Ich grupa zajmowała pół wagonu, przemieszana z cywilami, nie-Rosjanami. Jechali i tacy, których Matiuszyn nie umiał nawet nazwać, mieli ogorzałe twarze, wystające kości policzkowe. Było wśród nich wielu starców i wiele staruch; porządnie ubrani, siedzieli wciśnięci w kąty i z lękliwymi uśmieszkami patrzyli na niego od dołu, zadzierając kościste, okrągłe główki. Biegały dzieci, wrzeszczały coś w swoim języku, jakby chrypiały: ogolone na zero, gołe, co starsze – w majteczkach, smagłe jak diablęta. Pokonali wąski korytarzyk – wydawało się, że idą nad przepaścią pełną tych ludzików – doszli na koniec wagonu, gdzie zajął miejsce kapitan, czuwając przy drzwiach na pomost.

Uczesany, prawie przylizany, siedział bez jedzenia przy pustym stoliku, czytał na czczo nie pierwszej świeżości, przybrudzoną gazetkę, a razem z nim i przy nim nudziło się w milczeniu trzech poborowych towarzyszy podróży. Tu, w jego kącie, panował zaciszny, surowy porządek, którego nawet śladu nie było w głównej części wagonu, zapchanej, na oścież otwartej, pijanej: tu ubrania wisiały jak trzeba, ludzie siedzieli na swoich miejscach. Widać było, że jeść kapitan nie ma co, wszystko wydał. Po domowemu swobodny, odmłodniały, już nie wciśnięty w mundurową kurtkę, z której wydostał się na wolność, w samej letniej oficerskiej koszuli, ale wciąż w niewoli podróży, wyglądał jak cywil na delegacji, niemający nic wspólnego z rekrutami.

– Towarzyszu kapitanie, my na papieroska! Pozwoli kapitan wyjść na pomost? O, ziomaka spotkałem! – Przypochlebnie się ciesząc, chłopak

z Jelska, od którego i tak jechało wódką na wiorstę, padł piersią na kapitana i omal go nie przydusił.

– Idź, pal... – burknął kapitan i gniewnie utonął w gazecie, żeby nie widzieć pijanych mord.

Riebrow cofnął się i uśmiechnął pojednawczo. A za plecami sterczała mu zatknięta za pas, niewidoczna dla kapitana butelka. W ten sposób przemycił ją w huczące piekło wagonu z przedziałami, a teraz na pomost, i tam zarżał w ciemność:

– Nabrał się kapitanik, nabrał! No, jazda!

Ludzi na pomoście było zatrzęsienie. Zdzierali gardła, krzyczeli, bratali się, cieszyli, że wiozą ich na służbę do ciepłych krajów, chociaż tu, gdzie stali, było ciemno i nieprzytulnie jak w głębokiej jamie. Matiuszyn słuchał, nie widząc w dymie tytoniowym twarzy. Ale nagle zdał sobie jasno sprawę, że wszyscy oni się boją. Dlatego nie mogą siedzieć cicho, że się boją. Dlatego nikt tutaj nie mógł ani zasnąć, ani choćby położyć się na półce i odpocząć. Miotali się, tłoczyli w bezsennej, żarłocznej gorączce, bo się bali. Matiuszyn zabrał komuś butelkę, łyknął wódki, ale choć wlewał w siebie, ile mógł – upić się nie zdołał, wszystko gdzieś wyparowywało. Nawet wesoło zrobiło mu się nie od tego, co wypił, tylko przez to, że wszyscy wokoło ryczeli, nie spali, jedli, powariowali z tego swojego strachu. Czuł się jak człowiek, który widzi tłum golasów i śmieszy go, że są goli i do tego jeszcze skaczą.

Na pomoście przyczepił się do Wasi nierosyjski człeczyna, jeden z tamtych, przecież i z nimi się tu bratano. On też zaczął coś wspominać, poprosiwszy o papieroska. Był jakiś bezkształtny, gładki, jakby oheblowali mu twarz. Matiuszyn widział wyraźnie tylko jego usta, które rozjaśniały się purpurowo, kiedy tamten zaciągał się papierosem. Malutki, dziecięcego wzrostu, ale krzepki, szerokopiersny. Ubrany był niebogato, ale w jasne rzeczy: jasną koszulę i spodnie. Matiuszyn pomyślał jednak, że on nic w życiu nie ma oprócz tej koszuli i portek i całe życie jeździ pociągami, znasza swoje ubranie, skończony człowiek.

– Ja mam z wojska dwie blizny na ciele, przednie zęby mi wybili. Ale ja do wojska nic nie mam. Ja uważam, że słusznie obrywałem. Po pierwsze, ja Uzbek jestem, a Uzbeków wielu tępych jest, bez pięści nie rozumieją, dlatego właśnie do batalionów budowlanych ich posyłają. Po drugie, jakby mnie nie bili, to ja bym nic nie robił. Tych, co mnie bili, to ja szanuję, ja silnych ludzi szanuję.

– Uzbek! Uzbek! – śmiał się Matiuszyn, zadowolony, że teraz wie, z kim ma do czynienia, i poklepywał go po ramieniu. – No jazda, opowiadaj! Słucham! – Przyjemnie mu było słuchać, jakby cudze słowa owiewały go wietrzykiem.

Uzbekowi wcale nie przeszkadzało, że Matiuszyn nim rządzi. Tego właśnie chciał – być potrzebnym, zaczepić się o kogoś. Mówił wyraźnie, słowa lały się z niego strumieniami, skądś z wewnątrz. Jednak jego twarz, jego kamienne kości policzkowe milczały w zimnokrwistym, niemal nieludzkim napięciu i lśniły woskowo w świetle pędzących naprzeciw ogni, błysków, wirujących, jakby wprawił je w ruch pędzący ile sił pociąg, widocznych po drugiej stronie wychodzącego na przezroczysty zmierzch, nieodbijającego jeszcze światła okna wagonu.

Matiuszyn czuł się coraz cieplej, tak jak dawno z nikim mu nie było. Był dobry dla Uzbeka i to poczucie własnej dobroci dało mu taki duchowy spokój, że nawet śmierdzący przedsionek wagonu kołysał go do snu jak kolebka. Tak się rozczulił, że pociągnął Uzbeka do kubryku i tam wywalił mu wszystkie swoje zapasy. Uzbek jednak dalej mówił i mówił, opowiadał tylko o sobie i kiwał monotonnie głową, jakby bił czołem w jakąś niewidoczną ścianę.

Przez pół nocy szlajali się z pomostu do wagonu, z wagonu na pomost. I nie tylko oni, nikt nie spał. Ci, co przepili już wszystkie swoje pieniądze, kleili się do tych, którzy mogli jeszcze stawiać, nie wiedzieli, co będą jeść i pić jutro. Tylko papierosów groszowych było dość. Wszędzie snuł się tytoniowy dym, jakby sam wagon tlił się powolutku, wypalał jak papieros. Noc zdawała się niewiarygodnie dłuższa od dnia, jakaś niesamowita. W tym ogromie nocy wszystko było dla Matiuszyna ogromne – otwarte

zębate puszki od konserw przypominające rozdziawione paszcze, ogromne ludzkie oko, które mignęło mu jak przez lupę, potężny przedsionek wagonu, ogromni dwunodzy ludzie – i z rykiem wyrywały się, gdzieś gnały, padały jak bryły wszystkie wypowiadane słowa.

Dawno już znużył go widok Uzbeka, słyszał tylko jego głos, to odległy, to bliski. Była jakaś noc, ale inna, obca. Wygaszone, ciemne koszary, zima. Trzeba prać bluzę, musi być czysta. Upraną chyłkiem po północy, wilgotnawą bluzę Uzbek rozkłada pod prześcieradłem i śpi na niej, suszy ją, prasuje własnym ciałem, mówi, że zimą trzeba suszyć tylko ciałem. Pobudka. Ze wszystkich stron zrywają się, jak groch zsypują się z łóżek śpiący ludzie, w biegu wkładają ubranie. Bluza jest jeszcze wilgotna, ale nie pognieciona. Najważniejsze, że czysta i niepognieciona, a że wilgotna – nikt nie widzi. Wyganiają ich, ustawiają w dwuszeregu na mrozie. Mróz straszny, srogi. Ale Uzbek z jakiegoś powodu jest zadowolony. Wkrótce bluza zamarznie pod szynelem, a wtedy przestanie ją czuć i nawet nie zauważy, jak przez dzień wyschnie. To znaczy, że mróz może działać jak słońce, mieć tę samą siłę, to znaczy, że upał i mróz to jedno? Ale bluza na nim rzeczywiście wyschła. I jeszcze wpadł na to, żeby jej kołnierzyk podszyć białą ceratą, i nikt tego nie zauważył. Na noc tylko wycierał ją szmatką i była jak nowa, gdzieś znalazł kawałeczek takiej nieprzezroczystej białej ceratki, cienkiej jak papier. Mówi, że na czterdziestostopniowym mrozie zakazywali im używać nauszników, że niby mróz nie taki silny, żeby uszankę rozwiązywać. To Uzbek tak mówi – odmrozisz uszy, zaczną ropieć, przyklejać się. Och, zimno, och, zimno! To jest najstraszniejsze – mówi – z tego, co robi zima. On wyciął z szynela, tak żeby nie było widać, parę skrzydełek i podszył je od wewnątrz do czapki; mógł je spuszczać w razie potrzeby i przynajmniej koniuszki uszu ogrzewać i nikt nie zauważył. I jeszcze mówi, że kiedy szedł na dyżur do kuchni, to z głodu prosto z wrzącego kotła ręką żarcie wyciągał. Zagapi się kucharz – a on do kotła, chwyci, szybko do ust wpakuje, połknie, do brzucha schowa. I czeka. Chwyta. Wpycha. Połyka. Najważniejsze – nie bać się połknąć gorącego kawałka, bo jak go wyplujesz albo będziesz zwlekał, to kucharz się

odwróci, zauważy i wtedy oni, kucharze, rzucą się na ciebie i chochlami na śmierć zatłuką.

Tak bardzo Uzbek chciał żyć, skrzydełka wyciął, ceratką podszył, tak on żył – powtarza sobie w kółko Matiuszyn i nijak nie potrafi zrozumieć: żyć, żeby nikt nie zauważył, że żyjesz?! Ale Uzbek nie milknie: jeśli nawet poproszą ciebie o kubek wody – odmawiaj, po dobremu nic ludziom nie rób. Jak który upadnie, nie podnoś, niech leży, ciebie przez to mniej się będą czepiać. Myśl, jak nie upaść, a nie jak wleźć na górę, wyżej od innych być. Jak jesz chleb, to uważaj, że gówno jesz, jak jesz gówno, to uważaj, że chleb. Robotę zadaną wykonuj dobrowolnie, cierp, ale nie dopuszczaj, żeby do tej samej roboty cię przymuszali – słyszy coraz mniej wyraźnie Matiuszyn – nie miej dużo rzeczy, wydawaj wszystkie pieniądze, jak tylko ci w ręce wpadną, wszystko rozdawaj – oddawaj, żeby nikt siłą nie mógł ci nic zabrać, żeby nie mógł cię zmusić do oddania. Szanuj silnych, uznawaj ich, pozwól, by cię bili, bo jak nie będziesz szanować, żyć ci się odechce albo zabiją. Grunt to nie bać się śmierci, nigdy, bólu się nie bać, ale chcieć żyć. Trzeba żyć, tylko o życiu myśleć, i dniem, i nocą.

Chociaż zdawało się Matiuszynowi, że wysłuchawszy Uzbeka, przeniknął jakąś nieznaną nikomu w tym wagonie tajemnicę, wszystko to i tak pozostało dla niego obce, niepotrzebne. Żałował Uzbeka, ale mógł tylko milczeć, bo był niezachwianie pewny, że z nim będzie zupełnie inaczej, będzie tak, jak on będzie chciał, i inaczej być nie może.

I pomost, i kubryki opustoszały, wielu spało. Ci, co nie spali, na coś czekali i czekali, chociaż już dawno nie było na co czekać, nie było na to nawet sił duchowych. Tej nocy pociąg jechał przez mnóstwo mostów, sunął nad rzekami. Niemal co godzina rozlegał się napowietrzny huk, od którego ściskało się serce, jakby nie jechali, tylko ulatywali wysoko w niebo.

Następnej doby droga wiodła przez dziwną ziemię – po stepie. Ludzie w wagonie po rozpasanej pijanej nocy gapili się zagubieni w okna i nie poznawali tej ziemi. Wyschłe szare zarośla i gliniane pagórki, gliniane pagórki i szare zarośla. Kapitan nie mówił, dokąd jadą, kiedy przyjadą, jakby chronił ważną tajemnicę. Odpowiadał zagadkami:

– Przyjedziemy, kiedy trzeba... Dojedziemy, dokąd trzeba...

I siła tego samotnego człowieka wciąż rosła – taki lęk budziło jego milczenie. Ta noc minęła spokojnie, ale trzeciej nocy podróży znów urządzono pijatykę. Ci, co mieli jeszcze pieniądze, bali się trzymać je dłużej, a do tego rozum tracili od nieznanego bezlitosnego żaru. Ludzie padali jak martwi ni stąd, ni zowąd. Polewano ich wodą, ożywali. Mówili, że trzeba pić więcej wody, i wszyscy rzucali się do picia, ale pili już nie wodę, tylko wódkę albo sikacza, i już nie chodziło o to, żeby się rozweselić, tylko żeby się zapamiętać. Tej nocy doszło do bójek. Po pijanemu potłukli szyby w wagonie, żeby móc oddychać. Gdy wszczęli bijatykę, kapitan się nie mieszał – hamował się, milczał. Trzech czy czterech trzymających się jeszcze na nogach wyszło na pomost na papierosa, wybili się ze snu i dziwili się dobroci kapitana, dlaczego on to znosi, niczego nie zauważa, tylko raz chodził do konduktora, który gorzałę sprzedawał, ale i jego nie zdołał przestraszyć. Pościelił sobie wcześnie, leży, śpi. A czy zamelduje o wszystkim, kiedy przyjadą do jednostki? Przecież teraz za pijaństwo mogą nawet skazać, ale czy mogą skazać całą grupę?

I wtedy Matiuszyn nagle z ulgą zrozumiał: oficer się nie denerwuje, wysypia, bo miejsce przeznaczenia jest już blisko. Z tą myślą powlókł się do swojego kubryku i położył spokojnie na półce, chociaż spać mu się nie chciało. Jednak zapomniał się tylko na chwilę i ocknął, kiedy w korytarzu i w kubrykach ludzie już tłoczyli się z rzeczami, śpieszyli się, a pociąg zwalniał i zwalniał bieg. W wagonie rozległy się krzyki, jeden straszył drugiego:

– Taszkient! Taszkient!

Było chłodno, słońce jeszcze nie wzeszło i w mlecznym powietrzu drżał lekki jak piana wiaterek. Swój plecak, już bez żarcia, Matiuszyn porzucił w wagonie, chociaż została w nim brzytwa, szczoteczka do zębów, mydło i wiele rzeczy, które zdawały się teraz niepotrzebne. To, co widział wokół siebie, wysiadłszy z pociągu po przejechaniu setek kilometrów, nie wydawało mu się nawet obce, tyle że nie otaczało go ze wszystkich stron, lecz było jakoś odsunięte, jak odepchnięte przez magnes. Samotne drzewa

obciągnięte zakurzoną, szarą korą jak słoniową skórą. Stojący w oddali dworzec, cały biały, jak z gazy. Ludzie, Uzbecy, jakby przepływający bokiem. A już po godzinie wieziono ich zamkniętą wojskową ciężarówką w równym i czystym jak oddech upale.

Wyładowali się w jakichś opłotkach, w kącie utworzonym przez drewniane bielone ogrodzenia, nad którymi lśnił i prężył się drut kolczasty, a z boków napierały podobne do składów zabudowania, bez okien, przysadziste, wyglądające, jakby je potężnymi uderzeniami wbito w wyschłą ziemię. Placyk był zalany słońcem. Poborowi stali stłoczeni koło ciężarówki. Pojawili się świeżutcy oficerowie, wypytywali patrzącego na nich z szacunkiem kapitana, który najwyraźniej czekał, aż go oswobodzą. Wkrótce przygnali skądś na placyk jakichś podoficerów, którzy stanęli na straży, a przez ich rzadziutki szyk, kiedy tylko odeszli oficerowie, zaczęło brudnymi strumykami przeciekać wojsko. Pancerne, ogorzałe na czarno twarze patrzyły bezczelnie, ale przyglądały się nie Rosjanom, tylko rzeczom, jakie mieli na sobie. Oficerów było za mało, żeby mogli zaprowadzić porządek. Ukryli się przed palącym słońcem w cieniu za barakami, gdzie stały przypominające wartowników proste zielone drzewa i zaczynał się plac wypalony do pustynnej białości. Tam, na plac za barakami, zbiegł się zewsząd pół-goły, półdziki tłum i ryczał na rozpalonych wysepkach asfaltu, a oficerowie pozwalali im się gapić na nowo przybyłych. Z placu było widać to, przed czym schowali się po drugiej stronie baraków oficerowie: jak żołnierze zastraszyli ochronę i nie tracąc ani chwili, buszowali w opłotkach, żeby się pożywić, i jak coraz śmielej rzucali się na co lepiej ubranych, groźnie wymachując pięściami, urywając, co się da.

A chcieli więcej i więcej, brali jak swoje. Jeden, któremu trafiła się koszula, zarzucił ją na dach baraku i zaczął znów coś wyciągać, zabierać. Koszule, podkoszulki, buty, papierosy, dżinsy, zegarki ręczne – wszystko to zabierali, a potem zaciekle, z wrzaskiem bili się o zabrane rzeczy.

Później zjawili się Rosjanie, szukali ziomków. Białozębi, słodkawo pachnący wodą kolońską. Oficerowie przepuścili ich po znajomości, widocznie każdego znali z twarzy. Bił od nich spokój i pewność siebie. Przysiadali się, wypytywali burkliwie, skąd który pochodzi, wdawali się w rozmowy, częstowali papierosami, choć ziomków nie znaleźli. Powiedzieli, że służą w jakimś specjalnym plutonie, że jest to jedyny w pułku rosyjski pluton, więcej Rosjan nie ma, tylko w kompaniach obozowych służą jeszcze tu i ówdzie Ukraińcy z poprzednich poborów. Że ich pułk jest w pewnym sensie strażniczy. Życia w pułku nikt mieć nie będzie. A jeśli który trafi na służbę do specjalnego plutonu, to niech od razu sznur namydli, tak właśnie mówili, uśmiechając się. Pierwszego dnia bić nie będziemy, taki mamy obyczaj, a potem wieszajcie się, z wami koniec, braciszkowie. Bardzo rozumnie zaczęli tłumaczyć, że pieniądze lepiej oddać teraz im, przecież, co tu gadać, swoim, Rosjanom. I ten i ów miękł, oddawał im pieniądze, a tamci się chwalili, że nikogo nie pobili, chociaż mogli.

Matiuszyna od kręcenia się po pijanemu ćmiło w głowie, dręczyło go pragnienie, jakiego nigdy w życiu nie czuł, tak że majaczył mu się szmer wody. Ledwie się zamyślił, kiedy skądś z boku podkradł się pod jego ramię jakiś oberwaniec – cały od stóp do głów usmolony, poczerniały na węgiel tak, że nawet okrągłe białka oczu z czerwonymi obwódkami dyszały żarem jak węgle.

– Chłopec, daj trampecki. Daj, tobi ne tsepa wincyj, wsio u was zabirą. Słuchaj, nu daj, nu chłopec. U menia niczego ne ma, ja w kotłownia po uglu chodze, nu chłopec.

– A nie nudź... – wydusił z siebie Matiuszyn i zrzucił nabity kurzem, niemal w glinę przemieniony trampek, a potem, poczuwszy nagle ulgę, pozbył się i drugiego i zamknął oczy, żeby niczego nie widzieć.

W duszy nic nie czuł, wkradała mu się w nią jakaś lekkość. Słychać było, że wszyscy szepczą o łaźni, ale nie chcieli się myć, tylko pić. I marzyło im się, że w baraku kryje się chłodne morze, barak otworzą, a oni się zachłysną. Wyglądało na to, jakby tylko z rana wiaterkiem powiało, a teraz,

w południe, stoi w niebie słoneczny słup, który przykuł ich do siebie łańcuchami. Tak to jest, błysnęła i zagasła myśl, już wszyscy tylko o jednym marzą, jednego pragną – ale zaszemrał skądś cichy szept, zapachniało węglem:

– Chłopec, chłopec...

Matiuszyn otworzył oczy. Przed nim ze ściany baraku łaźni znów wyskoczył, jak diabełek, oberwaniec. Nachyliwszy koślawy grzbiet z lśniącymi węgielkami kręgów, wyciągnął spod brzucha coś przerażającego, jakby własną wątrobę, mętny, ociekający wilgocią ni to kubek, ni to blaszankę, aż jarząc się z radości.

– Weźmi, popij wody, u mene bohato, u mene w kotłowni jej cały. Nu, chłopec, weźmi, nie zarażona przecież!

Matiuszyn przyglądał się długo, jakby nie dowierzał, ale aż gardło mu ścisnęło od blasku najczystszej wody, więc z drżeniem nachylił się do blaszanki, łyknął, potem łyknął jeszcze raz i ożył, czując w dłoni twardy kamyczek zimna, ciążący i przenikający ostrą, palącą siłą. Od razu niczym pałki wyciągnęły się do niego ze wszystkich stron ręce.

– Daj popić! Zostaw wodziczki!

Obejrzał się. Oberwaniec znikł w mgnieniu oka, przestraszyli go. Matiuszyn zajrzał do blaszanki – wydało mu się, że jest jeszcze pełna po brzegi – i zmusił się do zrobienia tego jednego ruchu: oddał ją w czyjeś ręce. Blaszaneczka wśród hałasów, radośnie, przechodziła od jednego do drugiego, aż gdzieś zginęła.

– Woda, woda! – słyszał coraz ciszej Matiuszyn. – Woda! Woda...

Brzęcząc wiązką kluczy, jakby chciała ogłuszyć cały szary, kamienisty dziedziniec, pojawiła się z miną gospodyni kobieta w brudnobiałym kitlu, brzuchata, mocno zbudowana, i zaczęła wrzeszczeć. Uspokoiła się, kiedy rozgoniła wszystkich maruderów. Spodobało jej się okazywanie przybyszom srogości. Machając przy twarzy pękiem kluczy, opędzając się z brzękiem od much, pokrzykiwała przy otwartym baraku:

– Będziecie mieli łaźnię! Już ja was wyparzę, kurwie dzieci!

Wszystkich nowo przybyłych stłoczono, zebrano razem, a potem kazano im wchodzić do baraku. Zimno powolutku, szczypiąc, przebiegało po skórze. Było pusto, pogłośnie. Wzdłuż ścian stały niskie ławy, siedzenia z desek. Kobieta, najwyraźniej kierownik gospodarczy lub kierownik magazynu, a może łaziebna, odsapnęła chwilę na progu i wparowała do środka, napełniając sobą cały barak.

– Wszystko z siebie zdejmować, zrzucać! Wszystko do goła zrzucajcie. Żeby bez majtek! Nie będą wam potrzebne, co trzeba, to wydadzą.

Rozbierali się, siedząc w ciasnocie, niektórzy na stojąco, bo dla wszystkich nie starczyło miejsca na ławach. Tłoczyli się, obijali o siebie. Ubrań nie składali, zrzucali je wprost pod nogi, koło toreb i plecaków, a ci, co stali, już goli, zwyczajnie po nich deptali. Kobieta patrzyła bystrymi, pochmurnymi oczyma, ciężko dysząc i pokrzykując, kiedy zauważała, że któryś kryje się przed jej wzrokiem:

– Patrzcie ważniaka! Mało to ja chłopów widziałam... – i myszkowała spojrzeniem po podłodze, na której leżały kolorowe rzeczy.

Coś wypatrzyła, zrobiła krok, odwróciła się zadem, pochyliła tak, że wypięła się ogromną puchową poduchą, a spod zadartego kitla wywaliły się na wierzch wspaniałe, okrągłe jak piersi półdupki. Zakołysawszy poduchą, znów przybrała poprzednią formę, ale za nią rozległo się chrypliwe, nawet ciche:

– Tatiana, nie rusz.

Zawołał to chudy, niewysokiego wzrostu, niepokaźny człowiek w znoszonej, na oko sądząc, oficerskiej koszuli, który stanął na progu.

– Ależ, Siergieju Lwowiczu, wy tak od razu... A ja tam przecież nic nie wzięłam... – starczym głosem jęknęła kobieta.

Oficer odsunął się bez słowa i stanął z boku przy ścianie. Pokazali się żołnierze, ale w białych koszulach wyglądali nie jak żołnierze, tylko jak kuchciki, obwieszeni niczym obwarzankami wiązkami nowiutkich butów, dźwigający na brzuchach naręcza onuc i majtek, wiązki nowiutkich pasów, sterty szmat. Wnosili wszystko pośpiesznie i składali na kupę, gdzie kazał oficer, który raz po raz odzywał się żałosnym głosem:

– Konowałow, co tam masz na stójki pod kołnierz?

– Wszystko w najlepszym porządku... – odpowiadał mu z tłumu bezlitosny basowy głos.

– Konowałow, a taborety gdzie?

– Izmaiłow, taka twoja, zatłukę, gdzie taborety?! – wołał ten sam potężny bas.

Żołnierze w milczeniu grzebali w stosach porzuconych cywilnych ubrań, wyciągając na początek wszystko wprost spod golasów.

– Konowałow, jazda, zaczynaj...

Skądś pojawił się taboret i czubaty żołnierz rozebrany do majtek posadził na nim pierwszego człowieka. Stanął mu za plecami, chwycił łapskiem szyję jak kleszczami, a drugą ręką, to zaciskając ją, to rozluźniając, zaczął pracować maszynką. Tamten siedział na taborecie goły jak trup, włosy spod zgrzytającej maszynki sypały mu się na ciało. Po ostrzyżeniu, do siebie niepodobny, stanął jak skazaniec przed widownią, bo wszyscy się od niego lękliwie odsunęli, i zapytał, czy ma zabrać swoje mydło i gąbkę. Ale tamten żołnierz, Konowałow, wziął go, nie odzywając się, za rękę, podprowadził do drzwi, otworzył – buchnęło zza nich szumem i parą – i przy wtórze ogólnego śmiechu wkopał go jak głupiego do łaźni parowej.

Żołnierze nieśpiesznie dobierali sobie wyposażenie. Kobieta krzątała się obok, niepostrzeżenie odkładając rzeczy, które jeszcze nadawały się do noszenia. Oficer tego nie zauważał. Żołnierze odpychali ją, nie dawali przejść, kiedy po cichu chwytała jakąś rzecz, ale i ona pracowała łokciami, a czasem nie wytrzymywała i po prostu sprzątała im coś sprzed nosa. Tamci się złościli, zaczynali wrzeszczeć:

– Dokąd koszulę zabrałaś?! Spróbuj znowu, suko łapczywa, to cię razem zlejemy!

– Ech, skurwysyny! – Puszczała szybko przywłaszczoną rzecz i oburzała się: – Nie wstyd wam? Ja przecież matką bym wam mogła być. No, wzięłam szmatkę, no, myślałam, wam niepotrzebna, no, jeszcze przyjdziecie do mnie o mydło prosić!

– Udław się swoim mydłem, sami mamy pełno! O, tam niepotrzebna się wala, a tej kupy nie ruszaj.

Mimo to, jak się trafiała okazja, wyrywała w panującym w łaźni zamęcie coś z tej kupy i chowała za pazuchę. Wkrótce pod kitlem wyrósł jej cały kłąb. Odszedłszy rozkołysanym krokiem dalej od żołnierzy, przysiadła się ukradkiem do oficera, westchnęła, położyła ręce na wypuczonym brzuchu i twarz jej się wygładziła, uspokoiła.

– Narwałaś? – powiedział ze znużeniem oficer.

– Gdzie tam, tylko odrobinkę, myślę, że może szlafrok ze szmatek sobie uszyję.

– Powiem kwatermistrzowi, żeby cię przepędził, mam ciebie dosyć.

– A tak, ukarzcie mnie, co mi tam, wojsko radzieckie okradłam, sama bez majtek chodzę... Wyście zdrowie stracili, bardzo przepraszam, ale i tak bez portek was zwolnią...

Przedsionek łaźni opustoszał. Kończyli strzyżenie. Konowałow pracował nawet nie gorliwie, ale z miłością. Kochał swoją maszynkę, którą pieszczotliwie nazywał brudaskiem, kiedy odmuchiwał ją i wycierał, uporawszy się z kolejną głową. Z łaźni parowej dochodził szum wody, odgłosy rozmów, które przerywało nieoczekiwane milczenie. Ktoś już stamtąd wyskoczył, goły, mokry od głowy do pięt i czerwony, jakby dopiero co przyszedł na świat, i stanął w kolejce do żołnierzy, którzy podawali mu całe wyposażenie, od góry do dołu.

Matiuszyn od dawna czekał na swoją kolej. Dopadł go teraz i trząsł nim głodowy poalkoholowy dygot, ale on drżał tak, jakby czekał na wyrok. I dygocąc, tak myślał: za co mnie to spotkało? Przecież jestem komuś potrzebny, przecież urodziłem się, żeby żyć, tak jak oni, niech moje życie stanie się dla nich cenne, niech mnie pożałują...

I oto wszystko jakby się roztopiło, a on siedział w kącie goły, zdawało się – kadłubek bez rąk i bez nóg. Taboret stał pusty. Żołnierz Konowałow odwrócił się z maszynką w ręku.

– Czego siedzisz jak na żerdzi? – Ale ten okrzyk nie poderwał Matiuszyna. – Chodź no tutaj, dziwadło...! – już łagodnie zawołał zdziwiony Konowałow.

Zrobiło się cicho, wszyscy siedzący w przedsionku łaźni spoważnieli. Tylko Konowałow bezradnie opuścił ręce.

– No jak to?... To ci dziwadło... Siadaj do strzyżenia, powiedziałem!

– Nie będę.

– Przecież on jest pijany... – powiedział, przyjrzawszy mu się niechętnie, oficer. – Pijana morda...

I nagle zatrząsł się ze śmiechu. Potem i wszyscy żołnierze, i kobieta, i Konowałow zaczęli się śmiać do łez, wytrzeszczając oczy, nie mogąc się opanować. I nikt nie zauważył, że oficer już się krztusi, kaszle, skręca, charka w kułak. Matiuszyn, jak zaszczuty, tylko na niego patrzył i widział to wszystko: widział, jak oficer, dławiąc się już nie śmiechem, tylko kaszlem, i zwijając się w dygoczący kłąb, zgiął się wpół, po czym upadł z taboretu na wznak. Pierwsza połapała się kobieta i rzuciła się go podnosić. Oficera podchwycili, posadzili na miejsce, a on bezdźwięcznie miotał się i cichnął, mocno trzymany żołnierskimi rękoma. Jeszcze nie mógł na dobre złapać oddechu, otwarte usta czerniały jak jama, purpurowe wargi obwisły, gdy usiłował coś powiedzieć. Wargi naprężyły się i zmiękły, jakby się naderwały, słowa okazały się za ciężkie.

– No tak... – zdołał wymówić, starając się odzyskać wcześniejszy poważny wygląd. – No tak... Kcha-kcha... O co chodzi, na co czekacie? Konowałow... Kcha-kcha... – Skinął na żołnierza. – Bierz się do tamtego, starczy...

Matiuszyn jeszcze nie doszedł do siebie po tym, co zobaczył. Ale kiedy rzucił się do niego rozdrażniony Konowałow i chwycił go, gołego, za włosy – poczołgał się na czworakach, usiłował odpełznąć, widząc wszystko, nawet szpary w czarnej glinianej podłodze, do bólu jasno i słysząc nad sobą ciężkie sapanie Konowałowa. Ten przeciągnął go po podłodze, może z wściekłości nie wiedział, co z nim począć. Matiuszynowi nagle stało się

obojętne, dokąd go powloką, co z nim zechcą zrobić. Jęczał tylko, chciał, żeby wszystko prędzej się dokonało.

Bojąc się, że uwolni się, wyrwie nieostrzyżony, Konowałow przycisnął mu głowę do taboretu, jakby go siłą szorował w miednicy. Jego pięść, wyciskająca z maszynki żelazny zgrzyt, obrastała kłębem zgolonych włosów. Łaziebna z rozpływającej się po duszy rozkosznej omdlałości zapomniała o wszystkim i przyglądała się z zachwytem, jak Konowałow zamarł skupiony nad swoją robotą i jak całe jego ciało pochyliło się, pokryło pagórami muskułów, objawiając jakby utajoną wewnętrzną siłę. Matiuszyn chrypiał miarowo, łapał powietrze, wciąż nie podnosząc się z kolan, wtłoczony policzkiem w taboret, i rozglądał się niewidzącym, pustym spojrzeniem po tłumie pół ubranych, pół gołych ludzi, których ten widok to zachwycał, to przerażał.

– Oj, umrę!... Oj, tak z wieprzka szczecinę zdzierają! Tylko ty, Pietieńka, skóry z niego nie wystrzyż! – weseliła się kobieta i twarz jej od tego miłego podniecenia robiła się jasna i błoga.

– Solidny wieprz! – postękiwał w odpowiedzi Konowałow, jakby się skarżył.

Słysząc to, Matiuszyn odczuwał radość, nawet dumę z siebie, i o wszystkim zapominał, nie czuł, że klęczy, a zgrzytająca maszynka wydziera mu włosy z głowy.

Konowałow skończył swoją robotę, ale go nie puścił: potwornym ciosem cisnął Wasię pod buty żołnierzy, a ci rzucili się na niego, jakby tylko na to czekali. Na gołe ciało zaczął się sypać grad tępych uderzeń butami. Matiuszyn ocknął się i wołał, błagał:

– Chłopaki, po uszach nie bijcie... Chłopaki...

– Dosyć! Konowałow! – rozległo się nagle i ciosy ustały.

Bijący odsunęli się, a Konowałow, który niczego się nie bał, ale był posłuszny głosowi oficera, pomógł Matiuszynowi wstać i zaprowadził go do łaźni, dogadując prawie niesłyszalnie:

– No wieprz, no solidny, ja bym ciebie takiego owakiego zarżnął, tobie mało fiuta nie odbili, a ty tylko o uszach? No, popluskaj się, braciszku... Zabieraj się, sukinsynu...

Gorący od żołnierskiego bicia Matiuszyn stoczył się jak po lodowej górce do łaźni.

Jeden z żołnierzy, wyraźnie już oswojony z tym ciepłym łaziebnym wnętrzem, wałęsał się po nim z szaflikiem, przechodził od kranu do kranu i polewał się wodą. Kiedy ta potężnym chlustem wylewała się z uniesionego nad głową szaflika, kurczył się cały, a kiedy spływała po nim, jakby odświeżając mu ciało, nie mógł się nałapać dość powietrza i oddychał tak głęboko, jakby jęczał, a potem omdlewał z zadowolenia i strząsał z siebie wodę rękoma. Wszędzie leżały niczyje szafliki, rozdziawione, puste. Ciekły bezbarwne zimne i gorące strugi. Od szumu tych niezliczonych potoczków dusza Matiuszyna poruszyła się jak rybie skrzela, a on rozpuścił się w tym szumie i tak łapał ustami rozbryzgującą się naokoło, chlustającą z kranu zimną wodę, że aż wargi mu odrętwiały. Napił się, łykając prosto z wypełnionego po brzegi szaflika, przylgnąwszy do tego spokojnego, gładkiego jeziorka, ledwie utrzymując jego ciężar w rękach. Wydawało się, że nie zaspokoił pragnienia, lecz odzyskał spokój i wolę, a teraz błąkał się z szaflikiem po śliskim od kałuż i strumyków baraku. Odszukał parciankę i jakieś porzucone mydło. Umył się. Oblał się wodą z szaflika, aż zsiniał od ogarniającego go zimna. Był zmęczony.

W przedsionku łaźni oddychało się po parówce tak potężnie i lekko, że rozpierało płuca. Panowała tu skłębiona, raźna wesołość. Jedni śmieli się z drugich, gładząc swoje dziwnie łyse czaszki. Radośnie naciągali obszerne służbowe, ale teraz już własne spodnie i bluzy, czując się w nich jakoś po nowemu swobodnie. A wszystko oprócz butów wydawano wielkie, nieodpowiednie do wzrostu, tylko w przypadku butów pilnowano rozmiaru. Co drugiemu spodnie zwisały z tyłka jak worek, skarżyli się, że wyglądają, jakby się zesrali. Żołnierze z bloku gospodarczego śmieli się, widząc, jaka to się szykuje defilada. Matiuszyn w tłoku dostał wszystko największego rozmiaru, a jeszcze dali mu plecak. Przecisnął się przez ciżbę, znalazł sobie

miejsce na ławce i spokojnie się ubrał. Tylko onuc nie umiał nawijać i gniótł te dwie szmatki w rękach, już zapięty na ostatni guzik, ale bosy, nie wiedząc, co z nimi zrobić.

Tacy sami jak on, nieporadni, siedzieli bez butów na ławkach, ale zaczynali się odzywać. Oficerowie krzyknęli do pozostałych na dworze podoficerów, żeby wzięli się do roboty. Nie wiedzieć czemu, ale do uczenia byli chętni. Jedni dosiadali się na ławkę do chłopaków, którzy im się spodobali, inni stawali nad gromadką bosych człowieczków i nakazywali z wysoka, co mają robić. Matiuszyna też zauważyli: przysiadł się do niego, wyłoniwszy się z mroku łaźni, jakiś nierosyjski podoficerek w spłowiałej do białości bluzie i z zatkniętym za pas wyliniałym czerwonym proporczykiem. Uśmiechał się, patrząc na Matiuszyna, i wesoło popisywał się wiedzą – pod jakim kątem trzeba onucę składać, gdzie wsuwać końce. Kiedy Matiuszyn się nauczył, poczciwiec znikł tak samo niepostrzeżenie, jak się zjawił, i zostawił po sobie niczym puste miejsce tylko tę powszednią, nic niewartą wiedzę.

Na dworze oficerowie i podoficerowie, którzy paląc, odpoczywali tam po łaźni, przemieszali się z nimi już jako z żołnierzami i opowiadali, co ich czeka: pójdą w marszowym szyku do Dorbazu, wojskowego obozu polowego. Oficerowie skarżyli się melancholijnie, jakie to kohorty opanowały ich pułk. Jeden zwierzył im się w zaufaniu, że wyszedł rozkaz, by zmieniać sytuację, jaka się tu wytworzyła, i dlatego drugi rok z rzędu biorą do wojska tylko Rosjan i Ukraińców, bo już dowódcy nie mieli się na kim oprzeć, choć do księżyca wyj. Wszyscy słuchali oficera, przekonani, że zdradza im jakąś tajemnicę. To pyszałkowate, nawet głupawe uczucie połączyło ich na chwilę, w drodze nikt nic takiego nie czuł, tam tylko wrzeszczeli, nie odróżniając wzajemnie swoich twarzy, i pili. Teraz nastrój był świąteczny, radosny. Wszyscy mieli czerwone pagony. Te ich były nawet ładniejsze – aksamitne, nowiutkie jeszcze, z żółtymi precelkami liter, podobne do przygotowanych na Pierwszego Maja proporczyków. Kręcący się przy nowicjuszach podoficerowie sami wydawali się obcy w pułku i też nie wiedzieli, co z nimi dalej będzie. Dopiero co przybyli z jakiegoś

Karakimiru, ze szkolenia gdzieś daleko w górach, na drugim końcu świata, gdzie wytłaczano z nich podoficerów. Trzymali się twardo, puszyli się, ale było jasne, że w pułku dostali w kość. Oficerowie poufnie wypytywali, czy są jakieś skargi, czy ktoś chce za potrzebą. Potem nagle przybiegł oficerek, oznajmił, że jest w pułku organizatorem Komsomołu, zasapany zebrał od komsomolców legitymacje i uciekł.

Teren pustynnego taszkienckiego pułku przemierzyli już jako świeżutka zielona kolumna, starając się upodobnić do żołnierzy. Osłaniając kolumnę, szli po bokach podoficerowie z proporczykami, a na czele chwacko maszerowali dwaj oficerowie i przyjaźnie gawędzili. Na punkcie kontrolnym, otwierając odchodzącemu wojsku drogę, ryczał na pożegnanie i robił groźne miny obszarpany wartownik, brudny i mizerny. Garbate dachy i ogrodzenia koszar zostawały coraz dalej z tyłu. Kolumna płoszyła ciszę tupotem butów. Szli cienistą uliczką, która zdawała się nie mieć początku ni końca. Biegały tu, bawiąc się bez opieki w przydrożnym kurzu, bezdomne na oko dzieciaki. Z błotnistych ciemnych podwórek ogrodzonych niskimi płotkami przyglądały się idącemu wojsku podobne do Cyganek kobiety. Wychodzili siwobrodzi starcy, a za ich plecami rozdzierały upalne powietrze sady, szczodrze zdobiące ciche, prastare gliniane domki, i kładły na ramionach starców swoje lekkie, pachnące gałązki. Wkrótce stare miasto skryło się we mgle, a wszędzie wokoło otworzył się szarzejący trawami błękit stepów. I po tym stepie szli już normalnym ludzkim krokiem gdzieś w stronę horyzontu, dokąd biegła też czereda ogromnych, żelaznych, rozczapierzonych wież, ciągnących po niebie wysokowoltowe czarne nici.

Manierki mieli im wydać w Dorbazie, dlatego szli bez wody i pod wieczór dopełzli do obozu brudni po szyję, umierając z pragnienia. Dorbaz tworzyły trzy długaśne, świeżo wymalowane baraki z dykty. Wyschła pośród stepu, wyboista, leniwa kałuża asfaltu przed barakami pełniła funkcję placu obozowego. Było pusto i martwo, ale okazało się, że obóz właśnie je kolację. Ich zaś uszykowano na placu, na który po kolacji wyszli podoficerowie, żeby powitać nieobecnych przez cały dzień kumpli.

W obozie byli oni nawet ważniejsi od oficerów, którzy od razu znikli. Najstarszy z podoficerów, nawet w oczy nazywany Mołdawanem, w kapciach, majtkach i wojskowym kapeluszu, jak na plaży, zarządził przeszukanie plecaków.

Podoficerowie stali wokoło i przyglądali się spokojnie, jakie to różności przywędrowały w plecakach do ich Dorbazu, ale nie próbowali niczego zabrać – wszystko to, nawet obszarpane notatniki wypełnione adresami, mieli rozkraść jeszcze tej samej nocy, dlatego teraz byli tacy wielkoduszni. Starszy skonfiskował tylko nóż do konserw i przechadzając się wzdłuż dwuszeregu, bawił się nim, przerzucał jak piłeczkę z ręki do ręki i jednocześnie objaśniał swoje reguły, a był taki dobry, bo objaśniał je tylko ten jeden raz. Matiuszyn nic nie słyszał. Nogi paliły go tak boleśnie, jakby je wsadził do pieca. Stać było jeszcze nieznośniej niż iść. Matiuszyn myślał, że musi ten ból wytrzymać, myślał tak i we wszystkie inne dni, zawijając w chwilach odpoczynku, kiedy wypuszczano ich z placu, pokryte wrzodami stopy w okrwawione już onuce, po czym rozlegała się chwacka, ulubiona komenda Mołdawana:

– Kompaniaaa, baa-ość! Kroookiem!...

Kiedy godzinami maszerowali po placu i co słabsi żołnierze – a nie byli to jeszcze nawet żołnierze, tylko niezaprzysiężeni półżołnierze – nie wytrzymując czterdziestostopniowego azjatyckiego piekła, padali z nóg od udaru słonecznego, podrywano ich na nogi amoniakiem, w który lekarz wojskowy zaopatrywał podoficerów. Wodę do picia się dowoziło. W kotle parzono zbieraną w stepie bożodajnię, każdy dostawał po manierce na dzień tej cierpkiej, mdlącej herbatki. Dużo tego nie dało się wypić, najwyżej łyk, do tego wrzątek stygł tylko trochę, a pić gorącego się nie chciało. Za barakiem, przy kuchni, stała cysterna z wodą techniczną, nabieraną ze stepowych rozpadlin; nie nadawała się ona do picia, groziła żółtaczką. Wielu, czy to chcąc zachorować i trafić do szpitala, czy to nie rozumiejąc zagrożenia, podkradało się nocami do cysterny i gasiło tą wodą pragnienie.

Oprócz rosyjskiego poboru kwarantannę, czyli szkolenie rekruckie, odbywali tu Ormianie, Gruzini i Ukraińcy, razem setka ludzi. W ciągu dnia oficerowie chodzili do osady – to ona nazywała się Dorbazem – i pili w czajchanie tak, że wieczorem po powrocie do obozu jak martwi rzucali się spać. Miesiąc kwarantanny, daleko od rodzin, od lepszego miejskiego życia, był dla nich katorgą. Nocą do osady szli podoficerowie. Kupowali u miejscowych marychę, samogon i do świtu zabawiali się w koszarach. Naćpawszy się, jedni przez pół nocy wyduszali dla siebie kasę na picie, a inni dręczyli i sądzili winnych wedle swojego prawa, a tym, którzy im się spodobali, pozwalali do rana palić marychę i pić samogon. Dla rozrywki urządzali walki: w przejściu, które szerokim pasem rozdzielało rzędy prycz, wśród chichotu ogłupiałych podoficerów bili się na śmierć i życie Rosjanie, Gruzini, Kazachowie, Ormianie – chłopaczki, to poszczute, to zastraszone.

Najokrutniejszą zabawę z rekrutami wymyślił Mołdawan. Wszyscy musieli ustawić się w szeregu, a on bił każdego w lewą część klatki piersiowej, w serce.

Podoficerowie mówili, że Mołdawan od dawna słynął w pułku z tego ciosu: po nim serce mogło się zatrzymać i tylko nowy cios mógł sprawić, by znowu zaczęło pracować. Chociaż i tak na piersi zostawało piętno, którym Mołdawan się szczycił – siny odcisk pięści. Lubił też mówić, że serce takie właśnie jest, wielkości pięści. Ale raz nocą zdarzyło się coś, co widzieli wszyscy, widział też Matiuszyn.

Mołdawan doszedł do środka szeregu, tam gdzie stali Gruzini, i nagle jeden z nich po jego uderzeniu padł jak martwy. Wszyscy zamilkli przerażeni. Mołdawan, który tymczasem już podszedł do następnego, rzucił się do leżącego ciała, ryknął, zawył nawet nie po ludzku, po zwierzęcemu, i wściekle zaczął łomotać pięściami, tak że w mig spocił się i poczerwieniał. Nikt nie wie, ilu ludzi modliło się wtedy w duchu, żeby Gruzin nie ożył i żeby skończyły się zabawy Mołdawana. Ale nagle mały Gruzin zadygotał i już z otwartymi oczyma zaczął dziko sapać, a Mołdawan kazał struchlałym zupakom nalać mu samogonu i oszołomiony tym, co przeżył, ruszył tłuc pozostałych, gdzie popadło, dając ujście panice...

Dziesięć takich uderzeń przez dziesięć nocy wypadło przetrwać też Matiuszynowi, robiło mu się po nich ciemno przed oczyma.

Chociaż żołnierze nazywali obóz szkoleniowy konclagrem, karnym batalionem, to jednak mówili o nim jakoś chełpliwie, jakby mimo woli potrafili być z siebie i tego zatraconego miejsca dumni. Dlatego głucho żarli się ze sobą o wszystko, co było trochę lepsze, i kiedy tylko Rosjanin obraził Gruzina albo przeciwnie, to w sypialni lub na placu od razu robiło się pole bitwy i tłukły się ze sobą już całe gromady. Matiuszyn często nie rozumiał, o co wybuchła bijatyka, wielu innych też nie rozumiało, ale rzucali się hurmem dusić obcych. A on dogorywał w codziennych mękach na placu. Onuce i parę butów ze sztucznej skóry miał takie jak wszyscy, ale wiedział, że ledwie zdołał zrobić jeden krok – odbyć pierwszy marsz z Taszkientu do Dorbazu – a już jego nogi zamieniły się w niegojące się rany. Wszystko zaczęło się u niego jakoś nie tak i Matiuszyn nie rozumiał, co on takiego zrobił, czego nie robili inni, dlaczego ich nogom nic nie dolega. A już na początku ogłoszono, że komu będą nogi krwawiły, tego nie będą leczyć, tylko karać. Mołdawan wydał jeszcze takie prawo: zachce ci się na punkt sanitarny – będziesz się nocą rozliczał, jeśli wrócisz do sypialni. Matiuszyn wytrzymywał. Na punkcie sanitarnym rządził pułkowy dentysta, którego przysłano do Dorbazu na letnie miesiące, i pracował, nie szczędząc sił – dzień w dzień odprawiał do pułku chorych na żółtaczkę i tych, których amoniak już nie stawiał na nogi. Jednak cierpliwość, a może zdrowie Matiuszyna były silniejsze od żółtaczki, silniejsze od słonecznego piekła. Od mąk odechciało mu się jeść i tylko przeżuwał swój przydział chleba, po trzy skibki dziennie, ale głodując, wracał do zdrowia. Nic go nie brało.

Pewnego razu pognali ich jak zwykle na poranną przebieżkę po stepie wokół obozu. Matiuszyn, chociaż bardzo się starał, został w tyle. Zupaki zawróciły pluton, który już odbiegł daleko w przód, i kazały wszystkim znów dołączyć do Matiuszyna, i za każdym razem, kiedy ten zostawał o sto metrów w tyle – powtarzało się to samo. Żołnierze powłóczą nogami, pluton jęczy i chrypi, ale na Wasię nikt nie śmie spojrzeć, chociaż on czuje,

jak w ich duszach podnosi się potężny ryk i obija boleśnie o ich zlane potem, brudne, nieme twarze, o ich głuche, garbami wypuczające się plecy. Matiuszynowi zdawało się, że biegnie szybko, sam siebie o tym przekonywał i nawet zrobił się wobec siebie bardziej bezwzględny, jakby taka bezwzględność dawała mu drugi oddech, nie wiadomo skąd braną siłę. Ale, prawdę mówiąc, ledwie się wlókł, zataczał z boku na bok, walił się na czyjeś plecy, kryjąc się w tej kupie wycieńczonych, umordowanych ludzi, którzy jeszcze byli w stanie biec i biegli, biegli... Nagle ich znienawidził. Przywidziało mu się, że oni zawiązali przeciw niemu milczący spisek: wyłażą ze skóry, żeby biec, i w ten sposób się na nim mszczą. A on nie może zostać sam czy choćby tuż za resztą, tylko musi być razem ze wszystkimi. Ci zaś, umordowani, zaczęli mu wymyślać, wrzeszczeć na niego, chociaż on nic nie mógł ze swoimi nogami zrobić. Podoficerów to bawiło. Matiuszyn znosił docinki cierpliwie, rozumiał, że to przez niego oni biegają tam i z powrotem, ale nagle jakaś nieznana siła wszystko w nim przewróciła. Zdarzyło się to, kiedy jednemu z zupaków znudziła się zabawa i zaczął go kopać po tych nie dość szybkich nogach.

Matiuszyn nigdy w życiu nie bił człowieka po twarzy tak jak tego chłopaka, z całej siły, o której sam nawet nie wiedział, ale dała mu ją natura, żeby w takim przypadku jak ten mógł ranić, a nawet zabijać. Podoficer podskoczył i gruchnął na ziemię z przeraźliwym wyciem, poturlał się w pyle, łapiąc się to za głowę, to za usta. Rzucili się do niego kumple, podnieśli go, zaprowadzili do obozu: mówić nie mógł, tylko wył z bólu. Było jasne, że Matiuszyn go okaleczył, ale rozprawić się z nim przed całym szykiem, wobec tłumu świadków, jednak nie mogli, a zresztą jeszcze nie wiedzieli, jak mają się rozprawić. Kazali mu tylko dołączyć do szeregu. Znów rozległa się komenda: „Biegiem marsz!”, jakby postanowiono dokończyć poranną gimnastykę. Ale podoficerowie zamykający pluton popędzali ich kopniakami, tak że ci z tyłu napierali na biegnących przed nimi, sami ich popędzali, żeby nie obrywać. Matiuszyn zrozumiał, co z nim robią – gnali go całym plutonem, tacy sami żołnierze jak on, z rozpaczy waląc go pięściami w plecy, już się nie rozstępując. Podoficerowie nie ustawali. W najstraszniejszej chwili, kiedy wydało mu

się, że nie wytrzyma i padnie, nagle poczuł, że z boków ktoś mu z całych sił pomaga, podtrzymuje, nie daje upaść. Był to Riebrow, który milczkiem, zacisnąwszy zęby, ciągnął go w przód, a jeszcze jeden, którego nie pamiętał i nie znał, mały rudy żołnierzyk, z całej mocy powstrzymywał na sobie nacisk tych, co bici przez zupaków napierali z tyłu. Matiuszyn trzymał się, ale kiedy Riebrow i rudy nie mieli już sił go ciągnąć, odpadł, powlókł się w ogonie plutonu, gdzie aż do samego obozu kopali go po nogach jak piłkę ogarnięci zwierzęcą wściekłością zupacy.

Już w obozie, kiedy pluton na komendę rozszedł się do latryn, a potem przez cały dzień na placu, Matiuszyn czuł wokół siebie głuchą ścianę. Swoi się go bali, trzymali się od niego z daleka, a zupacy, jakby się zmówili, nie patrzyli w jego stronę. Mołdawan wydawał rozkazy, spokojnie przechadzając się po placu, i zdawał się pewniejszy siebie niż zwykle. Ale cały obóz wiedział, że rekrucik uderzył podoficera, i to nie po prostu uderzył, ale okaleczył.

Stało się tylko jedno – dowódca kompanii szkoleniowej kazał sprowadzić do siebie Matiuszyna i ten pod milczącą eskortą Mołdawana dokuśtykał do oficerskiego namiotu. Oficerowie mieszkali w Dorbazie nie w barakach z dykty, tylko oddzielnie, w namiotach. Matiuszyn pod ciemnym sufitem zobaczył rozbabrane łóżka i łakomie wypatrzył stół zawalony resztkami jedzenia, jakby go obsiadło robactwo. Półmrok łapczywie dyszał zastarzałym kacem. Dowódca leżał rozwalony na łóżku, w mundurze, w butach, krył się przed upałem. Jeszcze jeden oficer, nie dało się rozpoznać co za jeden, kimał w swoim kącie jak zabity. Mołdawan, nikogo nie pytając, usiadł na wolnym łóżku. Matiuszyn stał samotnie pośrodku.

– No jak tam, za dużo siły? Nie masz co z nią robić? – odezwał się dowódca, patrząc na niego z łóżka. – A ty wiesz, co tu robią z takimi, którzy nie wiedzą, co ze swoją siłą zrobić? Do ciebie mówię, towarzyszu żołnierzu, odpowiadać!

– W żadnym wypadku... – zameldował półprzytomnie Matiuszyn.

– Mołdawan, a co ten twój taki jakiś niepojętny? Ja ci, skurczybyku, kompanię powierzyłem, a ty czym się zajmujesz?

– Zrobi się, towarzyszu kapitanie. U mnie porządek musi być.

– Zrób, zrób... Ja o twoich sprawkach wiem, melinę w koszarach urządziłeś, no to zastanów się, jakby co, ze skóry obedrę, przepadniesz, mnie tam bez różnicy.

– Nie przepadnę – zapewnił Mołdawan. – Skórę mam dębową, wytrzyma.

– Wstać! Paszoł won... I uważaj, nie strój ważniaka, bo nosem zaryjesz, w zonie się zaryjesz, zrozumiano? I temu swojemu orłowi objaśnij, dokąd wszystkie drogi prowadzą!

Kiedy wyszli z dusznego mroku oficerskiego namiotu, Mołdawan się nie śpieszył, otrzepał się, obciągnął na sobie mundur. Matiuszynowi kazał iść przed sobą do ustępu. Mała glinobita szopa wznosiła się garbem na uboczu za barakami, wyschła i szara jak step. Matiuszyn zapamiętał tylko głośne bzykanie much, których tu było jak pszczół w ulu. Mołdawan mocno naparł na niego piersią, przycisnął do ściany, ale nie uderzył, powiedział tylko głośnym szeptem:

– Jak w nocy wezwę, to przychodź, nie stawiaj się. Lepiej spokojnie. W pułku jest takich wielu, dobrze sobie żyją. I żreć im dobrze dają. Jak mi się zwidzisz, to innym nie oddam, mój będziesz.

Odszedł, stanął w groźnej postawie nad dziurą, ulżył sobie, kazał iść przodem.

Zupaczki oczywiście zorientowały się, co to za sąd będzie tej nocy, jaki wyrok wydał Mołdawan. Toteż popatrywali chytrze, pokrzykiwali jeden przez drugiego:

– Wieszaj się, wieszaj się!

Ale Matiuszyn nie miał siły zrozumieć, co chcą z nim zrobić.

Myśl, że mogą zabić, wcale go nie przerażała, rozgrzewała tylko, bo była ciepła: jeśli Mołdawan go zabije, zabiją za to Mołdawana, a on, Matiuszyn, po to właśnie się urodził, żeby go zabić.

Wtedy już majaczył, palił go jakiś nieznany ogień. Obóz ze znużeniem dożywał końca tego dnia w oczekiwaniu na wieczorny apel, myślał

o zjedzonej kolacji, a nie o długiej zbliżającej się nocy. Nie wiadomo skąd się wziął Riebrow i usiadł jak stary wiarus na ławce koło Matiuszyna, kurząc przez zęby zdobytego jakoś na lewo niedopalonego papierosa. Niczego nie komentował, milczał jak obcy, co w pewnym sensie było prawdą, bo już po wyjściu z pociągu Matiuszyn się od niego odsunął. Aż do wydarzeń dzisiejszego dnia ziomkowie trzymali się z dala od siebie, również tu, w obozie.

– No to wychodzi na to, że moglibyśmy razem do szkoły podoficerskiej się zgłosić. Mówiłem ci, trzymaj się mnie, a tobie się samemu zachciało, teraz żegnaj, serdeńko – cedził Riebrow, oglądając się na boki. – Jeszcze czas, wyrywaj z obozu...

Gdzie się Riebrow podział i co z nim samym potem się stało, Matiuszyn nie pamiętał. Ocknął się od potwornego bólu. Leżał w punkcie sanitarnym, w zimnej izdebce zalanej żółtawym światłem gołej żarówki, gdzie perkotała skrzyneczka klimatyzatora. Leżał na kuszetce twarzą do sufitu, lekarz usiłował ściągnąć but z jego spuchniętej nogi.

– No, czego ryczysz? Żywy jesteś? Cierp, jak się ocknąłeś! – zawołał niegłośno lekarz. – Nie, trzeba ciąć but... Co mamy tnącego?

– Jest nóż – odezwał się obojętnie czyjś głos.

– Dawaj... Pruj tam z boku, ale nie szarp, bo będzie ryczał.

– A co z nim takiego się stało? – napłynął z sufitu inny głos, ciekawski.

– To was trzeba pytać, co z nim takiego, bity kotlet zamiast nóg, nie da się nic zrobić, zwierzęta!

– A bo go ktoś chociaż dotknął? Nikt go nawet nie tknął... Natarł pewnie nogi i oszczał, kręci sukinsyn, do szpitaliku się zachciało, masło żreć.

– A kto go nauczył, że trzeba oszczać? Ty? Trzeba było go nauczyć onuce owijać!

– A on sam uczony, patrzaj, jaki ostry.

Coś prasnęło po szczurzemu na podłogę. Ból ustał, Matiuszyn usłyszał w półśnie:

– No, ja swoje zrobiłem... Nieście go do separatki...

– Przecież wszystkie łóżka zajęte, gdzie go położyć?

– Zostaw go na noszach, do jutra poleży, tylko nie rzucaj go w przejściu, durniu, znajdź miejsce gdzieś z boku.

Matiuszyn poczuł własny ciężar – podnieśli go, nieśli, sapali.

– Uuuf, sukinsyn... Nieść go... Ano wstawać! Wstawać!

– Stul pysk... Starszy lejtnant usłyszy...

– A on przecież się rusza, rusza się, po co my niesiemy...

– No, doniesiemy i rzucimy, z mięsa przecież, napłacze się...

Opuścili nosze w ciemnościach i wybuchnęli śmiechem, bo Matiuszyn, tak jak chcieli, ryknął z bólu. Łóżka wokół zaskrzypiały, poruszyły się w nich, ożyły jakieś cielska.

– Obudzili się, żreć im się chce, myślą, że będę ich karmił! – śmiał się sanitariusz. – Dnia ni nocy żółtaczkowi nie znają!

– Ano, pobudka, sukinsyny! – cieszył się sierżant. – Wybuch z prawej! Alarm gazowy, taka wasza mać! Padnij! Powstań!

Zadowolony, wesoły, bo strachu napędził, przeszedł się, słuchając skrzypienia swoich butów, i w grobową ciemność rzucił komendę:

– Dobra, alarm odwołany. A ty, beznogi, nie śpij, odwiedzimy nocą, oj, odwiedzimy... – usłyszał Matiuszyn w swojej czarnej dziurze.

Wszystko zamilkło, a on się dręczył, nie wierzył, że sierżant i sanitariusz sobie poszli. I czekał. Dyszała zaczajona mgła, póki nie pojawiła się w niej szklista przezroczystość, i wtedy, nie widząc tamtych dwóch, Matiuszyn zapłakał z bezsilności, z tego, że rzucili go samego na gołą podłogę, daleko od białych obłoczków łóżek. Ale jego łez nikt nie słyszał i nie miał go kto ratować. Wydawało się, że to noc czernieje nago, nie deski podłogi. Obłoczki rozpływały się, rozpływały... Matiuszyn spełzł z noszy i wlokąc za sobą bezwładne nogi, nie wiedząc, co robi, wcisnął się pod jedno z łóżek jak w szczelinę i tam znieruchomiał. Tamci przyszli nocą, słyszał tupot ich butów, ich pijane bycze sapanie, szepty. Widać z przepicia nie mogli się zorientować, co się z nim stało, gdzie się podział, a przeszukiwać, wszczynać hałas im nie pasowało.

Z rana przyjechał po swój towar samochód z jednostki sanitarnej. Wtedy sobie o nim przypomnieli. Szukali go po całym obozie. Rozumieli, że w takim stanie zajść daleko nie mógł, najwyżej się przeczołgać. Dentysta dopytał się u sanitariusza, że nocą ktoś żołnierzyka odwiedzał, a potem wydusił z niego także prawdę o tym, kto go odwiedzał. Sanitarka stała, nie zawracała. Mołdawana i jeszcze trzech podoficerów wezwano do namiotu, gdzie oficerowie, źli, doszedłszy do siebie po pijaństwie, bili ich bezlitośnie do utraty przytomności, żeby się przyznali, co zrobili nocą z żołnierzem, przecież mogli go zabić i zakopać. Mołdawan stawiał się, chociaż jego właśnie cisnęli, łamali oficerowie, nawet się nie bojąc, że zdechnie. Podoficerkowie drgnęli, nie wytrzymali i wygadali o Mołdawanie, o tym, co z ludziskami wyprawiał. Tak to w gorączce tego poranka otworzyły się ciemne studnie prawdy, zaczęto wszystkich przesłuchiwać, nie wypuszczając Mołdawana z namiotu na wolność, a narodek, nie widząc go więcej, wszystko wyśpiewywał.

Półżywego, leżącego pod łóżkiem człowieka znaleźli w swojej sali żółtaczkowi, ale kiedy Matiuszyn się znalazł, naczalstwo już nie miało do niego głowy: wywlekli go, zwalili na nosze, wsadzili do sanitarki.

Do sanitarki wsadzili jeszcze jedne nosze, z tamtym okaleczonym podoficerem, i położyli ich obok siebie. Maszyna pędziła po stepowych wybojach, więc męczyli się obaj w roztrzęsionej, rozkołysanej skrzyni. Matiuszyn jęczał. A podoficer, który nie mógł jęczeć ani nawet ruszyć szczęką, głucho myczał, czepiając się noszy. Lał się z niego pot, chłop omdlewał z bólu, dusił się. Do pułku dojechali szybko. Matiuszyna zwalili w lazarecie, a na nosze rzucili rozprute, do błotnej żaby podobne buty, i leżały mu te żaby na piersi, strzegły go aż do izby przyjęć. Podoficera wyładowali, ale z nim sprawa była trudniejsza, mieli go zawieźć dalej, do jakiegoś szpitala.

Z noszy Matiuszyn sam przedostał się na kozetkę i zdołał się rozebrać, kiedy kazali mu zrzucić z siebie wszystkie brudy. Sam też wytarł to

omszałe obce ciało zmoczonym pod kranem ręcznikiem, jak kazał mu zrobić sanitariusz. Słyszał, jak mówił o nim poczciwy lekarz wojskowy:

– Co to u nas za niegospodarność na każdym kroku, powiedz sama, Wieroczka, wzięli człowieka do wojska, a onuc nie nauczyli go owijać... Przecież niemożliwe, żeby się sam okaleczył, jak twoim zdaniem?

Nie dali mu jednak nic do ubrania. Powiedzieli, że ma się położyć na wózku, i powieźli go głową naprzód, tak że wszystko kołowało mu i płynęło w oczach.

Na stole operacyjnym zasnął bez narkozy. Przespał całą dobę, nawet więcej, a tymczasem kapali mu z butelki pożyczoną krew, użyźniali go zastrzykami ze słodzonej wody. Spał więc słodko, roztapiał się jak kostka cukru, a po żyłach rozchodziła mu się cudza juszka. Ale kiedy przespał cały dzień bez przerwy, poczuł jakby, że nastała noc, i odezwał się w nim mocno wyrobiony nawyk oczekiwania pobudki. Przez sen przyszykował się, żeby się zerwać, mobilizował się, nie zdając sobie sprawy, że leży nie w koszarach, tylko w lazarecie.

W lazarecie wszyscy musieli pracować, obsługiwać siebie i lekarzy. Matiuszynowi wydano kule, kazali mu wstawać. Nogi miał zabandażowane po kolana, jakby go obuli w białe walonki. Stać o kulach nie było łatwo. Najpierw kazali mu oddać mocz do analizy. Sanitariusz wydał słoik po majonezie, bez pokrywki. Matiuszyn wcisnął go do kieszeni szlafroka i pokuśtykał do ustępu. Usiłował uporać się ze słoikiem, ale nijak mu się nie udawało. Zdołał tylko ściągnąć majtki i podstawić słoik, na resztę nie starczyło rąk, spod pach wyślizgiwały się kule. Postawił słoik na parapecie, pokuśtykał do żelaznego pisuaru, bo po tych wszystkich usiłowaniach nie mógł już wytrzymać. Do ustępu wbiegł ulżyć sobie jakiś jeden, na oko cwel, ogolony nierówno jak na kpiny. Matiuszyn, trzymając w ręku słoik, jakby to był kamień, wyjęczał ochryple:

– Słuchaj, bracie, ty niezakaźny jesteś, użycz mi do analizy...

Cwel wszystko posłusznie wykonał i znikł. Matiuszynowi ulżyło. Teraz musiał donieść ten cudzy mocz gdzie trzeba, ale przelało mu się w kieszeni,

kiedy wlókł się, kuśtykając, i sanitariusz, zobaczywszy na jego boku mokrą plamę, nie darował sobie komentarza:

– No co, bratku, zeszczałeś się, czy jak?

Ludek lazaretowy ustawiał się w dwuszereg w sadzie. Dowodził, przechadzając się przed frontem, tutejszy starszy sierżant – wyniosły wąsaty wojak, całkiem zdrowy i najlepiej odkarmiony. Wszyscy nazywali go szefem albo brygadierem, jak na budowie. Każdemu dawał coś do roboty, Matiuszynowi też, nie zważając na to, że chodzi o kulach, kazał ścieżki w sadzie zamiatać. Wasia z miejsca powiedział, że nie będzie tego robił. Myślał, że brygadier kpi sobie z niego. Ten jednak podszedł i uderzył go z rozmachu najpierw w jeden policzek, potem w drugi, a Matiuszyn nawet ręki nie mógł podnieść, oderwać jej od kuli, żeby chociaż się zasłonić. I chlastał go brygadier po policzkach, dopóki nie wstawił się za nim, nie zasłonił go sobą stojący obok chłopaczek, mówiąc wąsatemu, że pracę Matiuszyna weźmie na siebie.

Nazajutrz brygadier znowu rozkazał Matiuszynowi zamiatać ścieżki. Tym razem Wasia zmilczał. Ścieżki były obsypane spalonymi słońcem liśćmi, które opadły z potężnych jak skały, wysokich jabłoni. Żeby zamiatać, trzeba było o coś się oprzeć i uwolnić rękę. Rozzłościwszy się na samego siebie, na przeklęte kule, Matiuszyn zostawił sobie jedną, wolną ręką chwycił miotłę, zaczął pracować i powolutku jako tako liście ze ścieżek wymiótł.

Tamtego dnia zobaczył, jak to jest, kiedy wypisuje się kogoś z lazaretu. Wypisywano Kazacha; mieszkał tu długo, pracował na zmywaku. Rzucał się w oczy, stawiał się, o takich mówiono tu jak w zonie, że to charakterny urka. Pracując przy kotłach, oczywiście odkarmił się, zważniał, a kiedy brygadier syknął, że ordynator każe mu zbierać manatki i iść do kompanii, to na oczach wszystkich zamienił się od razu w żałosną pecynę. Jeszcze przy obiedzie widać było w okienku kuchennym jego napuchniętą, czerwoną mordę, ale brygadierowi nie spodobało się, że ciągle tu jest. Spokojnie skończył obiad, dał innym dojeść swoje, a potem zaszedł do tej ustronnej, półciemnej komórki, w której pracowali kucharz z pomywaczem,

i wszyscy usłyszeli łoskot i zduszone krzyki. Ale wiszące w powietrzu morderstwo szybko zamieniło się w banalną bójkę i już słychać było tylko szum i sapanie, jakby ktoś dźwigał jakiś ciężar. Nikt nie odchodził, wszyscy czekali, kto weźmie górę, nikt się nie wtrącał. Po dziesięciu minutach zamieszanie w kuchni ucichło. Pojawił się brygadier, wlokąc po podłodze za włosy pobitego pracownika.

– Mówiłem ci, do ciebie mówiłem, żeby do obiadu śladu po tobie nie było? No jak, po dobremu cię prosiłem? A ty wiedziałeś lepiej? – pytał brygadier, coraz bardziej podniecając się własnymi słowami.

– Zabijacia suksyyyn! – wrzeszczał tamten.

– Ty... Ty mi tu psychicznego nie zgrywaj!

Wtedy poruszyli się ci, co dotąd stali bezczynnie, teraz chcieli jak najszybciej zakończyć sprawę, pozbyć się nikomu już niepotrzebnego swojaka.

– Co powiedziali? Ty nie rozmial, ty nie rozmial, bydla! – odezwali się wszyscy naraz.

Tydzień później w salce opatrunkowej Matiuszynowi nagle zdjęto bandaże. Rany na nogach się zabliźniły. Na co mu jednak te zdrowe nogi teraz, kiedy zabrali mu kule, nie wiedział. Zdrowy, a nie zgarbiony i o kulach, Matiuszyn sam sobie wydawał się zbędny, zagubiony. Przez cały tamten tydzień pracował: zamiatał ścieżkę w sadzie, dyżurował na parterze, gdzie leżeli pacjenci, był na posyłki u lekarzy, nosił na wezwanie lekarstwa i papierki. Teraz, kiedy zdjęli mu bandaże i zabrali kule, przeszedł na piętro i ukrył się, nie wiedząc, co z nim dalej będzie. Brygadier spacerował po piętrze, nie zwracając na niego uwagi, i udręczony Matiuszyn usiłował zgadnąć, czy przyszedł rozkaz o jego wypisce i co powie ordynator. Wieczorem jednak wezwał go wąsaty, wielkoduszny, bo dał mu przeżyć spokojnie jeden dzień, i przydzielił mu robotę.

– Z samego rana zasuwaj do bloku gospodarczego, zastąpisz Kazacha... Ja kucharzowi obiecałem, że człowieka dam, a ty teraz jakby bez kul, chodzący jesteś. Ale uważaj, zaczniesz kombinować, od razu zgłoszę do wypiski! I płacz, mamusiu!

Z rana kucharz powitał Matiuszyna z nożem w ręku i długo nie puszczał go na próg bloku gospodarczego, tylko zmuszał do stania pośród pustych stołów. Ten chudziutki Uzbek, na oko podobny do czternastoletniego wyrostka, wydawał się nieszkodliwą żmijką, pełzającą, ale niezdolną użądlić. Złagodniawszy, wpuścił Wasię, kazał mu usiąść, włożył do ręki miskę z kawałkami zimnej wieprzowiny, wyłowionej zapewne z kapuśniaku przeznaczonego na obiad, i odrąbał pół bochenka chleba. Pokazał w ten sposób, że jeśli zechce, to jest dobry i żarcia nie będzie mu żałował. Jeść Matiuszyn nie miał ochoty, ale tak czy owak zaczął żuć, rozglądając się wokoło. Uzbeczek był zadowolony, myślał, że go oswoił. Sięgał Matiuszynowi do piersi i jednakowego wzrostu byli tylko wtedy, kiedy Wasia siedział. Blok gospodarczy był od wewnątrz sześcianem wyłożonym od podłogi do sufitu kaflami wodnistej barwy; wyglądało to, jakby po ścianach spływała woda. Było tu jak w łaźni, powietrze szkliście znieruchomiało przy otwartym na oścież oknie, do wnętrza przenikało tylko gorące słoneczne światło. Uzbekowi upał nie przeszkadzał. Uznawszy, że pomagier dość się już nażarł, pokazał, że potrafi być zły, i ni stąd, ni zowąd wyrwał mu miskę z rąk, wyszczerzył zęby i szczeknął, żeby stanął przy zlewie.

Był to nawet nie zlew, tylko ogromna kadź, do której zwalono aluminiowe naczynia. Mały Uzbek podskoczył, usiadł na parapecie i patrzył z wysoka na pracę Matiuszyna. Kiedy zaś naczynia i kotły były umyte, kazał mu myć podłogę w jadalni i znów z okienka do wydawania jedzenia przyglądał się, jak tamten pełza ze szmatą. Kiedy podłogi były umyte, kazał mu myć w kuchni, a kiedy w kuchni było umyte, poczuł się zmęczony i znów pokazał, jaki dobry potrafi być, zwrócił Matiuszynowi miskę z jedzeniem. Wasia już czuł głód, a może nie był to głód, tylko ssąca wnętrze złość. Ile czasu minęło od obiadu, nie zdawał sobie sprawy. Uzbeczek naciągnął na suche, wężowe ciało biały kucharski kitel i wysłał pomagiera w drogę: czas było wziąć ręczny wózek i jechać z nim do pułku po dzienną rację.

Za ogrodzeniem lazaretu Matiuszyn czuł się dziwnie, jak na ulicach nieznanego miasta. Gdzie tylko spojrzał, wznosiły się niczym potężne fortyfikacje gmachy koszar, ciągnęły dziwacznie splecione asfaltowe ścieżki, rosły jednakowe drzewa. Nikogo nie spotkali, tylko podchodząc do stołówki, natknęli się na tłumek żołnierzy. Mały Uzbek wyprężył się, zaczął go popędzać, pokrzykiwać. Żelazny trzykołowy wózek był mało zwrotny, Matiuszyn ciągnął go z przodu, więc jeśli był do czegoś podobny, to do bydlątka. Bańki na jedzenie obijały się o siebie, wydając miedziany dźwięk, przez co tłum zaczął na nich patrzeć tak, że Matiuszynowi zrobiło się nieswojo. Kucharz nagle podbiegł i pięścią zdzielił go po plecach. Wojsko z uznaniem zahuczało – żywego rekruta z kwarantanny jeszcze nie widzieli, a poznać, że Matiuszyn nim jest, nie było trudno po ledwie zarosłej jeżykiem czaszce. Zaczęli krzyczeć do niego: „Wieszaj się! Wieszaj się!”, a Matiuszyn widział ich twarze, podobne do miedzianych monet, które wyszły spod jednej sztancy.

Do ogromnej kuchni, w której zmieściłby się tuzin takich jak ta lazaretowa i gdzie wznosiły się podobne do studni trzy bulgoczące kotły, zeszli się pogapić na rekruta wszyscy, którzy kręcili się koło stołówki. Byli co do jednego podobni do jego Uzbeczka, toteż Matiuszyn stracił go z oczu. Targał bańki z kluskami, a nakładał mu je z kotła, stojąc na stołku, scwelowany fagas w aż brunatnym od brudu żołnierskim kombinezonie, uwijał się szybciutko jak karaluch i cieszył, że wszyscy widzą go razem z Matiuszynem. Wydawał mu jakieś komendy w swoim języku, a Uzbecy kucharze śmieli się, patrząc na to z boku. Nikt mu nawet słowa nie powiedział po rosyjsku, a cała zabawa polegała na tym, że on nie rozumiał, co do niego krzyczą, pewnie robił wszystko na odwrót i może tego właśnie tamci chcieli. Był gotów czekać, aż Uzbecy uspokoją się i rozejdą. Kiedy doszło do pobierania chleba, rozdzielający go potężny tłusty Uzbek o byczej szyi przywołał Matiuszyna do siebie. Siedząc na pierzynie z żytnich bochenków, spytał, jak się nazywa, a usłyszawszy, że Wasilij, ucieszył się: on nazywał się Wahid, czyli jakby tak samo. I zadowolony powiedział, że mianuje go, Wasilija-Wahida, swoim braciszkiem, odtąd będzie mu w pułku pomagał, a on niech nazywa go swoim bratem.

Roześmiał się głośno, a potem pokazał, jak powinni objąć się przy spotkaniu brat z braciszkiem.

Mały Uzbek ucichł, widząc, że jego pomagier brata się z pułkowym rozdawcą chleba, z samym Wahidem. W milczeniu zawrócili z naładowanym wózkiem do lazaretu. Do kolacji trzymali kluski na płycie, a po kolacji Matiuszyn znów wziął się do roboty. Uzbeczek złościł się, palił, nic nie robił, za to Wasia pracował jak jeszcze nigdy w życiu. Za oknami już zmierzchało, lazaret układał się do snu, a Matiuszyn musiał tym samym wózkiem odwieźć całą bańkę dziennych resztek do stołówki. Uzbeczek zataczał się ze swoim nożem po cichym jak jama i pustym od czystości bloku gospodarczym. Uśmiechnął się pijanym uśmiechem, który nie wiadomo skąd pojawił się u niego po raz pierwszy tego dnia, i machnął przed siebie ręką, dając tym sposobem pomagierowi do zrozumienia, że posyła go w noc, a sam zostaje.

Drogą, którą ledwie pamiętał i w ciemnościach ledwie rozpoznawał, poszedł Matiuszyn z wózkiem do stołówki, gdzie sennie kręcili się jacyś zapędzeni do pracy żołnierze. Widocznie przygnano ich tu po kryjomu do jakiejś brudnej roboty, a teraz otoczyli go ze wszystkich stron i chcieli zmusić, żeby za nich pracował. Ręka mu się na nich nie podnosiła, w każdej mordzie widział tamtego podoficerka, bał się uderzyć i niechcący zabić. On bał się zabić, a oni go kopali, dręczyli, dopóki nie wyłonił się z nocy jakiś potężny człowiek i tamci od samego jego spojrzenia nie rozpełzli się po kątach.

Matiuszyn przywlókł się do lazaretu, wepchnął wózek do boksu, wdrapał się na piętro, do swojej sali, gdzie zasnął mocnym, spracowanym snem. A z samego rana, kiedy wszyscy jeszcze spali, znalazł go, obszedłszy sale, i obudził mały Uzbek, który zapewne w ogóle oczu nie zamknął i ledwie ruszał językiem: było już czas jechać do pułku.

Trzy razy dziennie Matiuszyn bratał się z Wahidem, szedł z wózkiem do pułku, mył naczynia i kotły, nosił na górę jedzenie magazynierowi. O północy, kiedy wywoził do stołówki resztki, czekali na niego głodni, zmaltretowani żołnierze skierowani do pracy w kuchni. A od rana do nocy

nudził się w bloku gospodarczym, pozbawiony czegoś więcej niż wolności, sam na sam z małym Uzbekiem.

Uzbeczek był przygłupiasty, kojarzył słabo, toteż zazwyczaj wszyscy na niego wrzeszczeli. Ale krzyki wcale na niego nie działały, był na nie głuchy. Pracy w lazarecie miał na pół palca, bo niczego nie gotował, nie piekł, najwyżej dla kumpli i dla siebie, a dzienną rację dostawał gotową z pułkowej stołówki, sam tylko krajał chleb ogromnym nożem, z którym się nie rozstawał, zawsze trzymał go w ręku, jakby ten nóż był jego częścią.

Cały dzień siedział w kuchni, na zewnątrz wychodził nocą. Okazało się, że był tutejszy, urodził się w jakimś kołchozie pod Taszkientem, co drugi dzień przyjeżdżali do niego żona, młodsi bracia, przywozili mu z domu jedzenie. Przywozili mu też trawkę, którą chował w woreczku pod piecem. Zapewne dawno już zwariował, usychał w oczach od tej trawki. Uśmiechał się tępo i nie odzywał do ludzi z lazaretu, ale obłęd krył się w nim bardzo chytrze, za milczeniem, za uśmieszkami. Jeśli coś czuł, na przykład zaczynał się bać, to strach ogarniał go całego, wylewał się z duszy jak przepuklina, a śmiertelnie go przestraszyć mógł nawet pusty garnek, który brzęknął o podłogę. Pracować naprawdę nie mógł, już nawet nie można go było zmusić. Nocami nie spał, bo nie mógł spać jak człowiek, jeśli się nie ujarał do nieprzytomności. A to, że noża nie wypuszczał z rąk, miało szczególny sens: nóż do chleba był niteczką wiążącą go z życiem, bez niego w ogóle nic nie czuł, niczego nie rozumiał. Zabijał sam siebie, ale tak, jakby bawił się ze śmiercią i było mu wszystko jedno, czyja to będzie śmierć, a nikt o tym nie wiedział. Czatował na Matiuszyna, kiedy zostawali sami w kuchni, czekał na chwilę, kiedy ten się pochyli lub przysiądzie na stołku, i wtedy doskakiwał do niego od tyłu i przykładał mu nóż do gardła. Za pierwszym razem Matiuszyn zdążył tylko się spłoszyć, bo stało się to całkiem niespodziewanie. Pomyślał, że kucharz popisuje się, straszy go, chciał odsunąć jego rękę. Uzbeczek zaś cały zadrżał, bez słowa przycisnął mu nóż do gardła i wtedy Matiuszyn, wytrzeszczając oczy, zadrżał tak jak tamten. Ten jego strach przed śmiercią powoli uspokoił kucharza, a może i jemu uratował życie.

Tknąć go wówczas Matiuszyn się nie ośmielił, ale kiedy to się powtórzyło, kiedy przeżył jeszcze raz to samo, wyczekał, aż tamten opuści ostrze, i z rozmachu rąbnął nim o ścianę. Uzbeczek zachował się jak rąbnięty, wtulił się w kąt. Dzień później jednak wszystko się powtórzyło. Odurzony trawką kucharz zmusił Matiuszyna, by usiadł na podłodze, zaciągnął go w kąt, nie odrywając noża od gardła, gotów jakby co chlasnąć. Nikt by nie przyszedł na pomoc. Zaspani żołnierze biegali najwyżej do latryny, w pozostałych częściach budynku nawet nie wolno było palić światła, blok gospodarczy zanurzał się w noc, jakby miał dziurę w dnie, zachłystywał się jej czarnymi wodami i tonął. Uzbeczek, odurzony trawką, domagał się co chwila odpowiedzi, czy jest dobrym człowiekiem czy nie, czy na wolności jego żona się puszcza czy nie. Matiuszyn powiedział, że Uzbeczek jest dobrym człowiekiem, a kiedy zdołał złapać oddech, dodał na chybił trafił i o żonie, że to porządna kobieta. Ale nóż i tak wpił mu się w gardło. Kucharz zawył dziko, dając mu jednocześnie chwilkę oddechu, a Matiuszyn krzyknął, gorączkowo czepiając się słów:

– To przecież kurwa jest, kurwa!

Uzbeczek zamarł jak wydrążony, a potem rozpłakał się i zaczął z żarem pytać o to samo, i słyszał wciąż tę samą odpowiedź, która z jakiegoś powodu go urzekała. W zapamiętaniu zaczął opowiadać o żonie, skarżyć się na nią, że chce go zabić, przynosi mu zatrute jedzenie i ma już drugiego męża, który też chce go zabić. I dręczył Matiuszyna tak, jakby ten mógł znać prawdę. Wasia powtarzał za nim jak echo, że żona chce go zabić, i trwało to przez pół nocy, więc w końcu i on odpowiadał małemu Uzbekowi jak w malignie, ale wystarczyło, by się poruszył i zamilkł, a kucharz od razu podrywał się i zaczynał dygotać. Potem zapomniał się tak bardzo, że wreszcie wypuścił nóż z rąk. Zachciało mu się wypalić skręta, dręczył go inny dygot. Matiuszyn myślał, że uratował się przed nim cudem, i przez resztę nocy nie spał. Ale z rana mały Uzbek przyszedł po niego do lazaretu półżywy, jakby to jego ktoś przez całą noc torturował i dręczył. A czas już było iść do stołówki, po dzienną rację. Kucharz kazał mu wstać, a sam zwalił się na wolne puste łóżko i zasnął.

Do bloku gospodarczego przywlókł się wieczorem, kiedy w lazarecie było już dawno po kolacji, i głodny podszedł do płyty. Pojarał, wcisnąwszy się w ten kąt, w którym siedzieli we dwójkę nocą. Matiuszyn, stojąc plecami do niego przy zlewie, poczuł duszny zapach trawki, smugami rozchodzący się po kuchni. Potem Uzbek wylazł ze swojego kąta i zaczął błąkać się bez celu, wciąż nic nie mówiąc, całkiem pogrążony w sobie. Skradając się, wszedł do pustej jadalni, chodził po niej i kroki jego to było słychać, to cichły, jakby się stamtąd wymknął. Zmęczony wrócił do kuchni i zaczął krzyczeć na Matiuszyna, był z niego niezadowolony, a w jego ręce już chwiał się wielki nóż. Ale Wasia stanął na to jak wryty i obrzucił kucharza już nie krzykiem, ale wściekłym grzmiącym rykiem, w który włożył całą duszę. Uzbeczek zjeżył się i patrzył na niego mętnymi, załzawionymi, złymi oczkami, tak jakby tamten nie ryczał, tylko bił. I rzeczywiście Matiuszyn uderzył go po ręce, wytrącił mu nóż, a potem złapał kucharza i powlókł, z łoskotem rozrzucając naczynia. Bił Uzbeczka, myśląc, że zabije, upajając się każdym głosem wyrywającym się z tego mizernego, gnijącego ciałka.

– Ja cię zabiję! Zabiję! – ryczał, omal nie tracąc przytomności od przenikającej go męczącej rozkoszy, włócząc go półmartwego i obijając o ściany. – Zabiję!

I jego własne słowa przywróciły mu przytomność, rozsądek. Ale wcale nie żałował tego, co zrobił. Kucharz był żywy i wystarczyło go puścić, żeby zaczął sam się ruszać, a po chwili wgramolił się na stołek.

– No i tak siedź. Siad! Zrozumiano?! – krzyknął Matiuszyn jak do psa. – Mój ojciec armią dowodzi, czołgami, samolotami, ja mam brata Bohatera Związku Radzieckiego, a ty coś za jeden, no, coś ty za jeden? Żółtek, żółtek... Ano – wstać! Wstaaać!

Ogłuszony Uzbeczek z trudem wstał i bezgłośnie zapłakał. Matiuszyn zostawił go i poszedł po wózek. Sprzątacze z kuchennego dyżuru – ci, co w nocy przejść mu nie dawali – sami zebrali resztki i nie odważyli się do niego odezwać, chociaż on po prostu stał z opuszczonymi rękoma, patrzył na nich i milczał. A kiedy wrócił do bloku gospodarczego, kucharz już

zdążył się najarać i leżał otępiały, podobny do śpiącego psa. Matiuszyn kopnął go ze złości, posiedział z nim w piwnicznej ciszy kuchni, a potem poszedł na piętro – musiał się przespać.

Kucharz mógł z łatwością załatwić Rosjanina cudzymi rękoma, zemścić się na nim tak, że śladu by po nim w lazarecie nie zostało, ale wytrzymał. Wszystko się powtarzało dzień po dniu: i ponure uwięzienie obu w kuchni, i tępe oszołomienie kucharza, i te pobicia. Teraz jednak Matiuszyn bił go z rozwagą, wiedział, że nastąpi taka chwila, kiedy trzeba będzie nim rzucić o ścianę i on ucichnie. Kucharz po pobiciu rzeczywiście się uspokajał, choć prawie za każdym razem płakał, jakby razem ze łzami wyciekała z niego jakaś trucizna. Od tych łez brało Matiuszyna obrzydzenie, toteż postępował z nim jak ze swoim sługą, tyle że całą pracę odwalał sam, brzydził się zmuszać do niej Uzbeczka.

Zabrał mu nóż i trzymał u siebie, nie dawał mu go więcej do rąk. Ale tamten znosił to obojętnie. Matiuszyn nie mógł mu zabrać jedynie marychy, a i bał się to zrobić. Ze złości czemuś sam zaczął jarać. Kucharz dawał mu trawkę na każde życzenie, ale ona Matiuszyna na dobre nie brała i często dla przyjemności kruszył tylko skręty albo je wyrzucał. Mały Uzbek złościł się, ale znosił to – najwyraźniej on też palił nie swoją marychę, tylko skombinowaną. Przychodzili do niego potajemnie żołnierze z pułku, podobni do zwierząt. Przychodzili, wyrzucali z kuchni pomywacza, o czymś tam mówili po kryjomu z kucharzem, a czasem go bili. Za co go biją – nie mówił. Tego, co od nich przynosił, sam nie tykał, tylko nie patrząc, oddawał Matiuszynowi: owoce, placuszki, jakieś mięso i ogromne gotowane pielmienie, które były jeszcze w słoju ciepłe i wypływały z rosołu jak śnięte rybki.

Wkrótce Matiuszyn zaczął wszędzie chodzić z małym Uzbekiem, a ten na krok się od niego nie oddalał. Kumplowali się z tymi samymi ludźmi. Z magazynierem Matiuszyn spotkał się już na początku. Wtedy zorientował się, co to za człowiek. W kanciapie bez okien, ciasno zapchanej regałami, na których od podłogi do sufitu leżały prześcieradła, poszewki, podpinki, tworząc białe jak śnieg niezgrabne stosy przypominające górskie szczyty,

przechadzał się najspokojniej jak nad brzegiem przepaści, z wyglądu podobny do bibliotekarza, i wszystko wiedział o tym jednobarwnym, pachnącym kurzem przekładańcu. Ubrany był we własny połyskujący kitel, niemający nic wspólnego z tymi przechodnimi wyliniałymi szmatami, które donaszali w lazarecie inni. Niewysoki, wątły, nawet niepokaźny, tonął w tym swoim kitlu godnie, majestatycznie, wydawał się sam sobie barczysty, rosły. Lepiej od sierżanta z lazaretu magazynier uświadomił Wasi, kim on jest w porównaniu z nim: półtrupem, chodzącym smrodem, zasrańcem; ale mówił to z przyjemnością. Matiuszyna dobrze pamiętał głównie z powodu tego fetoru, wydobywającego się z rozprutych, kłapouchych buciorów i stęchłego, sczerniałego munduru, które zajęły miejsce w kanciapie, wepchnięte w worek na materac. Z początku magazynier nie uznawał go za człowieka, ale z czasem się uspokoił. Matiuszyn pił z nimi w kanciapie i bawił się już jak swój. Mizernego magazyniera nie lubił za dawną sprawę, ale złości to w nim nie budziło, traktował go tak, jakby trafił mu się na drodze nie człowiek, tylko psi grzyb. Chociaż odkąd tamten mu podpadł – wyczuwał jego zapach, czuł, że magazynier siedzi w lazarecie jak w swojej norze. W jego kanciapie – a właśnie samodzielny pokój dawał mu w lazarecie władzę – przesiadywali gromadnie tacy sami jak on ludzie grzyby i do ogłupienia wsłuchiwali się w jedyny na cały pułk magnetofon.

Magazynier i jeszcze jeden, który świadomie nie chciał się wyleczyć z trypra i którego w lazarecie od złotego kła nazywali Wstawionym, zaproponowali Matiuszynowi, żeby razem z nimi chodził na robotę, i ten z wdzięczności za ów grosik zaufania zgodził się, poszedł z nimi. Nocami, ale nie każdej nocy, przełazili przez płot i biegli do miasta. Matiuszyn zrozumiał więc, skąd się w kanciapie wziął magnetofon. Otworzyli samochód tuż koło terenu pułku, zabrali różne drobiazgi. Matiuszynowi dostała się paczka papierosów i długopis. Było to nudne, nawet nie straszne. Innej nocy pijani wleźli do jakiejś kawiarni, znaleźli ubrania, coś do picia, pieniądze, żarcie. Jedli tam i pili, a czego nie zdołali zjeść, to zniszczyli, potłukli, żeby nie zostawiać. Swojej doli Matiuszyn jednak nie wziął. Od cudzych szmat go mdliło jak od zawszonych. A magazynier ze

Wstawionym dorobili się rupieci i po tym grubszym numerze postanowili przeczekać spokojnie, nie ryzykować. Okazało się, że magazynier umie kłuć, brał po trójce za wzór. U kogoś w pułku Matiuszyn zauważył na ramieniu taki tatuaż: żmija owinięta wokół miecza leżącego na tarczy podobnej do szewronu, a wokół szedł napis: „Służę prawu”. Matiuszyn sądził, że byle komu czegoś takiego nie wydziargają, i tylko dlatego po pijanemu spytał magazyniera, czyby mu tego nie zrobił, ale okazało się, że zakazu na to nie ma. Nakłuto mu szewron i jakby sobie z niego zakpiono: magazynier najpierw starannie swoją robotę wykonał, a potem wszyscy oglądali tatuaż i wyśmiewali się z Matiuszyna, że po głupiemu zapisał się do kapusiów: z takim kłuciem już całe życie kraść nie można, każdy pies będzie wiedział, komu służy.

– Burak w służbie prawa! – ryczał ze śmiechu magazynier. – Uch, chłopaki, oblejemy buraka?

– Oblejemy! Wpadł jak śliwka w gówno! – zarykiwali się wszyscy.

Matiuszyn unikał tych, co do lazaretu trafiali z Dorbazu. Byli to zresztą nie jego rówieśnicy, tylko chłopcy znacznie młodsi, mieli po osiemnaście lat. Cwele z pułku i jeszcze z dziesięciu rekrutów, których z kwarantanny naniosło tu jak błota, w lazarecie nie znaczyli nic i dręczyć ich, zaszczuwać mógł każdy, a co więcej – każdy starał się zrobić z jednego z nich swoją służkę. Zdarzało się Matiuszynowi dokarmiać ich w kuchni, ale tylko dlatego, że jego samego mdliło od żarcia. Oni zaś odpłacali mu za plecami zgodną wrogością, chociaż w oczy mu się podlizywali, sądząc, że inaczej niczego im nie da. To, że zwąchał się z Uzbekiem, uważali za podłość. Stał się też zadrą w sercu dla starszego sierżanta z lazaretu. Kiedy brygadier zobaczył niezabliźnione jeszcze, jakby świeże rozdrapanie na jego ramieniu, zdębiał i w stołówce, przy wszystkich, uderzył go z rozmachu po mordzie.

– Do kryminalnych się zapisałeś! Ty co, po dobremu cię prosili? Uznałeś, że mądrzejszy jesteś?

Wtedy Matiuszyn ze zdziwienia puścił to płazem, ale nocą u magazyniera, łyknąwszy spirytusu, ku uciesze wszystkich rwał się gotów

niemal zarżnąć sierżanta, ale przesadził i padł pijany. A potem dalej znosił jego docinki, bał się, że sierżant wywali go z lazaretu.

Nocą Wstawiony poszedł do miasta, do dziewczyny, i nie wrócił, a bez kradzieży on kroku zrobić nie potrafił. Magazynier przybiegł z tą tajemnicą do bloku gospodarczego, miotał się w jego czterech ścianach, jakby już milicja waliła w drzwi, i pośpiesznie uczył Matiuszyna, co ma mówić, jeśli Wstawiony ich sprzeda. W kanciapie poupychanych było mnóstwo kradzionych rupieci z kawiarenki. Zawinął to wszystko w prześcieradło, pozbył się nawet magnetofonu, pobiegł do Ukraińców do kotłowni i tego samego ranka całe kradzione dobro spalił. A wieczorem przypomniano sobie o Wstawionym także w lazarecie; tuż przed nocą przyszedł oficer ze sztabu i wypytywał, kto go widział ostatni raz. Przeżyli dzień, milicja nie przyjeżdżała, ale teraz szukali Wstawionego już jako dezertera, a magazynier marzył o tym, żeby ten dureń zginął, przepadł, i uspokajał się, wymyślając na głos, jakich śmierci mógł się Wstawiony doczekać: mógł utonąć w kanale, mogli go zarżnąć na ulicy albo w melinie, mógł zaćpać się na śmierć, a co najpewniejsze – trafić do Uzbeków za niewolnika.

Rano wokół lazaretu zrobiła się nie wiadomo czemu kasza. Zleciało się wielu oficerów ze sztabu, wszyscy biegali, powstała straszna kotłowanina. Słychać było, jak nadjeżdżają samochody. Wszystko trzęsło się od tupotu. Matiuszyn rozsiadł się w kuchni, ale przemógł strach i poszedł na piętro dla pacjentów. Izba przyjęć i cały korytarz były zapchane żołnierzami, poznali go, chociaż on nikogo nie poznawał. To przybył cały pluton z Dorbazu. Swoi, ruskie chłopaki, z którymi on w jednym plutonie odsługiwał kwarantannę. Schudli, bluzy na nich spłowiały do białości, a głosy ich huczały głęboko jak płomienie w piecu:

– To ci dopiero! To ty tutaj trafiłeś!

– Patrzcie no, toć to Wasilij!

– Ech, ty! Zuch, co z tobą, bracie, patrzcie, po cichu zmył się z woja! A kto tu jeszcze jest z naszych?

Matiuszyn rozglądał się niewidzącymi oczyma, a oni śmieli się, otaczali go, poklepywali ze wszystkich stron, zdrowi i przyjaźni, jakby spod ziemi

wyrośli.

– No co ty nic nie mówisz!... A my ciebie pamiętaliśmy, codziennie wspominaliśmy, gdyby nie ty, ciągle byśmy tego sukinsyna cierpieli! A ty przecież nie wiesz, jak wyjechałeś z Dorbazu, to zupaki, jak to mówią, beczkę dziegciu na ciebie wylały. Sukinsyny! Potem nas oskarżali, że się z tobą zmówiliśmy na Mołdawana. Ale te sukinsyny też za swoje dostały. Mołdawana z pewnością odprawią w takie miejsce niedaleko stąd.

– Przysięgę złożyliśmy, teraz nas do podoficerskiej szkoły wiozą, do Karakimiru...

– Tak, braciszku, ty do Dorbazu już nie wrócisz, a my teraz dalej, na podoficerów. Naszych wielu skosiło, poprzywozili ich do was, spotkacie się tutaj, a my jesienią przyjedziemy w podoficerskich pagonach, pomożemy.

– Zobaczysz kogoś z naszych, to pozdrów, powiedz, że jeszcze wrócimy, urządzimy tu dobre życie! A ty się nie przejmuj, żyj jak gość, tyś przecież taką rzecz ludziom zrobił!

Doskoczył oficer, krzyknął na zbitych w kupę żołnierzy, a oni żywo go posłuchali.

W opustoszałej, wypełnionej echem studni korytarza, na której dnie samotnie sterczał Matiuszyn, zahuczał wysoki, gromowy ryk potężnych wojskowych ciężarówek załadowanych półsetką żołnierzy. Lazaret, zdawało się, wysechł do ostatniego człowieczka i opustoszał, wszyscy w nim wyzdrowieli. Suche, gorące powietrze błąkało się w jego ścianach i Matiuszyn już nie czuł się człowiekiem, i w ogóle nikim. Z bezdusznym spokojem wrócił do bloku gospodarczego, gdzie nagle zrobiło mu się – ale jakby też nie jemu – wesoło na widok całego tego porzuconego gospodarstwa: nieumytych kotłów, baniek, zmatowiałych aluminiowych czerepów misek, zwalonych na kupę w zlewie razem ze stosem obgryzionych, tak samo zmatowiałych łyżek. Zaczął je wyciągać, grzebać się w nich, myć i wycierać. Wykonawszy tę robotę na celująco, ruszył z wózeczkiem po obiad, niczego w pułku nie poznając, zapominając o tym pułku z każdą minutą i z niewiadomych powodów dziwiąc się tej zanikającej pamięci.

Stołówka wydała mu się jakimiś koszarami, mrowiskiem żołnierzy. Trafiwszy do krajalni chleba, patrzył milczkiem na Wahida prawie jak na świnię, jakby potężny Uzbek nie stał obok niego, zasłaniając sobą krajalnicę, tylko chrząkając, walał się wśród pieczywa. Wahid zaś powitał braciszka z prostoduszną radością, bez pośpiechu wydzielił mu przydział chleba dla lazaretu i niczego nie zauważywszy, objął Wasię i pożegnał się z nim do następnego razu.

Chleb, jak zwykle, Matiuszyn zdał kucharzowi, ale natychmiast wymknął się z kuchni. Coś siłą wypchnęło go na opustoszały, ucichły bez żołnierzy dziedziniec. I powlókł się aż do sadu, gdzie pod jabłoniami zrobiło się ciemno i ziemia, porośnięta gęsto trawą, dyszała chłodem. Zrobił jakieś dziesięć kroków, jakby szedł po kładce, nie po trawie, i natrafił na betonowy mur. Sad jeszcze unosił się nad nim zielono, powiewając swobodnie gałęziami, i rósł jak nad przepaścią, ale mur zamykał nie dziedzińczyk, nie sadzik, tylko nieznany strażniczy pułk taszkiencki. Przy tym murze, jako że iść już nie było dokąd, Wasia położył się na trawie i w chłodzie, w cienistym półmroku zasnął.

Dożył do nocy, bo spał. Uzbeczek nie doczekał się go w kuchni, a kiedy spróbował szukać – nie znalazł. Wtedy, od południa, zaczął sprawę ukrywać, milczał, choć wiedział, że ruski zaginął. Całą robotę wziął na siebie. Wieczorem pojechał z wózeczkiem. Kończył dzienne zajęcia, z tępą gorliwością zaprowadzając w bloku gospodarczym olśniewający porządek, jak po zabójstwie. Nigdzie z kuchni nie wychodził. Magazynier zaczął coś podejrzewać. Po kolacji polazł do bloku gospodarczego i zastał tam samotnego Uzbeczka, który milczał, obojętniejszy od trupa. Ale nagle pojawił się Matiuszyn. Bez słowa usiadł w kącie przy ścianie. Mały Uzbek gapił się na Wasię oczyma płonącymi jakimś ciemnym ogniem, ale promiennymi, wpatrzonymi tylko w niego.

– My przecież spaleni jesteśmy! – ryknął magazynier. – My razem musimy, a wy co? Ja chcę żyć! Żyć!

Całym swoim wyglądem – drżał, był mokry, jakby we łzach i w pocie, w ludzkich mokrościach – ten człowiek wypraszał właśnie życie, jakby

przez niego krzyczał nie strach, ale jakaś niewiarygodna miłość do siebie. I jakby z przerażeniem, jak dziecko, dowiadywał się właśnie, że może go nie być na świecie.

W pewnej chwili magazynierowi wydało się, że ci dwaj są naćpani. I znalazłszy nieoczekiwane rozwiązanie zagadki, uwierzywszy z ulgą, że siedzą tu i milczą otępiali marychą, ucichł i poszedł sobie. Odchodząc, pomyślał już z pożądliwym drżeniem, że trzeba ich otruć, jakoś się obu pozbyć. I nie tyle życzył im śmierci, ile pragnął uwolnić się od męczarni strachu o własne życie i samemu się uratować.

Mały Uzbek nie jarał cały dzień. Patrząc tępo, pokornie na pomywacza, który wrócił nie wiadomo skąd, i coś tam rozumiejąc i czując, próbował teraz wytrzymać i męczył się w swoim kąciku, nikomu niepotrzebny. Matiuszyn zaś na coś czekał, siedział chmurny i nie patrzył w jego stronę, ale nagle ruszył bez strachu do płyty, wyszarpnął spod niej mocną, niepozorną paczuszkę z trawką. W pełni zdając sobie sprawę z tego, co robi, uspokoił się, obejrzał i wytrząsnął paczuszkę do pełnej pomyj, ohydnej bańki, która nawinęła mu się pod rękę, a potem na zawsze wymieszał suchutką, miłą trawkę z breją pomyj i odetchnął, stanął koło Uzbeczka.

Marychy już nie było.

Kucharz na jego oczach powolutku zwijał się w bezsilny kłębek, jakby ta trawka utonęła nie w pomyjach, tylko w jego duszyczce.

Rdzawa, porudziała od stęchlizny paczuszka przylepiła się śluzowato do podłogi i wydawała się niczyja; tak samo jak ten zamierający lekki wietrzyk – jak gdyby dopiero co krył się w niej, w tej niepozornej paczuszce pod płytą, a teraz hulał samotnie wśród nocy w wypełnionych echem ścianach bloku kuchennego. Matiuszyn patrzył w dół, na podłogę, gdzie leżał kucharz, i widząc wyraźnie, jak z wysokości, jego spokojną, gładką twarz, poczuł lekkie drżenie, jakby grzmiały, przybliżając się coraz bardziej, czyjeś ciężkie kroki, jakby tupały i tupały buty, ale się nie przestraszył. Można było pomyśleć, że przestał wierzyć i w śmierć, i w życie, bo pochylił się do wciąż – zdawało się – oddychającego trupka małego Uzbeka

i zasnął, objąwszy go w milczeniu jak brata. Żółte brudne światło paliło się w kuchni do rana, sącząc się bezgłośnie z sufitu jak gaz. Matiuszyn budził się spocony, otwierał oczy, widział wokół siebie to bezlitosne, oślepiające światło, ale zasypiał, wciąż jeszcze czując przy boku twardy kłąb ludzkiego ciepła.

Część trzecia

Kiedy otworzył oczy, stał nad nim brygadier, wznosił się od rana w ostrym, rześkim powietrzu – świeżo umyty, z mokrymi, przylizanymi włosami, ale bezkrwisty, jakby wyżęty.

– Teraz mi tu grzecznie wstaniesz. Więcej ciebie ma tu nie być...

Brygadier prowadził go jak pod eskortą. W pustej sypialni – w tym czasie wszyscy czekali w sadzie, kiedy ich wezwą na śniadanie – Matiuszyn zdarł ze swojego łóżka szarą jak ołów bieliznę i zwinął ją w kłębek. Poszli do magazynu gospodarczego. Tam zdał rzeczy należące do lazaretu i otrzymał swoje, te, w których został przywieziony z Dorbazu, a potem wyszli na gorący, zakurzony ganek, ze wszystkich stron zalany słońcem.

– Jazda, jazda! – Brygadier szturchnął go w plecy. – Jeszcze wcześnie... Nie zagradzaj...

Zawołał drugiego, też rekruta, który stał nieopodal, jakby dopiero co przyszedł i nie wiedzieć czemu żegnał się z personelem lazaretu.

– Ej, wojak, jak cię tam, żółtaczkowy, koniec widzenia, za mną! – I schodząc zamaszystym krokiem z ganku, krzyknął do tych, co zostawali: – Jakby co, powiedzcie, że poszedłem do sztabu!

Matiuszyn szedł przodem, wlokąc niczym kłody swoje nędzne buty. Cholewy rozprute w Dorbazie przez lekarza zszył już wcześniej, kiedy – nie pamiętał, jakby to było we śnie. Buty, z ohydnym szwem ze szpagatu, wyglądały na coś zranionego, żywego, przy każdym kroku wyskakiwały do przodu na żabi skok.

Przy budynku sztabu, podobnym do szkoły, usłyszał, że wywołują jego nazwisko, i dopiero wtedy zauważył kilku żołnierzy rozwalonych na

ławeczce, jakby przytłoczonych cieniem budynku.

– Matiuszyn! No, czego stoisz? Patrzcie, nie poznaje!

Z ławeczki wstał i podszedł do niego z uśmiechem, nieśpiesznie, chudziutki żołnierz wyglądający na drobnego złodziejaszka.

– No i zesłał mi Pan Bóg ziomala głuchego i ślepego! Siema, rodaku! Zważniałeś czy jak?

– Wiadomo, że zważniał...! – krzyknął z ławki, pokazując się, zadowolony z siebie żółtaczkowy. – My na podłogach umierali, a on w stołówce obiadki sobie podgrzewał.

– Głupi zawsze pierwsi umierają – uśmiechnął się chudzielec. – Jakeś głupi, to umieraj. Dobrze mówię, chłopaki? Ja w szpitalu też w porządku, też nie umierałem. – I po tym ciut skrytym uśmieszku typu „swoje wiem” Matiuszyn poznał nagle trochę postarzałego Riebrowa. – No i spotkaliśmy się... Jakbym wiedział, że razem będziemy służyć, a ty naprawdę niegłupi jesteś, fajnieś od Mołdawana nawiał... A buty, no, buty to masz, to ci buciki!

Odkrycie, że znów znaleźli się w jednym czasie i miejscu, było dla obu jednakowo przykre, chociaż Riebrow udawał, że cieszy się na widok ziomka. Inni dalej siedzieli rządkiem, milczeli, ale Matiuszyn ich poznał, zrozumiał teraz, że to też swoi, z Dorbazu.

– Nas ze szpitala wzięli, a was, znaczy się, z lazaretu. Może wiesz dokąd? – nie dawał mu spokoju Riebrow. – U nas w tydzień sześciu ludzi z Dorbazu umarło, Rosjan... Powiadają, toksykoza jakaś, no to nam spokoju nie dawali, w środku nocy budzą i do gabinetu jak na przesłuchanie! A co tam u was? Ja tak rozumiem, że z nami mogą coś ważnego zrobić, jak już do sztabu doszło, chyba do zwykłej kompanii nie poślą.

– A ty przecież na podoficera chciałeś...

– Chciałem, ale mi się odechciało, brudnych owoców się nażarłem.

W tym momencie ze sztabu wyskoczył brygadier i krzyknął:

– Kto z kwarantanny – za mną!

W sztabie było czysto i chłodno. Brygadier zrobił się nagle niezgrabny, bojaźliwy, zaczekał na pozwolenie wejścia do pokoju na parterze, który okazał się ładny, wypełniony lekkim papierowym szelestem i jakby oślepiająco nagi za sprawą siedzących w nim kobiet. Aż w piersiach zagrało od ich korzennego, ciepławego zapachu. Siedziały wszystkie przy małych biurkach, po gardło opięte, jak posmarowane rzadkim błotem, nudną zielenią wojskowych bluz, z których sterczały tylko ich okrągłe, nastroszone główki. Wśród nich zajmował miejsce jakiś major: wielkogłowy, podobny przez to do psa. Milczał, ale swoim milczeniem potrafił narobić takiego szumu – ruszał rękami po stole, odwracał się i trzeszczał krzesłem, ciężko dyszał, sapał – że aż się spocił.

– Proszę o pozwolenie odejścia – powiedział brygadier.

– Można – burknął major, a kiedy tamten znikł, zwrócił się, nie wiadomo czemu czerwieniąc się ze wstydu, do najstarszej z kobiet: – Proszę zaczynać.

Siedząca przy sejfie kobieta zaczęła przywoływać do siebie wedle spisu i wydawać pieniądze, co chwila wsuwając rękę w żelazne wnętrze. Długo liczyła wszystko co do kopiejki, a potem kazała się podpisywać; przemawiała tylko gestami, jakby była niema.

Żołnierze w kolejce zaczęli rozumieć, że właśnie wydają im pierwszy żołd, czyli przesłużyli już pierwszy miesiąc. Lekkie, radosne pieniążki niczym duszki barwnie polatywały nad ciężkim początkiem dnia, czyniąc go nieskończenie jasnym i tęczowym. Południowa mgiełka dyszała wolnością, a żołnierze, kręcąc się wciąż po terenie pułku, dobierali jeszcze, jakby robili sobie prezenty, konserw, sucharów, nawet cukierków i każdy niósł w rękach kartonowe pudło grzechoczące tymi gościńcami. Potem zaprowadzono wszystkich do czajchany i kazano im kupić wody. Tam wpatrzyli się jak zaczarowani w lemoniadę, wpychając w ręce oszołomionej bufetowej wszystkie pieniądze. Przestraszona kobieta wezwała oficerów. Ci powiedzieli, żeby każdy złożył się po rublu, i w ten sposób, składkowo, lemoniadę kupiono.

Po czym żołnierzy, ku ich zdziwieniu, poprowadzono za budynek sztabu, do ponuro wyglądającego, zakurzonego ambulansu, rozkazano im ładować się do niego razem z kartonami, zająć miejsca, czekać. Nikt się nie ruszył.

Riebrow rozglądał się wokoło jakimś głodnym, bezlitosnym wzrokiem i jako jedyny nie milczał.

– Lemoniada-marmelada... Z powrotem czy jak? Albo gdzieś, gdzie jeszcze gorzej? Przyjechaliśmy... – cedził przez zęby, trzeźwiejąc i mierząc wszystkich tym swoim twardym wzrokiem, jakby wyliczał sobie, kto tu się nadaje do życia, a kto nie, kto będzie tym zbędnym.

Kiedy tak stali tu jak obcy, niezwykłe pudła z suchym prowiantem zaczęły zwracać uwagę, ściągać na nich biedę: do ciężarówki przywlekli się szarzy, zarośnięci żołnierze. Widząc, że oficerów nie ma, zaczęli zaglądać do pudeł jak do swoich i znaleźli tam butelki. Riebrow, niespokojny o własną lemoniadę, odezwał się, postraszył ich dowódcą:

– To są pudła naszego dowódcy, lepiej nie ruszajcie, on tu zaraz przyjdzie!

Żołnierze przestali – a zdążyli rozebrać między siebie już prawie całą lemoniadę – zastanowili się i złożyli butelki do pudeł, podnieśli w górę swoje wielkookie mordy i zaczęli długo, ponuro, w milczeniu patrzeć na Riebrowa... A on już obawiał się wszystkiego, co się rusza, więc kiedy pułkowi maruderzy odeszli, zarządził, żeby ładować pudła do samochodu; posłuchano go skwapliwie, a potem i żołnierze wleźli do środka, pochowali się. Wreszcie pojawił się oficer ze sztabu, ucieszył się, że u nich taki porządek, ale przyszedł, jak się okazało, tylko na chwilę, ze sprawą: wyczytał dwa nazwiska i wyrwawszy niby zęby ze szczęki tych dwóch z ambulansu, znowu zaprowadził ich do sztabu. Byli to Riebrow i żółtaczkowy, który zdążył już zwrócić na siebie uwagę tym, że chichotał przypochlebnie z odzywek Riebrowa, bo myślał, że ten będzie z nich najobrotniejszy, najsilniejszy. Riebrow zaś, kiedy wywołano jego nazwisko, zrobił się jak szklany, patrzył na pudła, przecież nawet słowa nie powiedziano o jego zdanym do wspólnej kasy rublu. Żółtaczkowy zaś cieszył się, że ich zabierają, o swoim rublu nie pamiętał.

W ambulansie ucichło. Matiuszyn oczekiwał, że resztę lada chwila po kolei uwolnią. Nie wiedzieć czemu wydało mu się, że Riebrow z żółtaczkowym, kiedy ich jak rybki wypuszczono z powrotem do pułku, są uratowani. Ale do samochodu władował się nagle przez drzwi jakiś inny, jakby zamieniony, bardzo z siebie dumny Riebrow i krzyknął:

– Jedziemy, chłopaki! Żegnaj, Taszkiencie! Na północ nas wysyłają!

I kiedy pędzili przez ciepłe miasto, białe jak śnieg, z domami niczym piece, tonącymi pośród zimy w kwiatach i zieleni, przypomnieli sobie o żółtaczkowym, który cieszył się ze swojego szczęścia jak ze słońca, ale został gdzieś, zginął w sztabie, a oni mieli teraz jego lemoniadę. Na pustym jeszcze peronie dworca, dokąd dotarli szybciej od wiatru, drużyna się rozgęściła i Matiuszyn zobaczył każdego z osobna. Było ich tylu, ile palców u dłoni, policzył bezwiednie w myśli: razem z nim sześciu półtrupów. Riebrow jeszcze w drodze na dworzec stwierdził, że wysyłają ich, żeby się uczyli na kucharzy; jakoby podsłuchał w sztabie, że wiozą ich do Kazachstanu, a że mają ich uczyć na kucharzy, to już sam sobie dośpiewał. Jeśli wysyłają ich tak daleko, nie żałując pieniędzy, to znaczy, że sprawa jest poważna, wiozą ich na naukę, a czego mają uczyć takich po chorobie, jak nie kucharzenia, skoro żadnych specjalistów – o to się szybko rozpytał – elektryków czy łącznościowców, wśród nich nie ma... Riebrow starał się, wysilał, cały czas coś kombinował, nie dając spokoju ani sobie, ani innym. Prawie nie znał tych, z którymi go zabrali tego ranka z taszkienckiego szpitala wojskowego, i mimochodem ich sobie podporządkowywał, nie zwracał uwagi tylko na trzymającego się na uboczu Matiuszyna.

Wkrótce peron zapełnił się miejscowym ludkiem, a oni stali w tym morzu niczym wysepka, nie tonęli. Podstawiono pociąg, ledwie się ruszał, zdychał z pragnienia, a ludzie, starzy i młodzi, popłynęli w rozwarte gardziele wagonów jak ożywcze strumyczki. Ogłuszający ludzki gwar – tylko to pozostało w duszy Matiuszyna na koniec tego niewiarygodnego dnia. Zawodzenie dzieci, głośne przekleństwa, ujadanie ochrypłych konduktorów rodziły w duszy poczucie samotnego końca, ale ono go nie

zabijało, tylko rozlewało mu się w piersi ciepłem, kołysało do snu prostym, podróżnym smutkiem.

Przedział w tym pociągu przypominał karawanseraj: twarde kuszetki bez materaców, podobne do prycz, i choć nabity ludźmi, widać było tylko boki szarych skrzynek z owocami o duszącym zapachu, góry różnobarwnych tobołów, a przez szczeliny między nimi patrzyły przygnębione ludzkie twarze. Zaradny konduktor sadowił na jednym miejscu całe rodziny, a niemal wszyscy jechali bez biletu, więc on, czując swoją władzę, obrzucał ich wykrzykiwanymi na całe gardło zupackimi przekleństwami, chociaż zdarzało mu się też pomóc, użalić nad niektórymi: półnagi, ale w regulaminowej czapce na głowie, zakopcony i wężowo zwinny, z przepitym, ochrypłym gardłem, ryczący i rozumiejący w różnych językach, jakby miał tyleż głów i dusz, miotał się po znieruchomiałym wagonie, wywołując wrażenie, że nie stoją w uśpieniu przy peronie, tylko staczają się z nasypu. To jego zadaniem było upchać pełen gapowiczów, cygański wagon.

Kiedy ruszyli, pojechali, okazało się, że w wagonie nie ma żadnej władzy oprócz ich żołnierskiej drużyny. Reszta ludzi cisnęła się i wisiała u ścian, bojąc się nie wiedzieć czemu garstki wojskowych, i tylko konduktor spacerował sobie po wagonie.

Całą drogę od Taszkientu żołnierze pili gorącą, zagrzaną w upale lemoniadę, jakby żuli pudło cukierków. Wagon, od przedziału konduktorskiego do ubikacji, był jak wyschła studnia – bez wody. Spoceni jak w łaźni parowej, rozebrali się do majtek, ale od picia lemoniady jeszcze bardziej ich suszyło, zasładzało żywcem. Rozeszli się więc po ludziach i Matiuszyn z jakichś niewiadomych powodów znów zaprzyjaźnił się z Riebrowem: tylko oni mieli siłę i śmiałość pójść na żebry. Ludzie siedzieli ciasno całymi rodzinami po kątach, coś tam jedli, ale do picia nie mieli nic. Rozmawiał z nimi Riebrow, a Matiuszyn stał za nim, i kiedy zwracali się do ludzi, ci, słuchając Riebrowa, nieoczekiwanie zamierali. Riebrow, widząc, że go nie rozumieją, pokazywał na migi, że potrzebuje wody, powtarzał,

jakby im wbijał do głów: „pić, pić”, ale nikt nie pojmował, o co mu chodzi; ludzie patrzyli na półnagich żołnierzy, jak czasem trzeźwi patrzą na pijanych. Riebrow i Matiuszyn, bojąc się odwodnienia, zażądali wody od konduktora, wdarli się do jego przedziału. Ten nie stracił głowy, podał cenę. Kiedy zrozumieli, że woda jest na sprzedaż, pobiegli radośnie do swoich, postraszyli ich tą ceną i łatwo wycisnęli z nich pieniążki.

Konduktor przywiózł wodę w baniaku, w którym miał parzyć herbatę dla pasażerów. Otworzył go i rozlał do butelek po lemoniadzie mętny, ciepły, herbaciany kisiel. Jechali w milczeniu, dopóki nie zaczęły się pojawiać stacje. Pociąg teraz zwalniał i zaczął na długo przystawać. O zmierzchu pokazał się za stacjami rozległy, spokojny step, ten, co we dnie, kiedy patrzyli z okien mknącego pociągu, ostro wbijał się w oczy i wznosił wysoko jak jednolita piaskowa ściana. Po wagonie rozszedł się zapach jedzenia. Pachniały, każda innym jedzeniem, wszystkie stacje. Handlarki roznosiły wzdłuż wagonów pierogi, placuszki, nawoływały zza okien, pod którymi przepływały ich owinięte kwiecistymi chustkami głowy. Pociąg sunął już po ziemi zamieszkanej przez Kirgizów, Kirgizi wsiadali, Kirgizi wysiadali... Wszystko sprzedawano za rubla: i pierogi, i pielmienie, i placki. Mężczyzn na stacjach nie było widać. Po żółtej, zapylonej ziemi kręciły się wzdłuż wagoników niskie i mocne jak koniki kobiety z wiadrami ciężkimi od tego, co miały sprzedać. A za nimi biegały ich dzieci, wypraszając u tych, co wyglądali przez okna, by złapać trochę powietrza, papierosy albo po kopiejce.

Szybko robiło się coraz zimniej. W ciemnościach słychać było, że gdzieś tam huczy czarna dziura, z której do ciepłego od ludzkich ciał wagonu wdziera się dzika przestrzeń pustkowia. Matiuszyn zapomniał o śnie, chociaż w kubryku wszyscy się położyli i dawno już się nie odzywali. Zmęczyli się, zasnęli, a on siedział półprzytomny, jak nocami w bloku gospodarczym, i dziwił się zimnu i wiatrowi, jakimś obcym, jakby nie z tej ziemi. W pewnej chwili wydało mu się, że jadą do domu. Jak ryba z wody wychynęła zimna i niema, przyjemnie okrągła połać ziemi. Jelsk, Penza, Taszkient, ten cały Celinograd. Na północ, cieszył się, do domu – i „ryba”

nie trzepotała się, patrzyła jednym okiem, nieruchoma jak mapa. W jego ludzkim, ogłupiałym z radości mózgu zmieściło się wtedy nie mniej niż pół świata. To pół świata, jak pijane, zatarło czas i Matiuszyn poszedł pokręcić się po wagonie. Zaniosło go na pomost. Stało tam naprzeciw siebie i paliło dwóch nieznanych, pięknych marynarzyków z identycznymi dyplomatkami u stóp. Ich twarze zasłaniały kłęby dymu tytoniowego. Ta jednakowość marynarzyków, ale i ich zwierciadlane rozdwojenie oczarowały Matiuszyna. Skrył się po cichu w pustym kącie i zapalił, choćby dlatego, że palili tamci dwaj. Oni zaś rozmawiali o jakiejś swojej sprawie, coś rozważali, w ogóle nie zwracając uwagi na obcego człowieka. Matiuszyn patrzył na nich ze swojego kąta i stukot kół stopniowo cichł w jego uszach, a zaczął mu się majaczyć szum morza. Matiuszyn nigdy w życiu nie widział morza, ale wydawało mu się, że ich wagon kołysze się na falach, płynie. Wokół zaś na setki kilometrów rozpościerało się tylko zimne pustkowie. Młodzi marynarze zjawili się w tej ziemskiej suszy jakby z jakichś wysokich przestworzy. I zdarzył się drugi cud: w tych marynarzykach, krępych, ciężkawych, o wystających kościach policzkowych, Matiuszyn dopatrzył się dwóch podobnych do siebie jak bliźniacy mieszkańców stepów, z okolic Tmutarakania, i już nie mógł rozeznać, kim oni są, Kirgizami czy Kazachami... Pociąg zwolnił, zbliżał się do stacji. Światło reflektorów taranem uderzyło w wagon i na głowach marynarzy, na ich czapkach bez daszka, jaskrawo zabłysła kutym srebrem nazwa którejś z flot. I oni sami od razu rozbłyśli w oślepiającym słupie światła, biali, mocni w swoich marynarskich bluzach, a potem wagon znów rzuciło w czerń nocy i przez minutę, dopóki znów nie bluznęło światłem, stali czarni jak węgiel. W oknie pokazała się oświetlona reflektorem na całą szerokość stacja węzłowa: szare pole połyskujące drobną rosą szyn, stada bezpańskich wagonów towarowych stojące nieruchomo, stłoczone jak woły pod rzeźnią. Pociąg sunął coraz wolniej i wolniej, wagony skradały się do stacji po tym szarym polu jak na paluszkach. Zatrzymały się przy srebrzystym od kurzu peronie, który w ciemnościach wydawał się pokryty śniegiem. Był teraz czas, żeby odetchnąć. Jakiś człowiek przebiegł, przemknął jak jaszczurka. Przez głośnik zahuczał po sowiemu smętny

babski głos, coś komuś rozkazując, a potem baba zaczęła wzywać z nieruchomego powietrza jakichś nieznanych ludzi, kłóciła się z nimi, wzajemnie na siebie wrzeszczeli. Stacyjka, cała biała, tchnęła spokojem. Matiuszyn zobaczył nazwę miejscowości, do której przybyli: na dachu stacyjki widniały wysokie, wzrostu człowieka, splecione ze sobą litery, podobne do nieznanych marynarzyków: CZU. Młodzi marynarze z pomostu ożywili się, słychać było tylko ich „czu, czu, czu...”. Tak brzmiały ich wola i spokój, niezrozumiałe, tajemnicze dla Matiuszyna.

Jeden z nich przykucnął, otworzył dyplomatkę i zaczął w niej grzebać, coś rozkładać, czegoś szukać, drugi stał nad nim i podkpiwał. Coś błysnęło, wysunęło mu się z rąk i z brzękiem spadło na podłogę – był to własnej roboty stalowy nóż. Spadł i dalej leżał z boku. Marynarzyk wyjął pętko kiełbasy, rozłamał je na dwoje i obaj, milcząc, zaczęli zażerać tę kiełbasę.

Matiuszyn wyszedł z przedsionka wagonu, posiedział trochę w swoim śpiącym kubryku, a potem, chyba już o północy, znów wyszedł zapalić i zobaczył wciąż stojących w tym samym miejscu marynarzyków. Minęli następną stacyjkę, maleńką, po niej jeszcze jedną, a oni wciąż stali, szykowali się do czegoś. Ludzie w wagonie spali, ich ciała leżały jak kłody i Matiuszyn, wypaliwszy swojego papierosa i wróciwszy ostatni raz z pomostu, już nie mógł się zmusić do przejścia przez wagon. Położył się i próbował nie myśleć więcej o marynarzykach z nożem, zasnąć, ale oni wciąż sterczeli mu przed oczyma. Skład to zamierał bez ruchu na stacjach, przez okna ciemnych choć oko wykol, to znów bezgłośnie ruszał. Postoje w pustce, chociaż krótkie, błyskawiczne nawet, budziły niepokój i lęk.

Każdy postój wydawał się Matiuszynowi ostatni. Nagle tupot, radosne wrzaski, zgodny ludzki zgiełk podniósł się jak spod ziemi i rozproszył smętne widmo nocy. Matiuszyn poderwał się niczym zwierzę i przylgnął do okna. W krąg zalegającego przy wagonie światła zbiegł się cały tłumek. Jak ogniki błyskały roześmiane skośnookie twarze, jakby ktoś chlusnął radością po ustach, tańczyły, szeroko rozkraczając nogi, jakieś cienie, śpiewały dźwięczne, mocne głosy. Mężczyźni z batami, baby, dzieci, nawet konie trzymane nieco z boku za uzdy – wszystko to tłoczyło się przy wagonie.

W objęciach jednakowych nędznych ubrań tonęły dwie śnieżnobiałe plamy. Marynarzyków wniesiono na rękach w tłum, ludzie cisnęli się, żeby chociaż ich dotknąć. A oni miotali się, złościli, płynęli na plecach, przytrzymując swoje marynarskie czapki, żeby nie spadły z głów. I każdy drugą ręką, w której ściskał swoją krucho teraz wyglądającą dyplomatkę, machał w powietrzu niczym proporcem. Te dwa proporce długo wznosiły się, sterczały nad tłumem, zanim opuszczono obu na ziemię. A opuszczono ich dopiero przy koniach. Dosiedli ich ciężko, ale chwacko, aż przysiadły pod nimi jak wątłe łódeczki, a im zakręciło się w głowach, kiedy znaleźli się wysoko nad ziemią, kołysząc się w siodłach, czując się z początku niepewnie. Wokół nich podniosły się pohukiwania, które miały ni to dodać im otuchy, ni to wyrazić zachwyt na widok ich maleńkich, płaskich jak placuszki czapek ze wstążkami i złotymi literami, tych sztywnych, spłaszczonych przedmiotów, które trzymali w rękach jak torebki, spodni skrojonych szeroko jak spódnice i czystego złota blach. W ciemnościach nie było widać dokładnie twarzy, ale wszystkie one wydawały się Matiuszynowi jakieś bliskie i ładne. Małe, podobne do muszek dzieciaczki, chcąc się popisać przed krewnymi i marynarzami odwagą, puszczały się w cwał, uczepione kosmatych grzyw koni. Czarne stadka śmigały wzdłuż wagonów, smagały je nahajkami i biły po ich ślepych śpiących oknach jak po oczach. Matiuszyn widział w tym coś dzikiego, niepojętego, ale przecież nikogo nie budzili. Wagony milczały jak martwe beczki, pewnie dlatego dzieciaki odważały się je smagać. Wkrótce wszyscy ludzie odpłynęli od wagonu i rozproszyli się, rozsiedli, jakby zajmowali swoje miejsca. Mężczyźni, można by rzec, odpadli, każdy dosiadł swojego rumaka. Baby z dziećmi usadowiły się po dwoje, czasem po troje, na pękatych szkapach o szerokich grzbietach i gotowe były poczłapać za mężczyznami. Również marynarze byli poważni, promieniowali nową, nieznaną siłą. Nawykli już do tej swojej nowej siły, rozsiadali się teraz spokojnie, pozwalając sobie na milczenie.

Zadowoleni, że już nie muszą czekać na pociąg, i zmęczeni tym nocnym najazdem, jeźdźcy z początku całą ordą odsunęli się od wagonów. Stali

w ciemnościach na stacji i słychać było, jak konie przebierają nogami, chrapią i wydychają kłęby pary, jakby paliły papierosy.

Pociąg ruszył i jeźdźcy też powoli ruszyli równo z wagonami. Pociąg rozpędzał się, ale i rozpędzali się ludzie na koniach, nie zostawali w tyle, gnali za pociągiem i nagle rzucili się nie wiadomo dokąd, w ciemność, zniknęli z oczu. Jeszcze długo zdawało się, że jeźdźcy są blisko, ale z czasem zrobiło się sennie. Matiuszyn znużył się czekaniem, odszedł od okna.

Tej nocy, stacja za stacją, wagon pustoszał. Za Bałchaszem, gdzie z rana się ocknęli, pobudzili jeden drugiego i zobaczyli, że wagon jest prawie pusty. Jechali szybciej, ale bezsensownych postojów nie ubyło. Wiedzieli już, że mają dojechać koło północy do jakiejś Karagandy, ale o stepowym szarym poranku zaczęło im się zdawać, że niebo ciemnieje, a północ sama nadchodzi, wystarczyło sobie o niej przypomnieć. Na którejś stacji podeszli do okien, kupili żarcia – były to wielkie pielmienie. Tu też każdy towar sprzedawano po rublu, chociaż tutejsze handlarki różniły się od Kirgizek, były bardziej chciwe, jakby biedniejsze, i ich tobołki były chudsze. Kiedy zaś na jednej ze stacji przeszedł pod oknem zakurzony chłopaczek z rowerem, a oni zawołali do niego żartem, za ile go sprzeda, ten zatrzymał się i całkiem poważnie, bez namysłu podał cenę:

– Rub kosztuje, jeden rub!

I nie chciał się odczepić, uwierzył, że chcą kupić. Już go odpędzali, mieli dość, a on stał i nudził pod oknem, wciskając im rower:

– No, za rub!

Potem, kiedy wagon ruszył i pojechał, chłopaczek rozzłościł się, chwycił w garstkę piasku i sypnął im w okno, w oczy, i zadowolony z siebie, odbiegając w podskokach, zawołał:

– Żołnierz głupi, żołnierz głupi!

Pod koniec drogi czas się wlókł, a współtowarzysze w szczęściu marzyli do zapadnięcia ciemności, że wiozą ich uczyć na kucharzy. Jeden był pół-Czechem z Syzrania, krawiec nazwiskiem Husak, malutki, ale z ogromnymi, jakby zapłakanymi oczyma i z nogą od urodzenia krzywą –

Matiuszyn zapamiętał, jak zabawnie szedł on po peronie w Taszkiencie, wlokąc za sobą stopę tak, jak mamusia ciągnie opierającego się malca. Był tam też jeden spokojny, krótkowzroczny, z takich, co to lubią się uczyć, nazywali go Siergiejem, mówił, że jest ze szkoły muzycznej, umie grać na trąbce. Byli dwaj podobni do siebie jak bracia, obaj po zapaleniu wątroby, Anikin i Kułagin, rodacy z Penzy, jeden w dawnym życiu pracował w zieleni miejskiej, drugi po szkole nie umiał nic. I smutno było Matiuszynowi: oni myślą, że ich wyuczą i z każdego zrobią kucharza, żeby wszyscy mieli po równo, a on ani kucharzem nie chciał być, ani nawet dzielić z nimi w drodze powietrza – już całą dobę dusił go smutek.

O północy, kiedy dotarli do celu, światła dworca złowieszczo błyskały. Wysiedli w Karagandzie z na wpół pustego wagonu i od razu zobaczyli sterczący głucho z ciemności, jak armata, zielony tył wojskowej ciężarówki. Wiatr kołysał drzewami, które po ciemku miały barwę błota, błotem też pachniało wilgotne powietrze. Zdawało się, że Karaganda była taka od zawsze, przykuta do szarości, zimna, wilgoci. W oczekiwaniu na swój los marzli na zimnie i wietrze, stojąc na czarnym, jakby mokrym peronie. Po bezkresnej radości światła, ciepła zdawało im się, że znaleźli się w wilgotnej, wychłodzonej piwnicy, nie na ziemi, tylko w podziemiu.

Tam, dokąd zajechali, już ich nie witano. Dyżurny oficer trzymał przybyłych na zimnie przy ciężarówce, klął i upierał się, że karmić ich nie ma czym, położyć nie ma gdzie, że trzeba coś postanowić. Zakiełkowała nadzieja, że zostali tu przysłani omyłkowo, ale oficer, który przywiózł ich z Taszkientu, tę nadzieję zadeptał. Klął i upierał się mocniej od dyżurnego. Było jasne, kto tu wygra. Silny człowiek osiągnął swoje, słaby ustąpił, odszedł i łóżka jakoś same z siebie w nocy się znalazły. Po zapachu domyślali się, że znów są w jakimś lazarecie.

Wczesnym rankiem, o piątej, obudzili ich miejscowi, którzy usłyszeli nocą hałas i zachciało im się popatrzeć. Za oknem kołysał się na wietrze deszcz. Przyciągnęli dla nich gar wczorajszej kleistej solanki, ale smakowała im, chociaż była zimna, karmili tu lepiej niż w Taszkiencie. Dowiedzieli się, że trafili do pułku konwojowego, gdzie się normalnie

służy, a nie uczy na kucharzy. Czemu wysłano ich z konwojowego taszkienckiego do tutejszego takiego samego pułku – zrozumieć nie mogli. Z rana przychodzili do ich salki jacyś majorowie, oglądali ich w milczeniu jak chore, zakażone zwierzęta i wychodzili. Nowi nie ruszyli się jednak nigdzie przez cały dzień. Nazajutrz od rana zaczęto ich wozić po szarym, tonącym w deszczu mieście do jakichś szpitali: w jednym pobierano im krew do analizy, w drugim obmacywano brzuchy. Odwieźli ich z powrotem do lazaretu, dali obiad i znów powieźli na badania.

Potem ich rozdzielono: Husaka zabrali i już nie wrócił. Przepadli Anikin z Kułaginem, zabrano ich na nocleg do koszar. Wyjaśnić nikt niczego nie chciał, skąpiono najprostszych słów.

Następnego dnia wydawało się, że przyszli po pozostałych. Kazali wyjść na zewnątrz. Za drutami kolczastymi ciągnęły się pagórki hangarów, składów, a oni poboczem drogi brnęli za oficerkiem. Kiedy doszli do składu, przy którym nieruchomo oczekiwał otwarty furgon nabity wielkogłowymi świńskimi tuszami, oficerek wcisnął się w niziutkie drzwiczki.

– Glebycz, siłę roboczą zdobyłem!

– Uuuu... – z głębi, do której prowadziły żelazne schodki, dobiegł szmer aprobaty, a oni zeszli w dół i znaleźli się w zimnym kamiennym lochu, rozkosznie pachnącym pieczonym mięsem. Piekło to mięso na płycie rozchełstane poczciwe chłopisko, z miną, jakby dokonywało jakiegoś cudu.

– Od razu zajadasz? – przymówił się oficerek.

– Próbkę pobieram! A co to za jedni, skąd ich przywlokłeś?

– No, z lazaretu, niech popracują...

– Z lazaretu... No, rzecz jasna, robota leczy. Jak tam, synkowie? Widzieliście te zdechłe świnie? One was nie uświnią, nie bójcie się, najważniejsze, żeby nie pospadały: mięso – rzecz delikatna. Upuścisz, zaśmiardnie się.

Po godzinie pracy świnina, której tusze zostały zważone i w milczeniu zawieszone pod sufitem, spokojnie rumieniła się i skwierczała bez dymu ni

ognia na grubej jak brukowiec płycie. Póki się piekła, szef składu zdążył od jej zapachów zmięknąć i dlatego, zjadłszy kawałek, odrąbywał tasakiem i rzucał na patelnię następny potężny kęs, nie bojąc się żadnej zarazy, a kiedy żołnierze swoje odpracowali, z ostatniej patelni rozdał każdemu po kawałku, podobnym do pajdy chleba. Oficerka, zdaje się, brało obrzydzenie, ale i złość, kiedy tak patrzył na pieczyste i jedzących żołnierzy. Szef składu odpoczywał i zachęcał:

– Jedzcie, jedzcie, wy też ludzie jesteście, wam też witamin potrzeba.

– A jak będzie z nami? – ośmielił się spytać oficerek. – Ja zaczekam, zajrzę, jak się ściemni, a ty mnie, Glebycz, nie skrzywdź.

– No przecież nie skrzywdzę... Porządne chłopaki, bystre, znowu ich przyprowadź, bo już sił nie mam biegać, upraszać.

– A u nas to nawet zimą śniegu nie wyprosisz, tacy się ludzie porobili.

– No, takie już czasy, za wiele nie wypijesz. Mnie by się żołnierzyk do pomocy przydał, choćby jeden... A ci tutaj na co chorują?

– Tym to pora umierać, z Taszkientu nam podrzucili, tam się u nich gorąco zrobiło – powiedział z uśmieszkiem oficerek. – No a popatrz, pracują jak żywi. Ty do naszego pobiegnij, może on co pomoże, wtedy bierz, bo inaczej ich poślą w cholerę do kompanii, w kompaniach ludzi brakuje.

Szef składu przyjrzał się wszystkim trzem i skinął na Matiuszyna.

– Ty, jak się nazywasz? Chcesz do mnie, do składów?

– Nie, ja ze wszystkimi, my z powrotem, do Taszkientu.

– Chłopie, czyś ty głupi? Patrz, on do raju nie chce trafić – roześmiał się magazynier. – A kto go będzie pytał, dokąd on chce...

Oficerek po cichu zaprowadził ich do lazaretu. Kiedy usiedli na sali, Riebrow zerwał się, wrzasnął:

– Jaki Taszkient, z kim ty grasz?! To ty, skurczybyku, nie wiedziałeś, co powiedzieć? Ty za wszystkich nas powinieneś mówić, że my chcemy... słyszałeś przecież, oni ludzi nie mają... żeby on nas trzech wziął!

Matiuszyn przylgnął do ściany i patrzył w milczeniu, jak Riebrow się wścieka, ale boi się wdać w bójkę. Tamten zamilkł jakoś sam z siebie, zmęczył się. Trzeci z nich, ten, który umiał grać na trąbce, wieczorem zaryzykował, urwał się: dowiedział się od miejscowych, że jest w tym pułku kapelka, siedzą w klubie z trąbkami, więc uciekł do klubu. I też już więcej nie wrócił. A po nich zajechała podobna do furgonu z pieczywem ciężarówka z okutą skrzynią, jakiej Matiuszyn nigdy w życiu nie widział. Rozumiał, że wywożą ich na zawsze, i nie mógł znieść Riebrowa, jego obrzydłej mordy: spełniło się jego pragnienie, wieczne, podłe – być razem. Riebrow sam był przygnębiony, że wywożą ich we dwóch. Przy samochodzie palili zmęczeni żołnierze i ich dowódca.

– Karpowicz, jebana twoja mać! – uśmiechnął się jeden z żołnierzy, jakby rozpoznał znajomego, i utkwił natrętny wzrok w Matiuszynie.

– Odwal się, żłobie nieruski, czego ty mi chłopaków straszysz, gały wytrzeszczasz?! – objechał go poczciwy dowódca. – No, włazić do samochodu, jedziemy. Zeków wyładowaliśmy, polecimy z wiaterkiem w zawody. Palenie mamy, no, w porządku, palcie sobie, tylko pety przez lufcik. Szoferaka mamy surowego, w salonie nie brudzić. A w domu już porozmawiamy serdecznie. U nas, chłopaczki, dobrze jest, jak na łonie przyrody.

Wleźli do zimnego, żelaznego przedsionka tego kryminału na kołach. Całą skrzynię zajmowały dwie rozdzielone przegródką klatki zamknięte na zamki, kryło się w nich coś dźwięcznego, żywego. Ciemność prażyła ich bólem, głodem. Bił z niej nie zapach, ale smród, zgniły, ziemisty, jak ze szklarni. Żołnierz zatrzasnął za nimi drzwiczki i odszedł. Rozległ się dźwięk otwieranej bramy, maszyna wyjechała, skrzynią zaczęło rzucać, zazgrzytała, klatki zaczęły szczękać jak szklane naczynia. Riebrow milczał w swoim kącie jak zaszczuty. Matiuszyn podczołgał się do lufcika, odetchnął świeżym wiaterkiem. Krążyli po mieście, ale wkrótce powlekli się drogą przez posępny, przemarzły step.

Pozagryzaliby się wzajemnie, ale dawno już opadli z sił. Doczekali się chwili, kiedy za oknem zamigotał ogryzek stacji, zaleciało kolejowym

smrodem, przepłynęła szczerbata deska ni to domów, ni to jakichś składów, nie można było wypatrzyć w wilgotnej, zamglonej wacie powietrza. Po minucie zastygli w ciszy. Żołnierz otworzył drzwi, sam stanął z boku, tak jak przywykł, z automatem w ręku.

Wysiedli w koszarach, przy porządnym bloku, podobnym do domu mieszkalnego. Wokół nie było ogrodzenia, dziurawy płotek, tak samo jak step, porósł trawą. A na wprost, jakieś trzysta metrów dalej, łatając dziurę w niebie, wznosiła się i ciągnęła brudnobiała ślepa ściana. Na jej gołym szczycie sterczały jak bocianie gniazda budki strażnicze, tkwili w nich wartownicy jak ptaki. Ci zobaczyli z góry, jak na podwórze wjechał samochód i wysadzono z niego dwóch nieznanych ludzi – wymachiwali rękami, krzyczeli na całe gardło. Słychać było daleki gwizd stacji. Garbami sterczały w stepie dachy osiedla. Z koszarowego bloku wyskoczyła naprzeciw i otoczyła przybyłych ciepła rodzinka żołnierzy. Wszyscy podobni do siebie jak dwie krople wody, gapili się na Matiuszyna i błyszcząc ognikami oczu, śmieli się na różne głosy:

– Nowy Karpowicz przyjechał!... Braciaszek Karpowicza! Do Karpowicza braciaszek przyjechał!

Poczciwy dowódca, podstarzały, siwowłosy, który wywiózł ich w suce z Karagandy, był tu starszym sierżantem. Matiuszyn usłyszał jego nazwisko: Pomogałow.

Siedział w innym pomieszczeniu, w otwartej na oścież kancelarii, gdzie zasnął jak zabity przy swoim stole, a wszyscy obecni w koszarach zabijali czas do capstrzyku, nie ruszając się z baraku. Mówili tylko o przeszłości, każdy chętnie wspominał. Matiuszyn zapamiętał nazwisko jednego z tych żołnierzy, Dybienko, i opowieść, ni to jego, ni to któregoś innego, o zgwałceniu dziewczyny w jakimś mieście. Dybienko siedział w środku i – zdawało się – rządził w baraku. Był półnagi, szył coś, dorodny, zwalisty. Tymczasem żwawy ryży żołnierz, z którym rozmawiał jak z równym – pokazując reszcie, że go nie poniża, tylko po prostu przyucza do pracy – prasował mu spodnie. Po niezrozumiałych okrzykach w chwili przyjazdu

więcej się do nowo przybyłych nie odzywano. Riebrow starał się wtrącić do ogólnej rozmowy, ale słuchano go w milczeniu, odwracając od niego wzrok. Żołnierze zaczęli wymykać się z baraku i wtedy odezwał się Dybienko. Odwrócił się leniwie do Matiuszyna, wskazał ruchem głowy odsłonięte ramię, na którym zobaczył dziargankę, i zapytał:

– Ty co, samobójca? Na zonie cię z taką dziarą zabiją.

– A idź do...! – zaklął bez namysłu Matiuszyn, który miał dość siedzenia w baraku i tego, że się na niego gapią.

– No, wybacz – powiedział niezręcznie Dybienko. – Zrozum, u nas takich wzorów się nie nosi. Jakieś ludzkie imię przynajmniej masz?

Matiuszyn opanował się, przedstawił.

– No, skoroś ty Wasilij, to się dogadamy, ja też Wasilij. Ale więcej miechem bez namysłu nie rzucaj. Tu jest zona, za język się tu odpowiada. Powiedziałeś, to jakbyś zrobił, życia pozbawiłeś albo tego... straciłeś.

Dybienko to pochmurniał, to się uśmiechał. Podał Matiuszynowi igłę i – nie brzydząc się – maszynkę do golenia, ale odezwał się zwyczajnie, już za nic nie przepraszając:

– Częstuj się za darmo, samobójco, a popsujesz, to będziesz mi musiał dwie takie zwrócić, albo umieraj. Pożyczyłeś, to wiedz, jak się mnie spłaca.

Tę cudzą igłę i maszynkę zaczął od Matiuszyna z kolei wypraszać Riebrow, ale bez skutku, więc ruszył w głąb sypialni, zaczepiając żołnierzy. Sypialnia była wielka, po prostu sala. Pustych łóżek mnóstwo. Każdy kładł się, gdzie chciał, ale Matiuszyn już się dowiedział, że puste łóżka należą do tych, którzy odbywają dobowy dyżur na warcie przy zonie. Jutro do zony pójdą ci drudzy, z tamtymi zdążą tylko wymienić spojrzenia. Matiuszyn zajął kąt i łóżko koło Dybienki, ten go zawołał i po ciemku długo, dokładnie go wypytywał i wesoło opowiadał o sobie. Okazało się, że był w pułku podoficerem służby nadterminowej, zdegradowano go i zesłano tutaj za to, że po pijanemu gdzieś na strychu rzucił w portret Breżniewa makaronem, którym zakąszał... Kiedy Dybienko znużył się i zaczął przysypiać, Matiuszyn przypomniał sobie te okrzyki o jakimś Karpowiczu, którymi go obrzucono, i jeszcze zdążył o nie zapytać.

– Aaa... jest tu takie jedno dziwadło... Trzymaj się z dala, bo się ubrudzisz...

Nadszedł ranek. W sypialni pojawił się oficer – młody, smagły, zgrabny: mijał żołnierzy, nie podchodząc do nich blisko, brzydził się. Przyglądał się wszystkim w milczeniu. W sali zaczęło wrzeć niczym w kadzi do fermentacji. Nowi, opuchnięci z senności, szli tam gdzie wszyscy. Robili to co inni. Na dworze, dokąd wytoczyli się półnadzy, wpił im się w skórę mróz i Matiuszyn oprzytomniał od niego jak od bólu. Brudnobiały wysoki mur nadal sterczał zastygły w stepie, kamieniejąc od wilgoci. Na jednej z wyżek czerniał zakutany w pelerynę wartownik, dalsi ginęli we mgle podobnej do zabłąkanych chmur, które spadły z nieba.

Po zwykłym porannym zamieszaniu i prawie domowym śniadaniu – w na wpół pustej jadalni wielkości sali tronowej, o ścianach pomalowanych olejno w kwiatki, w cieple mocno pachnących farbą – ciągnący się od pobudki czas zamarł. Żołnierze poszli do pracy, z sytego gwaru ich rozmów wynikało, że do zony. Nowo przybyłych zaś oddzielono, zostali z jednym dyżurnym żołnierzem w ucichłej, przez wszystkich opuszczonej sypialni. Co mają robić, nie powiedziano. Oni też wyglądali, jakby pełnili jakiś dyżur, nie znajdując sobie miejsca w tej pustce. Ale zaczął ich po jednemu wzywać do siebie oficer, który też został w koszarach.

Oficer siedział przy stole, a Matiuszyn naprzeciw niego na stołku, daleko od stołu, jakby wystawiony na pokaz. Tamten, siedząc w tych czterech ścianach, wydawał się ni to samotny, ni to bardzo ważny. Zadawał kolejno proste właściwie pytania, chciał dowiedzieć się czegoś o jego rodzinie, o przeszłości, ale Matiuszyn w odpowiedzi skarżył się tylko uparcie, że trafił do tego pułku przez pomyłkę i powinien być odesłany z powrotem do Taszkientu. Spędził w tej nie swojej kompanii niecałą dobę, ale przez to, jak go przezywali, jak się na niego gapili i wytykali palcem jak jakiegoś potwora, poczuł się tak samotny, że z przygnębienia mógł myśleć tylko o sobie. Zawarłszy z nim tego rodzaju znajomość, przystojny, męski oficer poczuł zapewne obrzydzenie, bo odesłał go z gabinetu, patrząc nań jak na puste miejsce. Matiuszyn zdawał sobie sprawę, że oficer nie miał z niego

żadnego pożytku, więc obojętnie, jakby osuwał się pod wodę, wyszedł. Dziwiło go tylko nazwisko tego człowieka – Armand, i to, że w tak młodym wieku był, jak się okazało, zastępcą dowódcy kompanii do spraw politycznych.

Żołnierze wrócili z pracy zmęczeni, ze złością rozglądali się za obiadem. Jeden burknął, że ci, co nie pracowali, mają jeść tylko czarny chleb, biały im się nie należy. Po obiedzie rozległ się nieoczekiwanie capstrzyk: nakazano spać w biały dzień. Kłaść się do łóżka było dziwnie, jakby samemu wciskać się do pudełka. Zmęczeni żołnierze zasnęli, a po pobudce, o szóstej, ruszyli do zony.

Podobna do klatki zbrojownia, której ścianę zastępowała krata z grubych prętów, mieściła się tutaj, w głębi sypialni. Pobrawszy broń, żołnierze przechodzili przez sypialnię, między rzędami pustych łóżek. Automaty były czarne, drewno kolb odrapane. W oczy lazły puste łóżka i czarne automaty, nie ludzie. Wczorajszy poczciwy sierżant Pomogałow szedł do zony jako dowódca. Do koszar przyszła z nim z osady dziewczynka, jego córka, owinięta ciepłym szalikiem. Trzymała się ojca i rozweselała żołnierzy, ale wcale się ich nie bała. Dowódcy udawało się jednocześnie przytulić córkę i nakrzyczeć na żołnierzy. Kiedy ci ustawili się na dziedzińcu, ona sennie tuliła się do nóg ojca, a on gdzieś wysoko nad nią wydawał ostatnie zalecenia. Żołnierze pomaszerowali drogą w stronę zony, ale cały środek ich kolumny trzymał się nieco z tyłu – z szacunku dla maleńkiej córeczki naczelnika, która brnęła nóżkami w błocku w ślad za ojcem.

Po pewnym czasie ukazał się na drodze zluzowany w zonie pluton. Ci szli dosyć luźno i podchodząc, wrzeszczeli. Władowali się z automatami na dziedziniec i rozsypali po nim pojedynczo. Dziedziniec natychmiast pokrył się pstrokacizną twarzy, różnobarwnymi nierosyjskimi głosami. Jedni, pokrzykując, pobiegli jak kaczki za budynek koszar. Inni znikli w środku albo rzucili się bratać z rozleniwionym, sytym dyżurnym i rozchwytywać jego dobre papierosy. Matiuszyn z Riebrowem wydostali się z sypialni, dołączyli do tego plutonu i kręcili się po dziedzińcu, niby razem ze wszystkimi.

– Karpowicz, o, masz tu braciaszka – rozległy się zadowolone głosy.

Wołali stojący nieco na uboczu nieruscy. Przyglądali się i czekali, poganiając kogoś, kto był niewidoczny pośród ich pstrokatej zbieraniny. Matiuszyn wpijał się wzrokiem w tę zbieraninę, szukał podobnego do siebie, ale wyłonił się ktoś uśmiechnięty, grubowargi, krągłolicy, przypominający kucharza z obrazka. Rozłożył wielkie łapska i jakby od dawna już tęsknił za Matiuszynem, szybko go objął.

– Witaj, braciszku, słyszałem o tobie – powiedział śpiewnie w obecności wszystkich. – Czekałem i doczekać się nie mogłem, żeby się z tobą przywitać. Jak się urządziłeś? Jak ci się żyje?

Wokół żołnierze się śmieli. Ten żołnierz był tu pośmiewiskiem. Dlatego mówił tak głośno, tak obleśnie – zabawiał ich, robił to, czego się po nim spodziewali, ale też przypochlebiał się Matiuszynowi, który wwiercał się w niego złym i jednocześnie nieprzytomnym wzrokiem.

Wasia dobrze pamiętał, co powiedział mu w nocy Dybienko, ale stał przed nim nie ten, kogo się spodziewał, przez całą dobę zgryziony i zły. Był to normalny człowiek. Żałosny przez to, że się poniżał, ale też silny cierpliwością i po prostu duży, mocno zbudowany, silny.

Na dziedziniec weszło oddzielnie jeszcze dwóch: malutki krzywonogi podoficer i dumny surowy żołnierz, trzymający przy nodze, na smyczy, równie groźnie wyglądającego, ale żywo kręcącego łbem owczarka, którego ciągnęło do ludzi. Przechodzili bokiem, mimo to żołnierz odwrócił się i krzyknął:

– Karpowicz! Za mną!

Żołnierze ponuro zamilkli. Dziedziniec odetchnął spokojem.

– No, nie zapominaj przyjaciela. – Karpowicz się uśmiechnął i dodał szybko: – Wieczorem przejdziemy się z dala od nich, tam gdzie spokojniej. Zwłaszcza ja.

Pobiegł raźno, dogonił tamtych i już w trójkę skryli się za budynkiem koszar. Ale bulgotało w nim coś chorego, zdechłego, przez co robiło się go żal. Tak poruszają się ludzie z rupturą – ciężko, przytrzymując ją ręką.

Matiuszyn zdążył zobaczyć skamieniałe blizny na cholewach jego butów, identycznych potworów jak te, które on sam wlókł na swoich nogach. Buty Karpowicza też zostały kiedyś rozprute, a potem zszyte ni to drutem, ni to szpagatem. I Matiuszyn pojął, że rozpoznawali w nim tego żałosnego człowieka właśnie po tych butach.

Zrozumiał, więc na apelu był już spokojny. Stał na skrzydle, obok Karpowicza. Na kolacji też zajęli miejsca obok siebie, według wzrostu. Karpowicz wyjadał niczym gąsienica przezroczyste listki białego chleba. Śmiano się z niego, pewnie jak zawsze, a on zajadał, zadowolony. Biały chleb jedli nie wszyscy siedzący przy stole, tylko sześciu lub siedmiu z całego plutonu, i z jakiegoś powodu takie prawo przysługiwało także Karpowiczowi. W sypialni Matiuszyn poprosił go o brzytwę i igłę z nitką. Jedno i drugie natychmiast się znalazło i Karpowicz szepnął:

– Ja od razu poczułem, mówię szczerze, bratnią duszę. Sam też się nacierpiałem, ale oni nic nie zyskali, tak że, braciszku, nie przejmuj się.

Mówił tak, jakby był śledzony. Przed capstrzykiem Matiuszyn oddał mu wszystko, co od niego wziął. Do kącika, w którym nocowali z Dybienką, powrócili wartownicy z dobowego dyżuru. Zostawszy bez łóżka, Wasia poszedł do Karpowicza, który wiedział, gdzie można się położyć. Wszyscy starali się trzymać razem, leżeć przy kimś. Widać było, jak Riebrow się uwija, komuś usługując. Już w nocy obudziła Matiuszyna jakaś głośna rozmowa. Dojrzał po ciemku, że kogoś wyciągają z łóżka i zabierają. I spokojnie zasnął. Nadszedł poranek. Po sypialni przechadzał się ten sam oficer co wczoraj.

Podczas porannego apelu Armand kazał Pomogałowowi pozostawić nowicjuszy w szyku, po czym wyruszyli z całym plutonem. Kiedy dochodzili do zony, zimne niebo pokryło się nagle drżącym błękitem i oślepiły ich błyski słońca, odbijające się w tym chłodnym powietrzu jak w wodzie. Weszli hurmem do głuchej, betonowej skrzyni podwórka, zajrzeli boczkiem w otwartą na oścież ciężką bramę wartowni i pomaszerowali rządkiem do wyrwy w starym łagrowym ogrodzeniu, zza którego wyzierały drewniane belki, pordzewiałe żelazne szyny i sterczały

góry piasku. Żołnierze mieli już przydzieloną pracę, rozsiedli się i zapalili. Dowodził wszystkimi maleńki podoficer, Chińczyk. Pozwoliwszy wojsku nic nie robić, wziął Matiuszyna i Riebrowa, zaprowadził w puste miejsce, gdzie kończyły się prace remontowe i skąd posępnie ciągnął się gdzieś w dal piaszczysty, porośnięty kępkami zielska pas ziemi. Oficer połaził tu trochę, kręcąc swoją zmyślną, pomarszczoną mordą, powzdychał, poskrzypiał piaskiem i kazał im czyścić ten pas z trawy.

Matiuszyn wlókł się wzdłuż ogrodzenia, odkopując kępki butami. Riebrow grzebał się w piasku, starał się, pracował, posuwał naprzód, ale chociaż usiłował sprawiać wrażenie, że pracuje samodzielnie, wkrótce nie wytrzymał i zawołał:

– Rób coś, kurwa! Szybko! Ja nie chcę tu przez ciebie szacunku ludzi tracić! Ja siebie szanuję!

Wzięli się za łby na dobre, upadli. Turlali się po suchym piasku, gryźli, dusili nawzajem. Wartownik z wyżki zauważył to i wywołał zza ogrodzenia Chińczyka. Ten przybiegł zasapany z pochwyconym po drodze kawałkiem kabla i dobiegłszy do nich, bez słowa zaczął ich okładać. Uderzenia tego świszczącego kabla parzyły gorzej od ognia. Zerwali się po pierwszym uderzeniu, ale Chińczyk wciąż zaciekle krążył wokół nich i bił, w ogóle się nie odzywając. Potworny ból podziałał jak ostroga i zmusił do ucieczki. Chińczyk nie odpuszczał, gnał obu do samego końca, gdzie zgodnym rechotem przywitało ich wojsko.

Resztę dnia pracy Matiuszyn odwalił z Karpowiczem, popalili na jego konto, wbili w ziemię jedną żelazną belkę, bo Karpowicz, kiedy jeszcze pracował sam, zdążył wykopać jamę. I wtedy Matiuszyn pierwszy raz w życiu zobaczył żywego zeka. Brygadę więźniów, spawaczy, wyprowadzono na budowę. Przyspawywali haki do przygotowanych żelaznych belek. Sypały się ogniste iskry, a okopcone ciała zeków to wyłaniały się spod iskier, to z powrotem kryły się w ich deszczu. Nagle jeden wychynął na zewnątrz, wziął na plecy wiązkę żelaznych prętów i poniósł, uginając się pod ich ciężarem. Uśmiechał się i z odległości dziesięciu kroków patrzył na Matiuszyna, nowego, nieznajomego

żołnierzyka, który stał mu na drodze. A ten zobaczył tylko, że zek ma wszystkie zęby metalowe, a potem – nie zapamiętawszy twarzy, bo zek sunął koło niego jak żywy kłębek z żył i mięśni – dostrzegł na jego piersi dziargankę: diabły gotujące się w kotle. Przez chwilę wydało mu się, że są żywe. Zek szedł naprzód, a diabły w kotle szarpały się i czołgały. Kiedy poczuł, że żołnierz mu się przygląda, nabrał śmiałości i nie patrząc na niego, zachrypiał:

– Rozejść się! Daj drogę!

Po obiedzie i poobiedniej ciszy ten pluton poszedł do zony, skąd wrócił drugi, tamten z Dybienką. Spotkali się z nimi jak przyjaciele, objęli. Strażnicy z tej łagrowej kompanii obejmowali się, jakby się całowali: ściskali sobie ręce, wolną dłonią brali się za ramiona, przykładali policzek do policzka, najpierw jeden, potem drugi.

Dwa dni później Matiuszyna posłano do pracy pod wyżkę Dybienki. Ten zachowywał się, jakby był jej panem. Dobył spod sufitu budki strażniczej mocną deskę, ułożył ją w poprzek, usiadł, prostując plecy tak, by się zdawało, że stoi. Od czasu do czasu rzucał z góry krzątającemu się w dole Matiuszynowi jakieś słówko, to znów nagle wszczynał rozmowę nie wiadomo z kim, patrząc przed siebie, gdzieś w zonę. Matiuszyn, siedząc w dziurze przy ogrodzeniu, słyszał te głosy. Nad ogrodzeniem poleciało z łagru na wyżkę szmaciane zawiniątko, ale nie upadło, pewnie było w nim coś ciężkiego, i Dybienko je złapał.

– Dobra, jazda! – krzyknął do kogoś, rozwinąwszy szmatkę i odwróciwszy głowę w kierunku wolności.

I do zony poleciał worek w kolorze ochronnym, potem jeszcze jeden.

– A ty się nie gap, na ciebie jeszcze nie czas! – ryknął do Matiuszyna, widząc, że ten zamarł pod wyżką i patrzy.

Za wyżką huczała i stukała niewidzialna stacja. Jednocześnie, jak według zegara, wyły kolejki elektryczne. Dybienko milczał, rozmyślał, patrzył tępo w głąb zony, a potem ożył.

– Słyszysz, nikogo nie ma, leć na stację do magazynu, przynieś obwarzanków. Ty przecież półtrup jesteś. No, spłacaj dług! I nie pękaj, nie

będziesz pierwszy, inni już latali. Skacz na ogrodzenie!

Ogrodzenie łagru przypominało sterczącą ku niebu tratwę. Dybienko na wszelki wypadek dodawał mu otuchy, obojętny na wszystko oprócz obwarzanków. Wyciągnął zwinięty w tutkę dopiero co zarobiony rublowy papierek. Pokazał niziutki, brudnawy domek na stacji, przy którym leżała pod otwartym niebem bezpańska kupa węgla i rosły w górę jak miotły długie, dziwaczne drzewa. Matiuszyn już siedział na ogrodzeniu, obejrzał się niespokojnie, nie zobaczył nigdzie ludzi w pagonach, więc zeskoczył w rosnący za łagrem burzan.

W sklepie nikt się nie zdziwił na widok żołnierza. W kolejce stały baby. Po deskach podłogi biegały potężne karaluchy. Wprost na ladzie drzemał kot, najwyraźniej ulubieniec zadumanej, starszawej sprzedawczyni. Matiuszyn odstał swoje w kolejce, sztywniejąc, kiedy za plecami otwierały się i zatrzaskiwały drzwi, po czym wyszedł, chowając przemarzłe ręce w pachnącej mufce z obwarzanków. Przebiegł szybko pustą przestrzeń i napakowawszy za pazuchę obwarzanków do pełna, z jeszcze większym wysiłkiem, mając wypchany bandzioch, przelazł z powrotem do zony.

Nadszedł lipiec. W połowie miesiąca zamiast deszczów przyszły upały, ale stepowe, z hulającymi wiatrami i przejmującym chłodem nocy. Okazało się, że na początku miesiąca oficerowie rozjechali się na urlopy. W kompanii pozostał Armand i starszy sierżant Pomogałow, którego młody zastępca do spraw politycznych najwyraźniej nie lubił.

Matiuszyn całkiem mimo woli spodobał się Armandowi na strzelnicy. Umiał strzelać, bo tak go zabawiano, kiedy odwiedzał ojca na służbie – dawano mu postrzelać, to z pistoletu, to z automatu. Kiedy strzelał po raz pierwszy, jeszcze jako mały chłopiec, wydało mu się, że ogłuchł, i jeszcze długo nie rozumiał, co się stało. Otumaniony hukiem, jakby to w niego bił automat jak w żelazną beczkę, następnym razem strzelał już jak rutyniarz, wiedział, że automat wymaga siły, ale tyle, ile zwykła maszynka do mięsa. Tak też było na strzelnicy: po prostu przycisnął kolbę mocno do siebie, zobaczył cele, wziął w myśli każdy na celownik i usłyszawszy komendę

oficera, zaczął strzelać. Wszystkie cele zostały trafione. Kiedy strzelanie się skończyło, Armand głośno go pochwalił przed frontem plutonu. Potem nagle podszedł do jednego podoficera, Tadżyka, wziął od niego automat, nie położył się, tylko zaczął strzelać w pozycji „stojąc”. Wystrzelał po kolei prawie dwa pełne magazynki i długimi seriami skosił te same cele. Tadżyk stał bez ruchu z kamienną twarzą. Polityczny, skończywszy zabawę, rzucił mu na ręce niepotrzebny już automat. W koszarach, gdy żołnierze czyścili broń, ten podoficer cisnął swój automat z zakopconą lufą na podłogę i rozpłakał się ze złości, nikogo się nie wstydząc, a Matiuszyn usłyszał, jak przeklina młodego oficera:

– Armand, zdechnij twój mama, zdechnij twój ojciec... Dzieci twoje niech zdychają... – Po czym pogodził się z tym, co zrobił mu ten człowiek, jaki ból zadał, i otarł łzy.

Wieczorem tego dnia do zony wychodził pluton Pomogałowa, ale polityczny zostawił starszego sierżanta w kompanii i siebie wyznaczył na dowódcę warty. Każde jego pójście na wartę było czymś szczególnym, a teraz na służbę wstępowało dwóch nowych żołnierzy. To wydarzenie nikogo nie cieszyło. Matiuszyn pobrał w zbrojowni automat, ustawił się ze wszystkimi na placu, ale dowiedziawszy się, że idą na służbę z Armandem, poczuł się jakoś zniewolony, czegoś winny. Wartownia okazała się podobna do ula, nawet wewnątrz wszystko było jakby nawoskowane i pachniało spokojem.

Przed wyjściem oddziału do zony Armand kazał wszystkich obszukać, jakby nie szli pilnować zeków, tylko sami byli zekami. Po co ich przeszukiwali, Matiuszyn nigdy nie zrozumiał – przecież wychodzili z wartowni tak, jak przyszli, tyle że pod bronią. Postawiono go na „trójeczce”, tak nazywali tę wyżkę, bo wśród wyżek na obwodzie łagru miała numer trzeci. Było to ciche, błotniste miejsce w pobliżu pracującej w łagrze fabryczki. Jednak oprócz okopconej ściany owej fabryczki Matiuszyn nie zobaczył nic. Zona była otoczona murami, nie było jej widać nawet z wyżki. Za drugim razem, nocą, czarne błoto wokół fabryczki powitało Matiuszyna głuchą ciszą, jeśli nie liczyć szumu powietrza.

W świetle reflektorów widać było tylko ogrodzenie. Źle słyszał i każdy cień wydawał mu się czymś żywym. A potem zaczęły majaczyć wśród nocy również jakieś dźwięki – odgłosy biegu, stuki, kroki.

Po pewnym czasie zobaczył na drodze z wartowni, już blisko wyżki, dwa cienie, kroków nie słyszał, ale po chwili rozpoznał na jednej z głów czapkę oficerską i zrozumiał, że należy ona do Armanda. Oficer wdrapał się na wyżkę i spytał, czemu nie powitano go okrzykiem, i podejrzliwie, ze złością patrzył na Matiuszyna, nie wierząc, że ten ich widział, tylko zapomniał zawołać. Półżywy ze strachu odstał swoją wachtę i wrócił do wartowni, dręcząc się własną głuchotą i bojąc się teraz do niej przyznać. Ale po tej nocy trafił do izby dowódcy warty, skąd Armand nie wypuszczał go do rana, kontynuując nocne przesłuchanie. Matiuszyn leciał z nóg ze zmęczenia i braku snu, dlatego, niewiele myśląc, powiedział prawdę: przeszkodziła mu głuchota. Młody oficer polityczny słuchał go, ale z jakiegoś powodu się krzywił, a w końcu przerwał mu w pół słowa i gestem kazał wyjść.

Spędziwszy na warcie całą dobę wypełnioną męczącym, długim oczekiwaniem, Matiuszyn zdążył pogodzić się z przeżyciami poprzedniej nocy i już żałował, że poskarżył się na swoją przypadłość. Jednak Armand, niezależnie od tego, czy zapomniał o tym incydencie, czy nie, później co najwyżej od czasu do czasu popatrywał na Matiuszyna z ukosa, więc można było pomyśleć, że słowa wypowiedziane w pokoju dowódcy warty rozpłynęły się bez śladu.

Zona z trudem zrzucała starą skórę, odnawiała się. Trwał wielki remont: razem ze słupami zwalano dawne ogrodzenia z drutu kolczastego. Przywieziono nowy drut; ogromne stalowe zwoje budziły podziw żołnierzy i zeków. Zamiast drewnianych słupów stawiano żelazne belki z hakami. Stare ogrodzenia, z których słupy wyciągnięto jak ości z ryby, zaczęto zwijać. Wyglądało to, jakby z drutu lepiono jakieś kłębki. Zwijali te druciane wstęgi szerokości prawie trzech metrów i wkrótce taki kolczasty, zardzewiały zwój robił się wyższy od człowieka. Kiedy już całkiem nie

dawał się dalej zwijać, odcinano końce drutu i zaczynano skręcać nowy zwój.

Więźniowie mieli dokończyć spawanie ogrodzenia. Kiedy więc Matiuszyn został zluzowany na wyżce, Pomogałow zabrał go ze sobą. Sam pilnował, żeby zecy pracowali, Matiuszyn zaś z automatem siedział z boku i przyglądał się. Sierżant spocił się bardziej od tych, co pracowali, i w końcu cieszył się z całego serca, że tamci zdążyli się uporać z robotą. Mieli brygadiera, który prawie nie pracował, ale wszyscy go słuchali: leżał w cieniu pod wyżką zawinięty w buszłat, jakby był chory, i ze swojego miejsca porozumiewał się z brygadą. Poprosił Pomogałowa, by przed odejściem do zony pozwolił im zaparzyć z herbaty czifiru, ten się zgodził i przysiadł się do nich, kiedy z porozrzucanych wszędzie szczap zaczęli robić ognisko. Matiuszyn siedział jakieś pięć kroków od ognia i dziwił się, jak po koleżeńsku starszy sierżant rozmawia z zekami, nawet się śmieje, a oni szybciutko sobie podchmielili, puściwszy w krąg okopconą blaszankę.

Służba przy łagrze kusiła swobodą. Żyło się tu samotnie, spokojnie. Matiuszyn, odkąd zaczął pełnić służbę na wyżce, nieoczekiwanie odwykł od ludzi, bo całą dobę stali na warcie i spali pojedynczo jak wilki, potem wracali do opustoszałej już sypialni i chcąc nie chcąc, znów żyli jak wilki – nocowali, jedli, znowu spali, potem odchodzili, zostawiając swój barłóg innym, których widzieli tylko przez dziesięć minut na podwórzu przed wartownią, kiedy przejmowali z rąk do rąk, jak cegłę, ochronę zony. Każdy przed każdym miał jakąś tajemnicę, kryli się. Po służbie milczeli głucho, niemal zatykali sobie usta. Przez te ukrywane przed swoimi tajemnice wartownia zdawała się ciemna, senna, ale ciemność w jej głuchych, pozbawionych okien pomieszczeniach była odwieczna.

Matiuszyn znał już całą przyległą do łagru okolicę, ale samego łagru nie sposób było objąć wzrokiem. To sprawiał wrażenie jednolitej ściany, stał jakoś kanciasto, jakby pchał się ryjem naprzód, to znów wydawał się wręcz kulą, czymś, czego nie można było ogarnąć wzrokiem. Ale nawet jeśli to kolisko miało kilometr średnicy, a tyle właśnie miało, to Matiuszyn z wyżki widział tylko pustą zakazaną strefę i niską ścianę fabryczki, strefy roboczej,

reszta zaś była gdzieś schowana. Na pustej przestrzeni, tuż przy zakazanej strefie, piętrzył się stos metalowego złomu wyrzuconego z fabryczki. Matiuszyn dawno zauważył z wyżki bezpańską żelazną beczkę, która stała zawsze w jednym i tym samym miejscu, a nocami zwidywało się, że ktoś się w niej kryje. Na jego zmianie dwóch zeków kręciło się w ciągu dnia przy beczce, ale niespodziewanie strzelił z niej płomień i buchnął czarny dym. Matiuszyn oprzytomniał, kiedy zobaczył dym, ogień i zeków, którzy już stali przy beczce i nie odchodzili, jakby się grzali. Czyżby kazano zekom spalić odpady fabryczne? Ale oni niczego nie palili, a latem nie było tak zimno, żeby się grzać. Tamci stali i patrzyli, a beczka dymiła. Matiuszyn wziął do ręki ciężką słuchawkę telefonu sieci łączności straży i zameldował do wartowni. Po jakimś czasie z otwartej bramy fabryki wybiegł strażnik w mundurze. Podbiegł do zeków i widać było, że zaczął z nimi rozmawiać. Ale nagle jego ramię gwałtownie wyprostowało się w łokciu i zek, którego uderzył, zwalił się na ziemię. Kontroler zaczął obchodzić go w koło i kopać. Drugi zek stał z boku i obojętnie na to patrzył. Kiedy kontroler odszedł, pobity się podniósł. Przez chwilę stał, a Matiuszynowi się wydawało, że tamten, stojąc, patrzy z daleka na niego, na tego, który widział wszystko z wyżki. Potem się zakrzątnął, leniwie zaczął nabierać piasku spod nóg, podchodził do beczki i po garści rzucał w ogień. Gasił. Kiedy zgasił, powlekli się obaj do fabryki i już nie wrócili.

Pierwszego sierpnia przywieziono do kompanii wypłatę. Wydawali ją w kancelarii, a że pluton był przydzielony do zony, żołnierze zabierali ze sobą pieniądze do wartowni jak martwy ładunek. Namówili Pomogałowa, żeby choć jednego człowieka puścił do sklepu w osiedlu po cukierki i papierosy, bo inaczej całą dobę wypadnie czekać. Matiuszyn tak bardzo chciał jak najszybciej zapalić, że zgłosił się na posłańca.

Do osiedlowego sklepu spożywczego było z zony dwieście metrów, wystarczyło przejść przez drogę. Wszedł do sklepu i jakoś od razu poczuł zapach kiełbasy, a widząc, jak wala się na ladzie, nawet zatrzymał się zdziwiony. W kolejce od razu nabrali do żołnierzyka sympatii, zaczęli na siłę przepuszczać go pierwszego, żeby wybrał, czego mu trzeba.

Sprzedawczyni czekała na niego z uśmiechem. Podał jej składkowe pieniądze i poprosił o kilo cukierków czekoladowych i papierosy, a jednocześnie nie mógł oderwać oczu od kiełbasy, która połyskiwała tłustym, wrodzonym pięknem. Natychmiast pozwolił sobie pomyśleć, że mógłby wziąć choć kawałek. Sprzedawczyni obsłużyła go i czekała, co jeszcze powie, widziała, że gapi się na kiełbasę. Ludzie zaczęli go zachęcać:

– Dobra kiełbaska, żołnierzyku, dobra, celinogradzka!

I sprzedawczyni też doradzała:

– Bierz, kochaneczku, zajadaj!

Odejść bez kiełbasy już nie mógł. Wstyd mu było skąpić przy ludziach i na nic niepomny poprosił o kilogram, ale kiedy sprzedawczyni ważyła, zobaczył biały chleb, mleko i one razem z kiełbasą wlały w jego duszę taki spokój, że już bez namysłu zapłacił i za nie.

Wyszedł ze sklepu jak w głodowym śnie, obładowany jedzeniem, ale z rozpaczą się zorientował, że powinien teraz wrócić z kiełbasą do wartowni, skąd go dopiero co wypuścili, żeby pobiegł do sklepu. Obejrzał się i ukradkiem pomaszerował przez osadę, wypatrując, gdzie mógłby na chwilkę się schować, ale przeszedł ją całą i znalazł się w stepie, wśród ogrodów. Tutaj zobaczył jakiś ni to okop, ni to lej i schował się tam na dnie, na suchej ziemi, czując już niepokój, jakby go ścigali. W pierwszej chwili rzucił się żarłocznie na jedzenie, pochłaniał chleb, dławiąc się nim – był wciąż głodny, kiedy została mu ledwie połowa, ale wnętrzności opierały się jedzeniu. Chleba nie dojadł, porzucił w jamie, ale mleko mimo wszystko wlał sobie w gardło, po czym wygrzebał się i zataczając jak pijany, bojąc się sam siebie, polazł z powrotem przez wymarłą osadę do wartowni. W ręce trzymał z obrzydzeniem torbę wspólnych cukierków czekoladowych. Nie mógł widzieć swojej sinej od zatrucia twarzy, ale w wartowni, gdzie dopiero wtedy sobie o nim przypomnieli, Pomogałow zajął się nim tak energicznie, że Matiuszyn mimo woli nakłamał, że w sklepie źle się poczuł. Wtedy Pomogałow przyczepił się do niego

i postanowił leczyć go nadmanganianem potasu, który rozpuścił w całej karafce wody, tłumacząc:

– Najpewniejszy środek i w ogóle dobrze jest wyrzygać, cały organizm się odnawia. Jogini podobno po sto lat żyją, a dlaczego? Zjedzą ziarenko i jak koteczki kulturalnie wyrzucają z organizmu. Od niego, od nadmanganianu niby, od razu człowiekowi ulży. No, jełopie, czegoś gały wytrzeszczył, pij, mówię!

Matiuszyn wlał w gardło szklankę, ale Pomogałow przyjął to niemal z urazą i kazał pić więcej, pół karafki. Po izdebce dowódcy kręcił się Chińczyk, czekał, bo miał coś odnieść do kompanii, i starszy sierżant wezwał go na pomoc, żeby odprowadzić padającego z nóg chorego do ustępu.

– Dwa palce w usta i walcz o życie! – pokrzykiwał raźnie. – A ty patrz, żeby on mi tam z głową nie wpadł.

Chińczyk cierpliwie pomagał – podpierał Matiuszyna ramieniem, nie dawał mu upaść i sapał. Chociaż nie miał ochoty się powalać, przemógł się i pomagał do końca. Przestraszył się jednak i zamarł, gdy z Wasi chlusnęło białym chlebem i niepogryzioną kiełbasą. Kiedy Matiuszyn uniósł mokrą z wysiłku twarz i westchnął, Chińczyk stał o krok od niego, milczał i tylko czekał, żeby go wyprowadzić. A on gotów był umrzeć, byle więcej stąd nie wychodzić, bo w surowym spojrzeniu maleńkiego podoficera czytał, że w oczach całego wojska podpisał na siebie wyrok. Otrząsnął się i rzygnął jeszcze jak niemowlę mleczną kaszą, lecz jednocześnie z jękiem wsadził rękę do kieszeni, wyciągnął garść pieniędzy, wszystkie, jakie tam były, razem z brudnymi miedziakami, i rozwarł drżącą dłoń, żeby Chińczyk mógł je zobaczyć. Ten, rozumiejąc, o co chodzi, bez słowa wziął monety, przeliczył, ale niespodzianie okazał zadowolenie i co do kopiejki wsypał je sobie do kieszeni. Ze zdziwioną miną postał chwilę, po czym nagle uszczypnął Matiuszyna i poszedł.

Zostawszy sam w ciasnym ustępie, Matiuszyn powlókł się do zlewu, wsadził głowę pod lodowatą wodę, która ciurkała z przyrdzewiałego kranu, i pomału zaczął wracać do życia. Umył się, uczesał i trochę lękliwie

pomaszerował do wartowni. Pomogałow był zadowolony z jego świeżego wyglądu i chwalił niezmordowanie nadmanganian potasu, a w wartowni nic się przez ten czas nie zmieniło.

Nocą, kiedy nie było tam żywej duszy, Matiuszyn wyszukał ołówek i skrawek papieru i nabazgrał liścik do Jelska. Skrawek był dość duży, żeby Wasia mógł zawiadomić, że jest żywy i zdrowy, i poprosić, by mu przysłali dziesięć rubli, które pilnie, nad życie są mu potrzebne. Łzy drżały mu w oczach na myśl, że ten skrawek papieru będą trzymali w rękach ojciec i matka, jakby dotykał nie papierka, tylko spracowanych matczynych rąk, od których w żaden sposób nie potrafił się oderwać. Dni zamieniły się w oczekiwanie. W końcu przyszedł list z domu. Koperta zaklejona była tak mocno, że Matiuszyn musiał cierpliwie ją rozrywać, ale nie było w niej nawet jednego rubelka. Tylko zapisany krzywym, oszczędnym matczynym pismem arkusik papieru. Ale w tym, co Aleksandra Jakowlewna odpisywała synowi, nie było ani słowa o pieniądzach, o które on pilnie prosił. Matka zawiadamiała, co od rana robiła, jakby tylko to miała w głowie; dodała, że oboje z ojcem są zadowoleni, że on jest cały i zdrowy, i żeby przynajmniej w wojsku przestał szkodzić swojemu zdrowiu, czyli palić; a na końcu było napisane: „Pisz do nas, Wasieńka, życzymy ci zdrowia, szczęścia, powodzenia w pracy i nauce”.

Leżąc na pryczy w wartowni wśród śpiących żołnierzy, Matiuszyn płakał cicho, jakby widział w ciemności surową twarz ojca, słyszał jego łagodny, powściągliwy głos, jakim mówił od śmierci Jakowa. Dyszkiś pożałował, ale dzieci swoich toś nie żałował, niech cię diabli! Kiedy tak nagle przeklął ojca, zrobiło mu się spokojniej na duszy i oczy same się zamknęły. Zasnął, a potem, już w środku nocy, rozbudzili go, żeby szedł na wyżkę.

Noc była jasna. Przygaszone, do świetlików podobne światełka zony i jaskrawe mrowie gwiazd na niebie widać było tak wyraźnie jak z nieodległego brzegu, a nocne powietrze płynęło wśród tych światełek niczym żywa, wezbrana rzeka i wypełniało jasnością bezkresny step. Matiuszyn z pustką w sercu, ale już niezatopiony w smutku, do świtu błąkał się duszą po tej rzece, aż wpłynął w ogromne, mętne kłęby mgły. Ta mgła

przed świtem oszałamiająco pachniała tytoniem, albo raczej stepem, jego trawami. Matiuszyn męczył się bez palenia już od kilku dni. Pożyczanie tytoniku w kompanii albo wyszukiwanie petów – to było dla cwelów, którym zabierano całą wypłatę do ostatniej kopiejki, a potem kazano wysługiwać się za jałmużnę: tak już wysługiwał się w koszarach i w wartowni Riebrow. Matiuszyn łapczywie wdychał mgłę i nie miał pojęcia, jak zdobyć papierosy. O świcie ze stacji odezwała się pierwsza, najwcześniejsza kolejka elektryczna. Drogą od osady szedł jakiś człowiek. Widząc go po nocy z wyżki, Matiuszyn ucieszył się, ale nagle zauważył, że tamten puszcza dymek – idzie i pali. Tymczasem idący zrównał się z wyżką i najpewniej z samotności, widząc z dołu i z bliska zwróconego do niego twarzą żołnierzyka, pomachał mu na powitanie ręką. Gdyby nie pomachał, Matiuszyn nie zrobiłby tego, co wyszło jakoś samo z siebie, słowo za słowo: zawołał do tamtego, a on z miną winowajcy się zatrzymał.

– Masz zapalić? Podrzuć, pomóż!

– A jak to ma dolecieć? – Chłopina zadarł głowę do góry i gotów się zaprzyjaźnić, dreptał przy ogrodzeniu.

Stał tak blisko, że nie było siły się z nim rozstać, a na dodatek chciał pomóc.

– Ty choć podejdź bliżej, o, tu szpara jest! – zawołał Matiuszyn.

Do sąsiednich wyżek było jakieś dwieście metrów. Ocenił niebezpieczeństwo, nie chciał, żeby go ktoś zobaczył, ale przekonał się, że widać, i to niewyraźnie, tylko jedną budkę strażniczą. Człowieczek wyglądał całkiem zwyczajnie, jak robotnik, najpewniej kolejarz, a iść o tej porze do stacji żaden oficer ani wachman przecież nie mógł. Starczyła chwila. Matiuszyn zsunął się na ścieżkę. Facet bojaźliwie wsunął do szczeliny papierosa, sam niespokojny, a że Matiuszyn nie miał zapałek, to szybciutko przy ogrodzeniu przypalił od jego niedopałka. I rozstali się, obu jednakowo ulżyło na duszy.

Tej rozkosznej lekkości, z jaką ćmił zaciśniętego w garści papieroska, gorącego, jakby wyciągniętego z pyłu i żaru, i patrzył w dal za chłopiną odchodzącym słabo widoczną w porannym świetle drogą, nie wystarczyło

Matiuszynowi na długo: od strony wartowni usłyszał niewyraźne odgłosy i wkrótce na ścieżkę wytoczył się jak z dna morskiego biegnący na złamanie karku, grzmiący żelazem automatów oddział żołnierzy. Za plecami jednego z biegnących Matiuszyn zobaczył bańczuk anteny i radiostację, zobaczył też czapkę Pomogałowa i zimno mu się zrobiło, pomyślał, że gdzieś w pobliżu łagru doszło do napadu lub ucieczki.

Żołnierze przypadli huczącą falą pod jego wyżkę i w milczeniu ją otoczyli. Nie biegli dalej, tylko patrzyli na niego z dołu ze złością i zdziwieniem. Pomogałow poprawił czapkę i już bez pośpiechu zaczął się wspinać, po czym krzyknął groźnie, żeby otworzyć drzwi, jakby Matiuszyn nie był na wyżce wartownikiem, tylko zamknął się tam i bronił przed nimi.

W pełnej napięcia ciszy Pomogałow pociągnął nosem jak strażak, poczuł zapach dymu i uspokoił się.

– No co, sukinsynu, dobrześ sobie pokurzył? A wiesz, co za taką przerwę na papierosa można oberwać? A po paliwo dokąd chodziłeś, do zony czy jak? Co paliłeś, trawką się raczysz? Rozumiem... Bawimy się w niemowę...

Starszy sierżant, nie mówiąc nic więcej, zszedł ciężko na dół i oddział pomaszerował ścieżką z powrotem do wartowni. Matiuszyn doczekał końca zmiany. Z rana z nową zmianą przyszedł Dybienko, wszyscy milczeli, tylko on się roześmiał:

– No, co, półtrupku, mówią, że na zonie w paliwo się wzbogaciłeś... Przyszli do ciebie zecy, dali się sztachnąć? No, no! Tyś ich wódeczką częstował, przywabiał, czy oni ciebie? A coś ty, durniu, takiego hałasu narobił, przecież mówiłem: dla ciebie to za wcześnie, nie pchaj się, bo zabiją!

Matiuszyn też uśmiechnął się mimo woli, patrząc na milczące i dziwnie ponure twarze wokół siebie, nie rozumiejąc, co takiego strasznego zrobił. I nie mógł też zrozumieć, skąd się dowiedzieli w wartowni, że opuścił posterunek, przecież w pobliżu żywej duszy nie było i widok zasłaniała mgła. A jednak wszyscy dobrze wiedzieli, że zszedł z posterunku na wyżce, i byli też pewni, że tego ranka otrzymał coś z zony, od zeków, chociaż nawet tam nie spojrzał.

W wartowni sierżant nałożył na niego karę, ale tą karą była zwykła brudna robota: skrobać cegłą żelazną muszlę w ustępie. Dotąd Matiuszyn ani razu nie spadł tak nisko, żeby skrobać muszlę, ale wszyscy widzieli, dokąd poszedł na rozkaz starszego sierżanta, z cegłą w ręku. Póki skrobał, nikt za potrzebą nie przychodził oprócz samego Pomogałowa, który nie krępując się, usiadł przy nim i tylko śmiał się dobrodusznie, mimo woli – a może w celach wychowawczych – obrzydzając mu jeszcze bardziej tę brudną, głupią robotę i dogadując:

– Wybacz, synku, już nie mogłem wytrzymać. Moje gówno tutaj nieobce, sam rozumiesz. A co żeś palił? No to pomilczymy, pomilczymy... Wcześnie zacząłeś... Uważaj, lepiej zwolnij. Zona, synku, takich szybciutkich nie lubi, karze ich.

W połowie dnia, zanim jeszcze odbył całą karę, bo wychodził i szedł ze swoją zmianą na wyżkę, w wartowni pojawił się Armand: wiedział już o wszystkim i przyszedł przeprowadzić dochodzenie, ale kiedy usłyszał od Pomogałowa, że Matiuszyn skrobie w ustępie, brzydził się z nim rozmawiać i nawet wydawał się urażony. Formalnego przesłuchania nie było. Matiuszyn usłyszał od sposępniałego starszego sierżanta rozkaz zastępcy do spraw politycznych: ma opuścić wartownię i służbę i bez broni iść na kompanię. Tam, w koszarach, dokąd przyszedł przekonany, że idzie na przesłuchanie, czekał na niego nowy rozkaz Armanda, przekazany też jakoś tak pogardliwie przez dyżurnego: wziąć szmatę, miednicę i myć we wszystkich pomieszczeniach podłogi. Budynek koszar kompanii był piętrowy, takiej roboty nikomu tu nie zadawano, bo trzeba by było pełzać po podłodze całą noc. Rozumiejąc, że to dalszy ciąg kary, Matiuszyn zrzucił kurtkę, żeby jej nie powalać, i wziął się do roboty, wybiegając co jakiś czas do letniej umywalni, żeby zmienić wodę w pogiętej aluminiowej miednicy. Biegając tak, spotkał Karpowicza, z którym już od dawna widywał się tylko przy rozprowadzaniu wart, kiedy jeden pluton przekazywał ochronę zony drugiemu. Tamten zatrzymał się, widać nigdzie się nie śpieszył, i popatrzył na niego ze smutkiem.

– Co tam u ciebie? Słyszałem, w zonie narozrabiałeś. W twojej sprawie zdecydowali, że na wartę więcej nie pójdziesz. Armand chce z ciebie zrobić wiecznego sprzątacza, tak że uważaj, cwaniaczku.

Matiuszyn odwrócił się i poszedł dalej myć podłogi; czuł na plecach dreszcz, który mówił mu, że tamten odprowadza go wzrokiem, gapi się na niego. A na wieczornym apelu Armand kazał mu wystąpić z dwuszeregu i oznajmił pierwszemu plutonowi, że Matiuszyn nie będzie chodził na wartę, na służbę. A potem, przy drugim plutonie, znów kazał mu wyjść przed front i ogłosił, że wyznacza go na sprzątacza.

W niedzielę zamiast do łaźni zawieziono go do prokuratury wojskowej. Jechali do Karagandy suką, tym samym co wtedy aresztem na kółkach, przeznaczonym do przewożenia etapów do kompanii, i odwoził go znów starszy sierżant, ale milczący i zły.

Stary piętrowy budyneczek prokuratury przypominał kurnik, pachniał ziemią i był na wskroś – nawet latem – zimny i stęchły, tak że Matiuszyn, stąpając po skrzypiącej drewnianej podłodze, obawiał się, że ta się pod nim zapadnie, i ze zdziwieniem przyglądał się drzwiom, przy których siedzieli chorobliwie wyglądający żołnierze, czekając na przyjęcie jak u lekarza. Dyżurnym śledczym okazał się młodziutki porucznik, chudy, ostronosy. Uradowany, że zeszłej nocy urodził mu się syn, rozmawiał z Pomogałowem niemal serdecznie i ze znużeniem patrzył niewyspanymi oczyma w papiery przysłane razem z Matiuszynem, starając się coś z nich zrozumieć, by rozpocząć przesłuchanie. Ale Matiuszyn dowiedział się przy okazji tego, co było dla niego najważniejsze: okazało się, że tamtego ranka w drzwiach jego wyżki zadziałała blokada, która przekazała do wartowni sygnał alarmowy.

Wypierać się nie było sensu i Matiuszyn przyznał się, że opuścił posterunek, ale na wszystkie kolejne pytania odpowiadał wciąż to samo: zbiegł pod wyżkę za potrzebą. Pomogałow warknął na niego, nie wiedzieć czemu zawstydzony, zerwał się z krzesła i zaczął zbierać się do odjazdu, bo i on nie mógł dłużej znosić tego przesłuchania. Porucznikowi zrobiło się go żal i groźnie patrząc na Matiuszyna, powiedział:

– No, jak chcesz, ojczulku, to wyjdź, przewietrz się przez godzinkę, my raz-dwa z niego wyciągniemy, za jaką to potrzebą chodził. Niebo przez kratkę zobaczy...

– No, wiadomo za jaką, za małą. On nie głupi... Za to pod sąd nie trafi... – Pomogałow machnął ręką. – Nic z niego nie wybijecie, tylko patrzcie, z takiego nawet pyłku się nie strzepnie. To tylko Armand się czepia, to jego by trzeba uczyć, mordą o stół bić. On, patrzaj no, miał w rodzie samych oficerów, no tak, sam się chwalił, że jest z Francuzów. Rozumiesz? Trafili do nas, kiedy Napoleon tu przyszedł. No tak, napoleony zasrane! Z niego też ważny kutas, a jak! Jemu tylko trochę ludzików dać, żeby się poznęcał, wszystkiego dowiedzie i za dobre słowo poda, wielki człowiek z niego będzie, może marszałek, trzykrotny Bohater Związku Radzieckiego! Sam nie żyje i ludziom żyć nie da, on jest po to, żeby porządek był, porządek zaprowadza. A przecież bez tego porządku tyle by miał siły co nic, puszy się tylko. Myślisz, że po co on mnie tu posłał, smrodu napuścił? Przecież on sam wie, że przyjadę do kompanii z niczym, tylko z tym smrodem, ale tego mu trzeba, żeby się zdawało, że to ja cały śmierdzę. Przecież on pode mną ryje, do mnie się dobiera, Francuzik... No, jeszcze zobaczymy, kto wygra, kto jest mocniejszy! Będzie miał porządek! On mi bohaterem zostanie!

Matiuszyn znienawidził jednego człowieka – maleńkiego podoficerka, który lubił, kiedy stali w szyku, zajść go od tyłu i po babsku uszczypnąć. Nie odważał się jednak uderzyć podoficera, cierpiał, a śmiać się z niego w duchu ani wybaczyć mu nie mógł, tak jak w ogóle nie umiał zmuszać się do zmiany nastroju, męczył się więc i bezsilnie sobie wyobrażał, co by zrobił z Chińczykiem, gdyby zostali sami na ziemi. I tak na otępiającej krzątaninie upływał mu czas. Matiuszyn błąkał się po koszarach ze szmatą i miednicą, podobny nawet nie do człowieka, tylko do myszy albo karalucha. Kiedy jako pomywacz stracił nadzieję na to, że Armand mu wybaczy i skieruje na służbę, przestał o siebie dbać, zapuścił się. Od brudnej roboty sam stał się brudny, a zmęczenie i złość uczyniły go obojętnym i leniwym. Polityczny tylko czekał, aż Matiuszyn się zbuntuje, a on po tych wszystkich miesiącach nie miał po temu ani woli, ani siły.

Odgryzał się jeszcze, kiedy ktoś osobiście chciał go zmusić do usługiwania, i nie pozwalał żołnierzom się bić, poddał się tylko Chińczykowi.

Maleńki podoficerek nazywał się Dożo. Przyjaźnił się z instruktorem służbowych psów. W kompanii była psiarnia, oddzielny światek na uboczu, ogrodzony siatką wysoką prawie na dwa metry, gdzie trzymano owczarki, latem w klatkach, a w mrozy – w zimowej przybudówce. Matiuszyn nie miał obowiązku sprzątać po owczarkach, ale raz dopadł go w odludnym miejscu Dożo, zaczął szczypać już ze złością i syczeć, że ma odtąd chodzić sprzątać do psiarni i słuchać instruktora.

Po pewnym czasie Matiuszyn zaczął rozpoznawać owczarki, rozróżniać je i ich charaktery. Czarny owczarek niemiecki, tak właśnie się wabiący – Niemiec – ulubieniec instruktora, nabrał do niego niechęci tak samo jak ten zarozumiały i surowy żołnierz. Były tam jeszcze dwie głupie młodziutkie suczki, które obszczekiwały Matiuszyna, kiedy podchodził do klatek, i chociaż przebywały w przeciwnych kątach psiarni, rzucały się jednocześnie i zaczynały ujadać razem, razem też cichły. Najlepsza była stara, wysłużona suka. Leżała spokojnie z łapami złożonymi przy pysku, kiedy on wchodził do jej klatki, a widząc miotłę, rozumiała, że przyszedł sprzątać. Potem Matiuszyn tak przesiąkł zapachem ich łajna, że ona pewnie uważała go nie za człowieka, tylko za chodzącego na dwóch łapach służbowego psa, takiego samego jak inne. W jej klatce Matiuszyn zawsze mógł odpocząć, zapalić, stara suka chętnie dzieliła z nim ten czas. Wodziła oczyma za każdym jego ruchem i jeśli coś zaczynało umykać jej z pola widzenia, odwracała głowę albo zmieniała pozycję, tak żeby wszystko widzieć. W ten sposób po swojemu pilnowała porządku.

Sprzątanie w klatkach przestało być dla Matiuszyna przykre. Zrozumiał, że robi dla owczarków to, czego one same zrobić nie mogą, tak jak jest z dziećmi. Instruktor to wyczuł i starał się znaleźć dlań robótkę brudniejszą, ale też coraz bardziej mu ufał. Był zazdrosny o owczarki, żołnierzy do nich nie dopuszczał, a i one nie bardzo lubiły ludzi, ale widząc, że Matiuszyn polubił owczarki i stara się, zaczął powoli, chociaż był złośliwy, traktować go jak swojego, powierzał mu już i karmienie, i wypuszczanie na wybieg.

Matiuszyn krył się w psiarni. Odwiedzał go tylko Karpowicz. Wydawało się, że przychodzi do niego w odwiedziny, ale przyciągały go tutaj jakieś sprawy, które dzielił z instruktorem i Chińczykiem, ci zapraszali go do przybudówki, skąd oni po pięciu minutach wychodzili pojedynczo, rozglądając się, a Karpowicz – raz tajemniczy, obrażony, innym razem uśmiechnięty i zadowolony. Opuściwszy pośpiesznie przybudówkę, nigdy nie szedł swoją drogą, tylko przysiadał się do Matiuszyna i zaczynał długie, o wiele dłuższe od tamtych pięciu minut rozmowy. To żalił się, to chwalił i wszystkich nazywał bydlakami, ufnie opowiadając o swoich marzeniach, ale milczał lub odpowiadał żartami na pytania dotyczące tych dziwnych spotkań.

Karpowicz sam w sobie był dla Matiuszyna niezrozumiały. Raz powiedział, że jest zmęczony, chce uciekać i ma już gotowy plan. W kompanii nienawidził go Dybienko. Okazało się jednak, że Karpowiczowi to właśnie jest na rękę i dlatego nawet specjalnie stara się jeszcze go podrażnić. Kiedy będzie potrzebował, łatwo żołnierzyka rozzłości, a wystarczy mu tylko, żeby go tamten mocniej pobił. Wtedy trafi do szpitala, a dalej już sprawa prosta: okaleczony pojedzie do domu, a Dybienko, który go ranił, trafi do karnego batalionu – i wszystko czyściutko, zgodnie z prawem!

Matiuszyn uwierzył Karpowiczowi, chociaż zrozumieć i wiedzieć, co on trzyma w rezerwie, było mu trudno. Odtąd chronił tę tajemnicę jak własną, jakby też mógł uciec i odzyskać wolność. Remont przepełzł z zony do budynku koszar, tak że wchodziło się do niego po pochylni przez okno, wprost do sypialni przegrodzonej deskami. Łóżka zepchnięto w kąty. Do malowania i bielenia przyprowadzano tu bezkonwojnych, a oni kręcili się po koszarach, naciągając żołnierzy to na zapałki, to na papierosy. Z braku miejsca spało już po dwóch na jednym łóżku. Pierwszego września wyjechał na urlop Armand, zniknął z kompanii tak, jak znikły z niej czystość, spokój, porządek.

Kiedy zabrakło tego człowieka, sprzątanie na mokro wśród brudów remontu, włażenie przez okno, spanie we dwójkę pozbawiły Matiuszyna

uczuć, myśli, pragnień. I tylko tęsknie wciąż na coś czekał, na coś, co unosiło się w tym obcym powietrzu, nowym od schnącej świeżej farby. I kiedy Karpowicz zaczynał go w końcu drażnić pustymi rozmowami, pewnie sam by go pobił i nawet nieraz już to sobie wyobrażał, tracąc trochę rozsądek, a trochę cierpliwość. Skargi i jęki Karpowicza rozbudzały w nim zdumiewająco silną złość, wywodziły się jakby z innego życia, obce i niepotrzebne, jak jakieś rupiecie.

Ale raz rozległy się krzyki. Wszyscy pobiegli do stołówki, podobno kogoś tam zabijano. To Karpowicz z zakrwawioną twarzą walał się po podłodze, wytrzeszczał oczy, krzyczał strasznie, a nad nim stał kucharz Gadżyjew. Bił Karpowicza czerpakiem to po głowie, to po rękach, kiedy ten tylko choć trochę się poruszył. Miejsce kaźni otoczyli ludzie, ale nikt się nie mieszał, a i Gadżyjew nie był człowiekiem, którego mógłby ułagodzić nawet taki tłum. Kucharzem został już pierwszego roku służby, kiedy z wyżki postrzelił uciekającego zeka: dali mu urlop do domu, a jak wrócił – przenieśli go na służbę do stołówki, takie było niepisane prawo, bo gdyby został na wyżce, mógłby końca służby nie doczekać, wykończyliby go w odwecie zecy. Gadżyjew potłuściał w kuchni, miał w kompanii mocną pozycję, ale zony się bał, z kuchni wychodził rzadko, chyba tylko nocą, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Matiuszyn stał w tłumie ze wszystkimi i zszokowany rozumiał, co się tu dokonuje, chociaż widział tego kucharza, nie Dybienkę. Ale przybiegł Kitajec i tłum się rozszedł. Nie było słychać, by Karpowicza mieli zawieźć do szpitala. Maleńki podoficer jak zawsze poprowadził pluton do zony, a Karpowicz, już umyty i nie wiedzieć czemu zadowolony, maszerował ze wszystkimi na służbę.

Minęła doba. Pluton wrócił i w zbrojowni, kiedy za podpisem zwracali dyżurnemu broń i naboje z magazynków, Karpowicz nagle zaczął się miotać, wyć, nawet płakać: po dobie spędzonej na warcie nie doliczył się w magazynku trzech ostrych naboi. Kiedy dyżurny pojął, że Karpowicz się nie wygłupia i że to nie jest czyjś żart, kazał go pilnować, a sam pobiegł po dowódcę. Karpowicza zabrano, przesłuchiwano przez całą noc, tak że w sypialni, na tym samym piętrze, słychać było jego płacz i jęki. Z łóżka do

łóżka pełzły w ciemnościach szepty. Wszyscy rozumieli, co się stało. Rozumiał to i Matiuszyn. Automat po każdej zmianie zdaje się do zbrojowni, ale ładownicę z magazynkami przez całą dobę służby na warcie trzeba mieć przy sobie, przytroczoną do pasa, dlatego chodzi się z nią i je, i śpi, żeby w razie alarmu natychmiast być gotowym się zerwać. Za zgubienie choćby jednego naboju nieuchronnie idzie się pod sąd, a potem do batalionu karnego, nawet jeśli dowodem winy jest tylko zniknięcie naboju. Ale już z tego powodu Karpowicz nie mógł okraść sam siebie, nie mógł też zgubić naboi, które tkwiły w magazynku automatu. Pewnie gdy spał, ktoś grzebał w jego ładownicy, wyciągnął magazynek, wydobył te trzy naboje, a potem włożył magazynek z powrotem, tak że Karpowicz niczego nie poczuł i nie zauważył, kiedy potem już wchodził na wyżkę. I zrobił to ktoś swój. Ktoś, kto szedł z nim ścieżką na tej samej zmianie, albo Dożo. Ktoś, kto mógł być razem z nim w sypialnianej części wartowni i tylko udawał śpiącego.

Wokół wszystko było spięte strachem, jak gdyby naboje miały same wystrzelić. Strach ustąpił nazajutrz, kiedy zawieziono Karpowicza do pułku, do wydziału specjalnego; do kompanii już nie wrócił. Matiuszyn zobaczył go przelotnie, kiedy wyprowadzano go z koszar: Karpowicz milczał, maszerował szybko, patrzył w ziemię, jakby bódł głową idącego przed nim nieznajomego oficera.

Pustka po Karpowiczu jakimś dziwnym ciężarem napłynęła do zagrody owczarków. To było miejsce, dokąd zachodził najczęściej. Coś tu ściskało serce, jakby snuła się, błąkała po ustronnym wybiegu jego dusza. Instruktor raz po raz popatrywał na Matiuszyna takim przeszukującym, obcym spojrzeniem, jakby go podejrzewał albo się obawiał. Nie chodził już do przybudówki i Dożo czemuś go nie odwiedzał. Do psiarni zaglądał ukradkiem Pomogałow i po każdych jego odwiedzinach instruktor długo, bezgłośnie się złościł, nie mógł sobie znaleźć miejsca, wypuszczał owczarki na swobodę, a sam, jak zaszczuty krył się w przybudówce. Kiedy Chińczyk z instruktorem zawołali tam Matiuszyna, ten zdumiał się na widok jej wnętrza: całe było zawalone spisanymi z ewidencji łachami, manierkami

i menażkami, zamienione w składzik, w którym jak puste jamy ziały przegródki.

Instruktor nagle podał mu manierkę.

– Łyknij sobie, tego dobra mamy dosyć.

Matiuszyn pociągnął z manierki, a kiedy krtań mu oparzyła dziwna gorzała, stwierdził obojętnie, że nie była to wódka ani wino, tylko po prostu samogon, chociaż w budzie w ogóle nie czuło się jego zapachu. Chińczyk uśmiechnął się zadowolony.

Na drugi dzień wyznaczono Matiuszyna na służbę wartowniczą do zony. Zapamiętał tę nową dobę – jasną, ale bezbarwną. Zdechł kompanijny wieprzek, zżarł na wysypisku drut kolczasty, świniopas nie dopilnował. Z padliny Gadżyjew przyrządził gęstą mięsną galaretę, przypominała szynkę, zajadali się tym na wartowni. W połowie dnia Matiuszyn wyszedł odsapnąć po jedzeniu, dziedzińczyk wartowni zrobił się za ciasny i wolne od służby na wyżkach wojsko wyległo na zewnątrz, na drogę. Przy obozowej wartowni snuło się kilka kobiet w nieokreślonym wieku, pewnie przyjechały na widzenie, obok przechadzali się drogą różni tutejsi, a przy bramie czekał autobus, do którego z zony wyniesiono jakieś ciało na noszach, a potem jeszcze jedno. Zecy leżeli spokojnie, żyli, ale jednemu, młodemu chłopaczkowi, sterczało z piersi jakieś żelastwo, przytrzymywał je rękami. Kiedy strażnicy zaczęli ładować nosze do autobusu, chłopak przestraszył się, jęknął. Nosze położono w przejściu między siedzeniami, dlatego odjeżdżający autobus wydawał się pusty.

Minęła noc. Matiuszyn spędził ją na wyżce, którą zawsze nazywali między sobą – i na wartowni, i w zonie, i w osadzie – wódeczną, ale on dopiero tej nocy zrozumiał dlaczego, chociaż, jak się okazało, wiedzieli to wszyscy. Zawsze przed wyjściem starszy sierżant obszukiwał oddział, lecz teraz Matiuszyn pojął, że te rewizje nie miały sensu. Na ścieżkę prowadzącą do zony wyszedł z wartowni czysty. Na nocnej zmianie manierki z samogonem nosili pod wyżkę Kitajec z instruktorem; jako inspekcyjni mogli odbywać tę drogę choćby co godzinę. Hara była już przez zonę zamówiona, tak że tej nocy przekazywano opłacony z góry

towar. Po warcie Matiuszyn miał w przybudówce dostać od instruktora swoją dolę – czerwońca. Kto przyjmował od zeków zamówienia zza drutu kolczastego i skąd brał się samogon – tego instruktor ani Chińczyk nie mówili. On miał robić swoje: ryzykować, czyli odbierać na wyżce manierki i przerzucać je do zony gońcom, jeśli przedstawili się odpowiednim imieniem, a także przyjmować ewentualne nowe zamówienia.

Po rozprowadzeniu, pod koniec doby, Pomogałow nie zwolnił Matiuszyna razem z plutonem, tylko zabrał go ze sobą, nakazawszy wcześniej oddać automat Chińczykowi. Zostali z tyłu, przeszli przez furtkę w bramie łagru i znaleźli się w podobnej do podwórka zamkniętej komorze, już przy następnej bramie: okazało się, że tu, w pomieszczeniu warty, zostawiono dla starszego sierżanta przesyłkę z zony: szarawe, ciężkie zwoje polietylenu długości prawie dwóch metrów. Jeden wziął na plecy Pomogałow, drugi Matiuszyn i poszli we dwóch. Po drodze spotykali ludzi, którzy pierwsi z szacunkiem pozdrawiali Pomogałowa, a ten odpowiadał:

– I ty bądź zdrów!

Doszli do otoczonego wysokim płotem ceglanego domu, jednego z tych, które samotnie wznosiły się w osadzie, ale były ukryte przed oczyma obcych. Starszy sierżant pchnął butem furtkę w żelaznej bramie, podobnej na oko do bramy łagru, i znaleźli się na cichym, zadbanym kurzym podwóreczku, gdzie zobaczyli córeczkę Pomogałowa, która bawiła się na ganku ojcowskimi butami, i czujnie stróżującego pod gankiem mądrego owczarka. Usłyszawszy ich, wyszła pośpiesznie z domu mocna, krąglutka kobitka, o wiele młodsza od sierżanta, tak że aż niezręcznie było myśleć, że to żona go wita. Ucieszyła się na widok tego, co zobaczyła, a oni zwalili swój ładunek przy szkielecie nowej cieplarni. Pomogałow westchnął ciężko i ruszył do umywalni. Córeczka, ledwie wszedł na podwórze, przykleiła się do niego i chodziła za nim krok w krok, a na żołnierza, który przyszedł do nich w gości, w ogóle nie zwracała uwagi. Młoda żona weszła do domu i wróciła po chwili z kawałkiem pieroga, ale Pomogałow skarcił ją surowo:

– Ty, głupia, może mu jeszcze setę nalejesz...! No, zabieraj te smarki serowe, nie rozpuszczaj mi żołnierzy. Tak, tak, chłopaczku. Na moje pierogi

jeszcze nie zasłużyłeś.

Starszy sierżant jakby zrzucił ciężar z ramion, nabrał wigoru. W domu wyglądał raźniej i bystrzej, niż kiedy na służbie przechadzał się znużony, niczemu się nie dziwiąc i na wszystko obojętny. Zrobiło się cieplej, pachniało zbożem. Do kompanii poszli na skróty, przez ogrody obsadzone kartoflami, które, można by pomyśleć, upiekły się w ostygłym już żarze ziemi.

– Ślepy nie jestem... – westchnął Pomogałow. – Widzę, że dostałeś się na służbę. No cóż, służ, póki nasz Francuzik w morzu się kąpie. Moja chata z kraja. Polewaj. Ale jakby co, synku, to skórę zedrę i na słońcu wysuszę, pamiętaj o Karpowiczu! Ten się doigrał, bałwan, uważaj, żebyś i ty się nie doigrał, bo i tobie nocą wyciągną. Tu wilczy węch trzeba mieć, a jak nie, to odejdź, dobrze ci radzę. Wiesz, na czym Karpowicz się przejechał? On pieniążki swoje przechowywał u Gadżyjewa, myślał, że w jego garnkach będą bezpieczne jak w banku, a kiedy zażądał całego swojego wkładu, kucharz tylko mrugnął i już było po Karpowiczu, i patrzaj, jak zrobione, wszystko czyściutko, zgodnie z prawem! No, czemuś nos zwiesił? Dobra, przestań, ja nie Francuzik, a tu nie prokuratura. Że tej nocy czerwońca zarobiłeś, to wiem. Tu wszyscy to wiedzą, taka to ci historia. Dlatego myśl, synku, myśl...

Harę przerzucali do zony w manierkach, a nawet w termoforach, jakby chcieli czym prędzej pozbyć się jakichś zapasów. Śpieszyli się. Ryzykowali. Matiuszyn, nie znając strachu, zamówił dla siebie w zonie nowe buty ze sztucznej skóry i zastąpił nimi – na oczach wszystkich – swoje stare, cerowane, znane każdemu psu w kompanii. Nowe nawet nie pachniały, tylko aż jechały zoną. Polityczny wrócił z urlopu, przywożąc ze sobą siąpiące deszczyki i zimno, sam zaś był opalony, zdrowszy. Dowiadywał się i wiedział, co się działo w kompanii, ale puścił to mimo uszu i Matiuszyn chodził na wartę, na wódeczną.

Kitajec i instruktor z jakiegoś powodu stracili humor i szmugiel trochę ustał, choć tylko na pewien czas, a Matiuszyn już nie miał dokąd wydostać

się z wódecznej wyżki. Zaczął się bać nawet pieniędzy, dla których przecież wziął się do szmuglu. Zdarzało się, że w wartowni dopadał go strach, że urządzą kipisz, i uspokajał się dopiero, utopiwszy pieniądze w ustępie.

Miesiąc później, w październiku, przyszły wieści o Karpowiczu. Eskorta z kompanii odwoziła zeków do Karagandy, do aresztu śledczego, i po drodze chłopaki rozgadały się ze strażnikami więziennymi, a ci się pochwalili, że czeka u nich na sąd jeden taki z czerwonymi pagonami, którego pod celą już scwelowali, nazwiskiem Karpowicz. Chłopcy z kompanii, jak wrócili z konwojowania, opowiadali na wyprzódki, czego się dowiedzieli – straszyli resztę, całkiem jakby zdechłego kota ciągnęli za ogon po koszarach. Etapową pocztą słuchy doszły także do zony. Zecy z dachów swoich baraków pokrzykiwali szyderczo do wartowników na wyżkach, żeby przywieźli Karpowicza etapem. Ale ci ruszyli na zonę mścić się. Nocami w wartowni zbierali ochotników, którzy chcieli się przespacerować po karnej strefie, tam gdzie siedzieli złodzieje i uchylający się od pracy: Dybienko chodził po karcerach, a potem opowiadał, jak pakowali się do celi, ogłaszali, że mszczą się na kryminalistach za żołnierza, zakładali kastety i rozmazywali tamtych żywcem po ścianie.

Matiuszyn pomyślał wtedy, że ukradnie trzysta rubli na wyrwę i w nogi. Zgarnie zapłatę, a zecy ani pisną, szmugiel zrobił się bardziej ryzykowny. Pewnie nawet pić na zonie się bali, a co dopiero zdobywać wódkę! Dlatego właśnie czuł w sobie siłę, że miał teraz cel: wiać, wiać. Pieniądze do buta i rwać do szpitalika. Jeśli okiwać się nie uda, to choćby głowę rozbije o ścianę albo przekupi lekarzy. Grunt to szpitalik, chodzi o to, żeby odesłali na poważniejsze badania, żeby uznali za niezdolnego, za inwalidę. Wiać, wiać! I wszystko potwierdzało to, co zamyślał Matiuszyn: byle szybciej do szpitala, bo zagwiżdże listopad i mocniej od śmierci przymrozi. Czuł bardzo wyraźnie, że zbliża się zima.

Ale podobnie jak w łagrze ludzie wyczuwają, że ktoś szykuje ucieczkę, tak i Armand jakby wyczuł, że Matiuszyn jest prawie gotów uciekać. Częstsze stały się kipisze, nagłe kontrole, polityczny znienacka zjawiał się na wartowni. W dodatku prawie łańcuchem przykuł do niej Matiuszyna.

Zaczęło się życie jak w garnizonie, stare wojsko po jednym odchodziło ze służby, nowe do pułku jeszcze nie przybyło, trzeba więc było służyć za dwóch, ale polityczny tylko jego nie zmieniał, zostawiał doba za dobą na wartowni.

Matiuszyn mieszkał tam i nie schodził ze służby, a na dodatek, kiedy należały mu się godziny snu, Armand posyłał go do pracy w łagrze. W cztery kąty zony zwieziono góry piasku i rozrzucono łopatami wzdłuż ogrodzenia, a potem trzeba go było rozprowadzić i wyrównać bronami. Brony były zrobione własnym przemysłem, przystosowane do pracy z ludźmi – do żelaznej zębatej sztaby była przyspawana zgięta w łuk rura, która zastępowała dyszel. Do brony wprzęgało się trzech, opierali się o dyszel piersiami i wlekli ją, póki nie zrównali piasku. Wtedy odchodzili, wrzucali bronę na taką kupę, którą inni usypali łopatami, i znów zaczynali ją wlec, zasypując pas ziemi równą warstwą piasku. Matiuszyn, kiedy już narobił się broną, szedł na wódeczną, potem wprzęgał się znowu do brony i znów szedł na wódeczną. Miał wrażenie, że ręce mu zardzewiały. Już do mdłości nachodził się wokół łagru, to przy bronie, to idąc na wyżkę, ale wierzył, że teraz dadzą mu chociaż jedną dobę odpoczynku, odwołają go ze zmiany razem ze wszystkimi, że pójdzie na kompanię.

Było trochę po północy. Matiuszyn skończył zmianę i wrócił razem z oddziałem do wartowni, ale zasiedział się z ryżym, który z racji swojej funkcji kontrolera w biurze przepustek odwalał jak nakręcony noc po nocy bez snu, za to w dzień spał, ile mu się zachciało, sen zastępował mu wyjście na przepustkę.

Matiuszyn ukrył się w jego służbowym, okratowanym jak cela pokoiku, opędzając zwykłą nudę. Nie chciał tłoczyć się w zbrojowni, dokąd wszyscy rwali już od progu – niecierpliwie jak za potrzebą, brzęcząc sprzętem i klnąc – żeby zdać automaty. Ryży wzdrygnął się, ucieszył na widok żywej duszy i żeby z kolei zatrzymać Matiuszyna, częstował go czifirem, wyciągnął czekoladki. Krzątał się tak serdecznie, tak ciepło, tak delikatnie i troskliwie, że Matiuszynowi robiło się przyjemnie od samego smętnego,

lejącego się strużkami głosiku. Ryży tylko potrzebował człowieka. Jego oczy cicho zasnuwały się światłem.

Mówił bez ustanku, nawet nie patrzył na Matiuszyna, zezował, nie widząc, gapił się gdzieś w bok. Wasia nie ruszał się z miejsca, nie miał siły odejść, nie wiadomo dlaczego z bolesną rozkoszą zatapiał się w głosiku tamtego jak w pustce. Niski, drewniany sufit izdebki, z oblazłymi płatami farby, zwisający nad głowami i dławiący wnętrze, wydawał się nawet nie sufitem, tyko ziejącą wyrwą, dziurą. I wyrwą, dziurą wydawał się też korytarz więzienny, jedyne przejście do zony, składający się z pancernych drzwi, zamków i rygli, gołej, zimnej betonowej powłoki zamiast ściany i z oślepiającego białego światła, kagańcem krat broniony przez tę wstrętną, ściśniętą do dwóch metrów izdebkę.

Z ramienia zwisał Wasi niezdany do zbrojowni automat, tak samo zużyty i zniszczony jak on, na pozór żelazny. Chociaż zamęt dawno ustał, a pomieszczenia wartowni były martwe od śpiących, Matiuszyn marnował swój czas na odpoczynek z jakimś skazanym na bezsenność, zaszczutym w czterech ścianach żołnierzykiem, wiedząc, że już sam się nie wyśpi, i samemu też czując się zaszczutym, niemal z kośćmi wprasowanym w tę izdebkę, gdzie łatwiej było stać niż siedzieć i umrzeć niż żyć.

Odpychał od siebie myśl, że jego czas jest policzony i że kiedy go znów popędzą na wyżkę, nie będzie mógł urwać choćby chwili snu. Bolało go, że ci ludzie za ścianą, śpiący jak niemowlęta, nie mają siły przemóc swojego głodu, swojej słabości, tylko przeciągają je do obrzydzenia dzień za dniem, ale też ich nienawidził, bo był wśród nich inny, obcy, był jakby wyrodkiem, który sam długo nie wytrzyma. Czyli nienawidził, jakby zdawał sobie sprawę, że sądzone mu nieuchronnie zginąć przez nich i między nimi, a jednocześnie jego krew płonęła współczująco tak samorodną, zwierzęcą miłością, że w jej gwałtownym porywie mógłby wszystkich tych śpiących powystrzelać, żeby nie męczono ich dzień po dniu, żeby nie zmuszano tych niemowląt do życia z dnia na dzień.

Sam sobie boleśnie niepotrzebny, Matiuszyn pojął nagle ludzką siłę swojej pozycji w izdebce, jakby to nie kontroler, tylko on był tu

gospodarzem. I chociaż w kompanii nic ich nie łączyło, a Wasię nawet irytowało, że ten gadatliwy facet ma taką łatwą papierkową robotę, to jednak sam fakt, że ryży go potrzebuje, że nie może bez niego wytrzymać, nieoczekiwanie ich wiązał, każdemu dokładnie wskazywał przynależne mu miejsce. Matiuszyn wybaczał ryżemu jego podłą papierkową służbę, rozumiejąc, że on sam wysłużył sobie na wyżce pozycję znaczniejszą niż pozycja kontrolera, który tkwiąc w swojej spokojnej izdebce, wypłacał się cukierkami, żeby ktoś w ogóle zwrócił na niego uwagę...

Matiuszyn ocknął się – przywidziało mu się, że gdzieś w dali, w ciemnościach, rozległ się krzyk. W mig poczuł przypływ siły i pilnie wsłuchał się w ciszę, ale nic nie usłyszał. Jednak dosłownie po chwili od strony zony wyrósł i nadleciał jak pocisk przeciągły wrzask, ryk: ktoś biegł do biura przepustek i krzyczał ile sił. Zdumiony, przerażony rudzielec osłupiał, bezradnie odwrócił się w stronę Matiuszyna i bojąc się automatu, który ten na wszelki wypadek gorączkowo zarepetował, czekał.

– Nie strzelaj, nie strzelaj!

– Stul pysk, durniu! – nakazał Matiuszyn, nie wiedząc, co się z nimi stanie. – Ja sam...

Do biura przepustek wwalił się z rykiem wielki jak wieprz strażnik i rozpaczliwie rzucił się do pierwszej z krat oddzielających korytarz, chociaż od zewnątrz w żaden sposób nie dało się jej otworzyć, bo rygiel można było odblokować tylko z izdebki, z posterunku.

Strażnik był cały i zdrowy, miał tylko rozciętą brew, ale oko zalało mu jezioro krwi i to oko, wytrzeszczone purpurowym bąblem, nic zza zakrzepłej krwi nie widziało. A drugie oko, widzące, lśniące i przytomne, oszalałe ze strachu, krzyczało ze wszystkich sił, żeby je ratować. I strażnik, nie wiedząc, że ma tylko rozciętą brew, trząsł się i drżał, jakby miał wybite oko. Ryczał przeraźliwie, skowytał, że w barakach trwa rzeź, wpijał się z całych sił w kratę, jakby pędził za nim i już go dopadał ktoś, kto chce wykłuć mu jedyne oko, zabić, i szlochał, rwał się, by jak najszybciej ukryć się w wartowni. Żelazna konstrukcja kraty drżała pod jego naporem, już

zdawała się nie mocniejsza od pajęczyny, chociaż on, zawisłszy na niej, dreptał w miejscu, rzucał się rozpaczliwie.

Ryży najpierw skoczył do drzwi, ale nie miał odwagi uciekać, patrzył płaczliwie na Matiuszyna, bojąc się samemu odblokować kratę i wpuścić rannego, skowyczącego strażnika do wartowni. Tamten opamiętał się, zrozumiał, że żołnierze mogą go tu zostawić, że dla nich liczy się przede wszystkim rozkaz, i jak rozwścieczona baba zaczął straszliwie, wściekle im wygrażać, żądając posłuszeństwa.

– Nie wpuszczaj go, może na to właśnie czekają! – zdecydował Matiuszyn.

Na co rozległ się rozdzierający ryk strażnika:

– Nienawiiidzę, sukiiin...

I zaczepiony o kratę tylko guzikami munduru oklapł i całą tuszą, jak trup, opadł na szarą betonową podłogę.

Matiuszyn poweselał, nagle wydało mu się to śmieszne: im bardziej wszystko było mętne i niesamowite, tym było śmieszniejsze, ale nim samym to wstrząsał dygot, to dusił go żar. Rzucił się do wartowni, zawołał. Ryży pobiegł budzić Armanda i wtedy się zaczęło.

Wielu było na bosaka, wlekli buty za sobą, niektórzy butów nie znaleźli i zalęknieni tłoczyli się przy zamkniętych drzwiach zbrojowni. Inni bez rozkazów, bez dowództwa miotali się z automatami z kąta w kąt. Ale nagle zawył prawdziwy alarm. Żołnierze rozbiegli się, błądzili jak oczadziali, wpadali na siebie. Komu strzeliło do głowy włączyć syrenę? Chłopcy i tak już się poderwali, a syrena tylko z nóg ich zwala, ogłusza. Także Matiuszyn się zapomniał i od samego jej wycia otępiał, ale na ślepo skoczył do szeregu i chociaż nie wiedział, gdzie wedle regulaminu ma stanąć, to jakimś cudem zajął właściwe miejsce, może nawet nie swoje, ale razem ze wszystkimi.

Poderwali się, pobiegli... Na czele pędziły całą sforą owczarki. Niosło je jakieś szaleństwo, którego ludzie nie czuli, choć też rwali wściekle naprzód, gnani wyciem syreny. Matiuszyna trzymało przy życiu tylko to, że cisnął się do innych, że czuł się częścią grupy. Kiedy człowiek ma wokół siebie

tylu ludzi, nie wierzy w śmierć. Albo tkwi w nim nadzieja, że jego śmierć padnie na innego, na tego, kto dławiąc się, dyszy mu w plecy, albo na tego, którego zgrzana czaszka i stojące dęba włosy pędzą tuż przed nim. Silniejsze od wszystkiego było jednak uczucie, że nikt tu zginąć nie może, że kostucha, jeśli w ogóle istnieje, przestraszy się tylu ludzi, poszkapi się, przeskoczy nad nimi. Nie miał czasu myśleć o śmierci, nie zastanawiał się ani czy biegnie ku niej, czy też od niej ucieka, ani co to za noc. Był jak zwierzę, ogarnięty tym samym niepohamowanym, potężnym uczuciem, splotem wszystkich ludzkich porywów – miłości, nienawiści, rozpaczy, strachu, które tkwiły w jego duszy każdy z osobna i nagle splotły się jak żywi z żywymi, jakby przy jego sercu zabiło jakieś inne, a on, który z jednym życiem nie mógł się uporać, poczuł w piersi dwa.

Biegli wąską ścieżką między drutami kolczastymi, potrącali się, wpadali na siebie, ale Matiuszynowi wydawało się, że ma wokół siebie pustkę. I nagle chwyciła go czyjaś ręka, ktoś nim potrząsnął, krzyczał, żeby stanął, nie ruszał się z miejsca. Matiuszyn zdał sobie sprawę, że został sam. Ziemia pod nogami skryła się we mgle. Wokół tłoczyły się płoty, krzywe rzędy drutów kolczastych, biło w oczy przeszywające, białe, jaskrawe światło reflektorów.

Nie milkło ujadanie owczarków, ale przypominało dochodzące z dala wybuchy. Jeżeli coś się działo, to daleko od Matiuszyna. Żołnierze, którzy przystanęli kawałek drogi od niego, już palili – widział jarzące się końce papierosów. Serce to zamierało w nim, to się zrywało, zaczynało tłuc się jak opętane. Wkrótce niebo z lekka pojaśniało. O świcie jak zwykle gaszono reflektory. Nastał poranek. Koledzy z obławy zaczęli wymachiwać ramionami, dawać sobie znaki. Jakby nagle się zauważyli.

Matiuszyn nawoływał się z wartownikami, ale nikt z nich nie wiedział, co tej nocy stało się w zonie, a z wyżek też nic nie widzieli, słyszeli tylko w ciemnościach jakąś kotłowaninę przy obozowych barakach.

Kiedy rozjaśniło się na dobre, Wasia znów zaczął cierpieć z niepewności i oczekiwania. Nagle zaczęło siąpić. Wreszcie na ścieżce pokazali się swoi.

Szli niedbale, źli. Odchodzili samowolnie z obławy i po chwili hurmem władowali się do wartowni.

Matiuszyn chciał spać, zwłaszcza że wydarzenia tej zmarnowanej nocy stawały się bardziej zrozumiałe. Na nogach trzymał się tylko dlatego, że musiał jeszcze dotrzeć do wartowni. Zmordował się tak, że spał, idąc. Jego myśli i uczucia płynęły same z siebie i jakby z nagła się budził, odkrywając, że jeszcze o czymś myśli, że coś przeżywa i dokądś podąża, choć nie wie po co i dokąd. Nawet nie zauważył, że wszystkie prycze w sypialni są już dawno zajęte przez innych, że nie będzie miał gdzie się przyłożyć i będzie musiał czekać. Ale bez miejsca w wartowni zostało jakieś pół plutonu. Kto nocą brał udział w obławie, ten został bez pryczy. Matiuszyn ułożył się na ławie w pokoiku służącym za jadalnię i półprzytomny zasnął. Tylko jedno zdążył odczuć – niespokojną, gorzką łączność z innymi: wszyscy umordowali się razem, a teraz zasypiają też razem i kołysze ich do snu jedna dla wszystkich cisza.

Rozbudzili go przed śniadaniem, żeby uwolnił stół – z koszar przywieziono na wózku jedzenie. Zsunął się z ławy. W jakimś otępieniu zżarł menażkę gorącego gniecionego grochu. Pomaszerował na wyżkę. Odstał swoje, umęczył się. Półżywy dotarł do wartowni. Myślał, że teraz wreszcie się wyśpi, wszystko zgodnie z prawem: wedle regulaminu należało mu się spanie. Ale w wartowni żołnierzy do sypialni nie wpuszczono. Tych, co spali, na długo przed apelem wypędzono na dwór. Matiuszyn pomyślał jeszcze, że polityczny chce władzę swoją pokazać i dlatego wszystkich trzyma na dworze. No ale co może zrobić: poznęca się i puści spać. Musi zyskać we własnych oczach, ale i ludzie odpoczynku potrzebują, bo inaczej się ochwacą. Jeśli nie daje rady, to znaczy, że nie na żarty duszyczkę mu podgryzło, że się zeszmacił, ale i sam wie, przez skórę czuje, że nie jest bohaterem. Z myślą, że polityczny wszystko to wie, Matiuszynowi jednako przyjemnie będzie i stać bez snu na baczność, i spać: męcz się, dręcz się, oficerku, sobie na złość.

Mizerny, szemrzący deszczyk, który nawet wody wiele nie dawał, siąpił od samego rana. Uszykowali ich na rozkaz Armanda. Matiuszyn poznał go

po głosie od pierwszego słowa. Ale i żałosny, przemokły do nitki dwuszereg, cała ta zbieranina, całe to ludzkie śmietnisko poderwało się, żeby w jednym, choćby i niezgrabnym porywie stanąć przed nim w szyku, być podobnymi do ludzi. Marzyli absurdalnie, żeby ich zauważył. A polityczny nagle się zagotował i nie widząc więcej ani oczu, ani twarzy, ani, zdawało się, samych ludzi, ryknął:

– Jak automaty trzymacie? Woda w lufy się nalewa! Opuścić lufy w dół! Lufy w dół!

Jeszcze stali na dziedzińcu w mokrych szynelach, jak zakopani po pierś w ziemi, a Matiuszyn już przeklinał jego i ten deszczyk i co prędzej chciał się stąd zabrać, choćby pod byle jaki daszek. Wciąż zatrzymując zmianę, Armand wykrzyczał, że tej nocy wszyscy oni obrazili jego honor oficerski.

Znalazł winnych oficerek, wybielił się, pomyślał wtedy Matiuszyn. W nocy polityczny się przestraszył, nie poszedł na zonę, żeby się zorientować, co się dzieje, i tylko miotał się za ich plecami całkiem jak tamten strażnik, co wlazł do baraku, gdzie trwała bójka, i uciekł z krzykiem. A teraz Armand ratował nie wiadomo kogo. Zamiast pobiec sam, popędził do tamtego baraku niczego nierozumiejących żołnierzy, chociaż zecy już dawno rozdzielili tam swoich, nawet rannego do szpitalika zanieśli. Teraz dopiero polityczny się uspokoił i przechadzając się wzdłuż dwuszeregu tam i z powrotem, zaczął nudno objaśniać wypadki tej nocy: kto jakie popełnił błędy, dlaczego zrobiło się zamieszanie, jak zachowywali się na wyżkach i w obławie. Dla niego wydarzenia stawały się teraz wyrazistsze, nabierały jakiejś szklistej wręcz przejrzystości i już świetnie rozumiał, kiedy i co zaszło.

Wreszcie ujawnił to, o czym już wszyscy wiedzieli – że tej nocy w zonie zabito więźnia: kapuś, któremu nocą w pijackiej burdzie sprzedali kosę, wyzionął w szpitaliku ducha. Pijatyki w zonie zrobiły się częstsze. Ktoś tu, w kompanii, handluje, jest w zmowie z więźniami, co noc zaopatruje ich w wódkę. Armand sam przestał rozumieć, dokąd go język prowadzi, jąkał się, zacinał: miał w duszy taką potrzebę, żeby w jego obecności wszyscy zaczęli się męczyć i odbywać swoją karę.

Matiuszynowi nie mogło nawet przyjść do głowy, że polityczny postanowił cały pluton za wódeczną ukarać i pójść na zderzenie czołowe jak na śmierć. Zrobiło mu się ciężko na duszy, zapłonęła w nim złość, ale ta najgorsza, bezsilna. Zaczęło się? Zaczęło?! Teraz przecież o to chodzi: teraz to życie albo śmierć.

Stwierdził nagle, że Armand nie spuszcza z niego oczu, patrzy. I zamarł: ot, co sobie wymyślił, człowiek i tak się pali, a on jeszcze żaru dosypuje, na cel bierze, chce po prostu zaszczuć. Matiuszyn starał się nie drgnąć, żeby widzieli, jaki jest twardy. Zwidywało mu się, że wojsko Armanda przetrzyma; stali już godzinę, ale nikt nawet się nie poruszył. I tu Armand byka strzelił, przegiął pałę, wiedział przecież, że trzeba każdego po kolei jakoś tak po cichu przesłuchać – może w tajemnicy i oko w oko jeden by na drugiego doniósł – ale nie zdobył się na to. Polityczny chciał, żeby mu przy ludziach donosili, przy towarzyszach, żeby to był jakby wspólny donos, chciał cały pluton poniżyć, zepchnąć na dno. A może spodziewał się, że Matiuszyn sam nie wytrzyma. Armandowi widać potrzebny był nie kapuś, tylko świadek, na to się porwał, potrzebował dowodów, nie pogłosek i ploteczek! Te on sam zna, bo tu wszyscy o wszystkich wszystko wiedzą, ale idź, spróbuj, dowiedź... A takiego świadka on wśród żołnierzy nie znajdzie, choćby na wieczność cały pluton w wartowni pochował. Zeznawać nikt nie będzie.

I nikt na Matiuszyna nie śmiał spojrzeć, choć on czuł, jak im w duszach potężnie gra. Dziedzińczyk przy wartowni był maleńki, tu nawet cisza huczała. Matiuszyn już całkiem nie mógł ustać na nogach, sam siebie żałował, że tak osłabł. A słabości okazać nie mógł, więc w rozpaczliwym zrywie, żeby zakończyć tę torturę, wyrwał się i ryknął na zastępcę, nawymyślał mu resztką sił, jakby ujadał. Armand raptownie ruszył, podbiegł do niego, zaczął szarpać za klapy, ale zrobił się jakiś malutki, żałosny, natężał się, ale mu nie szło, sam się trząsł. I nagle Matiuszyn wyczuł, że polityczny dygocze, bo chce, żeby on go przy wszystkich uderzył! Armand spojrzał na niego przenikliwie, przeszywająco – i odskoczył. Potem jakoś uroczyście, milczkiem poszedł do wartowni,

zostawiając na podwórku ucichłych żołnierzy, wstrząśniętych tym, co wydarzyło się na ich oczach. Wszyscy czekali bezmyślnie, aż Armand do nich wyjdzie, ale on się nie pojawił i dziedzińczyk smętnie zaszemrał. I rozumiał teraz Matiuszyn, co się stało, i tylko po to, żeby nie milczeć, żeby nikt nie zauważył, jak się boi, krzyknął na całe podwórze:

– On się jeszcze modlić do mnie będzie. Nie ma co ludzi dręczyć! A jak będzie trzeba, to na końcu świata go znajdę i załatwię, niech wie bydlę, że ja mu tego nie zapomnę.

Ale nic już nie trzeba było robić.

Matiuszyn ukrył się na wartowni, pił czifir. Jako dowódca warty zjawił się Pomogałow, który zluzował politycznego, ich jednak nie zluzowali, zostawili cały pluton, dali za karę jeszcze dobę warty. A on nigdzie nie pójdzie, ma już dość, z miejsca się nie ruszy, niech go powloką. On swoje odstał, a jeśli nawet popędzą pluton na wyżki, to niech idą ci, na których kolej przypada, on ma urlop, on będzie w cieple siedział, czifir pił. Słysząc, że zbierają ludzi na służbę, że zaczyna się nowa niekończąca się doba, Matiuszyn potężnie, zwierzęco sypnął przekleństwami, ale od razu stracił siły, zamilkł i już niczego w wypalonej duszy nie czuł, tylko pojął jakoś rozleniwionym od czifiru rozumkiem, że wszystko wyszło nie tak, jak trzeba, że wyszło gorzej, a jakoś lepiej wyjść nie mogło. Siorbał czifir, a wokół było cicho. Wszyscy pogodzili się z tym, że zostają na służbie. Jedni poszli na dyżur, inni rzucili się na prycze, żeby dosypiać. I nagle Matiuszyn pomyślał, że to i dobrze, że na kolejną zmianę zostali, inaczej trzeba by było wstawać, ustawiać się w dwuszeregu, maszerować, a i czifiru nie udałoby się dopić. Oczy mu się lepiły, przysnął z kubkiem w ręku. Była to jakby jedna krótka chwila: pociemniało mu w oczach, ogarnęła go ciepła, słodka mgła. Ale uniósł powieki i mgła się rozwiała. Rozbudzili go, żeby szedł na wyżkę, okazało się, że minęły trzy godziny, i nogi same poniosły go po ścieżce jak po wodzie, jakby płynął. Ale nie po powierzchni, tylko nad samym dnem, do którego ciągnie go nieśpieszny głęboki nurt. I wszystko jest dobrze – ciepło, spokojnie, lekko, tylko powietrza nie ma, po gardło, jak ołowiem, zalewa go miękka woda.

Część czwarta

Jakiś bydlak położył się koło niego na pryczy i go odepchnął... Bezczelny żołnierzyk był pewnie jednym z tych, co od wczesnego świtu do północy stali na wyżkach i porządnie przemarzli na niepowstrzymanym stepowym wietrze. Wrócili do wartowni z ostatnią zmianą i czekali, aż dowódca podniesie z ciepłych, wyleżanych prycz inny oddział i na nich przyjdzie kolej, żeby cudzym ciepłem ogrzać boki i przespać godzinkę, dwie, póki nie zerwą ich znowu. A ten nie wytrzymał, widać się umordował. Po ćmaku Matiuszyn nie mógł dojrzeć jego twarzy. Leżeli bok w bok i tamten spał już mocno, a Wasia przez niego całkiem się rozbudził. Zasnąć nie miał siły, choć chciało mu się spać... Gdyby kazali mu położyć się na kamieniach, położyłby się i na kamieniach. Byleby wiedział, że nikt go już budzić nie będzie. Sen krótki jest też najmocniejszy. Zdarza się, że przebudzi dowódca, żeby iść na służbę, a jeden, kiedy inni się zbierają, zechce zdrzemnąć się chwilę, przyłożyć się znów na pryczy, póki wszyscy nie będą gotowi. I zaśnie tak, że z sypialni siłą go wywlekają, a potem oblewają wodą.

Matiuszyn był od zeszłej nocy półżywy. I żeby choć teraz między jedną zmianą a drugą mógł się wyspać... Ale leży na pryczy, z otwartymi oczyma. I spręża się ile sił, żeby przed samą pobudką nie zasnąć. Inaczej to całkiem zdechnie, a jeszcze wodą go obleją. Z pryczy na służbę poderwą i trzy godziny trzeba będzie przeżyć, żeby znów się położyć.

Ale sukinsyna, który go obudził, to nie obchodzi... A przecież mógł doczekać swojej kolejki... Leżeli teraz bok w bok i Matiuszyn słyszał, jak potężnie bije serce tamtego, i wtedy na siłę przypominał sobie o swoim, którego bicia nie słyszał.

Kiedy w sali pojawił się Pomogałow i klnąc po ciemku, zaczął budzić wysypiającą się zmianę, Matiuszyn jasno rozumiał, że przyszła jego kolej, żeby iść na zonę, ale długo nie mógł zdobyć się na to, żeby oderwać się od pryczy. Spali w ubraniach. Matiuszyn wyciągnął spod materaca i założył pas z ładownicą. Potem usiadł na pryczy i westchnął. Trzeba było nawijać onuce. A były zimne, mokre od potu. Nawinął je byle jak, potem przysunął sobie opadłe w harmonijkę buty, naciągnął je i sam się zdziwił, jakie są ciężkie, jakby zakopał nogi po kolana w ziemię.

Wokoło żołnierze wstawali z prycz, jedni w milczeniu, drudzy hałaśliwie i ze złością; niczego, zaspani, nie widząc, rozchwytywali, dzielili między siebie onuce i buty. Pomogałow popędzał:

– Jazda na światło, potem się rozejrzycie!

Matiuszyn chciał wyjść, ale zaczekał, nagle przypomniał sobie śpiącego na opuszczonej przez niego pryczy żołnierza. Tamten leży na brzuchu, ręce podłożył pod głowę i umościł się wygodnie, zajął miejsce zostawione przez Matiuszyna. I serce jego bije miarowo, pierś głębiej oddycha i przez niego będzie Matiuszynowi czegoś w przyszłości brakowało. I tylko nie wie czego. A jeszcze przychodzi dowódca i na służbę wygania. Za to tamten mały sukinsynek zostaje i śpi, i wyśpi się, lepiej, dłużej... Matiuszyn z nienawiścią patrzył w ciemnościach na swojego serdecznego wroga. I zaczął śpiącego szarpać.

– Czego śpisz, jazda na służbę!

– A ja przecież... Mnie się przecież... – Żołnierz przekręcił się na bok, zaczął się wiercić: noga tu, ręka tam... chciał się odczołgać.

– Wstawaj, dowódca kazał wstawać.

– Kur... Zostaw mnie, chłopie, przecież dopiero z wyżki... Idź, zabiję...

Matiuszyn niechętnie puścił żołnierza. Ten od razu opadł. Coś mamrocze. Słychać tylko, że ze złością. I znów się wierci, chce się odsunąć, schować. Dostał za swoje, sukinsyn, myśli Matiuszyn, dobrze, że go rozbudziłem. I chociaż całe jego osłabione wnętrze broniło się przed pośpiechem, to tak, jak jego obudzono, on sam siebie pogania. Wydaje mu się, że po to właśnie żyje, by zerwawszy się z pryczy, znów się na nią rzucić.

Żeby poczuć się lepiej przed wymarszem do zony, żołnierze pili czifir, zagryzając wczorajszym czarnym chlebem. To Riebrow krzątał się po wartowni i parzył z herbaty czifir. On też krajał bochenek, posypywał pajdy cukrem. Na nocną wartę wychodziło ośmiu ludzi, tyle bowiem było wyżek i posterunków. Matiuszyn spóźnił się i usiadł do stołu ostatni.

– Żarcie dawaj! – zażądał.

Siorbiąc czifir, wyznaczeni na wyżki popatrywali chytrze to na Matiuszyna, to na popychle. Riebrow stał zawstydzony i bezradny.

– Tak jakoś, Wasieńka, chleb cały wyszedł... Nie dopilnowałem. Przymało było.

– Co, kurwo? – krzyknął zduszonym głosem Matiuszyn, czując, że wokół wszyscy wstrzymali oddech i czekają.

– Mało chleba było...

Matiuszyn zrozumieć tego nie może: jak to on tak bez chleba został? I nagle przewraca się w nim wszystko... To tamten skurwiel... I rozbudził go przed czasem, i chleba przez niego nie starczyło. A wokół wszyscy żują, herbatkę popijają. I tylko Matiuszyn siedzi przy stole jak głupi, jak ubogi krewny. Te tutaj mordy niby się nie śpieszyły, a wszystko dostały jak trzeba, najedzone będą. Wydało mu się, że i z pryczą, i z chlebem nie inaczej, tylko wszystko przygotowali, powolutku zaczynają go topić. Riebrowa podsunęli, a ten potwór zawsze się chętnie przysłuży.

– No, już ja z tobą pogadam... Dawaj czifir!

Riebrow ożył i w te pędy rzucił się nalewać. I tak śpieszył się przysłużyć, że nalał Matiuszynowi do niebieskiego kubka. Wszyscy ucichli, kiedy mu go podał[9]. Matiuszyn aż wrósł w ławę. A Riebrow, dureń, niczego nie rozumie i uśmiecha się z miną winowajcy, stara się dogodzić, melduje:

– Wrzątеczkiem, wrzątеczkiem zaparzałem! Ogień po prostu!

Ktoś nagle parsknął śmiechem.

– To Pomogałow parzy herbatę, też z niebieskiego pić nie chce!

– Tośmy dożyli, na wartowni kubków dla ludzi nie ma.

– Ano, wisielcu, golnij sobie...

– Cudzego mi nie trzeba, obejdę się.

Chłopcy z wyżek uśmiechają się zadowoleni. On też się uśmiecha, taki uśmieszek przychodził mu łatwo.

Sennie weszli do pomieszczenia warty. Dożo ze starszym sierżantem słuchali radia. Chińczykowi chciało się spać, głowa mu opadała.

– A co przez radio mówią, jaka pogoda?

– Grad ze śniegiem i błyskawice! – Pomogałow uśmiechnął się ze znużeniem i krzyknął kogucim głosem: – No co, synkowie, pomaszerujemy jeszcze? Jest ktoś żywy? Wy tera przy zonie jak w zonie, na fory ode mnie nie liczcie. Kino się skończyło.

– A co, a co? – zaperzył się Dybienko. – Nic, tylko od razu straszycie. Karmić porządnie trzeba, o, ani chleba nie starczyło, ani herbaty...

– Już ja was znam, sami wyżeracie, a potem się skarżycie.

Dożo zapytał po cichu:

– Bras bronia, towalisa dowódsa?

– Jazda, bierzcie... A co do tego... sierżancie, bez kawałów!

Jeden po drugim wyznaczeni na wyżki powlekli się po broń. Matiuszyn znalazł w stojaku swój automat i wyszedł na dziedzińczyk przed wartownią.

Rozciągnęli się i szli stepem z podwórka wartowni w kierunku ogrodzenia łagru. Matiuszyn ruszył przodem, żeby nikogo nie widzieć. Z tyłu krzyczeli do niego, wymyślali mu, żeby nie pędził, ale on nie słuchał.

Znacznie wyprzedziwszy resztę oddziału, zatrzymał się na ścieżce dopiero przy pierwszej żelaznej furtce, przez którą przejść mógł tylko razem ze wszystkimi – była zablokowana i kiedy ją otwierano, zaczynała rozpaczliwie wyć syrena. Tam, przy furtce, dogonił go Kitajec.

– Ech... Tak nietopse. Nasa wsystkich psegonila.

– Wloką się jak baby... Powiedz im coś do słuchu, żeby tak się nie ciągnęli!

– Psedawaj sybci, tsepa, psedawaj. Twoja mose nie psedawać, a moja do domu tsepa. Piniendze topse. W domu duso piniendze tsepa.

– Ty ciągle swoje, a ja ci mówię: starczy, niech trochę czasu minie.

Dożo uśmiechnął się i na znak zgody kiwnął głową.

– No to dawaj piniendze. Dawaj sto rup – i dopse.

– Nie mam.

– Eee... Nietopse. Psedawaj, bedo piniendze. Pomysl: nie ma piniendze, pudzies na zona. Moja dowudsy bede meldowala, dowudsa sie dowie.

– Ty suko kitajska, to i sam na siebie doniesiesz, bo ja milczeć nie będę!

– Moja nie psedawala, Matusa, twoja psedawala. Ech, tylko twoja, Matusa.

Chińczyk wyjął zza pazuchy manierkę i wcisnął Matiuszynowi. Ten chciał ją odepchnąć, ale usłyszał jakiś tupot i mimo woli wziął, bez słowa przyczepił do pasa obok ładownicy.

Wyleźli z ciemności wszyscy ci, co zostali w tyle: instruktor z owczarkiem, dwóch z Chabarowska i Dybienko, który wesoło popędzał zbitych w stadko, sennych i ponurych żółtków.

– Gdzie tak rwiecie, chłopy, oderrrwaliście się!

– Na ciebie, klawiszu jeden, mieliśmy czekać?

– Ale noc, nie napatrzysz się!

– A stul no pysk!

– Co ty, tusza-matiusza, nie chcesz się życiem cieszyć? W gównie ci się dobrze żyje?

Matiuszyn zaklął przez zęby i zmilczał. Dybienko jego przekleństw się nie bał, ale też nie był w nastroju, by go wyśmiewać czy wszcząć awanturę. Obaj nikogo obok siebie nie zauważali, odpychali pozostałych. Kiedy Chińczyk otworzył furtkę, Matiuszyn twardo pierwszy wszedł na ścieżkę, a Dybienko zaopatrzył się u żółtków w paliwo i został z tyłu, zaciągając się powoli, nigdzie się nie śpiesząc.

Nad zoną wznosił się wśród nocy komin kotłowni. Z jego milczącego kielicha dym snuł się białawymi kłębami i tajał na zimnie, a z wczepionych jak pająki reflektorów biły dwa do białości rozpalone snopy światła, sięgając daleko na ścieżkę, tak że żołnierze szli po niej w jaskrawej, oślepiającej mgle. Za murem obozu stała i nie oddychała ciemność: wysokie na dwa metry ogrodzenie z desek, nad którym od razu zaczynało się niebo.

Kiedy zdawało się, że ścieżka się kończy, a zaczyna szereg wartowniczych wyżek, idącym na zmianę zaczęły grać nerwy. Wszystkich na dobre opuściła senność, czuli lekkość swoich nieważkich ciał, obładowanych tylko żelastwem automatów, oraz przenikliwe zimno. Jedni zostawali w tyle, inni przyśpieszali kroku, jeszcze inni, milczący i źli, trzymali się swoich miejsc. Szyk idących wyrównywał się, podciągał, a tego, kto miał wejść na najbliższą wyżkę, wypychano na czoło, by znalazł się z nią sam na sam.

Przy pierwszej wyżce żołnierze poweseleli, rozgadali się. Z góry wychylił się i ogłuszająco ryknął wartownik:

– Dupę odmroziłem, na zmianę czekając! Co to, okopaliście się, dranie, w wartowni?

Następny już drapał się w górę i z wysiłkiem oglądał za siebie, na ścieżkę, ale nikt go nie wołał. Na ziemię zsunął się zamiast niego, jakby ogłuszony, ten, co ryczał, potężne chłopisko. Przypadł do piersi Dybience i z rozpędu zadyszał mu w mordę:

– Waśka, daj się sztachnąć! Zdycham, chłopaki, chociaż jednego sztacha!

Instruktor poprowadził owczarka nieco dalej ścieżką. Przy czwartej wyżce schodziły się skośnie ogrodzenia, w ich uścisku dróżka się zwężała, przypominała tu ślepy zaułek, głuchy i ciemny. Instruktor ukrył się i ruchem ręki dał znak, żeby się zatrzymali. Nikt nie rozumiał, czego się boi, ale wszyscy ucichli i z trudem pokonali resztę ścieżki.

Przy wyżce wysapali się, odprężyli, zrozumieli, co się dzieje.

– Śpi – zameldował szeptem instruktor i zamilkł, czekając, co będzie.

Wyżkę spowijała poświata reflektorów. Widoczna była ze skosu, tak że w prześwicie jej kwadratowej budki strażniczej czerniał widoczny od pasa wartownik. Spał na stojąco, zwiesiwszy młodą głowę.

– Kto to taki? – zapytał po cichu Kitajec.

– Żółtek... – wyszeptał za jego plecami Dybienko. – Dobrze młody śpi, słodko. Ech, trzeba by go ożywić! Pójdę, może go cieplutkiego wezmę...

Instruktor został z owczarkiem, przykucnął, objął go ramieniem, przytulił z lekka, żeby się nie spłoszył. Dybienko z Chińczykiem podeszli do wyżki. W tym czasie Matiuszyna i wszystkich czekających na ścieżce zaczęły brać dreszcze, robiło się zimno. Podoficer nie wiedzieć czemu zatrzymał się przy schodkach i Dybienko sam, niknąc w mroku, drapał się na wyżkę. Patrząc, jak ten ochoczo ruszył po chwiejnych szczeblach i z jaką rozkoszą nieśpiesznie się wspinał, Matiuszyn aż zadrżał od tak samo rozkosznego pragnienia, które się w nim przebudziło: żeby ryknąć na całe gardło. A zresztą co tam! Zaraz zrzuci z ramienia automat i do goła ich wszystkich rozbierze, niech mu zatańczą!

A żółtek na wyżce z niczego nie zdawał sobie sprawy. Był na głodzie. Matiuszyn go nie żałował, ale nie chciał się uwalać ani czekać. Przez tego ćpuna tylko dłużej musiał tu sterczeć. Nagle ćpun krzyknął i było widać, że wyżka mocno się zakołysała. Chińczyk coś zawołał, wszyscy się uspokoili i przerzucając się żartami, ruszyli dalej. Dybienko, śmiejąc się, skopywał ćpuna z wyżki głową naprzód po kołyszących się stromych szczeblach. Kiedy ten się stoczył na dół, wziął się za niego Kitajec, nie dając mu się podnieść. Żółtek ożył, cieszył się, że trafił w łapy swoich, i wyobrażając sobie, że z niego żartują, sam zaczął się z nimi wygłupiać, wygadując coś w rodzimym języku. Instruktor odsunął się, powstrzymywał warczącego owczarka i lekko się uśmiechał. On przecież na serio chciał się wziąć do ćpuna, ale widział, że tu sobie z niego zabawę urządzili: facet kołysze się, pochrząkuje, można umrzeć ze śmiechu, a i kurczy się, jakby zdychał, aż żal go kopać.

Matiuszyn wciąż stał. Czekał. Ale nadal było wesoło, nikt nie chciał przerwać zabawy. I wtedy nie wytrzymał. Roztrącił zesztywniałych

żółtków, wyskoczył zza ich pleców, w oczach mając ból i siłę, i tępym ciosem kolby, jakby chciał go rozgnieść, rąbnął tarzającego się pod nogami ćpuna: ten krzyknął piskliwie, chwycił się za głowę, jęknął i padł.

Dybienko odskoczył.

– Po cholerę go walnąłeś, wesoło było... – powiedział i zaczął podnosić ćpuna z ziemi.

Ten, jak mógł, starał się utrzymać na nogach. Z czaszki ciekła mu krew, gęstsza od krótko obciętych włosów, więc nie lała się, tylko zastygła nad czołem burą plamą wielkości pięciokopiejkówki. Ale uśmiechał się dalej, tyle że z miną winowajcy. Nie wierzył, że przestaną bić. Stojący dotąd z boku Dożo wybuchnął, zaczął zaprowadzać porządek i w milczeniu pomaszerował dalej wokół obozu – zamkniętego ogrodzeniem i drutem kolczastym kręgu bez wyjścia – za nim zaś, wciąż naprzód, od wyżki do wyżki, poruszał się, pełzł jak wielka gąsienica oddział, a w nim i on, Matiuszyn.

Wydawało mu się teraz, że nie idzie, tylko pełznie. Z obrzydzeniem i bólem zdał sobie sprawę, że rąbnąwszy ćpuna, niczego nie załatwił, a wlokąc się ze wszystkimi, czuł się jeszcze nieznośniej: szło mu się ciężko, jakby to jego ogłuszono kolbą i powalono. Ciężko dysząc, nie idąc, tylko sam siebie pchając naprzód, powoli zostawał w tyle, tracił siły, coraz bardziej zmęczony. Byle szybciej na wódeczną, na wyżkę, odstać swoje i wtedy dadzą spać, spać, spać... Od samego tego mamrotania Matiuszyn osłabł, ale tracąc świadomość, czuł jak we śnie, że ktoś go dławi, ciśnie, gdzieś pcha, i dygotał, jakby był wypełniony ołowianym śrutem. Ale to przecież tamten śpi, sukinsyn! To ci dopiero, on śpi! Dygotał, ołowiany śrut wpijał mu się w ciało i Matiuszyn, sztywny od śmiertelnego wewnętrznego chłodu, przestraszył się, jakby zaczynał tonąć, ginąć.

Kiedy doszli do wódecznej, zniechęcenie ogarnęło też żołnierzy. Poganiali Matiuszyna, poganiali Kitajca, żeby prędzej rozprowadzał, nie zwlekał. Chcieli jak najszybciej pożegnać się z tym przeklętym miejscem. Na wódecznej Wasia zmieniał się z jakimś żółtkiem, nikt w kompanii nawet

nie wiedział, jak on ma na imię. Matiuszyn znał go tylko jako swojego zmiennika. Teraz chłopina trzymał w objęciach automat i coś smętnie mamrotał, na coś się skarżył. Matiuszyn wdrapał się na wyżkę i jeszcze musiał tamtemu tłumaczyć, że jego zmiana się skończyła, inaczej żółtek by nie zrozumiał, nocowałby na górze. Trzeba było go mocno uderzyć, żeby się połapał i z samego strachu zszedł. A kiedy ma na wódeczną wejść, to na odwrót: wbije oczka w ziemię i ani kroku, póki rozprowadzający podoficer kułakami go na wyżkę nie pogoni.

Ktoś krzyknął za Matiuszynem:

– Nie śpij, Matiucha, bo cię wy..bią!

Nie czekali. Ruszyli i śpiesznie zmykali ścieżką w ciemność, w której już niedaleko kusiła ciepłem wartownia.

– Wyrywaj stąd! – kopnął żółtka Matiuszyn.

Tamten wcisnął się w kąt jak spłoszony ptaszek i coś żałośnie lamentował.

– Ano, bo przypieprzę! – warknął Matiuszyn.

Żółtek uspokoił się. I odważył się odezwać, skarżył się. Wasia zmiękł, też się poskarżył:

– Co to, to masz rację... Trzymaj się, trzymaj... Wiemy obaj, razem tu zdechniemy...

A tamtemu oczy najpierw zmętniały, po czym nagle rozbłysły, rozpłakał się, coś zrozumiał, a może znowu się przestraszył, i nie wytrzymał, rozryczał się ze strachu. I wtedy Matiuszyn uderzył go boleśnie, w duszę, w mordę.

– Zabiję, ssukin... No, idźże wreszcie!

Kiedy tamten znikł mu z oczu, na wódecznej zapadł zmierzch. Już było ciemno, a zrobiło się jeszcze ciemniej. Matiuszyn ogarnął pustym wzrokiem to, co miał chronić. Tuż przy wyżce, niemal do niej przytykając, wznosiła się hałda odpadów kolejowych i wypływał z ciemności zekowski szpital. I wszystko teraz wyglądało mętnie: ściany nie ściany, szyny nie szyny, ziemia nie ziemia... Dlatego i step, który od rana rozpościerał swoje

przestworza szerzej od niebieskich, przed nocą odsuwał się dalej od łagru i czekał w światłach reflektorów: wobec ich bezpańskiego, katorżniczego blasku za słaba była jego spokojna siła.

Nocą wyprowadzą z zony strażników. Dla porządku zostanie ich garstka, zamkną się na cztery spusty i będą czekali do rana. Przez tę kolejową hałdę zakazana strefa i ogrodzenia przy wódecznej były całkiem do niczego. Tutaj zek mógł żołnierzowi w mordę napluć i wszystkie płoty przeskoczyć za jednym zamachem. Co tam manierki – tu można by traktorem po szynach do zony wjechać i ślad by nie został, nikt by nawet nie usłyszał.

Matiuszyn powinien uciekać z wódecznej, ale stoi. A wyżka nawet do jego wzrostu nie pasuje. Żeby tam się utrzymać, musi albo zgiąć się wpół i do niej przytulić, albo głowę schować. Więc zgiął się, papierosa zapalił, ogarnęła go bezsilna złość. Gówniane życie, bo na wódeczną idzie się długo, ale nawet jak dojdziesz, żyć nie ma jak. I patrzeć nie ma na co, i myśleć nie ma o czym.

Z całego świata musisz się tą jedną piędzią ziemi zadowolić, tylko na tej jednej piędzi stoisz. A gdy spojrzysz w niebo, to jakbyś brudnym ryjem w jego przestwór uderzył. I takim gadem się czujesz, bo przecież na swoim skrawku ziemi możesz tylko się udławić albo zeszmacić. Gadem, pełzającym gadem jesteś na tych przestworzach, z łaski ci piędź ziemi dano. I jak tu żyć, jeśli sam życia nienawidzisz? To znaczy na siłę, przez złość będziesz żył... Zdechnąć? A takiego wała! Mam sobie odpuścić?! Sami zdychajcie!

A wiatr w mordę bije i w step ucieka. I strach pod wiatr oddychać, odbierze ci oddech, pierś rozerwie od wewnątrz. Oto gna wicher tumany pyłu, oto na wyżkę naciera, tak że trzeszczy ona i huczy. I rwie się zewsząd, miota, jakby chciał jakieś przytulisko znaleźć, ale przestrzeń taka, że gna wciąż niepowstrzymanie.

W pobliżu rozległ się jakiś szelest. I nie kryjąc się, w świetle reflektora wychynął utykający zek, jakby wbity w łagrowe łachy. Pokazał się żołnierzowi, stanął na całą wysokość w bijącym wprost w niego świetle. Matiuszyn mu się przyjrzał i nawet na wszelki wypadek zsunął automat

z ramienia, ale uznał, że nie ma powodu do niepokoju, może to jakiś półtrup z lazaretu, tacy czasem wychodzili nocami pooddychać świeżym powietrzem, pętali się pod ogrodzeniem. Wtedy i zek się rozluźnił, przykucnął i wyciągnął przed siebie powykręcane ręce, jakby grzał się przy ognisku.

– Chłopie, niedługo Narodziny Najświętszej Panny!

– Czego trzeba? – stropił się Matiuszyn.

– Na sklepik czekam, wypić potrzebuję.

Matiuszyn tępo patrzył ponad głową zeka w ciemność zony i nie odpowiadał.

– No, sprzedajże... – zajęczał zek.

– Sklepiku nie będzie, zamknięty.

– Dobrze zapłacę, chłopie, dajże wypić, umrę...

Krzyknąć, zgrzytnąć zamkiem, a nawet wystrzelić w powietrze, żeby go odegnać – do tego już miał prawo. O tym też myślał, bo nie mógł znieść działającego na nerwy mendzenia. Ale jednocześnie był zastraszony, bał się nawet samego siebie. Bał się podnosić hałas, żeby wojsko w wartowni nie musiało przez niego zrywać się na alarm, bał się niepokoić dowódców, wściekłych od zeszłej nocy, kiedy zecy się rżnęli i strach było choćby ukradkiem, jak o śmierci, pomyśleć o samogonie.

– Od tej nocy czerwońca dokładam, czerwońca!

Zek, którego od wyżki dzieliła pusta przestrzeń zakazanej strefy i rozchwierutana, dygocąca na wietrze brama, krzyknął na całe gardło, z gniewem:

– A udławcie się wszyscy!

Matiuszyn krzyku się wystraszył, wyobraził sobie, że tamten się nie odczepi, będzie wyć, naciskać, tylko patrzeć, a szału dostanie, załatwi mu noc. Na myśl, że zek znowu zaryczy, Wasi zaczęły drżeć ręce. Bał się o siebie potwornie, szaleńczo pragnął tylko jednego: przeżyć tę koszmarną noc. Wytrzymać. Ocaleć.

– Jak się nazywasz?

– Mit´ka.

– Co ty gadasz, że umrzesz?

– Umrę... Dla mnie, chłopie, życia nie ma...

Matiuszyn miał dość, pogodził się z tym, że będzie tej nocy handlować. Zrobiło mu się smętnie, ale i jasno na duszy.

– Dobra. Dwadzieścia rubli na wyżkę, będziesz mógł sobie chlapnąć.

– Fu, ech, ty... Lubię, żeby z szacunkiem... – Zek rozpłynął się w ciemności. – I ja uszanuję, i ja uszanuję... Chłopie!

Na oczach Matiuszyna zek coś zawinął. Chciał rzucić, ale nie utrzymał się na nogach, upadł. Patrząc na niego, Matiuszyn sam nie wierzył, że z kimś takim wdał się w interesy.

– Dobra... Rzucaj pod wyżkę. Podniosą. Ale będziesz czekał – syknął... i zobaczył, że zawiniątko poleciało.

– O! A gdzie tamto? – Zek spojrzał w niebo. – Aaa... Nie bój się...

– A kto się ciebie boi, kaleko? Podniosą, ja gwizdnę, ale nie spodziewaj się, że zaraz, nie spodziewaj się... – Uspokoił się, że zawiniątko znikło pod wyżką, a zek machnął ręką bez żalu i odwróciwszy się plecami, w milczeniu zaczął odchodzić w ciemność zony.

Matiuszyna nagle zatkało. To było uderzenie wiatru, po którym nawet łagier jak jeden żywy cień, całą swoją bryłą, swoim skołowanym, zaspanym łbem bił w ziemię, zalewał się czarną krwią, a potem odskakiwał w tył, w noc, jakby rosnąc, twardniejąc na tej krwi. Matiuszyn już na własnej skórze poczuł, że zaczęła się huśtawica, że gdzieś tam, na pustkowiu, zderzyły się wiatry, zjechały gwałtownie z torów stron świata, i ich prądy, ich błyskawice będą wyrywały się ze stepu i biły w łagier – w jego kominy, reflektory, wyżki, więc przysiadł na podłodze budki, gdzie było jak w trumnie. Drżąc z zimna, zapalił papierosa, słyszał już nie wycie wiatru, tylko głęboką ciszę. Susząc się ciepłem dymu i zaciągając głębiej, do bólu, żeby nie zasnąć, nie drzemał i nie pogrążał się w tytoniowym otępieniu, tylko nieśpiesznie, znieruchomiały, marzył. Nagle jasno i prosto z jego osłabionego wnętrza wyłoniło się to, co mimo woli go dręczyło, odkąd się

przebudził: tamtej nocy zmęczył się tym, co przeżył, a tym, co zostało mu z życia, zmęczył się wprost śmiertelnie. I gdyby nawet nie zepchnął go z pryczy ten bezczelny chłopaczek, on by i tak, idąc ścieżką, dźwigał na sobie śmiercionośny ciężar, który – jak myślał, drżąc z niecierpliwości – pokona go i wykończy. I samogonu nie powinien był sprzedawać, biegając z nim każdej nocy, tylko wypić go do ostatniej kropli i schronić się w stepie, żeby wczesnym rankiem ocknąć się i ożyć pośród najcichszego stepowego śpiewu, pod całunem kołyszących się we mgle traw.

Ale nagle coś silniejszego od jego woli, jakiś drugi strach niby drugi oddech kazał mu w mgnieniu oka spiąć się i zerwać na nogi. Zona stała beznamiętnie za osnutymi zmierzchem rzędami ogrodzeń. Wokół – żadnego odgłosu, żadnego szelestu, tylko szum wiatru. Jednak ten porządek i cisza wśród nocy niepostrzeżenie dręczyły Matiuszyna, odbierały mu spokój. Rozglądał się, wsłuchiwał, był gotów na wszystko, ale pamiętał, że wódeczną mogą odwiedzić.

Po chwili z następnej wyżki, zamykającej łagrowy krąg i stojącej tuż przy wartowni, rozległ się ostrzegawczy okrzyk: dyżurujący na niej wartownik przeszedł pomyślnie kontrolę, nie zaspał. Jednak ktoś zachodził ścieżką od tyłu, nie tak jak robią to dyżurni, tylko najstaranniej, jak najdłużej się kryjąc, a okrzyk z wyżki uprzedzał, że wkrótce i na wódecznej pojawią się goście. Matiuszyn spodziewał się, że ktoś nadejdzie od strony głębokiej ciemności następnego posterunku, ale usłyszał urywane, bulgoczące sapanie owczarka, który wyskoczył jak spod ziemi i ze ścieżki patrzył na stromo wznoszącą się wyżkę, zadzierając łeb, jakby bezdźwięcznie wył. Owczarek pełnił straż w imieniu instruktora: to on spuszczał psa ze smyczy, posyłał go daleko przed sobą, żeby się zorientował, co się dzieje przy wódecznej; gdyby od strony zony przechodził patrol strażników, gdyby w pobliżu była choć jedna żywa dusza, owczarek by popracował, zacząłby ujadać i instruktor by wiedział, że miejsce jest trefne, że trzeba zmienić plan i przejść koło wyżki, nie zatrzymując się.

Matiuszyn zobaczył instruktora i malutkiego Kitajca, który szedł za nim, bojąc się z jakichś powodów iść przodem. Im bliżej podchodzili, tym ciężej oddychał Wasia. I kiedy podoficer z instruktorem całkiem zrównali się z wódeczną, tak że było słychać, jak Kitajec sapie i szczęka automatem z akcesoriami, Matiuszynowi zrobiło się ciężko na duszy tylko z nudy i żalu, zawsze tak do siebie podobnych. Z nudy – bo wszystko już z góry wiedział, z żalu – bo Kitajec w żaden sposób nie da mu spokoju, będzie się rzucał i brzęczał jednostajnie, jakby był wypchany miedziakami.

Ciszę przerwał Dożo: zawołał z cicha Matiuszyna ze ścieżki tylko po to, żeby go sprawdzić, włazić na wyżkę nie miał potrzeby. Wasia odpowiedział, pokazał się, wyjrzawszy niechętnie na ich stronę, oderwał się od szczelnych ścian budki jak jasna smolna szczapa. Dożo zapytał, może szyderczo, czy Wasia sprzedał manierkę, ale złagodniał, usłyszawszy nieoczekiwanie, że tak, sprzedał. Instruktor stał bez ruchu, brzydził się tym, co się dzieje, ale musiał się ruszyć i powstrzymać owczarka, żeby nie zaszczekał, kiedy Chińczyk poszedł szukać pieniędzy. Matiuszyn słyszał, jak sapał i grzebał się pod wyżką, i sam mimo woli się zaniepokoił: kiedy tamten znajdzie zawiniątko? Kitajec nagle ucichł, cofnął się zręcznie, bez hałasu – miał je w rękach.

Potem zdawało się, że oni tam na ścieżce już liczą pieniądze: Kitajec oddał zawiniątko instruktorowi, przecież sam nawet liczyć porządnie nie umiał, tamten odrzucił szmatkę: teraz coś szepczą, ile komu przypadnie, jak się rozliczyć może i za poprzednie długi. Lepiej spokojnie się podzielić tutaj, na ścieżce, niż w wartowni, gdzie z każdego kąta wpija się w człowieka para oczu. Matiuszyn to rozumiał, wypróbował to na sobie, więc chociaż sierżant i instruktor o nim zapomnieli, zerkał na zonę, czuwał, uczestnicząc – zdawało mu się – w tym dzieleniu. Ale nagle wyżka się zachybotała – to instruktor zaczął się na nią wdrapywać, żeby pogadać.

Kroki słychać było coraz bliżej, coraz ciężej, ospalej. Matiuszyn usłyszał nagle zza drzwiczek jego obrzydliwy cichy szept:

– Pieniędzy tam nie ma, tylko kamień.

Nie uwierzył, znał ten jego zwyczaj, żeby żartami dokuczać tym, których na serio bał się ruszyć, powoli szarpać im nerwy, niepostrzeżenie sączyć w nich niepewność i lęk. Instruktor jednak nie żartował, wypytywał szybko i ze złością, kto zamawiał samogon, a potem, nie wierząc ani jednemu słowu Matiuszyna, zasyczał:

– Swoich ci się zachciało okradać? Myślałeś, że my z Dożo do twojej norki nie wleziemy? A wiesz, co się za to należy? Wszystko teraz oddasz. Słuchaj, szczurze jeden... Pieniędzy nie wydałeś, chowasz je gdzieś, dużo ich teraz masz, oddasz wszystko jutro, powiesz, gdzie leżą, albo cię Armandowi nadamy. Każdy mu powie, słyszysz? Wszystkich załatwiłeś, nikt za ciebie cierpieć nie będzie, jak się szczurem okazałeś.

Matiuszyn już nie słyszał instruktora i nawet nie pomyślał o tym zeku, którego nigdy wcześniej nie widział, tylko gryzła go otępiająca złość – że to swoi go oszukali. Zrobiło się cicho. Wkrótce rozległ się okrzyk wartownika z sąsiedniej wyżki: to tam, jak na drugi brzeg, poszli instruktor z Kitajcem. O tej późnej godzinie zdawało się, że zamknięta gładzizna nocy leży między brzegami rozerwanych kawałków suchego stepu. Matiuszynowi wydało się, że wszystko odpływa w noc, staje się obce i niedosięgle dalekie. I że wódeczna zstąpiła w tę gładziznę nocy i odchodzi, odchodzi, wszystkim obca. Przeniknął go dreszcz: a więc tamten nie łgał, znaczy się – jutro.

Kiedy szedł na wyżkę, myślał, że wszystko przepadło, że już nie ma nic do stracenia, a stracił dopiero teraz. Doczekał się. Wychodzi na to, że sam siebie utrupił. Zamiast się uratować, wziął i zgubił się. Teraz z udręką przeżywał to, że instruktor z Chińczykiem poszli, a on nie umiał ich zatrzymać, przeciągnąć na swoją stronę czy choćby się uczepić i zostać z nimi po jednej stronie, na tym samym brzegu. Gdyby pogodził się z oszustwem, zostałby z nimi. I gdyby wszystko oddał, jak powiedział instruktor, to też zostałby z nimi, tylko trzeba było milczeć, zdać się na ich wolę i za to kupić ich milczenie. Swojego by nie ruszyli, swój, choćby oszukany, to jednak swój, nawet bliższy... Teraz jest sam przeciwko wszystkim i cokolwiek zrobi – czy będzie się bił na śmierć i życie, czy

spełni ich warunek – i tak go połkną, zjedzą, tylko przedtem rubelki od niego wyciągną. A może, sam o tym nie wiedząc, tego właśnie chciał, chciał szybciej siebie zgubić? Może to właśnie jest jego, Matiuszyna, najbardziej upragniony los, bezrozumne i wciśnięte jak we wnętrzności marzenie i ono wreszcie mu się spełniło? Stracił, w końcu stracił i zamiast ziemskiego śmiertelnego ciężaru – niebiańskie przestworza i lekkość w piersi. Tego przecież chciał!

Przestraszył się, że wkrótce nadejdzie zmiana, tak szybko, że zdoła go zaskoczyć, złapać, chociaż tliła się w nim jeszcze żarem dawno wypalona złość o to, że ta noc w żaden sposób nie może się skończyć. Z pragnienia zemsty została tylko rana albo lej wsysający gdzieś na dno. W tym leju wszystko przyśpieszyło, zadyszało głośno. Jasno zrozumiał, co i jak się stanie, kiedy go na wyżce zluzują, a on pójdzie do wartowni i już tu nie wróci. Zobaczył, w kilka chwil przeżył cały, już zaczynający się przyszły dzień, w którym wydadzą go Armandowi, a ten go aresztuje, wyśle pod konwojem do Karagandy, do aresztu śledczego. Nie spał już czwartą noc z rzędu, był półżywy i z lekkością rozpaczy przenosił się nagle z życia w jakiś niebyt, jakby nie żył normalnie, tylko zaczynał spać z otwartymi oczyma i śnić sny.

Matiuszyn zobaczył, wycierpiał i przeżył w jednej chwili także to, jak kryminalni będą się nad nim, facetem z czerwonymi pagonami, znęcać w podobnej do nory więziennej celi. I twarda decyzja, że się zastrzeli, stanęła przed nim w całej swojej nagości jak jądro jego zmiecionej do leja duszy. Żeby nie umrzeć w więzieniu lub w zonie, musi sobie palnąć w łeb, tego był pewien także dlatego, że przecież znał już całą przyszłość, wiedział, że została mu tylko potężna bryła ostatniego rozpoczętego dnia, który wykluł się z ciemności tej właśnie nocy i nad którym wznosi się – jeszcze się wznosi – wódeczna wyżka. I dla Matiuszyna wszystkim stał się w tej chwili automat, którego ciężar dawno już wrósł mu w ramię, w ciało, i który sam, bez niego, już nic nie ważył i tylko, jakby był z waty, ogrzewał mu bok. Śmierć od jego kuli kusiła takim ciepłem i serdecznością, że nie rodziła oporu ani nawet lęku. Bał się tylko tego, że nie zdąży i trafi nagle do

wartowni, a tam go rozbroją i zamkną w areszcie. Doszedłszy duszą do tej granicy, jakby przekroczywszy ostatni krąg swojego strasznego niebytu, Matiuszyn odzyskał przytomność i od razu zarepetował.

Teraz już wszystko dobrze wiedział i nawet nie myślał, że może nie zdążyć, twardo wierzył, że zdąży, nie dręczył się. W wymiętej, wypalonej paczce cudem znalazł się papieros. Matiuszyn pomyślał, że zapali, pociągnie z manierki, a potem się zastrzeli. Tyle czasu sobie odmierzył, bo z jakiegoś niewiadomego powodu potrzebował, żeby śmierć miała wyznaczony dokładny termin, ale też żeby nie odkładać tego, na co się już na dobre zdecydował. Przypomniał sobie o manierce: po to właśnie się pojawiła, żeby w tej chwili mógł się z niej napić, jakby to było jej przeznaczeniem. Matiuszyn jeszcze uśmiechnął się na myśl, że będzie pił na własnej stypie, a ten wredny zek już nie dostanie swojego samogoneczku.

Wyprostował się, żeby ostatni raz popatrzeć na zonę, i pociągnął z manierki. Cała nieprzejrzana przepaść zony po prostu zastygła, nie mrugała światłami, tylko jak tysiącem oczu wpijała się w niego każdym promieniem. Manierka, jeszcze ciężka od zawartości, na chwilę przywróciła mu przytomność, powstrzymała go, pomyślał nagle, że pić nie powinien. Na pewno nie powinien, chociaż sam nie wiedział, jaki w tym sens, żeby zabraniać sobie wypić. Potem jednak doszedł do wniosku, że śmierć po pijanemu nie będzie bolała, więc ciągnął, zachłystując się, z manierki, póki nie wydudlił jej całej. Tylko on jeden wiedział, że wypił, i nikomu o tym nie powie, nikt go nie ukarze. Wstrzymując w sobie tę pożegnalną myśl jak łyk powietrza, Matiuszyn opadł na dno swojej budki i rozweselony własną odwagą zadymił ostatnim papierosem.

Teraz patrzył na dotychczasowe życie z wysoka i bez litości jak w jeden punkt, uważając, że to on ma słuszność, nieoczekiwanie i z całą siłą wierząc, że postępuje na przekór jakiejś nieprawości, że wciąż walczy i że zwycięży. Od niego jednak wymagano czego innego. Wymagano, żeby był pokorny, żeby się upokorzył i żył krępowany zewsząd groźbami, długami. A on właśnie się nikomu nie podda: to on ich postrzeli w samo serce, przez

siebie na wylot. Oni osłaniali się jego strachem, jego poczuciem winy, a teraz on ich kryć przestanie, teraz to oni zaczną się miotać i będą się męczyć, tak jak on męczył się samotnie, kiedy oni zażerali się i spali. Zastrzeli się – i zawali się wódeczna. To oni pójdą pod sąd, to u nich znajdą manierki z samogonem, to ich jutro wsypie cała wartownia. I jeszcze ukarzą Armanda, nie będzie on oficerem, o nim też dowiedzą się prawdy. A na wódeczną popędzą zamiast Matiuszyna jednego z tych, co gotowi byli go zdradzić. Ci zaś, których nie popędzą, zobaczą ten sąd i potem strach przed tym, co zobaczą, będzie bardziej męczący niż sam sąd i będzie dłużej trwał. I choć patrząc z boku, będzie się zdawało, że śpią i żrą, to naprawdę będą rzygać i miotać się, wewnętrznie będą z nich trupy.

Wypalając sobie duszę do reszty, Matiuszyn otępiał ze zmęczenia, umordował się z niewyspania i picia i wciąż widział we śnie te trupy, te mordy, i dlatego myślał, że nie śpi, że rozmyśla i że jego papieros jeszcze dymi. Nawet nie poczuł, jak ten przedśmiertny papieros wypalił się i zgasł mu w palcach.

Kiedy szeroko, wyłupiaście rozwarły mu się oczy, zobaczył nie noc, tylko ranek: otworzył się przed nim powietrzny zimny przestwór i słup białych obłoków przebijający mlecznoszary nurt nieba. W żyły napłynęła mu zimna, ciężka jak ołów otucha, więc mocno chwycił automat, ale nagle coś, już na jawie – jakby rzucony przez kogoś kamyk – stuknęło w wyżkę i Matiuszyn poderwał się bez namysłu, jak na sprężynie skoczył do przodu, bojąc się, że nie zdąży, kiedy zagrają pobudkę.

W porannej powietrznej pustce i ciszy wyczuł, że przy wódecznej ktoś się kryje i dyszy, ktoś, z kim sam na sam jest spięty milczeniem.

Tę obecność Matiuszyn odkrywał nieludzkim instynktem, jakby zek był jego ćmiącym nerwem. Tamten nie wiedzieć czemu nie podchodził do wyżki, czekał: nie patrzył, tylko popatrywał z boku, z dala, podobny w tych szarościach poranka do bezlistnego, cherlawego drzewka. Chwiał się zresztą jak drzewo. Ich spojrzenia się spotkały, kiedy zek zachwiał się mocniej i jakby noga mu się powinęła, zrobił niezręcznie krok do przodu.

Po kilku kroczkach wrósł w ziemię i ten ludzki pieniek, tak go widział Matiuszyn, nagle zastygł jak słup.

Znieruchomienie, ociężałość, milczenie, pustka tej chwili były dla Wasi nieznośne, zwidziało mu się nawet, że zeka nie ma, że jest tylko jakiś szary dziki słup. Ale słup nagle ożył, cofnął się i znów napłynął poranek, lekko się unoszący w swojej bezbarwności.

Zek coś wyczuł i zaczął odchodzić od wyżki. Matiuszyn stał teraz jak żołnierz, jak dwunożne lite działo, ciężkie, nieruchome. Świtało w oczach, z chwili na chwilę, światło paliło jak ogień. Mrok purpurowiał, rozgrzewał się do białości. Step to czerniał, wychodząc jak węgiel płatami na powierzchnię, to nagle oślepiał jak milczący śniegowy przestwór, od czego w oczach ciemniało, robiło się ciepło jak po wódce. Płonęły niepogaszone reflektory i latarnie, a w ich żarze grzały się elementy baraków, ogrodzeń, wyżek. Wokół było jak w jasnym, pustym, niezamieszkanym baraku. Nie było nic, tylko barak z klepiskiem, na głucho przykryty niebem. Skrzypiały w nim deski, w kominie huczały przeciągi, a powietrze pachniało drewnem tych porzuconych desek, niebiańską wilgocią, ziemią i tchnęło jak zwłokami zastarzałą wonią człowieka. Niespodzianie reflektory i latarnie naraz pogasły. To w wartowni przekręcono wyłącznik, jakby chciano wydać komendę, i świt groźnie pociemniał, zdało się, że obrósł burzowymi chmurami. Wszędzie zapanował zimny ład, jakby wzdłuż łańcucha baraków, ogrodzeń, wyżek puszczono prąd. Nadszedł łagrowy poranek. Ale zek nagle znów na oczach Matiuszyna wypłynął z uspokojonej, jasnej, gładkiej pustki. Teraz stał bliżej wódecznej niż przedtem. Pojawił się tam, gdzie leżały żelazne i drewniane szczątki wysłużonych na tym odcinku ogrodzeń, zwalone na kupę i gnijące. Zek, z wyżki widoczny jak na dłoni, ale niezauważalny z ziemi, rozglądał się za żołnierzem.

Matiuszyn zawołał łagodnie, bał się go przestraszyć:

– Mitia! Mitia!

Tamten odczekał chwilę i chwiejąc się, potykając, powlókł się w stronę wódecznej. Z trudem poruszał się o chromej nodze, która to zostawała w tyle, to sztywniała jak drąg. Pewnie dlatego przystawał i ukradkiem,

zgarbiony, popatrywał na przebytą drogę, ale prostował się, szedł ku wyżce, pokazując się żołnierzowi. Matiuszyn patrzył na niego i czekał, jakby go poznawał na nowo. A kiedy tamten się wlókł, zrzucił pustą manierkę pod wyżkę, dla niego. Brzęknęła cicho, ale zek, zamiast do niej doskoczyć, zatrzymał się lękliwie.

– No, czego stoisz? Twoja jest, przecież wszystko zapłacone... No jazda! Tylko ręką sięgnąć, trochę na prawo, na prawo!

– Nieee... Nie widzę... Nie ma... – jęczał zek, mimo to z wciąż takim samym trudem pełzł spod bramy prosto po belkach na goły kamienny placyk pod wyżką, aż w końcu jednak doskoczył nagle do manierki.

I właśnie w tej chwili, kiedy wślizgnął się w jasną pustkę tego miejsca, stworzonego właśnie po to, żeby kropnąć człowieka jak muchę, nie dając mu nawet chwili do namysłu, ukrycia się czy obejścia śmierci bokiem, Matiuszyn poczuł duszną aż do obrzydzenia lekkość. Nie celował, czując zwierzęce ciepło bijące od zeka. Nie patrząc, naprowadził automat na tego człowieczka, cherlawego i niemal umierającego, który wydawał się jakimś zaszczutym żyjątkiem, okrytym cienką skorupką – i jakby tracił rozum, nie mógł się zdecydować, co ma robić, kogo i za co ma karać. Ale zek chwycił manierkę i przez chwilę zamarł, zadarł głowę tak, że widać było jego oczy, błyszczące jak dwie monety, zastygłe z przerażenia. Patrząc w te oczy, wstrząśnięty Matiuszyn też zastygł. Zek szarpnął się w tył. Jego chroma, wątła noga powinęła się, upadł, próbował się odczołgać, ale już gruchnęły strzały... Zek, trafiony, ranny, wierci się, już prawie nie żyje, lecz od kul się wywija, nie chce umierać. A kiedy pusty już zamek automatu szarpnął i zamarł, rozstrzelane ciało zmiękło: jeden lekki prztyczek przyniósł mu wieczny spokój.

Matiuszyn wypuścił z ręki automat jak zwierzę na wolność. Półprzytomny zwalił się na podłogę z desek, wdychając spływający na dół ołowiany zapach prochu. Ogłuszony niczego nie słyszał, nawet zbliżającego się coraz bardziej tupotu. Do wódecznej biegli strażnicy. Wiatr niósł ich nawoływania. Ujadanie owczarków zlewało się z głosami ludzi, ale zdawało się dochodzić z nieba, z wysoka. A Matiuszyn siedział

ogłuszony i zapłakał jak dzieciątko. Wytrzeszczył oczy, samemu nie wiedząc, czemu polały się łzy. Ale było mu spokojnie i ciepło, jak w łonie matki.

Zona też drgnęła od strzałów na wódecznej. Zecy unieśli z zasmolonych poduszek pokryte zimnym potem głowy. I jak było ich tysiąc – razem zamarli bez tchu. Słyszą tupot. Ucieczka! Na razie podnieśli na nogi wartę, obstawili obóz naokoło, pilnują zakrwawionego miejsca. Do zony wprowadzą oddział z pałami. A może jednak nie?

Żołnierze stanęli kołem i nawołując się wzdłuż łańcucha, wypytują o zabitego. Pomogałow ryczy. Otępiałego Matiuszyna ściągnięto z wyżki. Starszy sierżant dał mu w mordę, żeby go doprowadzić do przytomności, ale on boi się żołnierzy, płacze. A z trupem się nie udało. Po twarzy się go nie pozna, bo wymłócona na kaszę. Pomogałow powąchał i od tej kaszy go zemdliło. Tylko on krzątał się koło trupa, żołnierzy blisko nie dopuszczał. Zek leżał w zakazanej strefie. Matiuszyn gapił się tam, nie widząc, ale nagle wydało mu się, że mignęła podobna do brukowca manierka i znikła za ubłoconą pazuchą starszego sierżanta, który w tej samej chwili odszedł od trupa, ruszył w kierunku Wasi i ryknął:

– Baba z ciebie czy chłop?! Myślałby kto, uciekiniera kropnął! Ja z dziesięciu takich kropnąłem i nic!

Krzyknął chrapliwie na Kitajca i kazał mu zabrać Matiuszyna do wartowni, żeby ludziom w oczy nie lazł. Tak, tak, zaciągnąć go na pryczę, niech się wyśpi, byle się tu nie kręcił. Wloką Matiuszyna pod ręce przez łańcuch żołnierzy. A żołnierze mu się przyglądają, przytupują na wietrze, uśmiechają się. Już usłyszeli, dziwią się, że półtrup zeka ustrzelił, a dopiero co, jeszcze wieczorem, nikt nie myślał, że taki los go czeka.

Zaprowadzono go do wartowni, a tam cisza grobowa: nie wiedzą żołnierze, o czym z Wasią gadać. A może i strach, jakby to nie Matiuszyn był, tylko odmieniec jakiś. Kumpel z kumplem – a też nie pogada. A jak się komuś zamarzy, że za zbiega powinni urlop dać, to w ogóle kamień pod gardło podchodzi: nikomu nie jest przyjemnie o swoim zabitym marzeniu rozmawiać.

Więc tylko klepią Matiuszyna po ramieniu albo włosy mu mierzwią: zuch, nie pękł. A on siedzi w pomieszczeniu wartowni, z oczu nie schodzi, choć przez niego żołnierzykom na świat boży patrzeć się nie chce. Przed ludźmi się chowa, ale żeby odejść – jakoś mu ducha nie staje. W wartowni było ciepło i pachniało sytością. I on w tym cieple i sytości zaczął się męczyć. Pamięta dobrze, że przywabił tego człowieka manierką, i majaczy mu się, że koło truposza ona leży, jeśli Pomogałow już jej nie znalazł i nie obraca z zadumą w rękach. Może jednak nie znajdą? A człowiek może jeszcze dyszy, żyje? Słychać, że podobno żywego skrawka na nim nie ma, wszyscy mówią, że kasza. A Matiuszyn nie wierzy. Wydaje mu się, że usypiają go powolutku, że bawią się nim, a sami prawdę znają. Znają, znają, znają... Ktoś o urlopie palnął i serce mu zamarło. Stało się to, co pełniący służbę na wyżkach wciąż słyszeli, o czym każdy w tajemnicy myślał, marzył, ale zrobić nie mógł. A on, na to wychodzi, odważył się. I tej odwagi, tego zabitego, wszystkim odebranego marzenia nie można nie rozumieć – i oni przecież rozumieją, wiedzą!

Matiuszyn cały purpurowieje. Jeszcze chwila i padnie swoim do nóg, zacznie krzyczeć. Bracia, rodzeni, nie dręczcie, ja przecież się nie odważyłem, ja nie chciałem, on, sukinsyn, sam mnie oszukał! Ale przybiegł do wartowni poczerniały od trosk Pomogałow. Zobaczył, że Matiuszyn nie śpi, szlaja się, zaraz się porzyga, więc niemal rzucił się na niego z pięściami.

– Przecież ciebie przesłuchiwać będą! – krzyczy. – Jeszcze śledczemu dowieść trzeba, żeś niewinny, on jeszcze, śledczy niby, posłucha, popatrzy. A ty, durniu, zaspany jesteś! Żebyś mi świeżutki był jak ogórek!

– Nie chciałem... – wyjęczał Matiuszyn, omal się nie zdradzając. – On sam...

Ale Pomogałow nawet słuchać nie chciał.

– Ty, kurwa, bohater jesteś, ty masz, kapujesz, bohaterem być dla całej kompanii. Idź, umyj się! I spać! Wszystko się kończy, skończyła się twoja wojna! Trupa my tu zaprzychodujemy, a ty jedź odpocząć do domu. Bać się

nie masz czego. Nikt ciebie nie ruszy. To wszystko, chłopie, uważaj, że odsłużyłeś. A będziesz mendzić, upokarzać się – mordę obiję.

Matiuszyn dostał się do umywalni, myślał, że nikt go nie widzi. A tam Riebrow tutejszą twardą jak szmergiel wodą szoruje naczynia. Zobaczył go i zadrżał. Myślał, że za dawną sprawę będzie bił, za tamten przydziałowy chleb.

– Wasieńka... – skamle. – To instruktor powiedział, żeby jemu twoją porcję oddać, a z kubkiem to ja nie chciałem, to się już nie powtórzy.

Ale Matiuszyn jego słów nie słyszy. Jaka porcja, jaki instruktor – nie, łżesz! Boi się nastraszyć pętaka i ostrożnie go obejmuje, przyciska do siebie, żeby nie uciekł.

– A wszyscy wy sukinsyny jesteście... Co, myślisz, że na wasze wyszło?

– Co wyszło, Wasia, mnie instruktor, instruktor powiedział.

– Instruktor? Powiedział? Co on ci powiedział?

– Nic, nic...

– Łżesz! Wiesz. Każdy wie. Ale ja tak się nie dam. Ja was tu wszystkich załatwię. Nie mam nic do stracenia.

Nie zdając sobie z tego sprawy, naprawdę Riebrowa dusił, ściskał coraz mocniej. Ten chrypiał i nagle zrozumiał, że Matiuszyn dusi go na śmierć, więc szarpnął się rozpaczliwie, powalił go, zdołał się wyrwać i rzucić do ucieczki. Matiuszyn poleciał za nim, ale rąbnął w ścianę. Ocknął się w kącie ciemnego, głuchego korytarzyka wartowni, który wyglądał jak szczelina między dwiema ścianami, i nie wiedział, dokąd biec.

Pomacał w ciemnościach i trafił ręką na otwarty, czarny otwór drzwi. Owionął go od razu zapach onuc i Matiuszyn usłyszał głuchą ciszę ludzkiego oddechu.

To do tego progu śpieszył, kiedy krążył po łagrowym kręgu. I teraz nocą brakowało mu snu. Za każdym razem walił się jak nieprzytomny na pryczę i myślał, że tej nocy się wyśpi, wyrwie na wolność z ołowianej, nieprzejrzystej senności, jakby dlatego właśnie zgodził się żyć, że obiecali mu połowę życia spędzić we śnie.

Biegł po ścieżce prowadzącej do wódecznej. Chciał jak najszybciej. A teraz szumiało mu w głowie i zagnano go do tej szczeliny, do tego dyszącego snem otworu. I nie było dokąd pędzić. I już nikt go nie zaniepokoi, nikt go okrzykiem do służby nie poderwie, bez niego będą tam chodzili.

W sypialni było ciemno i cicho, jak pewnie bywa tylko pod ziemią. Ruszył naprzód, przyciskając się do ściany. Dotarł do prycz, które czuł, słyszał, i zwalił się na jedną z nich jak na jakiś, zdawało mu się, wierzchołek górski, gdzie spało z dziesięciu stłoczonych, zbitych w kupę, niewidocznych żołnierzy, takich jak on.

Odżył, zmęczenie z niego spłynęło.

„No i po wszystkim... Koniec...” – zdążył pomyśleć, ale w tej chwili ktoś uderzył go w brzuch, potrząsnął, siłą starając się zepchnąć z pryczy.

– Zjeżdżaj stąd! Zabiję sukinsyna!

Matiuszyn chce się przedstawić i nie może sobie przypomnieć swojego nazwiska. Jęczy. Opiera się. Wydaje mu się, że wytrząsają z niego duszę. Torturują. Zaczyna się przesłuchanie. Zebrawszy więc wszystkie siły, jęczy:

– Zabij, zabij...

– Wstać! Słyszysz, psie, zjeżdżaj z pryczy, bo zatłukę!

Wypychają go na światło, pod lampę, on widzi, że jest w pokoiku dowódcy warty, ale nie rozumie, czy to dzień, czy noc, ile dali mu spać. Stał tu z otwartymi oczyma Pomogałow i krył się owinięty w bagienną szarość swojego pomiętego szynela. Armand siedział na krześle, maleńki, zdawało się, obrąbany do pasa; na czole świecił mu jak wypalona plama mokry ślad ni to deszczu, ni to potu, a z ramion zwisała gładka skóra płaszcza, ociekając wodą i zaczerniając kałużą podłogę. To on miał decydować, ale błąkał się w pustce jak martwy. Zastarzała cisza pobielanych, odrapanych ścian i taki sam sufit zaciskały ich w swoich łapach. Słychać było, jak po dachu przechadza się deszcz, który jakby przyszedł z przeszłości. Szum deszczu pogrążał w śpiączce i bez tego ciasną, głuchą izdebkę, ale nikt nie spał. Wszystko było już postanowione,

na niego już wydano tu wyrok – oczy zalało mu rzadziutkie światło. On widział w tym świetle tylko okrwawionego, strasznego trupa, słyszał ołowiany i natychmiast cichnący, przyprawiający o drżenie wysoki łoskot, aż wreszcie zamilkł, pogrążył się w niemocie, by zyskać na czasie i oprzytomnieć. To, co już miało mu się wyrwać, zastygło w gardle, zrozumiał, odliczając w szaleństwie pierwszą jasną minutę, że będzie tylko milczeć. Armand zerwał się i już krążył, ciągnąc za sobą duszną wilgoć swojego oficerskiego szynela, niecierpliwie zbliżał się do niego, coś krzyczał, zginał rękę w łokciu, a raz nawet się zamachnął, ale uderzyć się nie odważył.

Pomogałow nagle zasłonił sobą Matiuszyna.

– I po co się znęcać nad chłopaczkiem? Trupa widzieliście, wiecie, jak było, sami nie rozumiecie, czego chcecie, w co się pakujecie, czy jak...? Żal wam, że zastrzelił, a nie ranił? Zdarza się przecież, człowiek to nie celownik. Zmiłujcie się, jakie on będzie miał życie? A jak, towarzyszu starszy lejtnancie, nie chcecie, to przepraszam, czas już miarę znać, chłopak czwartą dobę w wartowni siedzi, mam was dosyć.

Armand zastygł i głośno zawołał żołnierzy. Starszy sierżant uśmiechnął się i Matiuszyn, chwytając się tego jego niedowierzającego, wesołego uśmieszku, potrząsał głową i wytrzeszczał oczy gdzieś w pustkę. Na okrzyk politycznego nikt nie reagował. Armand jakąś minutę czekał w dzwoniącej deszczem ciszy, po czym już tylko Pomogałowowi rozkazał:

– Chodźcie ze mną.

Matiuszyn został sam w pokoju, dyszał, dyszał, wreszcie usiadł na krześle. I siedział tak długo, że wszystko mu we wnętrzu opadło, zanim po pewnym czasie wrócił całkiem do siebie niepodobny starszy sierżant, z żalem, bezradnie patrząc na niego.

– Synku, taka sprawa, trzymaj się, synku... – Z oczu wyglądały mu szare, jakby w szarych łupinkach łzy. – Telefonogram przyszedł, tatko twój, twój ojciec umarł... On już ten telefonogram wczoraj dostał, taka sprawa, zdarza się, a ty trzymaj się, no, popłacz tu sobie, no, dawaj... Tylko ty niczego ze sobą mi nie zrób, rozumiesz? Słyszysz mnie? Na swoją córeczkę

przysięgam, ty stąd dzisiaj wyjedziesz. Takie przyszło zarządzenie, podlega demobilizacji, on już żadnego prawa do ciebie nie ma. Ale chcesz...? Pójdę i go wykończę... No, chcesz? Ja sam tego sukinsyna... Coś ty, ogłuchł? Powiedzże coś!

Epilog

Ostatnie wspomnienia

Przy dworcu autobusowym, koło bezbarwnego betonowego, oszklonego pudła, tłoczyła się wrzaskliwa ludzka zbieranina i męczył się na mrozie wielki, biały, człekokształtny pies, przywiązany sznurkiem do kruchej, szronem pokrytej brzozy. Pan pewnie o nim zapomniał, tkwił gdzieś w tym tłumie. Ale Matiuszyn pomyślał jeszcze, że to jest właśnie prosty sposób na pozbycie się niepotrzebnego już zwierzęcia: nie wygnać, bo przecież będzie się kręciło koło domu, nie da spokoju, tylko odejść trochę dalej i przywiązać w jakimś ludnym miejscu, choćby przy sklepie. Tu albo ktoś się na nie skusi i ukradnie, albo pies w jedną noc zamarznie na miejscu, zdechnie i jeszcze przed świtem pokryje go zaspa, tak że sumienie nie zadręczy człowieka. I cały dzień pies będzie się rwał na sznurze, będzie już nie szczekać, tylko z całych sił ujadać, że zabijają, ale nikt z przechodniów nie zrozumie, że go tu zostawili, nie tymczasowo, tylko na śmierć, a to ujadanie to przedśmiertne wycie. Matiuszyn właśnie wysiadł z autobusu i zaczął się rozglądać, aż dojrzał tę odchodzącą od szosy drogę, o której mówiła mu matka. A przedtem zaszli na „radziecki” cmentarz, powiedzieć, że będą chować przy kimś z rodziny, załatwiali sprawy: bez niego matka chować nie chciała. Matiuszyn nagle poczuł się dobrze w tamtym kąciku, chociaż matka zmusiła go, żeby po raz pierwszy wystroił się w kożuszek, czapkę z renifera i buty, które na niego pasowały – a ojciec przez pięć lat je oszczędzał, prawie ich nie nosił, kupując sobie z oszczędności wszystko za duże. Wasia chodził po cmentarzu, daleko od ośnieżonego grobu brata, czując się nieswojo w opiętym kożuszku, w dodatku jeszcze nieprzywykły do cywilnego ubrania; radował się błyszczącym, nietkniętym śniegiem, czuł

się w ojcowskich rzeczach jak w żywym, ojczystym pancerzu. Nie bał się, jakby to był nie cmentarz, tylko ogród zimowy. Zaspy na mogiłach okrywały i ziemię, i leżących w niej zmarłych. Kiedy przy grobie brata matka z uszanowaniem rozmawiała ze stróżem, swoim rówieśnikiem, przystanął niedaleko, słuchając ich utyskiwań na zdrowie, i pomyślał nagle, że sam żyje przecież tylko po to, żeby lec w tej mogiłce – oto co znaczy ta piędź ziemi. To jego mogiłka, jego kochana ziemia, taka potrzebna, taka ważna, że czuje ją brzuchem, ścieli się na niej i ogrzewa, oddając jej własne ciepło i samemu ziębnąc...

Teraz obszedł tłum, oszklony blok, wyszedł, idąc ciężko, rozkołysanym krokiem, na pustą, białą, nieco rozjeżdżoną przez samochody drogę. Widział już wysoki komin z lekkim szarym dymkiem. Idąc tak, myślał uparcie tylko o jednym: że wracając, odwiąże psa, niech on sam znajdzie sobie drogę albo pana. W pachnącym choiną kantorku obsługiwała młoda dziewczyna, wyglądając śmiałą buzią przez szybkę. Zobaczył przypominającą zabawkę brązową urnę z plastiku i zamarł od nagłego, dziecięcego zdziwienia. Niezgrabna, pokryta warstwą szronu torba, którą ze sobą przywiózł, wydała mu się i brzydka, i za wielka, tak że spocił się z tego poczucia niezręczności, ale nic innego nie miał. I poszedł z powrotem drogą na dworzec autobusowy, słysząc, jak stuka mała urna, jakby sam na każdym kroku pokrywał się tą lodową skórką. Ale psa nie było. Przy brzozie czerniały w śniegu świeże dziury śladów i ziała pustką wyryta, wymoszczona przez psa jak barłóg jama. I z Matiuszyna też jakby zeszło zmęczenie, kiedy przeciskał się przez ten sam tłum, przez to pudło ze szkła i betonu, to stado żywych, otoczonych kłębami pary rudych autobusów.

Karagandyjska tryzna

Bytowanie

W Karagandzie na wietrze i zimnie handlowano jeszcze arbuzami, a miasto wciąż płynęło i płynęło, niesione stepowymi wiatrami ku zbliżającej się zimie... Obłoki, które nocą wyłaziły jak myszy ze szpar, by zapolować na czerstwe gwiezdne okruszki, co rano rozbiegały się lękliwie. Odsłaniało się szerokoekranowe, czarno-białe niebo listopada. Z kamiennej bryły dnia wydostawał się na zewnątrz chłód i błąkał się ponuro po ulicach, alejach, placach, na których jak tratwy kołysały się na falach wiatrów jednakowe, zrudziałe szeregi drzew. Pułk ochrony więzienno-łagrowej przeszedł na czas zimowy jak zawsze: w regulaminowym terminie, na rozkaz. Konwojenci i wartownicy pogrubieli w nowych szynelach i przywykali do spodniej bielizny. Uparcie czekali na każdy nowy dzień tylko ci, co leczyli się w pułkowym lazarecie.

Mieszkańcy lazaretu rzadko kiedy odzywali się głośniej od myszy. Żyły tu duszyczki cichutkie, lekarstwami karmione. Głośne były myszy: wiecznie nienażarte, szare, wszędobylskie bestie, które z nastaniem chłodów przekoczowały z sadu, gdzie zebrały wszystkie plony, do piwnic i zakamarków tej barakopodobnej budowli, przez los przeznaczonej również dla nich. Myszy zabawiały więźniów lazaretu, a może nawet niosły im pociechę, nawiązując, jeśli który chciał, serdeczną przyjaźń, tyle że do przyjaźni trzeba je było zachęcić przynajmniej skórką chleba. Rodziły się one tutaj, gdzieś pod podłogą i w szparach ścian, ale nieczęsto dawały się dostrzec w postaci trupków, chyba że wypatrzone przez człowieka, który dzień w dzień tępił je z pasją myśliwego – naczelnika jednostki medycznej, o jakby cudzoziemskim nazwisku, chorobliwie nienawidzącego wszystkiego, co żyje i co w tym budynku wydaje choć trochę samodzielny dźwięk.

Myszy w lazarecie żarły tyle rozmaitych lekarstw, jakby chorowały na wszystko naraz, a do tego jeszcze żarły na zapas, żeby nie zachorować w przyszłości. Samego tylko analginu zżerały przez rok kilka worków. Od proszków albo nabierały szaleńczej odwagi, albo mądrzały, stawały się matematykami i tylko jak na złość nie zdychały, bo przecież lekarstwa, nim je skierowano do produkcji przemysłowej, wypróbowano kiedyś na nich, na myszach. Zdawał sobie z tego sprawę również człowiek nazwiskiem Institutow. Tylko myszy były w stanie postawić się temu lekarzowi w pagonach i hulały po lazarecie jak na wolności.

Naczelnik jednostki medycznej ani z charakteru, ani z usposobienia nie nadawał się na podkomendnego. Do służby zwerbował się kiedyś jako technik dentystyczny z wykształceniem powyżej średniego, czym mocno różnił się od innych ludzi, a kiedy uznawał, że warto komuś przypomnieć, z kim ma do czynienia, oznajmiał z naciskiem: „Ja, jako człowiek z wykształceniem powyżej średniego...”.

Żeby zachować jednolitość i równość w szeregach, przyznano mu, tak jak każdemu pracownikowi cywilnemu, najniższy stopień oficerski. Wulgarnego awansu służbowego osiąganego własną pracą czy talentami Institutow zdobywać w końcu nie miał okazji. Kiedy poprzedni naczelnik lazaretu zapił się do cna, na jego miejsce mianowano niepijącego wyrwizęba: mężczyznę średniego wzrostu, ze starannie podstrzyżonymi wąsikami, matową cerą i rękoma, które były krótkie i niepokaźne, ale obrosłe mięśniami dzięki niemal codziennym ćwiczeniom siłowym. Institutow nie znosił w niczym prostoty, jakby się jej brzydził, a nawet lękał, dlatego na przykład ćwiczenia ze sztangą nazywał „sztangowym sportem”, a kiedy robił zwykły zastrzyk, ten stawał się „procedurą ambulatoryjną”. Chociaż w całej postaci wyrwizęba było coś z ciężarowca, on sam dokładał starań, aby podkreślać swój wykwint i urodę, ale urodą i siłą błyszczały tylko jego naturalnie czarne, lśniące jak antracyt oczy abstynenta. Te oczy to zwężały się z urazy i złości jak małe diablęta, to znów – kiedy szef lazaretu był ze wszystkiego zadowolony i spoczywał na

laurach – z ich głębi majestatycznie wypływały dwa wypielęgnowane, krągłe, dumne biesy.

Institutow, kiedy coś go oburzało, miał zwyczaj wypowiadać się o ludziach, porównując ich do bohaterów utworów literackich, nawet niekoniecznie postaci negatywnych. Żaden człowiek nie był dla niego nowością. On jakby mówił takim ludziom z rozdrażnieniem: byli tacy jeszcze przed wami. Nie znaczyło to, że wiele w życiu czytał albo widział. Miał jednak jakieś wyobrażenie, zdążył wszystkiego po trochu załapać i w roli bardzo oczytanego człowieka krzywił się na widok żywych ludzi, jakby byli podrobieni. Alkoholu szef jednostki medycznej nie cierpiał, wyczuwał go węchem; zdawało się, że trzeźwe życie jest jedną z głównych jego zasad, może nawet moralnych. Cierpiał na wrzody, ale krył się z tym, bo wstydził się obecności w swoim organizmie tak zwyczajnej, prymitywnej choroby. Spirytus w lazarecie był zawsze na składzie. Dlatego bywało dziwnie, kiedy w lazarecie spirytusu nie brakowało, naczelnik przechadzał się po nim równym krokiem, a tymczasem po drugiej stronie ulicy, gdzie mieścił się hotel robotniczy o obostrzonym rygorze i do picia nigdy nic nie było, wszyscy byli w trupa pijani i dochodziły stamtąd wrzaskliwe śpiewy, przeraźliwe wycia, płacz dzieci, łoskot naczyń, tłuczonych i nietłukących się.

Służba medyczna Institutowa była nieustanną, gorączkową gonitwą. Nie nadążał z leczeniem. Niemal cały czas zabierały mu odpowiedzialne i dwuznaczne sprawy, może i mające coś wspólnego z chorobami, ale jedynie z tego powodu, że pachniały zejściem śmiertelnym. Nie wiedział, że w takich wypadkach kieruje ludźmi gorliwość, korzyść czy strach – on sam chciał się po prostu możliwie szybko opędzić od nieprzyjemnych zleceń i za każdym razem tylko z obrzydzenia wykonywał wszystko jak najlepiej, przy czym udawało mu się błyszczeć sterylną czystością i uzasadniać jeden z przydomków nadawanych lekarzom: „ludzie w bieli”. Institutow gardził swoimi zwierzchnikami, bo czuł, że wykorzystują go jako czyściciela w takich sprawach, którymi sami bali się ubrudzić, ale

mógł tylko milcząco buntować się w duchu albo bezradnie cierpieć. A może leżało to w jego naturze: cierpiąc wykonywać, wykonując cierpieć.

Zębów już od dawna nie chciało mu się leczyć albo brzydził się także brudnych, śmierdzących ust i wolał po prostu rwać. Zwłaszcza niższym rangom nie krępował się zadawać bólu. W swojej pracy stomatologa, każdego dnia to zadając ból, to uwalniając od niego, sam niewiele odczuwał: pracował i tyle. W takich sytuacjach zawsze mówił: „Co robić, serdeńko, cierp, ja jestem lekarzem, nie bólem”. Przychodzili do niego zalęknieni, bojąc się zapewne tego bólu, który najmocniej panuje nad człowiekiem. Drżeli przed Institutowem, modlili się do niego, chociaż strach budził tylko ból zębów. Wyrwiząb czuł niekiedy w sobie tę upajającą władzę nad ludźmi, ale nie wiedział, czego miałby pragnąć, i zapalił się wyłącznie do tępienia myszy. Miał ochotę podsypać tym stworzeniom trucizny albo nastawić na nie tępą mysią gilotynę, ale nie z nudów; tępił je, nie znając nudy. Na świecie kochał tylko siebie, i to nie tą najserdeczniejszą ślepą miłością, jaką kocha się własne ciało, tylko lubieżnie, chutliwie, jakby jedno ciało nieustannie pragnęło innego, jeszcze piękniejszego. Jednak cały jego raj na ziemi burzyły dzień po dniu myszy, chociaż je same pobudzał bodaj tylko strach. Szczególnie się męczył, cierpiał, kiedy we własnych kieszeniach znajdował świeże mysie pomioty, które nie tylko były białe, ale i kształtem przypominały pigułki.

Te wszędobylskie szare istoty wszystkiemu były winne. Institutow to mamrotał: „One chcą mnie zabić”, rozglądając się jak zaszczuty, spode łba, żałosny i nieszczęśliwy, to znów ponuro oznajmiał komuś na głos: „One realnego udziału w życiu społecznym nie biorą!”. A sam fakt, że nie może zaradzić kradzieżom, jakich te stwory co chwila bezczelnie dopuszczały się w lazarecie, doprowadzał go wprost do szaleństwa. Przez te szare maleńkie stworzonka on, Institutow, męczył się dokładnie tak jak ci, których prześladuje ból zębów, przez co wydaje im się, że całe ich życie dygoce żałośnie, umocowane na kole tortur jak jakiś obolały robaczek, z kształtu całkiem przypominający glistę. Rozumiał, o czym one piszczą. Znał prawie każdą z widzenia, wiedział dokładnie, że pod szafę w jego gabinecie

szurnęła właśnie ta mysz, którą tydzień wcześniej widział w gabinecie zabiegowym lub gdzie indziej. Pamiętał dokładnie, która ile ukradła, na co sobie pozwoliła i jaką, ogólnie i w całości, szkodę wyrządziła. Widział w myszach rozsadnik wszystkich chorób zakaźnych, z cholerą i dżumą włącznie, i nie wiedzieć czemu utrzymywał, że myszy żyją i żywią się tylko na śmietniskach, chociaż one żyły i żywiły się przy nim, a czasem tuż przy nim, w jego gabinecie, jego zapomnianym na biurku kawałkiem ciasta. Główna zaś wina wszystkich tych stworzeń polegała oczywiście na tym, że w przekonaniu Institutowa zamierzały go zabić. I niekiedy majaczyło mu się jak w malignie, że wdrapią się pewnego razu po jego ciele, przegryzą gardło albo żyły, a może wlezą mu prosto do ust, tak więc naczelnik lazaretu w jakimś sensie nie tyle był opętany morderczą żądzą wyniszczenia całego ich gatunku, ile nieustannie ratował własne życie.

Ale rzadko kiedy działała na nie jakaś chemiczna trucizna o smaku saletry. Zdawało się, że gryzonie wśród lekarstw, które podjadały w lazarecie, już dawno wykryły antidotum. Institutow za własne, ciężko zapracowane pieniądze nakupił pułapek i nadziewał je odtąd – kupowaną też z własnej kieszeni – smakowitą, pachnącą przynętą. Co druga mysz, nauczona doświadczeniem, cierpliwie objadała te pułapki, częstując się na jego koszt, i również co druga śpiesznie wydawała na świat co miesiąc nowy drobiazg. Wychodziło na to, że wytępić ich w żaden sposób nie można, chyba że wszystkie naraz, na przykład podpalając lazaret. Przed nocą, kiedy naczelnik opuszczał pole walki o swoje życie, w szyku, jak na defiladzie, przybywały myszy. Jeszcze nie pogaszono światła, chociaż wszyscy już leżeli w łóżkach, gotowi zapaść w sen, gdy nagle po równej, rozległej przestrzeni linoleum, upodabniając się za sprawą swoich szarych futerek do odzianych w szynele żołnierzy, zaczynały paradować całe szeregi gryzoni. W tych defiladach brały udział zapewne najbardziej zahartowane w bojach osobniki, ich ruchy były zdecydowane, zgrane. Obszedłszy w krąg salę, mysie pospolite ruszenie znikało, odprowadzane ogólnym śmiechem. Potem gaszono światło, chorzy w rozkosznej ciszy zasypiali, a myszy gdzieś tam wojowały, odważnie wyczekując poranka.

Koty i kotki, które Institutow co jakiś czas osadzał w lazarecie, by łowiły myszy, długo nie wytrzymywały i po jednym czy dwóch dniach haniebnie uciekały, wdrapywały się na jabłonie w sadzie i z nich jak zawodzące komety spadały na rodzimy asfalt. Odkąd uciekł pierwszy, którego zdążono już nazwać Tygryskiem, to imię jakoś samo z siebie przylgnęło do następnych. Tygryski rozpieszczano. Dostawały mleko. Ale one i tak chciały na wolność. Naczelnik nie lubił, nawiasem mówiąc, prawie wszystkich zwierząt, jakby wszystkie tak czy owak wywodziły się od znienawidzonych przez niego myszy. Koty też pożywiały się na śmietniskach i bezczelnie stale komuś coś kradły. Z zadowoleniem dusiłby je i wieszał, gdyby nie uznał, że są mu potrzebne, sam więc łowił je po śmietnikach i przynosił po kryjomu do lazaretu na dnie swojej teczki, z obrzydzenia opakowane w celofan. Kiedy już Tygryski przemęczyły się w dusznej teczce, żadna siła nie mogła ich utrzymać w ścianach lazaretu, gdzie zazwyczaj puste były wszystkie sale oprócz jednej.

Zostać bez chorych naczelnik w żaden sposób nie mógł. Kto już dawno wyzdrowiał – odkarmił się aż do niestosownych dziewczęcych rumieńców na tryskających zdrowiem policzkach – był osądzony na wieczne leczenie. Ktoś musiał codziennie dbać o sterylną czystość, żeby on mógł się nią rozkoszować, oraz słuchać jego pouczeń i trudzić się dla własnego pożytku, ale nie nadawali się do tego zbezczelniali z nieróbstwa sanitariusze, on sam się ich bał, więc zatrudniał co zręczniejszych pokornych chłopaczków, którzy służyli u niego przez wiele miesięcy na etacie zakaźnie chorych i których dolegliwości płynnie przechodziły w postać chroniczną. W swoich jednostkach pilnowali oni osądzonych za przestępstwa i służyli to jako konwojenci, to jako wartownicy, ale odkąd znaleźli się w lazarecie, przez miesiąc i dłużej nie mieli prawa wyjść na zewnątrz. Urodzeni byli w najrozmaitszych miejscach, ale w tym samym czasie. Toteż prawie wszyscy mieli skończone po osiemnaście lat, kiedy ich wzięto do wojska. Z początku w masie takich samych jak oni, zamaskowani pod kolor trawy i ziemi, to biegali, to się czołgali, to sprawnie maszerowali w jednym kierunku, ale nie rozróżniali ani siebie, ani sobie podobnych i nie rozumieli swojego losu. Nie był to ani oddział, ani stado, ani tłum, tylko lud ze swoim

zadaniem, ale i z charakterem. Dziecinnie ufny, lecz także porządnie zahukany. Niewiarygodnie wytrzymały – i jęczący, cierpiący, o byle co wylewający skargi. Żywotny – i leniwy. Zdawało się, że zjawili się na świecie w ślad za tymi, co ich zrodzili, tylko po to, żeby zmężnieć i zdążyć przed śmiercią pozostawić po sobie takie samo ufne, wytrzymałe, pojękujące, żywotne, leniwe dziecko. Wielu z tych, których los sprowadził do lazaretu, już ze śmiechem opowiadało jednakowo nudne historie o tym, jak omal nie zginęli. Milczał w kącie tylko ten, który chciał na siebie podnieść rękę. I męczył się jedyny wśród nich prawdziwy bohater, co to za cenę poparzeń nie dopuścił do wybuchu w magazynie broni, ugasiwszy pożar, który sam wywołał, przerabiając przełącznik wysokiego napięcia na grzałkę codziennego użytku.

Chociaż życie na szpitalnym łóżku było znacznie dostatniejsze niż w koszarach, a tym bardziej w barakach, od słów „reżim szpitalny”, „kontyngent szpitalny” wczorajszym wartownikom i konwojentom kręciło się w głowie aż do ogłupienia, przez co nieznośnie ciągnęło ich na wolność. Wszystkie tutejsze rozkosze zaczynały im się nagle wydawać odbiciem smrodów więzienia i ohydy łagru, tamtych czarnych, zatraconych dziur, z ich własnymi reżimami i kontyngentami. Do poczucia, że idą sami przed sobą przez wąski, prosty korytarz jakby pod konwojem, nie byli przyzwyczajeni. Zadowolone z siebie gospodarskie spojrzenia tych, którzy wpadali tu z wolności, wprawiały ich w przygnębienie, strącały z nich dawną zuchowatość. Wydany w lazarecie szlafrok jakoś ich poniżał.

Sala oficerska, zawsze wypełniona niezamieszkaną pustką i myszami, przyczaiła się w samotnym, przygniatającym milczeniu. A odkąd w lazarecie osiedlił się młodziutki lejtnant, zrobiło się uciążliwie nawet bez szczególnych przyczyn. Nowemu choremu w dniu przyjęcia towarzyszyło dwóch oficerów; nie wyglądali na należących do służby medycznej, na dodatek byli jacyś nietutejsi, mieli ogorzałe, wręcz pancerne twarze. Nie nosili jeszcze szyneli, czyli służyli na krańcach stepów, tam gdzie słońce i wiosną, i jesienią pali jak na pustyni i gdzie od monotonii i nudy ludzie czasem tracą rozum. Z tak daleka, pod konwojem z jakiegoś powodu czysto

oficerskim, przywieziono lejtnanta do Karagandy, żeby go umieścić w zwykłym lazarecie. Odprowadzający czekali jak wmurowani, póki nie otrzymali spłowiałego oficerskiego munduru podobnego do ściągniętej jak pończocha skóry. Z tym mundurem w rękach natychmiast znikli, posłuszni tajemniczej woli, która ich tu przysłała. Nie wiadomo, dlaczego lejtnantowi zabrano dokądś mundur, pozbawiając go ni to ubrania, ni to wolności, a wydano z magazynu lazaretu szpitalny szlafrok, obszerny, ale tak znoszony, że oficer wyglądał na żebraka nawet w szczelnie ogrodzonym pustym ogródku, gdzie inni pacjenci go widzieli, kiedy wychodził na papierosa. Widywano go też co rano w umywalniach, gdzie mył się tak starannie, jakby się golił.

Naczelnik panoszył się w lazarecie jak we własnym domu i nie można było kroku zrobić bez jego gospodarskich napomnień i popędzań. Zapewne nie narodziła się kobieta, która by go przewyższała jadowitą babskością, toteż Institutow, chociaż wprost ze skóry wyłaził, żeby podobać się dziewczynom i kobietom, wegetował jako jałowy kawaler. Z gorliwością eunucha nie tylko doprowadzał do porządku ludzi i rzeczy, ale i wypełniał ten swój porządek piekielnie nudnymi przemówieniami. Kiedy tylko w lazarecie pojawiało się coś żywego albo nawet i nieżywego, Institutow natychmiast wygłaszał własny pogląd i wszyscy, by sprawić mu przyjemność, musieli nie tylko przestrzegać jego reguł, ale i wysłuchać jego mowy. Przybycia lejtnanta jednak lękliwie nie komentował i starannie wystrzegał się kontaktu z tą nową osobistością, tak jakby dziwnego młodego człowieka umieszczono w lazarecie specjalnie po to, by nie był tam leczony. Po co w takim razie trzeba go było trzymać w lazarecie, naczelnik z pewnością dobrze wiedział i dlatego unikał sali oficerskiej; tylko raz czy dwa, spoglądając w jej stronę, bąknął: „Też mi Raskolnikow...”.

Kiedy Institutow postanowił na dodatek urządzić nowo przybyłemu coś w rodzaju kwarantanny, bezwiednie skierował wzrok na jednego ze swoich podwładnych, który zajęty pracą sterczał samotnie pod sufitem na kozłach malarskich.

Naczelnik zamarł na chwilę, przejęty łaskoczącym chłodkiem wyrzutów sumienia, ale wreszcie wypowiedział się majestatycznie i głupawo:

– Chołmogorow! Ano zejdź, serdeńko, z niebios...

Zawołany oderwał się od pracy i niezręcznie zlazł z wysokości kozłów, na wpół goły i powalany wapnem, podobny do gipsowego bałwana z parku. Patrząc z rozdrażnieniem na stojący z opuszczonymi rękami posąg, Institutow zasępił się i burknął:

– No, serdeńko, będziesz miał jeszcze jedną robotę: masz podawać do sali oficerskiej śniadanie, obiad i kolację i zabierać brudne naczynia, kiedy nasz nowy chory się naje.

Wieczny ząb

Minął miesiąc, odkąd tę martwą duszę – zdemobilizowanego żołnierza – nakazał mu przyjąć do lazaretu inny naczelnik: władca poligonu, głuchy chorąży Abdułłajew przezwiskiem „Abdułka”. Głuchy, niewydarzony wojak gospodarował w bezludnym stepie sto kilometrów od Karagandy. Kiedyś służył w jednej z kompanii konwojenckich, ale pewnego razu kontuzjowało go na ćwiczeniach zarządzonych z okazji kolejnej rocznicy rewolucji październikowej. Tego dnia na zamarkowanej rubieży nieprzyjacielskiego ognia doszło do fatalnego zbiegu dwóch okoliczności: pierwszą była ta, że Abdułka potknął się i upadł, drugą – że w miejscu, gdzie upadł, rozerwał się jak na zamówienie pocisk hukowy, który miał imitować wybuch, kiedy setka zielonych ludzików demonstrowała przejście z obrony do natarcia.

Ktoś patrzący z wieży obserwacyjnej widział wciąż przed sobą kłębiące się jak wojownicze mrówki ludziki i tylko się irytował – zapewne krótko – kiedy jeden z nich ryczał i zalewał się krwią, nie rozumiejąc, za co go to spotkało. Abdułłajewa czekał gorzki los nikomu niepotrzebnego inwalidy. Uratowały go własne baranki, własne maleńkie, starannie utrzymane gospodarstwo.

Każdemu z tych, którzy w komisji lekarskiej i w jednostce mieli rozstrzygać o jego losie, za czyjąś radą przyniósł w darze baranka. Wychodząc z założenia, że głuchym w każdym sensie może być także człowiek o dobrym słuchu, i biorąc pod uwagę, że właściwie na utratę słuchu kontuzjowany już się nie skarżył, obdarowani po kolei uznawali Abdułłę Ibrahimowicza Abdułłajewa za zdatnego do kontynuowania służby, czyli całkowicie zdrowego. Ostatni, który na własne ryzyko pozostawił głuchego na służbie, oddał mu na utrzymanie akurat najbardziej zapyziałe

miejsce, wymarły poligon, kamienisto-piaszczysty skrawek stepu podziurawiony strzelaniami i wybuchami. I tak to jałowe, dzikie miejsce, gdzie odebrano mu zdolność słyszenia – czyli jakby pół życia – przemieniło ogłuchłego zielonego człowieczka w naczelnika.

Żeby nadal zapewnić sobie dobre traktowanie, kontuzjowany raz do roku zjawiał się u swojego dobroczyńcy z jakimś przysmakiem w darze. Abdułka miał zawsze jednego podwładnego, tyle przewidywał etat. Nie było chyba w całym pułku drugiego takiego dowódcy, który by dowodził tylko jednym człowiekiem. Przez większą część roku, wolną od strzelań – a te mogły trwać czasem tygodnie, czasem całe miesiące – głuchy żył ze swoją babą w osadzie typu miejskiego i tylko dla porządku odwiedzał dość odległy poligon, a jego żołnierz bez przerwy latem i zimą tkwił kamieniem w gołym, dzikim stepie i pilnował wiatru. Wszystkich swoich żołnierzyków Abdułka po ojcowsku kochał, pamiętał o nich jak o synach, każdy, kiedy nadchodziła pora rozstania, stawał się zawsze dla niego ostatnim. Dziwni byli ci jego podkomendni, którzy jakby gospodarzyli wszystkim, czym on dowodził chyba nawet nie przez cały miesiąc w roku. Trafiali do niego na poligon jednakowi – obcy, rozglądający się po stepie jak skazańcy, ale i odchodzili od niego po latach, nieuchronnie zmieniając jeden drugiego na tym stepowym posterunku, tak jak przedtem podobni do siebie niczym krewni, ze starczą przejrzystością w oczach, niektórzy mimo swoich dwudziestu lat pobieleni siwizną. Właśnie teraz, ledwie skończyła się jesień, zabrali mu kolejnego, zdemobilizowali. Powinien był już dawno jechać do domu. Ojcowski Abdułka nie mógł jednak puścić synka tak zwyczajnie: postanowił obdarować go wiecznym, metalowym zębem.

Wybuch, własny przeraźliwy ryk, widok krwi lejącej się z uszu – wszystkie te straszne rzeczy, które przydarzyły mu się kiedyś na poligonie, tak go przestraszyły i poruszyły, że potem byle drobiazg wywierał na nim takie właśnie wrażenie wieczności. Metalowe zęby wstawiał sobie i przedtem, jeden nawet złoty, ale nigdy nie myślał o tym, że pozostaną one i po jego śmierci. Że ktoś na przykład znajdzie je w jego grobie nawet za tysiąc lat. Wzruszające i lękliwe pragnienie posiadania w swoim ciele

czegoś wiecznego skłoniło Abdułkę do wstawienia sobie metalowych zębów w miejsce zdrowych i odtąd jedyną w jego w życiu dumą były te nierdzewiejące kęski wieczności, promiennie błyszczące w słońcu, kiedy kontuzjowany gniewał się albo uśmiechał od ucha do ucha. Podarować swojemu ostatniemu synkowi taki sam ząb to było dla niego tak, jakby tryumf ludzkiego życia podzielić między dwóch.

– Bez zęba co z ciebie za człowiek? Taki sobie człowiek, proch z prochu, wiatr dmuchnie i się rozsypiesz! – wołał głośno Abdułka. Jak wszyscy głusi nie słyszał tego, co mówi, i słowa wydobywały się z niego jak z głośnika.

Żołnierz nie opierał się, wierzył, że kontuzjowany chce tylko jego dobra. Abdułka zjawił się u Institutowa z tuszką jagnięcia zawiniętą jak polano w workowe płótno – taki szczodry dar ofiarował dobrowolnie i tylko z naiwności. Naczelnik lazaretu połaszczyłby się nawet na baranią kość, ale Abdułka tak mocno tęsknił za kochanym żołnierzem, że ani żadna inna siła, ani zdrowy rozsądek nie mogłyby go skłonić do złożenia skromniejszej ofiary. Za plecami ojcowskiego Abdułki, jakby czemuś był winny, stał wystrojony w wyjściowy mundur ten właśnie żołnierz. Podobny był do dużego dziecka, które od urodzenia przebywało w stanie niepewności. Miał przy sobie dokument, dowód tożsamości obrońcy ojczyzny, czterdzieści pięć rubli zaopatrzenia pieniężnego, dopiero co otrzymane w pułkowej księgowości, oraz polecenie wyjazdu uprawniające szeregowego Aleksieja Michajłowicza Chołmogorowa do otrzymania biletu z miejscówką do dowolnego zakątka naszego bezkresnego kraju.

Wszystko rozumiejący naczelnik lazaretu, człowiek praktyczny, nie wychwalał szczodrości duszy Abdułły Ibrahimowicza, ale zaklinał się, że wstawi żołnierzowi w najbardziej widocznym miejscu najlepszy metalowy ząb, który będzie z nim złączony do śmierci. Abdułka tak łatwo uwierzył nie tyle słowu tego człowieka, ile prawu ludzkiego życia, któremu sam był wierny jak mrówka i które naruszyć, będąc człowiekiem, mógłby tylko pod warunkiem, że natychmiast otrzymałby za to jakąś bliską śmierci karę. Zgodnie z tym prawem, któremu Abdułka był wierny jak mrówka, żadnemu człowiekowi na ziemi – żadnej innej takiej samej mrówce – nie byłoby

dane go oszukać, gdyby ów człowiek wziął za swoją robotę coś z góry, dlatego że nie byłoby potem dane mu żyć. Żeby uzyskać taką właśnie pewność, Abdułka przyszykował dla naczelnika lazaretu jagniątko. Wzmianka o śmierci tak go jednak wzruszyła, że nieoczekiwanie, jak na pogrzebie, stanęły mu w oczach łzy. Co ludzie mówią, kontuzjowany rozumiał, bo potrafił czytać z ruchu warg, ale ludzi – jeśli pamiętali, że jest głuchy – za każdym razem napełniała strachem ta niespodziewana siła uczuć, z jaką reagował na czyjeś najzwyczajniejsze słowa.

W tej samej chwili, kiedy zapłakał ojcowski Abdułka, Chołmogorow poczuł się sieroco i omal też się nie rozpłakał.

– Abdułło Ibrahimowiczu, ja i bez zęba mogę, chodźmy stąd, ja bez niego przeżyję! – zawołał Alosza.

Obcy człowiek, który otrzymał już zapłatę za pracę, wzdrygnął się nieprzyjemnie. Ale głuchy nic nie słyszał i żołnierz, czując nie wiedzieć czemu wyrzuty sumienia, dalej stał w miejscu. Długo żegnając się z gospodarzem poligonu, Institutow popatrywał ukradkiem na chłopaka, który już zdążył go zirytować swoim głupawym wyglądem. Obawiając się, że Abdułka, nawet jeśli się pożegna, to przecież może znów zawitać do lazaretu, naczelnik od razu po jego wyjściu dokonał udanego usunięcia zęba z miejsca wyznaczonego pod metalowy, ale poczekał dzień, dwa i zapomniał o zobowiązaniu. Z początku tłumaczył, że zęba tak od razu się nie wstawi, jeśli ma pozostać na wieczne czasy. Alosza z ulgą zawierzył naczelnikowi. Wierzyć zawsze było mu łatwiej niż nie wierzyć. Tylko wtedy przestałby wierzyć temu człowiekowi, gdyby poczuł się przez niego oszukany.

Chołmogorow tłumaczył sam sobie: „Nic, pocierpię jeszcze z tydzień, a potem wsiądę do pociągu i pojadę do domu”. Żeby oczekiwanie za bardzo mu się nie dłużyło, zgodził się wypełniać w lazarecie każdą pracę, którą mu wskażą. Chociaż i tu okazało się, że pomaga nie z dobrej woli, tylko osobiście odpracowuje naczelnikowi swój przyszły wieczny ząb. Mógłby w każdej chwili spakować się i wyjechać. Wszystkie dokumenty miał przy sobie. W pułku już dawno nie było go w żadnej ewidencji. Naczelnik

lazaretu był gotów znosić jego obecność w lazarecie, i to z korzyścią dla siebie. Wyrzucić go po prostu za drzwi nie ryzykował, bał się, że wiadomość o tym mogłaby dojść do Abdułki. I w końcu zapomniał o swoim lekko rzuconym „zrobię, kiedy zechcę”, zapowiadał tylko jak dłużnikowi: „Odpracujesz, to zrobię”. Albo jeszcze jaśniej: „Ciebie, serdeńko, nikt tu, nawiasem mówiąc, nie trzyma”. Ale Chołmogorow jak na złość wszystko wytrzymywał i czekał na to, co mu obiecano.

Alosza nie znał wprawdzie wielkiego prawa życia, które wyznawał Abdułka, ale wierzył mu, a skoro tak, to trzeba było wierzyć naczelnikowi służby medycznej, któremu uwierzył Abdułła Ibrahimowicz. Dlatego wykrętna, nic niewarta obietnica odsuwająca sprawę w przyszłość – bezczelna obietnica wietrznego, zapędzonego do narożnika człowieczka, obrastała nagle niepodważalną ludzką prawdą. A na razie każdy, kto Aloszkę spotykał, pytał, gdzie stracił ząb, on zaś chętnie wdawał się w rozmowę.

– Wyrwali mi, żeby wstawić nowy. Myślałem: ja to mam szczęście, najpierwszy do domu jadę. Aż tu zachciało mi się zęby podleczyć i pewnie jako ostatni pojadę. Za to potem kłopotu nie będzie. Metalowy całe życie posłuży.

Wyśmiewano tę jego pewność.

– A jak zardzewieje?

I Alosza, kiedy się z niego śmiano, też się uśmiechał, ale spazmatycznym, nieobecnym uśmiechem, który tak zniekształcał mu twarz, że śmiechy rozmówców z obrzydzenia zaczynały z wolna zacichać, przypominać pokasływania i w końcu milkły. Alosza gwałtownie się wzdrygał, jak żaba porażona prądem, i cieszył się na myśl, że go wciąż słuchają.

– Myślę, że nie zardzewieje ani się nie zetrze, na to życie jest za krótkie, przecież dwustu lat nie pożyję! Takiego życia jeszcze na ziemi nie zrobili!

Bywało mu oczywiście smutno, tęskno nawet, ale przez ten ni to smutek, ni to tęsknotę przebijało się na zewnątrz, do światła, niczym trawa, piękne zadziwienie życiem. Kiedy Alosza doszedł do pełnoletności, zadziwienie to

opanowało go z taką siłą, że na oko wydawał się wszystkim senny, leniwy i mało które wezwanie go nie zaskakiwało. Ocykał się wtedy i brał do roboty, ale powoli, sennie. A jeśli zdarzało się, że zaczynali go poganiać, pracę psuła i nad wszystkim ciążyła jego wrodzona niezręczność, tak że w końcu niszczył, zamiast budować.

Dusza Chołmogorowa była jak dobra kasza: zamiast się rozbryzgiwać, odznaczała się zwartością, swoim ciepłem dążyła do spokoju. Nawet kiedy ogarniał ją żar, rozdymała tylko mocno, po żabiemu podgardle. I na wszystko potrzebowała czasu – i żeby się rozgrzać, i żeby ostygnąć. Alosza z trudem, niechętnie opuszczał każde choć przez godzinkę wygrzane miejsce. A kiedy zmieniał się cały bieg życia – zamykał się w sobie, wciąż jeszcze żyjąc barwnymi wspomnieniami tego, do czego już przywykł. Ale to zamknięcie trzymało go w swojej władzy tylko z początku, póki nie mijał niepokój, nieznane stawało się znanym, a przeżyte – zwyczajnością.

Więcej niż poważnie, bo z nabożnym drżeniem człowieka dopuszczonego do tajemnicy, uważał siebie za szczęściarza i niepokoił się, że szczęście może go opuścić tak samo nagle, jak zostało mu dane. Ale to, co uważał za szczęście, było cudowne tylko dla niego i trafiło w najmniej powołane ręce. Ufał, że jest niepodobny do innych, jakby nagrodzony, i zauważając wokół siebie ludzi z wadami, potrafił ich żałować, lecz nie czuł, że powinien żałować sam siebie. Już na pierwszy rzut oka widziano w nim kogoś wyróżniającego się tylko niezgrabnością, posępną, zapadniętą w sobie, niedorozwiniętą i kaleką istotę. Kiedy na placu wyładowano uzupełnienie, werbownicy dobierający ludzi do swoich służb dopatrzyli się w nim tylko kogoś takiego i każdy odmachiwał się: „A tego tępego wyślijcie do Abdułki. Nam takiego dobra nawet za darmo nie trzeba. Lepiej go karmić gdzieś dalej!”. I wysłali go pogardzaną sanitarką, rejsem w jedną stronę, bez towarzyszy podróży. Alosza żegnał się z pułkiem i choć rozumiał, że wysyłają go w szczególne, odludne miejsce, myślał o tym, jak niesłychanie mu się udało i jakie okazano mu z góry ni to zaufanie, ni to zachętę. Innych przecież, których było mu żal, nie inaczej wysłano.

Drogę na poligon znał i pamiętał każdy. Kamienista, spalona słońcem koleina latem, zimą wąski okop wyrąbany traktorem w marmurze zasp. Do najbliższego zamieszkanego osiedla było piętnaście kilometrów. Stamtąd też przyjeżdżał na motocyklu Abdułka w roli gospodarza.

Kiedy organizowano strzelania, trzy dni z rzędu przybywały na poligon jedna za drugą kompanie. Rozwijały się w żywe łańcuchy, okopywały, trochę postrzelały, po czym poligon zamierał, pustoszał. Wszystkich jego wolnych ziem nie można było objąć wzrokiem. Ogrodzić takiego obszaru też się nie dało, dlatego za wyznaczniki jego granic służyły samotne, oddalone od siebie na odległość wzroku posterunki, budki podobne do ogromnych bladych grzybów, chroniące przed upałem i deszczem wartowników wystawianych na ten krótki czas, kiedy po masie niecelnych serii z automatów kule hulały bez celu po stepie, a zdarzało się, że przypadkowi spokojni ludzie gubili drogę i błąkali się po poligonie, oszołomieni groźną karabinową kanonadą.

Chołmogorowa przywieźli na poligon już o zmierzchu. Łagodna ciemność ukryła wszystko, co tak niecierpliwie chciał zobaczyć. Z niewidzialnej głębi władczym zimnem nawiewały wiatry, wyły głucho w uszach jak w morskich muszlach. Reflektory sanitarki wytapiały zmierzchowe złoto z roju ziarnek piasku widocznych tylko w świetle. Dwa ludzkie głosy, szofera i gospodarza poligonu, wymyślały sobie gdzieś w ciemności, nie rozumiejąc się wzajemnie. Szofer, taki sam przymusowy wojskowy chłopaczek jak Alosza, uciekając do kabiny, z wisielczym humorem krzyknął na pożegnanie: „Naczelnika masz głuchego! Takiego, że choćbyś mu w ucho ryczał – nie usłyszy. Jak chcesz, możesz go, braciszku, skląć. Ej, Abdułka... Kaleka! Przygłupas! Śmierdziel!”.

Kiedy w miejscu, w którym chwilę przedtem ciepło powarkiwał silnik i reflektory oświetlały pustkę, zapadła ciemność, napłynęła też samotność. Na wysepce, gdzie z jasnością latarni morskiej niewzruszenie wyrastała nad ciemnym, huczącym stepem biała budowla w kształcie wieży, świecąca nisko, prawie na poziomie ziemi umieszczonymi okienkami, zwieńczona na szczycie potężnym reflektorem z podbitym ślepiem, stali we dwóch:

Alosza, dopiero co rzucony na wyspę, i ten dzikus w domowych, byle jakich łachach i we włożonych na bosą nogę klapkach, którego na pożegnanie wyśmiał szofer.

Krępy, nieogolony, podobny ni to do łaziebnego, ni to do grabarza, straszący głośnym ujadaniem niezrozumiałych słów, Abdułłajew pociągnął chłopaka do wieży. Alosza trafił do wielkiej pustej sali w kształcie pudła, z ukrytymi w kącie żelaznymi schodami prowadzącymi na górę do zasłoniętego otworu w suficie. Okazało się, że Abdułka się śpieszy, chce wyjechać przed nocą. Wszystko zostawiał, ale klął wściekle, jakby zastał w pomieszczeniu wołający o pomstę do nieba bałagan. A winny temu był on, Alosza, który nie rozumiał, że to tu wypadnie mu rozłożyć się na noc. Kontuzjowany gospodarz poligonu szczękał wszystkim, co mu trafiło pod rękę, i domagając się, by podwładny choć raz kiwnął głową, dał jakiś znak, wołał:

– Tu spać, rozumiesz?! Jedzenie, woda. Bieliznę, mydło jutro przywiozę, rozumiesz? Ej, ty, głuchy jesteś?! Do ciebie mówię!

Odjeżdżając, zamknął z zewnątrz drzwi, wyłączył światło. Alosza leżał na łóżku jak w celi więziennej i zasnął dopiero nad ranem, kiedy w oknach zamajaczył świt i przyniósł duszy spokój. Naczelnik przyjechał na poligon o świcie i urządził swojemu nowemu pracownikowi pobudkę. Minęło jeszcze kilka dni. Chołmogorow milczkiem, posłusznie wykonywał wszystko, co kazał mu robić ten złośliwy, krzykliwy człowiek, który co dzień, nim zniknął, zamykał go w wieży na klucz. Jakoś podczas pracy naczelnik odwrócił się do Aloszy plecami i kiedy ani razu nie obejrzał się na jego wołanie – a on wołał go coraz głośniej i głośniej – chłopak zdał sobie nagle sprawę, że gospodarz poligonu jego słów nie słyszy. Stał jeszcze chwilę w milczeniu, a potem, przezwyciężając lęk, trącił go w ramię: Abdułka odwrócił się gwałtownie i z wściekłym wyrazem twarzy zerwał się na nogi, ale od razu, zmieszany, przygasł na widok zbitego z tropu, osłabłego od swojego domysłu chłopaczka. I pocieszył go, jak potrafił:

– Ty i ja, my razem, będziemy, synku, ze sobą jak jedna dusza. Jakby co, nie bój się, szturchnij, ja głuchy jestem, ale nie baba, szturchać można.

Chołmogorow jedynie tyle potrafił powiedzieć:

– Wujaszku, a chociaż jak się nazywasz? Jak się mam zwracać? Rozumiesz?

– Co mówisz? Co powiedziałeś? – zakrzyczał znów Abdułka, ale kiedy zorientował się, o czym mowa, złagodniał: – Dużo mówisz... Co ci za różnica? Ja ci jestem jak ojciec. I tego się trzymaj.

Rozważać na głos Abdułka jednak lubił. Alosza, słysząc głos głuchego dochodzący jakby z tamtego świata, myślał o sobie z żalem: „Ja to nawet pogadać nie mam z kim”. Zdał sobie sprawę, że będzie milczał przez cały czas swojej służby, i poczuł, że jawa zaczyna się przemieniać w wirujące błądzenie niemych uczuć, myśli. Kiedy już pożałował siebie, coś śliskiego i jadowitego owinęło mu serce jak żmijka i zaczęło kusić: patrz, on gada bez wytchnienia, jemu jest dobrze, a tobie źle i już lepiej nie będzie.

Abdułka jeszcze długo podpatrywał go, pokrzykiwał, nie dawał wytchnąć, chciał Aloszę na dobre wypróbować. Zwalał na niego robotę najbardziej niedorzeczną, żeby chłopak niczego darmo nie jadł, ale też przy każdej okazji wyrzucał mu, że je za dużo, a jeść trzeba po troszku: mniej kłaść do ust i dłużej żuć. Na drugi miesiąc, już z odłożonych przez naczelnika zapasów, Alosza najadł się do woli i był szczęśliwy, a Abdułka świętował słuszność swoich poczynań. Chołmogorow pobratał się z głuchym, mimo woli przyjmując to coś ojcowskiego, co było ukryte w tym człowieku, który z początku dla jego przecież dobra obciął mu dzienną rację, a potem szczodrze ją podwoił, ratując go od głodu.

Już nieraz objeżdżali razem gospodarstwo rozciągnięte w stepie na pięć kilometrów. Tuż za progiem wieży obserwacyjnej zaczynała się strzelnica. Teren był bezludny, pustynny i całe to trudem rąk pielęgnowane pole walki przypominało ogromnych rozmiarów atrapę pod gołym niebem. Horyzont zasłaniały miękkie rude sopki, widoczne na wprost w odległości dwóch kilometrów. Każdy punkt tej widzialnej przestrzeni miał być dostępny do ostrzału. Oplatały ją niczym pajęczyna zawikłane drogi komunikacyjne,

wąskie, kręte linie okopów. Jeszcze dalej, jak miraż, pojawiało się w nagim stepie miasteczko podobne do zabawki, złożone z czterech drewnianych pudełek i czegoś w rodzaju placyku. Wszystkie domy były dwupiętrowe. Otwory okienne ziały pustką jak wykłute oczodoły. Każda dziurka w ścianie była obowiązkowo nadpalona. W powietrzu wisiał zapach spalenizny, choć nie było widać, co by mogło się palić. Pewnie palono tu to, co zwożono z myślą o spaleniu, zamianie w popiół i sadzę.

Placyki do strzelań przypominały niedostępne dla pojazdów dziecięce miasteczko z asfaltowymi uliczkami i znakami drogowymi, przez co mogło się wydawać, że uczono tu zasad ruchu drogowego. Każdy taki obiekt stał z osobna, oddzielnie, na podobieństwo przyrządu do ćwiczeń, a łączyły je asfaltowane dróżki.

Rozumność, staranność, z jaką rozmieszczono to wszystko na marsjańskim martwym tle, oszałamiały, jak oszałamia strach. Ponieważ ludzi tu nie było, nie chciało się wierzyć, że to oni stworzyli tę konstrukcję. Wydawało się, że wytępił ich do szczętu jakiś zaświatowy rozum, zdolny nie tylko niszczyć, ale i nie pozostawiać żadnego śladu swoich śmiercionośnych porządków. I zdawało się też, że życia tu jest tyle co w piasku, jeśli ta piaskowa mączka jest prochem po czymś żywym. Na poligonie tylko piasek przepełzał żmijkami przez asfaltowe dróżki: pełzł wyraźnie, na oczach obserwatora, wystarczyło, by od stepu powiał choćby lekki wietrzyk. Wtedy aż dreszcze brały, czuło się, że wzdłuż dróżek roją się i kołyszą ziarnka piasku, bezbrzeżna, pustynna, żywa ziemia. Ale stopniowo Chołmogorow przywykł patrzeć na wszystko jak na gospodarstwo, nauczony przez Abdułkę dawać sobie radę, o sobie nie myśląc. W zwykły dzień miał pozamiatać asfaltowe dróżki na strzelnicy i jak stróż obejść wszystkie obiekty. Dzień przed strzelaniami sprawdzano mechanizmy i przygotowywano je do pracy. A w dniu, kiedy przyjeżdżali żołnierze, Alosza w pocie czoła pełzł na brzuchu po technicznych okopach, wyrzucał to, co zawadzało, i nie mogły się bez niego obejść trzy stalowe, płaskie, zardzewiałe cele: stojący, leżący i do pasa. Z pomocą Aloszy te stalowe bałwany wstawały z okopów jak martwi z grobów, a nawet, kiedy

było trzeba, poruszały się na zawiasach. W odpowiednim czasie wkraczała do akcji pirotechnika i grzmiały na postrach wybuchy.

Zanurzony w tym udawanym i groźnym świecie, Chołmogorow czuł się czasem jak widmo. I tym właśnie był, człowiekiem, o którego istnieniu wiedział i pamiętał tylko głuchy Abdułka. Nie mieli o nim pojęcia żołnierze na linii ognia: do głowy by im nie przyszło, że pod tymi bałwanami, w które szaleńczo walili, kryje się w ciasnym okopie żywa dusza. Abdułka naciągał na niego kuloodporną kamizelkę, wkładał mu hełm i z westchnieniem posyłał w nadchodzące ogniste piekło. Rozlegały się pierwsze strzały do celów i Aloszy zamierało serce. Słyszał to, czego tam, kilometr od niego, nie było słychać: jak kule biją w bałwany, jak rozpłaszczają się i rozmazują po nich niczym gówienka, jak dźwięczą i syczą. Słyszał ich wizg, kiedy leciały gradem, i zaczynał głuchnąć. Dusza pogrążała się w tej piekielnej muzyce, drżała w pustce bebechów, rodziła się i zastygała z przerażenia, gdy elektryczny ryk nagle napinał zablokowany łańcuch.

Kiedy maszynka się zacinała albo ciąg łańcucha był za słaby, żeby podnieść zwalonego pociskiem bałwana, Alosza musiał podczołgać się do swojego metalowego kumpla i własnymi siłami pomóc mu się podnieść. Strzelanina na ten czas ucichała w oczekiwaniu. Alosza jakby od urodzenia znał tę niemartwą ciszę, która przynosiła strzelającym osłabienie napięcia i chwilę oddechu. Ta cisza zależała od jego woli i on też przydzielał jej liczone minuty. Ale ręce przy pracy mimo wszystko dygotały mu jak drażnione prądem, a ciało skręcało się milcząco przy każdym ruchu: właśnie w takich chwilach, w tej ciszy wkradał się w niego strach przed śmiercią. Linia ognia milczała, ludzie z tamtej strony nie zauważali niczego żywego w ostrzeliwanej dali: to, że bałwany znów wstawały bezgłośnie jak spod ziemi, było za każdym razem niespodziewane i krew od tego żywiej grała. Chociaż nie poruszały się i stały tylko jako cele, w ludziach na chwilę budziła się lekka nerwowa panika, a ci, na których wypadała kolej strzelania, sztywnieli. Co innego działo się wówczas z Aloszą: gwałtownie, z żywością karalucha uciekał na czworakach po dnie okopu do swojej jamy.

Zdarzały się też nocne ćwiczenia, kiedy w ciemnościach ostrzeliwanie celów przypominało polowanie. Po metalowych bałwanach błąkał się promień reflektora, wygrzebując je z ciemności, a one miotały się z boku na bok jak we wrzącym kotle. Krwawożółte powietrze nocy przecinały kule smugowe, rozpalone do białości serie z automatów. Alosza po trzy, cztery godziny nie wychylał się ze swojego okopu. Na niego też jakby polowali całą sforą, zabijali go każdym wystrzałem – i zabić nie mogli.

Ale po ćwiczeniach poligon nieuchronnie pogrążał się w pustce i śpiączce. Wracały lękliwe jak ptaki wiatry i równo zaścielały step pyłem. Alosza zbierał łuski po wystrzelonych pociskach – kolorowy metal, który po przetopieniu zapewne znów zamieniał się w naboje – i po zwierzęcemu oswajał się z ciszą. Zdawało się, że błąka się całymi dniami po stepie noga w nogę z niebem. Kładł się na ziemi i leżał, ile mógł. Wstawał, na siłę szedł się przejść, tak długo, jak mógł. Żeby choć trochę zabić czas, przyrządzał jedzenie: raz gotował zupę z tuszonką i krupami, kiedy indziej zagęszczał, wychodziła z tego kasza.

Nie mając więcej siły zmuszać się do myślenia o czymś konkretnym i walczyć o każdą milczącą minutkę sam na sam ze sobą, Alosza łatwo i szybko upajał się marzeniami i wtedy już nieprzytomnie błądził po stepie. W marzeniach najczęściej dokonywał bohaterskich czynów i w dodatku były to koniecznie czyny za cenę życia. Marzył też, żeby okazać się komuś potrzebny, kogoś uratować. Albo fantazjował, że jest na wojnie, w boju i w tych swoich snach na jawie ginie, ratując towarzyszy, których też sobie wymarzył. Zatopiony w wyobraźni, czasami przez dzień albo dwa nie tykał jadła, jakby ofiarowywał komuś tę porcyjkę, ale głód go nie dręczył. Alosza czuł w sobie jasność, spokój i nawet Abdułka wypadał mu z pamięci, a posiłek stawał się czymś nieznośnym, jakby przypomnieniem o życiu.

Nic się też dla niego nie zmieniało, kiedy nagle przyjeżdżał Abdułka. Mógł on najwyżej przywieźć mu domowego jedzenia i trochę starych gazet do podcierania się, z których Alosza dowiadywał się starych nowości. Raz chłopak poprosił głuchego, żeby zdobył dlań radio, ale tamten po każdym powrocie mu wymyślał:

– Zapomnij ten parszywy radio, tam słuchać nie ma co. Będziesz wiele wiedzieć, głupia czaszka, zachorujesz, przepadniesz. Ptak dużo wie, dużo myśli? A lata wysoko, wysoko, daleko, daleko!

Dziwiło ojcowskiego Abdułkę i nawet budziło w nim lęk, że chłopak nie dostaje listów, sam nie pisze do rodziny i żadnych wieści od niej nie otrzymuje. Kiedyś, jeszcze latem, głuchy zapytał:

– Ty dlaczego listu do domu nie piszesz?

I usłyszał w odpowiedzi:

– Po co pisać? Teraz lato, znaczy się – wszyscy moi w ogrodach. U nas bez ogrodu nie przeżyjesz.

Potem, już jesienią, spytał o to samo i usłyszał od Aloszki:

– A na co pisać, kartofle kopią. U nas bez kartofli nie przeżyjesz.

Zimą jednak, na nic nie zważając, posadził go nad kartką papieru i już jako dowódca rozkazał mu napisać do zapomnianych, jak mu się zdawało, rodziców. Alosza długo siedział nad papierem i wreszcie napisał: „Witajcie, Mamo i Tato. Ja służę dobrze ojczyźnie, jak przykazaliście, wszystko robię. Mama, dbaj o siebie. Tata, i Ty o siebie dbaj. Ja też o siebie dbam. Do widzenia, Wasz syn Aleksiej”.

Przed Nowym Rokiem, z okazji święta, z jego rodzinnych stron przyszła paczka. Otrzymał ją i przywiózł na poligon Abdułka. W paczce były cukierki, ciasto, konfitury – wszystko słodkie. I liścik: „Witaj, Synku. Jedz i podziel się z towarzyszami. Konfitury zjedzcie najpierw, bo skwaśnieją, a cukierki i ciasto potem. My o siebie dbamy. Na dniach oskubałam nasze kózki. Chustek sztuki dwie z tego będą i jeszcze skarpetek z dziesiątka. Zimą sprzedam, będzie na chlebek. Bez tego się nie przeżyje. Służ ojczyźnie dobrze, jak mówiliśmy. Czekamy na Ciebie w domu. Konfitury zjedzcie najpierw, bo skwaśnieją”.

Abdułka obliczał, ile zostawia mu wody i chleba, ile zadał roboty, i zjawiał się z powrotem zwykle wedle wyliczenia. Znów przywoził wodę, chleb, wymyślał robótkę, wylewał z siebie żale na wszystko na świecie

i odjeżdżał do domu. Alosza znał drogę prowadzącą do osady, ale szukać wśród ludzi nie miał czego. Tamtego życia już unikał.

Raz na tydzień miał chodzić do łaźni. Przy osadzie ochraniała kolonię poprawczą szósta kompania wartownicza. Dniem kąpielowym była tam niedziela. Alosza przychodził z samego rana, nigdzie nie zbaczając, i siedział cicho na ławce przy łaźni, dopóki jako pierwsi myli się gospodarze, żołnierze z kompanii. Wszystkim obcy, znosił cierpliwie prześmiechy i zaczepki, ale nie odpowiadał, bo czuł tylko zdziwienie. Głosy, skupisko ludzi, zamieszanie – wszystko to go dziwiło, więc milczał jak głuchy. A oni już od jakiegoś czasu wiedzieli, że do łaźni przychodzi „głuchoniemy”, i dodawali jeszcze z uśmieszkiem, jak o przygłupku: „z poligonu”.

Gdyby nie strzelania, które działały na niego jak upadek z podniebnych przechadzek na piekielne dno okopu, cisza i spokój mogłyby go przyprawić o obłęd. Zimą życie zrobiło się trudniejsze. Przybyło ciemności i samotności. Ale mróz rozjaśniał, rodził w duszy spokój jeszcze bardziej odczuwalny niż głód. Samotnie rozgrzebując śnieżne góry, Alosza padał z wyczerpania i mocno zasypiał w cieple piecyka, a nocą znów walił śnieg i na tym samym miejscu wyrastały, jakby z tego samego ziarenka, dokładnie takie same kształtem i rozmiarami zaspy. W wieży palił w piecu, skąpiąc na węglu, bez tego by nie wyżył. A kiedy wychodził jak co dzień odgarniać śnieżne zwały tam, gdzie wszystko z początkiem strzelań miało świecić tylko równą lodową pokrywą jak na ślizgawce, czuł niespodziewanie, że bez tej syzyfowej pracy nie miałby życia. Zaczynało mu się radośnie majaczyć, że rzuca łopaty śniegu jak do pieca, żeby nie umrzeć. Lśniący, mrocznogranatowy zimowy pałac otulało nagle ziemskie ciepło, tak że Alosza zrzucał duszny kożuch, potem uszankę, a na koniec już goły do pasa uroczyście przechadzał się po czystych lekkich dróżkach, wierząc, że ogrzał ziemię. Od razu pierwszej zimy stał się z nim taki cud: każdego nowego dnia, budząc się, zaczynał żyć jakby nigdy nic, nie pamiętając już, co było wczoraj. Wszystko samo znikało z pamięci, spalało się w duszy jak węgiel: przeżył dzień, ogrzał się, trzeba żyć dalej.

Prosty ten nakaz spłynął na niego, kiedy zimową drogą brnął z sankami po chleb i wodę; ojcowski Abdułka roztropnie odesłał swój motocykl na zimowisko do szopy i nakazał samemu zainteresowanemu troszczyć się o swoje potrzeby. Bladym świtem Alosza szykował się do wymarszu. Do zamieszkanego lądu osady docierał około południa. W kuchni kompanii wartowniczej otrzymywał worek z razowymi bochenkami, pobierał potężną bańkę pitnej wody. Chociaż do wszystkich innych celów wytapiał wodę ze śniegu, woda pitna i tak kończyła się błyskawicznie i niczego tu nie można było oszczędzić. Zdarzało się, że chleba miał jeszcze pół worka, a woda już się skończyła. I to go zawsze zdumiewało: okazywało się, że zwykła woda jest cenniejsza od chleba i wlec ją jest nawet trudniej niż chleb, można się od tego naderwać. Wprzęgając się do sanek, Alosza psioczył na swój ładunek, tak jak pewnie psioczyłby w duchu koń na przeciążoną furmankę. Gdyby jednak koń wiedział, że furmanka jest wypełniona sianem, które on sam będzie zajadał, to jego gniew zamieniłby się w radość. Alosza zaś po ludzku nie mógł zapanować nad zapalczywą urazą, jakby ktoś mógł specjalnie coś takiego wymyślić: żeby człowiek wlókł, nadrywał się, a po przejściu piętnastu kilometrów to, od czego się naderwał, wpakował w siebie, niwecząc cały ten wysiłek i samą drogę!

I właśnie na tej drodze donikąd, obładowany tym, co miało zniknąć, Alosza usłyszał prosty nakaz życia. Z każdą wyprawą jego człowiecza uraza traciła na sile. Z każdą wyprawą powoli zapominał, że urodził się jednak człowiekiem, nie koniem. I wreszcie poczuł się całkiem jak koń, którego poją i karmią tylko dlatego, że zaprzęgają go do wozu: a przecież to całe moje życie! Przecież to wszystko zamienia się we mnie! Wodziczka moja, chlebek mój – oto one, rozgrzewające, kochaneńkie! W chwili gdy zmęczony zatrzymał się, by odetchnąć, zdrętwiałymi z zimna wargami złowił w mroźnym, palącym powietrzu lekkie tchnienie... Ześlizgnęło się po nim jak łachman i tchnęło w niego gorącą, wilgotną słabość. Pokryta polarną falą przestrzeń, w którą Alosza wbił się niczym biegun, żeby przez chwilę odsapnąć, migotała miriadami płatków śniegowych, które robiły wrażenie żywych; a nowe, wciąż nowe miriady cicho sypały się z góry, gdzie zamarznięte dalekie niebo przypominało stojące w śniegu lasy, a od

wszystkiego tego biło czymś władczym, mocnym. Ale oto jeden z tych płatków roztajał mu na wargach. Aloszy nawet się wydało, że widział, jak płatek, krążąc, spadał w dół, ale już tak samotnie, bezradnie, jakby krążył i krążył nad nim, wiedząc, że się roztopi.

Popadł w całkiem bezrozumny nastrój. Tyle już przeszedł, że stojąc bez ruchu, spływał potem i mógł się przeziębić, zastygłszy na mrozie. „Przeziębię się i umrę!” Alosza wyobraził sobie, jak będzie się miotał w gorączce, prosił pić, umierał. Ale z odwagą dziecka wciąż stał wśród tej wiecznej zmarzliny, żałując zmarłego płatka śniegu. Na złość przyszłemu przeziębieniu usiadł na sankach i postanowił, że będzie ucztować: żuł zmrożoną pajdę chleba i pił lodowatą wodę z bańki. Kiedy niespiesznie się najadł, grzecznie i przyzwoicie znowu zaprzągł się do sanek i brnął dalej, jakby teraz miał żyć wiecznie.

Ale to, co wtedy przeżył, pozostawiło w nim niemal fizyczny ślad: teraz Chołmogorow często się zapominał i na jego twarzy sam z siebie zastygał uśmiech. Było w tym uśmiechu coś kalekiego, jakby śmiała się twarz pokryta szramami. Zauważywszy to, Abdułka z początku tylko się złościł, myślał, że Alosza milczy i uśmiecha się na złość. Ten zresztą często przytomniał, słysząc krzyki przełożonego, i w roztargnieniu nic nie mógł zrozumieć. Abdułka sądził, że jego pracownikowi przydarzyła się jakaś duchowa choroba. Uznawszy, że takim uczyniło go zimowanie, uspokoił się: zimą przyszło, wiosną przejdzie. Skłonność do zadumy jednak nie mijała i gospodarz poligonu zaczął się obawiać, że Aloszka niepostrzeżenie doznał w okopie jakiejś kontuzji. Przez pewien czas ojcowskiego Abdułkę dręczył lęk, czy choroba chłopaka nie jest śmiertelna. Z niepokojem straszył sam siebie, że jeśli prawda wyjdzie na jaw, to szybciutko zwalą całą winę na niego, Abdułłajew nie dopilnował, powiedzą. Doszedł jednak do wniosku, że choroba mimo wszystko nie jest śmiertelna, dlatego postanowił milczeć i udawać, że niczego nie zauważa.

Niekiedy nie miał siły znosić tego uśmieszku, który w jego oczach był jakiś bolesny, i wyrywało mu się nagle:

– Synku, nie smuć się!

Ale Aloszy nawet nie śniło się smucić.

– Ale co wy, Abdułło Ibrahimowiczu, nie bójcie się. Ja tak się cieszę w sobie!

– Z czego się cieszysz? Co masz wesołego? – spytał, odczytawszy to z jego ust Abdułka.

– No jakoś tak... A czy musi być smutno? O, jak tu wszędzie pięknie wokoło!

– Z byka spadłeś czy co?

– Ja tylko tak... Tak po prostu... Jakoś tak dobrze...

Raz pod koniec lata Abdułka przypędził na poligon nocą i zadziwił swojego żołnierza wiadomością:

– Wojna! Brat na brata poszedł.

Był wstrząśnięty i przestraszony. Przyleciał w step nie po co innego, tylko żeby się ukryć, ale Chołmogorow mimo to nie mógł uwierzyć w jego słowa. W nocy Abdułka nie spał. Bojąc się samotności i ciszy, kilka razy tarmosił śpiącego Aloszkę.

– Powściekali się ludzie. Czemu nie żyją spokojnie? Czego chcą? Na co wojna potrzebna? – ni to żalił się, ni to pytał.

– Śpijcie... – mamrotał Alosza. – Tylko zaśnijcie, a życie samo się potoczy.

Ale Abdułka nie zamykał oczu i na coś czekał, uporczywie wsłuchując się w ciszę. Wojny nigdzie nie było. Na trzeci dzień z osady przyszła po niego podenerwowana żona: chciwa zdrowa baba, która z głuchym miała wspólne gospodarstwo. Przekonywała, szlochała, groziła, krzyczała, biła go nawet – i wreszcie zmusiła zbiegłego gospodarza, by wrócił do domu.

W dniu gdy przyszło pismo, stwierdzające, że Aleksiej Chołmogorow odsłużył swoje, ojcowski Abdułka sam wlazł do okopu, a Aloszce oddał swoje miejsce – na wieży. Przez wszystkie te lata, które chłopak w niej przemieszkał, ani razu nie wszedł na górę, dokąd wiodły metalowe schody i gdzie mógł przebywać tylko głuchy, zazdrośnie broniący tego swojego

prawa: zakazywał nawet tam spojrzeć albo po prostu wieszał kłódkę na metalowych drzwiczkach włazu.

Alosza znalazł się w przezroczystej skorupie utworzonej z ogromnych, grubych szklanych płyt i poczuł się jak rybka w akwarium. Ciało samo z siebie stało się lekkie, kroki po betonowej, odbijającej echo podłodze – płynne, senne. A on zza grubych ścian swojego akwarium patrzył ze zdziwieniem, jak w obcy, nieznany świat, tam gdzie rozwijały się żywe tyraliery, pełzły niczym stonogi wielotonowe transportery opancerzone, wojownicze ludziki roiły się niczym mrówki, łamiąc szyki podczas musztry i zabawnie naruszając jej głęboką powagę, która opadała z maszerujących jak portki. Albo nagle pojawiały się w powietrzu rakietowe białawe wytryski wystrzałów z broni automatycznej – na ułamek sekundy rozkładające się u wylotu lufy w małe spadochroniki – a strzelający czuli tylko ich zjełczały zapach.

Kiedy Alosza, ubrany w pełny mundur wyjściowy, żegnał się na zawsze ze stepem, a Abdułka sadowił go na motocyklu i mieli ruszać wprost do Karagandy, gdzie obiecano Chołmogorowowi metalowy wieczny ząb, głuchy zorientował się, co się dzieje, i aż zdziwił się, przestraszył swoim odkryciem:

– Ot, i po wszystkim!

Stary nowy dzień

Alosza nie miał poczucia, że oddano go do posługi. Nowe obowiązki o wiele bardziej przypadły mu do serca, niż mógł się spodziewać po naczelniku lazaretu, który dzień w dzień zadawał monotonne, śmiertelnie nudne prace. A tu kazano mu zajmować się chorym, coś podać, coś zabrać, a taka pomoc nie była dla niego pracą. Tyle że w końcu nie wyjaśniono mu, na co ten dziwny lejtnant choruje. Trzymał się przecież mocno na nogach, mył się sam, wychodził do ogródka popalić, ale nawet z daleka wyglądał tak, jakby w lazarecie, gdzie powinni byli uwalniać od chorób i leczyć – przeciwnie – był pozostawiony sam na sam ze swoją chorobą i nie zapewniano mu najmniejszej choćby poprawy. I Aloszy przyszło do głowy, że tego człowieka dręczy taka dolegliwość, o której nikt nic nie wie. Nie wie nie tylko chory, ale i medycyna. Ta dolegliwość pozwalała i chodzić, i jeść, i palić, ale zadawała cierpienia, z którymi lejtnant borykał się już w nieodwołalnej samotności, choć mógł je jeszcze znosić, robiąc to wszystko, co robią ludzie zdrowi.

Z rana, kiedy do lazaretu przynieśli kotły z jedzeniem, Alosza nie zapomniał o lejtnancie i wyprzedził wszystkich – żeby chory dostał porcję najpierwszą, najgęstszą. Z myślą o podopiecznym – jakby solanka na mięsie była najlepszym lekarstwem – zaniósł z uszanowaniem na salę oficerską wszystko, co zdobył w żarłocznym tłoku przy kotłach. Ale pragnienie spotkania z chorym ostygło w nim, kiedy zastukał i usłyszał wyniosłym, nakazującym tonem wypowiedziane słowo:

– Niezamknięte...

Chołmogorow pchnął lekkie drzwi i znieruchomiał na progu: w kącie, na łóżku przy oknie, półleżał w rozchełstanym szlafroku, oparty plecami o ścianę, sam sobie niepotrzebny człowiek, nawet nie wojskowy.

W nieprzytulnej zimnej sali, gdzie w odległym krańcu stało jedno pościelone łóżko, a inne, wolne i niczyje, były rozrzucone na los szczęścia, panował nieład. Z niezasłanych, cielistej barwy materaców bił mocny, jakby trupi zapach lekarstw. Przez otwór okienny wpadało czyste białe światło, a w drewnianą ramę wprawione były jak obraz, wystawione wprost na zimno i wiatr letnie koszary – oleiście zielony barak z dykty ze świeżymi krzyżami z desek na oknach.

Lejtnant wpił się oczyma w pełną, parującą miskę.

– Dzień dobry... Witam... Śniadanie... – z trudem wymówił Alosza.

Oficer nie poruszył się. Miał twarz z wydatnymi kośćmi policzkowymi, ogorzałą, niemal czarną cerę. Cała jego istota tkwiła w okrągłych, nieprzeniknionych ciemnych oczach, prawie pozbawionych białek, jak zwierzęce ślepia. Alosza niezgrabnie przeszedł przez salę. W jednej ręce trzymał przed sobą miskę, w drugiej – kubek z herbatą i łyżkę. Wszystko postawił na szafeczce koło łóżka. Lejtnant na nic nie zwracał uwagi, oczy wlepiał tylko w jedzenie. Chwycił łyżkę, ale ręka mu drżała, jakby w milczeniu, robił nią coś wstrętnego, chorobliwego. Zapewne tylko to uporczywe drżenie ręki wyrwało jedzącego z zapamiętania. Podniósł głowę, wpił się bezlitośnie głodnym wzrokiem tym razem w tego, kto stał przed nim z pustymi rękoma, ale nagle uśmiechnął się i powiedział:

– On też tak właśnie stał...

Był to głos rozkazujący, ale z niewiadomych powodów udający cichy. Alosza zamarł, a lejtnant czekał na coś w rodzaju odpowiedzi, chociaż w wymówionych z uśmieszkiem słowach o czymś nieznanym nie było nawet słychać pytania.

Aloszy się wyrwało:

– Życzę przyjemnego apetytu.

– On też tak właśnie powiedział... – usłyszał w odpowiedzi.

Chłopakowi zrobiło się nieswojo. Po sali oficerskiej niczym smutny, nienasycony obłoczek zaczął błądzić słodkawy zapaszek solanki na mięsie. Alosza błyskawicznie się opamiętał i zostawił w spokoju umierającego,

który jakby szykował się na przyjęcie śmierci i dlatego był zły na cały świat. Kiedy jednak wyszedł na zewnątrz, poczucie, że i on sam jest już nie wiedzieć czemu skazany, zatruwało mu każdą chwilę.

Usiadł do śniadania, ale jedzenie wydało się niesmaczne, jakby przez ten czas, kiedy obsługiwał lejtnanta, coś się stało i solanka zjełczała. Tak samo niesmaczna okazała się herbata: nie herbata, tylko pomyje. Zbierało mu się mocno na wymioty. Siedząc przy stole i czekając na coś jeszcze, Alosza posmutniał. Potem ocknął się i przypomniał sobie o lejtnancie: pewnie już się nażarł i brudne naczynia czekają, idź po nie, sprzątnij, pókiś żyw.

Najedzony lejtnant leżał rozwalony na łóżku. Czekał na przyjście obsługi. Miska była pusta, herbata wypita. Spokojny, leniwy, rozumny głos nieoczekiwanie wypełnił podobną do grobowca salę.

– A wszystko to czuć olejem napędowym. Tyle sadła jem pierwszy raz. I oni te rzygowiny nazywają solanką. Oni to gotują na śniadanie, na obiad, na kolację... Jesienią, latem, wiosną, zimą... I karmią tym przez okrągły rok. Co, głuptasie, tobie jeszcze nie chce się rzygać? A może tobie wszystko smakuje? O, jak to patrzy, po prostu zabija wzrokiem, i to mi się bardzo podoba! Co? Niezadowolony?! A jak ciebie nazywać? No? No, chcesz, ulżyj duszy, dawaj, jak leci, zasuwaj, tylko nie milcz, grobie nieznanego żołnierza...

Chołmogorow otworzył usta.

– A tak nazywać jak wszystkich, po imieniu.

– No, a jakie masz, człowieku, imię?

– Zwyczajne imię, ludzkie.

– No niby jakie?! – Lejtnant wpadł w złość i aż podniósł się, pomagając sobie łokciami.

– A wy, towarzyszu lejtnancie, macie mieć spokój. Okropnie wymyślacie, aż boli.

– Boli? A co ty wiesz o bólu?! – zawołał lejtnant.

– Wiem – wymamrotał Alosza, opanowując niepokój.

– Dureń – nagle obcym głosem powiedział lejtnant i skurczywszy się jak od ciosu w brzuch, zaczął cedzić przez urazę i złość: – Gorszych od nas nie ma. Czas zamknąć ten dom wariatów. Ludzie nie powinni żyć. Wszystkich nas trzeba wytępić. Nie, nie tylko niektórych, żeby ktoś został, ale wszystkich naraz. Wszystkich i naraz, nacisnąć guzik, który gdzieś tam jest, i rozwiązać sprawę na zawsze. No, co wytrzeszczasz na mnie te swoje okrągłe oczka? Jazda, człowieku, idź sobie, żryj swoją solankę, póki dają. Co prawda, to prawda, od sadła nie umrzesz, sadłem się człowieka nie zabije. A świnia wiedziała, czyjeśmy sadło zjedli? – Po ostatnich słowach lejtnant podniósł głos z zarozumiałym uśmieszkiem. – Truposze chodzą parami – powiedział i umilkł.

Rozmowa skończyła się takim nie wiadomo po co przytoczonym pouczającym żarcikiem. Alosza zdołał z niego zrozumieć tyle, że obcy człowiek mówił do niego tak, jakby wszystko o nim wiedział.

Opuścił salę, czując się ni to oszukanym, ni to oszustem, i poszedł korytarzem; na każdym kroku rzetelnie przywoływał w pamięci twarze oficerów, których przez te lata widział. Poligon był miejscem, gdzie każdy, kto miał do czynienia z bronią, pojawiał się przynajmniej raz w roku, jakby obowiązkowo. Alosza mógł nie zapamiętać wszystkich. Niewiele o nich wiedział, ale z bliska albo z daleka zobaczył pewnie każdego. W tym łańcuchu twarzy – wyblakłych, wodnistych, jakby rozczarowanych życiem – twarz człowieka z sali oficerskiej albo nie pojawiała się wcale, albo wypływała z przeszłości zmieniona nie do poznania, tak że nie miała nic wspólnego z oryginałem.

– Chołmogorow! Chodź no tutaj!

Kiedy szedł z cudzymi brudnymi naczyniami korytarzem, jeszcze z rana gładkim i cichym, rozległ się władczy, nerwowy okrzyk z rozwartego jak pułapka na myszy gabinetu. Institutow ni to wzgardliwie, ni to płochliwie kulił się na progu własnego pokoju i sam przytrzymywał szeroko otwarte drzwi, wyprowadzając wychodzącego człowieka, maleńkiego, ale całym wyglądem rzucającego się w oczy.

Zdawało się, że nieproszonego gościa, który w pomieszczeniu nie zdjął nawet kapelusza, dotknęło jakieś nieszczęście. Jego twarz, mająca w sobie coś tatarskiego albo wilczego, zastygła w grymasie rozdrażnienia. Ubrany był ze staromodną okazałością. Kapelusz, płaszcz, buty, teczka – wyraźnie dobrane tak, by tworzyć całość – były tabaczkowego, niegdyś zapewne popularnego koloru. Do tego koszula, którą można było określić jako białą, i pomarańczowy krawat z pstrym, kwietnym wzorem, sam w sobie wyzywająco egzotyczny. Nie wiadomo, do jakiego celu był przeznaczony ten całkiem niepodróżny garnitur i co naprawdę stało się jego właścicielowi. Ale te rzeczy były zapewne noszone od wielu dni, bez zmiany. W szorstkim kołnierzyku koszuli nazbierało się brudu jak pod paznokciami. Płaszcz wyglądał na cudzy: marszczył się na ramionach, brudnawy i odrapany niczym aluminiowe naczynie w hotelu robotniczym.

Obywatel natrętnie przedłużał swój nieuzasadniony pobyt w służbowym pomieszczeniu i z oburzeniem patrzył na Institutowa, jakby się domagał, żeby to on natychmiast opuścił gabinet. Naczelnik lazaretu rozzłościł się i zawołał:

– Koniec, już mam dość powtarzania, że zobaczycie go w swojej przepięknej stolicy! Nie tu i nie teraz, koniec, kropka! Niepotrzebnie tu przyjechaliście i niepotrzebnie mącicie wodę, drogi towarzyszu! Dziś zostanie odesłany. Żadnych oględzin ani przebieranek też nie będzie, u siebie w domu róbcie z nim, co chcecie. Powinniście oczekiwać syna w miejscu zamieszkania, a nie po pijanemu szlajać się po Karagandzie. Wszyscy kiedyś od czegoś pomrzemy. I ja też umrę, i wy, przekonacie się. A przecież ja osobiście nie płaczę, histerii nie urządzam. Proszę mi wierzyć, teraz szkodzicie swojemu synowi tak, że bardziej nie można. Wy go, bardzo przepraszam, po prostu hańbicie. Czego chcecie? Na milicję, do izby wytrzeźwień trafić?! Tak, Chołmogorow, wzywaj eskortę... Inaczej on nie zrozumie...

Mężczyzna bez słowa pochylił głowę, tak że widać było łysinę jego kapelusza, potem nieoczekiwanie ostrym, władczym ruchem podniósł czoło, spojrzał nieprzyjaźnie tym razem na Aloszę, ale w końcu nic nie

odpowiedział. Bezdusznie wyprostowany zachwiał się, jakby pchnięty w ramię, wyszedł i powlókł się pustym, odbijającym echo jego kroków korytarzem do wyjścia z lazaretu.

– Też mi cień ojca Hamleta! – parsknął naczelnik. – I jeszcze w kapeluszu...

Potem energicznie odwrócił się do Aloszy i wskazując na brudne naczynia w jego rękach, powiedział:

– No, serdeńko, to na razie zostaw, jest poważniejsza robota. Pojedziesz ze mną.

Alosza nic nie odpowiedział i nie ruszył się z miejsca. Institutow, tak jak już bywało, powtórzył swoje zwykłe słowa:

– Serdeńko... eee... rzecz w tym, że w czym innym, czyli nie w tym... Tak, twoja sprawa jeszcze zaczeka, zaczeka, a teraz, no, po prostu jest inna, niecierpiąca zwłoki. Sprawa życia i śmierci. Serdeńko, dziś nie mogę, choćbym nawet chciał. Za jakieś trzy dzionki postaram się, czas wykroję i zajmę się twoim zębem. Nie! I skończmy tę rozmowę! Trzeba jeszcze popracować. Trzeba, trzeba jeszcze zebrać wszystkie siły w jedną pięść, natężyć się, spiąć, stęknąć. No, jakby co, to sam wiesz, u mnie kto nie pracuje, szampana nie pije. Zmuszać nie będę, żadnych przeszkód. Jak to mówią, droga gładka jak stół...

Po tych słowach Alosza nagle, tak jak mu powiedziano, zrobił w tył zwrot, odmaszerował... Naczelnik oprzytomniał, rzucił się za nim w pogoń.

– To był żart! Cofam swoje słowa! – pokrzykiwał w biegu, skacząc za jego plecami jak piłeczka. – Moja obietnica obowiązuje! Jutro będziesz miał wieczny ząb!

Udało mu się wreszcie wyprzedzić i zatrzymać Chołmogorowa, ale ten milczał jak zaklęty i patrzył gdzieś w dal, ponad głową naczelnika. Institutow próbował go wybadać, trafić do niego, coś w nim rozbudzić i dalej zapewniał:

– Zdecydowane! Ząb metalowy, chromowany stopem tytanu, w jeden dzień, natychmiast, wieczny, gwarancja stuletnia! No, serdeńko, ja w końcu

proszę o pomoc... Co ja powiem towarzyszowi Abdułłajewowi? Pomóż, uratuj w tej trudnej chwili moje dobre imię! No, daj mi dotrzymać słowa!

Naczelnik wydzierał się, tylko udawał bezsilnego, ale chwytem wyrwizęba twardo trzymał Aloszkę, który był mu potrzebny do czegoś jak nigdy. Chłopak nie pozwoliłby w swojej obecności utonąć nawet kotu. A już od słuchania żałosnych krzyków naczelnika o Abdułce aż mu się na płacz zbierało: „A co powie towarzysz Abdułłajew?” – te słowa huczały głuchym echem w jego duszy, jakby to sam ojcowski gospodarz poligonu zajął w niej miejsce obserwatora i teraz strofował ogarniętego wątpliwościami Aloszę. I żeby chociaż można mu było coś odpowiedzieć, coś wyjaśnić, bo przecież wychodziło na to, że Abdułka dowie się jedynie tyle, że on, niewdzięcznik, nie przyjął jego daru.

– A wy na który tydzień obiecujecie? – zaczął miękнąć Alosza.

Naczelnik z miejsca raźno odpowiedział:

– Już jutro, jutro wszystko będzie zrobione! Serdeńko, no... co to za głupstwa? Uraza przez ciebie przemawia. Trzeba umieć wybaczać. Wszyscy pracujemy dla wspólnej sprawy. Daj mi jeden dzień! Twój ząb już dawno gotowy, trzeba go tylko wstawić na miejsce. Dziś mi pomożesz, a jutro pojedziesz do domu w najlepszej formie. No patrz, obraziłeś mnie, a ja gotów jestem wszystko wybaczyć i sam cię proszę, żebyś nie popełniał fatalnego błędu. Ja cię, młody człowieku, proszę, a mógłbym nie prosić! Tak, tak... Ja wkładam swoją pracę, własny materiał do protezowania, a ty mi bezczelnie oznajmiasz, że ja coś od kogoś mam. Jeśli to ma być aluzja do mięsa, które wmusił mi w podarunku Abdułła Ibrahimowicz, to mogę cię zapewnić, że i z tego nic nie miałem. Rozumiałbym, gdybym nic nie zrobił. A ja zbadałem, usunąłem, w pełni przygotowałem protezę i gotów jestem już jutro skończyć z twoim zębem. I oto dla wspaniałego zęba, który będzie ci służył sto lat, i dla Abdułły Ibrahimowicza ja, człowiek z wykształceniem powyżej średniego, muszę się poniżać i upraszać niewdzięcznego młodego ordynusa, żeby zaczekał jeszcze tylko jeden dzień!

Słowo do słowa i wszystko wróciło na swoje tory... Ulżyło, wystarczyło znów okazać posłuszeństwo. I uspokoił się, i sam nad sobą zapanował.

I wyszło na to, że ten człowiek go nie przymusił, nie poddał swojej woli. To on sam siebie przymusił i poddał własnej woli, zamieniwszy całe swoje gorące pragnienie, by natychmiast ruszyć w drogę, na obietnicę, że puszczą go jutro. Żeby jechać z naczelnikiem i wykonać jakąś pracę, którą on mu na zakończenie wynalazł, Chołmogorow włożył mundur wyjściowy – jako zdemobilizowany innego ubrania już nie miał – i wciągnął na siebie przywieziony z domu szynel, który przez lata służby spłowiał do rudopiaskowej barwy... Szynel, który odsłużył swój termin przydatności, wyglądał szmatławo, przez co i Alosza nabrał w nim szmatławego wyglądu, ale gdyby ktoś spojrzał na niego z boku, mogłaby go zadziwić powaga jego twarzy i ta niepowszednia godność, która zastygła w nim jak wosk. Czując pod wyleniałą grubą skórą szynelu chłodzącą – bo nie był do niej przyzwyczajony – powłokę wyjściowego munduru, Chołmogorow nawet mimo woli nabrał pewności siebie, ale nie rozumiał, że wszyscy widzą tylko jego usmotruchany rudy szynel. A wokół, w izbie przyjęć lazaretu, tłoczyło się i kłębiło wojsko na coś tam skazane: ten z czyrakiem, inny ze świeżą raną, jeszcze inny z atakiem bólu. Całe to ludzkie zbiegowisko z pokorą oczekiwało pojawienia się naczelnika i czekał też Alosza. Czuł, że ci wszyscy, którzy stłoczyli się w izbie przyjęć, przeżyją lada chwila rozczarowanie, jeśli nie rozpacz. Naczelnik wyjeżdżał w nieznanym kierunku w swoich sprawach, skazując ich na czekanie do jutra.

Chołmogorow wiedział tylko, i to od Institutowa, że przed nim daleka droga. Naczelnik powiedział mu to w zaufaniu, z powagą, która zapewne miała zastąpić diety podróżne. Ale dokąd ma jechać, na jak długo, co ma robić – to wszystko było Aloszce obojętne. Cokolwiek go czekało, on był przykuty do jutrzejszego dnia i myślał bez ustanku o swojej sprawie, wyobrażał sobie z coraz większą rozkoszą, jakim nowym i do nikogo niepodobnym człowiekiem się stanie. Jutro okaże się dla wszystkich nieznajomym. Jutro nawet sam siebie nie będzie poznawał. Aloszy wydawało się, że jest to sądzone każdemu człowiekowi na ziemi: zawsze cierpliwie czekać jutra. Że inaczej, bez czekania, niczego prawdziwego się nie dostanie. Że to jest nawet słuszne, sprawiedliwe, przecież tylko dzień jutrzejszy może stać się dniem narodzin, nie dzisiejszy, bo trzeba zdać się

na upływ czasu nie po to, by się czegoś pozbyć, lecz żeby pozwolić narodzić się w sobie czemuś nowemu. I nagle zamajaczyło się Aloszy, że we wszystkich tych nieszczęśnikach, którzy tłoczą się ze swoimi chorobami w izbie przyjęć lazaretu, tak jak on czekając na Institutowa, tkwi taki sam niezwalczony powszechny mąt jak w jakiejś wzburzonej wodzie. Ucieszył się i z radości omal nie zawołał na głos: wszystko zdarzy się jutro, jutro sami siebie nie poznamy!

Zjawił się Institutow. Szybkim, niespokojnym spojrzeniem obrzucił stłoczonych ludzi, ale nie dostrzegł niczego, co by go zaniepokoiło, i zawołał:

– Dziś, kochani moi, jestem bólem, nie lekarzem!

O ich życie już się nie bał, po czym jako pracownik służby medycznej ostrożnie wyprowadził cierpiących za próg lazaretu, do jutra. Znów się rozejrzał, czy ma wolną drogę. I dał Aloszy niecierpliwy znak.

Koło lazaretu pasł się podobny do krówki samochód o pękatych bokach i powolutku przeżuwał benzynę.

Była to ta sama, jedyna w pułku sanitarka, którą kiedyś Chołmogorow udał się w drogę, nie wiedząc jeszcze, dokąd go wiozą i co się z nim stanie. Inny szoferak, całkiem niepodobny do tamtego figlarnego wesołka, który go kiedyś wywiózł z pułku, siedział z pewną miną za kierownicą. Alosza przywitał się, ale chłopak nie zareagował, nawet głowy nie odwrócił. W skrzyni sanitarki Chołmogorow siedział teraz jakby na żerdzi, bo oddzielny fotel dla pielęgniarza, który pamiętał, gdzieś znikł: z boku, gdzie znajdował się kiedyś, przymocowana była nieruchoma deska, tak starta i zbutwiała, że aż czarna, jakby lakierem pokryta, i taka wąska, że trzeba było wczepić się w nią rękoma, żeby się nie ześlizgnąć. W przejściu leżały długie na jakieś dwa metry brezentowe wojskowe nosze, a na nich rzucona przez kogoś stara, gruba wełniana kołdra, jakby tu, w skrzyni ambulansu, całkiem niedawno spał na noszach jakiś bardzo zmęczony albo obojętny na wszystko człowiek, otulony tą kołdrą dla ochrony przed zimnem.

– Mnie wieźli tym samochodem. To było jeszcze przed tobą – powiedział Chołmogorow, sądząc, że taka rozmowa spodoba się nowemu kierowcy.

– Odwal się! – odezwał się nagle tamten z obrzydzeniem i Aloszce zrobiło się nieswojo od tego głuchawego i jakby jękliwego głosu. Mógł widzieć tylko pół twarzy nieznajomego. Oko drapieżnie, czujnie wpatrywało się w jeden punkt. Wargi miał tak zaciśnięte, że usta wyglądały jak szew. Siedział ponury i przypominał jaszczurkę, pewnie był też jak jaszczurka sprężysty i zwinny, ale nie mocny, silny.

Milcząc ponuro, nie słyszał też poganiania naczelnika. Sanitarka ruszyła z jego woli, ale tak ospale, jakby odbijał od brzegu potężny statek. Może szofer robił tak specjalnie na złość naczelnikowi.

– Też mi... Widzę, serdeńko, że życie niczego cię nie nauczyło – powiedział z pogróżką w głosie urażony Institutow.

– Właśnie tak, obywatelu naczelniku! – rozzłościł się chłopak. – Ja się w zwierzę zamieniam, kiedy mnie żyć uczą. Wziąłbym i tak pif-paf!, prosto w łeb!

– Co?! A broń palna skąd? – szarpnął się przestraszony naczelnik, ale zapanował nad sobą i zamilkł zawstydzony.

Chłopak jednak nie ugryzł się w język i jeszcze słówkiem dociął naczelnikowi, który rozbudził w nim jakieś złe uczucie.

– A wyście skąd się wzięli, że innych żyć uczycie, a sami wedle woli żyjecie? Ty ze mną lepiej nie zaczynaj, ja w twoim lazarecie zrobiłem się nerwowy, różności się napatrzyłem! Bo następnym razem coś palnę niepotrzebnie, ja przecież tylko tego... złe oceny rozwożę...

– No, serdeńko, ciszej, ciszej, słyszą nas przecież... – wymamrotał Institutow.

– Ciszej, ciszej to do myszy – wycedził chłopak głucho przez zęby i zamilkł.

Dojechali niespodziewanie szybko, tak że nawet zrobiło się jakoś żal. Institutow wyskoczył i skrył się w solidnym gmachu z czerwonej cegły, w którym panowała głucha cisza. Alosza zobaczył portiernię i dwuskrzydłową bramę ozdobioną tarczami w kształcie czerwonych gwiazd. Przy portierni było pusto, jak gdyby wszyscy pochowali się przed

zimnem. Minęło pięć minut i nikt ani nie wchodził do budynku, ani z niego nie wychodził. Niemal dzika przestrzeń tego miejsca rozciągała się sama dla siebie, powietrzna, czysta, omywając niezamieszkane, zdawało się, granitowe wysepki pałaców. Każdy murowany, czteropiętrowy dom wyglądał na twierdzę. Taka była cała Karaganda, miasto zbudowane pośród stepów. Budowano je tak, jakby osuszano morze. Pałace-wyspy, twierdze-tamy przegradzały nie rzeki, tylko podobne do rzek stepowe swobodne wiatry. Każda ulica jak bulwar: leży ciężko, prosto i na drugą stronę przechodzi się jak przez most. Niejeden tu się wzdrygnie, kiedy przypomni sobie dom, i zatęskni jak sierota za przytułkiem.

Przez zamgloną szybę wszystko zdawało się maleńkie, zamknięte w szklanej kuli.

– O, to tu o losach ludzi decydują, winnych szukają... A ścisłości nie ma. Kto wie ściśle, komu co się należy i ile? Prokurator też nie wie, tylko udaje. Gdyby wiedzieli, dawno by było jak w raju: dokładność i spokój, galantny taki komunizm. Nie wierzę. Niech diabli wezmą tego obywatela prokuratora! – Kierowca, nie odwracając się, zazgrzytał zębami. – Ja tylko najwyższy wymiar kary uznaję. Zabiłeś – umieraj. Śmierć za śmierć. – I w tej samej chwili nieoczekiwanie sam sobie żarliwie zaprzeczył: – Akurat, potrzebne im takie prawo, a jak! Ludzie wszyscy śmierdzą. A już we więźniu najbardziej. A kogo wsadzają? Jakby byli mądrzy czy tam w ogóle silni, toby spacerowali po drugiej stronie w białych frakach. Czy to kto na siebie doniesie albo choćby się przyzna, co robił czy co myślał? A udają, że samymi różami pachną, a inni niby śmierdzą. Sami, sukinsyny, decydują, kogo na kwietnik, a kogo do sracza. Żeby jednym było dobrze, drugim koniecznie musi być źle. Ty co, chudzino, w lazarecie się zadekowałeś? Myślisz, że całe życie na łóżeczku będziesz się leczył? Słabyś chyba i głupi. A może właśnie taki przebojowy i mądry?

Alosza radośnie oznajmił:

– Ja swoje odsłużyłem. Jutro siadam w pociąg i jadę do domu. W lazarecie mi jeszcze ząb robią, a w ogóle to ja na poligonie strzelania zabezpieczałem, nie wylegiwałem się, nie myśl sobie. Moje miejsce było

w okopach, dlatego mało kto mnie zna. My z Abdułłą Ibrahimowiczem strzelania zabezpieczaliśmy. Można powiedzieć: dwa lata jak na wojnie.

W odpowiedzi usłyszał szydercze:

– No a jakże, maszerują chłopcy, wszyscy my stamtąd. Hasz my palili, proch wąchali, kiszki na pięści nawijali...

– Że niby my rodacy jesteśmy?

– Rodak, jeśli w kapuście znaleziony. A ty z jakiego ogrodu ziółko jesteś? Jak ciebie nazywać, tytułować? – Ale usłyszawszy odpowiedź, nie uspokoił się. – No, Aleksiej, cedzisz, jakbyś pożyczkę dawał. Jak po ojcu, pytamy: NN?

– Aleksiej Michajłowicz Chołmogorow...

– No proszę, hełmy i góry, tyś mi nie krewniak, tylko co? Jajco! Bo ja na tym świecie melduję się jako Pał Pałycz... Kumasz? Sam siebie tak nazwałem i w paszporcie się zapisałem koło mojego rodzinnego portretu. Znaczy się Paweł, a sam dla siebie – Pałycz. A nazwisko wiesz jakie? A takie... Imię mi dali, resztę sam sobie dorobiłem. No, dobrzy ludzie raz mi Paszę wlepili, więcej już nie przyjąłem.

– Jak to...? – Alosza zląkł się tajemniczego Pała Pałycza, który, okazuje się, niemal sam z siebie się urodził.

– A tak, jak powiedziałeś, to zdecydowałeś, jak zdecydowałeś, to zrobiłeś, a nie zrobiłeś, czego chciałeś – umieraj.

Chołmogorow, słysząc to, zadrżał.

– A po co umierać? Z czasem ze wszystkim można zdążyć. Na to jest życie, niech się dzieje co chce, grunt, że żyjesz.

Szofer posmutniał.

– A coś ty za jeden? Co to za życie? Na co czekać? Jeden biega, ogonem macha, capnie jakiś ogryzek, co z nieba spadł, i zadowolony, a jak jego czas przyjdzie – wala się po ziemi. A inny? Wszystko sobie urządzi, zarobi, nie da się nad sobą litować i do ziemi się położy w nowiutkim drogim garniturze. Wszystko potrafi. On i śmierć przyjmie jak swoją. Prawdziwy człowiek! A spojrzysz na innego – źle się robi, wala się frajer z dziurką

w czaszce, a żyć może chciał tak, że aż jazgotał. Ja takich nie szanuję. Żyć chcą, a niczego nie zrobią, nikogo do niczego nie zmuszą, sami niczego nie umieją, ot po prostu NN! Takim to i śmierć dostaje się jakaś zapaćkana. Prawie pożyczona. – I poufnym tonem, jakby zwierzał się z czegoś ważnego, dodał: – Śmierć nie żartuje i z nią nie pożartujesz. Każdy swoją tylko raz dostaje. Śmierć to taka najbardziej ryzykowna gra, masz albo asa, albo dwójkę. Wygraj albo umieraj. Raz się pomyliłeś albo farta nie miałeś i żegnaj, pa, pa! Wszyscy ze wszystkimi w to grają. Dla mnie w tej grze to jest najciekawsze, że w niej najczęściej dranie wygrywają. Ścisłości brak. A ty się nie krzyw, chudzino, nie krzyw się, nosa ci nie odgryzę! Myślisz, że ze mnie też drań?

Alosza nie zdążył nawet chwilę się zastanowić, kiedy zaskoczył ich Institutow, jakby spod ziemi wyrósł. Wydawało się, że przypełzł na czworakach i nagle wyprostował się cały, jak podrzucony sprężyną. Twarz naczelnika lazaretu była zadumana, posępna, podniosła.

– Tak, panowie szanowni, jedna sprawka załatwiona. Wspaniale! – zawołał, kiedy oni milczeli. – Proszę zwrócić uwagę: działam na własne ryzyko, w pełnej samotności, prawie na ślepo. Pomocy czekać nie ma skąd, jak zawsze wszystko na moje barki zwalili. No dobra, ruszaj, serdeńko... Do królestwa zmarłych! Cha, cha, cha... Do domu żałoby i smutku! Tam gdzie nas nie czekali, ale spotkanie, cha, cha, wyznaczyli...

Gdzie śmierć, tam i życie

Usytuowana w piwnicy instytucja zajmująca się medycyną sądową witała i gości, i tych, których przyjmowała na pobyt stały, z serdecznością godną winiarni. Siedzibę miała na zapleczu białawej klinicznej machiny, w której to, co chore i słabe, musiało jak jakiś płyn przeciec krętą wężownicą budyneczków rozmaitej wielkości, żeby w końcu wzmocnić się i ozdrowieć. Bezludne jednakowe podjazdy, wejścia i wyjścia, których było tu mnóstwo, rozdziawiały się, gotowe posłużyć w razie pożaru, choć wyglądały na ślepe zaułki. Trzeba było krążyć po ich labiryncie, wciąż tasując tę samą talię obrazków: asfalt, latarnia, podjazd... Pał Pałycz cierpliwie kołował po wąskich krótkich dróżkach. Naczelnik, trącając go w łokieć, już kilka razy wołał:

– Przejechałeś! No przecież, serdeńko... Stop, stop!... Hamuj!

Institutow niezgrabnie wygramolił się z samochodu i zastukał w metalowe drzwi, aż zabrzęczało. Stał przed nimi w nagiej samotności: spięty i przygarbiony, z głową mocno osadzoną na pancernym, twardym tułowiu, z którego mocno sterczał okryty oficerskim płaszczem jędrny brzuszek, zielonkawy, z karaluszobrunatnym odcieniem.

Drzwi się uchyliły i ze szpary wysunęła się gładka, różanolica mordka, uśmiechnięta na widok znajomego towarzysza, naczelnika lazaretu. Institutow skrzywił się wzgardliwie, dał kierowcy i Aloszce znak, żeby wysiadali, i zręcznie się odwrócił od usłużnie wystawionej mordy.

Odrzwia kostnicy otwarły się już na oścież, ukazało się tryskające siłą, sytością i nad wyraz uczynne młode chłopisko.

– Prosimy uprzejmie! – zaśpiewał słodkawo pielęgniarz na widok całej ponurej trójcy. – Po żołnierzyka swojego przyjechaliście? W ostatnią drogę

go zabieracie?

– Bez uwertur, proszę – oświadczył Institutow. – Mam mało czasu.

– Ale ile to z jednym roboty, słowo daję! – zdziwił się z głębi serca pielęgniarz. – Żadnych wątpliwości. Wszystko załatwimy w mgnieniu oka. Trumienkę i garniturek macie ze sobą? Zrobimy go na piękność?

– To wy tu macie prywatny sklepik, nie my! – krzyknął z oburzeniem naczelnik. – My trzymamy się reguł, stawiamy sprawy po swojemu.

– Jak to tak, bez trumienki...? Nie rozumiem...

– A kto mówi, że macie coś rozumieć? To w ogóle nie wasza sprawa.

Sanitariusz przygasł, zasmucił się.

– Jak tak, to radźcie sobie sami.

– No i poradzimy sobie... i bez postronnych... Odprowadźcie moich ludzi na miejsce...

I nagle naczelnik lazaretu głośno wypowiedział nazwisko tego, o którym przez cały czas pamiętał:

– Muchin Giennadij Albertowicz. Na sekcję przywieziony dziesiątego listopada. Sekcja przeprowadzona. Wszystkie papiery z prokuratury mam przy sobie, więc bądźcie uprzejmi natychmiast wydać ciało.

– A gdzie to Muchina położycie? – zatroszczyło się jeszcze chłopisko.

– Mamy wszystko, czego trzeba – nadął się Institutow i zapewne żeby dodać ducha swoim zamarłym pomagierom, zawołał do nich z poetyckim uniesieniem drużynowego pionierów: – Chłopaki! Czas nie czeka! Do noszy!

Pał Pałycz rozglądał się na boki, jakby szukał czegoś, czym mógłby zaspokoić głód. Alosza czuł niepokój i niezręcznie naśladował ruchy swojego partnera, chwycił za nosze, ale nie kierował, tylko był kierowany. Pociemniało, weszli do wilgotnej jamy, z której dna coraz cieplej wionęło jak przeciąg coś martwego. Trzeba było się nachylić, żeby nie uderzyć głową o dławiące, krągłe sklepienie schodzącego w dół korytarza. Przejść można było tylko pojedynczo, dwóch już by się nie zmieściło. Dlatego schodzili jakby pod przymusem, siłą ze sobą związani. Zza pleców Pała

Pałycza niczego nie było słychać. Pod sobą Alosza czuł sprężynującą nawierzchnię z desek, z jakimiś małymi progami, o które nieoczekiwanie potknął się i zamarł... Nosze wbiły się w idącego przodem Pała Pałycza i ten ze złością odepchnął je w tył. To niespodziewane bolesne pchnięcie w brzuch wszystko Aloszce wyjaśniło i ustawiło go do pionu.

Dalej podłoże było twarde, kamienne, głucho dźwięczące. Było tam coś ciepłego, co pachniało pleśnią i żywo odbijało każdy odgłos. Oko dostrzegało prześwit tuneliku, przez który dopiero co przeszli: teraz wznosił się w górę i widać było, jak zmierza ku światłu dziennemu unosząca się z podłoża chmurka kurzu, nad nią zaś lekko krąży jasne widmo powietrza, tam, w górze, chłodnego i suchego. Po chwili jednak Chołmogorow znalazł się w pomieszczeniu kostnicy i zobaczył coś, od czego jego wzrok zamarzł, zlodowaciał. Wejście do tej sali otwierało się jak drzwiczki wiodące na ukryte schody: jakby oderwała się część pokrytej kurzem ściany, odsłaniając wilgoć ogromnego pomieszczenia ziejącego bladą, chłodną sinością. Białe kaflowe ściany i podłoga odbijały martwe, płaskie, niemal do białości rozpalone światło, tnące jak diament po szkle.

Chołmogorow w życiu nie widział nieboszczyków, nie bywał na pogrzebach. Sala, wyłożona od podłogi do sufitu kafelkami, z których każdy niczym latarnia świecił sinawobiałym światłem, była w połowie pusta – utrzymana porządnie, po gospodarsku – podczas gdy w całej drugiej połowie stłoczone były zeschnięte, oczekujące nagie ciała, co prawda też ułożone w jakimś porządku... Niektóre leżały na wózkach szpitalnych, to pojedynczo, to po dwa na waleta, to jedno na drugim. Takich wyładowanych wózków było sztuk dwadzieścia. W kącie wpełzało na ścianę już całe zwałowisko: tam wszystko było rzucone wprost na podłogę i przykryte jak pokrowcem brezentową płachtą, ale po bokach, tam gdzie brezent nie sięgał, sterczała to samotna ręka, to szczudła nóg. Alosza poprzez szum w uszach dosłyszał natrętne: „Muchin... Muchin...”. I mimo woli odwróciwszy się na to wołanie, zobaczył, że dwa kroki od niego, bliziutko, stoi jakby nigdy nic naczelnik lazaretu i tylko krzywiąc się nieco od nieprzyjemnego zapachu, znów się o coś prawuje.

Pał Pałycz rozglądał się po kostnicy chłodnym wzrokiem człowieka bywałego, ale też z ciekawością. I napotykając zwrócone na siebie spojrzenie Aloszy, od razu wskazywał gdzieś zdziwionymi oczyma, w milczeniu, po koleżeńsku zwracając mu na coś uwagę. Przerażenie minęło, oczy nawykły do woskowych postaci bez twarzy, ale Chołmogorow jak ślepiec kręcił na boki głową i zdziwiło go tylko to, co usłyszał. Tuż przy nim, pośród chóru głosów milczących w skupieniu o swojej śmierci, dziarsko, dźwięcznie krakały jak wrony dwa skłócone głosy. Tyle ludzkiej nagości nasuwało mu jakoś myśl o łaźni. Wydawało się, że z tej zamrożonej sali wypuszczono kiedyś łaziebną parę. Ale tam, w łaźniach, gdzie ludzie wrzeszczący na całe gardło, jakby ich ktoś łaskotał, wyłaniali się z kłębów pary goli jak niemowlęta, było bez ubrania nadzwyczaj przyjemnie. A tu żadne z tych nieżywych ciał nie mogło poczuć owej rozkosznej lekkości i pewnie nie byli to już ludzie. Alosza, zawinięty w szynel i do tego w mundurze, poczuł się dziwnie wśród ich krzyczącej nagości, ubranie na nim zrobiło się nagle ciężkie jak ołów, wydało mu się obrzydliwe i cały pokrył się jak małpa rudą wełną, rudymi kłakami z szynelu.

„Muchin... Muchin...” – dźwięczało wciąż pod sklepieniem sali, gdzie jednak nie było nikogo, kto by czuł smutek.

Na ich pogrzebową drużynę czekał tam ze współczującą miną, jak na krewnych nieboszczyka, jeszcze jeden sanitariusz. Okazało się, że chłopisko, które powitało ich na górze, było u niego na posyłki.

Facet był w pełni sił i wyglądał jeszcze potężniej od swojego pomagiera. Pod białym chirurgicznym czepkiem, maskującym nic innego jak łysinę, jego prostacką, rozmiękłą od pijaństwa twarz ozdabiały mężne siwawe baczki. Słyszał zapewne przez rurę tunelu pertraktacje swojego pełnomocnika z naczelnikiem lazaretu i na nic istotnego już nie liczył. Institutow natychmiast przybrał taką samą pomnikową postawę, tyle że pogardliwą, i splótłszy w węzeł spracowane łapska wyrwizęba, zaczął drugiemu pielęgniarzowi wzgardliwie deklamować jego obowiązki, domagając się oddania ciała „szeregowego Muchina”. Ale wielkoduszny uśmiech, obnażający szereg białych jak śnieg zębów podobnych do

świńskich chrząstek, wciąż nie schodził z twarzy wiekowego, powściągliwego sanitariusza. W białym chirurgicznym czepku czuł się pracownikiem służby zdrowia i patrzył na Institutowa beznamiętnym wzrokiem.

– Znaczy się Muchin, powiadasz? A pomyłki nie ma? To ten Muchin czy nie ten? Co do tego właśnie musimy się upewnić, bo tak na łapu-capu to błąd można popełnić.

– Proszę, list przewodni! Masz tu, co to za Muchin! – podniósł głos Institutow, ale właściciel reprezentacyjnego popiersia przez długi czas pozostawał nieubłagany.

– Że jest dokument, to oczywiście dobrze. I jeśli Muchin tam u ciebie w dokumencie jest zapisany, to my mamy takie zadanie: wydać ciało zmarłego jego krewnym albo towarzyszom. Ale ty nam, naczelniku, zamieniasz to w równanie z trzema niewiadomymi. Niewiadoma pierwsza: gdzie trumna? Niewiadoma druga: gdzie tu mamy krewnych? I niewiadoma trzecia: gdzie szacunek dla ciała?! U nas tu wszyscy w takiej są postaci, jak ich śmierć zastała, a oni o niej nie wiedzieli, nie upiększali się, no więc gdzie poszanowanie? Na to właśnie nie słyszymy od ciebie odpowiedzi. Dokument to oczywiście dokument. Ważne, żeby i dokumenty były w porządku. Ale przecież to u nas tak jest, że każdy, kto przyjeżdża, to z dokumentem, a nigdy tak od nas swoich nie zabierali. No to ja jeszcze raz pytam: to ten Muchin czy nie ten? Ty kim dla niego jesteś? My Muchinów zazwyczaj tylko Muchinom wydajemy. Bo przyjadą do nas jutro Muchinowie i powiedzą: wydajcie, i z poszanowaniem, i regulaminowo, a my tu z Kolaszą popatrzymy i tylko dokument twój znajdziemy zamiast ichniego rodzonego człowieka.

Institutow nastroszył się i zamilkł; zrozumiał, że krzykiem nic tu nie zwojuje, a w tych ludziach tym więcej siedzi bezczelności, im głośniej się wrzeszczy o ich obowiązkach. Facet czuł, że poraził doktorka, ale też się rozczarował, bo i tak nic z tego wszystkiego nie rozumiał. Ciało trzeba było wydać.

– No dobra, łapczywi nie jesteśmy... – Sanitariusz z kostnicy nie wytrzymał tej śmiertelnej nudy i obojętnie, jakby mówił o jakiejś zgubie w biurze rzeczy znalezionych, powiedział: – Poszukamy, znajdziemy.

I oba chłopiska wzięły się do roboty. W milczeniu zaczęli przeszukiwać wózki i weszli w ich gęstwinę jak w wodę. Starszemu wózki sięgały po pas. Płynnie rozsuwał je rękoma, a one bezgłośnie rozpływały się jak łódeczki, on zaś wyczekująco jak myśliwy wpatrywał się w tę dla niego przejrzystą, martwą wodę. To samo robił jego towarzysz, ale niecierpliwie, bez czucia. Na wózkach leżeli zapewne ci, co byli już po sekcji, przygotowani do wydania. Każdy był rozpruty od gardła do pachwiny, tak jak się patroszy rybę, a potem zaszyty, i ten trupi szew ział jak niegojąca się rana. Wydawało się, że ci ludzie zostali zabici po raz drugi, z wyrachowaniem, bezlitośnie i teraz już na zawsze. I nie obrzydzenie, ale przerażenie tym, co z nimi zrobiono, rodziło w duszy jakąś głęboką bliskość, poczucie pokrewieństwa z każdym zabitym człowiekiem. Chołmogorow poczuł z lękiem, że lada chwila wypadnie mu zginąć, tak jak zginęli oni wszyscy, ale w tej chwili rozległ się wstrętny okrzyk pomagiera, który znalazł właściwą metryczkę, przez co rozpierała go nie wiedzieć czemu ni to duma, ni to zdziwienie.

– To on! Muchin! Ten sam!

Pielęgniarze przeturlali wózek na wolne miejsce i ze znaczącymi minami odeszli na bok, mając zamiar popatrzeć, co też tamci będą bez nich robić. Pał Pałycz niepewnie ruszył do przodu. Zatrzymali się z noszami koło wózka i znów zastygli, nie wiedząc co dalej. Alosza wlepił wzrok w podłogę. Institutow miotał się między nimi, pouczając:

– No jazda, za ręce, za nogi... Raz-dwa!

Pał Pałycz burknął:

– Bez rękawic nie będę.

– Serdeńko, no co to za kaprysy? Odpowiedzialnie, jako lekarz, oświadczam, że waszemu zdrowiu nic nie zagraża. I towarzysze sanitariusze, jako pracownicy służby medycznej, potwierdzą...

– Sanitariusze może mleko za szkodliwość dostają. A ja w tym żadnego interesu nie mam. Bez rękawic nie będę.

Naczelnik lazaretu, zwracając się już nie wiadomo do kogo, jakby się zabłąkał, cierpiącym, nie swoim głosikiem zawołał:

– Towarzysze! Gdzie można otrzymać rękawice? Są tu wykwalifikowani specjaliści?

Starszy pielęgniarz uśmiechnął się nie bez złośliwości, ale ulitował się, zadowolony, że tamci mimo wszystko nie mogą się bez niego obejść. W mgnieniu oka pojawiły się rękawice. Chołmogorow i Pał Pałycz położyli martwe ciało na noszach i zanieśli je do przedsionka łaźni. Okazało się, że jest tam coś w rodzaju wąskotorówki do wywożenia na górę śmiertelnego ładunku. Główny sanitariusz poufale nazywał to urządzenie trupowózką. Nosze umocowano na wózku upartym jak oślica. Namęczyli się, w półmroku wstawiając kółka w prowadnice, a wózek brykał, jakby nie chciał dać się podkuć.

– Co to tutaj wszędzie takie ciemności? – rozległ się cierpiący głos Institutowa. – Gdzie światło?

– Jak tak ryczysz, to zaświeć, tylko to się nigdy nie uda. Światła tu nie ma, bo nie doprowadzili, a czemu nie doprowadzili, tego już nikt się nie dowie – odszczeknął się starszy pielęgniarz. – A w ogóle to co ty tu chcesz zobaczyć? Tu wszystko takie, że od światła bielsze nie będzie. A może tobie światło jest potrzebne, żeby pod nogi patrzeć? Jasne, wygodnie, przyjemnie mieć żaróweczkę. Ale taki mamy problem: narodek łazi to tu, to tam. Wykręcą, bo dobra, albo z czystej złośliwości, jak tylko odejdziesz. Światło u nas tam świeci, gdzie ludzie są. No, choć ze świeczką stój. Ty będziesz stać? Dawaj, zarabiaj, my z Kolaszą chętnie tę posadę odstąpimy i za twój trud dołożymy od siebie kopiejkę, świeć i pilnuj. My z nim za wygodą życia jesteśmy i kiedy idziemy po tych deskach jak ślepi, to zawsze radzi bylibyśmy na oczy przejrzeć i przy świetle chodzić. Chociaż nawet gdy jest jasno, mordą w błoto można wpaść, najważniejsze, co człowiek ma w duszy.

Zaczęli się wspinać po pomoście z desek, ile sił pchając przed sobą wózek, ocierając się jeden o drugiego w wąskim tunelu, pragnąc jak najszybciej się z niego wyrwać, wzdrygając się od pisku kółek. Było duszno, trochę strasznie. Trwało to jednak nie wieczność, choć tak mogło się wydać, lecz tylko kilka odczuwanych w mięśniach chwil. Wózek pchali zrywami, a on wszystkimi czterema kopytami się zapierał. Każde pchnięcie, każdą chwilę zdobywali kurczowym napięciem muskułów. Kiedy wyrwali się na światło, na powietrze, odżyli na nowo i poczuli taką mdlącą lekkość, taką słabość w całym ciele, jakby spłynęli z nieba na ziemię. Kiedy ładowali nosze do samochodu, ważniejszy sanitariusz ich zrugał:

– Durnie, nogami naprzód! Człowieka ładujecie, nie polano. Szanować trzeba, on na tamten świat ma jechać.

Pał Pałycz usłuchał z ponurą miną. Odwrócili nosze i nie patrząc na nie, wsunęli do wnętrza samochodu tak, jak im kazał sanitariusz. Kiedy się z tym uporali i można było odjeżdżać, Pał Pałycz nagle odmówił zajęcia miejsca za kierownicą. Głos jego zabrzmiał z urazą i rozpaczliwie jak u dziecka. I całkiem jak dziecko szofer zapamiętał się w gniewie i wykrzykiwał nie wiadomo do kogo:

– No, dokąd z takimi rękami jechać? Truposza targałem, a teraz mam kierownicę łapać i na jasną drogę?

Pielęgniarze obserwowali ten bunt z jednakowymi uśmiechami, ale użalili się i zaprowadzili wojaków do umywalki. Szli tą samą drogą. Starszy podprowadził ich do niepozornych drzwiczek; okazało się, że za nimi ciągnie się chłodny, pusty korytarz, na który wychodzą drzwi wszystkich tutejszych pomieszczeń piwnicznych.

Weszli do jednego z nich i znaleźli się w zadbanym pokoju mieszkalnym z telewizorem, lodówką, zazdrostkami w oknach, starym tapczanem i fotelami, ale – za sprawą rozwieszonych wszędzie dziwacznych narzędzi i urządzeń – przypominającym jakiś warsztat. Póki oni się myli, starszy sanitariusz z pomagierem szykowali się, żeby jak zwykle wypić i przekąsić.

– No, ale jednak gdzie jego trumna? Kto go, tego Muchina, chowa? Niby wojskowy, a wywozicie go jak bezpańskie mienie. My tu z Kolaszą myśleliśmy, że obrońcy ojczyzny strzeżemy. Myśleliśmy: pogrzeb urządzą, nam coś za gorliwą służbę wpadnie. Chociaż jasne, że sprawa ciemna. Do nas na sekcję tak bez powodu nie przywożą. Ech, no milczcie, milczcie. Dawajcie, uczcijmy chociaż pamięć młodego człowieka. Naleję po setuchnie, naczelnik nie usłyszy...

Pał Pałycz wypalił:

– Ja za niego pić nie będę.

– Co, znajomy? – zaniepokoił się starszy.

– Wszyscy oni moi znajomi – odpowiedział gniewnie Pał Pałycz. – Wszystkich tych znajomych na tę waszą kupę zwoziłem.

– To ci dopiero, nawet od wypicia za swojego go mdli... No to choć pojedz, sterniku. Łap kiełbasę.

Pał Pałycz z godnością zrobił krok w kierunku stołu i wziął do ręki plasterek kiełbasy, leżący jak medal na prostokącie czarnego chleba. Alosza, poczuwszy dawno zapomniany zapach, kiwnął się w tamtą stronę, ale wziąć choćby kawałka nie był w stanie.

– A ty czego zęby szczerzysz?... No, ale macie obyczaje, zezwierzęciliście w swoim towarzystwie, co wy tak jeden drugiego nienawidzicie?! Co tu ma kiełbasa do rzeczy, za co wy ją?...

– Ja nie lubię kiełbasy – wymamrotał Chołmogorow z miną winowajcy.

Jego słowa ni to zdumiały, ni to przeraziły sanitariuszy. Młodszy prawie krzyknął zaskoczony:

– Jak można wyżyć bez kiełbasy?!

Alosza nie wiedział, co odpowiedzieć. Odezwał się uniżenie, ostrożnie sam starszy sanitariusz:

– Oj, mamusiu, chyba się napatrzył, jemu i życie obrzydło, a co dopiero kiełbasa! Jasne. Nawet na żywych ludzi patrzeć nie może. Ale ty myślisz, że jakąś straszną tajemnicę poznałeś, dokopałeś się do korzeni? No a my z Kolaszą i kiełbasę jemy, i życiem się cieszymy, a dlaczego nie? Żywy

jesteś, to żyj. Póki żyjemy, będziem jeść i pić, kochać się i radować. Umrę, na kupę trafię, no to wytrzymajcie, że kilka dzionków pośmierdzę, no i wybaczcie, że będzie ze mną trochę kłopotu. U nas to po prostu uzdrowisko... Co, czy ty tu jakieś drgawki widzisz, jakieś wycia słyszysz, z którymi umierali? Cisza, spokój... A ilu ludzi może modliło się o śmierć, żeby od męki się uwolnić... No i widzisz, uwolnili się... Oczy odwracasz? Bo ty siebie się boisz albo siebie żałujesz. A ty się nie bój, ty na śmierć z szacunkiem patrz, z duszą. Straszne bywa życie. I nie nieboszczycy są straszni, może oni straszni byli, ludźmi będąc. Śmierć tylko na oko jest brudna, a od wewnątrz – czysta jak łza. I niepotrzebnie, człeku miły, kiełbasą gardzisz, jeść nie chcesz. W niej jest sens życia, byle jaki, ale przecież jest, i jak już przyszedłeś na świat, to twój obowiązek choćby z szacunku i wdzięczności zjeść. Pamiętać.

Pał Pałycz z uśmiechem wziął jeszcze parę kawałków kiełbasy.

– Nie macie nic przeciwko? To ja za niego zjem trochę tego sensu! Wędzoną kiełbasę lubię, pamiętam.

Kiedy tą samą drogą wydostali się na powietrze, Pał Pałycz jeszcze żuł resztki kiełbasy, a kiedy tylko zamknęły się za ich plecami drzwi kostnicy, oznajmił wesoło Aloszy:

– Kułacka rodzinka, chytra. Raduj się, raduj się, mówią, a u nich dwa razy dwa zawsze cztery wypada. Z każdego umrzyka jak z barana strzygą, co mają się nie radować. Mordy odkarmili, też się cieszą. I wódkę mają, i kiełbasę wędzoną. To dziwactwo, że odmówiłeś, jak dawali. Przynajmniej trochę byś pojadł, przekonałbyś się na smak, jaki w niej sens.

Pał Pałycz znów cierpliwie prowadził samochód po wąskich, krótkich dróżkach... Już wyjeżdżając z labiryntu, omal nie minęli innej sanitarki. Trąciwszy go w łokieć, naczelnik znów zawołał:

– Przyhamuj, serdeńko! Stop, stop... A to ci spotkanie!

Otworzył drzwi i wyskoczył wesoło. Druga sanitarna bryka też zahamowała, wysiadł z niej, radośnie rozkładając ręce, dawny dobry znajomy – także lekarz z pagonami.

Rajskie jabłuszka

Sanitarka krążyła po Karagandzie. Siedzący z przodu naczelnik lazaretu ucichł, nie odzywał się, a Pał Pałycz za kierownicą stał się nieprzystępny, odgrodził się plecami. Alosza w pojedynkę odbywał tylko jemu zrozumiałą służbę. Starał się, siedział na swoim siedzeniu czujny jak pies wartowniczy, któremu kazano czegoś pilnować, a w głowie natrętnie huczało mu cudze, nic niemówiące nazwisko. Nieboszczyk leżał na noszach wyciągnięty na całą długość. Spod wełnianej derki sterczały nogi. Noga... nogi te same lazły w oczy. W każdej z nich (właśnie tak, w każdej z osobna) było coś nakazującego, mocnego, władczego nawet. Alosza podporządkował się tej władzy, patrzył, nie odwracając wzroku: tak tonący, którego już wciągnęło z głową, wciąż jeszcze gorączkowo wymachuje ręką spod ołowianej, śmiertelnej wody... A spod śmiertelnej derki, też na oko ołowianej, jak spod wody sterczała jakoś tak z osobna, wypełniona lamentem śmierci – ona, noga, rozczapierzająca tłuste kikuty palców, którymi nic nie można uchwycić, nawet gdyby się chciało. Wydawało się, że to sama śmierć coś pokazuje spod rogóżki żołnierskiej derki, i Chołmogorow już lękliwie czepiał się swojej ławeczki, żeby się nie ześlizgnąć.

Przyjechali. Majestatyczny biały statek, z tysiącem, a może i większą liczbą zgrabnych jednakowych okienek, płynął w powietrzu, rozcinając zimną, kryształową gładziznę parków. Temu cicho przesuwającemu się statkowi towarzyszyło jeszcze z dziesięć innych białych zgrabnych stateczków. Wszystko tchnęło spokojem i pielęgnacją, nawet każdym kryształowym żyrandolem drzewa ktoś tu zapewne z osobna się opiekował.

– Powietrze, powietrze jakie... Rozkosz! – przypochlebnie zawołał naczelnik lazaretu.

Przy budce strzegącej masywnej bramy, która rozsuwała się na modłę kulis, kilku kontrolerów, ubranych starannie jak mali chłopcy na poranku teatralnym, długo kazało na siebie czekać. Ta zwłoka znaczyła: dostać się tu można tylko, zapomniawszy o swojej ważności, bo liczy się wyłącznie to: otrzymać zezwolenie na wjazd. Wreszcie jeden z kontrolerów podszedł z godnością do ubogiej sanitarki.

– Przepustka...

– Nie, nie, serdeńko, my nietutejsi, my w delegacji. Do was na neurochirurgię skierowany był nasz szeregowy, a teraz trzeba by zamknąć jego delegacyjkę i manateczki zabrać.

– Po trupa czy jak? – spytał wprost kontroler.

Institutow zaniepokoił się.

– Przepraszam, po rzeczy, a ciało w zeszłym tygodniu zabieraliśmy od was do ekspertyzy sądowo-lekarskiej. Dziś mamy, towarzyszu, procedurę rutynową i to jest wielka różnica, oczywiście jeśli rozumiecie, towarzyszu, o czym mowa. Dzisiaj wszystko ma zostać odesłane do Moskwy, jeśli wy oczywiście...

Kontroler odwrócił się obojętnie i wrzasnął w stronę wartownika:

– Wania, trupowóz, przepuść!

Kiedy samochód wreszcie wjechał na chroniony teren, Institutow wybuchnął oburzeniem:

– W instytucji medycznej zatrudnili ich przy bramie, a oni już czują się gospodarzami!... Kim oni są, ci wszyscy ludzie bez wykształcenia medycznego? No kim, pytam się! Całe swoje życie człowiek poświęca medycynie, żeby w końcu jakiś cham, który nawet bezbłędnie pisać nie umie, rządził się przy bramie!

Co powiedziawszy, samotnie i dumnie wystawił głowę pod lekki wiaterek i owiewany nim, wydając dźwięk podobny do chrapania, wciągnął w siebie raz i drugi tutejsze powietrze.

Maszyna z wolna podjechała pod jeden ze szpitalnych białych stateczków. Ale i on w porównaniu z zagubionym w stepie lazaretem

podobny był do olbrzyma, miał swój oddzielny szmaragdowy ogródek. Ten budyneczek, otoczony przygotowanymi już do zimy drzewami owocowymi, delikatnymi jabłoniami i wiśniami, powitał przybycie śmiertelnego ładunku z takim chłodem i obojętnością, jakby w ogóle nie był stworzony do takich spotkań.

Institutow z uniesieniem łowił nozdrzami lecznicze powietrze. We trzech weszli do chłodnej i jasnej izby przyjęć. Siedząc okrakiem na kozetce, dwaj chwacko wyglądający pielęgniarze z zapałem grali w poddawankę, znęcając się nad czarnymi i białymi pionkami warcabów, wymieniając kuksańce, waląc w planszę, byle szybciej przegrać.

Kiedy pojawił się Institutow, chwaty szybko się uspokoiły. Jeden z nich z miejsca oszacował mizernego człowieczka w wytartym oficerskim płaszczu i zdecydowanie zagrodził mu drogę, pytając z ostentacyjną grzecznością:

– Du ju spik inglisz? Szprechen zi dojcz? Parle wu franse?

Institutow zmieszał się, ale odpowiedział równie grzecznie, chociaż zapewne rozumiał, że trafił na personel składający się wyłącznie z przebywających na rekonwalescencji żołnierzy.

– Serdeńko, ja do kierownika.

Pielęgniarz nawet okiem nie mrugnął.

– Jes, naturlich, proszę mówić, ja słucham. Anderstend? Fersztejn? – wypowiedział się rozmowny młodzieniec już z wyzywającą obojętnością.

– Ja z ciałem, to znaczy ze sprawą... Za pozwoleniem, młody człowieku, mnie teraz potrzebny jest najwyraźniej wasz bezpośredni zwierzchnik – bardzo szybko, ale chłodno wyjaśniał Institutow, obawiając się, by subaltern nie podważył nieodwołalnie jego autorytetu.

Zuch jednak tym razem nie pośpieszył z odpowiedzią. Zdumiony, zwracając się nawet nie do naczelnika lazaretu, tylko do swojego partnera, zawołał:

– Das ist fantastisz! Żorż, przyjechał do nas rewizor!

Kumpel odezwał się burkliwie, z niezadowoleniem:

– Ja mam teraz przerwę obiadową, nigdzie nie pójdę. Żreć mi się chce. Serż, idź do stołówki, przynieś kefiru. Antonina ci da, ty się jej podobasz. I jeszcze bialutkiego batona, he, he, he... A ja Swietłankę odwiedzę, cukrem się dożywimy.

– Swietka paskuda, brudna dziwka, coś zważniała, obejdziemy się bez jej cukru, niech się pomęczy... Do miłej memu sercu Antoniny będzie pan łaskaw pójść sam i powiedzieć: ja, dureń, bałwan, kefiru chcę i jestem za to gotów panią, madmuazel, uszczęśliwić. No a wy co tu stoicie? Powiedziano wam przecież jasno, po rosyjsku: prosimy bardzo, idźcie, Immanuel Abramowicz jest u siebie w gabinecie, tam na wprost, i czeka. Do widzenia, aufiderzejn, adje, hałdujudu, buenosdias, ariwederczi!

Przy drzwiach opatrzonych tabliczką „Kierownik oddziału anatomopatologii” znów siedziało dwóch zuchów, zdawało się krańcowo niepodobnych do tamtych, bo utkwiwszy z mądrymi minami nosy w grubej książce medycznej, zajmowali się wyłącznie wkuwaniem jednego z rozdziałów. Ale gospodarza na miejscu nie było. Institutow kontynuował poszukiwania. Błąkając się po oddziale, przeszli przez poczekalnie i znów spotkali dwóch chwatów, tak jakby zastąpili oni tych, co wkuwali z książki pod zamkniętym gabinetem: tym razem bliźniacy pracowali gorliwie, oblekając sflaczałe, mącznej barwy starcze ciało, leżące na stalowym stole, w szaropopielaty generalski mundur ze złotymi epoletami. Procedura zbliżała się do końca: sanitariusze naciągali na suche jak u kurczątka nóżki zmarłego staruszka spodnie z lampasami. Kiedy przyjezdni znaleźli się w sali, gdzie zapewne miało się wkrótce odbyć pożegnanie generała, dwa chwaty już tam były, ustawiały w równych szeregach krzesełka przed pustym jeszcze katafalkiem, zasługując na łzawe, przychylne spojrzenia krewnych nieboszczyka. Wszystko to odbywało się w po domowemu przytulnej sali, gdzie podłoga była wyłożona dywanem, tak że odgłosy kroków cichły miękko, jakby ludzie stąpali po nim w papuciach.

Institutow, któremu w głowie się kręciło od chodzenia i od walcującego w duszy napięcia, swobodnie szybował w tutejszym niebieskawym, ultrafioletowym powietrzu. W końcu znaleźli się w pomieszczeniu, gdzie

podłoga i ściany były wyłożone kafelkami: była to najwyraźniej kostnica, sterylnie biała, starannie obliczona, jak wszystko tutaj, tylko na kilka miejsc leżących. Betonowe ławy, górne i dolne, były puste. Wzdłuż ścian rozmieszczonych było w dwóch półkolach osiem umytych betonowych ław, a wolne miejsce przy ścianie z niewielkim czystym okienkiem zajmował błyszczący stalowy stół, w którym wszystko odbijało się jak w zwierciadle. Ci dwaj, na których wciąż się natykali przyjezdni, również i tym razem ich uprzedzili: na środku kostnicy, obojętnej na to, co ich otacza, uganiali się jak oparzeni od ściany do ściany, kopiąc wymiętoszony but, który zastępował im piłkę. Widać było, że w tym ustronnym miejscu urządzili sobie własną salę sportową: coś przypominającego sztangę wystawiało żelazny ryj spod ławki, w otwór drzwiowy wmontowana była ledwie dostrzegalna poprzeczka do ćwiczeń gimnastycznych.

To już nie było złudzenie: byli to ci sami pielęgniarze, którzy w izbie przyjęć mówili do siebie per Serż i Żorż. Mogło się wydawać, że potrafią wszędzie zdążyć, panosząc się w ogromnej budowli, a czy to dla drwin, czy dla przyzwoitości wymyślili jakiegoś Immanuela Abramowicza.

Od rozgrzanych bieganiem, obnażonych do pasa matowych ciał jechało słodkawo tym duszącym zapachem wody kolońskiej, którym obaj byli przesiąknięci jak biszkopt. Włosy mieli również jednakowo zaczesane za uszy, starannie przylizane i lśniące czymś tłustym, podobnym do szuwaksu, tak że głowy połyskiwały w świetle jak wyglansowane buty. Ten, który wyglądał na przywódcę, był młodszy od partnera. Kiedy jeden z zuchów gardłowo i lubieżnie zaryczał: „Goool!”, Institutow, którego obecności nie zauważyli, donośnie, głosem sędziego oznajmił:

– Futboliści, wróć! Dość pajacowania. Jeszcze będziecie się tłumaczyć przed Immanuelem Abramowiczem ze swojego oburzającego zachowania. Macie wy sumienie czy nie? Też mi bracia Karamazow... Ja mam mało czasu. Nie zamierzam znosić capich igrzysk dwóch rozpuszczonych, bezczelnych szczeniaków.

Pielęgniarze przygaśli, niechętnie naciągnęli na siebie szpitalne chałaty, takie, w jakie ubierają cię chirurdzy – zapewne właśnie po lekarzach

donaszali te błękitne operacyjne stroje. Jeden spochmurniał wyczekująco, a drugi, niższy wzrostem i przystojniejszy, odsunął się chłodno od Institutowa i odpowiedział:

– Nie jesteśmy wasi. Nam rozkazywać może tylko Immanuel Abramowicz, a wy, towarzyszu, pewnie z księżyca spadliście.

– Towarzyszu kierowniku! Immanuelu Abramowiczu! – zawołał naczelnik lazaretu.

Ładniutki młody człowiek zmieszał się i usiłował śpiesznie odkupić swoją winę.

– Ale po co krzyczeć? Po co te nerwy? Zaraz wszystko zorganizujemy... Silwuple...

Znacząco i przyjaźnie spojrzał na Institutowa, który nieoczekiwanie odpowiedział mu też jakimś omdlewającym uśmiechem.

Po jeszcze kilku minutach ładniutki, postawny pielęgniarz i podobny do karalucha, napuszony wyrwiząb poczuli do siebie taką wzajemną przyjaźń, że już we dwóch po pańsku rządzili się w kostnicy.

– Siergieju, serdeńko, będziemy potrzebowali wnieść ciało... – czule, ale i trochę wyniośle oznajmił głosik naczelnika lazaretu.

– Proszę się nie martwić i odpoczywać – odpowiedział młody człowiek głębokim, ciemnym basem, po czym kocim krokiem drapieżnika, niosąc niby jajeczko na półmisku swoją nieobecną mężną twarzyczkę, przeszedł przez całą kostnicę, żeby otworzyć tylne drzwi. Okazało się, że ma przy sobie pęk kluczy, umocowany do pasa za pomocą karabinka.

Pał Pałycz podprowadził sanitarkę do tylnego wejścia. Trupa, jeszcze przykrytego derką, wniesiono i zwalono z noszy. Ładunek stuknął o zwierciadlaną gładziznę stołu. Patrząc na powalane brudem plecy z chudziutkimi łopatkami, sterczącymi jak skrzydła kurczątka, Serż krzyknął zaskoczony:

– Nasz klient! To ci dopiero, kto by pomyślał... Ojczyzna nie zapomniała swojego bohatera, tacy to ludzie! Pamiętam, pamiętam, wzywają nas z Żorżem na salę operacyjną. Zwiad zameldował: wojak wykopyrtnął się na

polu walki. Zabłąkana kula, zdarza się. Skalpel chirurga nie tknął ciała bohatera. Lekarz na Moskwę szedł wśród wrzawy – hurra! hurra! – i ojczyzna szczodrze poiła brzozowym sokiem, brzozowym sokiem... Ha, my z Żorżykiem też się nie śpieszyliśmy, właśnie mieliśmy, pardon, amur z pewną miejscową damą. I oto przychodzimy, kładziemy kulturalnie na katafalku, kulturalnie rozprawiamy o kulturze, o literaturze, o pięknych damach, jedziemy, jedziemy... I nagle klient odwiedza nas znowu, jestem zachwycony, brawo! Żora, jaką rzeczką spławiłeś tę zgrabną kłodę? Zaprawdę powiadam ci, mój naiwny pochłaniaczu kefiru, są takie rzeki, co płyną pod górę!

Sanitariuszy rozpierał, dusił śmiech. Obejmowali się wzajemnie jak zapaśnicy, przez kostnicę przelewał się ich rześki, radosny rechot. A kiedy Pał Pałycz burknął ponuro: „To wy tu powinniście leżeć na walecika”, pielęgniarze z zachwytu wytrzeszczyli oczy, niezdolni cokolwiek powiedzieć, i zatrzęśli się w nowym ataku śmiechu, zapewne żywo wyobraziwszy sobie tę sytuację.

– No cóż, szeregowy Muchin, zdaje się, pozostawił niezatarty ślad w pamięci Siergieja i Gieorgija – podsumował Institutow w nadziei, że sanitariusze się opanują.

Rozległ się jednak nowy wybuch śmiechu.

Pał Pałycz podniósł głos:

– Stulcie mordy, pętaki. Albo jak nic łzy z was wycisnę. Lubię patrzeć, jak ktoś płacze.

Serż natychmiast przestał się śmiać i wyrąbał obcemu prosto w oczy:

– Ja mówię do ludzi obdarzonych poczuciem humoru. Na jakich wyżynach latał ten wasz człowiek mucha i jakiego bohaterskiego czynu dokonał, to nam z Żorżem wisi. Takie Muchiny mrą jak muchy, raz-dwa i klient gotów.

– Zawsze gotów! – dorzucił z końskim rżeniem jego partner, ale kiedy kumpel czemuś spojrzał na niego groźnie, zamknął się.

– Czyli nasz Muchin, wasz klient – oznajmił pojednawczo naczelnik lazaretu, pragnąc przypochlebić się umilkłym pielęgniarzom.

– No, nie wiem – odparł leniwie Serż. – Silwuple...

Institutow ostrożnie ciągnął dalej:

– Ja oczywiście lubię młode żarty, zadzierzystość, śmiech. Sam kiedyś byłem młody i też, że tak powiem, nie bałem się śmierci, urągałem jej prosto w twarz. Ale, jak mówi rosyjska mądrość ludowa, chcesz sunąć po śniegu – naucz się sanki prowadzić. Wystarczy, pośmieliście się i dosyć, czas, przyjaciele, brać się do roboty. Doprowadźcie swojego klienta do porządku. Praca przede wszystkim!

Żorż potrząsnął głową jak ogier i słodko ziewnął, najszerzej jak mógł.

– My nie możemy, jeszcze jesteśmy mali... – powiedział zamiast niego Serż.

Obraził się, wyprostował na całą wysokość i niespodziewanie wyszedł. Institutow się zmieszał, ale nie na długo: popędzana jak bydlątko, weszła do kostnicy sanitariuszka, przygaszona, zgarbiona kobieta w szpitalnym kitlu, który zwisał jej z ramion jak worek (i chyba z worka był uszyty). Pielęgniarz miał wciąż jeszcze obrażoną minę, ale nie wytrzymał i powiedział za jej plecami:

– Proszę kochać i szanować... Po prostu szczurzyca. Cała w bieli. Zręczna. No, co stoisz? Pracuj. Mierzę czas, pobijesz rekord świata.

Kobieta odwróciła się i spojrzała na swojego poganiacza z oddaniem, jakby była gotowa spełnić każde jego życzenie. Serż lękliwie starał się unikać jej wzroku. Zdobył skądś magnetofon, którego obudowa była cała owinięta taśmą izolacyjną, przez co wyglądał jak policzek z fluksją. Dźwięki, które wydobywały się z głośnika, też przypominały zgrzytanie zębów. Nagle urządzenie zawyło jak w ataku bólu, a potem znów dręcząco jęczało, wołało, zgrzytało. Pielęgniarze usiedli na ławce, pochłonięci nową zabawką. Serż zazdrośnie nie wypuszczał magnetofonu z rąk, jakby kołysał go do snu. Obaj coś mamrotali, wymachiwali swobodnie nogami, siedząc na betonowej ławie jak na huśtawce, i niezmordowanie składali rytmiczne pokłony.

Pielęgniarka głodnym, jasnym wzrokiem popatrzyła w ich stronę i wzięła się do pracy, poruszając rękami jak przez sen, z gumowym szlauchem w jednej dłoni, ze ścierką w drugiej.

– Odsuńcie się, bo was wszystkich obryzgam – powiedziała troskliwie, spoglądając z równą prostodusznością także na nieznajomych, zbędnych tu, zdawałoby się, ludzi.

Ale to, że woda się rozpryskiwała, wyraźnie sprawiało jej przyjemność. Tylko tego właśnie pragnęła – zwrócić na siebie uwagę, okazać się potrzebną. Chociaż kogoś, kto na nią patrzył, mimo woli ogarniał wstyd. Nie mogła jeszcze mieć tylu lat, żeby uznać ją za staruchę, ale obrzękłe policzki, wąskie wargi, przerzedzone brwi, zmarszczki – wszystko było starcze. Z wątłym, przymilnym głosikiem włącznie.

Zmywszy niepostrzeżenie połowę sali, wzięła się do drugiej, operując szlauchem i ścierką. Starała się, jak mogła, sama przewróciła martwe ciało na plecy jak manekina, chociaż w jej stronę nikt nie patrzył, i chyba też po to, by się przypodobać, ze współczuciem głośno zagdakała:

– Oj, a to się nie domywa! Ręce czarne jak u Murzyna.

– Ona opaleniznę zmywa! Nigdy opalenizny nie widziała, głupia... A człowiek mucha gdzieś się opalał, na słoneczku się wylegiwał! – zawołał Serż.

– Oj, a twarzyczka jaka piękna, nigdy takiego nie widziałam...

– Zakochał się szczurek? Szczury też potrzebują miłości?! – odkrzyknął zapalczywie Serż, bystro uchwyciwszy jej żałosny wzrok. – A co, z niego jeszcze chłopak na schwał, popatrz, ile złota z niego zmyłaś. Za mąż by za takiego, no nie? Miłość od pierwszego wejrzenia, czy już dawno go przyuważyłaś?

– Gdyby to człowiek mucha wiedział – niezręcznie podchwycił Żorż – że dziewczyny się w nim zakochują!

– Szczurzyca w musze się zakochała. Patrzcie, to miłość, zaraz się złączą w pocałunku... Brawo!

– U nich to platoniczne jak u Czapajewa z Anką! – zarechotał Żorż.

Institutow zaoponował z obrzydzeniem:

– Towarzyszka pielęgniarka pracuje, wkłada duszę w swoją pracę, co to za żarty?

– Wesoło im, że ktoś umarł, a oni żyją, że tej tutaj kogoś żal, a im nikogo nie żal – odgryzł się Pał Pałycz, nie kryjąc wrogości w płonących ślepiach.

Tym razem Serż zignorował obcego i tylko jeszcze głośniej zawyła muzyka, tak że w metalicznym punkowym hałasie rozpłynął się nawet ich własny śmiech.

– Cwele! – ryknął Pał Pałycz.

Sanitariusze raźno zeskoczyli z betonowej ławy i podnieceni muzyką ryczącą z magnetofonu, zgięci i wyszczerzeni jak dwie rozwścieczone małpy, rzucili się do bicia. Na ich drodze wyrósł jednak Institutow, objawiając przy tej okazji swoją wyjątkową siłę rąk: jedną chwycił Serża, drugą Żorża i pchnął ich tak, że zuchy, zniechęcone, znalazły się znowu na ławie.

– No i co by powiedział Immanuel Abramowicz? Nie rozumiem, kochaneczki. Czy wy przytomni jesteście? Za pomocą brutalnej siły fizycznej i wstrętnych impertynencji swoje racje wyjaśniają, proszę wybaczyć, tylko niepoprawni przestępcy – mówił lękliwie naczelnik lazaretu.

Magnetofon darł się, nie cichł. Pielęgniarze, chociaż odrzuceni na dawne miejsce, patrzyli z betonowej ławy wzrokiem gospodarzy. Serż gapił się na swojego wroga, szyderczo parodiując zakochanie, z takim uporem, jakby zaczął jakąś grę. Pał Pałycz wściekle wpił się wzrokiem w roześmiane, po kociemu nieprzeniknione oczy, które wcale się tym nie zmieszały; zdawało się, że to, co dzieje się naprawdę, nawet się w nich nie odbija. Pielęgniarzowi podobała się ta rozgrywka między nimi. Pał Pałycz zaczął czuć w piersi obrzydliwe drżenie, jakby zimna, śliska, tłusta żaba wlazła mu prosto w duszę. Oczy z napięcia wychodziły mu z orbit i mimo woli raz czy dwa mrugnął, nie wytrzymując najprostszej próby. I za każdym razem pielęgniarz poruszał wargami, przesyłając mu w powietrzu udawany pocałunek. Pał Pałycz nie wytrzymał, poddał się, opuścił wzrok. Serż nadal

na niego patrzył, ale z powagą i uważnie, niby go badał, przez co tamten męczył się, jakby jakaś inna wola, w nim się mieszcząca, ale nie jego własna, zmuszała go do podporządkowania się temu obcemu, pogardliwemu spojrzeniu.

Nagle do kostnicy zajrzał całkiem żywy i, zdawało się, obcy człowiek: w miarę wykarmiony, z rudawą, zadbaną fryzurą i jedwabistą brodą, rozkwitłą na pełnej zamiłowania do życia twarzy, i nawet mądre, wszystko rozumiejące oczy – dwie dojrzałe jagódki – obficie rozsiewały słodycz i światło płodów przyrody.

– Siergiej... Gieorgij... Chłopcy, trochę ciszej! – ni to ich zburczał, ni to im nakazał i już zbierał się do wyjścia.

Zapanowała nieoczekiwana cisza, w której słychać było tylko szum wody. Serż i Żorż stali nieruchomo, niemal na baczność.

– Dzień dobry, Immanuelu Abramowiczu! – zdążył zaśpiewać przymilnym głosem jeden z młodych ludzi.

– No, nic strasznego, nic strasznego... Zaczęła się uroczystość pożegnalna, więc tylko przestrzegajcie ciszy. – Po czym zwrócił się do wszystkich obecnych: – Witajcie, towarzysze, żegnamy zmarłego, prosiłbym, żeby nie hałasować...

– Witajcie! – zawołał w odpowiedzi naczelnik lazaretu.

– Bardzo mi miło, witam, witam... – powtórzył natychmiast kierownik i ochoczo przywitał się z każdym z osobna, nawet, zdaje się, z nieboszczykiem, który leżał na stole do omywań w samym środku tego doczesnego zamętu. – Witajcie. Witajcie. Bardzo mi miło. Witajcie... Proszę przyjąć wyrazy współczucia... U nas zaczęło się pożegnanie, niestety, nic nie mogę pomóc, czekajcie na swoją kolej. Siergiej, kochaneczku, pilnuj porządku.

– Towarzyszu kierowniku! – zawołał błagalnie Institutow. – Tylko jedno pytanie!

– Niestety, pożegnanie już się zaczęło, z wyprowadzeniem zwłok trzeba będzie poczekać, w niczym nie mogę wam pomóc...

– Możecie, możecie pomóc! Do was na ewidencję trafił jakiś czas temu nasz szeregowy, ciało jest obecne tu i teraz. Właśnie przejmuję ciało na swoją ewidencję, a rzeczy dotąd nie widzę. Rzeczy powinni byli przecież przywieźć do was, no, że tak powiem, żeby w takim wypadku było w co go ubrać. Rzeczy są na ewidencji tam, gdzie on odbywał służbę. Mundur wyjściowy, krawat, buty – wszystko dla procedury rutynowej. U was zostało zarejestrowane zejście śmiertelne, no to od was powinienem go zabrać jak nowiutkiego. Odsyłam go do Moskwy! O godzinie zero zero minut dwadzieścia pięć. Zwłoka, przepraszam za kalambur, znaczyłaby tyle co śmierć!

– Rozumiem, kolego, rozumiem... Siergiej, no wydajcie, proszę, eee... porządne ubranie, jeśli się nie mylę, pomóżcie naszym gościom.

– Zachwycające słowa! Immanuelu Abramowiczu, jesteście moim wybawcą. Przecież jeszcze kazali gdzieś na koniec świata po trumnę jechać, trumna jest gdzie indziej na ewidencji. A pociąg też przecież czekać nie będzie, jedna minuta spóźnienia i fiu-fiu!, do stolicy puste miejsce przyjedzie. Ach, jaka to u nas wszędzie bezduszność, jaka biurokracja! No, czy to racjonalne jest – każda rzecz w innym miejscu, a ja sam! Proszę sobie wyobrazić: jestem człowiekiem z wykształceniem powyżej średniego, dysponującym wiedzą medyczną, a zajmuję się diabli wiedzą czym, zamiast leczyć chorych, ratować ludzkie życie, czynić dobro! Proszę sobie wyobrazić, z czym ja codziennie mam do czynienia... W lazarecie, w lazarecie, gdzie powinno być chociaż jako tako sterylnie, paskudzą na każdym centymetrze powierzchni. Kradną wszystko, co można zeżreć. Psują wszystko, czego dotkną. A to przecież tylko najzwyklejsze myszy! I jeszcze po ostatnich wydarzeniach w kraju po prostu nie wiem, po co żyć, czego oczekiwać od przyszłości... Mnie się wydaje, że wszystko leci w przepaść.

Przepoczciwy człowiek natychmiast skierował w stronę Institutowa swoje łagodne, współczujące spojrzenie.

– No co wy, kolego, trzeba dbać o siebie... Wyglądacie jak z krzyża zdjęci. Pracownik służby medycznej to nie zawód, to stan ciała i duszy.

Mogę jednak powiedzieć na podstawie własnego doświadczenia, że z melancholii na tej planecie leczy tylko obcowanie z pięknem. – I wychodząc, przemówił niemal szeptem, jak do dzieci: – Do widzenia, towarzysze, proszę zachowywać się spokojnie.

Zniknął w obłoczku osobistego duchowego ciepła. Na chwilę w piwnicy zapanowała pierwotna głucha cisza.

– Ej, ty, nie słyszałaś, co powiedziano? Biegiem po rzeczy, głupia. Sznel, sznel... – zasyczał Serż do nic nierozumiejącej pielęgniarki, która przy wtórze rozmów, wykradając czas, wciąż starała się, na jego przecież życzenie, ustanowić rekord.

– G-g-gdzie manele, sz-sz-szczurzyco? – zakrztusił się nagle Żorż, aż żyły po byczemu nabrzmiały mu na szyi.

Kobieta pochyliła się lękliwie, rzuciła na podłogę szlauch, który wciąż jeszcze trzymał ją jak na uwięzi, zapomniała, że w drugiej ręce ma namydloną ścierkę, i poganiana ich słowami szmyrgnęła z kostnicy. Kiedy znikła, dryblasy znów się uspokoiły i jakby nigdy nic zaczęły zabawiać się paplaniną. Zdawało się, że do tej pory ci dwaj siedzieli tu wyłącznie dla rozrywki.

Przez ściany sączyła się żałobna muzyka. Gęste, głuchawe dźwięki błąkały się niby cienie. Pielęgniarka wróciła jakoś niepostrzeżenie, sama podobna do zabłąkanego cienia. Razem z nią przybyły do kostnicy jakieś rzeczy zapakowane w dwie mizerne powłoczki.

Institutow chwycił grubszy węzełek, wytrząsnął jego zawartość na gołą betonową ławę i zamarł: z powłoczki wyleciały na zewnątrz wypłowiała prawie do białości żołnierska bluza i wysłużone, tak samo wyszarzałe, do niczego nienadające się spodnie. Całość była już w pralce, wytrzymała pranie, ale na bluzie wciąż leżała rozlana na całą pierś bladobura plama. Z drugiej powłoczki Institutow wyciągnął potężne żołnierskie buciory, w które wżarte były iskry krwi, podobne do plamek po nadpaleniu.

Naczelnik lazaretu odrzucił zapaćkane krwią buciory, chwycił bluzę i ściskając ją w rękach jak własną zgubioną duszę, zaskamlał:

– Jak mam to rozumieć, towarzysze?! Miał być mundur wyjściowy... na ich ewidencji.

– Jak rozumieć? Ano pech, za pozwoleniem... – uśmiechnął się Serż.

– Wszystko przepadło... No do czego doszli, raz napaskudzą, a potem napaskudzą jeszcze raz! – Naczelnik jęczał i jęczał jak okradziony. – Mordercy... Przygłupy... Coś takiego do Moskwy!

Ale rozległ się przymilny, współczujący głos:

– No, pomyłeczka zaszła, a kto się nie myli? Każdy się myli. Tuż przy was, o dwa kroki, widzę, że stoi i milczy przepiękny obibok. Bierzcie, wszystko ma na sobie, korzystajcie, pełny komplet wyjściowy, a my z Żorżem osobiście nic nikomu nie powiemy... My z Żorżem barbarzyńcy nie jesteśmy... he-he... – Patrzył wprost na Chołmogorowa i już bezlitośnie, śmiejąc się w oczy, powtórzył: – No, czego się gapisz, łapczywy chłopaczku? Strój sportowy... Człowiek człowiekowi przyjacielem. Wykonać.

Naczelnik lazaretu ze zdumieniem odwrócił się do Aloszy i z miejsca rąbnął przed nim na kolana. Zalamentował:

– Chołmogorow, kochany, ratuj sytuację! Oddaj, oddaj! Dostaniesz jeszcze lepsze! Zaraz jutro pojedziemy do tamtego batalionu i wybierzesz sobie najlepszy, najlepszy!

Wczepił się kurczowo w poły szynela, jakby chciał urwać dla siebie choć skrawek, i kołysał Aloszką jak słupem z boku na bok.

– Rozdziewaj się i hartuj się... – podśpiewywali gdzieś za plecami naczelnika weseli pielęgniarze.

– No, co ci szkodzi?! – wydzierał się Institutow, słysząc zza pleców, jakby skądś z wysoka, tylko szydercze, chciwe głosy. – Dzisiaj oddasz, jutro nowy dostaniesz, jeszcze lepszy. No, ja przecież nie mogę z siebie zdjąć, choć nawet jestem gotów, ale z tobą, Chołmogorow, sprawa będzie czysta! No gdzie ja teraz pełny mundur żołnierski dostanę? Gdzie, gdzie?! A buty sam osobiście wymyję... No tylko pomyśl, czy można żołnierza w moich rzeczach chować? Czy tobie towarzysza nie żal? Pomyśl, w czym

zobaczą swojego syna ojciec i matka. No postaw się na ich miejscu, wyobraź sobie, że to twoi, mama z tatą, zobaczą syna w takich łachach, w takich łachach!

Chołmogorow ocknął się i ku radości naczelnika zaczął po jednej oddawać swoje rzeczy. Institutow chwytał je gorączkowo i wciskał pielęgniarce, żeby od razu ubierała tamtego. Ledwie Alosza został bez koszuli, ona już zapinała guziki na tym drugim, śpieszyła się, naciągała mu przez głowę krawat i wkrótce wszystko zostało zakryte zielenią munduru. Chołmogorow zdjął z siebie kurtkę, koszulę, spodnie, skarpetki, buty, został bosy i w bieliźnie. Pał Pałycz odwrócił się, żeby tego nie widzieć. Naczelnik lazaretu nie mógł się zdobyć, by oznajmić rozebranemu, zziębniętemu chłopakowi, że tak zostać też nie może.

– A ty się, młody człowieku, nie brzydź, wszystko to czyściusieńkie, dawno wyprane... – nagle odezwała się przytomnie sanitariuszka. – Buty ci błyszczące przyniosę, jeszcze ładniejsze od twoich! Ja mam, przechowywałam jak raz dla ciebie. I onuczki zrobimy. Można z ręczników starych, frotowych, jak chcesz, żeby cieplejsze były, a można i miększe, z prześcieradełka wykroić. – I pobiegła, ani chybi po te błyszczące buty.

Chołmogorow wzruszył się jej swojskim, ciepłym głosem i zaczął posłusznie wciągać na siebie pośmiertne żołnierskie szaty.

– No, a teraz wbijemy się w szynel i wszystko będzie po prostu wspaniale, wspaniale! – dodawał sobie otuchy Institutow. – To się nazywa ugotować zupę z gwoździa. No, a nie mówiłem? A proszę, już i buciki nasze przybyły...

Do kostnicy wpadła zadyszana, szczęśliwa siostra, przyciskając do piersi rzeczywiście wyglansowaną, jakby pokrytą lakiem, parę dziwacznych butów.

– Oj, biegłam po prostu jak oparzona! O, proszę, korzystaj, młody, nie wahaj się. Buty nowiutkie, patrz, jakie błyszczące, oficer grał w nich w orkiestrze na trąbce!

– I w kalendarz w nich kopnął... – rzucił z boku Serż.

Na bladej, niełądnej twarzy kobiety po raz pierwszy pojawił się rumieniec.

– Nie wierzcie mu! On stale łże! – rzuciła się nagle do ataku, przyciskając buty do piersi tak mocno, jakby za nic nie chciała ich oddać. – Tamten oficer wyleczył się i wyjechał. A butów zapomniał. Dużo ich miał. A te wkładał, kiedy grał w orkiestrze.

Wszystko stało się nowe i niepewne. W kostnicy czekano na kres ciągnącego się w nieskończoność cudzego pożegnania, którego dźwięki błąkały się wokół jak cienie, to cichnące i pokorne, to znów dumne i wznoszące się w górę jak fale. Cisza, w której byli pogrążeni, mimo woli stawała się żałobna, tak że pielęgniarze nie wysiedzieli na ławie i odgrywając tę żałobę, stanęli na warcie przy wystrojonym w wyjściowy mundur Muchinie i zaczęli błaznować.

– Żegnajcie, towarzyszu generale... Towarzyszu generale, nigdy was nie zapomnimy...

Naczelnikowi lazaretu znów zrobiło się nieswojo od tych wygłupów, więc spróbował im przerwać.

– Myślę, że Immanuel Abramowicz nie byłby tym zachwycony. W końcu, młodzi ludzie, nie jesteście w cyrku.

Pielęgniarze tylko się zdziwili, ale wrócili, znudzeni, wysiadywać betonową ławę.

– A czy my komuś przeszkadzamy? Przecież nikt niczego nie widzi... – spytał tylko ze zdumioną miną Serż, ale naczelnik lazaretu uznał, że pielęgniarz znów się z niego natrząsa, i w odpowiedzi milczał z obrażoną miną.

Dryblasy natychmiast o wszystkim zapomniały, zaczęły się poszturchiwać, siłować, spychać wzajemnie z ławy. Wreszcie dźwięki żałobnej muzyki ucichły. Institutow już niecierpliwie odliczał minuty. Potem od podwórza dał się słyszeć szum odjeżdżającego orszaku.

Serż i Żorż na pożegnanie wrogo znieruchomieli, całą swoją postawą wyrzucając z sali nieproszonych, zanudzających ich gości. Pał Pałycz

przejętym ni stąd, ni zowąd głosem zawołał Chołmogorowa. Nawet Institutow gorączkowo próbował pomóc ułożyć przebierańca na noszach, byle tylko ulotnić się z tego miejsca.

– Co za barbarzyństwo, jakie to wszystko nieludzkie... – przerwał nagle, patrząc na czarny, pokryty zakrzepłą krwią otwór w martwym czole. – Stać! – krzyknął i zaczął pośpiesznie grzebać w kieszeniach swojego płaszcza. Wreszcie z ulgą wyciągnął zwykły plaster, odkleił biały pasek i z nieudawanym cierpieniem zalepił burą dziurkę w czole nieboszczyka.

– No, po wszystkim. Sumienie mam czyste. Zrobiłem co w mojej mocy.

Kiedy już pochwycili nosze, do Pała Pałycza podbiegła pielęgniarka, w rozdziawioną kieszeń jego kurtki wsunęła okrągłe, jędrne, ciężkie jabłko, które ściskała w ręku jak brukowiec, i natychmiast uciekła. Jej wprzęgnięty w nosze wybraniec nawet w zamieszaniu nie poczuł, co się zdarzyło. Baba płakała bezdźwięcznie już z dala od niego. Kręciła na boki głową, zaglądała we wszystkie twarze i wydawało się, że wszyscy jej się podobają. Ale dwaj sanitariusze nie dali jej wyjść za próg, szturchańcami usunęli ją na bok i sami, nic nie mówiąc, znikli za tymi drzwiami, zamknąwszy się od wewnątrz jak zwierzątka.

– Chłopaczki-pętaczki... Zabawiaczki, rozśmieszaczki, szczęściaczki, niech ich szlag... – klął Pałycz, nie oglądając się za siebie.

W trumnach będący

– Dla człowieka jedyna dana przez Boga obrona i schronienie to matczyny brzuch. A kiedy już z matczynego brzucha na świat dla nas przygotowany się wykaraskamy, to wszyscy staramy się znów do norki szmyrgnąć. Na świecie jest wszystko, czego do życia potrzeba, tylko tego kochanego maminego brzuszka nie ma. No i człowiek tam w brzuszku jest spowity, a na świecie czy spowity? Bądź tu mądry... Urodzenie, miły człowieku, wszystko nam oswobadza, od rączek poczynając! Bóg stworzył nas nieswobodnymi, a my wszyscy przez grzech pierworodny robimy się niespowici. Jakby od grzechu się ratując, każdy zaczyna samodzielnie swój domek budować, swoją norkę, swoją własną nieswobodę, tylko sensu w tym nie ma... Tu już naprawdę wszystko to dzieło rąk człowieczych, tych właśnie rąk... Ech, grzesznych, przeklętych rąk! Nasze domy to, niestety, żadna osłona. To jakby słoneczniki, w których co ziarenko, to zło. Czego do zawiści zazdrościmy? Cudzego domu. Gdzie jeden z drugim się gryziemy? W swoich domach, gdzie nos w nos siedzimy. Ziemia jest ogromna, a ludziom wciąż miejsca za mało, wciąż się duszą o każdy kęs. W domach, słyszałem, ikonki wieszają, a to wszystko, znaczy się, żeby potem na Boga zwalić, chociaż w swoich czterech ścianach sami gospodarzą. Bóg, myślisz, pokarze? Wcale. To stworzyciel, prawda, ale jak wyrób może być wobec swojego stworzyciela winny? Ot, choćby ta tutaj sztuka, jak może być wobec mnie winna i jaka kara z mojej ręki ją dosięgnie? Rozzłości mnie, a ja nawet spalić jej nie mogę, bo nie dla siebie robiłem, tylko dla mogiły, nie należy ten wyrób do mnie, odkąd ostatni gwoździk w niego wbiłem. Tak samo z Bogiem, my po Adamie i Ewie już do niego nie należymy. Po naszym wyswobodzeniu i po grzechu naszym! Miał on synka, dla siebie go stworzył, on tylko do niego należał. Cierpiał, biedny, na krzyżu, ech, ech,

jak cierpiał, kiedy stworzyciel w niego ostatnie gwoździki wbijał, aby wydoskonalić ludzki byt. Ale czy w nas wbijał? Nie, człowieku miły, nie dosięgnie stworzyciel rękami tego, co nie dla siebie stworzył. A ile byś duszy włożył w swój wyrób, i tak wiesz, gdzie skończy. I ile byś duszy włożył, nie będzie on wieczny, jeśli nie jest wieczne to, w co ją włożyłeś. Bóg, wierzę, sam z wiecznego materiału jest zrobiony, nie z takiej ot, deski. Ale jeśli sam siebie stworzyłeś, wtedy możesz już i tysiąc, i milion do siebie podobnych wiecznych stworzyć. A Bóg, ze wszystkiego sądząc, do siebie podobnego stworzyć jakoś nie może, bo tą tajemnicą nie włada i stworzony został nie sam dla siebie, tylko dla nas, ludzi. Ludzie zaś też nie sami dla siebie są stworzeni, tylko dla dzieci swoich. No a do czego to wszystko potrzebne, to już, wybacz, miły człowieku, nie mojego rozumu sprawy. Swoje ja odrobię. Zmajstruję sobie własną trumnę na wieczny odpoczynek, w to właśnie włożę całą duszę śmiertelną, ech, włożę! Lakierkiem powlekę, miękcej wszystko wyłożę od wewnątrz jak śniegiem i śpij, Pankratiju Afanasjewiczu, śpij, kochany. Dzieci mieć mi Pan Bóg nie dał, tak o moim losie postanowił, że nie mam, człowieku miły, dzieci. Dlatego mam w sobie wolnej duszy wiele, trumnę swoją przyozdobię, tak jakbym w ten raj ze szczęścia się wzniósł... I polecę, polecę... Tylko poczuję, że śmierć moja bliska, wezmę się do roboty. Nie trumnę, słowo daję, ale skrzydła stworzę! A kto pozazdrości? Nikt! A co zaniepokoi? Nic. Wieczko jak drzwiczki za mną zatrzasną. Zostawią samego w spokoju i do ziemi kochanej, i do mogiłki rodzonej jak do mateczki, do jej brzuszka... Coś tam z człowiekiem będzie po śmierci, ale nie piekło i nie raj, a Pan nasz nie tchnie nowej duszy zamiast tej, co ciepło swoje oddała. Może my do innego stworzyciela odchodzimy w godzinie śmierci, co, człowieku miły? Do tego, co nie z ciała struga jak cieśla, tylko z prochu tworzy. Ten, co w proch coś tchnie, to już inny nasz stworzyciel, jeśli jest inny... To nie cieśla, tylko zielarz, tak rozumiem, przecież na mogiłkach tylko trawa, ziele porasta. A ziele po co? Ziele do wszystkiego – to i lekarstwo, i pokarm, i schronienie, i po prostu żywe życie... No i on, zielarz, może postanawia, jakim kto ma zielem być, a kim robactwo przeklęte nakarmić...

Majster, olbrzymiej postaci brodaty, imponujący dziad z wielkim, okrągłym czołem, które pochłonęło nawet włosy aż do samej potylicy, przez co na ich miejscu powstało jakby jeszcze jedno czoło, gadał bez ustanku, miłośnie obejmując mocne, pleczyste trumny, przewyższające go o głowę.

Trumny stały szeregami, ustawione na sztorc, przytuliły się do ścian i milczały.

Pośrodku drewnianego baraku, w którym buty deptały glinianą polepę i gdzie nie było okien, zastygła niczym statek na pochylni niedokończona ostatnia praca majstra, także trumna. To ją właśnie nazywał „wyrobem”. Wyglądała o wiele uroczyściej od gotowych i robiła wrażenie ważniejszej od wszystkich pozostałych, stojących na sztorc jak zwykłe skrzynie. Brama szopy, z widokiem na pochmurne szare niebo w postrzępionych obłokach, była otwarta szeroko, na oścież, a jedno jej całkiem już na bok walące się skrzydło trzymało się podparte drągiem jak beznogi inwalidzką kulą.

Zaraz obok, przy samym progu, leżały zwalone na kupę deski, które były kiedyś płotami, drewnianymi nawierzchniami czy zwykłymi opakowaniami. Ani jednej czystej, wszystkie oblepione brudem, zaschłą gliną, odrapane. Brudne jak świnie i jak świński ryj obrosłe szczeciną wielkich, z dala nawet widocznych drzazg. Było jednak jasne, że kiedy majster wyciągał deskę ze stosu, kładł ją na warsztacie, przejeżdżał po niej miłośnie najzwyklejszym heblem – każda oczyszczała się z grzechów, nabierając łagodnej, niemal cielesnej barwy, aż stawała się gładka jak ludzka dłoń i dostępna oczom we wszystkich swoich niepowtarzalnych naturalnych liniach. W pracowni dlatego właśnie nie pachniało zgnilizną ani rozkładem. Pachniało ożywczo drzewną żywicą, zapachem królestwa niebieskiego sosen i jodeł, który wydawały świeżo wyheblowane deski zbite w trumny.

Majster szukał odpowiedniego wyrobu. Wedle miary i zapewne – rangi. Zdejmować miarę chodził osobiście, chociaż Institutow, pragnąc wszystko zacząć jak najszybciej, sam wyjaśnił swojemu podwładnemu, obozowemu

majstrowi, jakiej randze trumna ma odpowiadać, i podyktował mu dokładny, medycznie ustalony wzrost nieboszczyka.

– Mogło i napuchnąć... Mogło i podeschnąć... Zależy, jaki był człowiek, dobry czy zły.

To rzekłszy, majster, nie słuchając naczelnika, ruszył szeroko i dumnie jak na szczudłach w kierunku wojskowego samochodu sanitarnego, który wjechał do zony, bezbronny i wyczerpany długą drogą, całkiem inaczej, niż wjeżdżały tu takie same obce ciężarówki wyładowane pilnowanymi żywymi zwierzętami lub ludźmi. Ambulans nie czekał na pozwolenie na wjazd, wpłynął za drut kolczasty lżej nawet od samej śmierci, wpuszczony bez najmniejszej choćby kontroli, niczym nie zaniepokoiwszy tutejszego wyblakłego świata.

Trumniarz zajrzał do skrzyni sanitarki, około minuty w samotności wpatrywał się w nieboszczyka i przeszedłszy jakieś dziesięć kroków z powrotem do szopy, bąknął z powagą, z sobie tylko zrozumiałym wyrzutem:

– Wysechł...

Institutow stał z opuszczonymi rękoma i patrzył w ślad za tym niezwykłym więźniem, ze zdumieniem zdając sobie sprawę, że jest teraz uzależniony nie tylko od jego pracy, ale i od jego zdania.

– Serdeńko, ile wam będzie trzeba czasu, żeby dopełnić tej procedury? Godzina na wszystko razem starczy?

– Chrystus z wami, obywatelu naczelniku. Robota idzie raźno, kiedy w duszy grzechów nie ma. Będzie tak, jak Pan Bóg się zmiłuje, może godzina, a może i całe pięć za nasze grzechy.

– Widzicie, ja nie mam czasu czekać na łaskawość waszego Boga. Ja z waszymi osobistymi grzechami nie mam nic wspólnego, religię wymyślono dla niewolników, a ten cały Jezus Chrystus mógłby najpierw nauczyć się pisać i czytać, skoro postanowił uczyć moralności całą ludzkość.

– No tak, zbicie, wyścielanie, cynkowanie... Jak w Boga nie wierzycie, to dorzućcie paczkę herbaty, a ja już zrobię w najlepszej postaci, jak na zamówienie.

– No jak to, o waszym wynagrodzeniu porozmawiamy, kiedy wynik będzie widać.

– To oczywista, ale jeszcze jedną paczkę byście, obywatelu naczelniku, dodali. I cukierka do herbatki. Wtedy już na mur zgrzeszę dla was trumienką przez godzinę. W sklepiku wszystko jest, wszystko kupicie. Bo my to już, wybaczcie, ostatni ludzie. Nam i umierać łatwo będzie – niczego nie mamy. I dajcie jednak zadateczek dla natchnienia, inaczej pomysły zadręczą.

Institutow posłał Pała Pałycza do sklepiku. Doczekał się jego powrotu, chciał tylko pokazać dwie paczki herbaty i ciasto, żeby jak przynętą skłonić majstra do roboty, ale ten bez zadatku pośpieszyć się nie chciał i naczelnik skapitulował, nie miał siły przez cały dzień przymuszać każdego, by wykonywał wszystko tak, jak on chciał.

– A my co, powietrzem mamy się pożywiać? – warknął Pał Pałycz.

– Ależ nie, w żadnym wypadku – przestraszył się Institutow. – Ja wszystkich nakarmię... Pójdę do stołówki i od razu się co do was umówię!

Pał Pałycz był zadowolony.

– Zmył się. Żeby choć kawałek chleba przyniósł... Czekaj, sam będzie głodny, to przyniesie.

Przyjrzał się z uśmiechem Aloszce, który wyglądał na marudera – wytarty rudy szynel, niepodszyty kołnierzyk bluzy nieboszczyka, lakierowane buciki muzyka z orkiestry, z czubkami ostrymi jak w damskich pantofelkach – i już śpiewnie ze smutkiem powiedział:

– Nie gryź się, piechoto niebieska. Myślałby kto, śmiertelne ubranie założył, za to sam żyjesz!

Alosza dreptał przy wejściu do szopy, dopóki nie zawołał go do ciepła i nie zagadał do niego majster. Okazało się, że w głębi szopy siedzi samotnie na stołeczku jeszcze jeden staruszek, w okularach i bez brody, ale

poza tym – pomarszczona kopia tego, który tymczasem samotnie przerzucał swoje trumny. Miał takiego samego kształtu łysinę i też był ubrany w łagrowy buszłat z numerem na piersi, ale i bez tego z samej twarzy można było wyczytać, że to właśnie więzień: zachowywał ciężkie i zdecydowane milczenie, jak bywa, kiedy człowiek na wszystko się godzi albo też wszystkiego odmawia i nie godzi się na nic. Wargi miał całkiem zamknięte, nawet zaciśnięte, jakby chciał splunąć. Plastikowe okulary były grube jak szyby akwarium, a i twarz tego złego starucha przypominała jakieś mizerne żyjątko: dwie bezbarwne rybki oczu, podobne do ślimaka ponure wargi, wygolone wodniste policzki. Sieroca sucha figurka pochyliła się pytająco, aż duża łysa głowa opadła na cherlawą pierś. Siedział, po uczniowsku podkuliwszy nogi pod taboret, a wydłużone, suche kiście rąk złożył na kolanach. Kiedy jednak brodacz wybrał w końcu odpowiednią pod każdym względem trumnę, objął ją jak dziecko i przeniósł na warsztat, więźniowie pokłócili się o Boga, którego uparcie wspominał mistrz trumniarski.

– Domki nasze, norki nasze strachu pełne. Ech, mateczki, mateczki nasze, po coście nas rodziły, wybacz, Panie, skoro my wciąż szukamy, gdzie się skryć, tylko patrzymy, jak w norkę naszą z powrotem szmyrgnąć... A jakie jest twoje zdanie, Amadieju Domianowiczu?

– Hańba!

– Twoja wola, drogi Amadieju, ja czoło chylę przed wielkim twoim rozumem, szlachetnością duszy i przeczystym sumieniem, ale u ciebie, kochaneńki, to wszystko z dumy. Żyjesz, siedzisz tu u mnie na stołeczku w kąciku i plujesz na wszystkie strony, gdzie tylko popatrzysz. Nie wiem, czemu się smucisz. Dusz wiele pogubiliśmy, to choć swoje uratujmy.

Łzawe oczka wątłego staruszka zabłysły przenikliwie, a usta zacisnęły się jeszcze mocniej i z większą pogardą niż przedtem. Tymczasem trumniarz odwrócił się, popatrzył prosto przed siebie i wlepił wzrok w Chołmogorowa. Znaleźli się tak blisko siebie, jakby się mierzyli, który wyższy: i potężny starzec sięgał Aloszy tylko do ramienia. Okazało się, że czoło ma przecięte dokładnie w poprzek blizną, jakby go ktoś ciął

ogromnym dłutem. Kiedy Alosza zdał sobie sprawę z jego niepokaźnego wzrostu i zobaczył z tak bliska tę niemowlęco wzruszającą bliznę, serce ścisnęła mu niespodziewana litość. Majster zaś podniósł ze zdziwieniem oczy i od razu zdumiał się, uradował, cały się ku niemu otworzył.

– Och, jaki chwat, no, jaki wielki! Jakeś taki wielki, to jazda, pomagaj. No bo zastrajkował mój pomocnik, ale ty, synku, nie myśl sobie, takich rozumów jak jego jest na naszej planecie jeszcze jeden, no, może dwa. Przywlekli tu do mnie z baraku chudziutkie ciałko, dla niego po trumienkę przyszli. Medycyna przecież o tej śmierci zaświadczyła. Ja go zacząłem układać, a tu on ożył! Popatrzył, no tak, jak święty, potępiająco, zmarszczył usteczka... i plunął mi prosto w oczy. Nie wiem, jaka siła mnie natchnęła, ale taki wyszedł przypadek, cud na cudzie – ochrona się zmęczyła i poszła sobie. No to ja szybciusieńko cegiełek do trumienki nakładłem, wieko przybiłem, a Amadieja Domianowicza u siebie też tu w trumience ukrywałem – pielęgnowałem go, wybłagiwałem z tamtego świata, aż wypielęgnowałem. Cały czas on ze mną nie rozmawiał, tylko tak o, patrzył, i wzrokiem groził. Całą duszę ze mnie wymotał, wszystkie swoje nikczemności mu wyznałem. Potem, co prawda, odzyskał dar mowy. A jaki wybredny, łyżką jadł i tylko ciepłe, śledzika nawet cieplutkiego mu podawałem – taki organizm! Tłumaczyłem mu, kiedy go wybłagałem: uważaj, że przez śmierć swoją wieczne życie otrzymałeś, leż sobie u mnie w trumience, oddychaj i raduj się! A on nic, dumny... Siedział o tam, w kąciku, na stołeczku i protestował, tak że przyuważyli nas dyżurni i dodali wyroku do samej śmierci. Ocenili, że to wszystko było niby nie ucieczką, ale przygotowaniem do ucieczki. A ja zadowolony jestem, z Amadiejem Domianowiczem najlepiej, jak mogłem, trafiłem. Bez jego zdania kim ja bym był na świecie? No, jak bez dachu chałupa! A że ja jego najbliższą połówką jestem, to już prawda. Beze mnie, tak jak jest, dawno już by gnił w ziemi, a ze mną prosto z martwych powstał!

Aloszy z jakichś powodów wydawało się, że kiedyś już to wszystko się w jego życiu zdarzyło, i ten dobry starzec z wielkim czołem, i dokładnie taka sama opowieść o człowieku, który był martwy, a potem nagle ożył.

Mistrz trumniarski wezwał chłopaka na pomoc.

– Potrzymaj no, synku, naszą łódeczkę, a ja młoteczkiem przejadę, materiał przybiję. Trzymaj mocniej i okręcaj tak, jak powiem.

Wieka tych wyrobów, które stały wzdłuż ścian, były zdjęte jak palta czy marynarki i narzucone lewą stroną na swoje trumienne ramiączko. Chołmogorow zaczął rozumieć, że pomaga majstrowi, i znów się uradował.

– A ja, dziadku, jutro wsiądę do pociągu i pojadę do domu, nawojowałem się...

– A ty na jakiej wojnie byłeś, synku?

– Na takiej, że strzelali do mnie z automatów, ze snajperskiego karabinu, z granatnika!

– No cóż, Bóg z tobą, wojuj sobie dalej. No, przewrócimy na bok! Uff... Taki to materiał przysłali. Nie naciągasz, tylko cerujesz.

Na oczach Aloszy rzecz wyheblowana i zbita z byle jakich desek cała pokryła się purpurą. Dno majster wyłożył miękko trocinami, biorąc je prosto spod warsztatu. Rozdarł na dwoje białe płótno, zapewne spisane z ewidencji prześcieradło, trochę się pokrzątał, postukał młotkiem i Chołmogorow zobaczył na dnie trumny coś podobnego do pierzyny z podwyższeniem pod głowę. Ale kiedy tylko wbity został ostatni gwóźdź i wygładzone ostatnie fałdki, wyrób sam zmartwiał i wszystko dobre, co zostało zrobione ludzkimi rękoma, zmieniło wygląd. Wyściółka z trocin na dnie przeistoczyła się w coś kamiennego. Piękne, równe obszycie zaczęło męczyć wzrok.

Majster wyszedł i po kilku minutach wwiózł na wózku podłużną skrzynię z jakiegoś matowego metalu, przypominającą wielkie koryto. Do tej skrzyni włożyli jak do jamy pustą jeszcze trumnę.

– Amadieju drogi, rozpal ogienek, wydobądź węgielków, a my tymczasem nowiutkiego ułożymy. No i co robić, milczy, bojkotuje! Dobrze, sam rozpalę, a ty, serdeczny, musisz kogoś ze straży wezwać. Powiedz: Pankratij Afanasjewicz wzywa, niech przyjdą, przeszukają, co do wyrobu wkładamy. Ech, sam bym w niego dał nurka, wybacz, Panie Boże...

I naczelniczka swojego zawołajcie, gdzie to on, zleceniodawca? Paczka herbaty jeszcze się od niego należy!

Po naczelnika lazaretu wyruszył Pał Pałycz. Ale było mu wszystko jedno, dokąd pójdzie, co zrobi: wsunął ręce głębiej w kieszenie buszłata, jak gdyby zmarzł, i zdawało się, że jak co dzień odchodzi w szarość i mgłę, podobny do marynarzyka przechadzającego się po pokładzie. Obozowa, głodna życia zona, była najeżona żelaznymi szeregami drutów kolczastych, przecinały ją tylko wąskie ścieżki pokryte żwirem nasypanym tak grubo, że buty idących grzęzły w nim z chrzęstem jak wkręty. Nie budziła lęku, a nawet nie drażniła nerwów, które nagle też ogłuchły. Pał Pałycz uwinął się szybko i wracał w uderzająco zmienionym nastroju. Żarłocznie, zaciekle wgryzał się w wielkie, jędrne zielone jabłko. Marszczył się przy tym i kłapał zębami, jabłko było widać tak kwaśne, że nawet szczęki drętwiały. Ale wytrzymywał i żuł, i żuł, zachwycony.

– Rękę do buszłata włożyłem, a tam jabłko! No, jak z nieba w kieszeń wpadło! Ja przecież w ogóle jabłek przez bite trzy lata nie widziałem. Wierzysz? No, na chleb przysięgam! – głośno dudnił pełnymi ustami, a sam jakby ogłuchł. – Masz, masz! Gryź, chudzino... No, na szczęście! No, gryź, niekradzione!

I władczym ruchem podał Aloszy soczysty, świeży ogryzek. Chołmogorow uśmiechnął się, żeby nie obrazić, ale odwrócił się i zamiast ust podstawił policzek, tak że ogryzek zsunął mu się po twarzy i zostawił wilgotny ślad, pienisty i różowy. Pał Pałycz miał krew na ustach. Może ugryzł się w wargę, a może zaczęły mu krwawić dziąsła. Roześmiał się pobłażliwie sam z siebie, kiedy zdał sobie sprawę, że poranił się jabłkiem, i od razu jednym pewnym ruchem wyciągnął z cholewy buta coś w rodzaju noża – rozpłaszczony i naostrzony żelazny pręt długości ołówka.

Za progiem szopy już buchało i dymiło na wiatr ognisko, rozniecone bezpiecznie w metalowym korycie. Pał Pałycz przykucnął nieopodal i grzał się przy ogniu, odkrawając z ogryzka niemal przezroczyste plasterki i z rozkoszą ekspediując je do ust.

W korycie, w którym piekły się zgrabniutkie placki starannie ponadziewane na druty przez wysokoczołego, grzały się także dwie solidne, własnej roboty lutownice – metalowe pręty z przyspawaną do nich na końcu żeliwną główką. Jednym z nich, jeszcze nierozpalonym do czerwoności, mistrz trumniarski poprawiał płonący coraz mocniej ogień, ze znawstwem pociągając zaczerwienionym nosem.

Myślał jednak nie tyle o ognisku, ile o przygotowywanym na nim jednocześnie napoju: osmolona puszka od konserw zwieszała się nad ogniem jak małpa i ogonem wygiętego wieczka trzymała brzegu koryta, a w niej parzył się smolisty czifir. Już zaczynał parować, ogrzewając i radując żywe, rozczulone oczka majstra.

– Nie ma nic gorszego, niż kiedy uznają cię za niezdatnego, kiedy przestajesz się liczyć jako materiał. Cieśli się nadałeś, zielarzowi nadałeś, tyle właśnie trwa twoje życie na ziemi – przemawiał łagodnie do ogniska. – Ja, bywa, deseczkę zbutwiałą wezmę, a zawsze o sobie pomyślę. Nie, myślę, nie bój się, nie porzucę ciebie bez pożytku, choćbyś najbardziej zbutwiała była, to przynajmniej drzazg nastrugam i do parzenia czifiru użyję.

– Smaczny twój dym... – odezwał się Pał Pałycz do majstra, ocierając rękawem buszłata wargi, kwaśne od krwi albo od zjedzonego jabłka, i wyciągając sine, zdrętwiałe ręce do ognia. Smutek w jego głosie brzmiał czysto i jasno jak szkiełko.

– Smaczny, to się częstuj. Strzelimy po łyku dla spokoju, jeszcze zdążymy...

– E, nie, na diecie jestem. Dyscyplina mi zakulała, no to teraz podciągnąłem się, piję tylko kompoty z suszonych owoców. Jak tyś o deskach powiedział? Że niby zbutwiałe też mogą się przydać, jeśli do nich z duszą podejść? No, a gdzie ten pożytek? Kto tu z duszą podchodzi? I to niby ludzie mają jak polana oddać się w ręce, żeby pożytek z nich był? Bzdury. Każdy człowiek, każda dusza to zadra. Swojej krzywdy nie wybaczysz, a jak wybaczysz – nie wybaczą tobie. Ech, drogo, dróżko! Odjechać – nie odjedziesz, za to każdego dnia możesz przepaść nie

wiadomo gdzie. Ja bym przepadł... Tak, żeby wszystko wokół było nowe. Ziemię orzemy? Żelazo kujemy? A ja przecież mogę i to, i to, mnie bez różnicy, czy to w fabryce, czy w kołchozie szofer wszędzie jest potrzebny, a ja szofer ekstraklasy jestem. Kocham drogę. Ha! No i nałgałem, nie mogę tego chcieć... Robota to wilk. Wszędzie jedno i to samo. I lecisz na cztery strony świata. – Po chwili dodał cicho, jakby się skarżył: – Oni wszyscy mnie nie lubią.

– Ale o kim ty mówisz?

– O ludziach, ich jest wielu, a tymczasem człowiek stoi przed nimi samotny jak palec... Ludzie to siła. Ludzie zrobią z tobą, co tylko zechcą.

– Za co ciebie ludzie nie lubią? – zdziwił się trumniarz.

– Bo ja sam ich nie lubię, a udawać nie umiem, przepraszać nie chcę... Oni, ludzie niby, żyć za to nie dadzą – odpowiedział Pał Pałycz. – Ale przecież to ja sam siebie nie lubię, co dzień czuję obrzydzenie do własnego zapachu. I nigdy tego nie polubię. A do tego strach jest wstrętny. Ja przecież zawsze robię to, czego się boję. Z zasady. Żeby być silniejszym od własnego strachu.

Podeszli strażnicy – dwóch żołnierzy bez broni, przysłanych w zastępstwie przez dowódcę warty. Wielki, rosły Azjata, nierozumiejący, że sam dla nikogo nie jest naczelnikiem – chyba tylko dla swojego maleńkiego umorusanego towarzysza, który z szacunkiem trzymał się z dala od niego, żeby zdążyć i usłużyć, i uchylić się od uderzenia w gębę – z ważną miną rozejrzał się wokoło.

– Eee... co ty za jeden? – Natychmiast za cel kary, którą z sobie tylko wiadomych powodów postanowił wymierzyć, obrał Aloszkę. – Paszoł, paszoł... Mne ne rozumesz, eee?

Pał Pałycz zaraz wyszczerzył zęby.

– Co ty, draniu, gały wybałuszasz? Swoich nie poznajesz?!

– No, co się z tobą dzieje?! – zawołał majster. – On popisać się chce, władzy mu przybyło, to jak się nie pochwalić... Ale co to, pan życia się znalazł? Tylko popatrz... On przecież w swoim kiszłaku chyba od dziecka

do syta się nie najadł i tylko jasnym niebem się cieszył! No i chodzi, dumny jak paw... No i niech będzie, Bóg z nim, nic złego nam przecież nie robi! No, przemilczymy, no, posuniemy się, no, miejsca ustąpimy, co w tym złego? Przecież i dziecko przed sobą przepuścisz i nie obrazisz się, jeśli nóżką tupnie. No to użal się nad nim jak nad dzieckiem, skoroś silniejszy. A jeśliś słabszy, to rób choć jak ja, uszanuj, wyższość uznaj!

Pał Pałycz wysłuchał tego z rozważną surowością.

– Alochy przy mnie nikt nie ruszy, tylko on może tu do mnie mówić – oznajmił z wciąż taką samą siłą, jakby zarządzał życiem.

Strażnik Azjata, już przestraszony, zaczął dawać znaki pokory – po bratersku wyciągał przed siebie ręce i mamrotał coś z przejęciem. Majster, przerywając gwałtowny rytm rozmowy i przechodząc do rzeczy, znów wspomniał o zaginionym naczelniku. Zamiast dalej odprawiać czary nad bulgocącą, pachnącą herbacianą żywicą, która zapowiadała mu i ciepło, i odpoczynek, i darmową radość, zaczął niespokojnie, po mrówczemu się ruszać, zmuszając strażników, by zajęli miejsca przy cynkowym żłobie, a Aloszkę i Pała Pałycza wysłał po ciało.

Wełnianą derkę, która przez całą drogę zakrywała mało elegancki ładunek, zdjęto, zwinięto w kłębek i wsunięto w przesiąknięty zapachem benzyny kąt, dalej od ludzkich oczu.

Wyciągnęli nosze i w mgnieniu oka znaleźli się z nimi w szopie, przebiegnąwszy jak na deszczu, lekkim krokiem i drżąc z niecierpliwości, by znaleźć się w ukryciu. Cała ta robota szła im swobodnie i lekko, ładunek nie wyszarpywał rąk i nie przygnębiał swoim widokiem, więc Alosza, trzymając ciało z drugiego końca za nogi, czuł tę nieoczekiwaną płynność, prostotę. Potem wszyscy znieruchomieli, wiedząc, że dla tego martwego ciała nadeszła ostatnia i ważna chwila.

– Jaki to wychudzony, wszystko obwisło – westchnął majster.

Pał Pałycz milczał smutno.

– To tylko ubranie trochę za duże, ale w ogóle to nowe i tylko dwa razy noszone... – powiedział Chołmogorow, który nagle poczuł się winny.

Majster nie rozumiał.

– Cały wysechł. Znaczy dobry był człowiek... Dobrzy schną i chociaż martwi, smród ich się nie ima, słomką pachną. – Zamilkł, na widok łaty z plastra na czole zrozumiawszy, że zakrywa nic innego, tylko ślad śmierci. – Nacierpiał się. Daj, Panie Boże, schronienie jego duszy. No, no... Oto i on, kochany, co to on tak siebie... wiarę i nadzieję naraz stracił.

– A może on nie sam sobie kulę w łeb wpakował, może ktoś mu pomógł, starszy rangą... Choćby i twój Bóg! A może on jednak był przeciw, strzelał w niebo, a trafił w czoło... Czuję smród mimo wszystko, och, jaki smród... Ech, co tam! Nie czuję, wiem dokładnie. Czyli wiem to, czego Bóg nie wie albo udaje, że nie wie. Wiem, i też morda w kubeł. Bo każdemu co jego. Bo każdy za siebie. Bo tak trzeba. Ale ja nie Bóg. A wiesz, kto nim jest? Kto go rąbnął, ten jest Bogiem. Bo to on kropkę w życiu postawił – powiedział Pał Pałycz.

– No a gdzie wasz naczelnik, ten pośpieszny? Zamówił, żeby było za godzinę, a nawet ślad po nim ostygł – zaniepokoił się mistrz trumniarski.

– Na gotowe przybiegnie, ma czuja, dlatego jest naczelnikiem.

– W takim razie z Bogiem?

– A jakże bez niego...? Wyczuwasz ty naczalstwo jak wilk owczą skórę, czemu sam się nie wybiłeś? Boisz się? No, żegnaj, Muchin. W tym życiu przegrałeś, frajerze.

– No i nazwisko, znaczy się, że w jego, niebożątka, rodzie latali po świecie jako muchy albo bzykali bez ustanku. Dla Boga wszyscy latamy po świecie jak muszki, a gdzie kostuszka przytrzaśnie, tam raj.

– Tego rzeczywiście przytrzasnęło, pod rękę się nawinął – burknął z uporem Pał Pałycz. – Teraz do twojej skrzynki go wpakujemy i wszystko będzie szyte-kryte.

Stary wziął wieko trumny i przykrył nim odzianego w wyjściowy mundur nieboszczyka, zamykając go w ciemności.

Kiedy wieko spoczęło na trumnie, Pał Pałycz mimo woli się uśmiechnął: na jej boku, na purpurze obicia, widoczne były jak stempel żółte sierp

i młot.

– Dożyliśmy, stary. Trumna, wiadomo, z desek po płocie, a jaka to świetlana przyszłość poszła na obicie?

– A co, nie wiesz? – szarpnął się majster ze złością. – Cały fabryczny materiał, ile go było, z radości porozkradali, a czerwonych flag przytargali z klubu całe dwie skrzynki. Koloru nie ma, rozpełzają się jak wszy, przecież ile to lat co święto powiewały. No, nie dopatrzyłem, przecież ze szmaty kraję, no i wylazło... Ech, tak się wygłupiłem, tylko siąść i płakać...

– Zabijaj, szybciej – powiedział Pał Pałycz. – Obywatel naczelnik cały czas się trzęsie, nie wie, gdzie się schować, rozkaz wykonać się stara... Cierpi wyrwiząb.

Naczelnik lazaretu pojawił się, kiedy cynkowa skrzynia była już na wpół zespawana. Wpadł do szopy, rozejrzał się z taką miną, jakby szukał zapomnianej czapki. Ręce miał zajęte, w każdej trzymał podejrzanie wyglądającą, napuchłą gotowaną kiełbaskę.

– Możecie jeść, chłopaki – oznajmił drżącym głosem, ale z góry na wszystko gotowe, bardzo poważne oblicze nie zdradzało cienia wątpliwości.

Alosza stał twarzą w twarz ze starcem i podważał drewienkiem brzeg czystego arkusza cynku, z którego co chwila unosił się wymuszony przez lutownicę kłąb dymu. Pał Pałycz też był zajęty przy majstrze: stał gotów przynieść na zmianę po wygaszonej lutownicy drugą, rozgrzaną na węglach. Dlatego słowa o jedzeniu brzydko skwaśniały w powietrzu, tak samo jak gotowane kiełbaski w rękach naczelnika. Tylko dwaj bezczynni strażnicy, pewnie pod koniec dnia też głodni, przenieśli wzrok na kiełbaski, które Institutow trzymał w powietrzu coraz niecierpliwiej i w końcu, nie mogąc ich utrzymać, ostrożnie położył na wolny, czysty róg zamarłego z niedokończoną trumną warsztatu. W szopie słychać było tylko odgłosy pracy. Institutow spacerował wzdłuż gotowych wyrobów, z mądrą miną oglądał ziejące w nich bez wyraźnego sensu wolne miejsca. Oczywiście nie umknął jego wzrokowi siedzący na stołeczku w kącie szopy zbędny cherlawy starzec nabrzmiały milczeniem. Naczelnikowi lazaretu w żaden

sposób nie mogło przyjść do głowy, że siedzi on i milczy bez szczególnego powodu, i dlatego nie omieszkał wielkodusznie zagadnąć:

– A wy, szanowny, czemu nie pracujecie razem z innymi?

Człowiek znany jako Amadiej Domianowicz natychmiast oznajmił ze swojego kąta:

– Paskudztwo.

Institutow zmienił się na twarzy.

– To znaczy jak to tak, pozwólcie, serdeńko, zapytać?

– Hańba – rozległo się niewzruszenie z kąta.

– No, to już, towarzyszu, za wiele, na co wy sobie pozwalacie!

W odpowiedzi nieodwracalnie głośno zabrzmiało:

– Pętak!

Naczelnik zawołał ostro:

– Straż, zatkać gębę temu więźniowi!

Strażnicy oderwali wzrok od warsztatu, na którym spoczywały dwie z pozoru bezpańskie kiełbaski, ale żaden z ponurych Azjatów nie rozumiał wygłaszanych przez cały ten czas słów.

– To taki mój pracownik, my z nim we dwójkę... Ja robię, a on jakości pilnuje. Z kimś przecież zawsze lżej! Idźcie się przewietrzyć, obywatelu naczelniku – ze współczuciem poradził trumniarz.

Institutow nienaturalnie ulegle, jak koń cyrkowy składający ukłon, bodnął kilka razy głową w pustkę i tyłem wylazł na dwór, ale nagle podskoczył, krzyknął, jakby umierał, i palcem wskazał podłogę przed sobą, gdzie poruszyły się wióry. Kryło się pod nimi coś żywego.

– Zatłuc! Zatłuc! No niech to ktoś zatłucze!

Wszyscy zastygli, przykuci tym krzykiem. Ale nigdzie nie dostrzegali niczego strasznego czy choćby nowego. Bledszy od nieboszczyka naczelnik bezsilnie wytrzeszczał oczy i jak ryba bezgłośnie łykał powietrze głodnymi ustami.

– Bo on śmiertelnie boi się myszy – uśmiechnął się Pał Pałycz.

Praca była skończona. Naczelnik skrył się w maszynie i za żadną cenę nie chciał wyjść na zewnątrz, by przyjąć od majstra własne przecież zamówienie. Pał Pałycz podjechał sanitarką pod próg szopy. Sama jego niezadowolona mina wystarczyła, by na pomoc przyszli też pętający się bezczynnie strażnicy.

Zanim wszyscy razem chwycili martwy ładunek, majster milczeniem narzucił ciszę i zwrócił się przymilnie do Pała Pałycza:

– No, powiedz coś na pożegnanie. Dusza prosi, powiedz.

– A co tu gadać, staruszku? Jedziemy.

– Och wy, wieczni pośpieszalscy... Amadieju! Choć ty coś powiedz, uwznioślł tę śmierć swoim wielkim umysłem.

– Hańba! – warknął obrażony o coś starzec.

I wtedy sam trumniarz niegłośno, ze wzruszeniem, powiedział:

– Żegnaj kraju ogromny, człowieku nieszczęsny.

Długie pożegnanie

Przy stacji Karaganda Rozrządowa, za głuchą ścianą składów kolejowych, czekała na swój los pogrzebowa drużyna: starszy wiekiem, prostoduszny chorąży i młody żołnierz, cichy jak trusia. Miejsce spotkania już dawno tonęło w ciemnościach. Za kołnierzem mrowiły się, jak weszki, kąsające strachy. Uczucie niepewności połączyło obcych sobie mężczyzn, starego i młodego, i z daleka, do tego w ciemności, mogło się wydawać, że to zwąchały się dwa bezpańskie psy jakiejś spotworniałej rasy: wzrostu człowieka, bez ogonów, w szarych długopołych skórach, z węzełkami garbów za plecami. Młodszy jeszcze komuś służył. Zastygł w gotowości i czekał w pozycji „baczność”. A może w braku innego pana starał się w ten sposób wygodzić starszemu, w którego wpatrywał się posłusznie jak mały synek, kiedy tamten gorliwie kręcił się na przestrzeni dwóch, trzech kroków, wiercił się na boki i od czasu do czasu zamierał, jak gdyby usłyszał wołanie.

– Iwanie Pietrowiczu, jaka ona jest, ta Moskwa?

– W Moskwie wszystko jest, taka właśnie jest Moskwa. Widziałeś kiedyś banany? No właśnie, gdzie tam! A w Moskwie banany są. Myślałbyś, że na drzewach rosną... Jak tam ludzie żyją, nijak nie rozumiem, przecież wszystko już jest, po prostu nie ma co robić, tylko masz, bierz pensję i po towar.

– A czy my długo będziemy w Moskwie?

– Ile wytrzymamy, limitów mamy, wszystko razem biorąc, nie za wiele. Na pogrzeb to jeden, dwa dni, już strasznie szybko chowają. Jeszcze u krewnych pobędziemy, z jednym z nich się dogadałem. Dobrze, jeśli dadzą jeść, tego nie wiem. Jak z pieniążkami i wiktem dociągniemy, pożyjemy z tydzień. Powietrza w płuca nabierzemy, zabajerujemy, że

z biletami powrotnymi był kłopot. Dadzą nam oczywiście do wiwatu za każdy dodatkowy dzień, bądź gotów!

– A co ja, Iwanie Pietrowiczu, będę robił w Moskwie?

– Twoja sprawa jest prościutka, gdzie ja, tam i ty. I moja sprawa prościutka, niczego takiego robić nie będziemy, oprócz asysty. Ale ty z głową postępuj, śpiesz się powoli, bo potem powiedzą... Zawsze znajdą, co powiedzieć. Będziesz na widoku, to całe twoje życie pod koła trafi. W środeczku, środeczkiem trzeba iść, w środeczku to jak u Pana Jezusa za pazuchą. Durnie robią, co chcą, my będziemy robić, co każą.

Jak jasna, przymglona wyrwa w niebie wyglądała gardziel księżyca, żarłocznie rozdziawiona w kierunku kilku maleńkich gwiazdek, które kołysały się jak przynęta nawleczona na żądła haczyków wędkarskich. Ale nagle wydało się, że w całej nocy jest coś bebechowatego, jakby połkniętego. Tylko przy zabudowaniach z pustymi czarnymi oknami, opuszczonych o tej późnej porze, zostały okrągłe, niezamieszkane wysepki światła, a na każdej z nich niby golutka wysoka palma sterczał słup latarni z jednym jedynym rozpalonym do białości orzechem na samym szczycie. Zasnutą mgłą okolicę co chwila ogłuszały zwierzęce odgłosy, afrykańskie ryki i jęki, jakby wokoło błąkały się wygłodniałe dzikie bestie, które chętnie by kogoś połknęły. Tak przeraźliwie rozlegało się nocne żerowanie stacji towarowej, jej wielotonażowego brzuszyska, trawiącego w sobie wszystko, co wciąż i wciąż z woli kierujących nią ludzi puszczała w ruch nieludzka siła mechanizmów. W pobliżu nie było dworca ani placu dworcowego, wznosiły się tylko więzienne ściany boksów przechowalni, zamknięte bezludne składy, betonowe bryły lokomotywowni przesyconych gorącym potem oleju silnikowego. Zabłąkaną parkę wydobyło z ciemności dalekie światło reflektorów. Chorąży i chłopak wstydliwie zastygli przy ścianie, jakby ich ograbiono i rozebrano, a ich bezgłowe cienie stanęły dęba i jak koty odskoczyły w ciemność. Kiedy z sanitarki niczym kukułka z zegara wyfrunął na zewnątrz jakiś człowiek, rozpoznali w nim naczelnika jednostki medycznej, a on krzyknął do nich niespokojnie:

– Towarzysze, czas nie czeka! Będziemy pokazywać drogę. Idźcie za mną!

I odfrunął. Samochód ruszył po wybojach kamienistej pustki. Dwaj wojacy jak włóczęgi truchtali za nim, póki nie musieli biec ile sił.

Przy wjeździe na betonową pochylnię – niezbyt strome, ale upstrzone wybojami wzniesienie – zmęczona sanitarna landara zaczęła buksować i biegnące za nią posłusznie chłopiny minęły ją sprintem. Cały peron stacji rozrządowej – osłonięty długim metalowym zadaszeniem, spod którego jak spode łba patrzyły niczym ślepia zamki posępnych, jednakowych hangarów mieszczących składy – wydawał się odległy i niemal poza zasięgiem wzroku. Na początku peronu załadowywano więzienny skład złożony z drewnianych wagonów do transportu mąki: w zupełnej ciszy dziesięciu milczących tragarzy wnosiło i wynosiło na swoich barkach kaszlące pyłem worki. Obładowani, wciąż milcząc, rozstąpili się, przepuszczając między sobą obcą procesję, i cierpliwie czekali, patrząc, jak przed posępnym, do trumny podobnym samochodem, wyglądającym na milicyjny, biegnie dwóch zadyszanych żołnierzy, a człowiekowóz więziennej, burozielonej barwy jedzie powoli kilka metrów za nimi.

– Dezerterów łapią... – powzdychali tragarze i ze spokojnym sumieniem wrócili do pracy.

Chorąży biegł przed sanitarką, poganiając żołnierzyka. Procesja minęła następny ładowany przy peronie wagon. Chłopak, a za nim jego starszy towarzysz biegli, nie oglądając się, z obawy, by nie wpaść pod koła, więc kiedy samochód zahamował u celu, tamci błyskawicznie znikli. Chorąży jeszcze długo słyszał za plecami okrzyki „dawaj... dawaj...!” i uciekał od nich, myśląc, że każą im biec do jakiegoś dalszego wagonu, a to naczelnik lazaretu na próżno krzyczał za uciekającą drużyną pogrzebową: „Tutaj! Tutaj!”. Biegnący skryli się w ciemności, skąd do Institutowa wróciło tylko udziwnione echo jego własnych ryków. Przy peronie stał już skład złożony z dwóch wagonów, pocztowego i bagażowego. Wagony jakby drzemały. Przetokowy, który doprowadził przybyłych do miejsca załadunku i przyprawiając ich o zimny pot, zaraził gorączką swojej pracy, odszedł do

kolejnej roboty, ale musiał wrócić, żeby odprawić wagony z peronu załadunkowego, dołączyć je do dalekobieżnego pociągu pasażerskiego, a cały skład skierować na tor odjazdów.

– W końcu to nie do pomyślenia... – zajęczał naczelnik lazaretu, tupiąc bezsilnie w peron, jakby kogoś oklaskiwał. – Biegnijcie za nimi... Zawróćcie ich... Naprzód, naprzód!

Chołmogorow posłuchał i ruszył dalej wzdłuż peronu. Zniknął tak szybko, że Institutow wzdrygnął się z lękiem, czując się otoczony wszechmocną ciemnością.

– Idź i ty. Szybko, za nim! – od razu pchnął w ciemność Pała Pałycza i kiedy czarna masa pochłonęła ostatniego człowieka, któremu mógł jeszcze rozkazywać, został zupełnie sam.

W tej samej chwili, opuszczony przez wszystkich, usłyszał zza pleców:

– Chcę zobaczyć mojego syna.

Odwrócił się przerażony. Ciemność wypluła maleńką posępną postać z teczką i w kapeluszu. Człowieczek wyglądał tak, jak pokazują się niekiedy oficjalnie swoim dzieciom porzuceni przez ich matki mężczyźni.

– O co wam chodzi? Śledzicie nas? Co to, prowokacja? Wezwę milicję! – pisnął naczelnik lazaretu.

– Mój syn Giennadij mówić nie może, ale ma mnie, swojego ojca. Przyjechałem do tego miasta po prawdę. Jestem inżynierem atomowym, budowniczym obnińskiej elektrowni jądrowej. Mam czterdzieści pięć lat stażu pracy. Brałem udział w likwidacji...

– ...awarii czarnobylskiej, cha-cha-cha! – roześmiał się sztucznie Institutow, byle tylko szybciej zatkać usta małemu człowieczkowi. – No, jakżeby inaczej, u nas teraz każdy to albo bezdomny, albo likwidator czegoś tam. Też ucierpieliście w imię ludzkości? Gasiliście pożar reaktora? Widzę, że was solidnie napromieniowano, płaszcz i koszulka cierpią na chorobę popromienną. Tylko jeden kłopot... Jesteście haniebnie pijani. Nie, serdeńko, chorzy jesteście, psychicznie. Proszę mnie nie szantażować i zabierać się stąd, bo do psychiatryka wyślę!

Głos człowieczka w kapeluszu zadrżał, ale on się nie poddał.

– Proszę wezwać pracowników milicji. Domagam się okazania mi ciała mojego syna!

Institutow, choć speszony, uśmiechnął się z wyższością.

– To majaczenia. Czystej wody schizofrenia na gruncie napromieniowania, alkoholu i oczywiście waszego ogromnego ojcowskiego smutku. Byłem gotów pomóc wam jak ojcu. Proponowałem, że zapewnię hotel, zaopatrzę w bezpłatny bilet powrotny. W końcu dzieliłem z wami żałobę, kiedy dwa dni z rzędu przychodziliście do mojego gabinetu i złośliwie przeszkadzaliście mi pełnić obowiązki służbowe, ale coś takiego, coś takiego...! Na miłość boską, powiedzcie, kogo i jak przed wami ukrywano? Natychmiast po zdarzeniu zadepeszowano do was z tą smutną wiadomością. Tu i teraz nie mam prawa wydać na wasze ręce nawet świadectwa zgonu, ale kiedy ten ładunek przybędzie do Moskwy, wszystko otrzymacie od naszych konwojentów, proszę nie wątpić. Ciało przed wami ukrywają? Niby jak ukrywamy, skoro sami je wysyłamy, możliwie najlepiej przygotowane do pogrzebu! Świętych, niepsujących się zwłok nie wozimy, a urządzeń chłodniczych dla każdego trupa nie mamy. Martwe ciało w sensie medycznym stanowi łatwo psujący się produkt. Ma jechać i dojechać do miejsca pochówku i trzeba, chyba wiecie, zachowywać elementarną higienę, a cynkowy element trumny to, chyba wiecie, nie przechodnie podwórko. Jakie jeszcze pretensje? Aha, winnych wam dać... Tak zwyczajnie, bez taniego rozgłosu, nie możecie? Jakiś sensacyjny kryminał wam się marzy... I to z wami w głównej roli...

– Chcę znać prawdę o śmierci mojego syna! – odkrzyknął nachalny ojciec.

– Tylko umówmy się, bez krokodylich łez, takie już mam wyobrażenie o obiektywizmie. Chcecie znać prawdę? Dobrze to przemyśleliście? Bardzo tego chcecie? No więc jeśli tak cierpicie moralnie, to ja naruszę reguły... Serdeńko, wasz syn zabił sam siebie... Jeszcze głębiej chcecie kopać? Nie ma głębiej, jeśli do prawdy chcecie się dokopać. Tak, tak, no, czemu wytrzeszczacie oczy? Oto ona, prawda.

Zapadło milczenie. Institutow pokornie czekał, by przystąpić do pocieszania ostatecznie przygniecionego smutkiem ojca. Ale ten wydostał się spod rumowiska i nie mogąc dłużej znieść bólu, zajęczał:

– Giennadij powinien żyć!

– No cóż, należało mu to powiedzieć, kiedy przestępczym sposobem zawładnął bronią dowódcy warty i nie wiemy jeszcze, co planował, umierać czy zabijać. – Naczelnik lazaretu chciał ukłuć słowami tego nieczułego, szkodliwego człowieka. – Inżynier, do tego atomowy, a rozumuje jak nawiedzony. Wy inaczej rozumujcie, myślcie szerzej, jak człowiek nauki... Fakty wam potrzebne? Pokarm dla umysłu? Wasz syn skonał na własne życzenie. Dzięki temu, że nie nadaliśmy wydarzeniu rozgłosu, macie prawo do pomocy materialnej i współczucia. Waszemu synowi urządza się pogrzeb, wy będziecie dostawali rentę, a obrażacie. No tak, oszuści wpisali, że zginął przy wykonywaniu, a zrobili to nie z litości dla was, oczywiście, tylko żeby nie zaszargać... no właśnie. I o innych faktach dlaczego formalnie nie informujemy? Bo chcemy być w porządku wobec was, a nie kryminały pisać. Jeśli tak bardzo chcecie znaleźć winnych, to nie popełniajcie, obywatelu, błędów, bo doszukacie się tego, że nic wam się od nas nie należy, a wasz syn jest wyrzutkiem społeczeństwa. Lżej wam od tego będzie czy jak?

– Jestem inżynierem atomowym...

– Wiem, wiem... A trumienkę synka rodzonego otwierać to bardzo higieniczne? Duszę wyszarpywać i do zwycięskiego końca patroszyć, patroszyć?! A proszę, otwierajcie! Ustalajcie! Patroszcie! I żyjcie sobie potem z waszą kochaną prawdą, póki za życia nie zgnijecie, męczcie się... Dawać mi tu pisemne zezwolenie stacji sanitarno-epidemiologicznej na tę nikczemną, antyhigieniczną procedurę albo proszę opuścić miejsce pracy. Precz stąd, pijany, wredny durniu! Syna nie hańb, nie brukaj na koniec jego biografii, chociaż co tam... Spłódź może następnego, nowiutkiego, póki nie jest za późno. Kochaj go, pieść, pielęgnuj, Gieną go nazwij, jeszcze jedną elektrownię jądrową zbuduj, a nuż się uda. A tutaj i teraz się nie udało, znaczy się – tak ci było pisane. Nie zrozumiałeś jeszcze? Nie zrozumiałeś?!

Tyś się nie w ten dzień co trzeba urodził, no to czego labidzisz? Jakich winowajców szukasz? Ty sam, sam jesteś wszystkiemu winien, bydlaku pijany. Winien jesteś, że się urodziłeś, że żyłeś... Ty sam, sam utrupiłeś swojego syna tego dnia, kiedy powołałeś go na świat i przyszykowałeś to swoje labidzenie...

– Milicja! – rozległ się w ciemności rozdzierający krzyk. Maleńki człowiek w kapeluszu cofnął się dokądś na ślepo, natknął na ścianę hangaru i po niej jak martwy zsunął się niemal do ziemi.

– Mi-li-cja! – nagle śpiewnie zawołał z kolei naczelnik jednostki medycznej. – A gdzie ta milicja, co ciebie pilnuje? Jej, serdeńko, nie ma.

Maleńka figurka wtuliła się w ścianę i zwisła jakby skręcona w obwarzanek.

– Ojcze Muchina, wstańcie, dosyć reweransów! – wzgardliwie wyrzekł naczelnik lazaretu. – Jak to się mówi, finita la komedia. W taką histerię możecie wpadać z kumplami od butelki. Pijaństwo nie zdobi mężczyzny. Powinniście, obywatelu, mniej pić. Kto nie umie pić, nie pije. A żona wasza, matka Muchina, w ogóle wie, że jej syn nie żyje? Jakoś nie rozumiem... Nie przyjechała z wami, choć, jak wszystko wskazuje, mocno pijący jesteście. A ona jak, też pijąca? Bo jak co do czego, to przyjdzie szukać was tam pod płotem... Ale wiedzcie, nikt was szukać nie będzie. Jakby co, to pochowamy i bez was.

Institutow już dawno nie pozwalał sobie na takie przyjemności. Wygłosił to wszystko tylko po to, by zadać człowieczkowi cierpienie w najbardziej nieznośnej postaci. Nawet nie po to, by mu zadać jeszcze większą mękę, tylko by go zniszczyć tym bólem, wydobywanym z własnej jego duszy i mózgu jak impulsami prądu elektrycznego. „Więcej w ogóle nie będę ich znieczulać” – przemknęło przez myśl wyrwizębowi.

Wagony stały, skład milczał, podwładni udawali, że ich nie ma. W tym zamęcie naczelnik jednostki medycznej kilka razy z rzędu walnął energicznie w drzwi magazynu, nawrzeszczał na wagon bagażowy i zwracając się do bezkształtnej calizny mroku, oznajmił:

– Ile mam czekać? Tak nie można pracować. Świadomość trzeba mieć, towarzysze, jesteście mimo wszystko klasą robotniczą.

W odpowiedzi wysunęła się z pomostu wagonu bagażowego niemyta głowa.

– A, tutaj też się objawiłeś, gadzie demokratyczny... No dobra, krzycz głośniej, wiecuj! Nie zdążyli wagonu podstawić, a tobie zaraz źle się zrobiło. Chwili wytrzymać nie może, ze wszystkiego niezadowolony, specjalne sumienie sobie sprawił. A tak pięknie było, o-ho-ho, sama przyjemność, tylko żyć i jechać. To dlaczego, bydlaku, piękno zniszczyłeś? Mdli mnie od twojego towarzystwa. Idź, sam tyraj. Spaskudź wszystko i w dupę mnie pocałuj...

– Aaa! – zawołał Institutow. – Milczeć! Baczność! No nie, będziesz robić. Ja wam pokażę, co to jest robota... Kamienie, kamienie będziecie tłuc i górę, górę wznosić, bydlaki, z własnego łajna!

Pracownika wagonu bagażowego jakby oparzyło. Znękany wysunął się z przedsionka wagonu już całym tułowiem nad peron i głośno, babskim głosem zaczął zawodzić:

– A tobie o co chodzi, gospodarzu, kto ci zawadza? Czy ktoś ciebie choćby palcem tknął? Oj, ty szmato... Oj, Panie Boże... No to już ani gdzie iść, ani jak żyć. Idę, idę!

Z daleka dochodził przeraźliwy, żelazny zgrzyt otwieranych zamków wagonu, jakby rwano na kawały coś żywego. Rozkrzyczał się głosem gospodarza motorniczy. Rozległy się coraz bliższe wyrzekania. Tłumnie napłynęli tragarze. Wśród nich miotał się tłusty magazynier. Zazgrzytały zamki, z hangaru powiało chciwością.

– Ech! Uch! Ach! – rozmowy roboli bulgotały gorąco, kipiały namiętnie z powodu byle drobiazgu.

Kiedy ładowano wagon bagażowy, pocztowy wciąż jeszcze gapił się na peron ślepawymi, przesłoniętymi bielmami krat okienkami. Z pociągu wysiedli ubrani w jednakowe sportowe stroje ludzie – byli to feldjegrzy – przez tę jednolitość podobni do żołnierzy, i znudzeni zaczęli z ważnymi minami przechadzać się parami wzdłuż wagonu, chroniąc jakąś tajemnicę.

Nagle wszyscy ci, co się gdzieś zgubili, wysypali się z ciemności na peron, a robotnicy ze współczuciem wytrzeszczali oczy na garstkę umordowanych ludzi w wojskowych mundurach, którzy przebiegali w ich obecności już nie pierwszy raz.

– Uuu... – wykrztusił Institutow, jakby i on gdzieś długo biegał.

Potem znów poczuł się rozkosznie, stojąc w postawie nadzorcy i nawet nikogo nie poganiając. A czterech rozkraczonych ludzików nosiło trumnę do ważenia, do dokumentacji, do pakowania, zamieniając cynkowy sarkofag w zwykłe opakowanie.

– Witajcie, Albercie Giennadjewiczu! – zawołał prostoduszny chorąży.

Był zadowolony, że zwrócił na siebie uwagę, ale od razu zamilkł, nie wiedząc, co jeszcze powiedzieć. W jego kierunku ruszył z boku, ożywszy, niewidoczny dotąd człowiek.

– Ojcze Muchina, na miejsce! – padł natychmiast rozkaz.

I malutki człowiek w kapeluszu niezbyt przytomnie się cofnął. Usłuchał.

Wiekowy chorąży zmieszał się, najwyraźniej nie oczekiwał, że podpadnie. Institutow podbiegł do niego i patrząc mu już prosto w oczy, zasyczał:

– Jak mam to wszystko, serdeńko, rozumieć?

– Towarzyszu naczelniku, słowo honoru, sam nie wiem, jak to wszystko rozumieć – pośpiesznie tłumaczył się stary. – Ja tak myślę, że pewnie poznałem się z Albertem Giennadjewiczem dziś rano. Co w tym niezrozumiałego? Tak to właśnie należy rozumieć.

– A miałeś prawo się poznawać? A w ogóle to jak on się tu znalazł? To tyś, serdeńko, tak to urządził? – nakręcił się na dobre Institutow.

– Towarzyszu naczelniku, ja przecież sam nie wiem, jak on się znalazł, no, to ci krzyż pański! Poznaliśmy się po prostu dziś rano, kiedy Albert Giennadjewicz... jeśli jestem winien, to przepraszam... stał, a ja akurat obok z szeregowym przechodziłem. Jemu nikt nie umiał powiedzieć, kiedy i gdzie ładunek dwieście odprawią, no to on wprost do mnie podszedł i zapytał. Pewnie tak się tu znalazł. A że to on właśnie jest ojcem, to ja się

potem dowiedziałem. Gdybym od razu wiedział, to czy choć słówko bym bąknął? Co to, ja regulaminu nie znam czy jak? Nie pierwszy raz...

– No, stulże pysk! Milcz, zrozumiałeś, zrozumiałeś? Zapamiętaj jedną rzecz, tylko jedną: od tej chwili trzymasz język za zębami, milczysz jak ryba. Przed Moskwą do niego nie podchodź. Jeśli on sam w pociągu ciebie zaczepi, na pytania nie odpowiadaj. Milcz – to twoje główne zadanie.

Chorąży, usłyszawszy z ust samego naczelnika lazaretu, co ma robić, żeby nie podpaść, odetchnął z ulgą.

– Koniec. Milczę, towarzyszu naczelniku. No, po prostu jak ryba, proszę nie wątpić – zapewnił i z przekonaniem potrząsnął kilka razy głową, całkiem jakby sam sobie poprzysięgał milczeć i tylko milczeć, i omal rzeczywiście nie zamilkł, ale w porę się spostrzegł i wypatrując za ramieniem Institutowa innego człowieka, szybciutko, gorliwie, jakby na zapas zaczął terkotać: – Albercie Giennadjewiczu, wiesz, jak moja usłyszała, to po prostu, cholera, skoczyła mi do gardła! Kup, powiada, w Moskwie kolorowy telewizor i kropka. U was w sklepie będzie można dostać? Ja bym jednak wolał telewizor, nie dywan. Dywan... Bóg z nim, już lepiej telewizor. No to jak, umowa stoi? Telewizor? Kolorowy? Och, wielkie dzięki... To nie ja, tylko małżonka. Ja dywan chciałem, cokolwiek. A małżonka, jak Boga kocham, wbiła sobie do głowy ten telewizor i pieniędzy jej nie szkoda! Po chałupie, powiada, można w papuciach chodzić, wytrzymamy, a telewizory kolorowe teraz tylko w Moskwie sprzedają. Och, no przebacz, takie cię nieszczęście spotkało, och, syneczka straciłeś, współczuję... Och, towarzyszu naczelniku. Och, to już wszystko, milczę.

Wojak uspokoił się i cały od razu jakoś zmiękł, zrobił się podobny do śledzia, z którego usunięto szkielecik.

– Ojcze Muchina, widzę, że świetnie się wam powodzi. – Naczelnik lazaretu obejrzał się ze śmiertelnym znudzeniem w oczach. – Cziczikow się znalazł... Obiecajcie lepiej wołgę albo żyguli. Działajcie ze stołecznym rozmachem!

Trumienną skrzynkę, niezbyt wielką w porównaniu z innymi opakowaniami, w których czekały szafy, tapczany i inne wielkogabarytowe ludzkie skarby, wciągnięto do kontenera wagonu bagażowego i postawiono przy tylnej ścianie. Wszyscy odprowadzający, także sam naczelnik, stali jak wryci przy zamkniętym wagonie. Feldjegrzy dawno znikli. Zamknięto magazyn.

Kilku tragarzy jeszcze stało z boku, odpoczywając po pracy. Wołano ich skądś z ciemności, ale nie szli. Palili. Zdawało się, że dla zabicia czasu celowali do czegoś papierosami, a one, jak strzelby po wystrzałach, wypuszczały dymki gorzko pachnące prawie prochową wonią. Tymczasem jeden z nich podkpiwał z drugiego, zwracając tym ogólną uwagę.

– Nie można ciszej? Przestrzegajcie społecznego porządku! – rzucił w ich stronę Institutow.

– On żonę kocha! – odezwał się ze śmiechem kpiarz, jawnie już wytykając palcem kolegę, który pokornie znosił jego kpinki. – No to powiedz mi, po co ją kochasz. Co za sens w tej twojej miłości do żony?

– A ja przecież nie na targu miłość kupiłem, słowo daję, no to jakie po co? Kocham, bo to dobry człowiek, bo całe życie razem – wyduszał z siebie ten, któremu urządzono przesłuchanie.

– A jutro ona umrze i po wszystkim. Realizm! No i po co ją kochałeś?

– A dzieci? Mamy dwoje, wychowamy. No, pomrzemy, niech będzie, za to one po nas zostaną.

– Czytasz, co w gazetach piszą? Nie widzisz takich tytułów? Syn zarżnął ojca. Dzieci poćwiartowały swoich rodziców w ich łazience. No i co ty na to?

– A odczep się od człowieka! Powtarzasz w kółko to samo. A w mordę, cwaniaczku, nie chcesz? On wierzy, kocha, a ty mu w duszy gmerasz, byle tylko wszystko rozgrzebać i zniszczyć – rozległ się jakiś oburzony głos. – Musisz wszystko na świecie swoimi słowami psuć? Co ci z tego przyjdzie, że wiarę w miłość mu zabierzesz?

– A na to ja wam wszystkim odpowiem... Wy sobie budujcie, budujcie, oczywiście z wiarą w miłość czy choćby w diabła łysego, ale zbudujcie coś normalnego, porządnego, co będzie się trzymać bez podpórek. A tu nie, wszystko wokoło się wali i wali, bo trzyma się na smarkach i ślinie. No pewnie, ja mogę się ulitować. Mnie można gębę nawet po prostu siłą zatkać, oczywiście. Ale jeśli czyjaś miłość do żony mojej wolności słowa nie wytrzymuje, to taki ślubny związek jest skazany. To aksjomat. Bicie, alkoholizm, nędza – ot i cała miłość.

Pytania zadawane nie po to, by się czegoś dowiedzieć, rzeczywiście wszystkich naiwnych wystawiały na durniów, dlatego przemądrzały robotnik, zasiawszy wśród sobie podobnych przygnębienie i wstyd, puszył się z ważniackim uśmieszkiem jedynego mądrego wśród półgłówków.

– Żeńcie się, dzieci płodźcie... Najpierw na żony i dzieci popracujecie, potem na szpital – i do trumny. Od żon na kufel piwa własną krwią zarobione pieniądze musicie wybłagiwać. Na dzieci po dwadzieścia lat tyracie, a one potem do urzędu stanu cywilnego i fiuuu... jeszcze na ślub będą się wstydziły takich jak wy zaprosić. U was stale to samo: żujecie makaron, przepuklinę nosicie i na życie narzekacie, że niewiele wam dało. Ja osobiście swojemu życiu święto wyprawię. Ja swojego życia nie będę na obowiązki marnował. Wszystko tylko dla siebie. Bab ile zechcę, garnitur, restauracja, a na starość – trochę jeszcze tu z wami porobię i zobaczycie, ile odłożę... A jak się pojawi na świecie ktoś różowiutki, to niech jeszcze podziękuje, do nóg się pokłoni za to, że go za darmo spłodziłem.

Wszyscy zadeptali papierosy i zgnębieni poszli gdzieś do roboty. I tamten też pomaszerował, zadowolony z siebie, w tę samą stronę.

Peron opustoszał. W powietrzu zapanowała gorączka oczekiwania, jak w ostatniej chwili przed odprawieniem pociągu. Jednak dwa sczepione wagony nie ruszały z miejsca, przypominały obrąbany pień.

– O ile rozumiem, pora się żegnać – oznajmił Institutow, ale coś we własnych słowach mimo woli nie dawało mu spokoju. – Za kilka dni ten wagon przyjedzie w rodzinne strony Giennadija, oczywiście jeśli tylko pociąg nie wyleci z szyn... Rzeczywistość już nas nie rozpieszcza dobrymi

wieściami. Wszystko wybucha, pali się, idzie na dno. Życie Giennadija też okazało się aż nieprzyzwoicie krótkie. Oberwało się tragicznie, w locie... ale nie mówmy o smutnych rzeczach. Lepiej jeszcze raz przypomnijmy sobie zmarłego. Przypomnijmy sobie o nim i odprowadźmy go w ostatnią drogę minutą ciszy. Giennadij, wybacz, że cię nie ustrzegliśmy. Żegnaj, serdeńko.

Wszystko zmierzało do końca. Jednak oczekiwanie na koniec ciągnęło się i ciągnęło. Institutow stał niespokojnie ponad minutę, ale nagle, zawstydziwszy się tego, że pozwolił sobie na rozczulenie, nie wytrzymał i żarcikiem własnego pomysłu głupawo rozproszył dopiero co wprowadzony żałobny nastrój.

– Kolej żelazna to najbardziej niezawodny środek transportu. Co jak co, ale szyny i podkłady były i będą. No a teraz – na dworzec. Tam, chorąży, sprawdzicie jeszcze raz cenny nasz wagonik, czy jest na miejscu – i do stolicy. Kolorowy telewizor... Taaak, ja też byłbym nie od tego, by dokonać tak rzadkiego w naszych czasach zakupu. Ojcze Muchina, nawiasem mówiąc, też pojedziecie teraz z nami. Wiecie, tak będzie spokojniej, bo jeszcze pociąg bez was odjedzie. Aaa, chorąży, czy wam przypadkiem nie dostały się bilety w jednym wagonie z ojcem? No dobrze, dowiemy się... Na dworzec, przyjaciele, na dworzec!

Ale teraz zagęgał płaczliwie ojciec Muchina:

– Dziś minęło dziewięć dni, odkąd nie ma Giennadija. Towarzysze, zapraszam was do siebie do hotelu, żeby uczcić tę datę.

– Jak wam nie wstyd spekulować na pamięci rodzonego syna! – wybuchnął naczelnik lazaretu. – Jego śmierć miała miejsce sześć dni temu. Niedługo będziecie w Moskwie, tam sobie pijcie. Może wam tu jeszcze urodziny urządzić? I w ogóle co tu za konsolację chcecie urządzać, kiedy go jeszcze nie pochowano? Nie, to po prostu biała gorączka jakaś... Łapcie tego psychola, jazda z nim do samochodu, nie ma co się cackać z pijaczyną.

Nikt jednak nie ośmielił się łapać malutkiego człowieka i pakować do samochodu.

– Co to takiego? Czy wyście tu wszyscy rozum potracili?! I w ogóle co to za ojciec? Śmierć rodzonego syna to dla niego powód, żeby mu kielicha nalali, to wszystko. No to w pociągu, w pociągu, serdeńko, robaka zalejesz, pocierp trochę, bo teraz za mało czasu.

– Towarzysze, proszę uczcić ze mną tę datę – rozległ się znowu lamentujący głos. – Zapraszam wszystkich do siebie do hotelu, to niedaleko. Do odejścia pociągu zostało jeszcze dużo czasu. Nie przejmujcie się, zdążycie.

– A ty, serdeńko, nie masz dokąd się śpieszyć? No nie, to nie może być! Zaczekajcie, jaki hotel? Skąd?! Przecież macie pociąg za godzinę... Nie, proszę zaczekać, proszę okazać bilet... Przecież macie bilet? Odpowiedzcie mi, ojcze Muchina, przepiliście pieniądze na bilet powrotny? Nikczemny, nędzny człowieku, przecież powinniście być obecni na pogrzebie własnego syna!

Pijaniutki człowieczek odwracał wzrok i bąkał pod nosem już chyba tylko sam do siebie:

– Towarzysze, my z Giennadijem zapraszamy... Wszystkie narody świata czczą tę datę...

– No dlaczego ciągle łżecie i łżecie?! – zawołał Institutow.

Ale człowieczek milczał ponuro. Odprowadzający, który gorliwie, jak mu nakazano, dotąd nie otwierał ust, podbiegł lękliwie do naczelnika i zagadał:

– Albert Giennadjewicz bez biletu? Czy bez biletu wpuszczają do pociągu?

– Przynajmniej ty się nie wtrącaj! Co tobie do tego? Znalazł się wujaszek Wania...

Prostoduszny chorąży stanął tak, jakby wparł się piersią w ścianę, i nieoczekiwanie, ze łzami w oczach, się zbuntował:

– A to mi do tego, towarzyszu naczelniku, że on w swoim mieszkanku obiecał mnie umieścić, a wy nic, tylko milcz i milcz, sami, za przeproszeniem, głupiego udajecie! Ja się nie napraszałem, żeby na

dworcach nocować. Myślałby kto, Moskwa! A jak tam wleziesz, to do gołego obedrą. Ja z szeregowym diet mam po trzydzieści kopiejek na osobę, a wy milcz... I pojeść nie będziemy mogli po ludzku, a nawet jak psy... On obiecał, powiedział, u mnie zamieszkasz, Iwanie, bezpłatnie. Małżonce swojej co ja powiem, że pieniądze na hotel przeputałem? A telewizor, a dywan? Całe życie wszystkiego sobie odmawialiśmy, oszczędzaliśmy...

Ojciec Muchina odezwał się żałośnie:

– Iwan, ja cię zapraszam...

– Nawet nie proś, tyś mnie zabił, Albercie. Ja za tobą jak za kimś najbliższym poszedłem, wierzyłem ci, a po takim oszustwie, ty to wiedz, twoja osoba stała mi się obca. Towarzyszu naczelniku, teraz tylko wam będę wierzył. Może wy tego drania wsadzicie do pociągu, nie? On łże, widziałem to, nawet o hotelu łże, to nie numery, tylko jakieś wagony na kołach. No dobra, dobra, siłą go. Niech jedzie, niech chowa syna, alimenciarz pieprzony!

– No nie... Koniec... Niech zostaje, jego to już naprawdę mi nie żal – powiedział Institutow.

– Czekaj, naczelniku. A ja przyjmuję zaproszenie... Kocham prastare obyczaje.

Naczelnik lazaretu zachwiał się i tylko dlatego nie upadł, że jakby chwycił za coś rękoma w powietrzu. Oczy jego bezsilnie błądziły po twarzach, jeszcze wierzył, że ten głos za plecami był tylko ułudą.

– Pójdziemy, ojczulku. Dokąd chcesz? Nie denerwuj się. Powspominamy jak ludzie.

Pał Pałycz podszedł do płaczącego człowieczka, stanął przy nim, położył mu rękę na ramieniu. Ojciec Muchina podniósł głowę, potem nieprzytomnie uśmiechnął się przez łzy i przemówił:

– Atomowcy, naprzód!

I w tej chwili spadł mu z głowy kapelusz. Malutki człowiek jakoś obojętnie popatrzył na nakrycie głowy, które legło mu pod nogami. Przejął

się za to Pał Pałycz.

– No, podnieś...

Ale podbiegł Institutow, błyskawicznie złapał kapelusz i nie zamierzając go oddać, zawołał:

– Dokąd idziemy?! Kto idzie?! Po co idzie?!

– Kapelusz oddawaj! Cudzy jest! – szczeknął Pał Pałycz.

– Nie oddam! Nie oddam! – wrzeszczał naczelnik lazaretu.

– Ojczulku, potrzebny ci kapelusz? No... powiedz.

– Mnie ten kapelusz niepotrzebny – rozległ się słaby, obojętny głos.

Pał Pałycz osłabł, zadrżał i coś błyskawicznie z niego odfrunęło.

– Serdeńko, idziesz prosto do zony, co robisz? – jęczał żałośnie naczelnik. – No stój! Zgadzam się, zgadzam! Jedziemy na dworzec, a potem dokąd chcecie, ja też przyjmuję zaproszenie, stójcie, mamy przecież samochód. Rozkazuję zatrzymać się... Dokąd idziecie? Zastanówcie się, przecież podpisujecie na siebie wyrok śmierci... Ty zgnijesz za kratami... A ty głowę w pętlę wsuwasz...

Ostatnim, któremu naczelnik przepowiedział los, straciwszy już nadzieję, że go zawróci, był Alosza Chołmogorow. Biegł niezgrabnie po peronie, doganiając tych, którzy powoli odchodzili w jeden z jego odległych, nieoświetlonych końców. Institutow opamiętał się, kiedy poznał biegnącego, i ni to z radością, ni to zawistnie zawołał za nim:

– A ty swoich zębów nie zobaczysz!

Stojące koło niego dwie etatowe jednostki drużyny pogrzebowej drgnęły.

– Towarzyszu naczelniku, wszyscy biegną, a my gdzie? – jęknął, nie wiedząc, co robić, prostoduszny chorąży. W razie czego był gotów też pobiec.

Droga, dróżka

Chołmogorow jeszcze na peronie, kiedy ładowali trumnę, rozpoznał w tym przybłędzie obywatela, który rankami pojawiał się w lazarecie. Poznał nie po twarzy, tylko po kapeluszu, kiedy tamten pijaniutki przycisnął się do ściany i głowa opadła mu na pierś, przez co twarz aż do podbródka zakryły szerokie jak aureola kresy kapelusza. Alosza obawiał się, że pijak podniesie głowę, spojrzy i też go pozna. Raz zresztą zatrzymał się, odwrócił i powiedział ze zdziwieniem:

– A wy to co za jeden? Kolega Giennadija? A dla wszystkich miejsca nie starczy...

Ale opuścił głowę i poszedł dalej.

Ojciec Muchina odchodził bezpowrotnie w głąb cmentarnego w formie i treści terenu, który ciągnął się w nieskończoność wzdłuż mizernych traktów torów. Pod nogami coraz to pojawiały się resztki szyn i podkładów, zarosłe trawą albo prawie zrównane z ziemią.

Z daleka jak z zaświatów dochodził łoskot pośpiesznych... Pał Pałycz objechał Karagandę wzdłuż i wszerz, ale nie pamiętał, by gdzieś w pobliżu były jakieś hotele. Sam dworzec znajdował się na skraju miasta, gdzie kończyły się ulice z wielopiętrowymi miejskimi domami i roiły się jak pszczoły w ulu drewniane domki. Pał Pałycz pomyślał, że pijaczek sam teraz nie wie, dokąd idzie. Ale na to, by zatrzymać się i dokumentnie przepytać tego, kto prowadził ich nie wiadomo gdzie, nie mógł się zdobyć.

– Zabić kogoś czy jak...? – wycedził przez zęby i niespodziewanie, jakby nigdy nic, rzucił już głośno przez ramię: – Słuchaj, chudzino, a ty naprawdę jesteś zdemobilizowany czy tak sobie palnąłeś, dla fasonu?

– Naprawdę, jutro wsiadam w pociąg i jadę do domu... – szybko odpowiedział Chołmogorow, ale zaciął się na ostatnim słowie. Zbiegowie milczeli, każdy dla siebie.

Nagle błysnęła światłami semaforów milcząca przestrzeń, w którą kolej żelazna wpływała rzeką torów, zanim rozeszła się setką kierunków we wszystkie strony świata. Ojciec Muchina dał nura z nasypu i znalazł się na torach, przechodząc przez szyny, jakby nie szedł, tylko wiosłował. Ledwie weszli na obszar bezkresnych stalowych linii, po jednej z nich, błysnąwszy ostrzem światła, bezlitośnie przeleciała kolejka elektryczna. Przeszła bokiem, ale wyglądała, jakby pędziła kogoś zabić. Kiedy oni szli już w poprzek prawie niewidocznych nocą torów, zdawało się, że z góry wytaczają się błyskawicami dwie z początku maleńkie ogniste kule. Ich pędzące światło nieodwołalnie ogarniało coraz rozleglejszą przestrzeń, tak że szyny wokół wybuchały jak lonty Bickforda. Całą szerokość przecinały proste błyskawice, każda wskazywała tylko jeden tor, a one także pędziły, już pod nogami. Czując mdłości i strach, Pał Pałycz chwycił Aloszkę i wciągnął go na wąską wysepkę. Malutki człowiek, nie bacząc na nic, szedł po ostrzu stalowych błyskawic.

– Stój! Zabije! Pociąg! Kładź się! – rozległ się przeraźliwy krzyk.

Ojciec Muchina zatrzymał się, nawet odwrócił, ale pędzący huk i światło tak go poraziły, że nie ruszył się z miejsca. Maleńka postać na szynach zamarła i wtedy pokazała się, wyciągnięta przez chwilę w ostatnim skoku grzmiąca żmija składu towarowego. Widać było wyraźnie, że prosta koleina, po której niósł się pociąg, ścisnęła człowieczka w swoich kleszczach. Cała jego figurka stojąca o sto metrów od nich, zrobiła się czarniejsza od cienia. Elektrowóz nie zmniejszał prędkości. Człowiek nie schodził z toru. Jednak kiedy nagle ryk, ogień i wicher swobodnie przeleciały bokiem, a potem z kolei łoskocząca rozpędzona ściana wagonów przepłynęła tuż za żałosną figurką, stało się niemal niewiarygodnie oczywiste, że pijaczek nawet nie myślał z własnej woli wpadać pod pociąg. Wicher mknącego składu jednak przestraszył go albo ogłuszył. Mały człowiek złapał się za głowę, potem oderwał od niej ręce

i wyciągnął je, jakby macał nimi wokół siebie coraz bliżej i bliżej ziemi, aż wreszcie opadł na kolana. Na ziemi też macał rękoma, kiwał się, czołgał to w przód, to w tył. Rozwiane przez przelatujący skład siwe odrosty włosów perłowostalowej barwy otoczyły tę głowinę jak skrzydłami, upodobniając ją do wielkiego, mocnego ptaka. Ale ostatni wagon przemknął, głowa opadła i włosy zwiesiły się płaczliwie, smutno, tak że prawie zasłoniły twarz.

– Przepadł kapelusz... Gdzie mój kapelusz? – żalił się ojciec Muchina, kiedy podniesiono go z kolan.

Pał Pałycz powiedział ze złością:

– Jaki tam kapelusz, sam jesteś kapelusz!

– A gdzie mój kapelusz? – oburzył się człowieczek.

– Koniec. Zapomnij. Idziemy szybciej! – warknął Pał Pałycz.

– Oddajcie kapelusz, no... dlaczego to robicie, chłopaki? – przemawiał do nich ojciec Muchina.

– Ojczulku, nie mamy go, nie rozumiesz? Ten twój kapelusz jest tam, gdzie go pociąg uniósł.

– Aaa, uniósł... – uspokoił się człowieczek i zobojętniał.

– Weź swoją walizeczkę. Została, nie zdmuchnęło jej.

– Dziękuję – powiedział ojciec Muchina i ciężka teczka zawisła na jego ręce. – Chłopaki, z takiej okazji proszę wszystkich o przejście do komory reaktora... Dzisiaj minęło dziewięć dni, odkąd zabrakło mojego syna Giennadija. Proszę to uczcić wraz ze mną. Rozumiecie, ludzie sami wyrazili pragnienie, z wielkiego szacunku, jakim mnie darzą.

– Rozumiemy, rozumiemy... – Pał Pałycz uśmiechnął się i szepnął ukradkiem Aloszce: – Zdaje się, że jesteśmy w domu. No a ty sam, to jak? Może wróć... Jutro zabierasz się na wolność, no to się zabieraj. Ty musisz jeszcze łachów zażądać od tego naczelnika, umyć się, uczesać, a my z ojczulkiem gdzieś tam doleziemy, my z ojczulkiem nie mamy gdzie się śpieszyć.

Chołmogorow, myśląc, że w ten sposób też okazuje Pałowi Pałyczowi szczególne zaufanie, szepnął w odpowiedzi:

– Nie, ja czasu mam jeszcze dużo. Tylko ty swój samochód zostawiłeś tam, na stacji... Może i ty wrócisz... No bo jak oni dostaną się bez ciebie na dworzec?

– Piechotką dodrepcą, szybciutko. Najważniejsze, żeśmy bagaż zdali, odczepili się – burknął Pał Pałycz. – Byleśmy sami zdążyli nogi unieść... Może... tego... też zasuniemy do Moskwy? Moskwa duża, miejsca dla wszystkich starczy.

– Tylko hotel jakoś daleko. Pewnie ten dziadek drogę zgubił? Co to będzie? Jeśli goście się zebrali, pomyślą, że wyjechał, czy co tam jeszcze, i wszyscy rozejdą się do domów.

– Chłopaki, nie zostawać w tyle, ludzie na nas czekają! – odezwał się ojciec Muchina.

– Nie zostawać w tyle! Ludzie, ludzie! – wrzasnął Pał Pałycz, trzęsąc się ze śmiechu. – Ludzie, idę do was! Ja uwielbiam ludzi!

Zapomniał o wszystkim i o wszystkich i szedł dokądś za nakazem swojego zuchwałego, piskliwego śmiechu. Nagle potknął się o szynę. Upadł. Ucichł. Wstał. I poczuł się wściekle samotny. Z głuchym rykiem kopał szyny, nim je przekroczył. Uderzone butem, natychmiast przestawały go interesować. A on półprzytomnie torował sobie drogę przez południki stalowych trupków o ciałkach cienkich jak robaki. Zabłysły światła pociągu. Ale tym razem to Pał Pałycz został sam i stał wprost na torach, wyrzygując przekleństwa i obelgi. Skład pasażerski przemknął całkiem daleko od niego.

– A idź, ty suko, paskudo, pomiocie gadzi! – zawył w udręce ostatkiem sił, widząc w korowodzie wagonów, który koło niego przeleciał, bliski i nienawistny rydwan śmierci.

Wydawało się, że ta obłąkana wędrówka po szynach nie ma innego celu, jak tylko przedostanie się przez tory kolejowe, ale malutki człowieczek wyprowadzał swoich zniechęconych towarzyszy coraz dalej od trasy jadących pociągów.

Zrobiło się jakoś ciszej, ciemniej. Łoskot i światła przeniosły się w inną dal. Jak zabłąkane istoty zaczęły się wyłaniać z ciemności pojedyncze

wagony i całe składy, stojące bez ruchu na torach, odrąbane od swoich pędzących ognistych elektrycznych głów, jakby zabite przez kogoś, kto je wszystkie wyprzedził. Nigdzie nie było śladu ani odgłosu obecności ludzi. Ojciec Muchina wkroczył nieustraszenie w labirynt wagonów. Pał Pałycz ucichł i jak małe dziecko rozglądał się po ostoi ogromnych, zdawało się, wagonów, w których nie było żadnego życia; pewnie myślał, że znalazł się w swoim osobistym piekle. Jednakowe okrągłe okna migotały mu ciemnością, jakby zaglądał w studnie. Nagle wypływały wstawione w niektóre okna tabliczki z numerami wagonów – 2, 12, 6, 9, 3, 10, 8 – gdzie liczby, takie same jak na kalendarzach ściennych, za każdym razem budziły przerażenie, bo niespodzianie zobaczone przypominały twarze.

Dwa składy, wzdłuż których szli po wąskiej wydeptanej ścieżce, miały także tabliczki z nazwami, bardzo przypominające te, które widuje się we wszystkich miejscowościach, gdzie ulicom nadaje się nazwy.

Zdawało się, że każdy wagon stoi jak dom przy swojej ulicy.

Z jednej strony ciągnęły się niebieskawe domki, na których widniało „Celinograd–Nowokuznieck”. Ale te napisy były to spłaszczone smutkiem, to zatarte ze starości, to nagle aż realistycznie nowiutkie, żywe, świadome, przez co litery, jakby były nagie, nawet nie dawały się odczytać. Po drugiej stronie stał błotniście ponury skład „Turkiestan”: jednogarbne dachy, wagony sczepione w karawanę niby wielbłądy. A za nimi – zwykłe mizerne wagoniki z napisem „Kuszka–Workuta”.

Za każdym składem od razu zaczynał się następny. Ojciec Muchina skręcił w przerwę między nimi, ale wagonom nie było końca. Ich ściany wyrastały to tu, to tam, tworząc oszałamiający labirynt. I mijane kolejno ciągnęły się, wyglądały niemal na prawdziwe miasta, wszystkich nie dałoby się wymienić ani choćby o nich wspomnieć.

Mogło to być przywidzenie ludzi, którzy potracili wszelką nadzieję, ale działo się na jawie: na torach zabłysły przyjazne, żywe światełka, zapachniało dymem z pieców. Już na ślepym torze, przez to na oko zwyczajny, wsiowy, stał skład obrosły jak pień przedpotopowym życiem. Z blaszanych kominów pomarańczowo-czerwonych wagonów z powagą

unosił się w nocne niebo białawy dym, a z prostych drewnianych ganeczków, dostawionych tam, by ułatwić wchodzenie do środka, spływało na ziemię smoliste, ciepłe światło. Naprzeciw każdego wagonu wznosiła się przynależna do niego górka antracytu i błyszczała jego własna kałuża, antracytowo mieniąca się w świetle księżyca, jak to bywa na podwórkach, a na sznurach przeciągniętych od wagonu do wagonu wisiała uprana bielizna: majtki, prześcieradła, kalesony, sukienki, koszule. W prawie każdym oknie firanki były rozsunięte jak kulisy, wyglądało to niczym teatrzyk kukiełkowy, w którym butelki, wazoniki, szklanki jak żywe odgrywają i radość, i smutek. Na ścianach wagonów, na całą ich szerokość, wymalowane były białą farbą napisy:

HOTEL, HOTEL, HOTEL, HOTEL...

Gdzieś szczekał pies. Słychać było płacz dziecka. Snuły się zapachy kuchenne.

Na jednym z ganeczków pojawiła się wyglądająca na gospodynię kobieta z wiadrem i wychlusnęła pomyje w ciemność. Spojrzała na idących i zawołała śpiewnie:

– Oj, Albert Giennadjewicz! Dzień dobry. Czy ja może was i waszych gości obryzgałam?

– W żadnym wypadku, Gałoczko. Inżynierów atomowych ziemski brud się nie ima. Mam wszystko pod kontrolą. Poziom radioaktywności w granicach normy – zameldował głośno ojciec Muchina.

– Oj, a gdzie wasze nakrycie głowy?

– Zaistniała nietypowa sytuacja, koteczku, ale o tym porozmawiamy bez świadków. A ty wciąż pracujesz, troszczysz się, swoich opierasz?

– Oj, jakich tam swoich, to uchodźcy, przez nich wszędzie brudy. Po prostu Cyganie, tak powiem, nie pracują, śmiecą, przeklinają. U siebie jedni drugich wyrzynają, wszystko palą i niszczą, a potem przyjeżdżają do nas brud zapuszczać. Niedługo może wszy się przez nich pojawią. I że też władzom przyszło do głowy umieścić uchodźców w jednym hotelu

z pasażerami! My płacimy za przedział, a oni bezpłatnie. Przez to, że oni uchodźcy, wszyscy mają cierpieć?

Znużona obojętnością wobec swojego mocnego kobiecego ciała, nie tyle oburzała się czy skarżyła, ile popisywała się urodą. Marszczyła brwi, klaskała w dłonie, odwracała się jak na pomoście, zachęcając, by ją oglądano ze wszystkich stron. Ale ojciec Muchina już posmutniał i z zapałem otworzył jej oczy na to, co się dzieje.

– W kraju następuje rozpad termojądrowy. Wedle moich przewidywań sytuacja zmieni się za piętnaście lat. Nie wszyscy tego czasu dożyjemy, ale ja wierzę w energię atomową. Zapasów uranu nam starczy. Będzie światło, będzie ciepło, a to najważniejsze. Atomowcy nie zawiodą.

– Oj, Albercie Giennadjewiczu, jakże przystępnie to wszystko wykładacie! Od razu tak logicznie, tak logicznie się robi na duszy. Dziękuję, już jestem spokojna, a dopiero co serce mi zamierało. Oj, a co ja tak ciągle o sobie i o sobie, a was przecież dzisiaj na miejsce bohaterskiego czynu waszego syneczka wieźli!

– Z dwoma generałami czarną wołgą. A to są towarzysze broni Giennadija, odprowadzają mnie. Więcej powiedzieć nie mam prawa. Podpisałem, że rozgłaszać nie będę. Okoliczności śmierci mojego syna zostaną ujawnione za czterdzieści trzy lata.

– Och, odpowiedzialne wypełniał zadanie, jak to taką tajemnicą objęte. Może order pośmiertnie dadzą, a kto wie – może Bohatera! Och, ale syneczka się nie przywróci, takie to nasze życie, jak już bohater, to zaraz umieraj, a pożyć choć trochę się nie należy.

– Trumna pociągiem odesłana do Moskwy. A ja w najbliższych dniach samolotem, jak to atomowcy. Dzisiaj dziewięć dni minęło, odkąd nie ma Giennadija. Gałoczko, proszę uczcić ze mną tę międzynarodową datę, zaproszeni są wyłącznie sprawdzeni, pewni ludzie. Proszę prosto do komory reaktora...

– Wiem, wiem... Przyjdę, blinów przyniosę. Ach, Albercie Giennadjewiczu, Albercie Giennadjewiczu... – znów zaśpiewała gospodyni.

– Chłopaki, ja jestem gotowy. – Ojciec Muchina zwrócił się do młodzieńców w mundurach tak ponurym głosem, jakby był pod strażą. Ale kiedy odeszli nieco dalej, powiedział swobodnie z jakimś obleśnym zachwytem: – Co za kobieta! Istny kłusak arabski! Żona pułkownika wojsk kosmicznych. Mąż służy na Bajkonurze, osobisty przyjaciel Jurija Gagarina. Ona go nieustraszenie zdradzała, szukając prawdziwej miłości. On wygnał ją z domu z dwojgiem dzieci. Jedzie do matki do Uljanowska. Chwilowo czeka na bilety. Rozmiar biustu numer cztery. Mąkę zdobywa u spekulantów. Smaży termojądrowe bliny z jajeczkiem i kapustką. Zakąska światowej klasy.

Pijaczek ożywił się, nawet wytrzeźwiał, może z myślą o wypitce. Zmęczenie właściwie przez całą drogę nie dało rady jego procentom.

– Proszę przejść prosto do komory reaktora – powiedział który to już raz z wyzywającą hojnością, zapraszając na ganeczek jednego z pomarańczowo-czerwonych wagonów.

Masywne żelazne drzwi z iluminatorem, prowadzące do środka, były zamknięte. Ale ledwie ojciec Muchina po pańsku walnął w nie pięścią, po drugiej stronie wyjrzała mu naprzeciw prosta, jasna twarz.

– Albertycz! Melduję ci, że wszyscy już są, stół dawno nakryty! Martwiliśmy się, co z tobą. Wyrażano pogląd, że już nie przyjdziesz. A ja wiedziałem: wróci, słowa dotrzyma... – zachwycał się potężny, sprytny koleś. W swojej noclegowni na kołach pewnie nadal sprawował funkcję konduktora i z jakiegoś powodu ubrał się na noc całkiem regulaminowo: czapka z kolejowym otokiem, garnitur, koszula, krawat.

– Co za ludzie? Sprawdzeni? Pewni? – zapytał z niepokojem mały człowieczek.

– Ludzie sprawdzeni i pewni. Stół nakryli, zebrali się, czekają. Żadnych wątpliwości, Albertycz – zarzekał się właściciel granatowego munduru resortu komunikacji.

– A ty zdajesz sobie sprawę, co to dzisiaj za data? Reaktor musi pracować pełną mocą. Dziś inżynier atomowy Albert Muchin oddaje ostatnią posługę swojemu synowi.

Konduktor odpowiedział z pełnym przekonaniem:

– Zdaję sobie sprawę. Odprowadzamy go Panu Bogu do raju. Zrobimy, Albertycz, wszystko jak należy. Żadnych wątpliwości, Albertycz.

– Dobra, widzę, że zdajesz sobie sprawę – wymamrotał, chmurząc się, ojciec Muchina. – Ci dwaj są ze mną. Tak trzeba.

– No to chodźmy, po co na zimnie stać! No, dawaj, teczuszką się zaopiekuję... Chłopaki, goście kochane, będziemy jak rodzina. Co wy, to ja. Żadnych wątpliwości. Albertycz! A gdzie twój kapelusz? Jeszcze coś się stało?

– Staruszku, nie ma go już. Koniec. Zapomnijmy o nim. Stary, życie to gówno i wszystko w tym życiu gówno. Wszystko! Oprócz energii atomowej, przyjaźni... i śmierci.

Wagon, okazało się, był miejscówkowy, z półkami do spania, taki, jakich całe tysiące było wtedy w drodze i objeżdżało wszystkie regiony, obwody, republiki, miasta ogromnego kraju. Sufit jakby przesiąknięty światłem elektrycznym. Ciasny korytarz. Mgławica zapaszków kuchennych, jak zwykle kiedy wszystko, co pieczone, gotowane, domowe, kupione, przydziałowe, pachnie naraz i powolutku rozkłada się w mieszkalnym cieple. Wstydliwe przegródki-ścianki. Półki z lewej, półki z prawej, wszystkie wolne, bez ludzi, ale coraz wyraźniej słychać było ludzkie głosy. Ojciec Muchina zmierzał w ich kierunku z taką powagą, że trzeba było tłoczyć się za nim.

– To zadziwiający i jedyny w swoim rodzaju człowiek – wychwalał już zza pleców niezmordowany konduktor miejscówkowego wagonu. – My co? Żyjemy i śpimy, a taki człowiek żyje i oka nie zmruży za nas wszystkich. Inny urządzi się w handlu czy tam jeszcze gdzieś, dla samego siebie, a taki człowiek wybiera sobie zawód, który wszystkim ciepło daje i światło. Z duszy się troszczy, formułuje, oświadcza, tworzy... A ile potrafi wycierpieć! Gdzie w kraju jakie nieszczęście się zdarzy – tam on samym sobą osłania! Wszystko, co miał, oddał, nawet syna. Ech, nie chronimy takiego człowieka, bo tylko siebie chronimy.

Okazało się, że ludzie są w drugiej połowie wagonu. W przedziale, gdzie wszyscy się zebrali, kwaterował zapewne ojciec Muchina i swoją półkę nazywał numerem. Powitano go boleściwym milczeniem, też, zdawało się, składkowym. Wokół stołu nakrytego do uczty, nawet na oko podobnej do tryzny, rozsiadło się około tuzina gości. Stół był własnej roboty. Ktoś przemyślny przerzucił mostek z desek między składanymi stolikami, przymocowanymi po obu stronach przy każdym oknie. Prowizoryczną stolarkę okrywały białe prześcieradła. W ten sposób powstał naturalny ołtarz wspomnień, na którego całej długości mogłaby się zmieścić trumna tego, kogo razem żegnali. Goście, ciasno stłoczeni, siedzieli wzdłuż tego stołu na miejscach dla pasażerów: zajęte były dolne półki, a w przejściach jeszcze inni przycupnęli na deskach, również przerzuconych jak mostki. Na górnych półkach oraz na bocznej, czyli jakby prostopadle do stołu, spoczywało jeszcze trzech gości, ich głowy zwieszały się bezdźwięcznie nad biesiadą jak klosze.

Jedną z dolnych półek – najwyraźniej na widok gospodarza – natychmiast uwolniono i ustąpiono na niej miejsca inżynierowi atomowemu. On udawał, że młodzi ludzie w mundurach ochraniają jego osobę, więc chmurnie i wyniośle milczał. Wszystko to wywarło na obecnych mocne wrażenie. Goście, patrząc z tą samą chmurną wyniosłością na ojca Muchina, zastygli na swoich miejscach, a tymczasem sam bohater uroczystości zajął się starannym przeglądem stołu.

Obejrzał poczęstunek z obojętnością i dumą człowieka najedzonego. Jego surowy wzrok szukał alkoholu i zainteresowało go tylko to, co było rozlane do butelek. Na zakrętce jednej z nich, na oko zawierającej wódkę, jego wzrok całkiem zastygł i nabrał szklistego jak sama butelka wyglądu.

– Wódeczka?! – zachwycił się mimo woli, oczarowany.

– Żadnych wątpliwości, Albertycz, właśnie wódeczka, specjalnie dla ciebie zdobyłem na talon. I jeszcze konserwy i olej słonecznikowy z pomocy humanitarnej. Wszystko swoje oddałem – odezwał się konduktor, zadowolony, że może się pochwalić przy ludziach, ale zaraz zawstydził się i zarumienił.

– W takim razie proszę mi przydzielić sto pięćdziesiąt gramów – oznajmił natychmiast ojciec Muchina. – Nalewamy wszystkim! Ogłaszam gotowość numer jeden... Proszę wszystkich i każdego, by się wsłuchał.

W tej chwili ożywienia zrobił się ni to wstrętny, ni to żałosny, chociaż zebrani przyjęli to z szacunkiem, gotowi dzielić jego boleść. Boleść rozlała się jednak także na twarzy człowieczka, kiedy zaczął mówić o sobie, jakby raczył być obecny na własnej stypie.

– Wszechświat składa się z atomów, a ja, Albert Muchin, miałem w tym kraju styczność ze zjednoczeniem o nazwie Specatom. Wszechświat bez atomów to gówno. Jeszcze godzinę temu stałem przy trumnie mojego syna i nie wstydziłem się za niego. Syn Alberta Muchina został atomem we wszechświecie. Odszedł jak prawdziwy atomowiec, wkroczył do płonącego reaktora... Proszę, by uświadomili sobie to wszyscy razem i każdy z osobna. A teraz powiem wierszami swojego ulubionego poety Jewgienija Jewtuszenki: śmierć to nie przystań, na śmierci kończą się rejsy okrętów... Giennadij, twój ojciec jest z tobą. Wybaczam ci to, co zrobiłeś, mój stary. Spotkamy się we wszechświecie!

Ojciec Muchina, wygłosiwszy mowę, dopełnił się stu pięćdziesięcioma gramami wódki i stracił wszelkie zainteresowanie tym, co się dzieje. Obecni z konieczności porali się z zakąską. On zaś nie zakąszał, tylko wlepił wzrok w opróżnioną graniastą szklankę, przez co panujące przy stole ożywienie nieoczekiwanie się od niego oddzieliło, stało się nawet nieprzyzwoite. Goście przedwcześnie ucichli, a on mimo to trwał w zupełnym milczeniu przed swoją szklanką, jakby zebrał się w niej cały jego smutek. Ktoś nie wytrzymał tego milczenia i zapewne myśląc, że mu się przypodoba, wyróżnił się z głębi duszy płynącym pytaniem:

– Proszę powiedzieć... a co właściwie było przyczyną śmierci Giennadija?

– Mój syn zginął w obronie demokracji! – wyrąbał ojciec Muchina.

Przygnębiony przedział pogrążył się w jakimś wzniosłym zakłamaniu. Pytań więcej nie było. Nikt nie śmiał dobrowolnie wyrazić wątpliwości czy choćby o coś zapytać, a tym bardziej zająknąć się o czym postronnym.

Wszyscy podniośle czekali, aż upłynie minuta ciszy, gdy ktoś znowu nie wytrzymał przepełniających go wzniosłych uczuć i podniósł się na całą wysokość jak podsądny podczas ogłaszania wyroku. Ojciec Muchina jednak uparcie nie otwierał ust i milczenie już prawie dla każdego zamieniało się w torturę wstydu.

– Albertycz, co z tobą? – przestraszył się konduktor.

– Mojemu synowi nie nalano wódki – odpowiedział zagadnięty, nie zmieniając wyrazu twarzy.

– No co ty, myślisz, że komuś tej wódki szkoda? Ech, ty!

Wszyscy obecni znów się spłoszyli: znaleziono szklankę, nalano wódki i na wierzchu położono kęs czarnego chleba. Ojciec Muchina powiedział:

– Postawcie moją szklankę koło szklanki Giennadija.

Kiedy konduktor bez słowa spełnił jego wolę, ojciec Muchina nagle wydał rozkaz, którym wystraszył obecnych:

– Piją wszyscy!

Zebrani jednym haustem opróżnili swoje szklanki, ale od razu spostrzegli, że ojciec Muchina swojej nawet nie tknął.

– Albertycz?! Co jest?

– Ja dzisiaj więcej nie piję. Tak trzeba, staruszku. Ludzie... Proszę, by wszyscy pozostali na swoich miejscach.

Uspokojeni goście posłuchali i zabrali się gorliwie do zakąsek. Śledzik i galaretka rozeszły się w mig, a już na dokładkę dojadano chlebem, ładowano w siebie kartofle. Wszystkie główne dania szybko zniknęły. Zaczęły się rozmowy o życiu i śmierci. Pierwsi odezwali się ludzie z górnych półek, bo potrzebowali pomocy, by dobrać się do łakomych kąsków. Oni też wymieniali poglądy filozoficzne z tymi, którzy siedzieli na dole i z ponurymi minami podawali im na górę talerze. Jedna odmładzająca się damulka szybko sobie podchmieliła, więc nabrała śmiałości i odgrywając rolę gospodyni, wzięła się do obsługiwania obu żołnierzy. Nałożyła im pełne talerze niejadalnej, wodnistej kutii, po czym już kapryśnie omdlewającym, słodkawym głosem zawołała:

– Mężczyźni, dlaczego nie pijecie?!

Pał Pałycz, którego damulka obdarowała przy tym pełnym zdumienia spojrzeniem, uśmiechnął jej się prosto w twarz i natychmiast odpowiedział:

– Prawdziwy mężczyzna to ten, który pije ostatni, a trzeźwieje pierwszy.

– Młody człowieku, a więc jesteś prawdziwym mężczyzną? O, zdaje się, że się nie przedstawiłam! Helena... A ty?

– Dla przyjaciół i kurew jestem po prostu Rafaelem.

Damulka żałośnie zapadła się w sobie. Spod chropowatej warstwy pudru naśladującej dziewiczy rumieniec wystąpiły na wierzch fioletowe plamy. Postanowiła nie obrażać się od razu i ostentacyjnie obojętnym głosem nauczycielki zapytała:

– Przepraszam, a do jakiej kategorii swoich znajomych zalicza pan mnie?

Pał Pałycz milczał przez chwilę, wystawiając cierpliwość damulki na próbę, i nagle się uśmiechnął.

– Jeszcze nie jesteśmy znajomymi, nie piłem z panią wódki.

– No więc dopełnijmy tego sakramentu! – zawołała bez namysłu jego pijaniutka rozmówczyni.

– Piękna Helena – szepnął Pał Pałycz tak, by tylko ona usłyszała.

– Rafaelu, zaprzyjaźnijmy się. Wypijmy, Rafaelu! – przefrunął nad biesiadą jej szept.

– Żaden problem, zwłaszcza z tak rozkoszną kobietą! – odpowiedział prawdziwy mężczyzna, a jego oczy zabłysły martwym, okrutnym blaskiem.

Damulka starała się nadać swoim niezręcznym pijanym ewolucjom nad stołem jakąś wymyślną elegancję. Walcowała koło szklanek z wódką, które postawiono obok siebie dla ojca i syna, i tylko ona na nie spoglądała, bo wszyscy inni zadowalali się samogonem. Korzystając z hałasu, chciała je zwinąć, ale przeszkadzał jej w tym ojciec Muchina, którego bezmyślnie smutny wzrok także błąkał się wokół tego postawionego na stole z jego woli graniastego pomnika.

– No, dlaczego nikt nie pije tej wódki? Przecież ktoś będzie musiał ją wypić, żeby nie przepadła! – zawołała w końcu damulka.

– To ofiara, co ofiarowane, to święte. Ofiarujesz coś, czy to nieboszczykowi, czy żywemu – ofiaruj i zapomnij. Rozumiesz, Lenoczka, tu wszystko jest głęboko duchowe, chociaż z boku patrząc, to jakby zwykła martwa natura. Szklaneczka to mogiła. Przykrywa się ją czarnym chlebem tak, jak mogiłę przysypuje się ziemią. Wódka w szklaneczce to dusza. Kiedy wyparuje i szklaneczka będzie pusta, to znaczy, że koniec, odcierpiała swoje, odeszła. W obecnej chwili siedzimy jak jołopy i obserwujemy to zjawisko przyrody.

– Cha, cha, Rafaelu, jaka śmieszna anegdota! Nie chcę nic wiedzieć o tych waszych okropnościach. Ja ich nienawidzę! Ja, proszę wybaczyć, jeszcze żyję. Chcę wiedzieć wszystko o kwiatach, o morzu, o miłości...

Zapachniało to bluźnierstwem. Jak przystało na przyzwoitych ludzi, od damulki odwrócili się jej sąsiedzi. Ale od słowa do słowa wszyscy zgodnie zaczęli się spierać o miłość i śmierć. Głośno, hałaśliwie mieląc językami. I każdy się prężył, podskakiwał jakby i oświadczał, że on tu jest i ma swoje zdanie, i nawet bardzo tu jest. Ponad pomieszanymi głosami coraz to rozlegały się czyjeś już wprost niepoczytalne okrzyki: „Miłość to seks!”, „Boga nie ma!”. I jeszcze odzywał się, jeśli mógł się na to zdobyć, ojciec Muchina, który przysypiał, ale kiedy się budził, to nie zgadzając się z nikim ani z niczym, za każdym razem huczał pożegnalnym głosem:

– Ja wszystko z-z-zburzęęę!

Dyskutanci spalali się w sporze jak drzazgi. Wkrótce ognisko sporu przygasło, już tylko żarzyło się jednostajnie, dyskutanci rozbili się na grupki. Niektórzy w ogóle milkli, rozczarowani.

Za oknami wagonów czerniała noc. Przez cały ten czas do żadnych znaczniejszych wydarzeń nie doszło, tyle że na kilka minut pojawiły się i zaraz znikły bliny, obiecane ojcu Muchina przez gospodynię, a ona sama została przy nim, zła na wszystkich, którzy zjedli jej poczęstunek. Zgiełk przyciągnął z innych wagonów obcych ludzi; stali w ciasnym przejściu jak w kolejce, pewnie przyzwyczajeni tak się ustawiać, ale nie dawano im nic ani powiedzieć, ani wypić, ani zjeść. Przez kolejkę tych dorosłych pieczeniarzy – ludzi, sądząc z wyglądu, przepitych i zaniedbanych, choć

było tam też kilka przyzwoicie wyglądających biednych staruszek – przecisnęła się nagle do biesiadnego stołu dziewczynka, tonąca w bezpańskim żołnierskim buszłacie. Rozpuszczone, czarne jak smoła włosy zakrywały ją do ramion jak chusta. Smagła, dzika mordka, po starczemu spozierająca przed siebie, była skrzywiona w grymasie cierpienia. Trącając w plecy siedzących przy stole, dziewczynka zaintonowała ochrypłym, dość niskim głosem:

– Daj pojeść... Daj na chlebek...

Biesiadnicy, nie podnosząc wzroku, odpychali łokciami żebraczkę, kiedy nawijała się pod rękę, a ona nie obrażała się, zdawała się tylko dziwić, że tylu ludzi zebrało się, żeby jeść, a odwróciło się plecami jakby tylko od niej. Mimo wszystko zadowolona, że okazała się pierwsza w kolejce do stołu, zatrzymała się i rozejrzała za jedzeniem. Była głodna i wydawało jej się, że wielki, dziwny stół jest pełen pachnących, najsmaczniejszych potraw. I chociaż prosiła o chleb, to patrząc na talerze, na których zostały zaledwie resztki jedzenia, siłą wyobraźni rozmieszczała na nich to słodziutkie winogrona, to miodowe plastry dyni, to parujące kęsy gotowanej baraniny – wszystko, co jadała kiedyś, dawno, dawno temu. To wpatrywanie się w stworzony przez siebie miraż przyjemnie ją usypiało – pewnie ze zmęczenia jeszcze bardziej chciała się położyć i zasnąć. Ale coś uparcie cisnęło ją w bok. Otworzyła klejące się z senności oczy i z niezadowoleniem zobaczyła czyjąś wyciągniętą rękę, która, zdawało się, też zamierzała coś wyżebrać, ale od niej. Dziewczynka surowo, potępiająco spojrzała na żebraka – okazał się nim siedzący przy stole żołnierz – i nie zauważyła tabliczki czekolady, wysuniętej z prostego jak pałka wojskowego rękawa, w którym ręka ofiarodawcy była prawie całkiem schowana.

Widząc przed sobą żołnierza, żebraczka niemal się ucieszyła, rozciągnęła w uśmiechu surowe wargi, ale kiedy Chołmogorow odpowiedział jej tym samym, uśmiech od razu zniknął z jej rozjaśnionej twarzyczki. Ten podobny do straszydła żołnierz uśmiechał się jak nędzarz albo kaleka, który poniża się, coś tam skamląc. Wszyscy ci ludzie nazywani ruskimi byli w jej

oczach głupi i chciwi. Głupi, bo łatwo ich było oszukać, a chciwi, bo wygrzebywali, jakby z samego dna kieszeni, zawsze tylko kopiejki. W swojej duszyczce gardziła wszystkimi ruskimi. A teraz, głodna, zaspana i obojętna na wszystko wokół, nie rozumiała, czego jeden z nich od niej chce. Dokładnie jednak dostrzegła, co się dzieje, wdówka od blinów, pułkownikowa, która wstrząsając piersiami powietrze, jakby wygrażała pięściami, rzuciła się z krzykiem na Aloszkę.

– Nie dawaj, nie dawaj jej nic! Przepędź, przepędź ją! Ona może mieć wszy! No nie ma życia przez tych uchodźców, całkiem się zbiesili... Tam, u siebie, dzieci napłodzili, a tu jeszcze je chlebem z masłem karm!

– Prostytutka! – krzyknęła istotka w żołnierskim buszłacie, oglądając się na otaczających ją głupich i pożądliwych ludzi, którzy gapili się ze wszystkich stron.

Zwymyślana pułkownikowa zmiękła przestraszona. Dziewczynka dyszała coraz szybciej, jak zaszczute i oczekujące śmierci zwierzątko, chociaż goście przyglądali jej się obojętnie i po pijanemu niewiele rozumieli. Wykrzykiwała coś rozpaczliwie i ze złością, przeklinając w swoim języku ten drugi język, obcy, który przyniósł jej tylko strach i wstyd, i nagle rzuciła się po obronę do żołnierza – już przy wtórze ogólnego śmiechu objęła go namiętnie jak zakochana kobieta, co właśnie wszystkich rozśmieszyło.

Pułkownikowa z początku słowa nie mogła z siebie wydusić, z pomalowanych lalczynych oczek polały się łzy. Tusz się rozmazał i pod oczyma pojawiły się dwie sinawe plamy.

– To ja prostytutka jestem? Ja, ja?! – zajęczała drżącym głosem, jakby ją pobito.

Malutka żebraczka, która tak przestraszyła dorosłą, gospodarną kobietę, że ta aż zadygotała, zdawało się, całą sobą, migiem wysunęła wyszczerzoną mordkę i przytuliwszy się do Chołmogorowa, już niczego na świecie się nie bojąc, jeszcze raz pohańbiła pułkownikową tym samym słowem.

Pułkownikowa zaszlochała i nim sobie poszła, rozwrzeszczała się pod adresem gości.

– Bliny moje kurewskie to się zżarło, nie pogardziło się?! Wiem, wiem, kto o mnie takie brudne opinie rozpuszcza! A ona sama to za kogo chciałaby uchodzić?! Myślałby kto, wykształcona, szczupła, gustowna! A ja może nie taka szczupła, może kręcić tym, czym ona kręci, nie umiem, za to dzieci swoje z mężem miałam, wszystkie u mnie rodzica mają, wszystkie zadbane, syte, zdrowiutkie. Uczciwa kobieta jestem... Ja teraz tymczasowo rozwiedziona, ale z pierwszym lepszym... nigdy! Ja na swój ideał czekam, na wielką miłość, a ona dziecko podrzuci i szlaja się, suczka, po wagonach. Od niej nawet zapach taki bije. Ona może już wszy od tego dostała. Patrzcie, patrzcie, może majtki pełne... – I chwyciła za klapy ojca Muchina. – Albercie Giennadjewiczu, na stypę mnie zaprosiliście, ze swoimi blinami przyszłam, a mnie tu obrażono. To podłe! Nie chcę więcej was znać!

Pijaczek, zachowując obojętne milczenie, pokornie pozwalał sobą potrząsać, znosił wymyślanie od podleców. Kiedy ona wyskoczyła jak z procy zza biesiadnego stołu, już nie jak pobita, tylko jakby goła, cała kryjąc się we własnych objęciach, ojciec Muchina zapewne poczuł obok chłodną pustkę i powiedział smętnie:

– Co za kobieta... Co za kobieta...

A po chwili przy stole znowu się rozległa monotonna wrzawa. Dalej kłócili się wszyscy ze wszystkimi. Dziewczynka z trudem wgramoliła się na kolana żołnierza – ponaglając go, jak niepojętnego, żeby pomógł – a kiedy usiadła, sama zabrała mu czekoladkę, niepostrzeżenie ją schowała, poprosiła chytrze o jeszcze jedną i ją też schowała.

– To niedobrze, że klniesz. Dziewczynki nie powinny kląć – powiedział Chołmogorow.

Z ponurą miną zacisnęła wargi, zsunęła się z kolan i rozkołysanym krokiem, jak gąsiątko, poszła sobie, pewnie tam, skąd przyszła. Kiedy mała żebraczka zniknęła w mroku miejscówkowego wagonu, Alosza zasmucił się na myśl, że zrobił jej przykrość, zmarkotniał, wspominając, jaka była słaba i głodna.

Minął pewien czas. Nagle coś miękkiego i lekkiego dotknęło jego pleców: to mała żebraczka przytuliła się do niego po cichu, sprawdzając,

czy to on jest tamtym człowiekiem i czy ją pamięta, ale udawała, że nigdzie nie odchodziła, tylko była tu, obok. Wyciągając długą, giętką szyję, by być bliżej unoszonych w powietrzu, spierających się głosów, wsłuchiwała się uważnie, wpatrywała w twarze, nawet na chwilę nie odrywając od nich wszystko rozumiejącego, ciekawego spojrzenia, jakby była nie świadkiem, tylko sędzią.

– No więc przyszłaś... – powiedział Alosza, czując, że mu wybaczono.

Usłyszała, wpiła się w niego takim samym przenikliwym, serdecznym wzrokiem i roześmiała się, zadowolona z siebie, myśląc, że jej uroda spodobała się temu niezgrabnemu, dobremu człowiekowi. I wreszcie uspokojona, że on nigdzie nie zniknął, chwyciła za rękaw żołnierskiego szynela, jakby chciała małpim sposobem wdrapać się po ręce Aloszy gdzieś na górę.

Alosza znosił to wszystko. Ona znów się roześmiała, bo on natężał się, sapał, żeby ją utrzymać, i zaczęła zachwycać się sama sobą:

– A widzisz, jaka jestem ciężka?

A potem mocno przyciągnęła do siebie jego rękę, tak że Chołmogorow musiał się poddać, i wtedy, pewnie chcąc go zachwycić, zawołała:

– I jaka silna!

Było jej nie wiedzieć czemu bardzo dobrze i szepnęła:

– Może ja po cichutku tylko do ciebie poklnę...

Siedząc żołnierzowi na kolanach, przytuliła się do niego, żeby być jeszcze bliżej, i szeptała, dumna, że robi się dorosła. Alosza nie widział jej twarzy, czuł tylko gdzieś koło skroni ciepły, miarowy oddech. Słuchał pokornie. I zrobiło jej się nudno, jakby bawiła się całkiem sama. I od razu o wszystkim zapomniała, i zaczęła po prostu paplać bez wytchnienia

– Ja znam wielu żołnierzy! Nas żołnierze tutaj przywieźli. Żołnierze nam jeść i pić dawali, buszłat dawali, tabletki... A ty masz automat? Wszyscy żołnierze mają automaty, widziałam. Gdzie twój automat, gdzie?

Chołmogorow z niewiadomych powodów skłamał, jakby musiał wymyślić bajkę:

– Mam automat, ale zapomniałem wziąć ze sobą.

– Możesz zabić! – ucieszyła się dziewczynka.

Alosza wymamrotał:

– To bardzo źle strzelać z automatu do ludzi. Lepiej usiądź, zjedz, przecież chciałaś jeść.

– No to po co masz automat? – uparcie dopytywała się mała żebraczka.

Alosza milczał, a dziewczynka, choć chmurna, niezadowolona, wdrapała się na kolana swojego żołnierza, bo chciała, żeby on ją częstował. I znów upychała wszystko, co zdobyła, w kieszeniach swojego buszłata, jakby czekoladki i chleb były karmą dla jakichś żarłocznych gąb.

Tym razem wykonywała swoją krecią robotę bez szczególnej gorliwości, mimo to odeszła od biesiadnego stołu z wypchanymi, do brzuszków podobnymi kieszeniami. Nie uwierzyła w końcu Aloszy, uznała, że strzelał, a teraz, w rozmowie z nią, skłamał. I znów odchodząc gdzieś, powiedziała ze znużeniem:

– Przyjdę do ciebie, będziemy pić herbatę. Ten pociąg nigdzie nie odjedzie, ja wiem, można wysiadać i wsiadać.

W półmroku, siorbiąc, posilano się gorącą herbatką, częstował nią konduktor. Ludzie opowiadali leniwie każdy o swoich sprawach, a gdzieniegdzie przy stole ziały już puste miejsca. Ojciec Muchina przysnął w tej samej pozycji, w jakiej się smucił: padł na stół, objąwszy go rękoma, które w ciągu tylu godzin zdrewniały mu i zamieniły się w polana, na których jak na kłodzie leżała teraz jego siwa, brudna głowa. Za to ożywiał wszystkich wokoło jakąś rozpaczliwą wesołością, każdego zaczepiając, wszystkim dokuczając, jeden z jego przybocznych – Pał Pałycz vel Rafael. Nikomu nie dawał spokoju: skoro on się weselił, wszyscy musieli się weselić, nawet jeśli nie chcieli, a przede wszystkim żałosna pijana damulka, której nigdzie od siebie nie puszczał, nazywał ją ze śmiechem Piękną Heleną, zmuszał, by jadła mu coś z ręki, i obmacywał pod stołem. Ona opędzała się kapryśnie, ale nie była już w stanie wydusić z siebie choćby kilku zrozumiałych zdań. Konduktor samotnie chodził po wagonie, przynosił szklanki z herbatą, a w przerwach, kiedy cierpliwie czekał, czy

komuś jeszcze nie zachce się gorącego napoju, przysiadał się do śpiącego, tak samo jak on samotnego inżyniera i jakby milcząco o czymś z nim rozmawiał. Czuwał, jak to w pracy, ale napawało go to wszystko takim spokojem, że gotów był usługiwać bezpłatnie, nie znając ani nudy, ani zmęczenia. Podobało mu się, że siedzi koło ojca Muchina i dopóki tamten śpi, jest tak, jak gdyby służył temu zadziwiającemu, do nikogo niepodobnemu człowiekowi. Podobało mu się roznosić szklanki po nieśpiącym nocnym wagonie. Podobało mu się, że wokół ma tylu sprawdzonych i pewnych ludzi. Że tak obficie paruje wrzątek w szklankach i pływa, oddając wrzątkowi wszystkie swoje soki, jego własna esencja, której ceny jednak nie znał. Za szklankę herbaty brał zazwyczaj tyle, ile mu dawano, byle zamówiono, jakoś nie potrafił inaczej. Herbata już od roku znikła ze sklepów. Słyszał w radiu, że w całym kraju jej zabrakło. Gdzieś przez kogoś ukradzione pełne paczki herbaty konduktor wymieniał na darmowy węgiel, też właściwie kradziony, bo ogrzewał swój wagon-hotel jak najoszczędniej i w ten sposób troszczył się o stałych mieszkańców, uważając, że gorąca herbata jest zarówno dla nich, jak i dla podróżnych najważniejszą rzeczą na świecie.

– Daj nam dwie szklanki herbaty bez cukru – powiedziała władczym głosem dziewczynka, gdy wróciła, a solidny i przemyślny człowiek ożył uszczęśliwiony.

– Zrobi się, gosposiu. Dwie szklanki herbaty bez cukru! – zakomenderował samemu sobie i pobiegł.

Chołmogorow nie ucieszył się z jej powrotu, a nawet jakby się przestraszył, kiedy mała żebraczka wdrapała mu się na kolana, bo tylko tak chciała siedzieć przy stole. Nie mógłby jej skrzywdzić, ale zasmucił się i poczuł wstyd, który przyszedł razem z nią; przygnębiała go już sama bliskość tej przedwcześnie dorosłej, dziwnej bezdomnej dziewczynki. Widząc, że stół przed nią jest pusty, Pał Pałycz się rozzłościł i zaczął krzyczeć:

– Gady, to wam żarcia dla niej szkoda? Ano, siostrzyczko, zabierzemy im wszystko, ty musisz się odżywiać, rosnąć, a oni nie muszą. Oni jutro

powyzdychają. Widzisz? Wszystko dla ciebie! Jedz sama i nie dawaj nikomu.

Zgarnął ze stołu na jedną stronę – tam, gdzie u Aloszy na kolanach siedziała dziewczynka – wszystko, co było do jedzenia, i zagroził:

– Uwaga! Siostrzyczki mojej nie krzywdźcie, bo nos odgryzę! Ona jedna może do mnie mówić... Wszyscy zrozumieli? Wsuwaj, siostrzyczko, zajadaj, ja mówię! Kto jej tknie – zabiję!

Dziewczynka milczała – bała się tego żołnierza i zdawało jej się, że jest jeszcze głupszy i bardziej chciwy od wszystkich tych, którym dla niej przecież zabrał jedzenie. Kiedy dał im spokój i odwrócił się, odsunęła od siebie talerze w ich stronę. Sobie zostawiła tylko parę kęsków i tyle samo odłożyła z boku, dla Aloszy. Milczała przez chwilę, a potem, zwracając się do niego, wyraziła na głos to, co pewnie ją niepokoiło:

– To bardzo zły człowiek. Dlaczego pozwoliłeś mu na siebie krzyczeć? Ja sama go zabiję, jeśli znajdę automat.

Chołmogorow nie wiedział, co jej odpowiedzieć, i zapytał:

– Jak ci na imię?

– Ajdym.

– Ajdym? – upewnił się, żeby coś powiedzieć. – To do dymu podobne.

– A ty jesteś podobny do wielbłąda! – burknęła wzgardliwie. – A jak ty masz na imię? Trzeba pić herbatę. Ja lubię herbatę. U nas w domu wszyscy pili bardzo dużo herbaty. A ty masz dom?

– Mam... Jutro wsiądę do pociągu i tam pojadę.

Dziewczynka zachmurzyła się.

– Twój pociąg daleko jedzie? – dorzuciła już cicho, jakby wstydziła się o to pytać.

Wspominając dom, Alosza słodko się w sobie zapamiętał i długo opowiadał. Można było pomyśleć, że siedzi w pociągu i na nic nie zważając, dniami i nocami jedzie do domu. Ajdym wsłuchiwała się w jego słowa, wpatrywała w podnieconą twarz, oszpeconą spazmatycznym

uśmieszkiem jak blizną. Długo nie odrywała od niej rozumnego, ciekawego wzroku, aż nagle sama przerwała żołnierzowi, mówiąc:

– Ja będę twoją żoną.

– Co?! No żeń się, Locha, co? Przynajmniej się zabawię na koniec! Cała dusza aż się rwie, nie rozumiesz? – rozległ się przy stole radosny ryk, podszyty jednak cierpieniem. – Lepszej od mojej siostrzyczki nie ma, niech ci się nawet nie zdaje. Wiesz, jak my, sierotki, potrafimy kochać? Uuu... Serce do serca jak gwoździem przybite, taka jest ta nasza miłość. A może gardzisz? A ty nie patrz, że jest ubrana jak strach na wróble... Ona, ta dziewczynka, ze złota jest, a w środku brylant, ja ci to mówię. Żeń się, durniu, na Boga cię zaklinam! Uch, niech cię diabli, no dobrze, skończyła się moja cierpliwość... Znaczy się raz na zawsze, w imieniu wszystkich władz, czorta i Boga, śmierci i życia ogłaszam was, siostrzyczko i braciszku, mężem i żoną. A wy czego, dranie, gęby rozdziawiacie? Nie cieszycie się? Wy na stypie gośćmi byliście, a teraz mamy święto, wszyscy na naszym weselu gościcie, zrozumiano? No to wszyscy niech się cieszą, bo zabiję! – I ryknął na całe gardło: – Gorzko! Gorzko!

I z tą samą rwącą się z duszy siłą Pał Pałycz niespodzianie chwycił w objęcia swoją damulkę, i tak już oszołomioną jego zalotami, i wpił się w jej zaciśnięte strachem wargi. Pocałunek był wyzywająco długi. Goście osłupieli, ale wyduszali z siebie jakieś uśmieszki, chichoty. Helena natomiast po chwili ożyła. Poruszyły się zdrętwiałe rączki i nóżki, sterczące jak kije z duszonego niemal wężowymi splotami kobiecego cielska. Słychać było, jak żałośnie jęczy przez zamknięte usta. I on też, chociaż otrzymał od niej ten pierwszy pocałunek, nabrał ochoty, by dla zabawy specjalnie ją pomęczyć: zamyczał w jej jęczące usta, co miało zapewne wyrażać szaloną namiętność. Ona znów zmiękła w jego objęciach, a on wielkodusznie przerwał torturę. Kiedy ją puścił, zwaliła się jak trup, z twarzą podobną do maski, w której wycięto otwór udający usta: gorące i nabrzmiałe, z pąsowymi płatkami warg. Wargi poruszyły się.

– Proszę mnie puścić... Pomóżcie...

– Za późno odgrywać niepalącą – uśmiechnął się zadowolony z siebie dręczyciel. – Wypalimy po papierosku i pójdziesz do mamy i taty... Bezmiar miłości ci sprawię, wszystko w kwiatach, sama przecież prosiłaś!

Ajdym, kryjąc twarz, chrapliwie dyszała w żołnierski szynel, wtuliwszy się w niego jak w mężczyznę. Sam Chołmogorow, zagubiony, wytrzeszczał oczy na swojego kolegę. Słyszał, jak nazwał się nowym imieniem, i teraz czekał z pokorą, aż tamten odezwie się do niego i okaże się znów sobą, tym poprzednim. Jednak nowy bohater był w siódmym niebie. Wyciągnął się na półce, jedną rękę zawiesił jak chomąto na szyi półżywej damulki, a drugą z uśmieszkiem dyrygował gośćmi. Ci na jego życzenie wznosili toasty. Potem zachciało mu się pieśni i zaintonował z wysiłkiem: „Niebieski wagon pędzi, kołysze, pośpieszny gna coraz szybciej...”. Nie słysząc, by ktoś się przyłączył do jego śpiewu, wykrzywił twarz w zwierzęcym grymasie, oznaczającym: „Śpiewajcie, bo pozabijam!”. Ludzie żałośnie i nieskładnie podchwytywali dziecinnymi głosikami: „Ach, jaka szkoda, że wszystko się kończy...”. A Pał Pałycz upojnie śpiewał we własnym tempie, mrużąc oczy w łzawej omdlałości.

Także Alosza przyłączył się do śpiewu. Przywykł słuchać swojego tajemniczego kompana. Tęsknił za choćby najdrobniejszym przejawem dobroci. Mógł oczywiście nie znać ani słów, ani melodii: słyszał je wielokrotnie w dzieciństwie, a potem, zdawało się, już nie, więc dawno zapomniał. Ale nagle mimo wszystko zaśpiewał, zakrakał razem z innymi jak w marszu, okropnie dla wrażliwego ucha, za to zgodnie i głośno.

Kiedy jej żołnierz zaczął śpiewać, dziewczynka ucichła, usłyszawszy w jego piersi równy, głęboki szmer, podobny do tego, jaki dochodzi z pieca. Była przestraszona, zła, a stała się dobra i szczęśliwa. Chołmogorow poczuł, że z duszy spłynął mu dławiący ciężar, który dręczył go, kiedy zadyszana Ajdym wtulała się w niego ze złością. Pierś owinęło mu jak wata przyjemne, łaskoczące ciepło. Tak, coś takiego ogarnęło Aloszę, kiedy w radosnym zapamiętaniu śpiewał na całe gardło. A pajączki chwytliwych zwinnych rączek szperały po żołnierskim szynelu, właziły po kolei w kieszenie, grzebały w nieoczekiwanej pustce... Nie znalazłszy tego,

o czym pomyślała, Ajdym, pewnie ze szczęścia, speszyła się: wiedziała, że pod żołnierskim szynelem powinno być jeszcze więcej kieszeni niż na zewnątrz, ale nie śmiała dotknąć jego ciała. Nie chciała już splatać swojej pajęczynki. Cofnęła ręce. I nie znając słów obcej rosyjskiej pieśni, zaczęła cichutko nucić.

Jak płótno, jak płótno droga ścieli się!
I prosto, i prosto w niebo wbija się!
I każdy, i każdy... że będzie dobrze, wierzy!

Niby-weselisko grało i śpiewało. Przy wtórze tej smutnej radości przebudził się w półmroku przedziału ojciec Muchina. Zaspane, wyblakłe oczy wytrzeszczył jak ryba i już z urazą obserwował, co się dzieje. Przy czym wydawało się, że patrzy na śpiewające usta jak głuchy. Nie rozumiał, gdzie się znajduje. Stracił też rachubę czasu. Zorientował się tylko z obrzydzeniem, też jakimś takim rybim, że jest wśród ludzi. Wyrzucony na brzeg, ogłuszony poczuciem własnej trzeźwości, ojciec Muchina z rzadka, między wdechem a wydechem, ożywał i już nie zamykał oczu. Przed nim w żałobnym milczeniu stały dwie graniaste szklanki, a w nich ołowianym blaskiem mieniła się wódka. Stały jakby przyduszone od góry jednakowymi kawałkami czarnego chleba, który tymczasem sczerstwiał i stał się jeszcze czarniejszy.

– Ojczulek nasz przyjechał... – Pał Pałycz vel Rafael z zadowoleniem zauważył, że figurka przy stole się wyprostowała. – No dawaj, opowiadaj, gdzie byłeś, jakich bohaterskich czynów dokonałeś. Uwielbiam bajki. Bo tak, to jakby człowiek wszystko wiedział, ciągle to samo, aż chce się wyć jak wilk. A chciałoby się, żeby było tak, jak nie bywa. Ale czy to jest pytanie? Wiem czy też nie wiem – oto jest pytanie! A ja wiem, wiem... Ech! Powiedz, czemu w życiu dokładności nie ma? No, czego milczysz? Bajeczkę wymyśliłeś, a życia swojego nie rozumiesz. Albo udajesz. No, to akurat zrozumiesz, ja po to własną skórę ryzykowałem. Patrzyłem, patrzyłem na ciebie, kiedy ty tam, na peronie, na baczność stałeś,

i pomyślałem: nie powinno tak być! Bo ja, ojczulku, wiem, kto strzelał, szoferak wszystko i o wszystkich wie. Czujesz, jaka to bajeczka z tego wychodzi? Niedługo i ty się dowiesz, jaka to śmierć twojego synka dopadła. Nie chcesz, ale się dowiesz. Wszystko będziesz wiedział!

Ojciec Muchina milczał, wciąż tak samo zapatrzony w jeden punkt. Wydawało się, że oberwał kijem po plecach, od czego tylko wyprostował się gorączkowo.

– No, znowu stoisz jak na baczność... Ja tobym cię rozdeptał... Dość mam ciebie... Ty robak jesteś czy człowiek?!

Pał Pałycz vel Rafael opamiętał się i zamilkł, gdy poczuł na sobie boleśnie przenikliwy wzrok. Nagle ojciec Muchina odzyskał dar mowy i zapytał ponurym głosem:

– Gdzie mój kapelusz?

– Ojczulku, ojczulku... Co z ciebie za człowiek! Przepadł kapelusz. Zostawiłeś go i poszedłeś dalej – powiedział łagodniej żołnierz.

– Kim ty jesteś? – padło następne pytanie.

– Dla ciebie jestem niby głos z tamtego świata. Mnie Giena Muchin do ciebie posłał, żebym ci coś szepnął, słyszałeś o takim? O rodzonym synu? Tylko że z niego żaden bohater... Palnął do niego oficerek, jego jakby dowódca, bo mu się zachciało. Pistolet miał w kaburze. Siła – mało powiedziane! Chcesz – zabij, chcesz – przebacz, po prostu jak Bóg dla innych. Ręce swędzą, kota dostaje, no i wystrzelił, sięgnął raz do kabury. Teraz nerwy sobie leczy w lazarecie, bo tak trzeba. A synek twój w cynkowym ubranku jedzie robaki karmić, bo tak trzeba. Wszyscy chcą, żeby życie się toczyło jak najszybciej, na pełnym gazie! Tak to jest, przez pomyłkę się urodził, przez pomyłkę żył, wszystko przez pomyłkę. No więc tę pomyłkę naprawili. I ty, draniu jeden, naprawiasz, pod wódeczkę... I ja... I wszyscy... Żyć się nie chce!

Znów zaległa cisza, aż słychać było każde skrzypnięcie, każdy szelest. Ludzie poruszyli się. Na górnych półkach wszyscy słuchali, ale natychmiast udali śpiących.

– Rafael... Rafael... – kusząco wymamrotała w otępieniu damulka, ale nagle obrzydliwie zachrapała. Noc weszła do wagonu tak, jak głęboko pod ziemią do na głucho zatrzaśniętej trumny wchodzi zapewne innego rodzaju cisza i ciemność. Jeden z gości, siedzący z boku, zerwał się i uciekł. Ktoś zachichotał. Było duszno.

– Może jeszcze herbatki? – zatroszczył się konduktor.

Ojciec Muchina chwycił jedną ze stojących przed nim szklaneczek, w której została jeszcze wódka, i szybko ją opróżnił.

– Co będziemy robić? – zdziwił się Alosza, rozglądając się wokół i nic nie rozumiejąc.

– Spokojnie, ten pociąg jedzie według rozkładu. Nie przejmuj się, chudzino, zdążysz wysiąść. To łatwe. Nie przepadnie twoja przepustka do życia. Najważniejsze, że nie masz z tym nic wspólnego, pamiętaj. To dla mnie nie ma przystanków, bilet w jedną stronę, a droga kołem zakręca. Mnie innych czasem szkoda, a co moje, to choćby w ogień. Może bólu nie czuję, przywykłem. Mogę językiem papierosy gasić, gwóźdź w siebie wbić, gdzie tylko chcesz – nie boli, nie żal. No i dobrze, przekręcę się. A wtedy śpiewajcie na pożegnanie czy jak, dobre by to było! Nie chcecie?! Dumni jesteście? No to ja sam zaśpiewam... Nie lubicie mnie? I ja was nie lubię, ale ja dla was zaśpiewam, zaśpiewam, och, jak zaśpiewam, a wy tylko nad sobą się zlitujecie.

Tym razem nikt w przedziale nawet nie znał słów ani melodii tej sierocej, melancholijnej pieśni, którą zaśpiewał Pał Pałycz, obcy wszystkim jak włóczęga. Choć pełen uniesienia, śpiewając samotnie, nie zapanował nad głosem. Zaciągnął jakoś fałszywie, jakby udawał, że śpiewa, ale już nie po to, by się powygłupiać, pobłaznować, ale żeby duszę otworzyć, zbliżyć się do ludzi. Starczyło mu jednak męstwa, a może nieoczekiwanej pokornej siły, żeby uparcie wyśpiewywać dźwięki, które jego samego męczyły, choć dobywały się na zewnątrz jakby zadowolone z siebie i przyjemne. Gości opanowała obojętna bezsilność. Słuchali z musu, nie ruszając się wcale, skrępowani tą pauzą, która nastąpiła w ich życiu.

A była tak długa, że powietrze w przedziale wypełniło się oddechem jednego człowieka, kwaśnym i zduszonym jak prąd w płaskiej bateryjce.

Głos zadrżał, ścichł, a potem zamilkł, kiedy do ludzi w wagonie z miejscówkami, zbliżając się wciąż i narastając, zaczął się przebijać jak przez warstwę niebytu jeden i ten sam stukot. Bliziutko, tuż pod oknami, głucho i tępo bił w ziemię śrut biegnących kroków. Rozległ się, wychodząc zapewne z ust naczelnika, samotny okrzyk, ostry i wyraźny, po czym powietrze wypełnił wściekły jazgot psów. Wszyscy słuchali w osłupieniu. W pustkę wagonu wdarł się zaciekły tupot.

– Milicja! – rzucił się tupotowi naprzeciw nawołujący, rwany okrzyk.

Ale w tym kłębie szalejącym w ciasnej gardzieli wagonu dały się zauważyć kokony wojskowych szyneli. Promień latarki lub latarek, też zaciekłych, ze ślepiami płonącymi jak reflektory, już oślepiał dalekim światłem, myszkował po twarzach. Coraz mocniej piekły oczy. Zgrana, potężna fala obławy zwaliła się z rozpędu na barykadę żałobnego stołu. Rozleciały się deski: jedne więzły w przepierzeniach albo jak dzidy wbijały się w ludzi, inne łamały się pod ich naporem, z głośnym trzaskiem przypominającym wystrzały. W tłoku pękały i trzeszczały pod nogami naczynia. Nagle rozległ się uroczysty okrzyk – ni to „łapcie ich, gołąbki”, ni to „łapcie ich, gołąbków”. Po kilku chwilach ponad ryk, łoskot, wizg wzbił się śmiertelny ryk: „Człowieka zarżnęli!”, „Na pomoc!”, „No, taka wasza mać, dajcie tu światła!”, „Jeszcze żyje!”.

Rannego, czyli jeszcze żywego, wyniesiono z wagonu niczym siennik. Śpieszyli się jak do pożaru. Przez pierwsze dziesięć minut, kiedy w chaosie obławy zaczęto się dopytywać, co się stało, panowała panika: było tak, jakby ludzie zauważyli, że się palą. Obwisłe, ciężkie ciało człowieka, którego ubranie pokrywało się na oczach obecnych krwawym ogniem, niesiono ni to ratując jego, ni to ratując siebie. Wreszcie stanęli z rannym w ciemności na gołym, zamarzniętym skrawku ziemi koło wagonu. Nie kładli go na ziemi, trzymali za ręce i nogi, nie wiedząc, dokąd uciekać i co robić, bo nawet nosze trzeba było skądś zdobyć. Dwóch żołnierzy z kompanii komendanckiej trzymało go coraz słabiej. Ciała już nie mogli

dłużej dźwigać, wyślizgiwało im się z rąk, zsuwało jak w jamę. Ranny jęczał z bólu i upokorzenia, czując, że o nim zapomniano. Potem znalazł w sobie siły, by podnieść lament, bo chciał jeszcze żyć.

– Gdzie pogotowie? Kochani! Zróbcie coś... Co wy robicie? Boli mnie... Ja przecież umieram!

Dowódca patrolu wojskowego miał dość słuchania narzekań i powiedział ze złością, jakby klął:

– No połóżcie go, dość tego...!

Co to znaczyło, ociekający krwią nie rozumiał, ale uspokoił się trochę, kiedy się zorientował, że leży wyprostowany na wznak, nie czując zimna ziemi, na której go położono. Pomocy szukali pilnie na miejscu, na próżno jednak tracili czas. Znaleźli watę i bandaż. Żeby przynajmniej zatkać ranę, z której płynęła krew, trzeba było wyciągnąć z niej narzędzie zabójstwa. W piersi człowieka wciąż jeszcze tkwił ten zaostrzony śmiercionośny kawał żelaza podobny do sworznia, wbity nie wiadomo jak niebezpiecznie ani jak głęboko, ale po samą nasadę. Dowódca, widząc to, bał się wziąć na siebie odpowiedzialność. Z wagonów, przebudzony i przestraszony, wysypał się cały ludek. W tłumie gapiów nie było nikogo ze służby medycznej. Wkrótce okazało się, że noclegownia na kołach nie ma żadnej łączności ze światem. Posłano gońca na dworzec, żeby zadzwonił po pogotowie. Nie wiadomo, czy ten żołnierz biegł po pomoc ile sił, czy się oszczędzał, lecz po jego powrocie znów czekano na próżno. Wezwanie przyjęto, ale samochód z lekarzem nie mógł znaleźć dojazdu na ten ślepy tor. Może jeszcze gdzieś błądził. Może zawrócił.

Tłum na miejscu zdarzenia rozszedł się po przedziałach, żeby dosypiać. Dowódca patrolu grzał się w tym samym wagonie, gdzie schwytano dwóch żołnierzy, którzy samowolnie opuścili swojego zwierzchnika, jednego z nich tymczasem rozpoznano jako zabójcę. Czekano już na milicję, by spisać dezerterów. Znów posłano gońca na dworzec, tym razem do dyżurki.

Przy wagonie, w ciemnościach, pod strażą pozostawionych na wietrze i zimnie żołnierzy z kompanii komendanckiej, leżały trzy ciała. Dwaj żywi spoczywali twarzą do ziemi, rozłożywszy nogi i ręce jak na krzyżu. Martwe

ciało, z kończynami spokojnie ułożonymi, patrzyło twarzą w niebo. To, że naczelnik jednostki medycznej pułku karagandyjskiego oddał duszę Bogu, poznano po jego oczach, kiedy zeszkliły się całkiem, zamarzły jak listopadowe błoto nocą, lśniąc wokół tym samym zdziwionym lodowatym blaskiem. „To ja umarłem? – pytały te oczy. – Jakie parszywe jest to życie... Jakie parszywe jest to niebo...”.

Z płaszcza, którym nakryty był trup, wypełzła przez nikogo niezauważona maleńka szara istotka, pewnie nawet nie mysz, tylko myszka. Nie wiadomo jak długo gnieździło się to zwierzątko za podszewką, gdzieś na samym dole tego szynela. Niczego nie umiało, o niczym nie wiedziało, zrobiło więc jedyny, jaki mogło zrobić, sensowny ruch, zakodowany na wszelki wypadek w jego mózgu, by mogło o siebie zadbać; wyglądało, jakby było mu smutno, zalało się łezkami, a potem pocieszyło i szmyrgnęło na wolność, pod śmierdzący wagon.

– Skończy się kiedyś ta noc? – burknął zziębły na straży żołnierzyk.

– To ranek jest taki. A dzień będzie taki jak ranek. I umrzyka targać też pewnie nam wypadnie... A ci sobie leżą, rozwalają się. No, sukinsyny, słyszycie, urządzimy wam łaźnię! Krwią się później umyjecie, zobaczycie... – nie darował sobie drugi wartownik. Ale najwyraźniej mu to nie ulżyło. Wziął trzy, cztery kroki rozbiegu i kopnął leżącego.

Żywi do żywych

Otworzył oczy i pomyślał, że jego życie się skończyło. Był nie całkiem przytomny od bicia, ciało już nie słuchało własnego bólu. Leżał na boku, pewnie na tym, gdzie miał złamane żebro, ale ocknąwszy się z bólu, i tak nie mógł się poruszyć czy choćby odwrócić na plecy, żeby złagodzić cierpienie. Tam, przy wagonie, los go oszczędził: ciosy dostały się temu, który podpadł pierwszy. Potem konwój nabrał pewności siebie i poprowadził go jakby w przyszłość. Za konwojem wlokła się w milczeniu malutka nierosyjska żebraczka w żołnierskim buszłacie. Czego chciała – nie rozumieli. Kiedy uznali, że muszą pozbyć się jej obcych oczek – przepędzili ją. A w pewnym ustronnym miejscu starszy oficer rozkazał się zatrzymać... Znów bili swoi, żołnierzyki. Każdy starał się uderzyć, gorączkowali się, walili pięściami gdzie popadło. On cierpiał pokornie. Wściekłość ściągnął na siebie drugi, kiedy w odwecie uderzył konwojenta. Zdążył tylko raz machnąć pięścią. Od razu zwalili go z nóg, otoczyli kołem, wdeptali w błoto – nie zostawili na ciele nie tylko jednego żywego miejsca, ale choćby czystej plamki. Oficer palił samotnie z boku, czekał: prosta i na oko uczciwa twarz była spokojna. Ten, któremu darowano, zapłakał, widząc, jak męczy się drugi.

Oficer odzyskał dar mowy.

– Ten nie zapłacze. Taki na zwiady powinien chodzić, zostałby bohaterem. – Dopalił i krzyknął: – Ano, orły, przyhamujcie. Ma dość!

Rzucili skurczone ciało na ziemię, odsunęli się, a jemu kazali je podnieść i wlec. Ręce z radością uchwyciły ładunek, a tamten drugi od razu się w niego wczepił, jakby chodziło o życie, ale z głuchymi przekleństwami, boleśnie, to jęcząc, to wyrykując przekleństwa. Droga, urozmaicona tak różnym cierpieniem dwóch ludzi, nie była długa. Konwój przekazał

aresztowanych warcie, odtąd byli aresztantami. Było tu zupełnie cicho i zdawało się, że wszystkie cele są puste. Tę ciszę bez zbędnego szumu wypełnili nowo przybyli, każdy w oddzielnej celi.

Nim go zamknięto, został obszukany. Kazano mu zdać szynel i pas. On chętnie się podporządkował, myślał, że oddaje wierzchnie ubranie tak, jakby przyszedł w gości. Gospodarze uśmiechali się serdecznie. Został w kusej, pośmiertnej bluzie. Ogrzany ich serdecznością, z mądrą, rozumiejącą miną zapytał:

– A obuwie też zdjąć?

Odpowiedziano mu z równą powagą:

– U nas to wedle życzenia, jak kto chce.

Więc on dobrowolnie się rozzuł. Tamci, odwracając wzrok i ledwie powstrzymując się od śmiechu, szybko zwinęli parę lakierowanych koncertowych pantofli. Więcej nie było już na co się połakomić. Otwarto celę. Pchnęli go do niej na bosaka, jak dziecko, nie mówiąc, co będzie dalej. Drzwi uderzyły go w plecy jak wystrzał. Podłoga, ściany, sufit, wszystko z jednakowych betonowych płyt, były wyziębione do białości. On stał i nie wiedział, gdzie się ruszyć. Przygnębione oczy szukały jakiejś odrobiny ciepła. To, które wydzielało się z ciała, migiem rozpływało się w powietrzu, tak przenikliwie zimnym, że oddychanie aż bolało. Pod sufitem było okienko wychodzące na wewnętrzny dziedziniec. Przez dziurę zamkniętą pajęczyną kraty sączyło się mizerne światło przyniesione z nieba. Podniósł wzrok ku temu światłu. Wąska, podłużna cela była głębsza od grobu. Drżał, tracił siły z taką męką, jakby się tlił, i patrzył ze zdziwieniem na świat, bliski i daleki zarazem, skąd nie nadchodziła pomoc. Ani nawet ciepło.

Mieli tu własny sąd. Bili regularnie ci, którzy obejmowali wartę. Strażnicy zmieniali się co dwie godziny. Wchodzili do celi uprzejmi. Wszyscy uśmiechnięci, podchmieleni. Żeby nie poranić sobie dłoni, okręcali pięści pasami. Kiedy się połapał, że biją pięściami, póki trzyma się na nogach, a kiedy pada, walą butami – rzucał się pod nogi. Tak kończyło się szybciej. Raz, półprzytomny od bicia, krzyknął:

– Gdzie ja jestem?

Usłyszał:

– Gdzie, gdzie... W Karagandzie.

A on, nie mogąc się opanować, spytał błagalnie:

– Co ja wam złego zrobiłem?

Tamci tylko się roześmieli. O nowych wiedzieli jedynie to, że aresztowano ich za zabójstwo. Dopóki nie zostaną po wyroku przekazani do etapu, będą ich tutaj męczyć w poczuciu obowiązku. I męczyli cały czas, on utracił jego rachubę, nie rozumiał, czy jest tu jeden dzień, czy wiele dni i nocy.

Dusza albo szukała drogi do zbawienia, albo robiła już ostatnie, pożegnalne okrążenie. Widział wszystko, co się z nim działo w różnym czasie, ale inaczej, niż było w rzeczywistości: dobro i zło, twarze bliskich i wszystko, co robił w tajemnicy przed nimi, łączyło się ponad czasem w oddzielne szeregi, każda rzecz w swój. Od jednego przychodziła tylko świadomość własnej winy, która w końcu nie budziła już żadnego uczucia. Od drugiego – długie i też w końcu paraliżujące uczucie radości. Tak jakby coś kazało mu zdawać sprawę z tego, co przeżył, ale i samo zdawało przed nim sprawę z minionego czasu. Właśnie to odczuł z przerażeniem: że wszystko mija i więcej się nie powtórzy. Dusza rozpaczliwie czepiała się chaotycznych obrazków i wrażeń minionego życia, kiedy, jak pamiętał, był po prostu wolny; zapłakał więc w końcu nie ze strachu ani z bólu, tylko z zawiści wobec tego, kim był przedtem, jakby to mógł być jakiś inny człowiek, któremu oddano jego życie, a nawet twarz. Tamten będzie żył zamiast niego, będzie oddychał, pił. Wejdzie jak syn do domu, do ojca i matki, i oni będą go kochali aż do śmierci. I zaczął mamrotać tak, jak bywało w dzieciństwie, bo czując pod sobą tylko betonową, lodowatą płytę, nie miał siły dłużej być niemy.

– Nie będę więcej... Przepraszam... Proszę, wybaczcie mi...

Z wyczerpania zlatywał w jakąś ciemność, ale kiedy tylko się ocykał, znów zaczynał mamrotać, nie wierzył, że już nikt i nigdy niczego mu nie wybaczy.

– No co, ciągle nie rozumiesz?! – rozległ się kolejny okrzyk. – Mówi się, sukinsynu, do ciebie, że do wyjścia... Durnia będziesz z siebie robił potem, w gabinecie śledczego.

Strażnik jakoś inaczej niż zwykle stał w progu i nie wchodził do celi. Więzień zamknął oczy, a potem otworzył: tamten nie ruszył się z miejsca. Trochę dalej walały się buty. Była to znoszona żołnierska para, podrzucono mu ją zamiast tamtych, które zniknęły.

– Witaj, synku, siadaj – powiedziała kobieta w prostym, ale porządnym mundurze.

Siedziała przy metalowym stole wmurowanym w podłogę, pisała coś w skupieniu, a potem długo nie zwracała na aresztanta uwagi. Była po czterdziestce. Twarz miała miękko, przyjemnie krągłą, pełną, ale nie zwiotczałą. Włosy po prostu spięte spinką. Oczy pilnie śledziły wychodzące spod ręki litery, a potem przenosiły się, jakby z musu, na brzeg białego arkusza. Pisanina przychodziła jej niełatwo, ale gospodyni gabinetu z przyjemnością zmuszała w końcu te litery, by jej słuchały i ustawiały się w rządek. Kiedy naciskała mocno na pióro, twarz jej także pulsowała napięciem, przybierając wygląd skupiony i srogi. Najwidoczniej po to, by pomóc sprowadzonemu na przesłuchanie zabić czas w gabinecie – podobnym na oko do celi, ale odczuwalnie wypełnionym jej spokojem, ciepłem, ciszą – kobieta burknęła z odpowiednią do pytania surowością:

– Odpowiadaj. Jak stoczyłeś się do tego, że znalazłeś się w jednej bandzie z Nazejkinem? Kto zarżnął naczelnika jednostki medycznej? Czyj to był pomysł? Czyj był majcher?

Nie słysząc odpowiedzi, westchnęła:

– No, milcz, milcz... A ja i tak wiem.

Głowa bolała od każdego usłyszanego słowa. On milczał, bo nie pamiętał, by w życiu spotkał człowieka o tym nazwisku. Kobieta, nie odrywając oczu od stołu, zaczęła jakby dyktować sobie samej:

– Odciski palców znalezione na majchrze odpowiadają dokładnie odciskom Nazejkina. Zeznania patrolu stwierdzają, że cios majchrem zadał Nazejkin. Przebywając w stanie mocnego upojenia alkoholem, Nazejkin

wyciągnął majcher, zadał zabitemu jeden cios, jak się okazało, śmiertelny, w okolicę serca. No a ty gdzie patrzyłeś? Co robiłeś? Wykonania rozkazów dowódcy odmówiliście razem... Razem samowolnie się odłączyliście... Razem tej fatalnej nocy piliście napoje alkoholowe... Patrol twierdzi, że również opór przy aresztowaniu stawialiście z Nazejkinem razem, w parze. I stało się zło. Zło powinno być ukarane.

Zdawało się, że tu postawiła kropkę i sprawa była dla niej skończona. Odsunęła protokół na bok. Jakoś niezręcznie wydostała spod stołu butelkę kefiru i bułkę z rodzynkami, po domowemu zawiniętą w czystą białą szmatkę. Zmęczony i sponiewierany wygląd aresztanta, który sam mógłby uchodzić za ofiarę jakiegoś przestępstwa, wcale jej nie peszył. Zaczęła w skupieniu, ale bez szczególnej ochoty żuć, jakby wykonywała kolejną niełatwą pracę. Zjadła kawałek, popiła kefirem z butelki, ozdabiając wargi pożywną, białą, mleczną smugą, i nagle pojaśniała, zdziwiła się, powiedziała wyraźnie:

– Jedz, jedz...

Od razu jednak zachmurzyła się, otarła wargi ściereczką, ugryzła kawałek bułki i spytała obojętnie:

– Może chcesz? No, milcz sobie, milcz... Hej tam, na wartowni! Chłopaki! Jest tam kto? Arturku kochany, wejdź tu do mnie. – W gabinecie pojawił się strażnik, ten, który przyprowadził go na przesłuchanie. Gospodyni mamrotała rzeczowo z pełnymi ustami: – Teraz przyprowadź tu do mnie Nazejkina Anatolija, zobaczymy się z nim raz jeszcze. A tego tu umyć, ogolić, dać jeść, co tam macie najlepszego, wydać rzeczy, jakie miał, i oczyścić... no, w ogóle nadać mu przyzwoity wygląd. Potem przyprowadź go tutaj, wywołaj mnie od razu na korytarz.

– Rozkaz, Swietłano Iwanowna! – odpowiedział żywo strażnik, patrząc na nią z wyraźną przyjemnością.

– No i dobrze, że dobrze – powiedziała już do nikogo.

Siedziała spokojnie w swoim opustoszałym gabinecie i żuła bułkę, w której rodzynek było tak mało, że na smak słodyczy w ustach trzeba było czekać bardzo długo, jak na spełnienie życzeń.

– Jedz, jedz i nikogo nie słuchaj – powiedziała do kogoś, kogo tu nie było, a może do samej siebie, podobnej nagle do staruszki.

Kiedy już nasyciła swoje łono tym, co miała, podniosła się zza biurka: ostrożnie wydobyła spod niego wypuczony brzuch i dźwigając swoje brzemię, wstała. Rozłożyła ręce na boki i spod rozpiętego munduru wysunęła się już cała żyworodna kula złożona z ciała i krwi. Kobieta ziewnęła. Rozkołysanym krokiem podeszła do ściany, w której przez kaganiec kraty widać było niebo. Patrząc tęsknie na nieco mętne niebiańskie światło, pogładziła się kilka razy po brzuchu. Westchnęła cierpliwie, myśląc o swoim terminie. Doniosła brzuch do roboczego miejsca przy stole. Teraz myślała już o sprawie: musiała jeszcze wydobyć z zabójcy przyznanie się do winy. Zamknęła się więc w czterech więziennych ścianach.

Strażnik już wiele w życiu widział, ale pierwszy raz odprowadzał aresztanta prosto z przesłuchania pod prysznic. Myśleć o tym było mu jakoś nieprzyjemnie. Używać swojej brzytwy, a tym bardziej golić tego, kogo stłukli i ograbili, było tak obrzydliwie, że ręce odmawiały posłuszeństwa. Ale po półgodzinie ten nowo narodzony, z lśniącymi mokrymi włosami przylizanymi z przedziałkiem pośrodku i gładką, już suchą twarzą, siedział na wartowni jak swój i czekał, kiedy go zaprowadzą, żeby coś zjadł... Nagle zobaczył dwóch żołnierzy pchających przed sobą korytarzem skutego w kajdanki człowieka. Ten opierał się i klął wściekle, oglądając się, żeby zobaczyć ich twarze.

Jego wzrok śmiało przenikał w głąb. Strażnicy czuli się niepewnie. Walnąć na odlew albo ogłuszyć krzykiem i uspokoić nie mogli nawet we dwóch. Nic nie mówili, pocili się, sapali. Poganiali go szturchańcami, ale wyglądało to tak, jakby to on na nich nacierał, a oni go odpychali. Było w nim wszystko: i namiętne poczucie własnej siły, i żądza władzy nad tymi ludźmi, którą w tej chwili można było zaspokoić chyba tylko ich krwią. Nie było jedynie nadziei, że wyrwie się na wolność. Nadzieja spadła na niego jak błyskawica i zawyła mu w gardle, kiedy na widok siedzącego w oczekiwaniu chłopaka krzyknął oszalały ze szczęścia:

– Alocha!

Wydało mu się, że ten chłopak rzucił się z przeciwnego końca korytarza na pomoc, więc i on się rzucił, nie naprzeciw tamtemu, tylko taranować skrępowanym kajdankami ciałem zaskoczonych i osłupiałych strażników. Ale kiedy ci zorientowali się, co zaszło, przestali zważać na krzyk, który po prostu ucichł, jakby go nie było, i zaczęli energicznie działać: jeden chwycił więźnia za włosy i od razu z przyjemnością wywrócił go tak, jakby chciał przenicować, drugi rąbnął go w brzuch, od czego tamten cały się zgiął i padł na kolana. Odetchnąć mu nie dali. Poderwali go z obu stron, jakby mieli go rozpiąć na kole, i powlekli dalej. Ale nawet zwisając im w rękach, półżywy, walczył, z wściekłością bodąc głową pustkę. Nie mógł zrozumieć, że to tylko jego spotkało. I kurcząc się na swym kole tortur, krzyczał:

– Loszka, tylko wytrzymaj... Przyjdzie nasz czas... Daj termin... Wyjdziemy... My z nich zrobimy... – zajęczał i od razu sam sobie, ile miał sił, wydał rozkaz: – Śmierć za śmierć!

Wartownik wrócił zadyszany, ponury i zaprowadził więźnia do stołówki. Po drodze nie wiadomo dlaczego warknął:

– Nazwisko?

Odpowiedź padła jękliwa, spóźniona:

– Chłmuorow...

Tamten nieoczekiwanie wycedził tak samo głucho:

– A ja myślę, że ty kapusta jesteś. Przyjaciela sprzedałeś?

Nałożył mu kaszy z żołnierskiego kotła i pchnął miskę w jego stronę.

– Masz, żryj!

Ale ten, który jego zdaniem sprzedał przyjaciela za miskę kaszy, nie wiedzieć czemu nie tknął jedzenia.

– Żryj, powiedziałem.

– Nie... ędę...

– W gardło nie lezie? Załatwiłbym ciebie... No dobra, w celi załatwię.

Kto nie był na służbie, przyszedł popatrzeć na kapusia.

– My mu już troszkę zgryz poprawiliśmy... A to judasz... Niepotrzebnieś się mył i golił, życia nie będziesz miał. Lepiej się powieś.

Siłą zmusić go do jedzenia, umazać kaszą nie można było, bo to by znaczyło tyle, co okazać szefowej nieposłuszeństwo. Ale wartownik przypomniał sobie jej rozkaz, by przywrócić aresztantowi ludzki wygląd: niewiele myśląc, kazali mu się rozzuć, postawili go przy zardzewiałym korycie umywalki i kazali myć buty. Bez szczotki czy choćby ściereczki było to tylko podobne do mycia. Zmusić go do robienia tego można było, szturchając w bok i urażając ranę, w której wciąż tkwił ból. Buty błyszczały, ale jego dalej poszturchiwali:

– Jeszcze czystsze mają być, judaszu!

A kiedy doszło do szynela, który też rozkazano mu wydać, zmusili go, by rękoma usuwał z niego wżarty brud, a potem nawet drobinki kurzu.

Minęło około godziny, a może więcej. Aresztanta należało jednak znów zaprowadzić na przesłuchanie. Przy drzwiach gabinetu strażnik mimo woli się zmieszał: z pomieszczenia sędziego śledczego dochodził rozwścieczony kobiecy krzyk:

– Ech, nie można jej przecież... Swietłana Iwanowna Swietikowa to człowiek! A wy, męty jedne, ją denerwujecie. Dosyć! Ten też nie będzie miał życia. Mamy was. Nocą uwolnimy od was ziemię.

Strażnik zastukał i nie czekając na wezwanie, otworzył drzwi. Na zewnątrz wyrwały się słowa:

– Podpisuj, kurwa, protokół albo go zeżresz...

Przez uchylone drzwi widać było wykrzywioną twarz kobiety. Gniew uniósł ją z krzesła, trzymała jak szablę zapisany papier nad głową siedzącego naprzeciw niej, po drugiej stronie stołu, człowieka. Widać było tylko jego plecy, ale przygięte i jakby odłączone od reszty, niczym część poćwiartowanego ciała, posadzona nie wiadomo po co na krześle.

Kobieta przerwała przesłuchanie i wyszła z gabinetu. Obejrzała aresztanta i zadowolona z jego wyglądu zwolniła strażnika. Powiedziała twardym i władczym tonem:

– Chodź za mną!

Drzwi otwierały się jedne po drugich, przybywało światła i powietrza.

– Oprę się na tobie. Jestem bądź co bądź przy nadziei, samej jakoś ciężko. Żeby już szybciej. Twoje szczęście, że sprawa do mnie trafiła, kiedy już Nazejkin znowu się popisał. Podziękuj, miał kto się o ciebie starać. Ja już dawno zauważyłam, że jak ktoś niczego nie pożałuje i zębami się wczepi, to swojego uratuje. A kto mamle i skarży się, tylko na darmo będzie progi obijał, jego najbliższy i kochany przepadnie.

Zatrzymała się, odsapnęła. Pewnie to były ostatnie drzwi. Wyjęła z kieszeni kurtki jego legitymację wojskową. Podała mu i powiedziała:

– Jeśli były w niej jakieś pieniążki, nie czepiaj się. No, rezerwa, do domu pojedziesz. Nic nie widziałeś, nikogo nie znasz. W tym mieście ciebie ani wczoraj, ani dziś nie było, kapujesz? – I nagle ostro, jakby strzelała z biodra, warknęła: – Chyba że chcesz z powrotem?

On uśmiechał się i milczał z miną winowajcy, nie rozumiejąc, że gospodyni tylko będzie z tego zadowolona.

– Och, a to co takiego? Złote zęby tam miałeś? – zauważyła i zaniepokoiła się. On czemuś radośnie pokręcił głową. – No, nie czepiaj się, synku, będziesz żyć, a zęby... co tam... na wolności jakie zechcesz, wstawisz, choćby złote.

Nie zdawał sobie sprawy, że go wypuszczają. Kiedy to się stało, przestraszył się: otwarto żelazne drzwi i on od razu znalazł się na czystej bezludnej ulicy, a iść nie miał dokąd. Leciutko uginały się pod nim nogi, nie czuł ich, a w głowie dojmująco dźwięczał głos tej, co go wypuściła, skierowany do kogoś, kto miał go przejąć tuż za bramą gmachu z fasadą z czerwonej jak krew cegły.

Pan jego życia był głuchy i jakby nie chciał wierzyć, że widzi przed sobą tego, o którym z miłością myślał przez cały ten czas jak o synu, choć nie miał już nadziei, że się z nim zobaczy, odkąd w myślach odprowadził go z wiecznym zębem w rodzinne strony, do domu. Dlaczego to zrobiłeś? – pytały przygasłe od smutku oczy. A on stał i rozumiał, że to przyszedł Abdułła Ibrahimowicz, ale powiedzieć mu niczego nie umiał. Milczał.

Głuchy wbił w niego wzrok i z męką czekał na odpowiedź, na ruch warg. Krzyknął, jakby przestraszony, że już nie słyszy:

– Co powiedziałeś?! Co mówisz?!

I zobaczył uśmiech, który zamiast zębów obnażył jakieś czarne rany. Aż odskoczył na ten widok bez słowa.

Abdułka ruszył, nie oglądając się za siebie. A on poszedł za nim lękliwie i wlókł się, pewnie chcąc prosić o przebaczenie, ale jak na złość przez całą drogę zostawał w tyle. Szli, a tymczasem na ulicach zapadł zmrok. Same nieznajome i obce widoki prowadziły ich przez miasto, dopóki w zimnie i pustce nie pojawił się dworzec kolejowy.

Poczekalnia była pełna ludzi, jasno oświetlona. Za czarnymi lustrami okien z widokiem wprost na peron słychać było daleki zgiełk. Kobiety, mężczyźni, dzieci, jakby szukający tu ratunku, tłoczyli się, wypatrując miejsca, pod odbijającym głosy wysokim sklepieniem, jasnym i pustym. Albo znalazłszy miejsce, cisnęli się to do swoich tępomordych, niezgrabnych waliz, nie wiadomo dlaczego wyłącznie brunatnych albo czarnych, to znów do skarbów, od których pękały toboły, albo po prostu jedni do drugich, żeby się nie zgubić. Przy okienku kasy dla wojskowych można było odetchnąć swobodniej. Na tej wysepce porządku i jakiegoś innego prawa niż w ogólnych kolejkach wydano mu na żądanie bilet na odjeżdżający o północy pociąg pasażerski.

Koło tej kasy stał patrol – oficer dyżurny i dwóch pachnących wodą kolońską chłopaków z pagonami podchorążych. Oficer przyglądał mu się z coraz posępniejszą miną: świeżo upieczony pasażer w okropnych butach, któremu spod kołnierza szynela sterczało też coś okropnego, a twarz miał najwyraźniej obitą, budził taki wstręt, że za późno było domagać się od niego okazania dokumentów. Ten strach na wróble sam się prosił do aresztu. Abdułka wzdrygnął się pod wzrokiem dyżurnego i cofnął się, zasłaniając sobą towarzysza. Patrol otoczył więc obu.

Głuchy odciągnął oficera na bok i powiedział mu szeptem:

– Proszę, nie ruszajcie go. Zwolniony komisyjnie, mocno chory na głowę. Pociąg niedługo. Jedzie chorować do domu.

Twarz dyżurnego, dotąd skupiona i mroczna, nagle zmiękła i jakby zgłupiała: wierzył i kiwał ze zrozumieniem głową, oglądał się, pragnąc znaleźć się jak najdalej od podobnego do stracha na wróble żołnierza. Patrol cofnął się.

Abdułka nie miał już co robić w tym mieście. Wyglądał właśnie na takiego, kto zostaje, i niczym zakochany, który już nie ma kogo kochać, odprowadza na dworzec tylko godzinę własnego życia. Twarz jego wydawała się nieprzystępna i obca. Przebywali przez ten czas razem w poczekalni, bo gospodarz poligonu czekał w cieple na swoją kolejkę elektryczną. Nagle zajęczał pod nosem, nie zdając sobie sprawy, że go słychać:

– Ja chciałem dla was dobrze... Wszystkim wam robiłem dobrze... – Wciąż jednakowo kamiennolicy, nagle zamilkł. A kiedy spojrzał ostatni raz, powiedział groźnie: – Nie idź za mną! Ja już ciebie nie znam.

Alosza został sam, a ten, który tak po prostu i surowo zwrócił mu uratowane życie, odszedł i zniknął na zawsze. W kieszeni, przy bilecie, znalazły się pieniądze, dziesięć rubli: czerwoniutki banknot, który był ostatnim darem Abdułki tak samo, jak ostatnie było tamto jego złe spojrzenie i ostatnie słowa.

Bezdomny i zdziczały z wyglądu żołnierz, który uśmiechał się jak małpa do każdego, kto go mijał, szybko zdążył zadomowić się na dworcu, jakby kogoś lub czegoś szukał, ale nie mógł znaleźć. Kilka razy pojawił się w bufecie, przyglądając się wciąż jednej i tej samej podobnej do obgryzionej kości gablocie. Tuż przed nocą dostępny był tylko napój zwany herbacianym. Chłopak poprosił o szklankę tej herbaty i by zapłacić za ciecz wartą kopiejkę, podał dziesięć rubli. Wypił na głodnego i odszedł. Potem wrócił i poprosił twardo o szklankę herbaty. Napój był ledwo ciepły, ale on długo siorbał go na uboczu, jakby to był wrzątek.

Podobnie zachowywał się w poczekalni, gdzie zajmował po kolei wszystkie niespodziewanie zwolnione miejsca, ale potem z radością ustępował ich to kobietom z dziećmi, to starcom. I na peronie, po którym z bardzo ważną miną chodził tam i z powrotem, zwracając na siebie uwagę

tym, że witał i odprowadzał każdy kolejny pociąg, wypytując, jaki to i kiedy tu przyjeżdża lub dokąd zmierza, a potem zawiadamiał o tym każdego, kto się zagapił lub komu było pilno się dowiedzieć. Mijając patrol, starał się możliwie najbardziej przekonująco zasalutować dyżurnemu oficerowi i zdawało się, że specjalnie próbuje rzucać mu się w oczy. Nagle podszedł do niego i spytał, czy może wyjść za potrzebą, tak jakby miał opuścić posterunek. Dyżurny zmieszał się, mimo to sam, osobiście, z lękliwą powagą wyraził zgodę i nawet posłał jednego z podchorążych, by pokazał mu drogę do toalety. Potem chłopak znów zwrócił się do dyżurnego o pozwolenie na spacer po placu koło dworca i tamten jakoś od razu miał dość natręta. Ramieniem opędził się od niego i burknął, żeby sobie szedł, gdzie ma ochotę. Chłopaczyna wrócił do poczekalni z ogromnym arbuzem w rękach, który tuż przed nocą korzystnie sprzedali mu Kazachowie; ich owiewane wiatrem przenośne kramiki, podobne do szałasów, nawet o tej godzinie czekały na placu dworcowym na klienta. Obejmując kupiony niespodziewanie, ale najwidoczniej nie dla siebie, ciężki stary arbuz, znów zjawił się przed naczelnikiem i zameldował, że dokonał zakupu. Podchorążowie wymienili kpiące spojrzenia. Oficer zawstydził się, nachmurzył i syknął, odganiając go od patrolu. On pomyślał, że powinien podzielić się arbuzem, i skwapliwie to zaproponował, na co dowódca po prostu warknął, żeby się stąd zabierał. Rozumiejąc, że go wypędzają, chłopak przycisnął do siebie gościniec, który tak tych ludzi rozzłościł, i pośpiesznie zadał tylko jedno pytanie. Chciał się dowiedzieć, która godzina. Twarz dyżurnego zastygła wystraszona, ale i złowieszczo spochmurniała. Na jego szczęście jakiś obywatel nudzący się w pobliżu patrolu, usłyszawszy pytanie, spojrzał na zegar wiszący w poczekalni nad głowami wszystkich i od razu spokojnie udzielił informacji.

Wiedząc, jak długo jeszcze ma czekać na pociąg, poszedł na peron. Stać w miejscu było zimno, a chodzić z arbuzem i niewygodnie, i ciężko. Pozbyć się go nie śmiał, bo wydał na niego pieniądze, które nawet teraz uważał nie za swoje, tylko za Abdułły Ibrahimowicza. Czując się głupim i nieszczęśliwym, pomyślał nagle o dziewczynce, która kiedyś w jego

obecności żebrała z głodu. Nie mógł sobie przypomnieć, jak wyglądała, tylko wydawało mu się, że czuje jej głód, i najpierw powoli, potem coraz pewniejszym krokiem poszedł w kierunku, w którym odjeżdżały nie jego pociągi. Wszystko pokrywały szyny. Błyszczały swymi stalowymi grzebieniami jak fale w świetle księżyca i zdawało się, że unosi się z nich szum podobny do ciężkiego oddechu. Pod nogami głucho zgrzytał zębami żwir. Chłód stalowej rzeki ożywiały różnokolorowe światła semaforów. Wiatr przynosił to powietrzną świeżość chłodu i przeszywającą aż do dreszczy wilgoć, to znów swąd z podkładów i smród czegoś palonego, pewnie węgla z piecyków przesuwających się szybko wagonów. On jasno zobaczył tę noc, kiedy szli o tej samej godzinie i w tym samym kierunku przez tę samą milczącą przestrzeń, i ze zdziwieniem zdał sobie sprawę, że wszystko to już było: nie było tylko tego ciężkiego arbuza, który niósł dla dziewczynki, nie wiedzieć czemu wciąż i wciąż pamiętając o niej, a nie o tych, co też kiedyś tu byli.

Przypisy

[1] Rusza, rusza... (*kazach*.)

[2] Kogo tu niesie?! (*kazach*.)

[3] Ej, bohater, skąd i dokąd idziesz? (*kazach*.)

[4] Żona, wstawaj, cholero, przynieś mi wódki, żarcia, a żywo! (*kazach*.)

[5] Żywo, żywo... Aj, cholera! (*kazach*.)

[6] Głupia, nie hałasuj... To dezerter, trzeba zawiadomić oddział, jak się napije (*kazach*.)

[7] Puść... (*kazach*.)

[8] Nie na tego, kogo trzeba, trafił! (*kazach*.)

[9] W rosyjskim slangu niebieski (*gołuboj*) oznacza homoseksualistę. Kubek w tym kolorze to przejrzysta aluzja (przyp. tłum.).